

PIERWSZE
POLSKIE
WYDANIE

ELIZABETH GASKELL

Ruth

ing

ELIZABETH GASKELL

Ruth



Płyńcie, płyńcie zwolna łzy!
obmyjcie piękne stopy
Księcia Pokoju, co z niebios zszedł
dobrą nowinę głosić.
Płaczcie, płaczcie oczy me,
proście o miłosierdzie,
grzech bowiem nigdy nie cofnie się,
drażył nas zawsze będzie.
Dalej, niechże potok łez
lęk zmyje oraz winę,
Pan niechaj spojrzy zaś na mój grzech
poprzez me łzy jedynie.

Phineas Fletcher

ROZDZIAŁ I

Uczennica krawcowej przy pracy

Jest w jednym ze wschodnich hrabstw miasto sądowe, które upodobali sobie wielce monarchowie tudorscy, wskutek zaś ich przychylności i protekcji zyskało ono znaczenie w stopniu zaskakującym dla współczesnego podróżnego.

Przed stu laty prezentowało się ono malowniczo i okazałe. Stare domy, pełniące rolę tymczasowych siedzib tych rodów z hrabstwa, które zadowalały się rozrywkami prowincjonalnego miasta, porastały gęsto ulice, nadając im nieregularny acz szlachetny wygląd, nieznanym wówczas jeszcze w miastach Belgii. Pobocza ulic charakteryzowały się osobliwym przepychem wskutek obecności szczytowych dachów i kominów, które przecinały błękitne niebo ponad nimi; tymczasem, jeżeli kto spojrzął niżej, uwagę jego przykuwały wszelkiej maści występy w postaci balkonów i wykuszów; zabawny był widok nieskończonej różnorodności okien, którymi upstrzono ściany na długo przed czasami podatku pana Pitta^[1]. Ulice poniżej odczuwały skutki istnienia owych występów oraz wysuniętych naprzód górnych pięter; były ciemne i źle wybrukowane dużymi, okrągłymi, luźnymi otoczkami, i pozbawione chodników, które krawężnik oddzielałby bezpiecznie od jezdni; nie było lamp na długie zimowe noce; nie zważano na potrzeby klasy średniej, która ani nie jeździła własnymi powozami, ani nie podróżowała w lektykach, które służący wnosić by mogli wprost do posiadłości ich przyjaciół. Ludzie pracy oraz ich żony, sklepikarze i ich małżonki, oraz wszyscy im podobni, dniem i nocą poruszali się w obliczu znacznego niebezpieczeństwa. Przemieszczające się wąskimi ulicami szerokie, niezgrabne powozy zmuszały pieszych do przeciskania się tuż przy domach. Schody niegościnnych domów sięgały niemalże do samej jezdni, ponownie narażając ich na niebezpieczeństwo, którego udawało im się uniknąć przez dwadzieścia czy trzydzieści kroków. Nocami zaś jedyne źródło światła stanowiły jarzące się, migotliwe lampy olejne, zawieszane nad drzwiami co bardziej arystokratycznych posiadłości; dzięki nim przechodniom dane było widzieć, gdzie idą, nim ponownie pochłonęły ich ciemności, w których nierzadko złoczyńcy czekali na swe ofiary.

Obyczaje owych czasów minionych, ustalone w najdrobniejszym szczególe, pozwalają lepiej zrozumieć okoliczności, które przyczyniły się do ukształtowania charakterów. Padół codzienności, na którym rodzą się ludzie i który pochłania ich, nim się zorientują, wykuwa dla nich łańcuchy, i ledwie jeden na stu ludzi ma w sobie tyle moralnej siły, aby nimi wzgardzić i zerwać je, gdy nadejdzie właściwy czas – kiedy pojawi się wewnętrzna konieczność niezależnego, samodzielnego działania, która jest nadrzędna wobec wszelkich zewnętrznych konwenansów. Dobrze przeto wiedzieć, jakież to łańcuchy codziennych domowych przyzwyczajień były naturalnymi podporami dla naszych przodków, nim nauczyli się kroczyć samodzielnie.

Malowniczość owych prastarych ulic obecnie przeminęła. Astleyowie, Dunstanowie, Waverhamowie – możni tego regionu – zgodnie z obyczajem zwykli udawać się w sezonie do Londynu, toteż posprzedawali swe rezydencje w stolicy hrabstwa pięćdziesiąt lat temu lub dawniej. A skoro stolica hrabstwa utraciła powab w oczach Astleyów, Dunstanów, Waverhamów, jakże można było przypuszczać, że Domville'owie, Bextonowie i Wilde'owie będą nadal tam zimowali w swych drugorzędnych domach, i to przy zwiększonych kosztach ich utrzymania? Toteż przez pewien czas owe wspaniałe stare domy stały puste; następnie spekulanci odważyli się nabyć i przekształcić opuszczone posiadłości w wiele mniejszych mieszkań, odpowiednich dla ludzi pracy, czy nawet (przybliź ucho, aby nie posłyszał tego cień Marmaduke'a, pierwszego barona Waverham) w sklepy!

Lecz i to nie było jeszcze najgorsze w porównaniu z kolejnym unowocześnieniem, jakiego dopuszczono się wobec tych wspaniałych starych domów. Sklepiarze uznali, iż owa niegdyś modna ulica stała się teraz ciemna, a w słabym, bladym świetle towary nie prezentowały się zachęcająco; chirurg nie widział dobrze, gdy wrywał ząb pacjentowi; adwokat musiał dzwonić, by wniesiono świecę godzinę wcześniej, niż zwykł był to czynić, gdy mieszkał przy bardziej pobocznej ulicy. Krótko rzecz ujmując, za zgodą ogółu zburzono cały fronton po jednej stronie ulicy i odbudowano go w płaskim, surowym, nieurozmaiconym stylu Jerzego III. Bryła główna domów była zbyt lita i mocna, aby poddać się zmianom; toteż niekiedy spotykało ludzi zaskoczenie, gdy przeszedłszy przez sklep o pospolitym wnętrzu, znajdowali się u stóp wspaniałych, rzeźbionych dębowych schodów gęsto zdobionych herbami rodowymi, widnych dzięki światłu wpadającemu przez witrażowe okno.

Na górę takimi schodami – obok takiego okna (przez które wpadała poświata księżycowa, spowijając ją wielobarwną glorią) – szła utrudzona Ruth Hilton pewnej styczniowej nocy wiele już lat temu. Mówię, że była noc; lecz ściślej rzecz ujmując, był to ranek. Stare dzwony Św. Zbawiciela wybijały drugą. A mimo to w pokoju, do którego weszła Ruth, siedziało nadal ponad tuzin dziewcząt, szyjąc tak zapamiętale, jak gdyby zależało od tego ich życie; nie ośmielały się ziewać ani okazać jakiegokolwiek zewnętrznego przejawu zmęczenia. Westchnęły tylko lekko, kiedy Ruth powiedziała pani Mason, która jest godzina, bo z tą właśnie wiadomością miała wrócić; wiedziały bowiem, że chociaż czuwały do tak późnych godzin, następnego ranka trzeba rozpocząć pracę o ósmej, a młode ich członki były bardzo zmęczone.

Pani Mason pracowała równie ciężko, jak one; była jednakże starsza i bardziej wytrzymała; a poza tym, to do niej należały zyski. Lecz nawet ona zauważyła, iż potrzeba nieco odpoczynku.

– Dziewczęta! Zezwalam na półgodzinną przerwę. Proszę zadzwonić, panno Sutton. Martha przyniesie wam trochę chleba, sera i piwo. Proszę jeść na stojąco – z dala od sukien – a później umyć ręce, abyście było gotowe do pracy, gdy wrócę. Za pół godziny – powtórzyła bardzo wyraźnie; następnie opuściła pokój.

Ciekawy był widok młodych dziewcząt, które natychmiast skorzystały z nieobecności pani Mason. Pewna panienka o szczególnie przysadzistym wyglądzie ułożyła głowę na złożonych ramionach i w okamgnieniu zasnęła; nie pozwoliła się obudzić na skromną kolację, lecz podskoczyła z przestachem w oczach na dźwięk kroków powracającej pani Mason, chociaż ich echo ledwie jeszcze było słychać na schodach. Dwie lub trzy inne przycupnęły przy mizernym kominku, który z uwagi na jak najlepszą oszczędność miejsca, za nic mając wszelki wdzięk i ornamenty, umieszczono w wątlej, płaskiej ścianie, wzniesionej przez obecnego właściciela posiadłości dla wydzielenia tej części ogromnej starej bawialni. Niektóre z dziewcząt spożytkowały czas na jedzenie chleba z serem, wprawiając swe szczęki w tak miarowy, ustawiczny ruch (i przybierając niemal bezmyślnie spokojny wyraz twarzy), jaki właściwy jest krowom, które przeżuwiają trawę na łące.

Niektóre unosiły z podziwem szytą właśnie piękną suknię balową, inne zaś przyglądały się wynikom pracy, stając w pewnej odległości od przedmiotu oględzin, ażeby poddać go krytyce w sposób iście artystyczny. Jeszcze inne rozciągały się we wszystkie strony, aby ulżyć zmęczonym mięśniom; jedna czy dwie dały upust ziewaniu, kasłaniu i kichaniu, które tak długo wstrzymywały w obecności pani Mason. Ale Ruth Hilton skoczyła do dużego starego okna i przywarła do niego, tak jak ptak przywiera do prętów swej klatki. Odsunęła storę i wpatrywała się w cichą księżycową noc. Było podwójnie jasno – niemal tak jasno, jak za dnia – ponieważ wszystko pokrywała gruba warstwa śniegu, który padał bezgłośnie od ubiegłego wieczoru. Okno znajdowało się w kwadratowej niszy; osobliwe stare szybki wymieniono na takie, które wpuszczały więcej światła. Nieco dalej pierzaste gałęzie modrzewia kołysały się łagodnie w tę i z powrotem na ledwie odczuwalnym nocnym wietrzyku. Biedny stary modrzew! Był taki czas, gdy rósł na przyjemnym trawniku, a delikatne źdźbła podpełzały pieszczotliwie pod sam jego pień; obecnie jednak murawę podzielono na dziedzince oraz obskurne tylne podwórka, modrzew zaś uwięziono i obłożono kamieniami brukowymi. Śnieg grubą warstwą pokrywał jego konary i opadał niekiedy bezgłośnie na dół. Stare stajnie powiększono i przekształcono w posępny ciąg nędznych domów

przylegających do prastarych posiadłości. A ponad wszystkimi tymi zmianami z okazałego w nędzne roztaczał się purpurowy nieboskłon, niezmienny w swym przepychu!

Ruth przycisnęła czoło do zimnej szyby i nadwerężyła bolące oczy, wpatrując się w cudowne nocne niebo zimowe. Targał nią silny impuls, by pochwycić szal i owinąwszy nim głowę, wyruszyć na przechadzkę i rozkoszować się pięknem; i był taki czas, kiedy to natychmiast poszłaby za głosem owego impulsu; teraz jednak oczy Ruth zasły łzami i stała zupełnie nieruchomo, śniąc o dniach minionych. Ktoś dotknął jej ramienia, gdy błędziła myślami gdzieś daleko, wspominając dawne wieczory styczniowe, które przypominały dzisiejszy, choć przecież były tak od niego różne.

– Ruth, kochana – szepnęła dziewczyna, która mimowolnie przyciągnęła do siebie uwagę, gdy dostała uporczywego ataku kaszlu – chodź, zjedz kolację. Nie wiesz jeszcze, jak bardzo to pomaga przetrwać noc.

– Jedna chwila biegu – jeden powiew świeżego powietrza posłużyłby mi bardziej – odparła Ruth.

– Nie w taką noc, jak ta – odparła dziewczyna, zadrżawszy na samą myśl.

– A dlaczego nie w taką noc, jak ta, Jenny? – zapytała Ruth. – O! W domu wielokrotnie biegałam ścieżką aż do młyna, po to tylko, by zobaczyć zwisające z wielkiego koła sople lodu; a raz, gdy wyszłam, prawie nie mogłam zmusić się do powrotu, nawet do matki, co siedziała przy ogniu... nawet do matki – dodała cicho, melancholijnie, z nutą niewysłowionego smutku w głosie. – Ależ Jenny! – rzekła, zrywając się, a oczy jej szklily się od łez – powiedz, czyś kiedy widziała, żeby te nędzne, ohydne, zrujnowane stare domy wyglądały choć w połowie tak – jak by to ująć? prawie pięknie – jak w tej chwili, pod tym miękkim, czystym, przepięknym pokryciem; a skoro one tak wiele zyskały, pomyśl tylko, jak w taką noc jak ta wyglądają drzewa i trawa, i bluszcz.

Nie udało się nakłonić Jenny do podziwiania zimowej nocy, która jawiła się jej tylko jako pora zimna i posępna, kiedy to kaszel jej się nasilał, a ból w boku stawał się bardziej dokuczliwy niż zazwyczaj. Objęła jednak ramieniem szyję Ruth i stanęła przy niej, rada, że owa uczennica-sierota, niezaprawiona jeszcze w trudach warsztatu krawieckiego, czerpała tyle przyjemności z czegoś tak pospolitego, jak mroźna noc.

Pozostały zatopione każda we własnych myślach aż do chwili, gdy zabrzmiały kroki pani Mason, a wówczas powróciły bez kolacji, ale pokrzepione, na swe miejsca.

Ruth zajmowała najzimniejszy i najciemniejszy kąt w pokoju, lecz było to jej ulubione miejsce; instynktownie wybrała je ze względu na znajdującą się naprzeciw ścianę, na której widniała pozostałość dawnej, z pewnością wspaniałej niegdyś bawialni, o której pięknie świadczyć mógł pozostawiony wyblakły fragment. Składały się nań płyty o barwie bladej zieleni morskiej obramowane bielą i złotem; na płytach tych namalowano – rozrzucono niedbałą, tryumfalną ręką mistrza – najcudniejsze wstęgi kwiecia, bujne i bogate ponad wszelki wyraz i tak rzeczywiste, że można było nieledwie poczuć ich zapach i usłyszeć, jak wiatr południowy szeleści cicho pośród karmazynowych róż, gałęzi fioletowego i białego bzu, kołyszących się złotolokich konarów złotokapu. Oprócz nich były tam majestatyczne białe lilie – symbol Dziewicy, malwy, dyptam jesionolistny, tojad, bratki, pierwiosnki; był tam każdy kwiat, który kwitnie obficie w czarujących staromodnych wiejskich ogrodach, uchwycony pośród swego wdzięcznego listowia, lecz nie w dzikim nieładzie, wedle którego je wymieniłam. U dołu płyty spoczywała gałąź ostrokrzewu, której nieprzejednaną prostotę zdobiła wijąca się draperia z angielskiego bluszczu i jemioly, i rannika zimowego; po obu bokach natomiast były wiszące girlandy wiosennych i jesiennych kwiatów; ukoronowaniem wszystkiego było zaś cudowne lato ze słodkimi różyczkami oraz czerwcowymi i lipcowymi kwiatami o soczystych barwach.

Monnoyer^[2], czy też kimkolwiek był ów nieżyjący już artysta z przeszłości, byłby z pewnością rad, dowiedziawszy się, jak wielką przyjemność z dzieła jego rąk, a nawet ze szczątków tego dzieła, czerpało udręczone serce młodej dziewczyny; wyczarował on bowiem wizje innych podobnych kwiatów, które rosły i kwitły, i więdły w jej dawnym domu.

Pani Mason wyraźnie zażyczyła sobie, aby dzisiejszej nocy jej pracownice wyteżyły siły, ponieważ nazajutrz miał się odbyć doroczny bal myśliwski. Była to jedyna rozrywka w mieście,

odkąd zaprzestano wydawania balów sądowych. Sukien, które obiecała wysłać do domu „bez skazy” nazajutrz rano, było wiele; nie wypuściła z rąk ani jednej toalety z obawy, że gdyby zrezygnowała z choćby jednej z robót, ta mogłaby dostać się w ręce krawcowej-rywalki, która właśnie otworzyła swój zakład na tej samej ulicy.

Postanowiła dostarczyć słabnącym nastrojom delikatnego bodźca, toteż odkasznawszy na wstępie delikatnie dla przykucia uwagi, rzekła:

– Otóż wiedzcie, dziewczęta, że w tym roku, tak samo jak w latach ubiegłych, poproszono mnie, bym wysłała kilka spośród mych młodych pracownic do hallu sali balowej ze wstążkami do pantofelków, szpilek i innymi tym podobnymi drobiazgami, ażeby mogły naprawić każdy przypadkowy uszczerbek w toaletach pań. Poślę cztery... spośród najbardziej pracowitych. – Położyła wyraźny nacisk na ostatnie słowa, lecz niewiele to dało; dziewczęta były zbyt śpiące, aby dbać o przepych i próżność, czy też zaiste o jakiegokolwiek luksusy tego świata, poza jedną, jedyną rzeczą – własnym łóżkiem.

Pani Mason była kobietą bardzo zacną, lecz podobnie jak wiele innych zacnych kobiet, miała swe słabości; jedną z nich (w jej powołaniu bardzo naturalną) była przesadna troska o powierzchowność. Wybrała już zatem w myślach cztery dziewczęta, które najpewniej przyniosą jej „zakładowi” chlubę; w duchu podjęła już decyzję, jednakże dobrze było obiecać nagrodę najpilniejszym. Nie zdawała sobie doprawdy sprawy z tego, jak obłudne jest takie postępowanie; zręcznie opanowała ów rodzaj sofistyki, za którego pomocą ludzie tłumaczą sobie, iż to, co pragną uczynić, jest słuszne.

W końcu oznaki zmęczenia zwyciężyły. Kazano dziewczętom rozejść się do łóżek; jednak nawet ów mile widziany rozkaz wypełniły z apatią. Powoli pozwijały roboty, ociężałe się poruszając, aż wreszcie wszystko zostało uprzątnięte i udały się gromadnie na górę szerokimi, ciemnymi schodami.

– O! Jakże ja przetrwam pięć lat takich straszliwych nocy! W tym ciasnym pokoju! W tym przytłaczającym bezruchu! Słysząc tu każdy szmer nici przewlekanych bezustannie w tę i we w tę – załkała Ruth, rzucając się na łóżko, nawet się nie rozebrawszy.

– Nie, Ruth, wiesz, że nie zawsze będzie tak jak dzisiejszej nocy. Często jesteśmy w łóżkach przed dziesiątą; a z czasem przyzwyczaisz się do ciasnoty pokoju. Dziś wieczór jesteś wyczerpana, inaczej nie przeszkadzałby ci dźwięk igły; ja wcale go nie słyszę. Chodź, rozepnę ci suknię – rzekła Jenny.

– Jaki pożytek z rozbierania? Za trzy godziny musimy znów być na nogach i pracować.

– Ale przez te trzy godziny możesz bardzo dobrze wypocząć, jeżeli się tylko rozbierzesz i pójdziesz wprost do łóżka. Chodź, kochanie.

Ruth usłuchała rady Jenny; nim jednak udała się na spoczynek, rzekła:

– Och! Żałuję, że jestem taka zła i niecierpliwa. Dawniej chyba taka nie byłam.

– Nie, z pewnością nie. Większość nowych dziewcząt niecierpliwi się z początku; ale to mija i po chwili niczym się już zbytnio nie przejmują. Biedne dziecko! Już zasnęła – rzekła do siebie Jenny.

Ona nie potrafiła zasnąć, ani odpocząć. Kłucie w boku dokuczało jej silniej niż zazwyczaj. Pomyślała niemal, że powinna wspomnieć o nim w listach do domu; później jednak przypomniała sobie o czesnym, którego opłacenie kosztowało ojca tak wiele wysiłku, i o młodszym od niej, licznym rodzeństwie, o które należało się zatroszczyć, toteż postanowiła wytrzymać, ufając, że z nadejściem cieplejszej pogody minie i ból, i kaszel. Będzie na siebie uważała.

Cóż doskwierało Ruth? Płakała we śnie, jak gdyby miało jej pęknąć serce. Tak wzburzony sen nie mógł przynieść odpoczynku, toteż Jenny ją obudziła.

– Ruth! Ruth!

– Och, Jenny! – rzekła Ruth, siadając w łóżku i odgarniając fale włosów, które grzały jej czoło – zdawało mi się, że przy łóżku widzę mamę, która przyszła sprawdzić, jak to zwykła była czynić, czy śpimy i czy jest nam wygodnie; a kiedy spróbowałam ją chwycić, odeszła i pozostawiła mnie samą – nie wiem gdzie; jakie to dziwne!

– To tylko sen; wiesz przecież, że opowiadałaś mi o niej, prócz tego jesteś rozpalona, bo

późno się położyłaś. Zaśnij znowu, a ja będę czuwała i obudzę cię, jeżeli będziesz niespokojna.

– Ale będziesz bardzo zmęczona. Ojej! Ojej! – Ruth ponownie zasnęła i wzdychała przez sen.

Z nadejściem poranka dziewczęta zbudziły się wypoczęte, mimo że sen ich nie trwał długo.

– Panno Sutton, panno Jennings, panno Booth, panno Hilton, oczekuję, że przed ósmą będą panie gotowe, aby towarzyszyć mi do ratusza.

Jedna czy dwie spośród panien wyglądały na zaskoczone, większość jednakże, spodziewając się wyboru i znając z doświadczenia niepisaną regułę, podług której go dokonywano, przyjęła wiadomość z ponurą obojętnością, jaką przywykły kwitować większość zdarzeń – z apatią wynikającą z nienaturalnego trybu życia, jednostajnych dni i nocy spędzanych często na czuwaniu do późna.

Dla Ruth jednakże było to rzeczą niepojętą. Ziewała i marudziła, i odwracała wzrok na piękne malowidła, i zatracala się w myślach o domu, aż jęła się spodziewać reprimendy, którą z pewnością otrzymałaby przy każdej innej okazji, tymczasem teraz ku swemu zaskoczeniu, została wyróżniona jako jedna z najbardziej pracowitych!

Choć bardzo pragnęła zobaczyć wspaniałą ratusz – chlubę hrabstwa – i ujrzeć tańczące pary, i usłyszeć orkiestrę; choć bardzo pragnęła odrobiny urozmaicenia w swym nudnym, monotonnym życiu, nie potrafiła czuć szczęścia, przyjmując przywilej, którego, jak sądziła, udzielono jej z nieznamości prawdziwego stanu rzeczy; toteż zaskoczyła swe towarzyski, zrywając się nagle, by podejść do pani Mason wykańczającej właśnie suknię, którą należało odesłać do właścicielki przed dwiema godzinami.

– Za pozwoleniem, pani Mason, ja nie byłam jedną z najbardziej pracowitych; obawiam się – zdaje mi się – że wcale nie byłam pracowita. Byłam bardzo zmęczona; i nie mogłam przestać rozmyślać, a gdy rozmyślam, nie umiem zajmować się robotą – urwała, sądząc, iż wystarczająco wytłumaczyła, co ma na myśli; lecz pani Mason nie chciała zrozumieć i nie życzyła sobie dalszych wyjaśnień.

– Cóż, moja droga, trzeba, ażebyś się nauczyła myśleć i pracować równocześnie; a jeżeli nie podołasz obu czynnościom naraz, to trzeba ci porzucić myślenie. Jak wiesz, twój opiekun spodziewa się, że poczynisz wielkie postępy w swym fachu, a ja pewna jestem, że go nie zawiedziesz.

Nie o to wszakże chodziło. Przez chwilę Ruth stała nieruchomo, mimo że pani Mason powróciła do swej roboty w sposób, który każda prócz „nowej dziewczyny” uznałaby za wystarczająco czytelny znak, że oto nie życzy sobie w tej chwili dalszej rozmowy.

– Ale skoro nie wykazałam się pilnością, proszę pani, nie powinnam iść. Panna Wood była o wiele bardziej pracowita ode mnie, i inne panny również.

– Męcząca dziewczyna! – odburknęła pani Mason – może byłoby i lepiej zostawić ją w domu za to, że mi się tak naprzykrza.

Lecz gdy podniosła wzrok, ponownie uderzyła ją niezwykła uroda Ruth; jaka to ozdoba zakładu, z tym kształtnym zarysem sylwetki, urodziwą twarzą o ciemnych brwiach i ciemnych rzęsach, z kasztanowymi włosami i jasną cerą. Nie! Pilna czy gnuśna, Ruth Hilton musi się dzisiaj zaprezentować.

– Panno Hilton – rzekła pani Mason ze sztywną godnością – nie przywykłam do tego, aby podważano me decyzje (o czym mogą zaświadczyć te młode damy). Jak mówię, tak też uważam; i mam swoje powody. Niech pani zatem usiądzie, jeśli łaska, i pamięta, że ma być gotowa na ósmą. Ani słowa więcej – zdało się jej bowiem, iż Ruth zamierza ponownie przemówić.

– Jenny! Ty powinnaś pójść, nie ja – rzekła Ruth szeptem do panny Wood, siadając obok niej.

– Cicho, Ruth! Nie mogłabym pójść, nawet gdybym chciała, ze względu na kaszel. Gdybym to ja miała zdecydować, wołałabym, abyś to ty, a nie kto inny, poszła tam zamiast mnie. Przypuśćmy, że była to moja decyzja, uznaj zatem ową przyjemną okoliczność za prezent ode mnie i opowiedz mi o wszystkim, gdy dziś wieczór powrócisz do domu.

– Dobrze! Jako taką ją przyjmę, nie zaś dlatego, że na nią zapracowałam, bo nie

zapracowałam. A zatem dziękuję. Nie wiesz nawet, jaką mi ta wyprawa da radość. Ubiegłej nocy pracowałam sumiennie przez pięć minut, po tym jak usłyszałam o balu, tak bardzo pragnęłam pójść. Lecz nie umiałam wytrwać przy pracy. Ojej! I naprawdę usłyszę orkiestrę! I zobaczę wnętrza pięknego ratusza!

ROZDZIAŁ II

Ruth udaje się do ratusza

Tego samego wieczoru o odpowiedniej porze pani Mason zebrała swe „młode damy”, aby przed udaniem się do ratusza dokonać inspekcji ich wyglądu. Skwapliwość, apodyktyczny ton i pośpiech, z jakim je wezwała, przywołały na myśl zachowanie kury, która gdakaniem przywołuje do siebie swe kurczęta; a sądząc po dokładnej inspekcji, jakiej poddała dziewczęta, można by wysnuć przypuszczenia, iż w wieczornym wystąpieniu miały do odegrania rolę o wiele większej wagi aniżeli tymczasowych panien służących.

– Czy to pani najlepsza suknia, panno Hilton? – zapytała na wpół niezadowolonym tonem, obracając Ruth przed sobą.

– Tak, proszę pani – odparła cicho Ruth, była to bowiem jej jedyna suknia niedzielna z czarnego jedwabiu, nieco już znoszona i podniszczona.

– Ach, doprawdy! Wobec tego musi wystarczyć – (nadal na wpół niezadowolonym tonem).

– Ubiór, moje panny, to jak wiadomo rzecz bardzo drugorzędna. Najważniejsze jest sprawowanie. Jednakowoż sądzę, panno Hilton, iż powinna pani napisać do swego opiekuna i poprosić, by przysłał pieniądze na drugą suknię. Przepraszam, że wcześniej o tym nie pomyślałam.

– Nie sądzę, ażeby je przysłał, gdybym napisała – odrzekła Ruth cicho. – Złościł się, gdy poprosiłam o szal, kiedy na dworze zrobiło się zimno.

Pani Mason odprawiła ją lekkim odepchnięciem i Ruth powróciła na miejsce obok swej koleżanki, panny Wood.

– Mniejsza z tym, Ruthie; ładniejsza jesteś od nich wszystkich – rzekła wesoła dziewczyna o miłym usposobieniu, która, będąc nieurodziwą, nie uczestniczyła w zazdrosnej rywalizacji.

– Tak! Wiem, że jestem ładna – odparła ze smutkiem Ruth – ale żałuję, że nie mam lepszej sukni, bo ta jest bardzo zniszczona. Mnie samej wstyd z tego powodu, a widzę, że pani Mason wstydzi się jej dwa razy bardziej. Żałuję, że muszę tam iść. W ogóle nie wiedziałam, że należało pomyśleć o sukni – gdybym była wiedziała, nie chciałabym iść.

– Mniejsza z tym, Ruth – odparła Jenny – pani Mason już cię obejrzała, a wkrótce będzie nazbyt zajęta, aby myśleć o tobie i twym stroju.

– Słyszałaś, jak Ruth Hilton mówiła, iż wie, że jest ładna? – szepnęło jedno z dziewcząt do drugiego tak głośno, że Ruth pochwyciła te słowa.

– Nic nie poradzę, że o tym wiem – odparła prosto – wszak wielu ludzi mi o tym mówiło.

Nareszcie przygotowania dobiegły końca i gromada szła rażno przez mróz; owa swoboda miała wpływ tak ożywczy, że Ruth niemal tańczyła, zapomniawszy zupełnie o znoszonej sukni i utyskujących opiekunkach. Ratusz był jeszcze wspanialszy, niż przypuszczała. Po obu stronach schodów namalowane były postacie, które zdawały się widmowe w nikłym oświetleniu, bo widać było same twarze jedynie, spozierające z ciemnych, spłowiałych płócien dziwnym, nieruchomym, wnikliwym spojrzeniem.

Młodym modystkom przykazano, aby ułożyły swe przybory na stołach w hallu i wszystko przygotowały, a wówczas będzie im wolno zajrzeć do sali balowej, w której muzycy stroili już swe instrumenty, a jedna czy dwie sprzątaczkę (dziwny kontrast! w brudnym, luźnym odzieniu, trąkoczące bez ustanku kobiety, wobec imponującego pogłosu sklepionego pokoju) kończyły odkurzać ławy oraz krzesła.

Opuściły pokój, gdy przybyła Ruth wraz z towarzyszkami. W hallu dziewczęta gawędziły wesoło i beztrąsko, teraz natomiast głosy miały ściszone, onieśmiałe starodawną okazałością

przestronnego pomieszczenia. Było tak duże, iż przedmioty w jego przeciwległym kącie jawiły się niewyraźne, jak gdyby przez mgłę oglądane. Dokoła wisały pełnowymiarowe wizerunki znakomitości hrabstwa w najrozmaitszych strojach, od pochodzących z czasów Holbeina^[3] aż po współczesne. Trudno było dostrzec wysokie sklepienie, ponieważ nie pozapalano jeszcze wszystkich lamp; tymczasem poprzez pomalowane z przepychem gotyckie okno w końcu sali padały na podłogę wielobarwne promienie księżyca i nasyceniem drwiły ze starań sztucznego światła, które usiłowało rozjaśnić swe niewielkie otoczenie.

Wysoko w górze pobrzmiwali muzycy, ćwicząc niespokojnie jakieś frazy, których nie byli pewni. Następnie przestali grać i jęli rozmawiać, a ich głosy brzmiały niczym szepty chochlików w tym ciemnym zakątku, gdzie ktoś niepewnie, chwiejnie nosił świece, co przywodziło Ruth na myśl migotliwy, zygzakowaty ruch błędnego ognika.

Wtem pokój zajaśniał pełnią blasku lamp i wygląd jego nie wywierał już na Ruth tak dużego wrażenia, toteż chętniej usłuchała teraz szorstkiego wezwania, które pani Mason wystosowała do swego zbłąkanego stadka, niż wówczas, gdy był on ciemny i tajemniczy. Po chwili miały już wiele pracy, służąc pomocą gromadzącym się damom, których głosy zagłuszyły zupełnie przytłumione dźwięki orkiestry, choć Ruth tak bardzo pragnęła ją usłyszeć. Niemniej, jakkolwiek jedna z przyjemności nie spełniła jej oczekiwań, to kolejna uczyniła to z nawiązką.

„Pod warunkiem” przestrzegania tak wielu drobnych reguł, że Ruth pomyślała, iż pani Mason nigdy nie skończy ich wyliczać, pozwolono dziewczętom podczas tańców stać w bocznych drzwiach i obserwować. A jakże piękny był to widok! Unosząca się w takt skocznej muzyki – raz to daleko, niczym girlandy wróżek, teraz znów blisko, ukazując się jako śliczne panie w ozdobnych toaletach wszelkiej maści – elita hrabstwa tańczyła, nie dbając zbytnio o to, czyje oczy im się przypatrywały i czyje były olśnione. Na zewnątrz wszystko było zmarznięte i pozbawione koloru, i jednolite, nad wszystkim ta sama pokrywa śnieżna. Za to wewnątrz było ciepło i jasno, i barwnie; kwiaty roztaczały w powietrzu swój zapach i okalały głowy, i spoczywały na piersi, jak gdyby był to środek lata. Jaskrawe barwy przemykały przed oczami i znikwały, a po nich zjawiały się kolejne, równie cudne w prędkim ruchu tańca. Dołeczki uśmiechów zdobiły każdą twarz, a podczas każdej przerwy między tańcami pokój wypełniał niewyraźny, cichy szmer radosnych szeptów.

Ruth nie zależało na tym, aby wyodrębnić postacie, które składały się na radosną i olśniewającą całość; wystarczyło jej patrzeć i śnić o szczęśliwej beztrosce życia, w którym taka muzyka i taka obfitość kwiatów, klejnotów, wszelkiej maści elegancji oraz piękna we wszystkich kształtach i kolorach były codziennością. Nie pragnęła dowiedzieć się, kim byli ci ludzie, chociaż większość jej towarzyszek wysłuchałaby litanii nazwisk z wielką rozkoszą.

Prawdę mówiąc, owa wyliczanka raczej ją zaniepokoiła; aby zatem uniknąć wstrząsu związanego ze zbyt nagłym powrotem do pospolitego świata panien Smith i Thomson, wróciła na swe miejsce w hallu. Stała tam, rozmyślając, czy też śniąc. Do rzeczywistości przywrócił ją gwałtownie głos nieopodal. Jedną z tańczących młodych dam spotkało nieszczęście. Jej uszyta z jakiejś delikatnej materii suknia była u dołu ozdobiona bukiecikami kwiatów, a jeden z nich odpadł w tańcu i suknia zaczęła się pruć. By to naprawić, ubłagała partnera, ażeby zaprowadził ją do pokoju, w którym powinny siedzieć szwaczki. Nie było tam nikogo prócz Ruth.

– Czy mam panią opuścić? – zapytał ów pan. – Czy to konieczne, abym wyszedł?

– O, nie! – odparła pani. – Kilka szwów i po kłopotcie. Poza tym, sama nie śmiem wejść do tego pokoju.

Dotychczas przemawiała słodko i uroczo. Teraz jednak zwróciła się do Ruth.

– Pośpiesz się. Nie każ mi czekać godzinę. – A głos jej stał się władczy i zimny.

Była bardzo ładna, miała długie ciemne loki i lśniące czarne oczy. Ruth zauważyła te oczy, spoglądając na nią przelotnie, zanim uklękła, aby zabrać się do pracy. Dostrzegła również, że dżentelmen był młody i elegancki.

– Och, jaka wspaniała galopka! Jakże bym pragnęła ją zatańczyć! Czy ty kiedy skończysz swą robotę? Jakże potwornie długo to trwa; a ja tak strasznie chcę wrócić, nim zacznie się galopka!

Aby okazać swe urocze, dziecięce zniecierpliwienie, jęła wybijać stopami rytm do żywej melodii, którą grała orkiestra. Przez ten nieustanny ruch Ruth nie mogła zacerować rozdarcia,

spojrzała więc w górę, aby zaprotestować. Gdy podniosła głowę, zauważył ją ów stojący nieopodal pan; w oczach jego jawiło się tak wyraźne rozbawienie pretensjonalnymi popisami ślicznej partnerki, że Ruth zaraziła się tym uczuciem i musiała pochylić twarz, aby ukryć uśmiech, który na niej zagościł. On jednak zdążył to dostrzec, toteż uwagę jego przykuła teraz klęcząca postać, odziana w czerń po samą szyję, która pochylając swą szlachetną głowę nad pochłaniającym ją zajęciem. Stanowiła bardzo wyraźny kontrast dla gadatliwej, żwawej, sztucznej dziewczyny, która siedziała i kazała się obsługiwać wyniośle niczym królowa na tronie.

– Och, panie Bellingham! Jest mi wstyd, że pana tak długo zatrzymuję. W głowie mi nie pozostało, że nad niewielkim rozdarciem można tak długo marudzić. Nie dziwota, że pani Mason tak dużo sobie liczy za szycie, skoro jej pracownice są tak powolne.

Miała to być dowcipna uwaga, ale pan Bellingham wyglądał poważnie. Zauważył, że na ów piękny policzek, który był przed nim częściowo odsłonięty, wstępuje szkarłatny rumieniec przykrości. Wziął świecę ze stołu i trzymał ją tak, aby dostarczyć Ruth więcej światła. Nie podniosła wzroku, by mu podziękować, było jej bowiem wstyd, że zauważył wcześniej ów niewielki uśmiech, którym ją zaraził.

– Przepraszam, że to tak długo trwało – rzekła łagodnie po skończonej pracy. – Obawiałam się, że znów się może porwać, jeżeli nie naprawię dokładnie. – Powstała.

– Prędzej wolałabym, ażeby się znów porwała, niżbym miała nie zdążyć na tę cudną galopkę – odparła młoda dama, otrząsając suknię, tak jak ptak otrząsa swe piórka. – Pójdziemy, panie Bellingham? – spojrzała na niego.

Był zaskoczony, że nie podziękowała szwaczce słowem ani gestem. Podniósł kamelię, którą ktoś pozostawił na stole.

– Panno Duncombe, za pani pozwoleniem chciałbym wręczyć ją w pani imieniu tej młodej damie w podziękę za zręczną pomoc.

– Och... naturalnie – odparła.

Ruth przyjęła kwiat w milczeniu, lecz z poważnym, pełnym skromności skinieniem głowy. Odeszli i ponownie została sama. Po chwili powróciły jej towarzyszki.

– Co z panną Duncombe? Czy przyszła tutaj? – zapytały.

– Tylko koronka się jej podarła, więc naprawiłam – odparła cicho Ruth.

– Czy przyszedł z nią pan Bellingham? Mówią, że zamierza się z nią ożenić; był tutaj, Ruth?

– Tak – odrzekła Ruth i na powrót zamilkła.

Pan Bellingham tańczył wesoło i radośnie przez cały wieczór i flirtował z panną Duncombe tyle, ile uważał za stosowne. Lecz często spoglądał w stronę bocznych drzwi, gdzie stały uczennice modystki; raz też rozpoznał wysoką, smukłą postać i gęste kasztanowe włosy dziewczęcia w czerni; a wówczas oczy jego jęły wypatrywać kamelii. I oto była tam, śnieżnobiała, na jej piersi. Toteż tańczył dalej, weselej niż kiedykolwiek.

Ulice rozświetlał posępnie zimny szary świt, kiedy pani Mason ze swą grupą wróciła do domu. Pogaszono lampy, ale okiennice sklepów i domów były nadal pozamykane. Wszelkie dźwięki odbijały się echem niesłyszalnym za dnia. Na progach przycupnęło paru bezdomnych żebraków, którzy, trzęsąc się, spali z głowami opartymi na kolanach bądź spoczywającymi na zimnej, twardej podporze, jaką stanowiła ściana.

Ruth czuła się tak, jak gdyby rozwiął się sen, ona zaś na powrót znalazła się w prawdziwym świecie. Ile czasu upłynie, w najbardziej nawet sprzyjających okolicznościach, nim znów dane jej będzie znaleźć się w ratuszu! albo usłyszeć orkiestrę! lub nawet ujrzeć ponownie tych promiennych, szczęśliwych ludzi – tak pozbawionych jakichkolwiek oznak troski czy żalu, jak gdyby byli istotami innego gatunku. Czy kiedykolwiek zmuszeni byli odmówić sobie zachcianki, a tym bardziej pragnienia? Zarówno dosłownie, jak i w przenośni, ich życie zdawało się kroczyć kwiecistymi ścieżkami przyjemności. Nastął teraz zimny, mroźny środek zimy, a dla niej i dla jej podobnych – dla biednych żebraczek – była to niemalże pora śmierci; lecz dla panny Duncombe oraz jej towarzyszek był to szczęśliwy, wesoły czas, gdy kwiaty nadal kwitły, ogień trzaskał, a wygody i luksusy gromadziły się wokół nich niczym podarki od dobrych wrózek. Czyż miały jakiegokolwiek pojęcie, co kryje w sobie ów wyraz, który biednych napawa taką trwogą? Czymże

była zima w ich mniemaniu? Lecz Ruth roiała sobie, że pan Bellingham wyglądał tak, jak gdyby rozumiał uczucia tych, które okoliczności i stanowisko trzymają z dala od niego. Istotnie, zadrżawszy, pozasuwał okna w swym powozie.

A zatem Ruth go obserwowała.

Jednak nie podejrzewała nawet, że ceni swą kamelię ze względu na związane z nią wrażenia. Zdawało jej się, że to wyłącznie wybitne piękno kwiatu sprawia, iż otacza go tak pieczołowitą troską. Szczegółowo opowiedziała Jenny o tym, w jaki sposób go otrzymała, patrząc jej rażno prosto w oczy i nie rumieniąc się wcale.

– Czyż to nie było uprzejme z jego strony? Nie wyobrażasz sobie, jaki ten jego gest był miły, właśnie wtedy, gdy było mi trochę przykro z powodu jej niewdzięczności.

– Rzeczywiście, to bardzo miłe – odparła Jenny. – Taki piękny kwiat! Szkoda, że nie pachnie choć trochę.

– A mnie się podoba właśnie taki, jakim jest teraz; jest doskonały. Tak nieskalany! – odrzekła Ruth, niemalże tuląc kwiat, gdy wkładała go do wody. – Kim jest pan Bellingham?

– To syn pani Bellingham z Klasztoru, dla której szyliśmy tę szarą atlasową pelisę – oznajmiła Jenny sennie.

– To było zanim się tutaj pojawiłam – odparła Ruth. Nie było odpowiedzi. Jenny spała.

Upłynęło wiele czasu, nim Ruth poszła za jej przykładem. Choć była zima, dziewczyna nadal jeszcze pogrążona była we śnie, gdy światło jasnego poranka padało na jej uśmiechniętą twarz. Jenny nie chciała jej zbudzić i tylko z podziwem obserwowała Ruth; taka była śliczna w swym szczęściu. „Śni o ubiegłej nocy” – pomyślała.

To była prawda; lecz pewna postać pojawiała się w jej wizjach częściej niż inne. W tym nieusprawiedliwionym porannym śnie, który zbyt szybko się urwał, on wręczał jej kwiat za kwiatem. Ubiegłej nocy widziała we śnie swą zmarłą matkę i obudziła się z płaczem. Teraz zaś śniła o panu Bellinghamie i uśmiechała się.

A jednak, czy ten sen nie był bardziej niegodziwy od poprzedniego?

Tego ranka realia życiowe zdawały się ranić jej serce bardziej, niż zazwyczaj. Praca do późnych godzin poprzednich nocy oraz być może również emocje ubiegłego wieczoru sprawiły, że była dziś nieskora do przyjmowania ze spokojem docinków i złośliwości, które niekiedy stawały się udziałem każdej z dziewcząt pani Mason.

Bo pani Mason, najlepsza przecież krawcowa w hrabstwie, była mimo wszystko człowiekiem; i cierpiała na te same dolegliwości, co jej uczennice. Tego ranka gotowa była krytykować wszystko i każdego. Zdawało się, że zbudziła się z postanowieniem, aby doprowadzić do porządku cały świat (a przynajmniej swój świat) oraz wszystko to, co się w nim zawierało, nim zapadnie noc; wobec tego, nadużycia oraz zaniedbania, które od dawna tolerowała bądź na które przymykała oko, zostały dzisiaj wyciągnięte na światło dzienne i ostro zgromione. W takich razach panią Mason zadowolić mogła jedynie doskonałość.

Miała też własne pojęcie o sprawiedliwości; lecz nie było to pojęcie wzniośle piękne ani prawdziwe; przypominało raczej pojęcie o równych prawach sklepikarza bądź kupca herbacianego. Ową odrobinę przesadnego pobłażania z ubiegłej nocy należało dzisiaj zrównoważyć szczodłą dawką przesadnej surowości; i taki sposób naprawy wcześniejszych błędów w pełni zadowalał jej sumienie.

Ruth nie miała ochoty ani sił na dodatkowy wysiłek; by zadowolić przełożoną, musiałyby wyżyć wszystkie siły. Zdawało się, że pracownię wypełniają ostre krzyki.

– Panno Hilton! Gdzie pani odłożyła niebieski perski jedwab? Za każdym razem, gdy coś się zapodzieje, wiem, że poprzedniego wieczoru sprzątanie przypadło pannie Hilton!

– Ubiegłej nocy panna Hilton miała wychodne, więc zaproponowałam, że to ja za nią posprzątam pracownię. Zaraz znajdę materiał, proszę pani – odparła jedna z panien.

– O, już ja dobrze znam jej zwyczaj zrzucania obowiązków na każdego, kogo się da nakłonić do ich przejęcia – odrzekła pani Mason.

Ruth poczerwieniała, a w jej oczach pojawiły się łzy; lecz tak była świadoma fałszywości owego oskarżenia, że zganiła się za poruszenie, jakie w niej ono wywołało, i podniósłszy głowę,

rozejrzała się z dumą, jak gdyby pragnęła wyrzucić wrażenie na towarzyszkach.

– Gdzie jest spódnica od sukni lady Farnham? Falbany jeszcze nie przyszyte! Jestem zaskoczona. Czy można wiedzieć, komu powierzono wczoraj tę robotę? – zapytała pani Mason, wpatrując się w Ruth.

– To ja miałam zrobić, ale popełniłam błąd i musiałam ją odpuścić. Bardzo serdecznie przepraszam.

– Naturalnie, mogłam się tego domyślić. Wszak nietrudno zgadnąć, w czyje to ręce wpadła robota, gdy się odkryje, że ją zarzucono bądź zepsuto.

Takie oto przemowy przypadły Ruth w udziale akurat tego dnia, kiedy nie była zdolna ich znieść ze spokojem.

Po południu pani Mason musiała z konieczności udać się w kilkumilową drogę na wieś. Zaleceniom i rozkazom, i wskazówkom, i zakazom, które pozostawiła, nie było końca; nareszcie jednak wyszła, a Ruth, w poczuciu ulgi spowodowanym jej nieobecnością, złożyła ramiona na stole i ukrywając w nich głowę, jęła głośno płakać, nie powstrzymując bezsilnych szlochów.

„Proszę nie płakać, panno Hilton”... „Ruthie, nie zwracaj uwagi na tę starą smoczykę”... „Jakżeż ty to ścierpisz przez pięć lat, jeżeli nie okrzepniesz na tyle, by nic a nic nie dbać o to, co ona mówi?”... Oto niektóre z słów pociechy i współczucia, jakich udzieliły młode robotnice.

Jenny, która pojmowała przyczyny rozżalenia, i wiedziała, jak mu zaradzić, rzekła:

– Fanny Barton, a może Ruth poszłaby za ciebie po sprawunki. Świeże powietrze dobrze jej zrobi; a ty przecież nie lubisz zimnego wschodniego wiatru, Ruth natomiast mówi, że lubi mróz i śnieg, i każdą pogodę, co o dreszcze przyprawia.

Fanny Barton była wielką, ospałą z wyglądu dziewczyną, która kuliła się właśnie przy ogniu. Nikt bardziej niż ona nie pragnął zrezygnować ze spaceru w owo ponure popołudnie, kiedy to po ulicy hulał żywo wschodni wiatr, wysuszając nawet śnieg. Osoby, których obowiązki nie zmuszały do opuszczenia swych ciepłych pieleszy, nie odczuwały żadnej pokusy, by wyjść na dwór; wszak z nastaniem zmierzchu przyszła zwyczajowa pora podwieczorku dla skromnych mieszkańców tej części miasta, którą Ruth przemierzyć musiała podczas wyprawy po sprawunki. Gdy dotarła do wzniesienia tuż ponad rzeką, gdzie ulica zbiegała nagle gwałtownie w dół do mostu, ujrzała rozciągającą się dalej równinę całkowicie pokrytą śniegiem, przez co mroczne sklepienie zaciągniętego chmurami nieba zdawało się być jeszcze ciemniejszym; jak gdyby noc zimowa nigdy na dobre nie przeminęła, lecz tylko tkwiła w zawieszeniu na krawędzi świata przez cały krótki, posępny dzień. Przy moście poniżej (tam, gdzie była niewielka półka, służąca za przystań dla wszelkich łódek, które mogły pływać po tak płytkich wodach strumienia) bawiła się gromadka dzieci, nie zważając na mróz; jedno z nich miało dużą balię i posiłkując się złamanym wiosłem, sterowało i brnęło strumykiem tu i tam, wzbudzając podziw w towarzyszach, którzy stali, patrząc poważnie, niezachwiani w uważnej obserwacji bohatera, mimo że twarze posiniały im z zimna, dłonie zaś wciskali głęboko do kieszeni z nikłą nadzieją na znalezienie tam ciepła. Być może obawiali się, że gdyby, miast się kulić, rozprostowali członki i zaczęli się ruszać, okrutny wiatr odnalazłby i przeniknął w głąb każdej szczeliny w ich obdartych ubraniach. Przycupnęli zatem w bezruchu; oczy mieli skupione na młodziutkim żeglarzu. W końcu jeden z małych mężczyzn, zazdrosny o reputację, którą dzięki śmiałości zdobywał właśnie jego kolega, wykrzyknął:

– Rzucam ci wyzwanie, Tom! Nie odważysz się wypłynąć hen za czarną linię w wodzie, na prawdziwą rzekę.

Rzecz jasna nie wolno było zignorować takiego wyzwania, toteż Tom wiosłował w kierunku ciemnej liny, za którą rzeka mknęła gładkim, spokojnym nurtem. Ruth (sama jeszcze w wieku dziecięcym) stała u szczytu stoku, obserwując śmiałka, lecz była równie nieświadoma zagrożenia, jak grupka dzieci w dole. Widząc powodzenie kolegi, dzieci przerwały spokojną powagę towarzyszącą obserwacji i zgotowały burzliwy aplauz, klaszcząc w dłonie i tupiąc niecierpliwymi nóżkami, i wykrzykując: „Brawo, Tom; spisał żeś się nadzwyczajnie!”.

Przez chwilę Tom stał z dziecięcą godnością, spoglądając na wielbicieli; wtem balia się zatoczyła, on zaś stracił równowagę i wypadł; i łódź, i pasażera niósł teraz pomału silny prąd pełnej rzeki, która niezmiennie posuwała się naprzód do morza.

Dzieci krzyczały głośno z przerażenia; Ruth tymczasem poleciała w dół nad zatoczkę i zdążyła już puścić się naprzód jej płytkimi wodami, nim poczuła, jak bezużyteczny był ów czyn, i że sens miałyby raczej poszukiwanie skutecznej pomocy. Ledwie uderzyła ją ta myśl, gdy już głośniejsz i bardziej przenikliwie od ponurego ryku strumienia, który bezustannie i nieugięcie płynął naprzód, zabrzmiał plusk konia galopującego przez wodę, w której stała. Obok niej niczym błyskawica – w dół strumieniem, płynąc z prądem – przemknął nachylający się jeździec – uchwyt wyciągniętego ramienia – młode życie ocalone, a dziecko przywrócone tym, którzy je kochają! Podczas całego tego zajścia Ruth stała oszołomiona i niezdrowa z przyływu emocji; a kiedy jeździec zawrócił płynącego wierzchowca i pomału przebrnął przez rzekę do pomostu, rozpoznała w nim pana Bellinghama, poznanego ubiegłej nocy. Wiózł nieprzytomne dziecko na koniu; leżące w poprzek ciało wisiało jak martwe, toteż Ruth zdało się, że nie żyje, a oczy jej nagle oślepiły łzy. Przeszła w bród do plaży, do miejsca, w kierunku którego pan Bellingham kierował swego konia.

– Czy on nie żyje? – zapytała, wyciągając ramiona, by odebrać malca; instynktownie bowiem czuła, że pozycja, w jakiej zawisł, nie była wskazana dla powracającej świadomości, jeżeli, rzecz jasna, miała ona kiedykolwiek powrócić.

– Nie sędzę – odparł pan Bellingham, podając jej dziecko, po czym zeskoczył z konia. – Czy to pani brat? Czy pani wie, kto to taki?

– Proszę spojrzeć! – rzekła Ruth, usiadłszy na ziemi, aby dać biednemu chłopcu lepszą podporę. – Ręka mu drży! Żyje! Och, proszę pana, on żyje! Czyj to chłopak? (Zwróciła się do ludzi, którzy schodzili się pośpiesznie na wieść o wypadku).

– To chłopak starej Nelly Brownson – oznajmili. – Jej wnuk.

– Musimy natychmiast zabrać go do domu – oświadczyła. – Czy jego dom daleko?

– Nie, nie; zupełnie blisko.

– Ktoś z państwa musi się w tej chwili udać po doktora – orzekł władczo pan Bellingham – i natychmiast sprowadzić go do domu starowinki. Nie może go pani już dłużej trzymać – ciągnął, zwracając się do Ruth, i wtedy po raz pierwszy przypomniał sobie jej twarz – pani suknia już jest przemoczona. Dalej! Ejże, ty tam, weź dziecko, słyszysz!

Lecz dłoń dziecka nerwowo ścisnęła suknię Ruth, a ona nie chciała go niepokoić. Bardzo delikatnie zaniósła ciężar w kierunku nędznej chatynki, na którą wskazali sąsiedzi; stara chroma kobieta wychodziła właśnie drzwiami, trzęsąc się na całym ciele z poruszenia.

– Serdeńko! – rzekła – ze wszystkich ostał się już tylko on, a teraz odszedł przede mną.

– Nonsens – odparł pan Bellingham – chłopiec żyje i prawdopodobnie przeżyje.

Ale staruszka była bezsilna i bez nadziei, i uparcie wierzyła, że wnuk jej nie żyje; i rzeczywiście, nie żyłby, gdyby nie Ruth oraz jeden czy dwaj co bardziej rozsądni sąsiedzi, którzy, słuchając wskazówek pana Bellinghama, krzatali się i czynili wszystko to, co konieczne, aż chłopcu wróciła przytomność.

– Jakże piekielnie dużo czasu potrzeba tym ludziom na sprowadzenie doktora – rzekł pan Bellingham do Ruth, bo zawiązało się między nimi pewnego rodzaju nieme porozumienie, wynikłe z tej okoliczności, że oto byli jedynymi świadkami wypadku (poza bezradnymi dziećmi) oraz jedynymi osobami, którym pewien stopień ogłady i obycia umożliwił zrozumienie wzajemnych myśli, a nawet wzajemnych słów. – Tak wiele trzeba, aby wbić tym ludziom do tych ich głupich głów jakąś myśl. Stali tylko, gapiąc się i pytając, którego doktora mają sprowadzić, jak gdyby miało znaczenie, czy zawezwą Browna czy Smitha, o ile tylko jest to człek rozumny. Zresztą nie mogę już tutaj zmarnować więcej czasu; jechałem galopem, gdy dostrzegłem chłopaka; a skoro już się serdecznie wyplakał i otworzył oczy, nie ma powodu, bym dłużej pozostawał w tej dusznej ciasnocie. Czy mógłbym panią o coś poprosić? Czy byłaby pani tak uprzejma i dopilnowała, ażeby temu małemu jegomościowi niczego nie brakowało? Jeżeli pani pozwoli, zostawię jej moją sakiewkę – mówił dalej, wręczając ją Ruth, a ona była ogromnie rada, że powierzono jej zadanie wystarania się o jedną czy dwie rzeczy, które, miała tego świadomość, były całkowicie niezbędne. Ale zauważyła, że oto spoza oczek sakiewki wyziera złoto; nie chciała sprawować pieczy nad takim bogactwem.

– Naprawdę nie potrzebuję aż tyle, proszę pana. Jeden suweren^[4] zupełnie wystarczy – to aż

za dużo. Czy mogę go teraz wyjąć i oddać panu to, co zostanie, kiedy się znów zobaczymy? Albo może wolałby pan, abym mu tę resztę wysłała?

– Chyba lepiej będzie, jeżeli na razie zatrzyma pani całość. O! Cóż to za okropnie brudne miejsce; nie zniosę kolejnych dwóch minut tutaj. Nie wolno pani tu zostać; zatruje panią to ohydne powietrze. Proszę podejść do drzwi. Cóż, jeżeli pani sądzi, że jeden suweren wystarczy, to zabiorę sakiewkę; proszę jednak pamiętać, że jeśli uzna pani, iż potrzeba im więcej pieniędzy, zwraca się pani z tym do mnie.

Stali przy drzwiach, gdzie ktoś przytrzymał wierzchowca pana Bellinghama. Ruth patrzyła na mężczyznę poważnym wzrokiem (zapomniałszy zupełnie o pani Mason i jej sprawunkach z uwagi na wydarzenia tego popołudnia), wszelkie jej myśli kierowały się ku zrozumieniu i wypełnieniu jego życzeń odnośnie dobra chłopca; i aż do teraz była to najważniejsza rzecz, jaka zaprzętała jego myśli. W tej jednak chwili uderzające piękno Ruth ponownie wywarło na nim przemożne wrażenie. Nieomal zaczął mówić bez ładu i składu, tak nagły wzbudziła w nim podziw. Ubiegłej nocy nie dostrzegł jej oczu; a teraz patrzyły niewinnie wprost na niego, poważne, głębokie i szczerze. Lecz wówczas instynktownie wyczytała zmianę w wyrazie jego twarzy i opuściła jak woal swe duże, białe powieki; on tymczasem uznał, że jej twarz stała się jeszcze piękniejsza.

Nieodparty impuls nakazał mu ustalić sprawę w taki sposób, aby mógł niebawem ponownie się z nią spotkać.

– Nie! – rzekł. – Zdaje się, że lepiej będzie, jeżeli to pani zatrzyma sakiewkę. Chłopak może potrzebować wielu rzeczy, których kosztu w tej chwili nie podobna przewidzieć. Jeśli mnie pamięć nie myli, są tam trzy suwereny i trochę drobnych monet; być może za kilka dni zobaczymy się znowu, a wówczas, jeżeli w sakiewce zostaną jeszcze jakieś pieniądze, będzie mi ją pani mogła zwrócić.

– O, dobrze, proszę pana – odparła Ruth, zdając sobie sprawę z ogromu rzeczy, o które być może zmuszona będzie zabiegać, a przy tym obawiając się raczej odpowiedzialności wynikającej z posiadania tak dużej sumy.

– Czy istnieje jakakolwiek szansa na to, abym spotkał panią ponownie w tym domu? – zapytał.

– Mam nadzieję przychodzić tutaj, kiedy tylko będę mogła, proszę pana; lecz musi to być wówczas, kiedy przypada moja kolej na załatwianie sprawunków w mieście, a nie wiem, kiedy będzie moja kolej.

– Och – nie pojął w pełni sensu tej odpowiedzi – chciałbym się dowiedzieć, jak według pani miewa się ów chłopak, jeżeli nie sprawi to pani wiele kłopotu; czy zażywa pani kiedy przechadzek?

– Nie dla samej przyjemności spacerowania, proszę pana.

– Cóż – oparł – podejrzewam, że chadza pani do kościoła? Ufam, że pani Mason nie każe pani pracować w niedziele?

– Co to, to nie, proszę pana. Do kościoła chadzam regularnie.

– Wobec tego, czy byłaby pani tak łaskawa i powiedziała, do którego kościoła pani chadza, bym mógł się tam z nią spotkać w następną niedzielę po południu?

– Do Św. Mikołaja, proszę pana. Wywiem się i powiem panu, jak się chłopiec miewa i o którego doktora się wystarano; i będę zapisywała wszelkie poczynione wydatki.

– Bardzo dobrze, dziękuję. Proszę pamiętać, że pokładam w pani zaufanie.

Miał na myśli wiarę w jej obietnicę spotkania z nim; ale Ruth pomyślała, iż mówi o odpowiedzialności czynienia tego, co w jej mocy, dla dobra dziecka. Zamierzał odejść, gdy uderzyła go nowa myśl, więc raz jeszcze wszedł do chatki i zwrócił się do Ruth z uśmiechem na twarzy:

– Nieco to dziwne, ale nie ma nikogo, kto mógłby nas sobie przedstawić; nazywam się Bellingham – a pani to...?

– Ruth Hilton, proszę pana – odparła cicho, ponieważ teraz, gdy rozmowa nie dotyczyła już chłopca, poczuła nagle nieśmiałość i skrępowanie.

Wyciągnął do niej dłoń, a w chwili, gdy ona podała mu swoją, sędziwa babka podeszła

chwiejnym krokiem, aby o coś zapytać. Rozdrażniło go to, że mu tak przerwano i ponownie żywo zdał sobie sprawę z otaczającej go duchoty i nędzy, i brudu.

– Dobra kobieto – zwrócił się do Nelly Brownson – czy nie moglibyście utrzymywać domu w nieco lepszym ładzie i porządku? On bardziej się nadaje dla świń aniżeli ludzi. Powietrze w tym pokoju jest całkiem wstrętne, a do tego haniebnym doprawdy panuje tu brud.

Dosiadł już swego wierzchowca i skłoniwszy się Ruth, odjechał.

Wówczas stara kobieta dała upust swemu oburzeniu.

– A ktoś ty taki, że nie wiesz, iż nie godzi się wchodzić do domu biednej kobiety po to tylko, żeby go znieważać?... dla świń się nadaje, zaiste! Jak też zwą tego jegomościa?

– To pan Bellingham – odparła Ruth, wstrząśnięta jawną niewdzięcznością staruszki. – To właśnie on wjechał do wody, aby ratować waszego wnuka. Utonąłby, gdyby nie pan Bellingham. Raz zdało mi się, że prąd poniesie ich obu, taki był silny.

– Rzeka nie jest wcale taka głęboka – odparła kobieta, pragnąc możliwie jak najbardziej umniejszyć zobowiązanie wobec człowieka, który ją obraził. – Ktoś inny by go ocalił, gdyby zabrakło w pobliżu tego dorodnego młodego fircyka. Jest sierotą, a mówią, że Bóg czuwa nad sierotami. Wolalabym, żeby to kto inny go wyłowił niż ten, co to wchodzi do domu biedaka tylko po to, coby go znieważać.

– Nie wszedł tu tylko po to, ażeby go znieważać – odrzekła Ruth łagodnie. – Przyszedł z małym Tomem; powiedział tylko, że mogłoby tutaj być nieco czystiej.

– Co to! Chyba się nie rozbeczysz, co? Poczekaj, aż będziesz tak stara, jak ja, aż cię pokręci od łamania w kościach, a będziesz musiała doglądać takiego chłopaka, jak Tom, co to jest zawsze albo w błocie, albo we wodzie; a muszę wysupłać na strawę dla niego i dla siebie (Bóg wie, że często nam brakuje, a staram się jak mogę najlepiej) i wodę wnosić tym stromym zboczem.

Przerwał jej kaszel; Ruth tymczasem rozsądnie zmieniła temat i jęła wypytować staruszkę o to, czego potrzeba wnukowi, w których to rozważaniach wkrótce dołączył do nich medyk.

Ustaliwszy jedną czy dwie sprawy z sąsiadem, którego poprosiła, aby wystarał się o to, co najniezbędniejsze, i usłyszawszy od doktora, że za dzień lub dwa wszystko będzie dobrze, Ruth jęła się trząść na myśl o tym, ile czasu spędziła u Nelly Brownson i z niejakim przestachem przypomniała sobie o surowości, z jaką pani Mason nadzorowała wyjścia i powroty swych uczennic w dni powszednie. Ruszyła pośpiesznie do sklepów i usiłowała skupić błądzące myśli na zaletach różu czy błękitu w zestawieniu z kolorem liliowym, zauważyła, iż zgubiła wzory, i wróciła do domu z nieodpowiednio dobranymi rzeczami, targana rozpaczą nad własną głupotą.

Prawdę rzekłszy, popołudniowa przygoda pochłonęła jej myśli; tyle tylko, że postać Toma (który był już bezpieczny i prawdopodobnie miał wydobrzeć) odsuwała się na dalszy plan, sylwetka pana Bellinghama zaś stawała się wyraźniejsza niż przedtem. Jego pełen animuszu, spontaniczny wjazd galopem do wody dla ratowania dziecka urósł w oczach Ruth do rangi najbardziej heroicznego aktu odwagi; zainteresowanie chłopcem było dla niej wyrazem pełnej czułości i troski życzliwości, a beztroska wspaniałomyślność, z jaką wręczył pieniądze – przejawem szlachetnej hojności; zapomniawszy bowiem, że hojność zakłada pewną dozę wyrzeczeń. Zadowolenie budziła w niej również moc udzielania pomocy i pociechy, którą jej powierzono i jęła już snuć marzenia Alaszara^[5] o roztropnych wydatkach, kiedy to konieczność otwarcia drzwi do domu pani Mason przyzwalała ją do rzeczywistości i teraźniejszości i wzbudziła lęk przed czekającą ją za chwilę burą.

Tym razem jednak ją oszczędzono; lecz przyczyna tego była taka, iż Ruth prędzej byłaby wdzięczna za jakąś obwinę miast bezkarność. Pod jej nieobecność nasiliły się nagle trudności Jenny z oddychaniem, toteż dziewczęta położyły ją do łóżka na własną odpowiedzialność i stały wokół niej skonsternowane, kiedy powrót pani Mason do domu (zaledwie na kilka minut przed przybyciem Ruth) zagonił je z powrotem do pracowni.

Teraz zaś wszędzie panował pośpiech i zamieszanie; należało posłać po doktora; udzielić wskazówek odnośnie sukni staroście, która była zbyt niedomagająca, aby je pojąć; bynajmniej nie oszczędną ręką porozdzielać nagany w grupie przerażonych dziewcząt, nie szczędząc nawet samej chorej biedaczki za jej niewczesną chorobę. W środku całego tego zamieszania Ruth zakradła się cicho na swoje miejsce z sercem ciężkim i zdjętym żalem z powodu niedomagania łagodnej

starościny. Sama z radością pielęgnowałaby Jenny, i często pragnęła to czynić, lecz była potrzebna gdzie indziej. Niewprawne w precyzyjnej, delikatnej robocie ręce nadałyby się niezgorzej do pielęgnacji chorej, nim z domu przyjedzie jej matka. Tymczasem w pracowni trzeba było wyjątkowej pilności; i Ruth nie miała okazji udać się w odwiedziny do małego Toma ani urzeczywistnić powziętego przed sobą zamiaru zadbania o wygodę chłopca oraz jego babki. Żalowała pochopnej obietnicy złożonej panu Bellinghamowi, że zatroszczy się o dobro malca; wszystko, czego mogła dokonać, czyniła za pośrednictwem służącej pani Mason, przez którą zasięgała wiadomości i posyłała niezbędną pomoc.

Choroba Jenny była wiodącym tematem w domu. Rzecz jasna Ruth opowiedziała o swej przygodzie; lecz kiedy doszła do przełomowego momentu, w którym chłopiec wpada do rzeki, świeższe i żywsze zainteresowanie wzbudziły pewne dostarczone właśnie wieści o Jenny i Ruth zamilkła, niemal wyrzucając sobie, że zajmuje się czymkolwiek innym prócz rozstrzygających się właśnie pod tym dachem kwestii życia i śmierci.

Wówczas zauważono krzątającą się wokół cicho bladą kobietę o łagodnej powierzchowności; szeptano, że oto matka przyjechała zaopiekować się swym dzieckiem. Wszyscy ją lubili, wyglądała tak miło i sprawiała tak niewiele kłopotu, i zdawała się tak cierpliwa i tak wdzięczna za wszelkie pytania o córkę, której choroba, jak sądzono, miała prawdopodobnie być długa i męcząca, jakkolwiek dotkliwość jej złagodniała. Wszystkich zaprzętały uczucia i myśli związane z Jenny, kiedy nadeszła niedziela. Pani Mason udała się ze zwyczajową wizytą do swego ojca, nieco demonstracyjnie przeprosiwszy panią Wood za to, że opuszcza ją i jej córkę; uczennice rozeszły się do rozmaitych przyjaciół, z którymi zwykły spędzać ten dzień; Ruth natomiast udała się do Św. Mikołaja z sercem pełnym żalu, przygnębiona z powodu Jenny, wyrzucając sobie, że tak pochopnie podjęła się zadania, którego nie potrafiła wypełnić.

Gdy wyszła z kościoła, dołączył do niej pan Bellingham. Z jednej strony miała nadzieję, że być może zapomniał o umówionym spotkaniu, z drugiej jednak pragnęła pozbyć się obowiązku. Poznała odgłos jego kroków za plecami, a toczące spór uczucia przyprawiły jej serce o mocne bicie i zapragnęła uciec.

– Panna Hilton, jak sądzę – rzekł, doganiając ją i pochylając się do przodu, aby ujrzeć jej pąsową jak róża twarz. – Jakże się miewa nasz mały żeglarz? Ufam, że wszystkie dolegliwości owego dnia minęły.

– Zdaje się, że ma się już zupełnie dobrze. Bardzo mi przykro, lecz nie miałam możliwości go odwiedzić. Ogromnie przepraszam – nic nie mogłam na to poradzić. Ale załatwiłam jedną czy dwie sprawy za pośrednictwem kogoś innego. Zapisałam wszystko na tym oto skrawku papieru; a tutaj, proszę, jest pańska sakiewka, ponieważ obawiam się, że nic więcej uczynić dla chłopca nie mogę. Mamy w domu chorą, przez co jesteśmy bardzo zajęte.

Ostatnimi czasy Ruth tak bardzo przywykła do ponoszenia winy, iż niemal oczekiwała teraz jakiejś wymówki czy nagany za to, że nie wywiązała się należycie z obietnicy. Nie podejrzewała, że podczas chwili milczenia, która nastąpiła po jej przemowie, pan Bellingham był o wiele bardziej pochłonięty próbami wymyślenia pretekstu do kolejnego spotkania, aniżeli niezadowolony, że nie przyniosła bardziej szczegółowych wieści odnośnie do chłopca, którym przestał się zupełnie interesować.

Po chwili milczenia powtórzyła:

– Bardzo mi przykro, że tak niewiele uczyniłam, proszę pana.

– Och, wszak pewien jestem, że uczyniła pani wszystko, co w jej mocy. Bezmyślnością z mej strony było przysparzać pani dodatkowych obowiązków.

„Jest niezadowolony z mego powodu – pomyślała – bo podejrzewa, że zaniedbałam chłopca, dla którego ocalenia naraził własne życie. Gdybym mu powiedziała o wszystkim, pojąłby, że więcej uczynić nie mogłam; lecz nie mogę mu opowiedzieć o smutkach i zmartwieniach, które zaprzętały mój czas”.

– A jednak mam ochotę zlecić pani kolejne niewielkie zadanie, jeżeli nie zajmie to pani zbyt wiele czasu, ani nie nadużyje paninej uprzejmości – rzekł, bo właśnie przyszedł mu do głowy doskonały pomysł. – Pani Mason mieszka w Heneage Place, nieprawdaż? Mieszkali tam

przodkowie mej matki; i raz, gdy odnawiano dom, zabrała mnie tam, by mi owo stare miejsce pokazać. Na boazerii nad jednym z kominków był stary obraz myśliwski; postacie na nim namalowane to moi przodkowie. Częstokroć myślałem, że chciałbym go kupić, jeżeli nadal tam jest. Czy mogłaby pani ustalić to dla mnie i powiadomić mnie w następną niedzielę?

– O, naturalnie, proszę pana – odparła Ruth rada, że było to zlecenie, którego wypełnienie leżało całkowicie w jej mocy, pragnąc przy tym i zadośćuczynić mu za poprzednie pozorne zaniedbanie. – Zajmę się tym natychmiast po powrocie do domu i poproszę panią Mason, aby napisała do pana i dała mu znać.

– Dziękuję – odrzekł, na wpół tylko zadowolony. – Myślę, że może jednak lepiej będzie nie kłopotać tym pani Mason; widzi pani, w ten sposób bym się ujawnił, tymczasem ja nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji w kwestii zakupu tego obrazu; jeżeli mogłaby pani ustalić, czy malowidło nadal tam jest, i mi powiedzieć, miałbym trochę czasu na zastanowienie, a później mógłbym się osobiście zwrócić do pani Mason.

– Bardzo dobrze, proszę pana; zajmę się tym. – I tak się rozstali.

Zanim nadeszła niedziela, pani Wood zabrała córkę do dalekiego domu, aby w zaciszu tego miejsca poratować jej zdrowie. Ruth obserwowała z okna na górze, jak odjeżdżają ulicą, a westchnąwszy głęboko i przeciągle, powróciła do pracowni, z której odszedł głos udzielający ostrzeżeń i łagodnych mądrości.

ROZDZIAŁ III

Niedziela u pani Mason

W następną niedzielę pan Bellingham uczestniczył w popołudniowym nabożeństwie w kościele św. Mikołaja. Ruth zaprzętała jego myśli w o wiele większym stopniu aniżeli on jej, jakkolwiek jego pojawienie się na arenie życia dziewczyny było dla niej wydarzeniem istotniejszym niż na odwrót. Był zaskoczony, że wywarła na nim takie wrażenie, chociaż na ogół nie analizował natury swych uczuć, a po prostu czerpał z nich radość, jaką młodość znajduje w doświadczaniu nowych i silnych wzruszeń.

W porównaniu z Ruth był stary, chociaż jako człowiek – młody; miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Fakt, że był jedynym dzieckiem, stał się, co się często zdarza w podobnych przypadkach, powodem niejako nierównomiernego rozwoju tych cech charakteru, które zazwyczaj kształtują się w ciągu szeregu przeżytych lat.

Nierówna dyscyplina, jakiej podlegają wyłącznie jedynacy; skrepowanie wynikające z nadopiekuńczości; nierozważna pobłażliwość wynikająca z miłości skupionej na jednym tylko obiekcie – wszystko to w jego wychowaniu urosło jeszcze dodatkowo prawdopodobnie dlatego, że matka jego (jedyne żyjący rodzic) była w podobnym jak on położeniu.

Miał już w posiadaniu stosunkowo niewielki majątek, który odziedziczył po ojcu. Posiadłość, w której mieszkała matka, była jej własnością; jej dochód natomiast zapewniał środki do dogadzania synowi bądź sprawowania nad nim kontroli, kiedy już dorósł do własnej posiadłości, podług tego, co podpowiadała jej kapryśna natura oraz umiłowanie władzy.

Gdyby był w swym postępowaniu wobec matki obłudny, gdyby raczył dogodzić jej choć troszeczkę, namiętne miłość do niego kazałaby jej odrzeć się ze wszystkiego, co posiada, aby przydać mu godności lub szczęścia. A jednak, chociaż darzył ją gorącym uczuciem, niebaczenie na uczucia innych, które mu wpoila (nie tyle poprzez nakaz, co poprzez przykład), nieustannie skłaniało go do czynienia tego, co ona akurat uważała za moralny afront. Drwił z duchownego, którego ona szczególnie poważała, i to nawet prosto w twarz; całymi miesiącami odmawiał składania wizyt w jej szkołach; a gdy nareszcie znużony namowami udawał się tam, mścił się, zadając dzieciom (poważnym tonem) najbardziej niedorzeczne pytania, jakie tylko zdołał wymyślić.

Wszystkie te chłopięce sztuczki drażniły ją i irytowały o wiele bardziej, aniżeli dochodzące jej uszu doniesienia o poważniejszych nieprawych czynach w szkole czy w mieście. O tych poważnych występkach nie mówiła nigdy; o mniejszych uchybieniach nieledwie mówić nie przestawała.

A jednak potrafiła niekiedy wyrzucić nań przemożny wpływ i nic nie sprawiało jej większej rozkoszy, niż czynienie tego. Posłuszeństwo jego woli wobec swojej nagradzała sownie; wielkim szczęściem napawało ją bowiem wymuszanie na nim uległości, mającej źródło czy to w jego obojętności, czy też uczuciach – uległości, której nigdy nie wymuszała siłą perswazji ani odwołując się do zasad – uległości, której często odmawiał wyłącznie dla podkreślenia swej niezależności w obliczu jej kontroli.

Pragnęła, aby poślubił pannę Duncombe. On nie dbał o to wcale lub prawie wcale – miał jeszcze dziesięć lat na myślenie o ożenku; mitrężył zatem kolejne miesiące życia – flirtując niekiedy z chętną panną Duncombe, niekiedy dręcząc matkę, niekiedy zaś sprawiając jej radość, a wszystko to czynił zawsze wyłącznie dla własnej przyjemności – wówczas po raz pierwszy ujrzał Ruth Hilton i nowe, namiętne, serdeczne uczucie przeszło całe jego jestestwo. Nie wiedział,

dlaczego zafascynowała go tak bardzo. Była bardzo piękna, ale widywał już inne, dorównujące jej pięknem, które dodatkowo znały pewne sztuczki służące pogłębieniu wrażenia, jakie pragnęły wyrzeźbić poprzez swój urok.

Być może coś urzekającego kryło się w połączeniu wdzięku i urody kobiecej z naiwnością, prostotą i niewinnością inteligentnego dziecka. Był czar w nieśmiałości, która nakazywała jej unikać i wystrzegać się w znajomości wszelkich hołdów podziwu. Wyborną rozkosz stanowiłoby wabienie i poskramianie jej płochliwej natury, zupełnie jak wówczas, kiedy wabiło się i poskramiało lękliwe sarenki w parku matki.

Nie zamierzał jej przestraszyć żadnym nazbyt śmiałym wyrazem podziwu ani pochopnym, namiętym słowem; a z czasem z pewnością udałoby się sprawić, że dojrzy w nim przyjaciela, a może nawet kogoś bliższego i droższego.

Zgodnie z tym postanowieniem oparł się silnej pokusie, aby odprowadzić ją po kościele pod sam dom. Wysłuchał tylko wiadomości odnośnie malowidła, podziękował, wyrzekł parę słów o pogodzie, skłonił się i odszedł. Ruth sądziła, że już go więcej nie zobaczy; i pomimo różnorodnych wyrzutów, jakie sobie czyniła z powodu własnej głupoty, nic nie mogła poradzić na to, że czuła, jak gdyby cień jakiś rozpostarł się nad jej istnieniem na kilka następnych dni.

Pani Mason była wdową i usiłowała wiązać koniec z końcem dla dobra sześciorga czy siedmiorga dzieci, które były zależne od jej zabiegów; toteż zaciskanie pasa, które obrała jako sposób na prowadzenie spraw domowych, było niepozabawione sensu i wielce usprawiedliwione.

W niedzielę zwykła dochodzić do wniosku, że wszystkie jej uczennice posiadają przyjaciół, którzy byliby radzi zaprosić je na obiad i gościć przez resztę dnia; ona tymczasem wraz z dziećmi, które nie były w szkole, spędzała ten dzień w domu ojca kilka mil za miastem. Wobec tego w niedzielę nie gotowano obiadów dla młodych robotnic; nie rozpalano ognia na kominku w żadnym z pokoi, w których wolno im było przebywać. Tego ranka śniadały w prywatnym saloniku pani Mason, po czym pokój na cały dzień był dla nich zamknięty, zgodnie z pewnym znanym, acz niewypowiedzianym zakazem.

Co działo się z dziewczętami takimi jak Ruth, które nie miały domu ani przyjaciół w owym dużym, ludnym, niegościnnym mieście? Dotąd zlecała służącej, która w soboty chadzała na rynek po sprawunki dla rodziny, aby kupowała dla niej słodką bułkę albo suchar, następnie spożywała postny obiad w opuszczonej pracowni, siedząc w sukni spacerowej dla ochrony przed zimnem, które ją przenikało pomimo szala i kapelusza. Następnie siadywała przy oknie, wpatrując się w posępny krajobraz, aż oczy zachodziły jej łzami; toteż częściowo po to, ażeby otrząsnąć się z myśli oraz wspomnień, którym folgowanie w jej odczuciu nie przynosiło niczego dobrego, po części zaś po to, aby móc w nadchodzącym tygodniu rozmyślać o czym innym aniżeli tylko o niezmiennym widoku pokoju, sięgała po swą Biblię i siadywała w wykuszu okiennym na szerokim podeście, który górował nad ulicą od frontu domu. Stamtąd widziała nieregularną okazałość tego miejsca; dostrzegała szarą wieżę kościelną, która wystrzeliwała w powietrze, sędziwa i potężna; widziała jedną czy dwie osoby włóczące się po słonecznej stronie ulicy, korzystające z wszelkich radości, jakie niosą piękne stroje i niedzielny wypoczynek; snuła w myślach ich historię i usiłowała wyobrazić sobie ich domostwa oraz codzienne zajęcia.

I oto niebawem rozkołysały się ciężko dzwony na wieży kościelnej i melodyjnymi tonami wybiły pierwsze wezwania na popołudniowe modlitwy.

Po nabożeństwie zwykle powracała do domu, do swego siedzenia w wykuszu i obserwowała tak długo, aż minął zimowy zmierzch, a nad czarnymi bryłami domów pojawiły się gwiazdy. Wówczas zakradała się na dół, by poprosić o świecę – towarzyszkę w opuszczonej pracowni. Czasami służąca przynosiła jej na górę herbatę; ostatnio jednak Ruth odmawiała jej przyjęcia, odkryła bowiem, że oto okrada tę dobroduszną istotę z części niewielkiego zaopatrzenia, które zostawiała jej pani Mason. Siedziała więc, głodna i zmarznięta, usiłując czytać Biblię i dumać po dawnemu o rzeczach świętych, jak to zwykła była czynić podczas dziecięcych rozmyślań na kolanach matki, aż jedna po drugiej powróciły wszystkie szwaczki, wyczerpane uciechami dnia i pracą do późnych godzin w ubiegłym tygodniu; zbyt zmęczone, aby uczynić z niej współuczestniczkę rozrywek poprzez szczegółowe zdanie sprawy z przebiegu dnia.

W końcu powróciła pani Mason, a wezwawszy ponownie swą „młodzież” do saloniku, odczytała modlitwę, po czym odprawiła dziewczęta do łóżek. Spodziewała się zawsze zastać je wszystkie w domu po swoim powrocie, ale nie pytała, jak przebiegł ich dzień; być może dlatego, że obawiała się usłyszeć, iż czasem jedna czy dwie nie miały dokąd pójść i że niekiedy koniecznym byłoby zaordynować niedzielny obiad i pozostawić tego dnia ogień na kominku.

Ruth mieszkała u pani Mason od pięciu miesięcy i taki właśnie był zwyczajny porządek niedzieli. Co prawda starościna, kiedy tutaj mieszkała, była zawsze gotowa podzielić się opowieściami o przeróżnych rozrywkach, w których Ruth nie brała udziału; i niezależnie od tego, jak bardzo Jenny była w nocy zmęczona, potrafiła zawsze obdarzyć Ruth odrobiną współczucia za to, że spędziła tak bezbarwny, długi dzień. Gdy wyjechała, monotonna beczyność niedzieli zdawała się Ruth bardziej nieznośna niż bezustanna praca dni powszednich; aż nadszedł czas, kiedy umysł jej przyzwyczaił się do nadziei, że w niedzielne popołudnie znów zobaczy się z panem Bellinghamem i usłyszy od niego kilka słów, jak od przyjaciela, który interesuje się tym, o czym myślała i co czyniła przez ubiegły tydzień.

Matka Ruth była córką ubogiego wikarego w Norfolk i pozostawiona wcześniej bez rodziców oraz domu z wdzięcznością poślubiła dużo od siebie starszego szacownego gospodarza. Po ślubie jednakże wszystko zdawało się pójść na opak. Pani Hilton podupadła na zdrowiu i nie była w stanie obdarzyć spraw domowych baczną uwagą, tak niezbędną u żony gospodarza. Jej męża dotknął szereg nieszczęść – poważniejszych niż padnięcie całego stada indyków po tym, jak nażarły się pokrzyw, albo rok zepsutych serów zmarnowanych przez lekkomyślną mleczarkę – które były konsekwencją (jak mawiali sąsiedzi) błędu, jaki pan Hilton popełnił, żeniąc się z delikatną, wytworną damą. Zbiory były marne; konie pozdychały; stodoła zajęła się ogniem; krótko mówiąc, gdyby był w jakiegokolwiek mierze postacią wybitną, można by wysnuć podejrzenia, że mściwy los obrał go sobie za cel, tak wiele złych wypadków przydarzało mu się jeden po drugim; lecz skoro był jedynie niejako pospolitym gospodarzem, zdaje mi się, iż nieszczęścia, które go spotkały, należałoby przypisać nieobecności w jego charakterze tej cechy, która jest podstawą doskonałości w wielu dziedzinach życia. Dopóki żyła jego żona, wszystkie ziemskie nieszczęścia zdawały się być dla niego niczym; jej zdrowy rozsądek oraz żywe poczucie nadziei broniły go przed popadnięciem w rozpacz; zawsze była pełna współczucia, a w pokoju, w którym leżała złożona chorobą, panowała niezmiennie atmosfera zachęty, która wpływała na każdego, kto tam wszedł. Lecz kiedy Ruth miała około lat dwunastu, pewnego ranka podczas pracowych sianokosów pani Hilton została sama na kilka godzin. Zdarzało się to już niejednokrotnie wcześniej, zresztą nie wydawała się słabsza niż zazwyczaj, kiedy wyszli na pole; kiedy jednak wrócili z wesołością w głosie po przygotowany dla kosiarzy obiad, okazało się, że w domu panuje nienaturalna cisza; żaden cichy głos nie zawołał im łagodnie na powitanie ani nie zapytał o to, jak im dzień upływa; a gdy weszli do niewielkiego saloniku, który nazywano bawialnią pani Hilton i który należał do niej tylko, znaleźli ją leżącą na kanapie. Leżała zupełnie cicho i spokojnie; nareszcie nic jej nie dręczyło; udręka była dla żywych, i to oni uginali się pod jej ciężarem. Z początku mąż nie podniósł wrzawy – przynajmniej nie zewnętrznie; jej pamięć zdawała się powstrzymywać wszelkie zewnętrzne porywy rozpacz; lecz po śmierci żony z dnia na dzień jego władze umysłowe słabły. Nadal był krzepkim starszym mężczyzną, a na ciele zdrowie dopisywało mu nie mniej niż dawniej, lecz przesiadywał godzinami w swym fotelu, wpatrując się w ogień, nie poruszając się ani nic nie mówiąc, chyba że należało koniecznie odpowiedzieć na powtórnie zadane pytania. Jeżeli Ruth przymilała się i ciągnęła tak długo, aż udawało jej się nakłonić go do wyjścia na dwór, obchodził swe pola miarowym krokiem, z głową pochyloną ku ziemi i z tym samym zamyślonym, niewidzącym spojrzeniem; nigdy się nie uśmiechał – nigdy nie zmieniał wyrazu twarzy, nie pojawiała się na niej odbicie głębszego smutku nawet wówczas, kiedy wydarzyło się coś, co mogłoby mu przypomnieć o zmarłej żonie. Lecz w całym tym oderwaniu od rzeczy zewnętrznych jego ziemskie sprawy jeszcze się pogorszyły. Wydawał pieniądze, bądź je przyjmował, jakby to była woda; nawet góry złota nie zdołałyby dopomóc jego duszy w głębokiej rozpacz; ale Bóg w swym miłosierdziu wiedział, co przyniesie ukojenie, toteż zesłał pięknego posłańca, by zaprowadził strudzonego mężczyznę do domu.

Po jego śmierci to przede wszystkim wierzyciele interesowali się jego sprawami; i Ruth dziwiła się, widząc jak ludzie, których nie знаła, oglądają i dotykają wszystko to, co przywykła uważać drogocenne i święte. Ojciec spisał testament tuż po jej narodzinach. Pełen dumy ze świeżego i zarazem późnego ojcostwa uznał, że stanowisko opiekuna ukochanego maleństwa byłoby dodatkowym zaszczytem dla lorda porucznika^[6] hrabstwa; jakkolwiek jednak nie było mu dane zawrzeć znajomości z jego lordowską mością, wybrał człowieka o największym znaczeniu spośród tych, których znał; nie piastował on szczególnie ambitnego stanowiska jak na owe czasy względnego dobrobytu; niemniej z pewnością dobrze prosperujący słodownik ze Skelton był nieco zaskoczony, kiedy piętnaście lat później dowiedział się, że jest wykonawcą testamentu, w którym zapisano wiele nieistniejących już setek funtów, oraz opiekunem młodej dziewczyny, której, o ile go pamięć nie myliła, nigdy nie widział.

Był to człek rozsądny, praktyczny, światowy; posiadał dość wrażliwe sumienie – wrażliwsze być może niż wielu innych; jego poczucie obowiązku sięgało bowiem dalej aniżeli tylko w obręb rodziny; toteż wbrew temu, co uczyniliby niektórzy, nie odmówił działania, a prędko zawezwał wierzycieli, przyjrzał się księgom, sprzedał inwentarz i spłacił wszystkie długi; na tydzień wpłacił około osiemdziesięciu funtów do banku w Skelton, rozpytując w międzyczasie o posadę albo możliwość przyuczenia do jakiegoś zawodu dla biednej, załamanej Ruth; usłyszał o pani Mason; ustalił z nią wszystko w trakcie dwóch krótkich rozmów; zajechał po Ruth swą dwukółką; czekał, gdy dziewczyna pakowała ze starą służącą swe ubrania; zniecierpliwił się wielce, kiedy ona, zalewając się łzami, biegła po ogrodzie, rwąc w gorączce miłości całe naręcza ulubionych chińskich i damasceńskich róż, kwitnących późno pod oknem dawnego pokoju jej matki. Kiedy zajęła miejsce w dwukółce, nie była w stanie, nawet gdyby chciała, wynieść nauk z prawionych przez opiekuna kazań o oszczędności i samowystarczalności; była tylko cicha i milcząca i wyczekiwała tęsknie nocy, kiedy to w swej sypialni będzie mogła dać upust namiętnej rozpacz w obliczu tego, że oto wyrwano ją z domu, w którym mieszkała z rodzicami, i że niemożliwością byłoby spodziewać się jakiegokolwiek zmiany, która bywa błogosławieństwem lub przekleństwem dzieciństwa. Lecz w nocy w pokoju było poza nią jeszcze czworo dziewcząt i nie chciała przy nich płakać. Czuwała i czekała aż do chwili, gdy jedna po drugiej wszystkie pozasypiały, a wówczas ukryła twarz w poduszce i jęła się trząść, łkając żałośnie; a potem przerwała, aby przywołać z naiwną wybujałością każde wspomnienie szczęśliwych dni, tak niedocenianych w swej jednostajności, dopóki trwały, tak nieodżałowanych, kiedy się na zawsze skończyły; aby przypomnieć sobie każde słowo i spojrzenie matki oraz od nowa opłakiwać zmianę, którą spowodowała jej śmierć – pierwsze chmury w młodziutkim życiu Ruth. Okazane przez Jenny współczucie owej pierwszej nocy, kiedy zbudziło ją bezbrzeżne cierpienie Ruth, utworzyło między nimi więź. Ale pełne czułości usposobienie Ruth, które nieustannie rozpościerało swe wici w poszukiwaniu pokarmu, nie znalazło w codziennym otoczeniu drugiego takiego obiektu uczuć, który by wynagrodził brak naturalnych więzi.

Lecz niemal niepostrzeżenie miejsce Jenny w sercu Ruth zajął ktoś inny; był ktoś, kto z tkliwym zainteresowaniem wysłuchiwał wszystkich jej drobnych wynurzeń; kto wypytywał o dawne dni szczęścia i w zamian opowiadał o własnym dzieciństwie – nie tak prawdziwie złotym, jak dzieciństwo Ruth, lecz bardziej olśniewającym, gdy snuł opowieści o pięknym kremowym koniku arabskim i starej galerii obrazów w domu, i alejach, i tarasach, i fontannach w ogrodzie, a Ruth odmalowywała z całą żywością wyobraźni scenerię i tło dla postaci, która zwolna stawała się w jej myślach najważniejsza.

Nie należy przypuszczać, że wszystko to dokonało się od razu, chociaż pominięto pośrednie etapy. W niedzielę pan Bellingham rozmawiał z nią po to jedynie, aby dowiedzieć się o malowidło; nie przyszedł też do Św. Mikołaja w następną niedzielę, ani w jeszcze kolejną. Ale trzeciej niedzieli uszedł obok dziewczyny kawałek drogi, a zauważywszy jej strapienie, opuścił ją; a wtedy zapragnęła, aby wrócił i uznała, że dzień stał się bardzo ponury, i zastanawiała się, dlaczego jakieś dziwne, nieokreślone uczucie sprawiło, iż zdało jej się, że źle czyni, spacerując u boku kogoś tak miłego i dobrego jak pan Bellingham; szaloną głupotą było z jej strony czuć się bez przerwy tak skrępowaną, a jeżeli on kiedykolwiek się do niej odezwie, to miast myśleć o tym, co ludzie

powiedzą, będzie czerpała radość z jego uprzejmych słów i być może z okazanego jej widocznie zainteresowania. Potem pomyślała, że bardzo jest możliwe, iż już nigdy więcej jej nie zauważy, bo wiedziała, jak niegrzeczne były jej zdawkowe odpowiedzi; jakże irytujące było to jej niegrzeczne zachowanie. W przyszłym miesiącu miała skończyć lat szesnaście, tymczasem nadal była dziecinna i niezręczna. Tak oto napominała się po rozstaniu z panem Bellinghamem; skutek tego następnej niedzieli rumieniła się i wstydziła dziesięć razy bardziej, i była przy tym (jak uznał pan Bellingham) dziesięć razy piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Zasugerował, iż miał udawać się prosto do domu główną ulicą, mogłaby pójść okrężną drogą przez Leasowes; wprawdzie odmówiła, lecz później nagle zastanowiła się i zapytała w myśli, dlaczego odmówiła czegoś, co, jak podpowiadały jej rozsądek oraz wiedza (jej własna wiedza), było zupełnie niewinne, a do tego niewątpliwie kuszące i przyjemne, więc zgodziła się na przechadzkę; gdy tylko znalazła się na łąkach na obrzeżach miasta, od razu zapomniała o wątpliwościach i niezręczności – nie, prawie zapomniała o tym, że towarzyszy jej pan Bellingham – wobec zachwytu nad świeżym, delikatnym pięknem wczesnowiosennego dnia lutowego. Pośród ubiegłorocznych brązowych ruin, które wiatr nagromadził w żywopłotach, odnalazła świeże zielone pomarszczone liście i blade, przypominające gwiazdy kwiaty pierwiosnków. Tu i ówdzie złote jaskółcze ziele ożywiało brzegi niewielkiego ruczaju, który (pełen wody z lutowych roztopów) szemrał wzdłuż ścieżki; słońce było nisko nad horyzontem i raz, kiedy doszli do wyżej położonej części Leasowes, Ruth wykrzyknęła w zachwycie nad wieczornym blaskiem łagodnego światła, które było na niebie hen za połącią purpury, podczas gry brązowe bezlistne lasy na pierwszym planie zyskały niemal metaliczny połysk dzięki złotej mgiełce zachodu słońca. Droga pośród łąk liczyła tylko trzy ćwierci mili, lecz w jakiś sposób przechadzka zajęła im godzinę. Ruth zwróciła się do pana Bellinghama, by podziękować za uprzejmość, jaką jej wyświadczył, odprowadzając ją do domu tym pięknym szlakiem, lecz pełen podziwu wyraz jego oczu na widok jej promieniejącej, ożywionej twarzy kazał jej nagle zamilknąć; prawie się nie pożegnawszy, weszła więc prędko do domu z bijącym, szczęśliwym, poruszonym sercem.

„Jakie to dziwne – pomyślała owego wieczoru – że czuję, jakby ten czarujący popołudniowy spacer był niezupełnie może niesłuszny, ale też jakby nie był do końca słuszny. Dlaczego? Nie okradam przecież pani Mason z czasu; wiem, że to byłoby złe; w niedziele mogę chadzać tam, gdzie mam ochotę. Byłam w kościele, więc to chyba nie dlatego, że nie wypełniłam swego obowiązku. A gdybym poszła na ten spacer z Jenny, ciekawa jestem, czy wówczas również czułabym się tak, jak teraz. To we mnie samej jest coś niedobrego, skoro czuję się winna, kiedy nie uczyniłam niczego, co niesłuszne; jednakże potrafię dziękować Bogu za ten czarowny spacer, a droga mama mówiła, że to znak, że przyjemność była niewinna i dobra”.

Nie była jeszcze świadoma, że obecność pana Bellinghama przydała czarui przechadzce; a kiedy nareszcie mogła stać się tego świadomą, skoro tydzień po tygodniu, niedziela po niedzieli odbywali przechadzkę za przechadzką, była już zbyt pochłonięta innymi myślami, aby się skłaniać ku takim rozważaniom.

– Opowiedz mi o wszystkim, Ruth, tak jak byś opowiedziała bratu; pozwól, że ci pomogę w twych strapieniach, jeżeli tylko zdołam – rzekł pewnego popołudnia. I naprawdę usiłował zrozumieć i pojąć, w jaki sposób tak nic nieznająca, pożałowania godna osoba, jak pani Mason, krawcowa, mogła być w oczach Ruth przedmiotem lęku i autorytetem. Zapałał gniewem, kiedy Ruth, pragnąc wzbudzić w nim uznanie dla władzy i znaczenia pani Mason, opowiedziała, jakie bywają skutki niezadowolenia chlebobawczyni. Oświadczył, że jego matka nigdy więcej nie zamówi sukni u takiej tyranki – takiej pani Brownrigg^[7]; że uprzedzi znajomych, aby nie korzystali z usług tak okrutnej krawcowej; aż Ruth poczuła trwogę na myśl o konsekwencjach swej stronniczej opowieści i jęła wstawiać się za panią Mason tak żarliwie, jak gdyby opisane przez młodego człowieka groźby miały się dosłownie ziścić.

– Doprawdy, proszę pana, bardzo to złe z mojej strony; proszę, niechże się pan nie tak złości. Ona często bywa dla nas bardzo dobra; tylko niekiedy pasja ją ponosi; a my chyba jesteśmy bardzo nieznośne. Ja na pewno jestem. Często muszę pruć to, co uszyłam, a pan nie wie, jak bardzo odprawianie niszczy materiał (szczególnie jedwab); a panie obwiniają potem panią Mason. Och!

Przykro mi, że w ogóle o tym wspomniałam. Błagam, niech pan nie mówi nic matce. Pani Mason jest tak bardzo rada, że pani Bellingham jest jej klientką.

– Dobrze, tym razem nie powiem – odparł, zdając sobie sprawę, że niezręcznie byłoby oznajmić matce, skąd zaczerpnął owe jakże ściśle wiadomości na temat zajęć w pracowni pani Mason – lecz jeżeli kiedykolwiek znów tak postąpi, to nie odpowiadam za siebie.

– Będę pamiętała, żeby więcej o tym nie mówić, proszę pana – odrzekła cicho Ruth.

– Nie, Ruth, wszak nie zamierzasz mieć przede mną sekretów, prawda? Czy nie pamiętasz, żeś obiecała uważać mnie za brata? Opowiadaj, proszę, o wszystkim, co ci się przytrafia; nie wiesz nawet, jak wielkie zainteresowanie pokładam we wszystkim, co ciebie dotyczy. Prawie umiem sobie wyobrazić ów czarujący domek w Milham, o którym opowiadałaś mi ubiegłej niedzieli. Prawie umiem sobie wyobrazić pracownię pani Mason; a to z pewnością albo dowód siły mojej wyobraźni, albo twych zdolności opisywania.

Ruth się uśmiechnęła.

– To prawda, proszę pana. Nasza pracownia różni się chyba od wszystkiego, co pan kiedykolwiek widział. Myślę, że pan pewnie często przechodził przez Milham w drodze do Lowford.

– Zatem nie uważasz, że to, iż widzę w myślach tak wyraźnie Milham Grange, świadczy o bujnej wyobraźni? Dom znajduje się po lewej stronie drogi, czyż nie, Ruth?

– Tak, proszę pana, trzeba przejść tuż za mostem i w górę wzniesieniem, na którym splecione korony wiązów tworzą zielony abażur; a dalej jest już ukochane stare Grange, którego już nigdy więcej nie zobaczę.

– Nigdy! Nonsens, Ruthie; to zaledwie sześć mil stąd; możesz je zobaczyć, kiedy tylko zechcesz. To nawet nie godzina jazdy konno.

– Być może zobaczę je znowu, kiedy się zestarzeję; nie zastanowiłam się dokładnie nad tym, co znaczy „nigdy”; tyle już czasu minęło, odkąd tam byłam, i wiem, że przez lata całe nie będzie żadnej sposobności po temu, ażebym mogła tam znów pojechać.

– Ależ Ruth, przecież możesz – przecież możemy udać się tam w następną niedzielę po południu, jeżeli chcesz.

Gdy na niego spojrzała, twarz jej rozświetlała pięknie radość z tej myśli.

– Jak to, proszę pana? Czy uda mi się pokonać tę drogę między popołudniowym nabożeństwem a powrotem pani Mason do domu? Poszłabym, by tylko raz zerknąć; lecz jeśli udałoby mi się wejść do domu – ach, proszę pana! Gdybym tak mogła zobaczyć znowu pokój mamy!

Układał w głowie plany, by sprawić jej tę przyjemność, lecz miał na uwadze również swoją. Jeżeli pojedą któryś z jego powozów, przypadnie czar, jaki miały w sobie beztrioskie przechadzki; ponadto do pewnego stopnia byłiby skrupowani obecnością służących i narażeni na ich uwagę.

– Ruth, czy jesteś dobrym piechurem? Jak myślisz, czy uda ci się przejść sześć mil? Jeżeli wyruszymy o drugiej, bez pośpiechu dotrzemy na miejsce przed czwartą; albo, powiedzmy, o wpół do piątej. Wówczas moglibyśmy spędzić tam dwie godziny i pokazałabyś mi wszystkie swe dawne szlaki i dawne ukochane miejsca, a potem i tak udałoby nam się wrócić spokojnie do domu. O, już wszystko ustalone!

– Ale czy według pana byłoby to słuszne? Zdaje się, że byłaby to przyjemność tak ogromna, iż z pewnością musiałaby być w jakimś sensie niesłuszna.

– Ależ, gąsko, cóż w tym może być niesłusznego?

– Po pierwsze, wyruszając o drugiej, nie będę mogła pójść do kościoła – odparła z dozą smutku.

– Tylko raz. Wszak chyba nie widzisz niczego złego w tym, że raz nie pójdziesz do kościoła? Zresztą przecież możesz pójść rano.

– Ciekawam, czy pani Mason uznałaby to za słuszne – czy by pozwoliła?

– Nie, podejrzewam, że nie. Ale przecież nie zamierzasz się chyba kierować wyobrażeniami pani Mason o dobru i złu. Opowiadałaś, jak to ona uznała za słuszne potraktować tamtą biedną dziewczynę, Palmer. Przecież uznałabyś takie postępowanie za coś złego, jak każdy, kto ma

rozsądek i uczucia. Ruth, nie pokładaj w nikim takiej wiary, wierz we własny osąd. Jest to przyjemność zupełnie niewinna; nie jest to również przyjemność samolubna, ponieważ ja będę się nią rozkoszował równie mocno, jak ty. Chcę zobaczyć miejsca, w których spędziłaś dzieciństwo; pokocham je prawie tak głęboko, jak ty je kochasz. – Zniżył głos; przemawiał cicho, przekonywająco. Ruth zwiesiła głowę i zarumieniła się z ogromu szczęścia; ale nie potrafiła wykrzesać słowa, nawet po to, aby na nowo wyrazić wątpliwości. W ten sposób załatwiono sprawę.

Jakże rozkosznym szczęściem napawał ją ów plan przez następny tydzień! Była bardzo młoda, gdy zmarła jej matka, toteż nie odebrała żadnych słów przestrogi ani rady odnośnie do kwestii życia kobiety – jeżeli w istocie roztropni rodzice w ogóle mówią wprost o tym, czego głębi i mocy w słowach zawrzeć nie można... bo jest to duch dumający, pozbawiony określonej formy, czy kształtu rozpoznawalnego dla mężczyzny, mimo to jest, obecny zanim jeszcze zdołamy go rozpoznać i zdać sobie sprawę z jego istnienia. Ruth była niewinna i czysta jak śnieg. Słyszała o tym, że ludzie się zakochują, ale nie знаła zwiastunów ani objawów tego uczucia; ani też nie zaprzętała sobie nimi zbyt głębi. Dni jej wypełniał smutek, nie dopuszczając jakichkolwiek myśli pogodniejszych od rozważań o bieżących obowiązkach ani żadnych wspomnień szczęśliwych czasów, które odeszły. Ale ów okres nicości po stracie matki, kiedy i ojciec był martwy za życia, sprawił, że tym goręcej ceniła i lgnęła do przejawów ciepłego uczucia – wpierw ze strony Jenny, teraz zaś pana Bellinghama. Zobaczyć znów swój dom i zobaczyć go z nim; pokazać mu (ze świadomością, że go to interesuje) ulubione zakątki z przeszłości, spośród których każdy miał swą małą historię – był częścią dawnych, minionych zdarzeń! – Żaden nadciągający cień nie osnuł marzenia o szczęściu, którym żyła w tym tygodniu – marzenia, które było zbyt świetlane, by dzielić się nim z pospolitymi i obojętnymi słuchaczami.

ROZDZIAŁ IV

Stąpając po grząskim gruncie

Nadeszła niedziela, tak piękna, jakby na świecie nie było smutku ani śmierci, ani winy; trwające dzień czy dwa opady deszczu sprawiły, że ziemia była świeża i radosna jak błękitne niebo ponad nią. Ruth pomyślała, że oto jej nadzieje spełniają się zbyt silnie i wyglądała zachmurzenia w południe; tymczasem pyszna pogoda się utrzymała i o drugiej dziewczyna była już w Leasowes z bijącym radośnie sercem i pragnęła zatrzymać godziny, które tego popołudnia miały zbyt szybko upłynąć.

Włoczyli się po pachnących drózkach, jak gdyby ociągając się w ten sposób, mogli rozciągnąć czas i zatrzymać ognistokopytne rumaki pędzące ku końcowi szczęśliwego dnia. Było po piątej, kiedy dotarli do wielkiego koła młyńskiego, które stało w bezczynności dnia Pańskiego, nieruchome w gęstym brązowym cieniu i wciąż mokre jeszcze od wczorajszego zanurzania w głębokiej, przejrzystej wodzie. Wgramolili się na niewielkie wzgórze, niezupełnie jeszcze zacienione pod łukowym zadaszeniem z wiązów; wówczas to Ruth lekkim ruchem ręki spoczywającej na ramieniu pana Bellinghama zatrzymała go i spojrzała na jego twarz, aby się przekonać, co twarz ta wyrazi, kiedy ujrzy Milham Grange, które teraz było nieruchome i spokojne w popołudniowym cieniu. Był to dom refleksji; materiałów do jego wzniesienia było w okolicy pod dostatkiem, a każdy kolejny właściciel uznawał za konieczne dobudować coś lub nadbudować, aż budynek stał się malowniczym zlepkiem nieregularności – nierównomiernej gry światła i cieni – który jako całość oddawał w pełni sens pojęcia „dom rodzinny”. Wszystkie jego szczyty i zakamarki spajała w jedno i trzymała razem delikatna zieleń pnących róż i młodych pnączy. Do czasu wynajęcia dom zajmowała sędziwa para, ale mieszkała na jego tyłach i nigdy nie korzystała z frontowych drzwi; toteż małe ptaszki oswoiły się już i poczuły jak u siebie, i poprzysiadwały na parapetach i ganku, i na starym kamiennym zbiorniku, do którego spływała woda z dachu.

W milczeniu przeszli przez nieprzystrzyżony ogród pełen pastelowego wiosennego kwiecia. Pająk rozpostarł swą sieć nad frontowymi drzwiami. Na jej widok w sercu Ruth ozwało się poczucie opuszczenia; pomyślała, że być może nikt nie używał głównego wejścia, odkąd wyniesiono nim martwe ciało jej ojca i bez słowa zawróciła nagle i obeszła dom, kierując się ku drugim drzwiom. Pan Bellingham ruszył za nią, o nic nie pytając, nie rozumiejąc zbyt jej uczuć, lecz pełen podziwu dla różnorodności wyrazów, które pojawiły się na jej twarzy.

Staruszka nie wróciła jeszcze z kościoła, czy też z cotygodniowej pokościelnej wyprawy na ploteczki bądź na herbatę u sąsiadki. Mąż siedział w kuchni, czytając z modlitewnika psalmy na ten dzień, a odczytywał je na głos – był to nawyk, który zrodził się z podwójnej samotności, jakiej doświadczał w życiu, był bowiem przygłuchy. Nie słyszał, kiedy para cicho weszła, a ich poraziło niejako upiorne echo, które zdaje się nawiedzać na wpół umeblowane, niezamieszkałe domy. Odczytywane wersy brzmiały następująco:

„Czemu jesteś zgnębiona, moja duszo, i czemu jęczysz we mnie?

Ufaj Bogu, bo jeszcze Go będę wysławiać: Zbawienie mego oblicza i mojego Boga”.^[8]

A kiedy skończył, zamknął książkę i westchnął zadowolony ze spełnienia obowiązku. Słowa nabożnego zaufania, jakkolwiek być może nie w pełni zrozumiałe, wlewały w głąb jego duszy pełen wiary pokój. Gdy podniósł wzrok, zobaczył młodą parę stojącą pośrodku podłogi. Zsunął na czoło okulary w żelaznych oprawkach i powstał, aby powitać córkę swego dawnego pana i najczcigodniejszej pani.

– Niech cię Bóg błogosławi, panienko; niech cię Bóg błogosławi! Radują się moje stare

oczy, że ciebie znów ujrzały.

Ruth skoczyła do przodu, aby uścisnąć zrogowaciałą dłoń wyciągniętą w geście błogosławieństwa. Ścisła ją w obu swoich, pośpiesznie zasypując starca pytaniami. Panu Bellinghamowi niezupełnie podobał się widok tej, którą ją już postrzegać jako swoją, w tak czulej zażyłości z wyrobnikiem o twardych rysach i w lichym odzieniu. Pomału podszedł do okna i wyjrzał na porośniętą trawą podwórze gospodarstwa; mimowolnie posłyszał jednak strzępki rozmowy, która w jego mniemaniu przebiegała w tonie zbytnej poufałości.

– A ten to kto? – zapytał w końcu stary wyrobnik. – Czy to twój luby? Widzi mi się, że to syn twojej pani. Tak czy owak, strojny z niego młodzian.

W panu Bellinghamie zawrzała krew wszystkich arystokratycznych przodków i w uszach mu zadzwoniło, więc nie usłyszał odpowiedzi Ruth. Zaczęła się od słów „Cicho, Thomasie, proszę was, cicho!”, lecz dalszego ciągu już nie dosłyszał. Cóż to za pomysł, on synem pani Mason! Doprawdy, zabrzmiało to aż nazbyt niedorzecznie; lecz jak to zwykle bywa w przypadku rzeczy, które brzmią „aż nazbyt niedorzecznie”, rozłościło go to niezmiernie. Nie doszedł jeszcze do siebie, kiedy Ruth podeszła nieśmiało do wnęki okiennej i zapytała, czy nie miałby ochoty zobaczyć głównej izby domu, do której prowadziły drzwi od frontu; wielu uważało, że jest bardzo piękna, dodała na w pół nieśmiało, bo jego twarz nieświadomie przybrała srogi, wyniosły wyraz, którego nie potrafił od razu złagodzić. Podążył za nią jednak; lecz zanim wyszedł z kuchni, zauważył, że starzec stoi i przygląda mu się z dziwnym, poważnym wyrazem niezadowolenia.

Przeszli jednym czy dwoma zygzakowatymi, pachnącymi wilgocią kamiennymi korytarzykami i weszli do głównej izby domu, w tej części hrabstwa zwanej również wspólną izbą bawialną rodziny gospodarza. To tutaj prowadziły drzwi frontowe, stąd można było się dostać do kilku pozostałych pomieszczeń, takich jak składzik mleka, główna sypialnia (częściowo pełniąca również rolę bawialni) oraz niewielki pokój, który przeznaczono dla nieżyjącej pani Hilton, a w którym ona zwykła była przesiadywać, a częściej leżeć, komenderując przez otwarte drzwi krzątanicą i zajęciami w domu. W owych dniach główna izba była radosnym pomieszczeniem, pełnym życia, gdy mąż, dziecko i służba przechodzili przez nie w tę i z powrotem; na kominku co wieczór, trzaskając, płonął suty ogień, niewygaszany nawet w upalne lato; bo grube kamienne mury i głębokie wykusze okienne, i draperie z winorośli oraz bluszczu sprawiały, że w tym pokoju o kamiennych podłogach zawsze potrzeba było blasku i wesołego ciepła ognia. Teraz jednak wpadające z zewnątrz zielone cienie zdawały się czernieć w niezamieszkałym, opuszczonym wnętrzu. Dębowy stolik do cymbergaja, ciężka komoda i rzeźbiony kredens, wypolerowane na lustrzany połysk w czasach, gdy bez ustanku migotał w nich ogień, obecnie były matowe i zawilgocone; przydawały jeszcze tylko wrażenia przytłaczającej melancholii; kamienna podłoga mokra była od gęstej wilgoci. Ruth stała wpatrzona w pokój, nie widząc wcale tego, co terazniejsze. Ujrzała wizję minionych dni – wieczór z czasów dzieciństwa; ojca siedzącego w „kącie pana” blisko ognia, palącego spokojnie fajkę, gdy z rozmarzeniem obserwował żonę i dziecko; czytając jej na głos matkę, podczas gdy ona siedziała na niskim stołku u jej stóp. Wszystko odeszło – odeszło do krainy cieni; lecz przez chwilę zdawało się tak obecne w tym starym pokoju, że Ruth pomyślała, iż jej prawdziwe życie jest snem. Następnie, nadal milcząca, poszła do saloniku matki. Tam jednak posępne oblicze tego, co kiedyś było pełne radości i matczynej miłości, zmroziło jej serce. Wydała z siebie okrzyk i padła na podłogę obok kanapy, chowając twarz w dłoniach, a jej postać drżała od wstrzymywanego łkania.

– Najdroższa Ruth, nie rozpaczaj tak bardzo. To nie przyniesie nic dobrego; nie wróci życia zmarłym – rzekł pan Bellingham poruszony widokiem jej strapienia.

– Wiem, że nie wróci – szepnęła Ruth – i dlatego płaczę. Płaczę, bo nic nigdy nie wróci im życia. – Rozszlochała się na nowo, ale już łagodniej, ponieważ jego życzliwe słowa przyniosły ukojenie i złagodziły poczucie osamotnienia, którego jednak usunąć nie mogły.

– Wyjdźmy stąd; nie możesz tutaj pozostać, przecież ten pokój pełen jest bolesnych wspomnień. Chodź – podniósł ją delikatnie acz stanowczo – pokażesz mi swój ogródek, o którym tak często mi opowiadałaś. Jest nieopodal okna tego pokoju, prawda? Widzisz, jak dobrze pamiętam wszystko, o czym mówiłaś.

Poprowadził ją wkoło przez tylną część domu do ładnego staroświeckiego ogrodu. Tuż pod oknami była słoneczna rabata, nieco dalej od domu zaś przycięty bukszpan i cisy; i znów rozprawiała o dziecięcych przygodach i samotnych zabawach. Gdy zawrócili, zauważył starca, który przykuśtykał, podpierając się kijem i patrzył na nich z tym samym poważnym, zasmuconym wyrazem niepokoju.

Pan Bellingham przemówił dość ostro:

– Dlaczego ten starzec tak za nami chodzi? Myślę, że to ogromnie impertynenckie z jego strony.

– Och, proszę nie nazywać starego Thomasa impertynenckim. Jest taki dobry i miły, jest dla mnie jak ojciec. Pamiętam, jak dzieckiem będąc, wiele razy siadywałam mu na kolanach, a on opowiadał mi historie z *Wędrówki pielgrzyma*^[9]. Nauczył mnie pić mleko przez słomkę. Mama również bardzo go lubiła. Siadywał zawsze z nami wieczorami, kiedy tatuś był na targu, bo mama trochę się bała, kiedy w domu nie było żadnego mężczyzny i zawsze prosiła starego Thomasa, by z nami zostawał; a on brał mnie na kolana i słuchał tak samo uważnie jak ja, kiedy mama czytała na głos.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że siadywałaś na kolanach tego starego jegomościa?

– O, tak! Wiele, wiele razy.

Pan Bellingham wyglądał poważniej, aniżeli wówczas, gdy był świadkiem namiętnych wzruszeń w pokoju jej matki. Ale zapomniał o zniewadze, podziwiając towarzyszkę, gdy spacerowała pośród kwiecia, szukając ulubionych krzewów czy kwiatów, z którymi wiązały się jakieś historie bądź wspomnienia. Przemykała to tu, to tam naturalnymi, wdzięcznymi ruchami pośród bujnych i rozrośniętych krzewów, które pachniały wiosennym listowiem; szła przed siebie, nie bacząc na obserwujące ją oczy, w tej chwili nieświadoma wręcz ich istnienia. Raz zatrzymała się, aby chwycić gałązkę jaśminu i delikatnie ją ucałować; był to ulubiony kwiat jej matki.

Stary Thomas stał przy schodkach do dosiadanania koni i obserwował wszystko, co się dzieje. Lecz o ile uczucia pana Bellinghama były namiętnym podziwem z domieszką samolubnej miłości, o tyle starzec patrzył z czułym niepokojem, a jego wargi poruszały się do słów błogosławieństwa:

– Ładne z niej stworzenie, ma w sobie iskrę matki; i takie miłe jest z niej dziewczátko. Ani trochę nie pasuje do tego pierwszorzędnego zakładu krawcovej, co to w nim pracuje. Nie podoba mi się za to ten młodzian, choć ona mówi, że to prawdziwy dżentelmen i uciszyła mnie, gdym pytał, czy to jej luby. Jeśli on nie wygląda na lubego, tom już pewnikiem zapomniał, co to być młodym. Oho! Zdaje się, że odchodzą. Patrzcie no! On chce, żeby odeszła bez pożegnania ze starym; ale po mojemu ona się aż tak nie zmieniła.

Naturalnie, że nie! Ruth wcale nie zauważyła wyrazu niezadowolenia na twarzy pana Bellinghama, który dostrzegło bystre oko starca; podbiegła za to do Thomasa, by przekazać słowa pozdrowienia dla jego żony i długo, długo ścisnąć jego dłoń.

– Powiedźcie Mary, że uszyję jej przepiękną suknię, kiedy już będę umiała sama szyć; będzie bardzo modna, z ogromnymi, bufiastymi rękawami, aż siebie w niej wcale nie pozna! Nie zapomnijcie jej o tym powiedzieć, Thomasie, dobrze?

– Tak, będę pamiętał, panienko; i myślę, że ucieszy się na wieść, żeś nie zapomniała swej dawnej wesołości. Niech cię Pan błogosławi – niech zwróci ku tobie światłość swego oblicza.

Ruth była w połowie drogi do zniecierpliwionego pana Bellinghama, gdy dawny przyjaciel przywołał ją jeszcze do siebie. Pragnął ją ostrzec przed niebezpieczeństwem, w którym się według niego znalazła, lecz nie wiedział jak. Gdy podeszła, przyszedł mu jedynie do głowy wersety z Pisma; język Biblii był językiem tych jego rozważań, których przedmiotem miast zagadnień codziennych były emocje i uczucia.

– Moja droga, pamiętaj, że diabeł jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć^[10]; pamiętaj o tym, Ruth.

Ucho pochwyciło te słowa, ale nie zrodziła się z nich żadna określona myśl. Co najwyżej przywołały Ruth na myśl wspomnienie przerażenia, jakie czuła w dzieciństwie, gdy usłyszała ów wers, i jak wyobrażała sobie lwią głowę ze świecącymi oczami przypatrującymi się zza krzaków w ciemnej części lasu, której z tego powodu zawsze unikała i nawet teraz drżała jeszcze na samą

o niej myśl. W ogóle nie przypuszczała, że owo ponure ostrzeżenie odnosiło się do przystojnego młodzieńca, który czekał na nią z twarzą promieniejącą miłością i czule wziął ją pod rękę.

Starzec westchnął, patrząc jak odchodzą.

– Oby Pan pomógł jej bezpiecznie stawiać kroki. Oby. Lecz ja się lękam, że ona stąpa po grząskim gruncie. Powiem mojej pani, żeby poszła do miasta i z nią pomówiła, i żeby jej co nieco powiedziała o niebezpieczeństwie. Taka stara matka jak nasza Mary lepiej to załatwi, co taki głupi chłop jak ja.

Tej nocy biedny stary wyrobnik modlił się za Ruth długo i żarliwie. Nazwał to „zmaganiem o jej duszę”; i myślę, że modlitwy jego zostały wysłuchane, bo „człowiek nie tak widzi, jak Bóg widzi”.

Ruth ruszyła w drogę, zupełnie nieświadoma tego, że zbierają się nad nią ciemne upiory przyszłości; za sprawą uległości lat dziecinnych, niezupełnie jeszcze utraconej, gdy ma się lat szesnaście, melancholia jej przeobraziła się w łagodniejszy spokój, który był nieskończenie czarujący. Niebawem rozpogodziła się i ogarnęła ją słoneczna szczęśliwość. Wieczór był spokojny i pełen łagodnego światła, a nowonarodzone lato było tak rozkoszne, że wespół z wszystkimi młodymi stworzeniami była pod jego wpływem, czując jak wypełnia ją radość.

Stali razem na szczycie stromej zbocza najwyższego wzgórza w hrabstwie. Była tam płaska, nieogrodzona i nierówna połać terenu licząca sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt jardów kwadratowych^[11], bogato ubarwiona złotym kwieciami janowca, którego rozkoszna woń wypełniała świeże, lekkie powietrze. Po jednej stronie owego wygonu grunt opadał do przejrzystego, jasnego stawu, w którym odbijały się nierówne piaszczyste urwiska, wznoszące się gwałtownie na przeciwległym brzegu; znalazły tam dom setki jaskółek i krążyły teraz ponad przejrzystą wodą, i zanurzały skrzydełka w wieczornej zabawie. Zaiste, zdawało się, że ów samotny staw nawiedzały ptaki wszelkiej maści; pliszki były rozproszone wokół jego krawędzi, makolągwy przycupnęły na najwyższych gałązkach krzaków janowca, dalej zaś, skryte w nierównościach podłoża, wyśpiewywały swe wieczorne modły inne ptaki śpiewające. Na przeciwległym końcu zielonego pustkowia, nieopodal drogi, w miejscu odpowiednim dla zaspokojenia potrzeb koni bądź jeźdźców zdrożonych wspinaczką na wzniesienie, znajdowała się oberża, która w istocie była bardziej gospodarstwem, aniżeli gospodą. Był to długi, niski budynek, z licznymi oknami mansardowymi na nawietrznej ścianie, niezbędnymi w tak nieosłoniętym położeniu, oraz z dziwnymi występami i nieoczekiwanymi przyczółkami po każdej stronie; od frontu znajdował się głęboki ganek, którego gościnne ławy mogły pomieścić tuzin osób, zasiadających tam, by nacieszyć się balsamicznym powietrzem. Tuż przed domem rósł szlachetny jawor, okolony siedziskami („takie namioty ukochali patriarchowie”); a z jednej z gałęzi od strony drogi zwisał dziwaczny szylid przedstawiający, jak się okazało dzięki słownemu objaśnieniu, w które go mądrze wyposażono, króla Karola ukrytego w dębie^[12].

Nieopodal tej wygodnej, cichej, rzadko odwiedzanej gospody była druga sadzawka, przeznaczona do celów domowych i gospodarskich, piło z niej bydło po udoju, a przed powrotem na pastwiska. Ruchy zwierząt były tak leniwe i powolne, że napawały umysł uczuciem marzycielskiego odpoczynku. Ruth i pan Bellingham ruszyli przez nierówny teren, ażeby dostać się na drogę nieopodal przydrożnej gospody. Szli ręką w rękę, raz kłuł ich daleko rozpostarty janowiec, raz brnęli po kostki w piasku; raz stąpali po miękkim, gęstym wrzosie, który jesienią poszczycić się może przepyszną paletą barw; raz znów po dzikim tymianku i innych wonnych ziołach szli naprzód, śmiejąc się często i wesoło. Gdy znaleźli się na drodze, Ruth stanęła milcząca w zapierającym dech w piersiach zachwycie nad widokiem, który się przed nią rozpościerał. Wzgórze gwałtownie opadało do równiny rozciągającej się na tuzin mil lub dalej. Nieopodal była kępka sosen, które odcinały się wyraźnie na tle zachodniego nieba i sprawiały, że to, co w istocie znajdowało się blisko, zdawało się położone na dalszym planie. Równina poniżej była gęsto porośnięta drzewami i zabarwiona świeżymi, delikatnymi odcieniami narodzin lata, wszystkie bowiem drzewa tego lasu przywdziały już liście, oprócz ostrożnych jesionów, których korony tu i ówdzie przydawały krajobrazowi łagodnej, przyjemnej szarości. Daleko na równinie były zarysy wież strzelistych i nakrytych płaskim dachem, tudzież kominów należących do jakiegoś odległego,

ukrytego wiejskiego domu; można je było odnaleźć, wiodąc wzrokiem w dół do źródła, z którego wydobywały się cienkie kolumny niebieskiego dymu, wysyłane przez rozpalone wieczorem kominki wprost w złociste powietrze. Widok ograniczało jakieś wzniesienie skryte w głębokim purpurowym cieniu na tle zachodzącego słońca.

Kiedy się zatrzymali w milczącym zachwycie, powietrze zdawało się wypełniać miłe dźwięki; dzwony kościelne w oddali grały w harmonii z drobnym śpiewającym ptactwem tuż obok; ani porykiwanie bydła, ani nawoływania parobków nie stanowiły dysonansu, ponieważ głosy te zdawały się przyciszone w pełnej zadumy świadomości dnia Pańskiego. Stali leniwie przed budynkiem, napawając się w ciszy widokiem. Zegar w niewielkiej oberży wybił ósmą, a brzmienie jego było wyraźne i przenikliwe pośród ciszy.

– Czy to możliwe, że już tak późno? – zapytała Ruth.

– Wydaje się niemożliwe – odparł pan Bellingham. – Ale nic nie szkodzi, będziesz w domu na długo przed dziewiątą. Zaczekaj tu, wiem, że jest krótsza droga przez pola; poczekaj chwilę, a ja pójdę zapytać o dokładny szlak. – Puścił jej rękę i wszedł do oberży.

Dwukółka zwolna podjeżdżała piaszczystym wzgórzem za ich plecami, niedostrzeżona przez młodych, a kiedy dotarła na płaski teren, zbliżyła się do nich w chwili, gdy się rozstali. Ruth się obejrzała, bo dźwięk kopyt końskich stał się teraz wyraźny. Stała twarzą w twarz z panią Mason!

Nie dzieliło ich dziesięć – nie dzieliło ich nawet pięć jardów. Rozpoznały się nawzajem w tym samym momencie i, co gorsza, swymi przenikliwymi, ostrymi jak igła oczami pani Mason wyraźnie zauważyła pozę, w jakiej Ruth stała z młodym mężczyzną, który dopiero co ją opuścił. Ręka Ruth spoczywała na ramieniu młodzieńca, przykryta czule jego drugą dłonią.

Pani Mason nie dbała o okoliczności, które spowodowały, iż powierzone jej na uczennice dziewczęta ulegały pokusie, ale była okrutnie nietolerancyjna, jeżeli na ich postępowanie w najmniejszym nawet stopniu oddziaływała siła tej pokusy. Ów brak tolerancji nazywała „dbałością o dobre imię zakładu”. Dużo lepiej, bardziej po chrześcijańsku czyniłaby wówczas, gdyby dbała o dobre imię swych dziewcząt, otaczając je baczną troską i matczyną opieką.

W dodatku tego wieczoru była rozdrażniona. Jej brat zawiózł ją do Henbury okrężną drogą, aby przekazać niemiłe nowiny o złym prowadzeniu się jej najstarszego syna, który był ekspedientem w sklepie bławatnym w sąsiednim mieście. Niezmiernie gorszył ją brak stateczności, niemniej nie miała ochoty kierować swego oburzenia we właściwą stronę – na własnego syna, nicponia. Tak naładowana gniewem (jej brat bowiem słusznie stanął był w obronie nauczyciela i kolegów syna, których ona atakowała), dostrzegła Ruth stojącą z kochankiem, daleko od domu, o tak późnej porze wieczornej i zagotowała się w nieokielznanej złości.

– Panno Hilton, ma pani tu natychmiast podejść – wykrzyknęła ostro. Następnie, zniżając głos do cichego, zjadłego tonu zmasowanego gniewu, rzekła do drżącej winowajczyni:

– Nie próbuj pokazywać więcej swojej twarzy w moim domu po tym, coś tu dzisiaj wyczyniała. Widziałam ciebie, i tego twojego absztyfikanta też. Nie toleruję plam na charakterze moich uczennic. Ani słowa. Widziałam wystarczająco. Jutro napiszę do twojego opiekuna i o wszystkim mu doniosę.

Koń ruszył, niecierpliwie czekając dalszej jazdy, i Ruth została sama, nieruchoma, chora i blada, jak gdyby błyskawica wydarła jej grunt spod stóp. Nie mogła dalej stać, tak jej było niedobrze i słabo, zatoczyła się ku skarpie i opadła na nią, ukrywając twarz w dłoniach.

– Najdroższa Ruth! Czyś chora? Mów, miła! Kochanie moje, kochanie, odezwij się do mnie!

Jakże czule były to słowa w porównaniu z tamtymi, jakże ostrymi! Otworzyły krynice łez Ruth i dziewczyna zapłakała gorzko.

– O! Czy pan ją widział – czy pan słyszał, co ona powiedziała?

– Ona! Kto, kochanie? Nie płacz, Ruth; powiedz, co się stało. Kto był przy tobie? Z kim rozmawiałaś, że cię to o płacz przyprawiło?

– Och, z panią Mason. – I zdjął ją świeży przypiływ rozpacz.

– Nie może być! Jesteś pewna? Nie było mnie tutaj niecałe pięć minut.

– O, tak, proszę pana, jestem zupełnie pewna. Była taka zła; powiedziała, że nie wolno mi się tam więcej pokazywać. Ojej! Cóż ja pocznę?

Biednemu dziecku zdawało się, że słowa pani Mason są nieodwołalne i że wobec tego nie będzie już miała wstępu do żadnego domu. Dostrzegła, jak wiele z jej uczynków zasłużyło na potępienie, teraz, kiedy było już za późno, by wszystko naprawić. Pamiętała, z jaką surowością i dokuczliwością traktowała ją często pani Mason za mimowolne niedociągnięcia, których była zupełnie nieświadoma; teraz zaś naprawdę źle uczyniła i strach ją paraliżował na myśl o konsekwencjach. Oczy miała oślepione od szybko napływających łez, nie widziała zmiany w wyrazie twarzy pana Bellinghama (a gdyby zobaczyła, nie byłaby w stanie jej wytłumaczyć), gdy stał w milczeniu i ją obserwował. Milczał tak długo, że nawet w rozpaczy jęła się zastanawiać, dlaczego nic nie mówi, i zapragnęła raz jeszcze usłyszeć słowa pociechy z jego ust.

– Bardzo to niefortunne – odezwał się nareszcie; a potem zamilkł; a potem odezwał się znowu. – Bardzo to niefortunne; bo widzisz, nie chciałem wcześniej poruszać tego tematu, ale, zdaje mi się... prawdę mówiąc, jest pewna sprawa, dla której załatwienia jestem zobowiązany udać się jutro w interesach do miasta – znaczy się, do Londynu; i nie wiem, kiedy uda mi się wrócić.

– Do Londynu! – wykrzyknęła Ruth. – Wyjeżdża pan? Och, panie Bellingham! – rozpląkała się na nowo, poddając się uczuciu dojmującego żalu, który pochłaniał wszelki lęk, jakiego doświadczała na myśl o gniewie pani Mason. W owej chwili zdało jej się, że znieść mogłaby wszystko prócz jego odejścia; nie odezwała się jednak; a po upływie dwóch czy trzech minut, przemówił on – nie właściwym sobie, beztroskim tonem, lecz głosem ledwie opanowanym, niejako wzburzonym.

– Nie mogę znieść myśli o opuszczeniu ciebie, moja Ruth. Tym bardziej, gdyś tak cierpiąca; bo zupełnie nie wiem, dokąd mogłabyś pójść. Z wszystkiego tego, coś mi mówiła o pani Mason, nie sądzę, że to prawdopodobne, aby zmiętkowała się w swej surowości wobec ciebie.

Nie było odpowiedzi, a tylko cicho, nieustannie płynące łzy. Niezadowolenie pani Mason zdawało się rzeczą odległą; obecnie powodem do zmartwienia był jego wyjazd. Mówił dalej:

– Ruth, pojechałabyś ze mną do Londynu? Kochanie moje, nie mogę cię tutaj zostawić bez domu; już sama myśl, że w ogóle mógłbym cię opuścić, jest wystarczająco bolesna, ale w tych okolicznościach – gdyż zupełnie bez przyjaciół, zupełnie bez domu – jest to niemożliwe. Trzeba, miła, byś pojechała ze mną i mi zaufała.

Nadal milczała. Trzeba pamiętać, jak była młoda i niewinna i jak brakowało jej matki! Zdawało jej się, że wystarczającym szczęściem byłoby z nim być; co się zaś tyczyło przyszłości, on by się wszystkim zajął i o wszystkim zdecydował. Przyszłość była spowita złotą mgłą, której dziewczyna nie chciała badać; lecz jeżeli on, jej słońce, zniknąłby z oczu, przepadł, owa złota mgielka stałaby się ciemną, gęstą posepnością, przez którą nie przedostałby się żaden promyk nadziei. Ujął jej dłoń.

– Nie wyjedziesz ze mną? Czyżbyś nie kochała mnie na tyle mocno, by mi zaufać? Och, Ruth – (z wyrzutem) – nie zaufasz mi?

Przestała płakać, ale szlochała ze smutkiem.

– Ukochana, nie mogę tego znieść. Twój żal sprawia mi prawdziwy ból; lecz jeszcze gorzej jest czuć to, jak bardzo jesteś obojętna – jakże niewiele dbasz o nasze rozstanie.

Puścił jej rękę. Ponownie wybuchnęła płaczem.

– Być może będę musiał dołączyć do matki w Paryżu; nie wiem, kiedy znów ciebie zobaczę. Och, Ruth! – rzekł namiętnie – czy ty mnie w ogóle kochasz?

Powiedziała coś bardzo cicho; nie dosłyszał, mimo że pochylił głowę – lecz ponownie chwycił jej dłoń.

– Co powiedziałaś, kochanie? Czy nie to, że mnie kochasz? Miła moja, kochasz! Widzę to w drzeniu twej drobnej dłoni; a zatem nie pozwolisz, abym odszedł sam, nieszczęśliwy, szalenie zaniepokojony tym, co będzie z tobą? Nie ma dla ciebie żadnej innej drogi; moje biedne dziewczątka nie ma przyjaciół, którzy by je przyjęli. Pójdę do domu natychmiast i powrócę za godzinę z powozem. Ruth, twoje milczenie aż nadto mnie uszczęśliwia.

– Och, co mogę zrobić! – wykrzyknęła. – Panie Bellingham, powinien mi pan pomóc,

a zamiast tego oszałamia mnie pan tylko.

– Jakże to, Ruth, najdroższa? Oszałamiam cię! Mnie wydaje się to bardzo jasne. Spójrz na sprawę uczciwie! Oto ty, sierota, kochana przez jedną tylko osobę, biedne dziecko!... Odrzucona, nie z własnej winy, przez jedyną istotę, od której masz prawo cokolwiek oczekiwać, a istotą tą jest tyranka, nieugięta kobieta; cóż może być bardziej naturalnego (a będąc naturalnym, również słusniejszego)), niż oddanie się pod opiekę tego, który kocha cię serdecznie – który dla ciebie przeszedłby przez ogień i wodę – który chroniłby cię od wszelkiego zła? Chyba że, jak podejrzewam, ty istotnie o niego nie dbasz. Jeżeli tak jest, Ruth, jeżeli o mnie nie dbasz, to byłoby lepiej, gdybyśmy się rozstali – odejść natychmiast; lepiej będzie mi odejść, jeżeli o mnie nie dbasz.

Powiedział to bardzo smutno (tak przynajmniej zdawało się Ruth) i zrobił ruch, jak gdyby chciał wycofać rękę z jej dłoni, lecz ona trzymała ją teraz z delikatną siłą.

– Niech mnie pan nie opuszcza, proszę. To prawda, że ja nie mam innych przyjaciół prócz pana. Proszę mnie nie opuszczać. Ale, och! Niechże mi pan powie, co mam robić.

– A jeżeli powiem, czy uczynisz to, co zaproponuję? Jeżeli mi zaufasz, postaram się pomóc ci najlepiej jak potrafię. Poradzę ci jak umiem najlepiej. Widzisz, w jakim jesteś położeniu. Pani Mason napisze do twego opiekuna i przedstawi własną, przejawioną wersję zdarzeń; z tego, co mówiłaś, nie łączy go z tobą żadne silne przywiązanie, więc cię odrzuci; ja, który mógłbym okazać ci przyjaźń – być może za pośrednictwem mej matki – ja, który mógłbym przynajmniej dać ci odrobinę pociechy (czyż nie jest tak, Ruth?), wyjadę daleko, daleko stąd na czas nieokreślony; w takim oto położeniu obecnie się znajdujesz. Proponuję zatem, co następuje. Chodź ze mną do tej małej gospody; zamówię dla ciebie herbatę – (pewien jestem, że bardzo ci jej trzeba) – i zostawię cię tam, i pójdę do domu po powóz. Wrócę najpóźniej za godzinę. Wówczas będziemy razem, niech się dzieje co chce; mnie to wystarczy; a tobie, Ruth? Powiedz: tak – powiedz choćby szeptem, ale daj mi rozkosz płynącą z usłyszenia tego słowa. Ruth, powiedz: tak.

Cicho i delikatnie, z dużym wahaniem, zabrzmiało „Tak”; zgubne słowo niosące za sobą nieskończone konsekwencje, których sobie nie wyobrażała. Myśl, że oto może z nim być, była wszystkim, wszystkim.

– Jak ty drżysz, moje kochanie! Zimno ci, miła! Chodź do środka, a ja natychmiast zamówię herbatę i już wychodzę.

Powstała i wsparłszy się o jego ramię, weszła do gospody. Trzęsła się i w głowie jej się kręciło ze wzburzenia ostatniej godziny. Pan Bellingham pomówił z grzecznym oberżystą, który skierował ich do schludnej bawialni z oknami wychodzącymi na ogród z tyłu domu. Wpadająca przez ich otwarte skrzydła wieczorna woń zdążyła wypełnić pokój, nim usłużny gospodarz zamknął je pośpiesznie.

– Herbata dla tej pani, natychmiast! – oberżysta znikł. – Ruth, najdroższa, muszę już iść; nie ma ani chwili do stracenia; obiecaj mi, że napijesz się herbaty, bo drżysz na całym ciele i jesteś błada jak śmierć z przerażenia, o które przyprawiła cię ta okropna kobieta. Muszę już iść; za pół godziny będę z powrotem – a wtedy, kochanie, już się więcej nie rozstaniemy.

Ucałował jej bladą, zimną twarz i odszedł. Pokój zawirował jej przed oczami; to był sen – dziwny, urozmaicony, zmieniający się sen – gdzie w jednej scenie był jej dawny dom dziecinny, w drugiej zaś przerażenie spowodowane nagłym pojawieniem się pani Mason; później zaś najdziwniejsza, najbardziej oszałamiająca, najszcześniejsza ze wszystkich świadomość miłości tego, który był dla niej całym światem; i wspomnienie czułych słów, które wciąż jeszcze obijały się cichym, delikatnym echem w jej sercu.

Głowa bolała ją tak bardzo, że ledwie widziała; nawet przytłumione światło zmierzchu oślepiło jej biedne oczy swym blaskiem; a kiedy córka gospodarza wniosła ostre światło świec, ażeby przygotować herbatę, Ruth ukryła twarz w poduszkach kanapy z cichym krzykiem bólu.

– Boli panienkę głowa? – zapytała dziewczyna łagodnie, współczująco. – Zrobię panience herbaty i poczuje się panienka lepiej. Nie jeden raz mocna herbata wyleczyła ból głowy mej biednej matki.

Ruth szepnęła przyzwalająco; młoda dziewczyna (była mniej więcej w wieku Ruth, ale pełniła już rolę pani tego niewielkiego przybytku, ponieważ matka jej nie żyła) zaparzyła herbatę

i zaniósła filiżankę leżącej na kanapie Ruth. Ruth była rozgorączkowana i spragniona i łąpczywie wypila napój, aczkolwiek nie mogła tknąć chleba z masłem, który dziewczyna jej podała. Poczua się lepiej, bardziej rześko, mimo że wciąż jeszcze była słaba i omdlewająca.

– Dziękuję – powiedziała. – Nie chciałabym pani zatrzymywać; pewno jest pani zajęta. Była pani bardzo uprzejma, a herbata ogromnie mi posłużyła.

Dziewczyna wyszła z pokoju. O ile wcześniej było Ruth zimno, o tyle teraz – gorąco, toteż poszła otworzyć okno i wychyliła się ku nieruchomemu, słodkiemu wieczornemu powietrzu. Dokoła czuć było woń krzewu róży pod oknem i rozkoszny ten zapach przypomniiał jej dawny dom. Zdaje mi się, że zapachy wpływają na pamięć i przyspieszają jej działanie lepiej aniżeli obrazy czy dźwięki; Ruth bowiem natychmiast stanął przed oczami ogródek pod oknem pokoju matki i starzec wsparty na swym kijku, obserwujący ją tak samo, jak czynił to niecałe trzy godziny temu, tego samego popołudnia.

– Drogi stary Thomas! On i Mary przyjęliby mnie, jak sądzę; kochaliby mnie jeszcze więcej, gdybym była wyrzutkiem. A pan Bellingham być może nie wyjechałby na bardzo długo; i wiedziałby, gdzie mnie znaleźć, jeżeli bym zamieszkała w Milham Grange. Och, czy nie lepiej byłoby udać się do nich? Ciekawam, czy byłoby mu bardzo przykro! Nie zniósłabym tego, gdybym mu przykrość sprawiła, przecież był dla mnie taki dobry; ale wydaje mi się, że lepiej by było pójść do nich i w każdym razie zapytać o radę. On by tam za mną przyszedł; i mogłabym pomówić o tym, co powinnam uczynić, z trojgiem najlepszych przyjaciół, jakich mam – z jedynymi przyjaciółmi, jakich mam.

Włożyła kapelusz i otworzyła drzwi bawialni; lecz wówczas zauważyła dużą kanciastą sylwetkę właściciela stojącego u otwartych drzwi wejściowych, palącego wieczorną fajkę, majaczącą wyraźnie na tle ciemnego nieba i krajobrazu na zewnątrz. Ruth przypomniiała sobie o herbacie, którą wypila; należało za nią zapłacić, a nie miała przy sobie pieniędzy. Obawiała się, że nie pozwoli jej opuścić domu bez zapłaty. Pomyślała, że zostawi panu Bellinghamowi liścik, oznajmiając w nim, dokąd się udała i że pozostawiła nieuregulowany dług, ponieważ wszystkie rozterki jawiły się jej (jak to dziecku) jako równoważne; a trudność, jaką byłoby przejście obok gospodarza, gdy tam stał, oraz udzielenie mu wyjaśnień odnośnie do okoliczności (o ile wyjaśnienia takie mu się należały), zdawała się nie do pokonania i równie niezręczna oraz pełna niedogodności, jak o wiele poważniejsze sytuacje. Po napisaniu ołówkiem liściku raz po raz wyglądała z pokoju, aby sprawdzić, czy drzwi wyjściowe nadal są zagrodzone. A on tam stał w bezruchu, rozkoszując się fajką i wyglądając w ciemność, która zgęstniała wraz z nadejściem nocy. Powietrze zaniósło kłęby tytoniowego dymu w głąb domu, sprowadzając znów na Ruth ból głowy. Energia ją opuściła; stała się otepiąta i ospała, niezdolna do ożywionego wysiłku; zmieniła plan działania – postanowiła, że poprosi pana Bellinghama, aby zabrał ją do Milham Grange, pod opiekę skromnych przyjaciół, miast do Londynu. W swej naiwności zaś pomyślała, że on natychmiast się zgodzi po wysłuchaniu jej wywodu.

Zerwała się. Pod drzwi zajechał powóz. Uspokajała swe bijące serce i usiłowała opanować tętnienie w głowie, aby nasłuchiwać. Usłyszała, jak rozmawia z gospodarzem, chociaż nie potrafiła rozpoznać słów; usłyszała brzęk pieniędzy, a po chwili on był w pokoju i chwycił jej ramię, aby ją zaprowadzić do powozu.

– Och, proszę pana! Chcę, żeby mnie pan zabrał do Milham Grange – oznajmiła, zatrzymując się. – Stary Thomas udzieli mi domu.

– Cóż, najdroższa, pomówimy o wszystkim w powozie; pewien jestem, że wysłuchasz głosu rozsądku. Nie, jeżeli chcesz jechać do Milham, musisz wsiąść do powozu – rzekł pośpiesznie. Nie przywykła do tego, aby opierać się czyjejkolwiek woli – posłuszna i potulna z natury, i niewinna, nie podejrzewała, jak szkodliwe mogą być następstwa. Wsiadła do powozu i wyruszyła w kierunku Londynu.

ROZDZIAŁ V

W północnej Walii

Czerwiec roku 18... był wspaniały i słoneczny, i pełen kwiecica; lipiec tymczasem nadszedł rześystym deszczem i była to pora posępna dla podróżnych oraz dla szukających pogody letników, którzy leniuchowali dzień za dniem, wykańczając rysunki, szykując przynętę i czytając po raz dwudziesty owych kilka tomów, które przywieźli byli ze sobą. Egzemplarz Timesa sprzed pięciu dni cieszył się nieustającym zainteresowaniem gości w każdym z saloników pewnej karczmy w niewielkiej górskiej wiosce w północnej Walii przez cały długi poranek lipcowy. Okoliczne doliny spowijała gęsta, zimna mgła, która zakradła się zboczami wzgórz aż do samej osady, otulając ją gęstą białą kurtyną, tak że z okien gospody nie było widać żadnego z okalających ją pięknych krajobrazów. Letnicy, którzy gromadzili się w pokojach, mogli byli równie dobrze „zostać ze swoimi dzieciątkami po domach”; tak też niektórzy z nich zdawali się myśleć, gdy stali z twarzami przyciśniętymi do szyb, wyglądając na zewnątrz w poszukiwaniu wydarzenia, które mogłoby wypełnić ów posępny czas. Jak wiele wczesnych obiadów podano tego dnia, ażeby w ten sposób przyspieszyć upływ przedpołudnia – biedna walijska panna kuchenna wiedziała o tym najlepiej! Nawet wioskowe dzieci nie wychodziły z domów; a jeżeli jedno lub dwoje co bardziej śmiałych wykradło się do krainy pokus i kałuż, rozgniewane, zapracowane matki wkrótce wciągały je z powrotem.

Była dopiero czwarta, lecz większość gości oberży sądziła, że jest już pewno między szóstą a siódmą, ranek wydawał się przecież taki długi – tyle godzin upłynęło od obiadu – kiedy zaprzęgnięty w dwa konie powóz zaterkotał rażno pod drzwiami. W każdym oknie przybytku pojawiły się na ten dźwięk twarze; poodłaniano skórzane zasłony ku zaspokojeniu ciekawych oczu, a z powozu wyskoczył pan, który ostrożnie zaprowadził do oberży porządnie opatuloną w płaszcz panią pomimo zapewnień ze strony gospodyni, że nie ma wolnych pokoi.

Dżentelmen ów (był to pan Bellingham) nie zwracał uwagi na to, co mówi oberżystka, lecz przeprowadził milczący nadzór nad rozpakowywaniem powozu i zapłacił forysiewi; następnie, odwróciwszy się twarzą do światła, odezwał się do gospodyni, która w ciągu ostatnich pięciu minut coraz bardziej podnosiła głos.

– No, Jenny, dziwnieś się zmieniła, skoro potrafiłabyś nie przyjąć starego przyjaciela w taki wieczór jak dziś. Jeżeli dobrze pamiętam, Pen trê Voelas jest oddalone o dwadzieścia mil i to najpodlejszą górską drogą, jaką kiedykolwiek widziałem.

– To prawda, proszę pana, ale nie rozpoznałam pana; pan Bellingham, jak sędzę. Zaiste, proszę pana, Pen trê Voelas leży nie więcej jak osiemnaście mil stąd – liczymy sobie tylko za osiemnaście; może być niewiele ponad siedemnaście; a nasze pokoje naprawdę zajęte co do jednego, niestety.

– Ależ Jenny, przecież mogłabyś wyświadczyć staremu przyjacielowi przysługę i niektórym spośród swych gości znaleźć pokoje gdzie indziej – na przykład w domu po drugiej stronie.

– Zaiste, proszę pana, mają tam wolne miejsca; być może pan sam byłby łaskaw się tam zainstalować; mogłabym zdobyć dla pana najlepsze pokoje i posłać co nieco z mebli, jeśli te, co tam mają, nie odpowiadają panu.

– Nie, Jenny! Zostaję tutaj. Nie nakłanisz mnie do tego, abym zaryzykował najem tamtych pokoi, których brud dobrze znam. Czy nie mogłabyś przekonać kogoś, kto nie jest twym starym znajomym, aby się tam przeprowadził? Jeżeli chcesz, możesz powiedzieć, że ja już wcześniej pisałem, aby zamówić te pokoje. Och, wiem, że sobie poradzisz – wiem, jaka jesteś miła.

– Zaiste, proszę pana – no cóż! Zobaczą, tymczasem, proszę pana, gdyby mogli państwo wejść do bawialni z tyłu domu – w tej chwili nikogo tam nie ma; pani nie wstanie dzisiaj z łóżka, bo przeziębiona, a pan gra właśnie w wista pod trójką. Zobaczą, co da się zrobić.

– Dziękuję, dziękuję. Czy na kominku pali się ogień? Jeżeli nie, trzeba go rozpaścić. Chodź, Ruthie, chodź.

Zaprowadził ją do dużego pokoju o wykuszowych oknach, który tego popołudnia zdawał się dosyć ponury, mimo to dojrzałam tam ożywienie i radość płynącą z młodości i nadziei i czerpaną ze słonecznej poświaty, która pełzła w dół stoku wzgórze i zakradała się miękkimi zielonymi łąkami aż pod sam ogródek pełen róż i krzewów lawendy rosnących tuż pod oknem. Dojrzałam je – lecz więcej ich już nie zobaczę.

– Nie wiedziałam, że pan już tu kiedyś był – rzekła, kiedy pan Bellingham pomagał jej zdjąć płaszcz.

– A tak; trzy lata temu byłem tutaj na wakacjach z przyjaciółmi. Spędziliśmy tu ponad dwa miesiące, zachęteni serdecznością Jenny i jej dziwactwami; w końcu jednak przegnał nas stąd nieznośny brud. Jednakże przez tydzień lub dwa nie będzie on aż takim utrapieniem.

– Ale czy ona może nas przyjąć, proszę pana? Zdawało mi się, iż powiedziała, że dom jest pełny.

– O, tak, zdaje się, że tak jest; ale dobrze jej zapłacę; z łatwością wytłumaczy się jakiemuś nieszczęśnikowi i wyśle go do gospody po drugiej stronie wzgórze; to tylko na dzień lub dwa, abyśmy mieli się gdzie schronić, zatem nie jest to szczególnie ważne.

– A czy my nie moglibyśmy udać się do tej drugiej gospody, proszę pana?

– I kazać sobie dostarczać posiłki, które zdążyłyby już dobrze wystygnąć, nie mówiąc o tym, że nie byłoby kogo złać za złe gotowanie. Ty jeszcze nie znasz tych ustronnych walijskich oberży, Ruthie.

– Nie! Pomyślałam po prostu, że to chyba niezbyt ładnie... – odparła łagodnie; nie dokończyła jednak zdania, bo pan Bellingham ułożył usta w gwizdek i podszedł do okna, aby badać deszcz.

Wspomnienie jego poprzedniej sowitej zapłaty podsunęło pani Morgan wiele kłamstewek, których była winna owego popołudnia, zanim udało jej się odprawić pana i panią, którzy zamierzali pozostać co najwyżej do nadchodzącej soboty, toteż gdyby spełnili swą groźbę i wyjechali następnego dnia, nie byłaby na tym zbyt stratna.

Kiedy wszystko zostało ustalone i załatwione, pocieszyła się na osobności herbatą we własnym saloniku i oddała przenikliwym rozważaniom nad okolicznościami przybycia pana Bellinghama.

– Zaiste! Ona przecie nie jest jego żoną – pomyślała – to jasne jak słońce. Żona przywiozłaby pokojówkę i sadziłaby się jak nie wiem kto po salonach; tymczasem ta biedna panienka wcale się nie odzywała, tylko siedziała cicho jak myszka. Zaiste, a młodzi panowie będą młodymi panami; i dopóki ojcowie ich i matki przymykają oko, to nie ma potrzeby, ażebym się mieszała w ich sprawy i wypytywała.

W ten sposób osiedli tam na tydzień, aby cieszyć się urodą górzystej krainy. Dla Ruth była to najprawdziwsza radość. Budziła się w niej nowa wrażliwość; wyobrażenia o niezmiernym pięknie i dostojności wypełniały jej umysł na widok gór, które teraz ujrzała po raz pierwszy w całym majestacie. Uczucie jakiejś nieokreślonej, uroczystej rozkoszy niemal ją obezwładniało; wkrótce jednak obdarzyła te góry miłością równie silną, co ów podziw, więc nocami wstawiała po cichu i zakradała się do okna, by ujrzeć białą poświatę księżycową, która nadawała nowy wygląd wiecznotrwałym wzgórzom opasującym górską wioskę.

Śniadanie jedli późno, zgodnie z upodobaniami i nawykami pana Bellinghama; Ruth jednakże wstała wcześniej i wyprawiła się na dwór, strząsając krople rosy z niskiej, świeżej trawy; wysoko ponad jej głową śpiewał skowronek i nie wiedziała, czy idzie, czy stoi w bezruchu, ponieważ majestat tej pięknej ziemi pochłaniał wszelką myśl o samodzielnym, osobnym istnieniu. Nawet słota sprawiała jej przyjemność. Siadywała wówczas w wykuszu w bawialni (chętnie wyszłaby na dwór, ale takie postępowanie drażniło pana Bellinghama, który na ogół w takich

razach spędzał ponure godziny na kanapie i rozładowywał się, złorzecząc pogodzie); widziała, jak prędkie krople kapuśniaczku tną w poprzek słońca niczym mknące srebrne strzały; obserwowała, jak fioletowa ciemność ogarnia porośnięte wrzosem zbocze górskie, po niej zaś następuje bladozłoty blask. Nie było w naturze przemiany, która nie byłaby w oczach Ruth swoiście, osobliwie piękna; jednakże bardziej zadowolony byłby pan Bellinghama, gdyby narzekła na zmienny klimat; wyrazy podziwu i zadowolenia z jej strony złościły go i dopiero jej śliczne ruchy oraz kochające oczy łagodziły jego zniecierpliwienie.

– Ruth, doprawdy – wykrzyknął pewnego dnia, kiedy to deszcz uwięził ich w domu na całe przedpołudnie – można by pomyśleć, żeś ty nigdy wcześniej nie widziała kapuśniaczku ani deszczu; męczę mnie, gdy widzę, jak siedzisz i obserwujesz tę obmierzłą pogodę z tak spokojnym wyrazem twarzy; a w ciągu ostatnich dwóch godzin nie powiedziałaś niczego ciekawszego ani zabawniejszego od: „Och, jak pięknie” albo „Nad Moel Wynn nadciąga kolejna chmura”.

Ruth po cichutku wstała i zajęła się robótką. Żałowała, że nie posiada daru zabawiania; mężczyzna przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju czynnych zajęć nudzi się chyba zamknięty w domu. Przywołano ją do rzeczywistości z całkowitego samozapomnienia. Cóż takiego mogłaby powiedzieć, co zainteresowałoby pana Bellinghama? Gdy rozmyślała, on odezwał się znowu:

– Pamiętam, że gdyśmy przed trzema laty byli tu na wakacjach, mieliśmy tydzień takiej samej zupełnie pogody jak ta; ale Howard i Johnson umieli pierwszorzędnie grać w wista, a i Wilbraham nie był najgorszy, toteż doskonale przetrwaliśmy te dni. Ruth, czy ty umiesz grać w *écarté* lub w pikietę^[13]?

– Nie, proszę pana; czasami grywałam w wojnę – odparła pokornie, bolejąc nad swymi brakami.

Zamamrotał zniecierpliwiony i zamilkł ponownie na pół godziny. Następnie skoczył i gwałtownie zadzwonił.

– Poproś panią Morgan o talię kart. Ruthie, nauczę cię *écarté* – oznajmił.

Ale Ruth była głupia, jakby grał z kukłą, orzekł; a grać z samym sobą to żadna zabawa. Cisnął zatem kartami i rozsypały się na stole – na podłodze – wszędzie. Ruth je pozbiierała. Gdy się podniosła, westchnęła cicho z przygnębienia, które wynikało z żalu, że nie włada umiejętnością rozweselania ani zajmowania uwagi tego, którego kocha.

– Błada jesteś, kochanie! – rzekł, na wpół żalując gniewu, który okazał wobec jej pomyłek przy kartach. – Zażyj spaceru przed obiadem; wszak nie przeszkadza ci ta przekłeta pogoda; a pamiętaj, aby wrócić do domu z głową pełną przygód, o których będziesz mogła opowiedzieć. No, głuptasie! Pocałuj mnie i zmykaj.

Opuściła pokój z poczuciem ulgi; jeśli bowiem bez niej będzie mu nudno, nie poczuje się odpowiedzialna ani nieszczęśliwa, że to przez jej głupotę. Otwarte powietrze, ów kojący balsam, który szlachetna matka natura ofiaruje wszystkim w godzinie przygnębienia, przyniósł jej ulgę. Deszcz ustał, chociaż każdy liść i źdźbło ugięło się pod ciężarem drżących, lśniących kropel. Ruth zeszła do kolistej doliny, w którą wpadała brunatna spieniona górską rzeką, tworząc głębokie rozlewisko, i odpocząwszy tam przez chwilę, zbiegła dalej rumowiskiem do położonej poniżej kotliny. Wodospad był wspaniały, tak jak się spodziewała; pragnęła wydłużyć trasę spaceru do przeciwnego brzegu strumienia, poszukała zatem głazów, po których zwykle przeprawiano się na drugą stronę, a które skryte były w cieniu drzew rosnących kilka metrów od rozlewiska. Woda rwała prędko i gwałtownie, wrząc pośród szarych odłamków skalnych; ale Ruth się nie lękała i kroczyła naprzód lekko i pewnie. Jednakże mniej więcej po środku była ogromna luka; jeden z kamieni albo był tak głęboko zanurzony pod wodą, że stał się niewidzialny, albo prąd poniósł był go dalej; tak czy inaczej odległość do przeskoczenia była duża, toteż Ruth przez chwilę zawahała się przed skokiem. Odgłos pędzącej wody sprawiał, że nie dochodził jej uszu żaden inny dźwięk; oczy miała skupione na prędkim nurcie pod stopami; więc przestraszyła się, dostrzegłszy postać stojącą blisko na jednym ze znajdujących się przed nią kamieni i słysząc głos proponujący pomoc.

Podniosła wzrok i ujrzała mężczyznę, który najwyraźniej dawno minął już wiek średni, i o wzroście karła; drugie spojrzenie pozwoliło wyjaśnić niski wzrost mówiącego, wówczas zauważyła bowiem, że jest ułomny. Kiedy umysł Ruth zdał sobie sprawę z owego kalectwa, musiał

dać temu świadectwo w złagodniałym wyrazie jej oczu, ponieważ na twarz ułomnego pana wypłynął blady rumieniec, kiedy powtórzył swe słowa:

– Woda tutaj bardzo wartka; czy zechce mnie pani chwycić za rękę? Może mógłbym pani pomóc.

Ruth przyjęła propozycję i z jego pomocą w okamgnieniu znalazła się po drugiej stronie. Ustąpił jej drogi, aby ruszyła przed nim wąską ścieżką leśną i w milczeniu podążył za nią w górę wąwozu.

Kiedy wyszli z lasu na pastwiska, Ruth ponownie odwróciła się, aby mu się przyjrzeć. Na nowo uderzyło ją łagodne piękno jego twarzy, aczkolwiek było w niej coś, co mówiło o ułomności ciała, coś ponad bladość właściwą słabemu zdrowiu, coś na kształt bystrego uduchowionego światła w głęboko osadzonych oczach, wrażliwość wokół ust; ogólnie rzecz jednak biorąc, jakkolwiek osobliwa, była to twarz niezwykle pociągająca.

– Czy pozwoli pani potowarzyszyć sobie, jeżeli zamierza pani iść przez Cwm Dhu, a podejrzewam, że tak właśnie jest? Ubiegłonocna burza zerwała poręcz z drewnianego mostku, a wartki nurt może przyprawić o zawrót głowy; a upaść tam byłoby doprawdy niebezpiecznie, bo strumień bardzo głęboki.

Szli dalej, nie mówiąc wiele. Ruth zastanawiała się, kim jest jej towarzysz. Rozpoznałaby go, gdyby ujrzała go była pośród nieznajomych w gospodzie; niemniej zbyt dobrze władał angielskim, aby być Walijszczykiem; tak doskonale znał tę krainę i ścieżki, że najpewniej tutaj mieszkał; w wyobraźni przerzucała go zatem z Anglii do Walii i z powrotem.

– Przyjechałem tu dopiero wczoraj – oznajmił, gdy rozszerzenie w ścieżce umożliwiło kroczenie ramię w ramię. – Ubiegłego wieczoru zawędrowałem do wyższych wodospadów; są przewspaniałe.

– Wyszedł pan w takim deszczu? – zapytała nieśmiało.

– O, tak. Deszcz nigdy nie powstrzymuje mnie od przechadzki. Prawdę mówiąc, krainie takiej jak ta dodaje jeszcze świeżego piękna. Poza tym niewiele mam czasu na wycieczki. Nie mogę sobie pozwolić na to, aby zmarnować choćby dzień.

– Więc pan tutaj nie mieszka? – zapytała Ruth.

– Nie! Mój dom jest zgoła gdzie indziej. Mieszkam w bardzo ruchliwym mieście, gdzie niekiedy trudno jest dostrzec prawdę w stwierdzeniu, iż:

W strumieniu życia ogłuszającym,
gdzie zbrodnia z troską znaczy dni,
melodia życia czasem się łączy
z przedwiecznym hymnem, co stale brzmi.

Ci, co muzykę w sercach tę noszą,
przez mroczną ścieżkę i tłumny targ
wędrują rażno i żwawo kroczą,

w skrytości bowiem dusz swoich warg
ów święty refren codziennie głoszą^[14].

Jestem na dorocznych wakacjach, które na ogół spędzam w Walii i często właśnie w tej okolicy.

– Nie dziwi mnie pański wybór – odparła Ruth. – To piękny kraj.

– Istotnie, piękny; a stary oberżysta z Conway zaszczerpił we mnie miłość do jego mieszkańców i historii, i tradycji. Nauczyłem się języka na tyle, ażeby zrozumieć wiele tutejszych legend; a niektóre są bardzo piękne i wzbudzają podziw, inne zaś bardzo poetyckie i fantastyczne.

Ruth była zbyt nieśmiała, by podtrzymywać rozmowę, wygłaszając własne uwagi, aczkolwiek jego łagodne, pełne zadumy obejście było bardzo ujmujące.

– Na przykład – rzekł, dotykając obciążonej pąkami łądygi naparstnicy w kępce zarośli pod płotem, której jeden czy dwa upstrzone karmazynowymi plamkami kwiaty wylaniały się właśnie z zielonych osłonek – podejrzewam, że nie wie pani, dlaczego ta oto naparstnica tak wdzięcznie się pochyla i kołysze. Pani myśli, że to wiatr nią porusza, prawda? – Spojrzał na nią z poważnym uśmiechem, który nie ożywił jego zamyślonych oczu, ale przydał niewysłowionej słodczy jego

twarzy.

– Zawsze myślałam, że to wiatr. Cóż zatem? – odparła niewinnie.

– O, Walijszczyki powiedzą pani, że ten kwiat jest poświęcony wróżkom i że potrafi je rozpoznać, jak również wszystkie duszki, które się tędy przemieszczają i że się im kłania z szacunkiem, gdy sobie suną dalej. Walijska jej nazwa to *Maneg Ellyllyn* – rękawiczka dobrych ludków; stąd, jak podejrzewam, nasza angielska nazwa, *folk's-glove*^[15], czy też *fox-glove*.

– To bardzo ładna fantazja – odparła Ruth bardzo zainteresowana, pragnąc, aby mówił dalej i nie oczekiwał od niej odpowiedzi.

Jednakże byli już przy drewnianym moście; przeprowadził ją na drugą stronę i pokłoniwszy się na pożegnanie, obrał inną ścieżkę, nim Ruth zdążyła podziękować za opiekę.

Była to jednak przygoda, o której można by opowiedzieć panu Bellinghamowi; ożywiła go i rozweseliła aż do poobiedniej pory, kiedy to wybrał się na przechadzkę z cygarem.

– Ruth – odezwał się po powrocie – widziałem tego twojego małego garbusa. Wygląda jak Knyps z Czubkiem^[16]. Nie jest jednak dżentelmenem. Gdyby nie kalectwo, nie rozpoznałbym go z twego opisu; nazwałaś go dżentelmenem.

– A pan uważa, że nim nie jest? – zapytała zaskoczona.

– Ależ nie! Z wyglądu jest zupełnie nędzny i niezdrowy; do tego mieszka, jak mi powiedział stajenny, nad tym okropnym sklepem ze świecami i serem, którego nieznośny zapach czuć na dwadzieścia jardów... żaden dżentelmen nie mógłby tego znieść – pewnie jest podróżnikiem bądź artystą lub kimś w tym rodzaju.

– Czy widział pan jego twarz? – zapytała.

– Nie; ale jego plecy – charakter całej jego postaci, całego *tout ensemble*^[17] pozwala wydać osąd o jego pozycji.

– Twarz miał bardzo osobliwą; zupełnie piękną! – oznajmiła łagodnie; ale temat ten nie interesował pana Bellinghama, więc go porzucił.

ROZDZIAŁ VI

Nad głową Ruth gromadzą się kłopoty

Nazajutrz pogoda była cudowna i wspaniała; doskonale „zaślubiny ziemi z niebem”^[18]; i wszyscy wylegli z gospody na dwór, aby nacieszyć się świeżym pięknem natury. Ruth była zupełnie nieświadoma, że stała się przedmiotem obserwacji, a przechadzając się lekko, pośpiesznie tam i z powrotem, nie spojrzała ni razu na drzwi czy okna, w których stało wielu przyglądających się jej obserwatorów i komentowało jej położenie bądź wygląd.

– Bardzo śliczne z niej stworzenie – oznajmił pewien pan, podnosząc się z za stołu śniadaniowego, by na nią zerknąć, gdy wchodziła po porannej wędrówce. – Podejrzewam, iż lat ma nie więcej niż szesnaście. W białej sukni wygląda bardzo skromnie i niewinnie!

Jego żona, zajęta zaspokajaniem potrzeb ślicznego chłopczyka, mogła jedynie rzec (nie dostrzegłszy skromnego obejścia i łagodnego, smutnego oblicza dziewczyny):

– Cóż! Sądzę doprawdy, że to hańba, iż wolno tu przychodzić osobom tego pokroju. I pomyśleć, taka nikczemność pod tym samym dachem! Odejdź, mój drogi, i nie pochlebiaj jej takim zainteresowaniem.

Mąż powrócił do stołu śniadaniowego; poczuł zapach pieczonej szynki oraz jajek i usłyszał polecenia żony. Czy to zapachy, czy też usłyszane rozkazy w głównej mierze sprawiły, że usłuchał, tego nie wiem; być może Czytelnik wie.

– A teraz, Harry, idź zobaczyć, czy piastunka i dziecko są już gotowe, żeby z tobą pójść. Nie wolno ci zmarnować ani chwili tego pięknego poranka.

Ruth dowiedziała się, że pan Bellingham nie zszedł jeszcze na dół; wyruszyła zatem na dodatkową półgodzinną przechadzkę. Przemykała przez wioskę, usiłując złapać wszystkie promyki słońca przeblyskujące pomiędzy zimnymi kamiennymi domami, które sprawiały, że to, co w oddali osnute było promienistością, zdawało się teraz eteryczne i dalej jeszcze położone, i przeszła obok owego sklepiku; wychodziła stamtąd właśnie piastunka z niemowlęciem oraz chłopczyk. Dziecina siedziała z pogodną godnością w ramionach piastunki, a na jej twarzy malował się wyraz godnego królowej spokoju. Jej świeża, delikatna, brzoskwiniowa cera była doprawdy kusząca; Ruth zaś, która zawsze lubiła dzieci, podeszła, aby z malutką pogaworzyć i się do niej uśmiechnąć, a po chwili zabawy w „a kuku” zamierzała ją właśnie pocałować, kiedy Harry, którego twarz czerwieniała coraz bardziej, odkąd zaczęła się ta zabawa, uniósł swą krzepką prawą rączkę i wymierzył silny cios w twarz dziewczyny.

– Och paniczu, toż to wstyd! – rzekła piastunka, odciągając jego rękę. – Jak panicz śmie tak się zachowywać wobec damy, która tak miło rozmawiała z Sissy?

– To nie jest dama – odparł z oburzeniem. – To zła, niedobra dziewczyna – tak powiedziała mama, właśnie tak; więc nie wolno jej całować naszej dziecinki.

Na to niania poczerwieniała. Wiedziała, co prawdopodobnie był usłyszał; ale niezręcznie byłoby poruszać ten temat, stojąc twarzą w twarz z ową elegancką młodą panią.

– Dzieci podchwytują takie wymysły, proszę pani – odezwała się w końcu przepraszająco do Ruth, która stała blada i nieruchoma, a w jej głowie przebiegała nowa myśl.

– To nie wymysły; to prawda, piastunko; i słyszałem, że sama tak mówisz. Odejdź, niedobra kobieto! – rzekł chłopiec w dziecinnym porywie pasji.

Ku niewysłowionej uldze piastunki Ruth odwróciła się pokornie i potulnie i odeszła powolnym, niepewnym krokiem z pochyloną głową. Lecz gdy się odwróciła, dostrzegła łagodną, smutną twarz kalekiego pana, który siedział przy otwartym oknie nad sklepem; wyglądał smutniej

i poważniej niż kiedykolwiek; jego oczy zaś wejrzały w jej z wyrazem głębokiego żalu. Tak oto potępiona jednogłośnie przez młodych i starych, zakradła się lęklwym krokiem do gospody. Pan Bellingham czekał na jej przybycie w bawialni. Cudowny dzień przywrócił całą jego pogodę ducha. Gadał wesoło, nieprzerwanie, nie czekając na odpowiedź; Ruth tymczasem zajęła się zaparzaniem herbaty, usiłując przy tym uspokoić serce, które wciąż jeszcze było ze wzburzenia spowodowanego nowymi wyobrażeniami, jakich dostarczyło jej owo poranne zajście. Szczęśliwie jedynymi odpowiedziami, jakich przez pewien czas od niej wymagano, były pojedyncze sylaby; lecz tych kilka słów wymówiła tonem tak przygnębionym i żalonym, że wreszcie pan Bellingham poczuł zaskoczenie i niezadowolenie, ponieważ ton ów był nieświadomym dowodem stanu umysłu, który nie harmonizował z jego własnym samopoczuciem.

– Ruth, co się dzieje? Bardzo jesteś dziś rano nieznośna. Wczoraj, kiedy wszystko było ponure i być może zauważyłaś moje przygnębienie, nie słyszałem niczego, prócz wyrazów zachwyty; dzisiaj, kiedy raduje się każde stworzenie pod słońcem, wyglądasz na pogrążoną w żalu i rozpacz. Powinnaś doprawdy nauczyć się odrobiny współczucia.

Łzy płynęły szybko po policzkach Ruth, lecz nie odezwała się. Nie potrafiła wyrazić słowami wrażenia, które zaczynało właśnie jawić się w jej myślach odnośnie do opinii, jaką od tej pory miano jej wystawiać. Pomyślała, że byłby zgryziony równie jak ona silnie na wieść o porannym zajściu; wyobrażała sobie, że pogrąży się w jego oczach, jeżeli mu powie, jak inni ją postrzegają; poza tym małodusznością z jej strony byłoby roztrząsać się nad cierpieniem, którego przyczyną był on.

„Nie zatruję żalem jego życia – pomyślała. – Spróbuję być wesoła. Nie wolno mi myśleć tak dużo o sobie. Jeżeli tylko potrafię go uszczęśliwić, to czyż muszę dbać o przypadkowe uwagi?”

Dołożyła przeto wszelkich możliwych starań, aby być równie jak on beztroską; lecz z jakiejś przyczyny gdy tylko się odprężała, zaczynały ją nachodzić myśli, do głowy zaś cisnęły się pytania; toteż ogólnie rzecz ujmując, nie była teraz tą radosną, urzekającą towarzyszką, za którą dotąd pan Bellingham ją uważał.

Wyruszyli na przechadzkę. Ścieżka, którą obrali, prowadziła do lasu na zboczu wzgórza i weszli tam radzi z dostarczanego przez drzewa cienia. Z początku wyglądał jak każdy inny zagajnik, lecz wkrótce dotarli do stromego zejścia, u którego szczytu stanęli, spoglądając w dół na wierzchołki drzew falujące łagodnie u ich stóp. Była tam prowadząca stromo w dół ścieżka i na nią wkroczyli; występ skalny sprawił, że szło się niemalże jak po schodach; chód przeobraził się w skoki, skoki zaś w bieg, zanim dotarli do najniższej położonej płaszczyzny. Panowała tam ponura zieleń; była bezgłośna godzina południowa; ptaszki milczały gdzieś w cieniu listowia. Poszli dalej kilka jardów i dotarli do kolistego stawu przysłoniętego drzewami, których najwyższe konary przed kilkoma minutami znajdowały się u ich stop. Staw był właściwie na równym poziomie z podłożem, nie zaś w obniżeniu i po żadnej ze stron nie było niczego na kształt brzegowego wzniesienia. Stała tam w bezruchu czapla, lecz gdy ich zobaczyła, zatrzepotała skrzydłami i wzbiła się z wolna, i poszybowała ponad zielonym dachem lasu aż do samego nieba, na tej bowiem głębokości drzewa zdawały się dotykać obłych białych chmur, które zawisły nad ziemią. W najpłytszych wodach stawu i wokół całej jego krawędzi rósł przetacznik, lecz zrazu kwiaty były prawie niedostrzegalne, tak głęboki był zielony cień rzucany przez drzewa. W samym środku stawu odbijało się niebo, czyste, ciemne, niebieskie, a wyglądało tak, jak gdyby poza nim rozpościerała się czarna nicość.

– O, są tam lilie wodne – rzekła Ruth, gdy wzrok jej zatrzymał się na dalszym brzegu. – Muszę koniecznie trochę nazrywać.

– Nie; ja ci przyniosę. Ziemia jest tutaj wszędzie gąbczasta. Siedź spokojnie, Ruth; ta kępa trawy będzie pierwszorzędnym siedziskiem.

Poszedł więc, a ona czekała cicho na jego powrót. Gdy wrócił, bez słowa zdjął jej kapelusz i jął wplatać we włosy kwiaty. Nie ruszała się wcale, kiedy układał jej diadem i patrzyła na jego twarz kochającymi oczami, całkowicie opanowana. Po jego obejściu poznała, że jest zadowolony, bo była w nim radość dziecka bawiącego się nową zabawką, toteż nie zastanawiała się nad jego zajęciem. Miło było zapomnieć o wszystkim z wyjątkiem jego przyjemności. Kiedy już ją wystroił, powiedział:

– I już, Ruth! Teraz jest w sam raz. Chodź, przejrzyj się w stawie. Tutaj, gdzie nic nie rośnie. Chodź.

Posłuchała i trudno jej było nie dostrzec własnej urody; chwilowo przyniosło jej to zadowolenie, tak jak były to uczynił widok jakiegokolwiek innego pięknego obiektu, lecz wcale nie skojarzyła tego uczucia ze sobą. Wiedziała, że jest piękna; ale to piękno zdawało się nienamacalne, z nią niezłączone. Jej istnienie skupiało się w odczuwaniu, myśleniu i kochaniu.

W owej zielonej kotłince byli zupełnie zgodni. Piękno Ruth było wszystkim, o co dbał pan Bellingham, a było doskonałe. Było wszystkim, co w niej zauważał i z czego był dumny. Stała w białej sukni na tle rosnących dokoła drzew; twarz miała zarumienioną olśniewającą barwą, która przypominała różę w czerwcu; wielkie, ciężkie białe kwiaty opadały po obu stronach jej pięknej głowy, a jeżeli nawet jej brązowe włosy były w lekkim nieładzie, sam ów nieład zdawał się przydawać jej jeszcze tylko wdzięku. Bardziej podobała mu się wówczas, gdy wyglądała tak uroczo, aniżeli wówczas, gdy usiłowała wszystkimi czułymi zabiegami dogodzić jego zmiennym nastrojom.

Lecz kiedy wyszli z lasu, a Ruth powyjmowała kwiaty i włożyła kapelusz, gdy zbliżyli się do gospody, prosta myśl o dogadaniu mu nie wystarczała już, aby zapewnić Ruth spokój. Popadła w zadumę i smutek i nie umiała odzyskać wesołości.

– Ruth, doprawdy – odezwał się tego wieczoru – nie wolno ci wzmacniać w sobie tego twojego nawyku popadania w melancholijną zadumę bez żadnej przyczyny. Przez ostatnie pół godziny westchnęłaś dwadzieścia razy. Bądźże nieco weselsza. Pamiętaj, że nie mam prócz ciebie żadnego towarzystwa w tej głuszy.

– Bardzo pana przepraszam – rzekła Ruth, a w jej oczach pojawiły się łzy; wówczas też uprzytomniła sobie, iż bardzo się nudził, przebywając z nią sam na sam, skoro ona przez cały dzień była taka melancholijna. Słodkim, skruszonym tonem rzekła:

– Czy byłby pan łaskaw nauczyć mnie jednej z tych gier karcianych, o których pan wczoraj mówił? Zrobię co w mojej mocy, żeby się nauczyć.

Łagodnym, cichym głosem zjednała sobie jego przychylność. Zadzwonili po karty i wkrótce zapomniał, że istnieje coś takiego jak przygnębienie czy posępność – dzięki przyjemności, jaką czerpał z uczenia tak pięknej ignorantki tajników gier karcianych.

– Dosyć! – rzekł nareszcie – na jedną lekcję wystarczy. Czy ty wiesz, gąsko, że śmiejąc się z twych błędów, przyprawiłem się o jeden z najgorszych bólów głowy od lat.

Rzucił się na kanapę, a ona natychmiast była przy nim.

– Niech pan pozwoli, że przyłożę mu do czoła chłodne dłonie – prosiła – mamie to przynosiło ulgę.

Leżał nieruchomo z głową odwróconą od światła, nic nie mówiąc. Niebawem zasnął. Ruth zgasiła świece i siedziała przy nim cierpliwie długi czas, wyobrażając sobie, że zbudzi się pokrzepiony. Pokój bardzo się ochłodził w nocnym powietrzu; ale Ruth nie śmiała budzić mężczyzny ze snu, który wyglądał na głęboki, przywracający siły. Przykryła go swoim szalem, który zarzuciła była na krzesło po powrocie z przechadzki o zmierzchu. Miała wystarczająco dużo czasu na przemyślenia, ale usiłowała przegnać myśli. W końcu jego oddech stał się przyśpieszony i płytki, toteż po kilku minutach nasłuchiwania z narastającym przestraczem Ruth odważyła się go obudzić. Zdawał się otępiały, miał dreszcze. Przerażenie Ruth rosło; cały dom spał, z wyjątkiem jednej służącej, która była tak zmęczona, że zapomniała szczątkowej angielszczyzny, którą posługiwała się za dnia i na każde z zadanych przez Ruth pytań umiała jedynie odpowiedzieć: „Ta, prawda, pszę pani”.

Siedziała przy jego łóżku całą noc. Miotał się i jęczał, lecz ani razu nie przemówił dorzecznie. Dla nieszczęsnej Ruth był to nowy rodzaj udręki. Wczorajsze cierpienia odeszły w czarną otchłań dawno minionych lat. Teraźniejszość była wszystkim. Kiedy usłyszała odgłosy ludzkiej krzątaniny, udała się na poszukiwania pani Morgan, której przenikliwe, cierpkie obejście, niezmiękczone wewnętrznym szacunkiem dla biednej dziewczyny, onieśmiało Ruth nawet wówczas, kiedy pan Bellingham był przy niej, by ją obronić.

– Pani Morgan... – rzekła, siadając w saloniku gospodyni, poczuła bowiem nagle, że siły ją

opuszczają – pani Morgan, obawiam się, że pan Bellingham jest bardzo chory... – po tych słowach wybuchła płaczem, lecz natychmiast się pohamowała. – Och, co mam robić? – ciągnęła. – On chyba przez całą noc nie wiedział, co się dzieje, a dziś rano wygląda tak dziwnie i dziko.

Spojrzała w twarz pani Morgan, jak gdyby odczytywała wyrocznię.

– Zaiste, panienko – pani – i bardzo to niezręczna rzecz. Ale proszę nie płakać, na nic się to nie zda, zaiste, nie. Pójdę sama obejrzyć tego młodego biedaka, a potem będę mogła osądzić, czy tu trzeba doktora.

Ruth udała się na górę za panią Morgan. Gdy weszły do pokoju chorego, pan Bellingham siedział w łóżku, rozglądając się dziko dokoła, a spostrzegłszy je, zawołał:

– Ruth! Ruth! Podejdz tutaj; nie chcę zostawać sam! – i padł wyczerpany na poduszkę. Pani Morgan podeszła do niego i przemówiła, ale nie odpowiedział ani nie zwrócił na nią uwagi.

– Poślę po pana Jonesa, moja droga, zaiste, tak zrobię; jeśli Bóg da, za parę godzin już tu będzie.

– O, czy nie mógłby przyjechać prędzej? – zapytała opętana strachem Ruth.

– Zaiste, nie; mieszka w Llanglâs, o ile jest w domu, a to siedem milów stąd, a on może być osiem czy dziewięć milów po drugiej stronie Llanglâs; ale zaraz poślę chłopaka na kucu.

To rzekłszy, pani Morgan pozostawiła Ruth samą. Nie było co robić, pan Bellingham bowiem ponownie zapadł był w głęboki sen. Zaczęły się odgłosy codziennego życia, dzwonki dzwoniły, serwisy śniadaniowe brzęczały w górę i w dół korytarzy, a Ruth siedziała drżąca przy łóżku w zaciemnionym pokoju. Pani Morgan przysłała jej przez pokojówkę śniadanie na górę, ale chorobliwie udęczona Ruth odprawiła ją gestem, a dziewczyna nie miała prawa nagabywać jej, ażeby się posiliła. Tylko to przerwało monotonię długiego poranka. Słyszała odgłosy wesołych grup wyruszających na wycieczki konno i w powozach; a raz, zdrętwiała i utrudzona zakradła się do okna i wyrzwała, uchylivszy krawędź story; lecz dzień wyglądał jasno i nie harmonizował z jej zboliałym, zatroskanym sercem. Posępność zaciemnionego pokoju była lepsza i bardziej odpowiednia.

Od chwili zawezwania doktora upłynęło kilka godzin, zanim się pojawił. Przepytał pacjenta, a nie otrzymawszy żadnych spójnych odpowiedzi, zapytał Ruth o objawy; lecz kiedy ona zaczęła z kolei zadawać pytania jemu, pokręcił tylko głową i wyglądał poważnie. Dał znak pani Morgan, aby wyszła za nim z pokoju i udali się do jej bawialni, pozostawiając Ruth w otchłani rozpacz, w którą popadła głębiej jeszcze, chociaż godzinę wcześniej uznała przecież, że oto znalazła się już na samym jej dnie.

– Obawiam się, że to ciężki przypadek – oznajmił pan Jones po walijsku. – Wyraźnie wdała się gorączka mózgu.

– Biedny młody pan! Biedny młodzian! Wyglądał jak okaz zdrowia!

– Ów czerstwy wygląd właśnie z wszelkim prawdopodobieństwem sprawi, że choroba będzie tym groźniejsza. Jednakże musimy być dobrej myśli, pani Morgan. Kto się nim zajmuje? Będzie potrzebował troskliwej opieki. Czy ta młoda dama to jego siostra? Wygląda zbyt młodo, jak na jego żonę?

– Ależ nie! Panie Jones, taki dżentelmen jak pan z pewnością wie, że nie trzeba nam się zbyt pilnie przypatrywać poczynaniom młodych mężczyzn, którzy do nas przyjeżdżają. Rzecz pewna, jest mi jej żal, bo takie z niej niewinne, spokojne młode stworzenie. Uważam zawsze za słuszne, przez wzgląd na własną moją obyczajność, zaprawić me obejście odrobiną pogardy, gdy zatrzymują się tutaj takie jak ona; lecz zaiste, ona jest taka łagodna, że to duży trud, tak jej okazywać należyta wzgardę.

Mówiłaby dalej do swego nieuważnego słuchacza, gdyby nie usłyszała cichego pukania do drzwi, które wyrwało ją z moralizowania, pana Jonesa zaś z rozważań na temat koniecznych zaleceń.

– Wejść! – rzekła pani Morgan ostro. I Ruth weszła. Była blada i drżąca, ale stała z godnością, której użycza zawsze silne uczucie trzymane w ryzach opanowania.

– Pragnęłabym, proszę pana, ażeby był pan łaskaw powiedzieć mi jasno i wyraźnie, co muszę czynić dla pana Bellinghama. Każda wskazówka, której mi pan udzieli, będzie jak

najstaranniej wypełniona. Mówił pan o pijawkach – mogę je kłaść i się nimi zająć. Niechże mi pan powie o wszystkim, co należy uczynić!

Obejście jej było spokojne i poważne, twarz zaś i postawa dowodziły, że sił jej starczało, aby sprostać zadaniu, które ich wymagało. Pan Jones mówił z szacunkiem, którego nie okazał był na górze nawet wtedy, gdy sądził, że jest ona siostrą chorego. Ruth słuchała poważnie; powtórzyła niektóre z zaleceń po to, aby mieć pewność, że je w pełni zrozumiała, następnie skłoniwszy się, opuściła pokój.

– Nietuzinkowa z niej osoba – rzekł pan Jones. – Zbyt jest młoda, aby brać na siebie odpowiedzialność za opiekę nad takim poważnym przypadkiem. Czy nie wie pani, pani Morgan, gdzie mieszkają jego przyjaciele?

– Zaiste, wiem. Matka jego, najwynioślejsza dama, jaką sobie można wyobrazić, była tutaj w ubiegłym roku, podczas podróży przez Walię; zatrzymała się u nas i zaręczam panu, nic nigdy nie było dla niej wystarczająco dobre; ogromnie była wytworna. Zostawiła tu trochę ubrań i książek (bo pokojówka była prawie równie strojna jak pani i nie myślała o doglądaniu ubrań swej pani, w smak jej było raczej oglądanie krajobrazów w towarzystwie służącego) i otrzymaliśmy od niej kilka listów. Mam je zamknięte w szufladach w bufecie, gdzie trzymam takie rzeczy.

– Cóż! Zaleciłbym pani, aby napisała do owej damy i doniosła o stanie syna.

– Panie Jones, wyświadczyłby mi pan przysługę, gdyby napisał do niej sam. Pisanie po angielsku to dla mego pióra bardzo obca sprawa.

List został napisany, a dla oszczędności czasu pan Jones zabrał go na pocztę w Llanglâs.

ROZDZIAŁ VII

Kryzys – czuwanie i oczekiwanie

Ruth oddaliła od siebie wszelką myśl o przeszłości czy przyszłości; wszystko, co mogłoby sprawić, że stanie się niezdadna do wypełniania teraźniejszych obowiązków. Niezmierna miłość wypełniła miejsce doświadczenia. Po pierwszym dniu w ogóle nie wychodziła z pokoju; zmuszała się do jedzenia, ponieważ potrzebowała sił, by go doglądać. Nie folgowała łzom, bo płacz, którego tak pragnęła, utrudniłby sprawowanie nad nim opieki. Czuwała i czekała, i modliła się; modliła się, zapomniawszy zupełnie o sobie, z tą jedynie świadomością, że Bóg jest wszechmogący i że ten, którego tak bardzo kochała, potrzebował pomocy Wszechpotężnego.

Dzień i noc, letnia noc, zdawały się stopione w jedno. Straciła rachubę czasu w tym cichym, zaciemnionym pokoju. Pewnego ranka pani Morgan wywołała ją gestem na zewnątrz; dziewczyna wykradła się na palcach do oślepiającej galerii, której jedna ze stron otwierała się na sypialnię.

– Przyjechała – szepnęła pani Morgan, wyglądając na bardzo podnieconą i zapomniawszy, że Ruth nigdy się nie dowiedziała, iż wezwano pani Bellingham.

– Kto przyjechał? – zapytała. Przez głowę przemknęła jej myśl o pani Mason, ale ze straszliwszym jeszcze, bo bardziej niejasnym uczuciem lęku usłyszała, że to jego matka; matka, o której zawsze wyrażał się jak o osobie, której opinii należało się większe poważanie, aniżeli opiniom kogokolwiek innego.

– Co mam zrobić? Czy będzie na mnie zła? – zapytała, popadając we właściwe sobie dziecięce poczucie zależności od innych; i czując, że nawet pani Morgan była kimś, kto mógłby stanąć między nią a panią Bellingham.

Sama pani Morgan była nieco skonsternowana. Myśl, że taka prawdziwa dama jak pani Bellingham odkryje, iż ona przymykała oko na związek jej syna z Ruth, wstrząsnęła niejako jej poczuciem moralności. Była dość skłonna zachęcić Ruth do tego, aby zgodnie ze swym zamiarem znikła z pola widzenia pani Bellingham, a był to zamiar, który nie zrodził się z określonej świadomości, że postępowała źle, lecz przede wszystkim ze świadectw, jakie zawsze słyszała o budzącym grozę obejściu damy. Pani Bellingham weszła zamaszystym krokiem do pokoju syna, jak gdyby była zupełnie nieświadoma tego, która to biedna młoda istota nawiedzała go ostatnio; Ruth tymczasem pośpieszyła do niezajętej sypialni i tam w samotności poczuła, jak jej opanowanie nagle ustępuje i wybuchła najżałośniejszym, najbardziej nieszczęśliwym płaczem, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Czuwanie ją zmęczyło, serdeczny płacz zaś wyczerpał, toteż położyła się na łóżku i zasnęła. Dzień minął; spała niezauważona i niepilnowana; zbudziła się późnym wieczorem z poczuciem, iż źle postąpiła, śpiąc tak długo; napięcie wynikające z odpowiedzialności nie opuściło jej jeszcze. Dokoła szybko zapadał zmierzch; czekała aż do nadejścia nocy, a wówczas zakradła się na dół do bawialni pani Morgan.

– Przepraszam, czy mogę wejść? – zapytała.

Jenny Morgan przerabiała hieroglify, które nazywała rachunkami; odpowiedziała dość ostro, ale pozwoliła wejść i Ruth była jej za to wdzięczna.

– Czy może mi pani powiedzieć, co z nim? Czy sądzi pani, że mogę pójść z powrotem do niego?

– Nie, zaiste, nie możesz. Nest, która przez te wszystkie dni sprzątała jego pokój, nie może tam teraz wchodzić. Pani Bellingham przywiozła własną pokojówkę i rodzinną pielęgniarkę, i pokojowca pana Bellinghama; taki zastęp służących i bez końca bagaży; tragarz przywiezie wodne łóżka, a jutro przyjedzie doktor z Londynu, jak gdyby nie wystarczyły łóżka z pierzem i pan Jones.

Ależ ona nikogo z nas nie wpuści do pokoju; nie ma mowy, żebyś weszła!

Ruth westchnęła.

– Jak on się miewa? – zapytała po chwili.

– Skąd doprawdy mogę wiedzieć, skoro nie wolno mi się do niego zbliżyć? Pan Jones powiedział, że dziś w nocy nastąpi przełom; ale ja w to wątpię, bo zachorował cztery dni temu, a czy kto kiedy słyszał, żeby przełom następował u chorego w parzysty dzień; to zawsze jest trzeciego dnia, albo piątego, albo siódmego i tak dalej. U niego będzie to nie wcześniej niż jutrzejszej nocy, słowo daję, a ich piękny londyński doktor zbierze pochwały, a uczciwy pan Jones zostanie odepchnięty na bok. Ale ja myślę, że mu się nie polepszy – Gelert nie wyje bez powodu. Moja cierpliwości! Co się dzieje z tą dziewczyną? Boże, dziecko, chyba mi tu nie zemdlejesz, nie rozchorujesz się na moich rękach?

Jej ostry głos przyzwał Ruth z nieświadomości i omdlenia, które ją ogarniać, kiedy słuchała ostatniej części tej przemowy. Usiadła i nie mogła mówić – pokój wirował dokoła bez ustanku – jej blada kruchość poruszyła serce pani Morgan.

– Pewno nie piłaś herbaty. A moje dziewczęta są zaiste bardzo nieuważne. – Zadzwoiła energicznie, na dokładkę zaś podeszła do drzwi i jęła wykrzykiwać ostro polecenia po walijsku do Nest i Gwen, i trzech czy czterech innych nieokrzesanych, dobrych, niechlujnych służących.

Przyniosły jej herbatę, co było pociechą w takim rozumieniu pociechy, jakie obowiązywało w tym ordynarnym, gościnnym przybytku; jedzenia było mnóstwo, zbyt wiele doprawdy, zamiast bowiem pobudzić apetyt, jak to było zamierzone, odbierało go. Lecz serdeczność, z jaką uprzejma, różanolica służąca nalegała, aby jadła oraz bura, którą pani Mason dała Ruth, gdy odkryła, że grzanka z masłem nietknięta (grzanka, którą osobiście kazała sownie posmarować masłem), przyniosły dziewczynie więcej dobrego aniżeli herbata. Zaczęła żywić nadzieję i wyczekiwać poranka, kiedy to nadzieja mogła stać się pewnością. Na nic się nie zdała wiadomość, że pokój, w którym przebywała przez cały dzień, jest do jej dyspozycji; nie wyrzekła ani słowa, lecz nie zamierzała kłaść się do łóżka owej nocy, akurat tej właśnie, kiedy ważyły się drżące losy życia i śmierci. Poszła do sypialni i pozostała w niej tak długo, aż gwarny dom ucichł i dosłyszała odgłos zabieganych stóp chodzących w tę i z powrotem po pokoju, do którego ona nie miała wstępu; i głosy, władcze, chociaż zniżone do szeptu, które wydawały rozliczne polecenia. Potem zapadła cisza; a kiedy zdało jej się, że śpią wszyscy oprócz strażniczek, wykradła się na galerię. Po drugiej stronie były dwa okna wycięte w grubym kamiennym murze, a na tak powstałych półkach umieszczono donice, w których rosły wspaniałe, nieprzycinane, wybijające pelargonie, usiłujące dosięgnąć światła. Okno nieopodal drzwi pana Bellinghama było otwarte; drzwi były otwarte; łagodne nocne powietrze o ciepłej woni napływało delikatnymi powiewami, a potem nieruchomiało. Było lato; żadna z dwudziestu czterech godzin nie była pogrążona w całkowitym mroku; światło stawało się tylko ciemniejsze i kolory znikwały z przedmiotów, których zarysy i kształty były nadal wyraźne. Bładoszary owal kratkowanego światła padał na płaską ścianę naprzeciw okien, a ciemniejsze szare cienie nakreślały roślinny wzór, który teraz wyglądał o wiele wdzięczniej niż w rzeczywistości. Ruth przyczaiła się tam, gdzie nie padało światło. Usiadła na podłodze nieopodal drzwi; całe jej istnienie pochłonięte było nasłuchiowaniem; wszędzie panowała cisza; tylko jej serce kołatało jak młotem, silnym, ciężkim, regularnym rytmem. Pragnęła móc pohamować jego nieustające, rozpedzone bicie. Usłyszała szelest jedwabnej szaty i uznała, że jej właścicielka nie powinna była nosić takiego stroju w pokoju chorego; zdawało się wręcz, że zmysłami Ruth zawładnął chory, bo czuła to tylko, co czuł on. Szelest ów wynikł prawdopodobnie ze zmiany pozycji strażniczki w pokoju, bo teraz znów cicho tam było jak w grobie. Na dworze łagodny wietrzyk zanikł z cichym, długim, odległym jękiem pośród meandrów wzgórz i tam się zatracił, aby już więcej nie powrócić. Lecz serce Ruth biło głośno. Podniosła się tak bezszelestnie, jak gdyby była zjawą, i zakradła się do otwartego okna, aby spróbować przerwać nerwowe nasłuchiwanie powracającego stale dźwięku. Daleko, pod spokojnym niebem, spowite woalem z mgły, nie zaś z chmur, wznosiły się wysokie, ciemne zarysy gór zamykających wioskę, jak gdyby położona była w gnieździe. Stały tam jak olbrzymy, wyczekujące uroczyście końca ziemi i czasu. Tu i tam czarny obły cień przypominał Ruth jakąś *cwm*^[19] albo kotlinę, w której spacerowała

z kochankiem w słońcu i zadowoleniu. Wtedy myślała, że kraina ta jest zaczarowaną ostoją wiecznej światłości i szczęśliwości; wtedy wyobrażała sobie, że jest to miejsce tak urocze, iż żadna niedola ani żal nie ma do niej wstępu, bo czary sprawiłyby zaraz, że znikłaby sprzed oczu cudownych stojących na straży gór. Obecnie знаła prawdę, że ziemia nie zna takiej zapory, która strzegłaby przed udręką. Udręka spada jak grom z jasnego nieba, wprost do domu w górach i na miejskie poddasze; do pałacu i do chaty. Ogród znajdował się opodal domu; za dnia było to dość pogodne miejsce; bo cokolwiek by zasadzić w tej ziemi, wyrastało i kwitło pomimo zaniedbania. Białe róże lśniły w półmroku przez całą noc; czerwone zagubiły się w cieniu. Pomiędzy niskim płotem ogrodu a wzgórzami rozciągała się zielona łąka; Ruth wpatrywała się w szary mrok tak długo, aż dostrzegła każdy pojedynczy falisty zarys. Wówczas usłyszała niespokojnego ptaszka, który wywierkiwał pobudkę z gniazda w bluszczu porastającym mury domu. Lecz jego matka rozpostarła swe miękkie pióra i uciszyła go. Po chwili jednakże wiele drobnych ptaszków jęło wyczuwać nadchodzący świt i szeleścić pośród liści, i swiergotać głośno i wyraźnie. Tuż nad horyzontem mgielka przeobraziła się w srebrzystoszarą chmurę zawisłą na krańcu świata; po chwili stała się lśniącobiała; następnie, w okamgnieniu zarumieniła się na różowo, a wierzchołki gór strzeliły w niebo i skąpały się w cieniu Najwyższego. Jednym susem lita ognista czerwień słońca weszła nad horyzont i natychmiast tysiące ptaszków jęło śpiewać radośnie, z ziemi zaś dobywał się łagodny chór tajemniczych, zadowolonych pomruków; delikatny, szepczący wiatr opuścił kryjówkę pośród rozpadlin i kotlinek wzgórz i błakał się pomiędzy szeleszczącymi ziołami i drzewami, budząc pąki kwiatów do życia w kolejnym dniu. Ruth westchnęła z ulgą, że noc skończyła się nareszcie; wiedziała bowiem, że niebawem skończy się niepewność i pozna wyrok – życie albo śmierć. Słabo jej się zrobiło i niedobrze z niepokoju; zdawało jej się prawie, że musi wejść do pokoju i dowiedzieć się prawdy. Wówczas usłyszała ruch, nieostry i gwałtowny, jak gdyby wywołany niebezpieczeństwem; a potem znów zapadła cisza. Siedziała zwinięta na podłodze, z głową odchyloną, opartą o ścianę i dłońmi zaciśniętymi wokół kolan. Musiała jeszcze poczekać. Tymczasem chory powoli budził się z długiego, głębokiego, mocnego, leczniczego snu. Jego matka przesiedziała była przy nim całą noc i właśnie po raz pierwszy ośmieliła się zmienić pozycję; zaryzykowała nawet wydanie szeptem poleceń starej pielęgniarki, która drzemała w fotelu, gotowa wysłuchać wszelkich poleceń swej pani. Pani Bellingham podeszła na palcach do drzwi, strofując się przy tym, ponieważ jej zeszywniałe, zmęczone członki wydały delikatny dźwięk. Miała nieodparte pragnienie kilkominutowej zmiany otoczenia po całonocnym czuwaniu. Czowała, że kryzys minął; a ulga, jaką to uczucie przyniosło umysłowi, obudziła w niej świadomość każdego cielesnego doznania i urazu, na które nie zwracała była uwagi dopóty, dopóki trwała w niepewności.

Powoli otworzyła drzwi. Ruth skoczyła wyprostowana na pierwszy dźwięk przekręcania klamki. Nawet wargi miała zeszywniałe od siły, z jaką krew napłynęła jej do głowy. Zdawało się, że nie potrafi budować słów. Stała naprzeciw pani Bellingham.

– Jak on się miewa, proszę pani?

W pierwszej chwili zaskoczyła panią Bellingham owa biała zjawa, która zdawała się wyrastać spod ziemi. Lecz jej bystry, dumny umysł pojął wszystko w okamgnieniu. A zatem to była ta dziewczyna, której rozwiązłość sprowadziła jej syna na manowce; która postawiła przeszkody na drodze do realizacji jej ulubionego planu zaślubin syna z panną Duncombe; nie, to ona była prawdziwą przyczyną jego choroby, śmiertelnego zagrożenia, w którym się obecnie znajdował oraz przejmującego, głębokiego niepokoju, który stał się udziałem jego matki. Jeżeli kiedykolwiek pozorem można byłoby zarzucić pani Bellingham złe wychowanie, przejawiające się w nieudzieleniu odpowiedzi na pytanie, to właśnie teraz; przez chwilę czowała pokusę, aby minąć dziewczynę w milczeniu. Ruth nie mogła czekać, przemówiła znowu.

– Na miłość boską, pani, proszę mówić! Co z nim? Czy będzie żył?

Uznała, że jeżeli jej nie odpowie, stworzenie to gotowe jeszcze w swej desperacji wdrzeć się siłą do jego pokoju. Odezwała się zatem.

– Spał dobrze, czuje się lepiej.

– Och! Mój Boże, niech Ci będą dzięki – szepnęła Ruth, opadając na ścianę.

Tego już było dla pani Bellingham za wiele, słyszeć jak ta nikczemna dziewczyna dziękuje Bogu za życie jej syna; jak gdyby w istocie miała z nim cokolwiek wspólnego, a do tego ośmiela się mówić do Wszchemogącego w imieniu jej syna! Pani Bellingham spojrzała na nią oczami zimnymi, pełnymi pogardy, których spojrzenie kłuło niczym sople i sprawiło, że Ruth przeszył dreszcz.

– Młoda kobieto, jeżeli pozostało ci jeszcze choć trochę przyzwoitości albo godziwości, ufam, że nie ośmielisz się wedrzeć do jego pokoju.

Stała przez chwilę, oczekując odpowiedzi i na wpół spodziewając się nieposłuszeństwa. Ale nie rozumiała Ruth. Nie wyobrażała sobie nawet, jak wiernie ufne jest jej serce. Ruth wierzyła, że jeżeli pan Bellingham żyje i prawdopodobnie przeżyje, to wszystko jest dobrze. Kiedy będzie jej potrzebował, pośle po nią, będzie o nią pytał, będzie za nią tęsknił tak długo, aż wszyscy ugną się wobec jego niezłomnej woli. Obecnie wyobrażała sobie, że jest prawdopodobnie nazbyt słaby, aby dbać o to, czy zdawać sobie sprawę z tego, kto jest przy nim; a chociaż nieskończoną rozkosz sprawiłoby jej krążenie i zabieganie wokół niego, to jednak myślała o nim, nie zaś o sobie. Delikatnie usunęła się na bok, aby umożliwić pani Bellingham przejście.

Niebawem przyszła pani Morgan. Ruth nadal była blisko drzwi, od których jak się zdaje, nie umiała się oderwać.

– Zaiste, panienko, nie można tkwić przy drzwiach w ten sposób; to niegrzeczne. Pani Bellingham bardzo się o to zeźliła i ostro mówiła, a ocena mej gospody na tym ucierpi, jeżeli ludzie zaczną gadać tak jak ona. Przecież dałam ci pokój wczorajszej nocy, ażebyś się tam schowała, co by cię nikt nie usłyszał ani nie zobaczył; a czy nie mówiłam, jaka pani Bellingham jest drobiazgową, jednak panienka musiała wyjść i się jej tutaj pokazać? Zaiste, to nie było ładne, ani też przyjemne wobec mnie, Jenny Morgan, to muszę powiedzieć.

Ruth odwróciła się jak zbesztane dziecko. Pani Morgan podążyła za nią do pokoju, karcąc ją po drodze; następnie, kiedy już po swoim w ostrych słowach powiedziała to, co jej leżało na sercu, szczerą jej dobroć nakazała dodać łagodniejszym tonem:

– Posiedźże teraz tutaj grzecznie. Za chwilę przyślę ci śniadanie i od czasu do czasu dam znać, jak on się miewa; a ty, panienko, możesz przecież pójść na spacer; lecz jeśli pójdziesz, to wyświadczyłabyś mi przysługę, wychodząc bocznymi drzwiami. Być może oszczędzi to skandalu.

Przez cały ów długi dzień Ruth własnowolnie pozostawała więźniem w pokoju, który pani Morgan jej przeznaczyła; przez cały ów dzień i przez wiele kolejnych dni. Ale nocami, gdy w domu panowała cisza i nawet brązowe myszki pozbierały już okruchy i pobiegły z powrotem do swych norek, Ruth się wykradała i podchodziła do jego drzwi, aby, jeżeli to możliwe, usłyszeć dźwięk jego ukochanego głosu. Po jego tonie poznawała, jak się czuje i jak mu się wiedzie, zupełnie tak, jak każda z czuwających w jego pokoju. Tęskniła, pragnęła raz jeszcze go zobaczyć; lecz udało jej się przekonać samą siebie, by uzbroić się w coś na podobieństwo cierpliwości. Kiedy on poczuje się już na tyle zdrów, aby opuścić pokój, kiedy nie będzie już pod nieustanną opieką pielęgniarki, wówczas po nią pośle, a ona mu powie, jak bardzo była cierpliwa dla jego drogiego dobra. A jednak dłużyło jej się to czekanie, mimo że spodziewała się, że taki właśnie będzie jego kres. Biedna Ruth! Jej wiara budowała tylko zamki na piasku; to prawda, że sięgały aż do nieba, lecz były to tylko miraże.

ROZDZIAŁ VIII

Pani Bellingham „elegancko załatwia sprawę”

Jeżeli zdrowie pana Bellinghama nie polepszało się błyskawicznie, to winę za to ponosiła w głównej mierze niezdrowa, zrzędliva, kapryśna natura, której dogadzano w wielkiej słabości, nie zaś jakikolwiek niepomyślny objaw medyczny. Lecz on z kwaśnym obrzydzeniem odwracał się na sam widok posiłku przygotowanego w niechlujny sposób, który niemal przyprowadził go był o odrazę w czasach, gdy był zdrow. Na nic się zdały zapewnienia, że Simpson, pokojówka matki, nadzorowała każdy etap przygotowywania potrawy. Uraził ją, odkrywając jakieś uchybienie, którego należałoby się wystrzegać podczas przyrządzania smakołyków, na co pani Morgan odburkiwała pośpiesznymi przemowami, których pani Bellingham wołała jednak nie wysłuchiwać, dopóki jej syn nie wyzdrowieje na tyle, aby móc podróżować.

– Zdaje mi się, że lepiej się dziś czujesz – rzekła, kiedy jego służący przesunął kanapę pod okno sypialni. – Jutro zaprowadzimy cię na dół.

– Gdybym mógł w ten sposób wydostać się z tego obrzydliwego miejsca, to szedłbym na dół choćby dzisiaj; lecz zdaje się, że już na zawsze zostałem tu uwięziony. Nigdy tu nie wydobrzeję, tego jestem pewien.

Osunął się z powrotem na kanapę w niecierplivej rozpacz. Zapowiedziano przybycie chirurga, którego pani Bellingham skwapliwie wypytała o możliwość zabrania syna; on zaś, usłyszawszy uprzednio na dole z ust pani Morgan takie samo pragnienie zakończenia sprawy, nie wynalazł żadnych większych przeszkód. Po wyjściu lekarza pani Bellingham kilkakrotnie odchrząknęła. Pan Bellingham znał ów wstęp od dawna, toteż skrzywił się z nerwowym rozdrażnieniem.

– Henry, jest coś, o czym muszę z tobą pomówić; nieprzyjemny to temat, rzecz jasna, lecz owa dziewczyna narzuciła mi go osobiście; wiesz z pewnością, o czym mówię i nie będziesz mnie dręczył, domagając się wyjaśnień.

Pan Bellingham obrócił się gwałtownie do ściany i przygotował na kazanie, ukrywając przed matką swą twarz; lecz ona nazbyt była zdenerwowana, aby cokolwiek zauważyć.

– Rzecz jasna – ciągnęła – pragnęłam być na tę całą sprawę tak ślepa, jak to tylko możliwe, aczkolwiek nie wyobrażasz sobie nawet, jak dalece ją pani Mason rozgłosiła; w całym Fordham aż od niej huczy; jednakowoż nie byłoby niczym przyjemnym, czy też można by rzec, słusznym, wiedzieć, że osoba o tak nieprzyzwoitej reputacji przebywa pod tym samym... przepraszam, mój drogi Henry, co powiedziałaś?

– Ruth nie jest osobą o nieprzyzwoitej reputacji, mamó; czyni jej mama niesprawiedliwość!

– Mój drogi chłopcze, nie zamierzasz chyba uważać jej za wzór cnót!

– Nie, mamó, lecz to ja ją zwiodłem; ja...

– Pozwól, że porzucimy wszelką dyskusję odnośnie kwestii dlaczego, czy też od kiedy to cieszy się ona obecną reputacją – rzekła z wyrazem niejakiej dystygowanej powagi, która nadal posiadała jeszcze pewną moc nad synem – moc, która wywodziła się z dzieciństwa, a której sprzeciwiał się wówczas jedynie, kiedy wzniecono w nim pasję. Teraz był zbyt słaby na ciele, aby się jej przeciwstawić i zdobywać przewagę cal po calu. – Jak zaznaczyłam, nie pragnę ustalać, ile w tym twojej winy; po tym co zobaczyłam pewnego ranka, przekonana jestem, że to osoba impertynencka, natrętna, całkowicie pozbawiona wstydu czy nawet zwykłej skromności.

– Co mama ma na myśli? – zapytał ostro.

– Otóż, kiedy miałeś się naprawdę źle, a ja spędziwszy całą noc na czuwaniu przy tobie,

wyszłam rankiem, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, ta dziewczyna wepchnęła się przede mnie i nalegała, by ze mną pomówić. Doprawdy, musiałam wysłać do niej panią Morgan, zanim mogłam wrócić do twego pokoju. Nigdy nie widziałam bardziej zuchwałego, krnąbrnego zachowania.

– Ruth nie jest ani zuchwała, ani krnąbrna; bywa nieokrzesana, toteż mogła cię urazić, bo nie wiedziała, jak się należy zachować.

Dyskusja zaczynała go już męczyć i żałował, że się w ogóle rozpoczęła. Odkąd uświadomił sobie obecność matki, czuł rozterkę w odniesieniu do Ruth i natychmiast zrodziły mu się w umyśle różne plany; lecz odpowiednie ich rozważenie i przemyślenie było tak kłopotliwe, że odłożył to na razie, ażeby się nad nimi zastanowić, gdy nabierze sił. Lecz kłopotliwe położenie, w jakim się znalazł przez związek z Ruth sprawiało, że kojarzyła mu się z uczuciem irytacji i gniewnego żalu w związku z całą tą sprawą. Żałował, na ów gnuśny sposób, w jaki żałował, pragnął i odczuwał wszystko, co nie było bezpośrednio związane z codzienną wygodą, że ją w ogóle spotkał. Była to sprawa szalenie niezręczna i niefortunna. A jednak mimo tej irytacji, która miała związek z Ruth i z niej wychodziła, nie zamierzał godzić się na to, aby ją obrażano; coś w jego zachowaniu uzmysłowiło to matce, natychmiast zmieniła bowiem ścieżkę ataku.

– Właściwie możemy porzucić wszelką dyskusję odnośnie manier tej młodej kobiety; podejrzewam jednakże, że nie zamierzasz bronić swojego z nią związku; podejrzewam, że nie utraciłeś jeszcze poczucia przyzwoitości na tyle, aby sobie roić, że stosownym i wskazanym jest, by twoja matka pozostawała pod jednym dachem z tą upadłą dziewczyną, narażając się na spotkanie z nią o każdej porze dnia? – czekała na odpowiedź, lecz odpowiedź nie nadeszła.

– Zadałam ci proste pytanie: czy to jest, czy też nie jest wskazane?

– Sądzę, że nie jest – odparł ponuro.

– A ja sądzą po twym zachowaniu, że myślisz, iż najlepszym rozwiązaniem w tej trudności byłoby moje odejście i pozostawienie ciebie z występłą towarzyszką?

Znów nie było odpowiedzi, ale rosło w panu Bellinghamie wewnętrzne rozdrażnienie, którego przyczyną była według niego Ruth. W końcu przemówił.

– Mamo, nie pomaga mi mama w kłopotach. Nie pragnę mamy przegnać, ani jej zranić po tym, jak się mama o mnie troszczyła. Ruth nie ponosi za to wszystko aż tak wielkiej winy, jak się mamie wydaje, trzeba to powiedzieć; ale nie chcę jej więcej widzieć, toteż jeżeliby mi mama mogła doradzić, jak to wszystko urządzić, nie zachowawszy się nieelegancko... Tylko niechże mi mama oszczędzi całego tego zmartwienia, kiedy jestem taki słaby. Oddaję się w mamy ręce. Niechże ją mama odprawi, zgodnie ze swym życzeniem; ale niech to się odbędzie elegancko i niech ja już więcej o tym nie słyszę; nie mogę tego znieść; chcę żyć w spokoju, bez wysłuchiwania kazań, dopóki jestem tutaj uwięziony, niezdolny do otrząśnięcia się z nieprzyjemnych myśli.

– Mój drogi Henry, możesz na mnie polegać.

– Dość, mamo; to przykra sprawa i nie mogę siebie o nią nie winić; nie chcę jej więcej roztrząsać.

– Drogi Henry, nie bądź wobec siebie zbyt surowy w wyrzutach, kiedyś taki słaby; mieć wyrzut sumienia to rzecz słuszna, lecz ja w duchu nie wątpię, że to ona sprowadziła ciebie na złą drogę swoimi sztuczkami. Ale jak powiadasz, wszystko należy załatwić elegancko. Wyznaję, że głęboko ubolewałam nad tą sprawą, gdy o niej usłyszałam, lecz gdy już zobaczyłam tę dziewczynę... Cóż! Nic więcej o niej nie powiem, widzę bowiem, że ci to nie w smak; jestem jednak wdzięczna Bogu, żeś dostrzegł błąd w swym postępowaniu.

Siedziała w milczeniu, namyślając się przez chwilę, następnie posłała po sekretarzyk listowy i zaczęła pisać. Jej syn stał się niespokojny, podenerwowany i rozdrażniony.

– Mamo – rzekł – ta cała sprawa martwi mnie śmiertelnie. Nie mogę wyzbyć się myśli o niej.

– Pozostaw to mnie, załatwię wszystko jak należy.

– Czy nie moglibyśmy wyjechać dziś wieczorem? W innym miejscu to utrapienie nie dokuczałoby mi tak bardzo. Boję się zobaczyć ją znowu, ponieważ obawiam się sceny; a jednak zdaje mi się, że powinienem się z nią spotkać, ażeby wszystko wyjaśnić.

– Nie wolno ci tak myśleć, Henry – rzekła przerażona na samą myśl. – Najlepiej jak,

wyjedziemy za pół godziny i spróbujemy dziś wieczorem dotrzeć do Pen trê Voelas. Jeszcze nie ma trzeciej, a wieczory są bardzo długie. Simpson powinna zostać, aby dokończyć pakowanie; może pojechać prosto do Londynu i tam się z nami spotkać. Macdonald i pielęgniarka mogliby pojechać z nami. Jak myślisz, czy zniesiesz dwadzieścia mil drogi?

Wszystko, by pozbyć się tego niepokoju. Czuł, że nie postępuje tak, jak powinien wobec Ruth, aczkolwiek myśl o tym, co naprawdę należałoby zrobić, w ogóle mu w głowie nie powstała. Ale to pozwoliłoby mu wyplątać się z obecnego kłopotu i oszczędziło wielu kazań; wiedział, że matka, zawsze hojna, gdy szło o pieniądze, z pewnością „elegancko załatwi sprawę”, a jemu byłoby łatwiej napisać do Ruth za dzień lub dwa i złożyć wyjaśnienia, które się jej według niego należały; przystał na to i wkrótce ją obserwować zamieszanie związane z przygotowaniem do wyjazdu, a wówczas niepokój jego zelżał.

Ruth spędziła cały ten czas spokojnie w swoim pokoju, mając się przez nużące godziny oczekiwania wyobrażeniami o spotkaniu u jego kresu. Pokój był na tyłach domu, w bocznym skrzydle względem głównych eleganckich pokoi, w wyniku czego nie doszedł jej uszu żaden wzbudzający podejrzenia odgłos zamieszania; gdyby jednak usłyszała trzaskanie drzwi, ostre polecenia, koła powozu, to i tak nie podejrzewałaby prawdy; jej własna miłość była zbyt wierna.

Było już po czwartej, gdy ktoś zapukał do drzwi, a wszedłszy, wręczył jej liścik, który pozostawiła pani Bellingham. Niejaką trudność sprawiło owej damie ubranie wszystkiego w słowa, które by ją zadowolili, ale brzmiał on jak następuje:

Szczęśliwie syn mój, doszedłszy do siebie po chorobie, jest dzięki Bogu świadom grzechu, w jakim z tobą żył. Ze względu na jego szczere pragnienie oraz po to, ażeby uniknąć kolejnych spotkań z tobą, za chwilę opuścimy to miejsce; lecz zanim odjadę, pragnę napomnieć cię do skruchy oraz przypomnieć, że winą swą obarczasz nie tylko własną głowę, lecz również głowę każdego młodego mężczyzny, którego być może uda ci się złapać w pułapkę występku. Będę się modliła, ażebyś zwróciła się ku uczciwemu życiu i usilnie cię namawiam, o ile nie jesteś w istocie „umarła na skutek grzechów i występków” do zgłoszenia się do jakiegoś zakładu poprawczego. Zgodnie z życzeniami mego syna załączam w niniejszej kopercie banknot pięćdziesięciofuntowy.

Margaret Bellingham

Czy to koniec wszystkiego? Czy on istotnie wyjechał? Zerwała się i zadała to drugie pytanie służącej, która, na wpół domyśliwszy się treści liściku, nie kwapiła się do wyjścia, ciekawa wrażenia, jakie on wywrze.

– Tak, zaiste, panienko; powóz ruszył spod drzwi, kiedy weszłam na górę. Zobaczy go panienska teraz na drodze do Yspsyty, jeżeli zechce panienska podejść do okna w dwudziestce czwórcie.

Ruth się zerwała i poszła za pokojówką. Istotnie, był tam, z wolna wspinał się stromą białą drogą, którą zdawał się przemierzać w ślimaczym tempie.

Mogłaby go dogonić – mogłaby – mogłaby zamienić z nim słówko na pożegnanie, wyrzyc sobie w sercu jego twarz z ostatnim spojrzeniem – nie, gdyby ją zobaczył, mógłby się wycofać i nie porzucić jej zupełnie i na zawsze. Tak pomyślała; i pobiegła do swego pokoju. Pochwyciwszy kapelusz, rzuciła się biegiem, wiążąc sznurki drżącymi dłońmi. Migiem pokonała schody i wydostała się na zewnątrz pierwszymi drzwiami, niewiele dbając o zagniewane słowa pani Morgan; bo gospodyni, bardziej rozdrażniona srogą naganą, jakiej udzieliła jej na obchodne pani Bellingham, niż udobruchana jej sowitą zapłatą, poczuła się dotknięta na okoliczność tego, że Ruth w dzikim pośpiechu wyszła frontowymi drzwiami.

Lecz Ruth była już daleko, zanim pani Morgan dokończyła przemowę, mknęła drogą, zatracona w zapierającej dech prędkości. Chociaż serce jej biło jak oszalałe i w głowie pulsowało gwałtownie jak nigdy, cóż to znaczyło, jeśliby tylko udało jej się dogonić powóz? To było jak zły sen, jej najbardziej namiętne pragnienia i wysiłki umykały nieustannie, i nieustannie zwiększała się odległość. Za każdym razem, kiedy powóz był widoczny, znajdował się dalej niż poprzednio, lecz Ruth nie chciała w to uwierzyć. Gdybyż tylko jeszcze udało jej się zdobyć szczyt tamtego

znużonego, wiecznotrwałego wzgórza, wówczas, jak wierzyła, zdołałaby znów pobiec i wkrótce byłaby już blisko powozu. Gdy biegła, modliła się z dziką żarliwością; modliła się, by dane jej było ponownie ujrzeć jego twarz, nawet gdyby miała natychmiast przy nim umrzeć. Była to jedna z tych próśb modlitewnych, których Bóg nie spełnia, zbyt bowiem jest miłosierny; lecz Ruth, chociaż zdjeta rozpaczą i oszalała, włożyła w tę modlitwę całą swą duszę i powtarzała ją raz po raz.

Pokonywała nierówność za nierównością tych stale piętrzących się wzgórz, przemierzała je i nareszcie z wysiłkiem dotarła na sam szczyt i stanęła na nagiej połaci wrzosowiska, brązowej i fioletowej, rozciągającej się daleko, aż po mgiełkę letniego popołudnia; a biała droga rozpościerała się przed nią płasko, ale powóz, ku któremu zmierzała i postać, ku której zmierzała, znikły. Nie było tutaj żadnego człowieka; kilka dzikich górskich owiec o czarnych pyskach pasło się cicho nieopodal drogi, jak gdyby od dawien dawna nie zakłócił ich spokoju żaden przejeżdżający tędy pojazd, a były to jedyne istoty żywe, jakie ujrzała na ponurym wrzosowisku.

Zrozpaczona rzuciła się na rosnący przy drodze wrzos. Jedyłą jej nadzieją była śmierć i zdawało jej się, że umiera. Nie umiała myśleć; nie potrafiła w nic uwierzyć. Życie było z pewnością straszliwym snem, a Bóg miłosiernie ją z niego zbudził. Nie czuła skruchy, nie miała świadomości błędu czy grzechu; nie wiedziała nic, oprócz tego, że on odszedł. Jednakże później, o wiele później, przypomniała sobie dokładnie ruch jasnozielonego żuka, który pracowicie wił się pośród dzikiego tymianku nieopodal i przypomniała sobie melodyjne, równe, niezdecydowane lądowanie skowronka w gnieździe blisko wrzosowego posłania, na którym leżała. Słońce było już nisko, a gorące powietrze przestało już drzeć przy gorętszej ziemi, kiedy raz jeszcze wspomniała liścik, który niecierpliwie rzuciła na podłogę, zanim choć w połowie zapamiętała jego treść. „A może – myślała – byłam zbyt popędliwa. Być może skreślił kilka słów wyjaśnień z drugiej strony, na którą ja, w ślepej rozpacz, wcale nie spojrzałam”.

Podniosła się ciężko i sztywno z wygniecionego wrzosu. Stanęła, a od zmiany pozycji w głowie jej się zakręciło i poczuła dezorientację; z początku nie była w stanie się poruszyć, a chód jej stał się powolny i chwiejny. Lecz wkrótce jęły ją łajać i popędzać myśli, które narzuciły szybkość ruchów, jak gdyby dzięki nim mogła uciec od swej udręki. Zeszła na dół na równy teren właśnie wtedy, kiedy wiele wesołych albo spokojnych grup z lekkimi sercami wracało leniwym spacerem do domu; śmiejąc się cicho i bezgłośnie uśmiechając, i wielokrotnie wyrażając zachwyt nad pięknem letniego wieczoru.

Od czasu przygody z chłopczykiem i jego siostrzyczką, Ruth nawykła do unikania spotkań z wesołymi – czy mogę ich nazwać niewinnymi? – szczęśliwymi śmiertelnikami! I nawet teraz nawyk ów, oparty na bolesnym upokorzeniu, miał nad nią władzę; przystanęła, a wówczas, obejrawszy się, dostrzegła kolejnych ludzi, którzy wkroczyli na główną drogę z pobocznej ścieżki. Otworzyła bramę prowadzącą na pastwisko i przyczała się obok żywopłotu, aby poczekać, aż wszyscy przejdą, a wówczas mogłaby zakraść się do gospody niezauważona. Usiadła na pochyłej darninie przy korzeniach starego głogu, który rósł w żywopłocie; wciąż jeszcze jej piekące oczy pozbawione były łez; usłyszała wesołych przechodniów; usłyszała kroki wiejskich dzieci, które biegły na wieczorne zabawy; ujrzała niewielkie czarne krowy powracające na pola po udoju; lecz życie nadal wydawało jej się odległe. Czy na świecie zapanują kiedyś cisza i mrok, aby stał się on miejscem odpowiednim dla takiej opuszczonej, samotnej istoty jak ona? Nawet w swej kryjówce nie zaznała spokoju na długo. Małe dzieci, zerkające to tu, to tam swymi zaciekawionymi oczami, zajrzały poprzez żywopłot i przez bramę i zebrały się teraz, ze wszystkich czterech stron osady, i stłoczyły przy bramie. A jedno bardziej od pozostałych śmiało pobiegło na pola, aby zakrzyknąć: „Daj pół pensa”, dając przykład wszystkim pozostałym, które pozazdrościły mu odwagi; i tutaj gdzie siedziała, nisko na ziemi, spragniona tej pewnej kryjówki, jakiej ziemia użycza strudzonemu, dzieci również przybiegały, popychając jedno drugie naprzód i śmiejąc się. Biedactwa; czas, kiedy zrozumieją, co to żal, miał dopiero dla nich nadejść. Ruth poprosiłaby je, by zostawiły ją samą i nie doprowadzały do zupełnego szaleństwa; lecz one po angielsku rozumiały jedynie nieśmiertelne „Daj pół pensa”. Czuła w sercu, że nigdzie nie zazna litości. Nagle, kiedy tak zwątpiła w Boga, cień padł na jej ubranie, w które wpatrywała się nieszczęśliwymi oczami. Podniosła wzrok. Stał tam ów kaleki pan, którego widziała już dwa razy wcześniej. Przyciągnął go hałaśliwy tłumek i jął zadawać

dzieciom pytania po walijsku, lecz nie rozumiejąc języka w stopniu, który pozwoliłby pojąć sens ich odpowiedzi, skierował się wedle dawanych przez nie znaków i przeszedł przez bramę, którą mu wskazały. Zobaczył tam ową młodą dziewczynę, którą zauważył wcześniej ze względu na jej niewinne piękno, za drugim zaś razem wówczas, gdy zyskał pojęcie co do jej położenia; a teraz zobaczył ją przyczajoną niczym zaszczute zwierzę, z wyrazem dzikiej, przerażonej rozpacz w oczach, który sprawił, że jej śliczna twarz zdawała się niemal dzika; dostrzegł jej suknię, powalaną i wyblakłą, kapelusz pognieciony i sponiewierany od miotania się w tę i we w tę na wrzosowym posłaniu; ujrzał biedną, zagubioną wędrowniczkę, a gdy ją zobaczył, poczuł dla niej współczucie.

Był w jego oczach pewien wyraz niebiańskiej litości, kiedy poważnie i ze smutkiem napotkały jej podniesiony wzrok, co poruszyło jej skamieniałe serce. Wciąż patrząc na niego, jak gdyby czerpała zeń jakiś dobroczynny wpływ, rzekła cicho i boleściwie:

– On mnie zostawił, proszę pana! – proszę pana, on naprawdę – wyjechał i mnie zostawił!

Zanim zdołał skierować do niej wyraz pociechy, wybuchła najdzikszym, najstrasliwym płaczem, jakiego kiedykolwiek zaznał śmiertelnik. Kiedy ubrała w słowa to, co się dokonało, prawda dosięgła boleśnie jej serca; jej jęki i szlochy szarpały jego duszę; lecz gdyby był w stanie zdecydować, co rzec, to i tak nie dosłyszałaby jego wypowiedzi, toteż stał przy niej pozornie spokojny, podczas gdy ona rozpaczała, lamentowała i dawała upust swemu cierpieniu. Lecz kiedy się położyła wyczerpana, otępiała i milcząca, usłyszała, jak on cicho do siebie rzecze:

– O mój Boże! Na Chrystusa, miejże nad nią litość!

Ruth podniosła wzrok i spojrzała nań z mglistym zrozumieniem sensu jego słów.

Przyglądała mu się nieruchomo jak we śnie, jak gdyby słowa te poruszyły czułą strunę w jej sercu, a ona słuchała teraz jej echa; tak też było. Jego współczujące spojrzenie, czy też słowa przypomniały jej o czasach dziecińczych, kiedy klęczała u kolan matki i teraz miała jedynie świadomość usilnego, tęsknego pragnienia, ażeby to wszystko na powrót przywołać.

Nie kazał jej się śpieszyć, po części dlatego, że zarówno całe to zdarzenie, jak i odwrócona ku niemu smutna, blada twarz, wywarły na nim silne wrażenie; po części zaś z uwagi na instynktowną świadomość, że wymagana jest tutaj najdelikatniejsza cierpliwość. Lecz nagle go przestraszyła, tak jak sama nagle z przestachem zdała sobie dotkliwie sprawę z nieznośnej udręki terażniejszości; zerwała się i odepchnęła go na bok, i rzuciła się gwałtownie w kierunku polnej bramy. On nie poruszał się tak prędko, jak większość mężczyzn, niemniej ruszył najszybciej jak tylko mógł. Podążył za nią drogą, na skaliste pastwisko; lecz idąc tak niepewnym krokiem, gdy wokół zmierzchało, potknął się o jakiś ostry, wystający kamień i upadł. Przenikliwy ból, który przeszył jego plecy, wymusił krótki krzyk; a kiedy ptactwo i zwierzyna milkną w spoczynku i wokół panuje cisza nocy, wysoki dźwięk, taki jak okrzyk bólu, niesie się daleko po cichym powietrzu. Ruth, gnając przed siebie w swej rozpacz, usłyszała ów ostry wykrzyknik i wnet się zatrzymała. Sprawił on to, czego nie mogłoby sprawić żaden napomnienie: przywołał ją do porządku. Wciąż była w jej naturze tkliwość, nawet w tej godzinie, kiedy zdawało się, że opuścili ją wszyscy dobrzy anieli. Dawniej nie potrafiłaby znieść dźwięku ani widoku cielesnego cierpienia żadnego z najmarniejszych Boskich stworzeń, nie usiłując przyjść mu w sukurs; a teraz, w pędzie ku straszliwej samobójczej śmierci, powstrzymała zdziczałe kroki i obróciła się, aby sprawdzić, kto wydał z siebie ów przenikliwy okrzyk cierpienia.

Leżał pośród białych kamieni, zbyt osłabły z boleści, ażeby się poruszyć, lecz umysł jego zdjęty był cierpieniem o wiele dotkliwszym niż wszelki cielesny ból, ponieważ myślał, że przez swój nieszczęsny upadek utracił wszelką szansę na jej ocalenie. Był niemal obezwładniony głęboką wdzięcznością, gdy zobaczył, że jej biała postać się zatrzymuje, przystaje, by nasłuchiwać i obraca się, krocząc pomału, jak gdyby szukała jakiejś zguby. Nie mógł mówić, ale wydał z siebie dźwięk, który ku niewymownej radości jego serca brzmiał jak jęk. Szybko podeszła do niego.

– Cierpię – rzekł – proszę mnie nie zostawiać. – Wypadek oraz poprzednie doznania zmogły jego ułomne i delikatne ciało i zemdlał. Ruth podbiegła do górskiego strumyczka, którego rwące wody kusiły ją jeszcze przed chwilą swym dźwiękiem, namawiały aby poszukała zapomnienia w głębokim stawie, do którego wpaadały. Ze złączonych dłoni zrobiła naczynie i zaniósła tyle

świeżej, zimnej wody, ile było potrzeba, aby opryskać jego twarz i przywrócić go do świadomości. Podczas gdy on nadal milczał, niepewny, jakie znaleźć słowa, aby ją skłonić do wysłuchania go, rzekła łagodnie:

– Czy czuje się pan lepiej? Czy bardzo pan cierpi?

– Nie bardzo; czuję się lepiej. Wszelki nagły ruch powoduje u mnie nagłą utratę władzy w plecach, a zdaje się, że potknąłem się o któryś z tych wystających kamieni. To wkrótce minie, a pani z pewnością pomoże mi dotrzeć do domu.

– O, tak! Czy może pan się już ruszyć? Lękam się, czy pan aby nie leży już zbyt długo na tym wrzocie; jest na nim gęsta rosa.

Tak bardzo pragnął spełnić jej życzenie, tak bardzo nie chciał nadużyć jej współczucia, bo przecież wówczas mogłaby odejść, że spróbował się podnieść. Ból był dotkliwy i ona to zauważyła.

– Niech się pan nie śpieszy; mogę poczekać.

Wówczas przyszło jej na myśl wspomnienie czynu, który w ten sposób został odroczone; ale tych kilka niewyszukanych słów, które między sobą wymienili, zdawało się wyrwać ją z obłądu. Usiadła przy nim i skrywszy twarz w dłoniach, jęła płakać boleściwie, nieprzerwanie. Zapomniała o jego obecności, a jednak miała świadomość, że ktoś wyglądał jej uprzejmych atencji, że była komuś potrzebna i że nie wolno jej było pośpiesznie uciec. Świadomość ta nie przyjęła określonej postaci, nie stała się myślą, ale ją uspokoiła i stopniowo ukojła.

– Czy może mi pani teraz pomóc się podnieść? – zapytał po chwili. Nie odezwała się, ale zrobiła o co prosił, a wówczas chwycił jej ramię i poprowadził go ostrożnie aksamitnymi ścieżkami, gdzie darń rosła krótka i miękka pomiędzy wyboistymi kamieniami. Znalazłszy się ponownie na drodze, ruszyli nią z wolna w świetle księżyca. Poruszając lekko ramieniem, prowadził ją przez mniej uczęszczane dróżki do swej kwatery nad sklepem; współczuł jej bowiem i pojmował, ile bólu sprawiłby jej widok rozświetlonych okien gospody. Wsparł się na jej ramieniu z większym naciskiem, kiedy oczekiwali, aż otworzą się drzwi.

– Proszę wejść – rzekł, nie zwalniając uścisku, lecz również go nie zacieśniając w obawie, że ona sprzeciwi się skrzepowaniu i ponownie ucieknie.

Poszli pomału do bawialenki za sklepem. Krzepka, przyjemna gospodyni nazwiskiem pani Hughes pośpieszyła zapalić świece, a wówczas popatrzyli na siebie nawzajem, stanąwszy twarzą w twarz. Kaleki pan był bardzo blady, ale Ruth wyglądała tak, jak gdyby dosięgnął ją cień śmierci.

ROZDZIAŁ IX

Ujarmienie burzliwego ducha

Pani Hughes krzątała się po pokoju, wykrzykując często ze współczuciem, raz dość łamaną angielszczyzną, raz znów bardziej płynnie, po walijsku, który za sprawą jej melodyjnego głosu brzmiał równie łagodnie, jak rosyjski albo włoski. Pan Benson, tak bowiem brzmiało nazwisko owego garbatego dżentelmena, leżał na kanapie, rozmyślając; pani Hughes tymczasem czyniła wszelkie starania, ażeby ulżyć mu w bólu. Wynajmował u niej kwatery przez trzy lata z rzędu, a ona znała go i kochała.

Ruth stała w niewielkim wykuszowym oknie i wyglądała na zewnątrz. Wielkie, postrzępione, nieregularne chmury płynęły śpiesznie na tle księżyca i granatowych niebios, jak gdyby przyzywał jej jakiś duch burzliwy. To nie tutaj miały wypełnić zadanie, które im przykazano; ogromny plac zborny leżał na wschodzie, nieskończenie wiele mil stąd, i tam zmierzały, ścigając się ze sobą ponad cichą ziemią, raz czarne, raz znów srebrnobiałe u jednej przejrzystej krawędzi, raz przeszyte lśnieniem księżyca, którego światło przebijało przez najciemniejszy ich środek niczym nadzieja, raz znów ze srebrzystą obwódką; teraz zaś, poniżej, żeglowały te zupełnie czarne i znikwały poza nieruchomymi górami; pędziły w tę właśnie stronę, w którą Ruth starała się usilnie podążyć owego popołudnia; wkrótce w swym szalonym biegu przemkną ponad tym samym miejscem, w którym on (jej świat) leżał pogrążony we śnie, lub być może nie spał, być może myślał o niej. Burza panowała w jej myślach i rozdzierała, i rozrywała jej postanowienia na strzępy o kształtach tak szalonych i nieregularnych, jak te niebiańskie sylwetki, na które patrzyła. Gdyby mogła jak one pokonać nocą horyzont, mogłaby go dogonić.

Pan Benson dostrzegł jej spojrzenie i częściowo odczytał jego sens. Widział jej tęskne oczy skierowane na wolny, szeroki świat i pomyślał, że syrenie wody, których śmiertelności muzyka wciąż jeszcze pobrzmiwała jej w uszach, ponownie zaczęły ją kusić. Przyzywał ją do siebie, modląc się o moc dla swego słabego głosu.

– Moja droga młoda damo, mam pani wiele do powiedzenia; a Bóg odebrał mi siły teraz właśnie, gdy mi ich najbardziej potrzeba... Och, to grzech tak mówić... lecz przez wzgląd na Niego, błagam panią, by była cierpliwa, tylko do jutrzejszego ranka. – Spojrzał na nią, lecz jej twarz była niewzruszona, a ona się nie odezwała. Nie mogła aż do jutra zrezygnować z nadziei, szansy, wolności.

– Boże, dopomóż mi – rzekł boleściwie – nie wzruszają jej moje słowa – i wciąż trzymając jej dłoń, opadł na poduszki. Istotnie, to była prawda, że jego słowa nie znalazły oddźwięku w jej wnętrzu. Szalał tam ów duch burzliwy i wypełnił jej serce myślą, że jest wyrzutkiem; na święte słowa: „przez wzgląd na Niego” odpowiedział demon opętający bluźnierczym wyzwaniem rzuconym miłosiernemu Bogu: „czego Ty chcesz ode mnie?”^[20]

Pomyślał o tym, jaką kojącą mocą wpływała wiara na jego własne, karne serce, lecz uznał tę myśl za bezużyteczną i ją odsunął. Potem zabrzmiał ów cichuteńki szept i on przemówił:

– Na imię pani matki, bez względu na to, czy martwa jest, czy żyje, rozkazuję pani pozostać tutaj, aż będę mógł z nią pomóc.

Uklękała u stóp kanapy, która zatrzęsała się od jej szlochów. Serce dziewczyny doznało wzruszenia, a pan Benson na razie nie śmiał przemówić ponownie. W końcu rzekł:

– Wiem, że pani nie odejdzie – nie mogłaby pani – przez wzgląd na nią. Nie odejdzie pani, prawda?

– Nie – szepnęła Ruth; a wtedy w jej sercu pojawiła się wielka pustka. Zrezygnowała. Była

spokojna w obliczu braku wszelkiej nadziei.

– A teraz uczyni pani to, co jej powiem – rzekł łagodnie, nie zdając sobie sprawy z tego, że przybrał ton osoby, która odnalazła ukryte zaklęcie pozwalające władać duchami.

Odparła wolno „Tak”. Lecz była ujarzmiona.

Wezwał panią Hughes. Przyszła z przyległego sklepu.

– Ma pani, jak sędzę, w obrębie swej sypialni pokoik, w którym zwykła była sypiać pani córka? Jestem pewien, że wyświadczy mi pani tę przysługę i pozwoli tej oto młodej damie spać tam dzisiejszej nocy; będę pani ogromnie zobowiązany. Czy może pani ją tam teraz zaprowadzić? Idź, moja droga. Pokładam pełne zaufanie w twojej obietnicy, że nie odejdiesz, dopóki z tobą nie pomówię. – Głos jego zamarł, nastąpiło milczenie; lecz kiedy Ruth na jego prośbę powstała z kolan, spojrzała na jego twarz przez łzy. Jego wargi poruszały się w żarliwej, niewypowiedzianej modlitwie, a ona wiedziała, że modli się za nią.

Owej nocy nie mógł spać, chociaż ból ustąpił pod wpływem wypoczynku; niczym w gorączce nadchodzące wydarzenia rozwijały się przed nim, przybierając wszelkie zmienne, fantastyczne kształty. Spotykał Ruth we wszystkich możliwych miejscach w najrozmaitszych okolicznościach i zwracał się do niej wszystkimi słowami, jakie tylko mógł sobie wyobrazić, jakie były według niego najlepiej obliczone na poruszenie i wzbudzenie w niej skruchy i cnotliwości. Gdy zasnął, zbliżał się już poranek, lecz te same myśli nawiedzały go w snach; odzywał się, ale głos odmawiał mu posłuszeństwa; ona zaś uciekała, nieugięta, do głębokiego, ciemnego stawu.

Lecz niezbadane są wyroki boskie.

Wizje stopiły się w głęboki, nieświadomy sen. Obudziło go pukanie do drzwi, które zdawało się być powtórzeniem ostatnich dźwięków, jakie usłyszał we śnie.

Była to pani Hughes. Weszła do pokoju, jak tylko wyrzekł pierwsze słowo zaproszenia.

– Proszę pana, myślę, że ta młoda pani jest w istocie bardzo chora; być może mógłby pan do niej pójść.

– Co jej dolega? – zapytał wielce zaniepokojony.

– Jest zupełnie spokojna, nieruchoma, proszę pana; ale ja po prostu myślę, że ona jest umierająca, zaiste, panie!

– Proszę wyjść, za chwilę do pani dołączę! – odparł, a serce w nim zamarło.

W kilka chwil stał już z panią Hughes przy łóżku Ruth. Leżała nieruchomo, jakby była martwa, oczy miała zamknięte, a jej wymizerowana twarz zastygła w wyrazie stałego cierpienia. Nie przemówiła, gdy się odezwali, chociaż po chwili zdało im się, że usiłuje to zrobić. Lecz opuściła ją wszelka moc poruszania się i wymowy. Miała na sobie wszystkie swoje rzeczy oprócz kapelusza, tak samo, jak poprzedniego dnia, mimo że miła, troskliwa pani Hughes dała jej koszulę nocną, która leżała na służącej za toaletkę komódce. Pan Benson uniósł jej rękę, aby wyczuć słaby, migotliwy puls; a kiedy puścił dłoń, ta upadła na łóżko bezwładnie, ciężko, jak gdyby dziewczyna już nie żyła.

– Dała jej pani coś do jedzenia? – zapytał z niepokojem.

– Zaiste, i do tego poczęstowałam tym, co mamy najlepszego, ale ona tylko pokręciła biedną śliczną główką i zapytała, czy nie mogłabym jej przynieść filiżanki wody. Jednak ja zaniósłam jej mleko, lecz zaiste zdaje mi się, że ona byłaby wolała wodę; ale nie chciała, żebym ją wzięła za kwaśną i złą, więc wypila trochę mleka. – Teraz pani Hughes płakała już serdecznie.

– Kiedy zajeżdża tutaj doktor?

– Zaiste, proszę pana, a bywa tutaj prawie codziennie, bo gospoda taka pełna.

– Pójdę po niego. A czy zdoła ją pani rozebrać i położyć do łóżka? Proszę też otworzyć okno i wpuścić powietrze; a jeżeli będzie miała zimne stopy, niech je pani obłoży butelkami z gorącą wodą.

Żadnemu z nich nie przeszło w ogóle przez myśl, aby pożałować, że oto zrzucano im na barki tę biedną, młodą istotę, co było dowodem prawdziwej miłości, która leżała w naturze obojga. Przeciwnie, pani Hughes nazwała to „błogosławieństwem”.

„Błogosławi ono tego, co daje, i tego, co bierze”^[21].

ROZDZIAŁ X

Liścik i odpowiedź

W gospodzie panowało ożywione zamieszanie. Pan Benson zmuszony był długo czekać w saloniku pani Morgan, zanim mogła do niego przyjść i zniecierpliwienie jego rosło. W końcu się pojawiła i wysłuchała jego opowieści.

Niechże ludzie mówią co chcą o tym, jak nikłym poszanowaniem cieszy się cnota, jeżeli nie towarzyszą jej zewnętrzne przejawy bogactwa czy stanowiska; ja jednak myślę, że w rzeczywistości prawdziwą i prostą cnotę zawsze spotyka ostatecznie odpowiednia nagroda w postaci szacunku oraz poważania ze strony każdego, o którego estymę warto zabiegać. Z pewnością nie jest to nagroda z rodzaju takich, jakimi są zwykle ziemskie dobra, bo jest bez poklasku i bez czczych słów; lecz wszystkie dobre, szlachetne cechy w sercach bliźnich są gotowe ją przyjąć i wychodzą jej na spotkanie, gdy się zbliża, o ile tylko jest to cnota czysta, prosta i nieświadoma własnego istnienia.

Pan Benson nie pomyślał wówczas o zewnętrznych dowodach uszanowania, pani Morgan zaś nie miała wiele czasu; ale rozpogodziła zmarszczone czoło i uspokoiła swe zabiegane obejście, gdy tylko zobaczyła, kim był ten, który na nią czekał; pan Benson był bowiem dobrze znany w wiosce, w której rok za rokiem spędzał letnie wakacje pośród gór, mieszkając zawsze nad sklepem i rzadko wydając w gospodzie choćby szylinga.

Pani Morgan słuchała cierpliwie – jak na nią.

– Pan Jones przyjedzie tego popołudnia. Ale szkoda, żeby się pan kłopotał taką jak ona. Miałam wczoraj niewiele czasu, ale podejrzewałam, że dzieje się coś złego, a Gwen właśnie mi powiedziała, że w jej łóżku nikt nie spał. Bardzo im wczoraj było śpieszno do odjazdu, bo po mojemu tamten pan nie był przecież jeszcze na tyle zdrów, aby podróżować; zaiste, William Wynn, foryś, powiedział, że on był już dobrze zmęczony, zanim dotarli do końca drogi na Ysphytty; i myślał, że będą musieli odpocząć tam dzień albo dwa, zanim wyruszą dalej niż do Pen trê Voelas. Zaiste, tak czy siak, służąca ma pojechać za nimi z bagażami dzisiaj rano; a teraz sobie przypominam, że William Wynn mówił, że oni na nią poczekają. Niech pan lepiej napisze do nich list, panie Benson, i powie im, w jakim ona jest stanie.

Była to dobra rada, choć trudna do przełknięcia. Udzieliła jej osoba o doskonale zdrowym, acz niewyrafinowanym rozsądku, która szybko radziła sobie w każdym nagłym zdarzeniu i błyskawicznie podejmowała decyzje. Prawdę mówiąc, była ona tak nieprzewidywalna do tego, aby ktokolwiek podważał jej autorytet, że zanim pan Benson podjął decyzję, ona zdążyła już była wyciągnąć z szuflady sekretarzyka papier, pióra i kałamarz, umieścić je przed nim i skierować się do wyjścia.

– Niech pan zostawi list na tej półce, a ja przekazę go pokojówce. Chłopak, który ją tam zawiezie, przywiezie panu z powrotem odpowiedź.

Wyszła, zanim zdołał pozbierać rozpierchłe zmysły na tyle, ażeby uprzytomnić sobie, że nie miał najmniejszego pojęcia, jak nazywała się osoba, do której miał napisać. Zaciszna wygoda jego niewielkiego domowego gabinetu sprzyjała posiadaniem przezeń nawykowi oddawania się zadumie i długim rozmyśleniom, tak jak rola właścicielki gospody zobowiązywała panią Morgan do szybkich i zdecydowanych działań.

Rada, której udzieliła, jakkolwiek dobra pod niektórymi względami, pod innymi była nie do przełknięcia. To prawda, że o stanie Ruth należało powiadomić tych, którzy byli jej przyjaciółmi; ale czy ludzie, do których zamierzał teraz napisać, byli przyjaciółmi? Wiedział, że byli to bogata

matka i przystojny, elegancki syn; miał też świadomość, że istniały pewne okoliczności łagodzące co do sposobu, w jaki opuścili Ruth. Miał w sobie tyle współczucia, że rozumiał, iż matka znalazła się w niezwykle bolesnym położeniu, zamieszkawszy pod jednym dachem z dziewczyną, która żyła z jej synem tak jak Ruth. A jednak nie chciał się do niej zwracać; tym bardziej nie było mowy o pisaniu do syna, ponieważ wyglądałoby to tak, jakby go prosił, aby wrócił. Lecz tylko poprzez jedno albo drugie z nich można było przekazać wskazówkę jej przyjaciółom, którzy z pewnością powinni wiedzieć, w jakim położeniu się znalazła. W końcu napisał:

Pani,

piszę, aby powiadomić Panią o stanie biednej młodej kobiety - [tu nastąpiła długa przerwa do namysłu] – która towarzyszyła Jej synowi podczas bytności tutaj, a która pozostała tu po Państwa wczorajszym wyjeździe. Złożona (jak mi się zdaje) bardzo groźną niemocą, przebywa ona obecnie w mej kwaterze; a jeżeli wolno mi będzie zasugerować, uprzejmością z Pani strony byłoby przysłanie z powrotem pokojówki, aby ją pielęgnowała dopóty, dopóki zdrowie nie pozwoli jej powrócić do przyjaciół, o ile, rzecz jasna, nie będą mogli przybyć tutaj, ażeby się nią osobiście zaopiekować.

Wierny sługa Pani

Thurstan Benson

Po wszystkich rozważaniach list jawił mu się jako wysoce niezadowolający, lecz było to najlepsze co mógł uczynić. Zapytał przechodzącą służącą o nazwisko owej damy, zaadresował list i umieścił na wskazanej półce. Następnie powrócił do swej kwatery, aby poczekać na przyście doktora i powrót forysia. W Ruth nie zaszła żadna zmiana; wyglądała jak ktoś ogłuszony do nieprzytomności; nie zmieniała pozycji, prawie nie oddychała. Od czasu do czasu pani Hughes zwilżała jej usta jakimś płynem, a wargi leciuchno poruszały się mechanicznie; tylko w taki sposób dawała znać, że żyje. Przybył doktor i pokręcił głową – „zupełnie skrajne wyczerpanie sił spowodowane jakimś ogromnym wstrząsem nerwów” – i zalecił opiekę oraz spokój i tajemnicze lekarstwa, ale wyznał, że powrót do zdrowia jest wątpliwy, bardzo wątpliwy. Po jego odjeździe pan Benson sięgnął po gramatykę języka walijskiego i podjął znów próbę opanowania niezwykle zagadkowych reguł przegłosu niektórych głosek; lecz nie miało to sensu, ponieważ myśli jego pochłaniał bliski śmierci stan młodego stworzenia, które niedawno jeszcze było żwawe i radosne.

Pokojówka i bagaż, powóz i stangret dotarli do kresu podróży przed południem i list został doręczony. Rozdrażnił on panią Bellingham niepomierne. Najgorszą rzeczą w tego rodzaju znajomościach było to, że ich następstwa były niezliczone; nie było im końca. Zdawało się, że wskazano zasadność przeróżnych roszczeń, których zaspokajaniem zajmowali się przeróżni ludzie. Pomysł, aby wysłać jej pokojówkę! Wszak Simpson nie pojechałaby nawet wówczas, gdyby ją o to poprosić. Tak monologowała podczas lektury listu; a potem odwróciwszy się nagle do ulubionej służącej, która słuchała uwag swej pani nie nieuważnym bynajmniej uchem, zapytała:

– Simpson, czy pojechałabyś, aby pielęgnować to stworzenie, jak to ów – spojrzała na podpis – pan Benson, kimkolwiek on jest, podsunął?

– Ja! Nie, doprawdy, proszę pani – odparła pokojówka, prostując się, kategoryczna w swej moralności. – Jestem pewna, że pani tego ode mnie nie oczekuje; po czymś takim nie śmiałabym nigdy więcej zająć się ubieraniem cieszącej się dobrym imieniem damy.

– Dobrze już, dobrze, nie obawiaj się; jesteś mi potrzebna; przy okazji zajmij się wiązaniami mej sukni; ubiegłej nocy pokojowa pozaciągała je w supły i okropnie porozrywała. A jednak to niezręczne, i to bardzo – rzekła, popadając z powrotem w zadumę nad położeniem Ruth.

– Za pozwoleniem, proszę pani, myślę, że mogłabym powiedzieć coś, co zmieni postać rzeczy. Wydaje mi się, pani, że włożyła pani wczoraj banknot do listu do tej młodej kobiety?

Pani Bellingham skłoniła się potakująco, a pokojówka mówiła dalej:

– Bo kiedy ten mały kaleka pisał do pani (on się nazywa pan Benson, proszę pani), mam powód, by przypuszczać, że ani on, ani pani Morgan nie wiedzieli o tym, że pomyślano już

o zabezpieczeniu dla tej młodej kobiety. Znalazłyśmy z pokojową pani list i banknot leżące na podłodze w jej pokoju zupełnie bezładnie, jak śmieci; bo zdaje mi się, że ona po państwa wyjeździe wybiegła jak szalona.

– Ta okoliczność, jak powiadasz, zmienia postać rzeczy. List ten jest zatem w głównej mierze rodzajem delikatnej wskazówki, że należałoby poczynić pewne zabezpieczenia, co jest istotnie prawdą, tyle tylko, że już się tym zajęto; co się stało z tymi pieniędzmi?

– Na litość, pani, czy trzeba pytać? Ma się rozumieć, jak tylko je zobaczyłam, podniosłam je i zaniósłam do pani Morgan, by je dla tej młodej osoby przechowała.

– O, to dobrze. Czy ona ma jakichś przyjaciół? Słyszałaś kiedy coś od Mason? Być może powinni wiedzieć, gdzie ona jest.

– Pani Mason mi mówiła, proszę pani, że to sierota; ma opiekuna, który nie jest z nią w żaden sposób spokrewniony i który na wieść, że uciekła, umył ręce od wszelkiej odpowiedzialności za nią; ale pani Mason była boleśnie zdenerwowana i popadła w histerię ze strachu, że pani uzna, iż to ona nie dopilnowała dziewczyny wystarczająco i że jeszcze straci w pani klientkę; powiedziała, że to nie jej wina, bo dziewczyna zawsze była śmiałym stworzeniem, chełpiła się swoją urodą i mawiała, jaka to jest piękna, i pragnęła znaleźć się tam, gdzie jej uroda byłaby oglądana i podziwiana... szczególnie pewnej nocy, proszę pani, na balu; i pani Mason się dowiedziała, że ona się spotykała z panem Bellinghamem w domu pewnej starej kobiety, która jest najprawdziwszą wiedźmą, proszę pani, i mieszka w najpodlejszej części miasta, tam gdzie włóczą się wszystkie podejrzanе charaktery.

– Dość! Już wystarczy – rzekła pani Bellingham ostro, bo paplanina pokojówki wyczerpała jej takt; a ta, pragnąc wynieść charakter swej przyjaciółki, pani Mason, za pomocą oszczerstw rzuconych na charakter Ruth nie zauważyła, że wmieszała we wszystko po trochu syna swej pani, a jego dumna matka nie miała ochoty wyobrazić sobie, że mógł on kiedykolwiek przechodzić przez marną, podłą część miasta.

– Jeżeli ona nie ma przyjaciół i rzeczywiście jest taka, jaką ją opisałaś (co potwierdzają me własne obserwacje), to najlepszym dla niej miejscem będzie zakład poprawczy. Pięćdziesiąt funtów zapewni jej utrzymanie na jaki tydzień, o ile istotnie nie może teraz podróżować i zapłacić za podróż; a jeżeli po powrocie do Fordham odezwie się do mnie, przedsięwzięmę kroki, które umożliwią natychmiastowe jej tam umieszczenie.

– Z pewnością to dla niej dobrze, że ma do czynienia z damą, która się nią w ogóle interesuje po tym, co się stało.

Pani Bellingham kazała przynieść swój sekretarzyk listowy i skreśliła pośpiesznie kilka linijek celem dostarczenia ich pocztą zwrotną przez forysia, który właśnie miał ruszać.

Pani Bellingham przesyła wyrazy uszanowania swemu nieznanemu korespondentowi, Panu Bensonowi, i pragnie poinformować Go o okoliczności, której istnienia, jak podejrzewa, nie był świadom, pisząc list, którym ją zaszczycił; chodzi mianowicie o to, że owej nieszczęsnej młodej osobie, która jest przedmiotem listu Pana Bensaona, pozostawiono zabezpieczenie w wysokości pięćdziesięciu funtów. Suma ta spoczywa obecnie w rękach pani Morgan wraz z listem od pani Bellingham do nieszczęsnej dziewczyny, w którym proponuje, że wystara się dla niej o miejsce w zakładzie poprawczym w Fordham, stanowiącym najlepsze miejsce dla osoby tego pokroju, jako że przez swój czyn rozpustny utraciła jedynego przyjaciela, jaki jej na świecie pozostał. Propozycję ową pani Bellingham ponawia; a najlepszymi przyjaciółmi tej młodej kobiety są ci, którzy ją będą najgoręcej namawiać do podążenia szlakiem, który jej niniejszym wskazano.

– Dopilnuj, ażeby pan Bellingham nie usłyszał o liście tego pana Bensaona – rzekła pani Bellingham, wręczając pokojówce odpowiedź. – Jest obecnie taki wrażliwy, iż obawiam się, że by go to z pewnością boleśnie rozdrażniło.

ROZDZIAŁ XI

Thurstan i Faith Bensonowie

Czytelnik poznał już treść listu, który dostarczono na ręce pana Bensaona, kiedy chłodne cienie wieczoru zakradły się na gorejące letnie niebo. Przeczytawszy go, ponownie przygotował się do skreślenia kilku pośpiesznych linijek przed odejściem poczty. Właśnie w tej chwili foryś szedł przez wioskę, trąbiąc w róg na znak, że trzeba szykować listy; dobrze się zatem stało, że pan Benson podczas swych długich porannych rozmyślań podjął już był decyzję w kwestii drogi, którą należałoby obrać w przypadku otrzymania takiej odpowiedzi jak ta, której udzieliła mu pani Bellingham. Obecny jego list brzmiał następująco:

Kochana Faith,

musisz tutaj natychmiast przyjechać, ponieważ szczerze potrzebuję Twojej obecności oraz rady. Miewam się dobrze, toteż nie niepokój się. Nie mam czasu na wyjaśnienia, lecz pewien jestem, że mi nie odmówisz; pozwolę sobie zatem wierzyć, że zobaczymy się najpóźniej w sobotę. Wiesz, w jaki sposób tutaj przybyłem; jest najlepszy pod względem szybkości oraz taniaści. Droga Faith, nie spraw mi zawodu.

Twój kochający brat

Thurstan Benson.

PS Obawiam się, że pewnie kończą się pieniądze, które Ci pozostawiłem. Niech Cię to nie powstrzymuje. Zanieś mego Facciolatiego^[22] do Johnsona, a on zapłaci z góry; książka jest na dolnej półce, w trzecim rzędzie. Tylko przyjedź.

Z wysłaniem tego listu uczynił wszystko, co było w jego mocy; kolejne dwa dni minęły jak długi, jednostajny sen czuwania, myśli oraz troski, niezmacony żadnym wydarzeniem, ani nawet zmianą dnia w noc, która obecnie ledwie była dostrzegalna, bo rozświetlał ją księżyc ostatniej pełni tego lata. W sobotni poranek nadeszła odpowiedź.

Najdroższy Thurstanie,

Właśnie dosięgło mnie Twe niezrozumiałe przyzywanie, któremu się podporządkowuję, udowadniając tym samym swe prawo do imienia Faith^[23]. Przyjadę niemal równoległe z niniejszym listem. Nic na to nie poradzę, ale jestem nie tylko zaciekawiona, lecz również zaniepokojona. Mam dość pieniędzy, bardzo dobrze zresztą; bo Sally, która strzeże twego pokoju jak smoczyca, prędeż pozwoliłaby mi przejść całą drogę pieszo, aniżeli ruszyć którąkolwiek z Twoich rzeczy.

Twoja kochająca siostra

Faith Benson.

Wielką ulgę przyniosła panu Bensonowi myśl, że siostra wkrótce doń dołączy. Od dzieciństwa miał w zwyczaju polegać na jej trafnym osądzie i pierwszorzędnym rozsądku; czuł też, że to jej opiece należałoby powierzyć Ruth, jako że przesadą byłoby obarczać dalej zancą panią Hughes nocnym czuwaniem i pielęgowaniem chorej, bo i bez tego była ogromnie zajęta. Poprosił ją, aby raz jeszcze posiedziała przy Ruth, podczas gdy on wyjdzie na spotkanie siostrze.

Dylizans przejeżdżał u stóp stromego wzniesienia, po którym pięła się droga prowadząca do Llan-dhu. Zabrał ze sobą chłopca, aby zaniósł bagaż jego siostry, gdy przyjedzie; zbyt prędko dotarli do podnóża wzgórza, toteż chłopak zajął się rzucaniem kaczek w najpłytszych wodach strumienia, który płynął w tym miejscu szklisty i gładki, pan Benson natomiast usiadł na wielkim kamieniu pod cieniem olszyny rosnącej tam, gdzie płaska zielona łąka graniczyła z wodą. Wspaniale było znaleźć się ponownie na otwartej przestrzeni i z dala od scen i myśli, które przez ostatnie trzy dni nie dawały mu spokoju. We wszystkim było nowe piękno: od niebieskich gór, które lśniły w dalekim słońcu, aż po płaską, urodzajną, cichą dolinę z okrągłymi placami spokojnego cienia tam, gdzie siedział. Nawet sam skraj pasa białych kamyków, które leżały wzdłuż brzegów strumienia, miał w sobie swoiste czyste piękno. Czuł się teraz spokojniejszy i bardziej rozluźniony, niż przez ostatnich kilka dni; a mimo to, gdy jął rozmyślać, okazało się, że ma siostrze do opowiedzenia raczej dziwną historię na usprawiedliwienie nagłego wezwania. Oto on, jedyny przyjaciel i opiekun biednej chorej dziewczyny, której nazwiska nie znał; o której wiedział jedynie, że była kochanką człowieka, który ją porzucił; do tego obawiał się – zdawało mu się – że ona myślała o samobójstwie. Sam zresztą występki był z rodzaju tych, dla których siostra jego, choć dobra i uprzejma, niewiele miała współczucia. Cóż, trzeba mu zatem odwołać się do jej miłości do niego, a był to dlań wielce niezadowolający sposób postępowania, o wiele bardziej wolałby bowiem wzbudzić w siostrze zainteresowanie dziewczyną w oparciu o rozsądek lub jakąś inną mniej osobistą pobudkę, niż gdyby miała je okazać dlatego tylko, że życzył sobie tego jej brat.

Dylizans nadjechał z wolna, turkocząc po kamienistej drodze. Siostra pana Bensona jechała na zewnątrz, lecz zeszła żwawo, bystro i przywitała się z bratem serdecznie i czule. Była znacznie wyższa od niego i dawniej z pewnością bardzo była urodziwa; czarne włosy miała gładko przedzielone nad czołem, a ciemne, pełne wyrazu oczy i prosty nos były wciąż tak piękne, jak za czasów jej młodości. Nie wiem, czy była starsza od brata, ale prawdopodobnie z uwagi na to, że jego ułomność wymagała jej opieki, w jej zachowaniu wobec niego jawiło się coś matczynego.

– Błado wyglądasz, Thurstanie! Nie uwierzę, żeś zdrow, bez względu na to, co powiesz. Czy odezwał się dawny ból w plecach?

– Nie – odrobinę – mniejsza o to, najdroższa Faith. Usiądź tutaj, a ja wyślę już chłopaka z twym kufrem. – A wówczas, pragnąc niejako pokazać siostrze, jak dobrze zna język, palnął wskazówki bardzo gramatycznym walijskim; w istocie tak gramatycznym i tak źle wymówionym, że chłopak, drapiąc się po głowie, odparł:

– *Dim Saesoneg*^[24].

Toteż zmuszony był powtórzyć to po angielsku.

– Thurstanie, otóż i siedzę, jak poprosiłeś. Lecz nie każ mi długo czekać; powiedz, dlaczego po mnie posłałeś.

Oto i nadeszła trudność. O! Gdyby tak mieć język serafina i serafińską moc obrazowania! Ale w pobliżu nie było żadnego serafina, tylko łagodnie płynący strumień, który śpiewał cichą melodię i nastrojał pannę Benson do wysłuchania z uspokojoną duszą każdej opowieści niedotyczącej bezpośrednio dobra brata, a będącej przyczyną tego, że oto ogląda ona właśnie tę uroczą dolinę.

– Niezręcznie o tym mówić, Faith, ale w mojej kwaterze leży chora młoda kobieta i pragnąłbym, abyś ją pielęgnowała.

Zdało mu się, że dostrzegł cień na twarzy siostry i wykrył drobną zmianę w jej głosie, gdy przemówiła.

– Nic szczególnie romantycznego, Thurstanie, mam nadzieję. Pamiętaj, że nie zniosę zbyt dużej dawki romansu; nigdy mu nie ufam.

– Nie wiem, co rozumiesz przez romans. Obawiam się, że historia ta jest dość rzeczywista i niezupełnie niepospolita.

Przerwał; nie udało mu się pokonać trudności.

– A zatem, powiedzże mi od razu, Thurstanie. Obawiam się, żeś pozwolił komuś, a może tylko swej wyobraźni, się oszukać; lecz nie nadwerężaj zbyt wiele mojej cierpliwości; wiesz, że nie posiadam jej w nadmiarze.

– W takim razie ci powiem. Ową młodą dziewczynę przywiózł do tutejszej gospody dżentelmen, który ją następnie porzucił; jest bardzo chora i nie ma nikogo, kto mógłby się nią zaopiekować.

Panna Benson miała w zanadrzu pewne męskie sztuczki, a jedną z nich był długi, cichy gwizd na znak zaskoczenia albo niezadowolenia. Przydawał się jej często, gdy pragnęła dać upust swym uczuciom, zagwizdała więc i teraz. Brat byłby wolał, ażeby przemówiła.

– Posłałeś po jej przyjaciół? – zapytała nareszcie.

– Nie ma żadnych.

Znów milczenie i kolejny gwizd, lecz nieco łagodniejszy i bardziej niepewny od poprzedniego.

– Jak bardzo jest chora?

– Jest prawie tak spokojna, jakby nie żyła. Nie mówi, nie porusza się, ani nawet nie wzdycha.

– Myślę, że byłoby dla niej lepiej, gdyby czym prędzej umarła.

– Faith!

To słowo przywołało ich do porządku. Wypowiedziane zostało tonem, który miał nad nią władzę; tak pełen był gorzkiego zaskoczenia i bolesciwej nagany. Była przyzwyczajona do wywierania nań wpływu ze względu na bardziej zdecydowany charakter oraz, jeżeli zbadać wszystkie przyczyny, prawdopodobnie na większą krzepkość organizmu; niekiedy jednak czuła pokorę wobec jego niewinnej, dziecięcej natury, i wiedziała, pod jakimi względami mu ustępuje. Zbyt była dobra i zbyt szczerą, aby skrywać to uczucie lub czuć niezadowolenie, że jej je narzucono. Po pewnym czasie rzekła:

– Thurstanie, mój drogi, chodźmy do niej.

Pomogła mu z czułą troską i podała ramię, by wspierał się na nim podczas długiej, żmudnej wspinaczki na wzgórze; lecz kiedy doszli do wioski, zmienili pozycje, nie zamieniwszy ze sobą na ten temat słowa, i to ona (najwyraźniej) opierała się teraz na nim. Naprężył się jak mógł najlepiej do zwawego kroku, kiedy znaleźli się w pobliżu siedzib ludzkich.

Po drodze rozmawiali niewiele. Wypytywał ją o rozmaitych członków zgromadzenia, był bowiem duchownym dysydenckim^[25] w prowincjonalnym miasteczku, a ona udzielała odpowiedzi; lecz żadne z nich nie mówiło o Ruth, jakkolwiek zaprzętała ona ich umysły.

Pani Hughes czekała z herbatą na przyjazd podróżniczki. Pana Bensa drażnił trochę w duchu nieśpieszny sposób, w jaki jego siostra sączyła łyżek za łyżkiem, przerywając, ażeby podzielić się z nim jakimś trywialnym szczegółem dotyczącym spraw domowych, o którym wcześniej zapomniiała.

– Pan Bradshaw nie pozwala swym dzieciom utrzymywać dalszych znajomości z Dixonami, ponieważ pewnego wieczoru bawiły się w odgrywanie szarad.

– No proszę; jeszcze odrobinę chleba z masłem, Faith?

– Dziękuję. To walijskie powietrze rzeczywiście zaostrza apetyt. Pan Bradshaw płaci czynsz biednej starej Maggie, ażeby ją poratować przed wysyłką do przytułku.

– No tak. Może jeszcze filiżankę herbaty?

– Wypiłam już dwie. A mimo to chyba napiję się jeszcze.

Nalewając herbaty, pan Benson mimowolnie westchnął cicho. Pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział siostry tak rozmyślnie głodnej i spragnionej. Nie odgadł, że dla niej posiłek ów był w pewnym sensie odroczeniem nieprzyjemnej rozmowy, która, miała tego świadomość, czekała ją u jego kresu. Lecz wszystko kiedyś się kończy i nie inaczej było z herbatą panny Benson.

– A zatem, czy pójdziesz się z nią zobaczyć?

– Tak.

Toteż poszli. Pani Hughes przypięła kawałek zielonego perkalu na kształt rolety, aby odciąć popołudniowe słońce; i w tak przytłumionym oświetleniu leżała Ruth, nieruchoma i wymizerowana, i blada. Nawet pomimo opowieści brata o stanie Ruth ten śmiertelny spokój zaskoczył pannę Benson – zaskoczył i wzbudził litość wobec biednej uroczej istoty, która leżała jak porażona i ogłuszona. Gdy ją ujrzała, nie potrafiła dłużej uważać ją za szalbierkę czy zatwardziałą

grzesznicę; tak obezwładniającego żalu nie potrafiłaby odczuć żadna z nich. Pan Benson częściej zerkał na twarz siostry, aniżeli Ruth; czytał w jej wyrazie jak w otwartej księdze. Pani Hughes stała obok i płakała.

Pan Benson dotknął siostrę i oboje wyszli z pokoju.

– Czy sądzisz, że będzie żyła? – zapytał.

– Nie wiem – odparła panna Benson łagodniejszym głosem. – Lecz jakże ona młodo wygląda! Toż to dziecko jeszcze, biedactwo! Thurstanie, kiedy przyjedzie doktor? Powiedz mi o niej wszystko; nigdy nie udzieliłeś mi szczegółów.

Pan Benson mógłby odeprzeć, że ona wcześniej wcale nie chciała ich znać i że dotąd raczej unikała tematu; lecz zbyt był szczęśliwy na widok zainteresowania rozbudzonego w gorącym siostrzanym sercu, aby prawić jej najmniejsze wyrzuty. Opowiedział historię dziewczyny najlepiej, jak potrafił; a jako że poruszyła go ona głęboko, opowiedział ją z całą wymownością swego serca; a gdy skończył i spojrzął na siostrę, oboje mieli łzy w oczach.

– A co mówi doktor? – zapytała po chwili.

– Podkreśla, że ważny jest spokój; zaleca lekarstwa i mocny bulion. Wszystkiego powiedzieć nie mogę; może to uczynić pani Hughes. Ona jest tak bardzo dobra. „Czyni dobrze, niczego się za to nie spodziewając”^[26].

– Wygląda tak słodko i łagodnie. Dziś w nocy sama przy niej posiedzę i poczuwam; a ciebie i panią Hughes pošlę wcześniej do łóżek, bo wyglądacie oboje na bardzo wyczerpanych, a mnie się to nie podoba. Czyś pewien, że nie odczuwasz już skutków owego upadku? Czy nadal doskwiera ci jeszcze po nim ból w plecach? Wszak jestem jej coś winna za to, że zawróciła, aby ci pomóc. Czyś pewien, że ona zamierzała się utopić?

– Pewności mieć nie mogę, bo o nic jej nie pytałem. Jej stan nie pozwalał na zadawanie pytań; nie mam jednak co do tego żadnych wątpliwości. Ale, Faith, nie myśl nawet o tym, aby czuwać o późna po podróży.

– Thurstanie, odpowiedz mi. Czy odczuwasz jakiegokolwiek złe skutki owego upadku?

– Nie, właściwie żadnych. Faith, nie siedź dziś do późna!

– Nie strzęp sobie języka, Thurstanie, bo i tak postąpię, jak postanowiłam; a jeżeli dalej będziesz oponował, to chyba przypuszczę szturm na twe plecy i zaaplikuję ci okład pęcherzowy^[27]. Powiedz z łaski swojej, co oznacza „właściwie żadnych”. Poza tym możesz być zupełnie spokojny, bo przecież wiesz, że ja nigdy dotąd nie widziałam gór i przytłaczają mnie one tak bardzo, że nie umiałabym zasnąć; muszę tej pierwszej nocy czuwać i dopilnować, ażeby się nie przewróciły na ziemię i jej nie zmiażdżyły. A teraz odpowiedz na moje pytania o twe zdrowie.

Panna Benson posiadała właściwą niektórym ludziom moc doprowadzania do spełnienia tego, co zamierzała; wola jej była silna, rozsądek doskonały i ludzie jej ulegali – nie wiedząc, dlaczego. Przed dziesiątą objęła pokój Ruth jako jedyna królowa królujących i pani panujących. Nic nie mogłoby się lepiej przyczynić do wzbudzenia w niej zainteresowania chorą. Samo to, że ktoś tak bardzo bezradny zależał od niej, skłaniało jej serce wobec tej osoby. Zdawało jej się, że nocą dostrzega nieznaczące zelżenie objawów i odczuła niewielkie zadowolenie, że poprawa wydarzyła się wówczas, kiedy to ona była monarchinią władającą w pokoju chorej. Tak, z pewnością nastąpiła poprawa. W spojrzeniu tliła się większa świadomość, aczkolwiek w twarzy zachowały się jeszcze bolesne ślady przemożnego cierpienia, objawiające się w zaniepokojonym, przestraszonym, niespokojnym jej wyrazie. Ranek był już w pełni, chociaż nie minęła jeszcze piąta, kiedy panna Benson zauważyła, że wargi Ruth się poruszyły, jakby w mowie. Panna Benson pochyliła się, by słuchać.

– Kim pani jest? – zapytała Ruth najślabszym z szeptów.

– Jestem panna Benson – siostra pana Bensona – odparła.

Słowa te nie niosły ze sobą żadnej zrozumiałej dla Ruth wiadomości; przeciwnie, chociaż na ciele i umyśle była słaba niczym niemowlę, jej wargi poczęły drżeć, w oczach zaś pojawiło się przerażenie podobne do tego, jakie odczuwa dziecko, gdy budzi się w obecności obcego i nie dostrzega żadnej drogiej, znajomej twarzy matki bądź piastunki, która mogłaby uspokoić jego drżące serce.

Panna Benson chwyciła dłoń dziewczyny i jęła ją pieszczotliwie głaskać.

– Nie obawiaj się, moja droga; jestem przyjaciółką, która przybyła, by się tobą zaopiekować. Czy masz teraz ochotę na herbatę, kochanie?

Już samo wypowiedzenie tych łagodnych słów otwierało serce panny Benson. Jej brat był zaskoczony, widząc, jak bardzo jest przejęta, kiedy przyszedł dowiedzieć się o stan chorej później tego ranka. Potrzeba było namowy zarówno ze strony pani Hughes, jak i jego, ażeby nakłonić pannę Benson do pójścia do łóżka na godzinę czy dwie po śniadaniu; nim zaś odeszła, kazała im obiecać, że zawołają ją, gdy przybędzie doktor. Przyjechał dopiero późnym popołudniem. Chora szybko wracała do świadomości, chociaż był to powrót do świadomości bólu, czego dowodem były łzy, które powoli spływały po jej bladych policzkach – łzy, do których otarcia nie starczało jej sił.

Pan Benson pozostał w domu przez cały dzień, aby wysłuchać opinii doktora; a skoro obecność siostry zdjęła zeń obowiązek opieki nad Ruth, miał więcej czasu do roztrząsania okoliczności związanych z jej przypadkiem – na tyle, na ile były mu one znane. Przypomniawszy sobie chwilę, w której ujrzał ją po raz pierwszy; jej gibką postać kołyszącą się w tę i z powrotem, gdy usiłowała utrzymać równowagę na śliskich głazach, uśmiechając się lekko w obliczu rozterki z jasnym, szczęśliwym światłem w oczach, które zdawało się być odbiciem lśniącego wody mieniących się w pod jej stopami. Potem przypomniał sobie zmienione, przerażone spojrzenie tych oczu, kiedy zetknęły się z jego wzrokiem po tym, jak dziecko odtrąciło jej awanse; jak ów niewielki incydent pasował do historii, o której napomknęła była pani Hughes z niejakim zafrasowaniem, jak gdyby niechętna (co godne jest chrześcijanina) zawierzyć złu. Potem ów straszliwy wieczór, kiedy ledwo ocalił ją przed popełnieniem samobójstwa i ten sen wypełniony nocnymi marami! A teraz zagubiona, opuszczona i dopiero co wyrwana ze szczęk śmierci, leżała zależna we wszystkim od jego siostry i niego samego – jeszcze kilka tygodni temu zupełnie obcych ludzi. Gdzież się podziewał jej kochanek? Czy mógł być spokojny i szczęśliwy? Czyż mógł powrócić do pełni zdrowia, kiedy na jego sumieniu ciążyły mocno i boleśnie tak wielkie grzechy? I czy w ogóle sumienie posiadał?

Myśli pana Bensona błąkały się po całych labiryntach etyki społecznej, gdy nagle i gwałtownie weszła jego siostra.

– Co powiada doktor? Czy z nią lepiej?

– O, tak, czuje się już lepiej – odparła panna Benson ostro i krótko. Brat spojrział na nią z konsternacją. Usiadła ciężko na krześle zagniewana, stropiona. Przez kilka minut milczeli oboje; tylko panna Benson na przemian gwizdała i cmokała.

– O co chodzi, Faith? Powiadasz, że czuje się lepiej.

– Otóż, Thurstanie, chodzi o coś tak bardzo wstrząsającego, że nie mogę ci o tym powiedzieć.

Pan Benson zmienił się na twarzy przerażenia. Przeszło mu przez myśl wszystko, co możliwe i co niemożliwe, prócz tego, co się w istocie stało. Mówiąc „wszystko, co możliwe”, popełniłam omyłkę. Nigdy nie sądził, że wina Ruth mogłaby być większa, aniżeli się zdawało.

– Faith, chciałbym, żebyś mi powiedziała i nie oszałamiała mnie tymi swoimi dźwiękami – rzekł niespokojnie.

– Przepraszam; ale odkryto właśnie coś tak wstrząsającego... Nie wiem, jak to ująć... Ona będzie miała dziecko. Tak mówi doktor.

Mogła teraz wydawać dźwięki niezauważona przez kilka minut. Brat jej milczał. Nareszcie upomniała się o zrozumienie z jego strony.

– Czyż to nie wstrząsające, Thurstanie? Prawie padłam jak długa, gdy mi to oznajmił.

– Czy ona wie?

– Owszem; i nie jestem pewna, czy to nie jest w tym wszystkim najgorsze.

– Jakże to? Co masz na myśli?

– Och! Właśnie zaczynałam mieć o niej dobre zdanie, ale obawiam się, że ona jest bardzo zdeprawowana. Po odjeździe doktora odłoniła na bok kotarę łóżka i wyglądała tak, jakby chciała ze mną pomówić. (Nie mam pojęcia, w jaki sposób to usłyszała, gdyż staliśmy oboje blisko okna i mówiliśmy bardzo zniżonymi głosami). Podeszłam więc do niej, chociaż doprawdy moje

mniemanie o niej zmieniło się na gorsze. A ona szepnęła, całkiem żarliwie: „Czy on powiedział, że będę miała dziecko?”. Rzecz jasna, nie mogłam tego przed nią ukrywać; ale uznałam, że mam obowiązek przybrać wygląd tak zimny i surowy, jak to tylko było możliwe. Zdawało się, że ona nie rozumie, jak należało na tę kwestię spojrzeć, bo przyjęła to tak, jak gdyby miała prawo mieć dziecko. Powiedziała: „O mój Boże, dzięki Ci! O! Będę taka dobra!” Wtedy zabrakło mi do niej cierpliwości, toteż wyszłam z pokoju.

– Kto jest przy niej?

– Pani Hughes. Ona nie postrzega tej sprawy w świetle moralności, czego się po niej nie spodziewałam.

Pan Benson ponownie zamilkł. Po pewnym czasie rzekł:

– Faith, nieco inaczej niż ty postrzegam tę sprawę. Wydaje mi się, że mam słuszość.

– Zaskakujesz mnie, bracie! Nie rozumiem cię.

– Poczekaj chwilę! Pragnę wyjaśnić ci moje uczucia, lecz nie wiem, od czego zacząć, ani w jaki sposób się wyrazić.

– Jest to w istocie nadzwyczajny dla nas temat do rozmowy; ale gdy tylko pozbędę się tej dziewczyny, umyvam ręce od podobnych przypadków w przyszłości.

Brat nie zwracał na nią uwagi; próbował nadać kształt własnym myślom.

– Czy wiesz, Faith, że ja się raduję z przyjścia tego dziecka?

– Niechże ci Bóg wybaczy, Thurstanie! O ile wiesz, o czym mówisz. Lecz to niechybnie tylko pokusa, drogi Thurstanie.

– Nie sędzę, aby to była złuda. Grzech wydaje mi się być zupełnie odrębny od jego skutku.

– Sofistyka... i pokusa – oznajmiła panna Benson zdecydowanie.

– Nie, nie jest nią – odparł brat z równym zdecydowaniem. – W oczach Boga jest ona zupełnie taka, jak gdyby życie, które wiodła, nie pozostawiło po sobie żadnego śladu. Już wcześniej wiedzieliśmy o jej błędach, Faith.

– Owszem, ale nie o tej hańbie, o tym znamieniu jej hańby!

– Faith, Faith! Bardzo cię proszę, nie mów tak o tej małej, niewinnej dziecinie, która jest być może wysłannikiem Boga, mającym ją z powrotem do Niego doprowadzić. Pomyśl raz jeszcze o jej pierwszych słowach, o tym zrywie natury wprost z jej serca! Czyż nie zwróciła się ku Bogu i nie zawarła z Nim przymierza – „Będę taka dobra”? Ależ to dziecko odciąga ją od samej siebie! Jeżeli jej życie było dotąd samolubne i okrutnie bezmyślne, to ono będzie tym narzędziem, które sprawi, że ona zapomni o sobie i będzie myślała o kimś innym. Naucz ją (a Bóg ją nauczy, jeżeli człek nie będzie się wtrącał) czcić swe dziecko; a owa cześć wykluczy grzech – będzie oczyszczeniem.

Był bardzo poruszony; był wręcz zaskoczony własnym poruszeniem; lecz myśli jego i rozważania, którym się był oddawał przez całe długie popołudnie, przygotowały jego umysł do tego, aby w taki właśnie sposób postrzegać owo zagadnienie.

– Są to idee zupełnie dla mnie nowe – rzekła panna Benson chłodno. – Myślę, Thurstanie, że nigdy dotąd nie słyszałam, aby ktokolwiek radował się z narodzin nieślubnego dziecka. Zdaje mi się, muszę to przyznać, że to przejaw raczej wątpliwej moralności.

– Nie raduję się. Przez całe popołudnie bolałam nad grzechem, który skalał to młode stworzenie; obawiałem się, że gdy odzyska świadomość, ponownie popadnie w rozpacz. Myślałem o każdym świętym słowie, każdej obietnicy składanej pokutnikowi – o tkliwości, która wyprowadziła Magdalenę na właściwą drogę. Dotkliwie i z wyrzutem wobec siebie samego odczułem bojaźliwość, która dotąd nakazywała mi była unikać wszelkich spotkań ze złem tego właśnie rodzaju. Och, Faith! Raz na zawsze, nie zarzucaj mi wątpliwej moralności, kiedy usilniejsz niż kiedykolwiek przedtem staram się postąpić tak, jak postąpiłby mój błogosławiony Pan.

Był bardzo wzburzony. Jego siostra zawahała się, po czym przemówiła łagodniej niż przedtem.

– Ale, Thurstanie, można by uczynić wszystko, ażeby ją „wprowadzić na właściwą drogę” (jak to nazwałś) bez tego dziecka, tego nieszczęsnego owocu grzechu.

– Świat istotnie uczynił takie dzieci nieszczęśliwymi, jakkolwiek są niewinne; ale ja wątpię,

aby działało się zgodnie z wolą Boga, chyba że jest to kara, jaką wymierzył za przewinę rodziców; lecz nawet wówczas sposób, w jaki postępuje świat prędeży przemieni wrodzoną miłość matki w coś na kształt nienawiści. Wstyd oraz lęk spowodowany oburzeniem przyjaciół doprowadzają ją do szaleństwa – plugawią jej najświętsze instynkty; co się zaś tyczy ojców – niechże im Bóg przebaczy! Ja nie potrafię – przynajmniej nie w tej chwili.

Panna Benson rozważała to, co powiedział jej brat. W końcu zapytała:

– Thurstanie (pamiętaj, nie przekonałeś mnie), jak podług twojej teorii należałoby traktować tę dziewczynę?

– Znalezienie najlepszego sposobu będzie wymagało trochę czasu i mnóstwo chrześcijańskiej miłości. Wiem, że nie jestem zbyt mądry; lecz według mnie słuszną rzeczą byłoby postąpić tak... – Przerwał, aby na pewien czas oddać się rozmyślaniom, po czym mówił dalej. – Poniosła odpowiedzialność – przyznamy to oboje. Wkrótce zostanie matką i będzie strzegła maleńkiego, kruchego życia i mu przewodziła. Wyobrażam sobie, że taka odpowiedzialność jest z pewnością sama w sobie rzeczą poważną i uroczystą, i nie trzeba sprawiać, że stanie się brzemieniem ciężkim i przytłaczającym, przed którego dźwiganiem wzdraga się ludzka natura. Czyniąc wszystko, co w naszej mocy, aby wzmocnić w niej poczucie odpowiedzialności, uczyniłbym również wszystko, co w naszej mocy, ażeby sprawić, że uzna, iż ta odpowiedzialność może przerodzić się w błogosławieństwo.

– Bez względu na to, czy dziecko jest ślubne, czy też nie? – zapytała panna Benson oschle.

– Owszem! – odparł stanowczo jej brat. – Im więcej o tym myślę, tym bardziej wierzę, że mam słusność. Nikt – rzekł, rumieniąc się blado – nie może się wzdragać na myśl o rozpuście bardziej niż ja. Ty również nie oplakujesz grzechu tej młodej istoty bardziej niż ja: różnica polega na tym, że ty mylisz skutki grzechu z nim samym.

– Nie pojmuję metafizyki.

– Nie wiedziałem, że mówię o metafizyce. Mogę sobie wyobrazić, że jeżeli słusznie ocenimy obecną sytuację i dobrze ją wykorzystamy, to wszelkie dobro, które jest w tej dziewczynie, może się wznieść na wyżyny, których miarę zna tylko Bóg; wszystko to zaś, co złe i mroczne może, jeżeli On pozwoli, osłabnąć i zniknąć w czystym świetle obecności jej dziecka. Och, Ojcze! Wysłuchaj mej modlitwy, spraw, aby dzisiaj zaczęło się odkupienie. Pomóż nam przemawiać do niej w duchu miłości Twego Świętego Syna!

Ona miała oczy pełne łez; on niemal drżał w swej żarliwości. Osłabiła go wielka siła własnego przekonania oraz to, że nie potrafił poruszyć siostry. Lecz ona była wstrząśnięta. Siedziała bardzo nieruchomo przez kwadrans albo dłużej, on zaś oparł się na siedzisku, wyczerpany własnymi uczuciami.

– Biedne dziecko! – rzekła nareszcie – biedne, biedne dziecko! Przez co będzie musiało przejść, ile wytrzymać! Pamiętasz Thomasa Wilkinsa i to, jak cisnął ci w twarz zapisem swego urodzenia i chrztu? Cóż, nie chciał się zgodzić na takie położenie; wolał pójść w morze i utonąć, aniżeli pokazać komuś dowód swej hańby.

– Pamiętam wszystko. Często mnie to wspomnienie nawiedza. Ona musi umocnić swe dziecko, aby umiało zwracać się po opinię do Boga, nie zaś do człowieka. To będzie kara, pokuta, którą na siebie ściągnęła. Musi je nauczyć (mówiąc z ludzkiego punktu widzenia) polegania na sobie.

– Ostatecznie jednak – rzekła panna Benson (bo znała i ceniła biednego Thomasa Wilkinsa i oplakała jego przedwczesną śmierć, a wspomnienie to ją rozrzewniło) – ostatecznie można by to ukryć. Dziecko nie musi wiedzieć o tym, że jest nieślubne.

– Jak? – zapytał brat.

– Cóż – na razie wiemy o niej tak niewiele; lecz w tamtym liście była mowa, że ona nie ma przyjaciół; a zatem – czy nie mogłaby udać się w zupełnie nowe miejsce i uchodzić za wdowę?

Ach, kusicielko! Nieświadoma kusicielko! Oto i sposób na to, aby biedne nienarodzone dzieciątko uniknęło cierpienia, który panu Bensonowi nie przyszedł był w ogóle do głowy. Było to rozstrzygnięcie – oś, wokół której obracał się los lat; a on poruszył ją w przeciwną stronę. Lecz nie dla własnego dobra. Względem siebie był na tyle odważny, aby powiedzieć prawdę; względem

małego bezbronniego dziecka, które miało przyjść na okrutny, kąśliwy świat, czuł pokusę, ażeby uniknąć trudności. Zapomniał o tym, co przed chwilą powiedział, że kara i pokuta wymierzone matce zawierały się w umacnianiu dziecka, tak aby z ufnością i odwagą ponosiło konsekwencje matczynej słabości. Pamiętał wyraźniej dziką zapalczywość, Kainowe spojrzenie Thomasa Wilkinsa, kiedy wstrętne słowo w księdze chrztów oznajmiło mu, że musi iść w świat napiętnowany, obracając rękę na każdego człowieka, a każdy człowiek obracać miał swoją na niego.

– W jaki sposób można by tego dokonać, Faith?

– Ba, muszę wiedzieć o wiele więcej, a tylko ona jedna może nam o wszystkim opowiedzieć, wtedy dopiero pomyślę, jak tego dokonać. Z pewnością jest to najlepszy plan.

– Możliwe, że tak jest w istocie – odparł brat z namysłem, lecz już nie tak wyraźnie ani zdecydowanie; w ten sposób rozmowa się urwała.

Ruth z właściwą sobie delikatnością ruchów odsunęła na bok kotarę, kiedy panna Benson weszła ponownie do pokoju; nie odezwała się, ale spojrzała na nią, jakby pragnęła, aby podeszła bliżej. Panna Benson podeszła i stanęła przy niej. Ruth chwyciła jej dłoń i ucałowała; potem, jak gdyby zmęczona tak niewielkim ruchem, zasnęła.

Panna Benson zajęła się robotą i jęła rozmyślać nad przemowami brata. Nie przekonał jej, lecz ułagodził i oszołomił.

ROZDZIAŁ XII

Ruth traci z oczu walijskie góry

Panna Benson jeszcze przez dwa kolejne dni była niezdecydowana; trzeciego dnia jednakże, gdy siedzieli przy śniadaniu, odezwała się do brata.

– To młode stworzenie nazywa się Ruth Hilton.

– Doprawdy! Jakże się tego dowiedziałas?

– Od niej samej, rzecz jasna. Jest o wiele silniejsza. Spałam przy niej ubiegłej nocy i zauważyłam, że czuwa, na długo zanim nabrałam ochoty, by z nią pomówić, lecz w końcu się odezwałam. Nie wiem, co powiedziałam, ani w jaki sposób, lecz sądzę, że niejaką ulgę przyniosła jej możliwość opowiedzenia o sobie. Szlochała i płakała tak długo, aż zasnęła; myślę, że w tej chwili śpi.

– Powiedz, co mówiła o sobie.

– Och, doprawdy, bardzo niewiele; widać było, że to dla niej ogromnie bolesny temat. Jest sierotą, bez brata ni siostry, ma opiekuna, którego, jak chyba mówiła, widziała raz jedynie. Oddał ją (po śmierci jej ojca) na nauki u krawcowej. Pan Bellingham nawiązał z nią znajomość i spotykali się niedzielными popołudniami. Pewnego dnia wracali spóźnieni, ociągając się po drodze, kiedy przypadkiem zjawiała się krawcowa. Była chyba bardzo zła, nic to zresztą dziwnego. Jej groźby przeraziły dziewczynę, a kochanek namówił ją, by z miejsca wyjechała z nim do Londynu. Zdaje się, że działo się to w maju. To wszystko.

– Czy wyraziła żal za swój błąd?

– Nie, nie słowami, ale głos jej się łamał od szlochów, mimo że usiłowała go uspokoić. Po chwili jąła rozprawiać o swym dziecku, ale nieśmiało, z niemałym wahaniem. Zapytała, ile według mnie zdołałaby zarobić jako krawcowa, pracując bardzo, bardzo ciężko; a to sprowadziło nas do kwestii dziecka. Pomyślałam o tym, coś powiedział, Thurstanie, i spróbowałam pomówić z nią tak, jak sobie tego życzyłeś. Nie jestem pewna, czy słusznie; wciąż jeszcze mam w duchu co do tego wątpliwości.

– Nie miej wątpliwości, Faith! Droga Faith, dziękuję ci za życzliwość.

– Nie ma za co dziękować. Właściwie to niemożliwe, aby być wobec niej nieżyczliwą; ma w sobie jakąś taką potulność i łagodność, jakąś cierpliwość oraz wdzięczność!

– Cóż zamierza?

– Biedne dziecko! Myśli o wynajęciu pokoju – bardzo taniego, jak mówi; ma zamiar pracować tam dzień i noc, aby zarobić na utrzymanie dla dziecka. Ponieważ, powiedziała z uroczą żarliwością, „Jemu nigdy nie może na czymkolwiek zbywać, cokolwiek trzeba mi będzie uczynić. Ja zasłużyłam na cierpienie, lecz maleństwo będzie takim niewinnym kochaniem!”. Obawiam się, że w najlepszym razie zarobi co najwyżej siedem czy osiem szylingów tygodniowo; a poza tym, ona przecież taka młoda i taka piękna!

– Jest jeszcze pięćdziesiąt funtów, które przyniosła pani Morgan, i są owe dwa listy. Czy ona już o nich wie?

– Nie; nie chciałam jej o tym mówić, dopóki nie nabierze trochę sił. Och, Thurstanie! Pragnęłabym, aby to dziecko czekała lepsza przyszłość. Nic na to nie poradzę. Dostrzegam... znalazłabym pewne rozwiązanie, które pozwoliłoby nam jej pomóc, gdyby sprawa przedstawiała się inaczej.

– Co masz na myśli?

– Och, nie ma sensu o tym myśleć, kiedy jest jak jest! Moglibyśmy zabrać ją do siebie do

domu i utrzymywać, dopóki nie zaczęłaby trochę szyc dla naszego zboru, gdyby nie to nieszczęsne dziecko; to wszystko psuje. Musisz pozwolić mi pogderać tu przy tobie, Thurstanie. Byłam wobec niej bardzo miła i mówiłam o tym stworzonku z taką czułością i szacunkiem, jak gdyby chodziło o dziecko samej królowej i zrodzone z prawowitego małżeństwa.

– Słusznie, moja droga Faith! Gderaj sobie przy mnie, ile tylko chcesz. Przebaczam ci za tę myśl dobrą, żebyśmy ją zabrali ze sobą do domu. Ale czy myślisz, że jej położenie jest przeszkodą nie do pokonania?

– Ależ, Thurstanie! Nie można jej w żadnej mierze pokonać, toteż jest to zupełnie wykluczone.

– Jak to? Powtarzam tylko twoje zastrzeżenia. Dlaczego jest to wykluczone?

– Gdyby nie to, że dziecko w drodze, moglibyśmy zwracać się do niej tak, jak się naprawdę nazywa – panna Hilton; to po pierwsze. Druga rzecz, to dziecko w naszym domu. Przecież Sally popadłaby w rozpacz!

– Mniejsza o Sally. Gdyby była spokrewnioną z nami sierotą, która owdowiała – rzekł, po czym przerwał, jakby zwątpiwszy. – Tyś sama podsunęła, że dla dobra dziecka należałoby ją uznać za wdowę. Ja jedynie podchwytuję twe pomysły, droga Faith. Szanuję cię za to, żeś pomyślała, aby zabrać ją do domu; tak właśnie powinniśmy postąpić. Dziękuję, że przypomniałaś mi o moim obowiązku.

– Ech, to był tylko chwilowy pomysł. Pomyślże o panu Bradshaw. Och! Drżę na myśl o jego ponurym niezadowoleniu.

– Trzeba nam myśleć o tym, co stoi wyżej od pana Bradshawa. Przyznaję, sam bardzo bym się lękał, gdyby on wiedział. Taki jest surowy, taki nieugięty. A jednak on nas przecież tak rzadko widuje; wiesz, że nigdy nie bywa na herbacie, a gdy przychodzi pani Bradshaw, on jest zawsze zajęty. Nie sądzę, aby wiedział, kto u nas prowadzi dom.

– Nie zna Sally? Och, ależ on ją zna. Pewnego dnia zapytał panią Bradshaw, czy wie, ile jej płacimy, i stwierdził, że za takie pieniądze moglibyśmy nająć o wiele młodszą i sprawniejszą służącą. A mówiąc o pieniądzach, pomyśl, jak wzrosłyby nasze wydatki, gdybyśmy przyjęli ją do siebie na najbliższych sześć miesięcy.

Była to okoliczność wprawiająca w zakłopotanie; przez pewien czas oboje siedzieli zatem milczący i skonsternowani. Panna Benson była zafrasowana nie mniej od swego brata, ponieważ, tak jak jemu, zaczynało jej zależeć na odnalezieniu rozwiązania, które pozwoliłoby zrealizować ów plan.

– Jest owe pięćdziesiąt funtów – rzekł, wzdychając z niechęcią na tę myśl.

– Owszem, jest owe pięćdziesiąt funtów – powtórzyła jak echem z tym samym smutkiem w głosie. – Sądzę, że są to jej pieniądze.

– Sądzę, że tak; a skoro tak jest, nie wolno nam myśleć o tym, kto jej je dał. To pokryje jej wydatki. Bardzo mi przykro, ale uważam, że musimy je przyjąć.

– W obecnych okolicznościach nie należy się do niego o nic zwracać – oznajmiła panna Benson z wahaniem.

– Nie, nie uczynimy tego – odparł zdecydowanie jej brat. – Jeżeli ona się zgodzi, byśmy otoczyli ją opieką, nigdy nie dopuścimy do tego, aby musiała się przed nim korzyć, prosząc o cokolwiek, nawet jeśli chodziłoby o dziecko. Może żyć o chlebie i wodzie. Już my wszyscy prędzej zaczniemy żyć o chlebie i wodzie, byleby do tego nie doszło.

– Wobec tego pomówię z nią i wyłożę nasz plan. Och, Thurstanie! Już od dzieciństwa potrafiłeś przekonać mnie do wszystkiego! Mam nadzieję, że postępuję słusznie. Jakkolwiek srogo się tobie z początku sprzeciwiam, to niebawem niechybnie ci ulegam; czynię to z mocą odpowiadającą sile wcześniejszych sprzeciwów. Sądzę, że jestem bardzo słaba.

– Nie, nie w tym przypadku. Oboje mamy słuszność: ja – mówiąc, w jaki sposób należy postrzegać to dziecko; ty, droga Faith, gdyż pomyślała o tym, że powinniśmy ją zabrać do naszego domu. Niechaj cię, kochana, Bóg za to błogosławi!

Kiedy Ruth zaczęła siadać (a owa dziwna, nowa, rozkoszna nadzieja, że zostanie matką, zdawała się stwarzać dla niej jakieś tajemnicze źródło siły, toteż odtąd rekonwalescencja

przebiegała szybko i gwałtownie), panna Benson przyniosła jej listy oraz banknot.

– Czy przypominasz sobie otrzymanie tego listu, Ruth? – zapytała z poważną łagodnością. Ruth zmieniła się na twarzy, wzięła go i przeczytała raz jeszcze, nie dając pannie Benson odpowiedzi. Następnie westchnęła i chwilę pomyślała; a potem chwyciła drugi list i go przeczytała – był to ten, który pani Bellingham posłała była panu Bensonowi w odpowiedzi na jego wiadomość. Potem wzięła banknot i obracała go wkoło i wkoło, lecz tak, jakby go nie widziała. Panna Benson zauważyła, że jej palce drżą boleśnie, a i wargi jej drżały przez pewien czas, nim przemówiła.

– Za pozwoleniem, panno Benson, chciałabym zwrócić te pieniądze.

– Dlaczego, moja droga?

– Czuję dobitnie, że nie powinnam ich przyjmować. Kiedy on – rzekła, rumieniąc się głęboko i pozwalając swym dużym białym powiekom opaść i osłonić oczy – mnie kochał, dawał mi wiele rzeczy – zegarek – o, wiele rzeczy; a ja przyjmowałam je od niego z radością i wdzięcznością, bo mnie kochał – bo sama byłabym dała mu wszystko – i uznawałam je za oznaki miłości. Ale te pieniądze sprawiają ból memu sercu. On przestał mnie kochać i odszedł. Te pieniądze to tak, jakby – och, panno Benson – to tak, jakby on chciał mnie pocieszyć za to, że mnie opuścił – pieniędzmi. – Po tym słowie łzy, tak długo wstrzymywane, popłynęły wnet obficie niczym deszcz.

Powstrzymała się jednakże w gwałtowności wzruszenia, pomyślała bowiem o dziecku.

– Tak więc czy zechciałyby się pani pofatygować i odesłać te pieniądze z powrotem do pani Bellingham?

– Zrobię to, moja droga. Cieszę się, oj, cieszę! Oni nie zasługują na prawo do dawania: nie zasługują na to, aby pani je od nich przyjęła.

Panna Benson natychmiast włożyła pieniądze do koperty; na wierzchu napisała po prostu: „Od Ruth Hilton”.

– Tym samym umywamy ręce od tych Bellinghamów – rzekła z tryumfem. Lecz Ruth była smutna i chciało jej się płakać; nie dlatego, że zwracała banknot, lecz ponieważ była przekonana, że powód, jaki podała na poparcie swej decyzji, był prawdziwy – on już jej nie kochał.

By ją rozweselić, panna Benson jęła rozprawiać o przyszłości. Panna Benson była jedną z tych osób, które im więcej mówiły o planie i jego szczegółach, im bardziej wcielały go w życie w myślach, tym bardziej stanowczymi stawały się jego stronnikami. Toteż poczuła się zadowolona i szczęśliwa na myśl o przyjęciu Ruth pod swój dach; lecz Ruth trwała w przygnębieniu i apatii, przekonana, że on już jej nie kochał. Nie myśl o domu, nie o przyszłości, a tylko myśl o dziecku mogła ją odsunąć od tego smutku. Panna Benson była nieco urażona; a uraza ta objawiła się później w rozmowie z bratem na temat swych porannych poczynąń w pokoju chorej.

– Podziwiałam ją wówczas za to, że z taką dumą odesłała te pięćdziesiąt funtów; niemniej myślę, że ona ma zimne serce: właściwie wcale mi nie podziękowała za to, że zaproponowałam, iż zabierzemy ją do nas do domu.

– W tej chwili myśli jej pochłonięte są innymi sprawami; a ludzie okazują swe uczucia na tak przeróżne sposoby: niektórzy milczeniem, niektórzy słowami. Tak czy inaczej, niemądrym jest oczekiwać wdzięczności.

– A czegoż ty oczekujesz – chyba nie obojętności ani niewdzięczności?

– Lepiej niczego nie oczekiwać, ani nie szacować skutków. Im dłużej żyję, tym pełniej to widzę. Spróbujmy po prostu czynić co należy, nie myśląc o uczuciach, które nasze czyny powinny wzbudzić w innych. Wiemy, że żaden święty, ofiarny wysiłek nie może paść na ziemię na marne, bez pożytku; lecz wieczność jest przeogromna i tylko Bóg jeden wie, kiedy wyda on owoc. Próbowujemy teraz czynić słusznie i słusznie mieć uczucia; nie wprawiajmy się w kłopot, usiłując określić to, co ona powinna czuć, bądź w jaki sposób powinna swe uczucia okazywać.

– Wszystko to bardzo ładne i, jak mniemam, bardzo prawdziwe – odparła panna Benson lekko rozgoryczona. – Ale „lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu” i wolałabym raczej usłyszeć teraz jedno dobre, serdeczne „dziękuję” za wszystko, co zamierzałam dla niej zrobić, aniżeli otrzymać owe wspaniałe owoce, które, jak obiecałeś, czekają na mnie w „przeogromnej wieczności”. Nie bądź smutny i poważny, Thurstanie, bo wyjdę z pokoju. Mogę znieść utyskiwania

Sally, lecz nie zniosę wyrazu cichego przygnębienia, który pojawia się na twojej twarzy za każdym razem, kiedy jestem nieco popędliwa albo niecierpliwa. Prędzej wolałabym, ażebyś mnie zdrowo palnął w ucho.

– A ja często wolałabym, abyś mówiła, nawet jeśliś popędliwa, zamiast gwizdać. A zatem, jeżeli ja obiecuję, że palnę cię w ucho, kiedy wprawisz mnie w rozdrażnienie, czy ty obiecujesz, że gdy cię wyprowadzę z równowagi, będziesz mnie karciała, zamiast gwizdać?

– Bardzo dobrze, tak się umawiamy. Ty palniesz, ja skarczę. Ale mówiąc poważnie, zaczęłam rachować nasze pieniądze, kiedy ona tak nonszalancko odesłała ów banknot pięćdziesięciofuntowy (nic nie poradzę, podziwiam ją za to) i bardzo się obawiam, że zabraknie nam na opłacenie doktora i zabranie jej z nami do domu.

– Jakkolwiek postąpimy, ona musi jechać wewnątrz dylizansu – oznajmił ze zdecydowaniem. – Kto tam? Proszę wejść! O! Pani Hughes! Proszę siadać.

– Zaiste, proszę pana, a nie mogę zostać; ale ta młoda dama kazała mi odszukać jej zegarek i poprosiła, abym go sprzedała, żeby zapłacić doktorowi oraz za drobiazgi, które jadła, odkąd tu przybyła; ale proszę pana, zaiste, ja nie wiem, gdzie można by go sprzedać poza Carvanon, a to daleko.

– To ładnie z jej strony – rzekła panna Benson, bo zaspokoilo to jej poczucie sprawiedliwości; a przypomniawszy sobie, w jaki sposób Ruth mówiła o zegarku, poczuła, jak wielkim poświęceniem musiało być dla niej powzięcie postanowienia, aby się z nim rozstać.

– A jej dobroć tylko pomaga nam wydostać się z kłopotu – odparł brat, nieświadom uczuć, jakimi Ruth darzyła ów zegarek, w przeciwnym bowiem razie być może rozstałby się ze swym Facciolatim.

Pani Hughes cierpliwie oczekiwała nieśpiesznej odpowiedzi na swe praktyczne pytanie. Gdzie można by sprzedać zegarek? Nagle twarz jej się rozjaśniła.

– Pan Jones, doktor, zamierza się ożenić, być może najbardziej podobałoby mu się dać ten piękny zegarek swojej narzeczonej; zaiste, a myślę, że to bardzo możliwe; uzna, że rachunek zapłacony i jeszcze da za zegarek pieniądze. Tak czy siak, zapytam go o to, proszę pana.

Pan Jones był niezwykle rad, iż zdobył przedmiot tak elegancki za tak niewielką cenę. Co więcej, jak przepowiedziała była pani Hughes, „dał za zegarek pieniądze”; więcej, niż było potrzeba na pokrycie kosztów zakwaterowania Ruth; bo za większość pożywienia, które otrzymywała, pan i panna Benson płacili na bieżąco, lecz surowo zabronili pani Hughes mówić o tym Ruth.

– Czy miałabyś coś przeciw temu, ażebym ci kupiła materiał na czarną suknię? – zapytała ją panna Benson nazajutrz po sprzedaży zegarka. Zawahała się chwilę, a potem mówiła dalej. – Mój brat i ja sądzimy, że lepiej byłoby nazywać cię – jak gdybyś była nią w istocie – wdową. Zaoszczędzi to wiele zakłopotania i w dużej mierze ochroni twe dziecko przed... – chciała dodać: upokorzeniem, ale słowo to niezupełnie pasowało. Lecz na wzmiankę o dziecku Ruth drgnęła i mocno poczerwieniała na twarzy; zawsze tak było, kiedy ktoś czynił na ten temat aluzję.

– O, nie! W żadnej mierze. Dziękuję, że pani o tym pomyślała. Nie wiem, doprawdy – rzekła bardzo cicho, niby do siebie – jak państwu dziękować za wszystko, co państwo dla mnie czynią; ale ja państwa kocham i jeżeli mi wolno, będę się za państwa modliła.

– Jeżeli ci wolno, Ruth! – powtórzyła panna Benson zaskoczonym tonem.

– Tak, jeżeli mi wolno. Jeżeli pozwolą mi państwo modlić się za nich.

– Naturalnie, moja droga. Moja droga Ruth, nie wiesz, jak często grzeszę; tak źle postępuję w obliczu mych kilku pokus. Obie jesteśmy wielkimi grzesznicami w oczach Przenajświętszego; módlmy się za siebie nawzajem. Nie mów już tak więcej, moja droga; przynajmniej nie do mnie!

Panna Benson naprawdę płakała. Zawsze postrzegała się jako pośledniejszą od brata pod względem prawdziwej dobroci; uważała, że nie posiada takich jej pokładów, toteż strapiła ją pokora Ruth. Po krótkiej chwili podjęła wcześniejszy temat.

– A zatem mogę ci kupić materiał na czarną suknię? I możemy cię nazywać panią Hilton?

– Nie; nie panią Hilton! – odrzekła Ruth pośpiesznie.

Panna Benson, która dotychczas powodowana uprzejmą delikatnością odwracała oczy od twarzy Ruth, spojrzała teraz na nią zaskoczona.

– Dlaczego nie? – zapytała.

– To nazwisko mej matki – odparła Ruth cicho. – Wolałabym, ażeby mnie tak nie nazywano.

– Wobec tego, zwracając się do ciebie, będziemy używali nazwiska mojej matki – rzekła panna Benson czule. – Ona by... Ale o matce opowiem ci innym razem. Będę cię nazywała panią Denbigh. Bardzo to zresztą odpowiednie. Ludzie pomyślą, żeś jest naszą daleką krewną.

Kiedy powiedziała panu Bensonowi, jakie nazwisko wybrała, było mu raczej przykro; był to typowy przejaw impulsywnej życzliwości jego siostry – impulsywnej we wszystkim – i wyobrażał sobie, jak bardzo poruszyła ją pokora Ruth. Było mu przykro, lecz nic nie powiedział.

Teraz zaś napisano do domu, obwieszczając dzień prawdopodobnego przybycia brata i siostry „wraz z daleką krewną, wcześniej owdowiałą”, jak wyraziła się panna Benson. Pragnęła, aby przygotowano wolny pokój i zadbano o wszystko, co tylko przyszło jej do głowy dla wygody Ruth; bo Ruth wciąż jeszcze była słaba i wątła.

Kiedy czarna suknia, nad którą pracowała nieprzerwanie, była ukończona – kiedy już nie pozostało jej nic innego, jak tylko odpoczywać przed podróżą, w którą mieli wyruszyć nazajutrz – Ruth nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Wędrowała od okna do okna, ucząc się na pamięć każdej skały i każdego drzewa. Każde miało swą historię, na której wspomnienie cierpiała katusze; lecz cięższe jeszcze katusze przeżywałyaby wówczas, gdyby o wszystkim zapomniała. Dźwięk płynącego strumienia, który usłyszała owego cichego wieczoru, brzmiał w jej uszach, gdy leżała na łożu śmierci; tak dobrze zapamiętała jego brzmienie.

A teraz wszystko się skończyło. Przyjechała do Llan-dhu, siedząc u boku kochanka, żyjąc jaśniejącą terażniejszością, dziwnie zapomniawszy o przeszłości czy przyszłości; wyśniła swój sen i zbudziła się z wizji miłości. Pomału, ze smutkiem zeszła w dół długim wzgórzem, lzy popłynęły prędko, lecz równie szybko je otarła; tymczasem usiłowała uspokoić cichy, drżący głos, często przyzywany, aby udzielić odpowiedzi na jakąś uwagę panny Benson.

Musieli zaczekać na dylizans pocztowy. Ruth schowała twarz w kwiatach, które na pożegnanie dała jej pani Hughes; i przestraszyła się, kiedy pojazd zatrzymał się z tak nagłym szarpnięciem, że konie niemal posiadały na zadach. Posadzono ją w środku i dylizans zdążył ponownie ruszyć, zanim się zorientowała, że pan i panna Benson podróżują na zewnątrz; lecz poczuła ulgę na myśl, że wolno jej teraz płakać bez zwracania na siebie ich uwagi. Dolinę spowił cień ciężkiej chmury burzowej, ale mieszczący się na wzniesieniu wiejski kościółek (wskazujący miejsce, w którym spędziła taki szmat życia) wyraźnie odcinał się w słońcu. Żałowała łez, które ją oślepiały, gdy patrzyła. Wewnątrz była jedna pasażerka, która po pewnym czasie spróbowała ją pocieszyć.

– Niechże panienka nie płacze – odezwała się życzliwa kobieta. – Pewno rozstała się panienka z przyjaciółmi? Cóż, to przykre, ale kiedy panienka dojdzie moich lat, przestanie się panienka tym przejmować. Wszak mam trzech synów, są żeglarzami i wojakami, wszyscy trzej – rozproszeni po świecie. Jeden jest w Ameryce, za morzami; drugi w Chinach, robi herbatę; a trzeci na Gibraltarze, trzy mile od Hiszpanii; a mimo to widzi panienka, że umiem śmiać się i radować. Czasem sobie myślę, że spróbuję trochę pomarudzić, tylko po to, ażeby sobie poprawić figurę; lecz, Panie Boże! To nie ma sensu, to nie leży w mojej naturze; toteż znowu się śmieję i dalej tyję. Byłabym wdzięczna za jaki atak lękowy, bo bym się luźniej czuła w mych ubraniach, które te wszystkie krawcowe szyją tak ciasne, że nieledwie się w nich duszę.

Ruth nie ośmieliła się więcej płakać; nie przynosiło jej to ulgi, skoro ktoś ją zauważył i obserwował, i częstował kanapką bądź piernikiem za każdym razem, gdy wyglądała na smutną. Oparła się z zamkniętymi oczami, jakby spała i jechała dalej i dalej, a słońce zdawało się nie ruszać ze swego miejsca wysoko na niebie, ani też jasny gorący dzień nie ukazywał najmniejszych nawet oznak chylenia się ku końcowi. Od czasu do czasu panna Benson zlązła na dół i dopytywała się, jak się miewa blada, zdrożona Ruth; mieli też jedną przesiadkę, a wtedy gruba stara dama pożegnała się z Ruth, ściskając jej serdecznie dłoń.

– Już niedaleko – oznajmiła panna Benson przepraszająco. – Widzisz? Tracimy z oczu walijskie góry. Przed nami osiemnaście mil równiny, a potem wjedziemy na wrzosowiska i teren

wyżynny, gdzie położone jest Eccleston. Chciałabym już tam być, bo brat mój boleśnie jest zmęczony.

Pierwsza rzecz, nad którą Ruth się zastanowiła, to dlaczego, skoro pan Benson był tak zmęczony, nie zatrzymali się na noc tam, gdzie dokonali przesiadki; niewiele bowiem wiedziała o kosztach spędzenia nocy w gospodzie. Kolejną rzeczą była prośba, ażeby pan Benson zajął jej miejsce wewnątrz dyliżansu i pozwolił jej się wdrapać na górę obok panny Benson. Zaproponowała to, a panna Benson była wyraźnie zadowolona.

– Cóż, jeżeli nie jesteś zmęczona, odmiana taka pozwoliłaby mu odpocząć, to pewne; a jeżeli jechałabyś przy mnie, pokazałabym ci Eccleston, gdy tylko się pojawi, o ile dotrzemy tam, nim zrobi się zupełnie ciemno.

Tak oto pan Benson zsiadł i zamienił się miejscami z Ruth.

Nie rozumiała jeszcze licznych drobnych zasad oszczędności, których on i jego siostra zmuszeni byli przestrzegać – codziennych drobnych wyrzeczeń – a znosili je wszystkie tak wesoło, z taką prostotą, że niemal przestały wymagać wysiłku i rzeczą naturalną było dla nich przedkładać myślenie o innych nad myślenie o sobie. Ruth nie rozumiała, że to przez wzgląd na oszczędność zajęli byli miejsca na zewnątrz dyliżansu, podczas gdy ona, jako potrzebująca wypoczynku chora, miała jechać wewnątrz; i że ciastka, które spożyli w miejsce kolacji, wybrali w istocie dlatego, że różnica w cenie między tymi posiłkami miała w choć niewielkim stopniu pomóc w wypełnieniu zamiaru przyjęcia Ruth na mieszkankę. Dotychczas myślała o pieniądzach po dziecięcemu; zagadnienie to jej nie dotyczyło; później jednakże, kiedy pomieszkała już była u Bensonów czas jakiś, oczy jej się otworzyły i przypomniała sobie ich prostą dobroć podczas podróży, a wspomnienie o niej przechowywała w sercu niczym skarb.

Niska szara chmura była pierwszym znakiem Eccleston; był to miejski dym wiszący nad równiną. Poza miejscem, w którym, jak miała uwierzyć Ruth, było miasto, wznosiły się okrągłe, faliste wzniesienia; nie mogły się równać ze wspaniałym zarysem walijskich gór, lecz jednak były bliżej nieba, niż reszta płaskiego świata, do którego teraz wjechała. Dudniące kamienie, lampy uliczne, nagły postój, i oto byli już w Eccleston; a dziwny, surowy głos po nieoświetlonej stronie dyliżansu rzekł:

– Jest pan tam, panie?

– Owszem, owszem! – odparła szybko panna Benson. – Czy to Sally was przysłała, Benie? Weźcie latarnię stojennego i poszukajcie bagażu.

ROZDZIAŁ XIII

Dom duchownego dysydenckiego

Panna Benson odzyskała pełnię żywotności, którą do pewnego stopnia postradała była około południa; stąpała po dobrze sobie znanych kamieniach, bardzo nierównych zresztą, i była blisko domu i pośród znajomych. Nawet pan Benson gawędził z Benem bardzo wesoło i zadawał mu wiele pytań o ludzi, których nazwiska brzmiały dla Ruth obco. Była zmarznięta i do cna zdrożona. Przyjęła zaofiarowane przez pannę Benson ramię i ledwie umiała się zawlec na zaciszną uliczkę, przy której znajdował się dom pana Bensona. Ulica była tak cicha, że dźwięk kroków wydawał się głośnym zakłóceniem i ogłaszał ich nadejście równie skutecznie, jak „trąb dostojny ryk” ogłaszał nadejście Abd Allaha^[28]. Otworzyły się drzwi i przed podróżnymi pojawił się oświetlony korytarz. Gdy tylko weszli, wyłoniła się zza drzwi tęga starsza służąca, a twarz jej promieniała radością powitania.

– Witamy! Wrócili państwo! Już myślałam, że mnie tu bez państwa czeka zatracenie.

Uścisnęła serdecznie dłoń pana Bensona i przyjaźnie pocałowała pannę Benson; następnie, zwróciwszy się do Ruth, rzekła głośnym szeptem:

– A ta to kto?

Pan Benson milczał i zrobił krok naprzód. Panna Benson rzekła śmiało:

– To pani, o której wspomniałam w liście, Sally – pani Denbigh, daleka krewna.

– Tak, ale pisała pani, że ona wdowa. Czy ta smarkula może już być wdową?

– Tak, to jest pani Denbigh – odparła panna Benson.

– Gdybym była jej matką, tobym jej dała lizaka zamiast męża. Lepiej by jej pasował.

– Cicho! Sally, Sally! Spójrzcie, wasz pan próbuje przesunąć ten ciężki kufer. – Panna

Benson dobrze wiedziała, jak należy przywołać uwagę Sally ku jej panu; wszyscy bowiem uważali, w tym również i sama Sally, że jego ułomność spowodowana była upadkiem, którego doświadczył, będąc jeszcze niemowlęciem powierzonym jej opiece – opiece młodej piastuneczki, która była wówczas niewiele starsza od niego. Przez lata biedna dziewczyna zasypiała z płaczem na swym łóżku z siennikiem, biadoląc nad nieszczęściem, jakie jej własna lekkomyślność sprowadziła na jej kochanie; wyrzutów nie umniejszyło nawet przebaczenie ze strony łagodnej matki, od której Thurstan Benson przejął tak wiele cech charakteru. Pociecha, która w końcu wkradła się do serca Sally, zawierała się w stopniowo kształtowanym postanowieniu, że ona nigdy go nie zostawi ani nie opuści, lecz będzie mu z wdzięcznością służyła przez całe swoje życie; i słowa dotrzymała. Kochała pannę Benson, ale jej brata nieomal czciła. Cześć owa mieściła się jednak w jej sercu i nie zawsze uwidoczniła się w jej manierach. Lecz o ile sama karciała go niekiedy, o tyle nie udzielała tego przywileju nikomu innemu. Jeśli panna Benson poróżniła się z bratem i odważyła się uznać, że mowa jego oraz czyny mogłyby ulec poprawie, Sally srogo ją za to gromiła.

– Boże drogi, paniczku Thurstan, kiedy się panicz wreszcie nauczy, że nie należy się mieszać w cudze sprawy? Chodź, Ben! Pomóż mi wnieść te kufry.

Wąski korytarzyk opustoszał, a panna Benson zaprowadziła Ruth do bawialni. Na parterze znajdowały się dwa salony, jeden za drugim. W tym położonym z tyłu znajdowały się drzwi do kuchni, toteż pokój ów pełnił rolę rodzinnej bawialni; w przeciwnym razie Sally i panna Benson byłyby go przeznaczyły na gabinet pana Bensona, jako że wychodził na ogród, więc widok był tam o wiele przyjemniejszy od tego w drugim pokoju. A tak, rolę gabinetu pełnił pokój od frontu z widokiem na ulicę; wielu ludzi przybywało tam po pomoc – i pomocy tej, której najpospolitszą wszak odmianą było dawanie pieniędzy, udzielano, a czynił to pan Benson i nikt inny w domu

o tym wiedzieć nie musiał. W ramach zadośćuczynienia za to, że dostał mu się najmniej wesoły pokój w całym domu, miał do dyspozycji ogrodową sypialnię, podczas gdy siostra jego sypiała w pokoju nad gabinetem. Na jeszcze wyższym piętrze były ponadto dwa pokoje, o spadzistych dachach wprawdzie, lecz duże i przewiewne. W pokoju na poddaszu, którego okna wychodziły na ogród, mieściła się zapasowa sypialnia; pokój od frontu tymczasem zajmowała Sally. Nad kuchnią nie było pokoju, była to bowiem w istocie dobudówka. Salon określano ładnym, staromodnym mianem bawialni, pokój pana Bensona natomiast tytułowano gabinetem.

Portiery w bawialni były pozaciągane; na kominku palił się jasny ogień, palenisko było wysprzątane; doskonała czystość zdawała się w istocie stanowić ducha tego domu, ponieważ w otwartych drzwiach prowadzących do kuchni widać było białą, nieskazitelną podłogę oraz błyszczące, połyskujące naczynia cynowe, na których tańczył czerwonawy blask ognia.

Z miejsca, w którym siedziała, Ruth obserwować mogła każdy ruch Sally; a chociaż nie była wówczas świadoma tego, że oto przeprowadza tak bliską, drobiazgową obserwację (ciało miała znużone, umysł zaś zaprzątnięty innymi myślami), to jednak ciekawe było to, jak wiernie ta scena wyryła się w jej pamięci na wiele lat. Ciepłe światło wypełniało każdy kąt kuchni, wyróżniając się silnie na tle bladego oświetlenia pochodzącego od jedynej świecy w bawialni, którego promienność była uwięziona i gubiła się w matowych fałdach portier okiennych, na dywanie i na meblach. Mocna, tęga, krzątająca się postać była czysta i schludna pod każdym względem, lecz ubrana w osobliwy, staromodny strój regionalny, a mianowicie w spódnik w ciemne pasy ze zgrzebnej tkaniny lniano-wełnianej, bardzo krótki, odsłaniający mocne nogi w wełnianych pończochach; luźny kaftan, zwany w tej okolicy „podomką”, zrobiony z różowego perkalu; śnieżnobiały lniany fartuch oraz lniany czepek okrywający ciasno głowę – te właśnie rzeczy dopełniały ubioru Sally i odmalowane zostały w pamięci Ruth. Podczas gdy Sally zajęta była szykowaniem kolacji, panna Benson zdjęła z Ruth wierzchnie okrycie; dziewczyna zaś poczuła instynktownie, że Sally pośród swych wszystkich ruchów obserwuje jej poczynania. Od czasu do czasu wtrącała słówko do rozmowy, a zdania te wypowiedane były tonem osoby zupełnie im równej, a może nawet stojącej od nich wyżej. Porzuciła bardziej oficjalne „pani”, którym to określeniem zwróciła się wprawdzie do panny Benson, i spokojnie, jak to miała w zwyczaju, jeła się do niej zwracać per „ty”.

Wszystkie te szczegóły nieświadomie zapadły Ruth w pamięć; ale przez długi czas tkwiły gdzieś w jej otmętach i się nie ujawniały. Dziewczyna była zdrożona i bardzo przygnębiona. Nawet sama życzliwość, z jaką ją traktowano, była przytłaczająca. Ale ponad ciemnymi, spowitymi mgłą wrzosowiskami świeciło światło – latarnia wskazująca kierunek; i to w niej utkwiała swój wzrok, usiłując wy dostać się z obecnej głębokiej melancholii – było to owo maleńkie dziecko, które miało do niej przyjść!

Pan Benson był równie jak Ruth apatyczny i zdrożony i milczał pośród całej tej krzątanimy i przygotowań. Jego milczenie napawało Ruth wdzięcznością o wiele większą niż liczne słowa panny Benson, jakkolwiek czuła, że były życzliwe. Po kolacji panna Benson zaprowadziła Ruth na górę, do jej pokoju. Białe łóżko z pościelą z dymki^[29] i pomalowane na zielono ściany miały w sobie coś z kolorytu i czystości przebiśniegu; podłoga natomiast, natarta miksturą, która nadała jej nasyconą ciemnobrązową barwę, przywodziła na myśl ogrodową ziemię, z której ów pierwiosnek wyrastał. Gdy panna Benson pomagała się rozebrać bladej Ruth, jej głos stał się cichszy i mniej śpieszny; cisza nadciągającej nocy kazała jej postępować z łagodniejszą, uroczystą czułością, a wyszeptane przez nią słowo pożegnania brzmiało niczym modlitwa, która została wysłuchana.

Gdy panna Benson zeszła na dół, znalazła brata czytającego jakieś listy, które przyszedł podczas jego nieobecności. Weszła i po cichu zamknęła drzwi łączące bawialnię z kuchnią; a wtedy, przyniósłszy z sobą szarą pończochę z czesankowej wełny, którą właśnie dziergała, usiadła opodal niego, z oczami nie na robocie, a na ogniu; panującą w pokoju ciszę przerywał tymczasem szybki klekot drutów, będący dźwiękiem równie jednostajnym i ustawicznym, jak odgłos ręcznego krosna. Spodziewała się, że brat przemówi, lecz tego nie uczynił. Lubiała rozważać swe uczucia i o nich dyskutować; było to dla niej zajęcie ciekawe i rozrywkowe, brat jej natomiast obawiał się i unikał wszelkich takich rozmów. Zdarzało się, że uczucia jego, które były zawsze szczere,

a czasami chorobliwie ponure, wybuchały niepoohamowane i go obezwładniały; działa się to wówczas, kiedy jakaś siła zmuszała go do mówienia. Na ogół jednak starał się zachować spokój z obawy przed nieodpartym bólem w takich razach oraz wynikającym z niego wyczerpaniem. Przez cały dzień serce miał przepełnione myślami o Ruth i obawiał się podjęcia przez siostrę tego zagadnienia; toteż czytał dalej, lub zdawał się czytać, chociaż prawie nie dostrzegał listu, który miał przed sobą. Poczł wielką ulgę, kiedy Sally otworzyła z trzaskiem kuchenne drzwi, co nie wskazywało ani na opanowanie umysłu, ani na słodycz usposobienia.

– Czy ta młoda kobieta długo u nas zostanie? – zapytała pannę Benson.

Pan Benson położył delikatnie dłoń na ramieniu siostry, aby ją powstrzymać przed udzieleniem jakiegokolwiek odpowiedzi, sam zaś rzekł:

– Trudno nam dokładnie orzec, Sally. Pozostanie z nami do czasu rozwiązania.

– Panie, błogosław nam i nas ocal! Dziecko w domu! Ba, w takim razie nadszedł mój czas, spakuję się i odchodzę. Człogoś takiego nigdy bym nie zniosła. Prędeż wolałabym, żeby się w tym domu szczury załęgły. – Sally naprawdę wyglądała na przerażoną.

– Ależ Sally! – rzekł pan Benson z uśmiechem – sam jeszcze byłem niemowlęciem prawie, kiedyście przybyli, aby się mną opiekować.

– A owszem, paniczu Thurstan; byłeś ślicznym, zwawym trzyletnim chłopaczkiem, i to jakim.

Wówczas przypomniała sobie zmianę, która za jej sprawą dotknęła jej „ślicznego zwawego chłopaczka” i oczy jej zasły łzami, lecz duma nie pozwalała jej obetrzeć ich fartuchem; chociaż, jak niekiedy o sobie mawiała, „nie umiała znieść płaczu przy ludziach”.

– Cóż, nie ma sensu o tym mówić, Sally – oznajmiła panna Benson, nazbyt już zniecierpliwiona, by się dłużej powstrzymać przed mówieniem. – Obiecaliśmy, że ją przygarniemy i musimy to uczynić; nie będziecie się musieli tym ambarasować, Sally, więc się nie obawiajcie.

– Co to, to nigdy! Jakby mi kiedy ambaras przeszkadzał! Przecie dobrze mnie znacie. Dwa razy wyczyściłam pokój panicza, żeby deski były bieluteńkie, choć przecie przykryte są dywanem, a tu teraz taki zarzut, że ja ambarasu nie lubię. Jeśli to jakaś walijska modła tak mówić, to ja wdzięczna jestem, że nigdy tam nie byłam.

Sally poczerwieniała, wyglądała na oburzoną i naprawdę dotkniętą. Pan Benson odezwał się swym melodyjnym głosem, niosąc łagodne słowa pociechy.

– Faith wie, że nie dbacie o ambaras, Sally; martwi się tylko o tę biedną młodą kobietę, która nie ma żadnych przyjaciół prócz nas. Wiemy, że w związku z jej przyjazdem i bytnością tutaj, zrodzą się dodatkowe kłopoty; a ja sądzę, że chociaż nigdyśmy o tym nie rozmawiali, to kreśląc swe plany, oboje myśleliśmy o waszej życzliwej pomocy, Sally, która jak dotąd nigdy nas jeszcze nie zawiodła, kiedyśmy jej potrzebowali.

– Masz w sobie dwa razy tyle rozsądku, co twoja siostra, paniczu Thurstan, oj masz. Jak to chłopak. To prawda, że będzie dodatkowy ambaras, ale widzi mi się, że trzeba, żebym i ja się nim zajęła. Jak mi się o tym powie prosto z mostu, to ja to zniosę, ale ścierpieć nie mogę tego, jak to niektóre ludziska lubią zaprzeczać, że jest jakiś kłopot albo boleść, któremu trza stawić czoło; jakby to, że mówią, że ambarasu nie ma, miałoby sprawić, że się go uniknie. Niektóre ludziska traktują człowieka jak dzieciaka, a ja tego nie lubię. I nie mówię tu o tobie, paniczu Thurstan.

– Nie, Sally, nie trzeba tego mówić. Dobrze wiem, co macie na myśli, mówiąc „niektóre ludziska”. Jednakowoż przyznaję, że nie powinnam była mówić tak, jakby wam ambaras przykrość sprawiał, bo nigdy nie było na świecie istoty, która by mniej o to dbała. Lecz pragnęłabym, abyście polubili panią Denbigh – rzekła panna Benson.

– Może i polubię, jeśli mnie zostawicie w spokoju. Nie podobało mi się, że ona się rozsiadła w fotelu panicza. Co za pomysł, doprawdy, sadzać ją we fotelu z poduszkami! Za moich czasów dziewczyny były rade, kiedy im się stółek dostał.

– Dziś wieczór była zmęczona – oznajmił pan Benson. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni; toteż jeżeli skończyliście już swoją robotę, Sally, przyjdźcie na czytanie.

Trzy ciche osoby uklęły obok siebie, a dwie z nich modliły się szczerze za „tych, co

zblądzili”. Przed dziesiątą cały dom był w łózkach.

Ruth nie umiała zasnąć, zmęczona i niespokojna, zgnębiona smutkiem, któremu nie śmiała stawić czoła, ani nad nim z odwagą rozmyślać, toteż czuwała przez pierwsze godziny nocne. Wielokrotnie wstawała i podchodziła do długiego skrzynkowego okna, i wyglądała na zewnątrz, poza nieruchome, ciche miasto – poza szare mury kamienne oraz kominy i poza ostre spadziste dachy – na daleki, pofalowany zarys horyzontu, rozciągający się spokojnie pod jasną poświatą księżycy. Późny ranek nastał, kiedy się zbudziła z długo odraczanego snu; a gdy zeszła na dół, znalazła pana i pannę Benson czekających na nią w bawialni. Taki przytulny, śliczny, staroświecki pokój! Jakże jasno i spokojnie, i czysto on wyglądała! Okno (wszystkie okna na tyłach domu były skrzynkowe) było otwarte dla wpuszczenia słodkiego porannego powietrza i sączącego się wschodniego słońca. Długie gałązki jaśminu z białymi pachnącymi gwiazdeczkami cisnęły się niemalże do pokoju. Położony dalej niewielki kwadratowy ogródek otoczony ze wszech stron szarym kamiennym murem, był bujny i bogaty w jesiennym ubarwieniu, obejmującym od ciemnokarmazynowych malw aż po bursztynowe i złote nasturcje, a wszystko to złagodzone było przejrzystym, delikatnym powietrzem. Było tak spokojnie, że nawet obciążone rosą pajęczyny babiego lata nie drżały ani trochę; słońce zaś przyciągało ku sobie słodką woń wielu kwiatów i bawialnia pachniała rezedą oraz lewkonią. Panna Benson układała w staroświeckim wazonie wiązkę chińskich i damasceńskich róż; leżały one, świeże i skropione rosą, na białym obrusie śniadaniowym, kiedy weszła Ruth. Pan Benson czytał jakiś duży foliał. Przywitali ją łagodnym porannym słowem; lecz ową scenę cichego wypoczynku przerwała natychmiast Sally, zaglądając z kuchni i obrzucając Ruth spojrzeniem ostrej nagany. Rzekła:

– Myślę, że teraz mogę już przynieść śniadanie? – podkreślając dobitnie słowo „teraz”.

– Obawiam się, że bardzo jestem spóźniona – rzekła Ruth.

– O, mniejsza o to – odparł łagodnie pan Benson. – To nasza wina, żeśmy ci nie powiedzieli, o której śniadamy. Pacierze odmawiamy zawsze o pół do ósmej; przez wzgląd na Sally nigdy nie zmieniamy tej pory; wiedząc bowiem, kiedy przypada godzina modlitw, może tak zaplanować swoją pracę, aby się tym nie martwić ani nie niepokoić swego umysłu.

– Hm! – rzekła panna Benson, skłonna „zeznawać” przeciwko niezmiennemu spokojowi umysłu Sally o każdej porze dnia; lecz brat mówił dalej, jak gdyby tego nie słyszał.

– Ale nic nie szkodzi, jeżeli śniadanie się trochę opóźni; a pewien jestem, że bardzo byłaś zmęczona po długim wczorajszym dniu.

Sally weszła z hukiem i położyła na stole twarde, wysuszone grzanki, mówiąc:

– Nie moja wina, że są jak ze skóry – ale jako że nikt nie zdawał się tego słyszeć, wycofała się do kuchni, pozostawiając Ruth oblaną karmazynowym rumieńcem z powodu utrapienia, którego była powodem.

Przez cały dzień towarzyszyło jej uczucie właściwe tym, którzy zamieszkują w nowym domu pośród stosunkowo obcych ludzi: czuła, że koniecznym będzie przywyknąć do nowego otoczenia, w którym ją umieszczono, nim zacznie się poruszać i działać swobodnie; w istocie oddychała teraz czystszy eterem, powietrzem bardziej niebiańskim, niż to, do którego przywykła była przez długie miesiące. Łagodna, błogosławiona matka, która uczyniła dom jej dzieciństwa świętą ziemią, była w samej swej naturze tak bardzo daleka od jakichkolwiek pokus ziemskich i zmas, że prawdziwie zdawała się jedną z tych:

Którzy nie proszą, by oczy Twoje
ich strzegły; bo w prawdzie, w miłości,
rządzą wciąż nimi niepokoję,
a dobry głos jasnej młodości^[30].

Mieszkańcy domu Bensonów tak samo jak matka Ruth nie brali pod wzgląd zasług jednostki i tak samo jak ona nie mieli w zwyczaju przeprowadzać introspekcji ani analizować pobudek; ale zdawało się, że ich życie czyste jest i dobre nie tylko dzięki uroczej, pięknej naturze, lecz również dzięki pewnemu prawu, którego przestrzeganie niesło samo w sobie harmonijny pokój, a które rządziło nimi niemalże bezwarunkowo, oni go zaś nie podważali, tak jak i wspaniałe, nieśpieszne gwiazdy nie ustają w swoim odwiecznym posłuszeństwie. Domownicy mieli wiele

wad: byli tylko ludźmi i pomimo pełnego miłości pragnienia, aby prowadzić swe żywoty w harmonii z wolą Bożą, często się mylili i zawodzili; lecz w jakiś sposób błędy i przewiny jednego służyły wywołaniu jeszcze wyborniejszych zalet u drugiego, tak więc oddziaływali na siebie nawzajem, a wyniku owych drobnych waśni pogłębiały się jeszcze pokój i harmonia. Lecz oni sami nie zdawali sobie sprawy z prawdziwego stanu rzeczy; nie kłopotali się przeprowadzaniem rachunku sumienia dla zbadania swych postępów; jeżeli pan Benson w godzinę skrajnej niezdolności do wysiłku zwracał się niekiedy ku swemu wnętrzu, to czynił tak po to, ażeby wykrzyknąć na głos w chorobliwej niemal rozpacz: „Boże, bądź miłościw mnie, grzesznemu!”^[31]. Lecz starał się złożyć swe życie w ręce Boga i nie myśleć o sobie.

Ruth przesiedziała dłuższy dzień cicho i spokojnie. Była apatyczna i zmęczona po podróży; nie była pewna, jakiego rodzaju pomoc przy wypełnianiu domowych obowiązków mogłaby zaoferować, a jakiej nie powinna. A w apatii oraz niepewności przyjemnie było obserwować nieznanne zachowania ludzi, pośród których się znalazła. Po śniadaniu pan Benson wycofał się do swego gabinetu, panna Benson odniosła filiżanki i spodki, a pozostawiając drzwi kuchenne otwarte, zmywała, przemawiając niekiedy do Ruth, niekiedy zaś do Sally. Sally czekały obowiązki na piętrze, za co Ruth była wdzięczna, ponieważ dopóki Sally pozostawała na dole, dopóty obdarzała dziewczynę dość gniewnymi spojrzeniami za jej niepunktualność. Panna Benson pomogła w przygotowaniach do wczesnego obiadu i przyniosła trochę czerwonej fasoli, by ją namoczyć w misce czystej, przejrzystej wody źródlanej, która lśniła i falowała w promieniach słońca, gdy panna Benson usiadła w pobliżu otwartego okna w bawialni, opowiadając Ruth o rzeczach i ludziach, o których ta druga na razie nic nie wiedziała, i nie potrafiła sobie tych wiadomości uporządkować ani pojąć. Była jak dziecko, któremu wręcza się kilka kawałków porozcinanej mapy, a ono jest w kłopotcie dopóty, dopóki ktoś nie pozwoli mu zerknąć na całość obrazka. Pan i pani Bradshaw byli środkowymi kawałkami mapy Ruth; ich dzieci, ich służba, były to części przyległe; a niekiedy wspominano jeszcze jedno czy dwoje innych nazwisk. Wytrwałość, z jaką panna Benson mówiła o ludziach, których Ruth nie знаła, zdumiewała ją i niemal męczyła; lecz przecież panna Benson słyszała przeciągłe, drżące westchnięcia, które brały się z biednego, ciężkiego serca, kiedy wokół panowało milczenie i wolno mu było roztrząsać przeszłe zdarzenia; a jej bystre, nawykłe do tych dźwięków ucho podchwytowało również ciche pomruki grzmotów w oddali, skrytych pod postacią monologów Sally, które podobnie jak uwagi na stronie w teatrze, miały być słyszalne. Nagle panna Benson wywołała Ruth z pokoju i zaprowadziła na górę do swej sypialni, a potem ją przetrząsała niewielkie staroświeckie szkatułki, wyciągnięte z równie staroświeckiego sekretarzyka, który służył w połowie za biurko, w połowie zaś za stół, a cały złożony był z szuflad.

– Moja droga, byłam bardzo głupia i bezmyślna. Och! Jakże się cieszę, że pomyślałam o tym, zanim pani Bradshaw zawita do nas z wizytą. Oto i jest! – i wyciągnęła starą obrączkę ślubną, i pośpiesznie wsunęła ją Ruth na palec. Ruth zwiesiła głowę i poczerwieniała w głębokim zawstydzeniu; oczy zapiekły ją od gorących łez, które się w nich pojawiły. Panna Benson mówiła dalej, nerwowo, pośpiesznie:

– Należała do mej babki; jest bardzo szeroka; takie się wówczas robiło, po to ażeby wewnątrz umieścić sentencję: tutaj też jest coś, co głosi:

„Jam Twoje kochanie
po śmierci rozstanie”

Tak mi się zdaje. Dostyc już, dostyc! Zmykaj i wyglądam tak, jakbyś nosiła ją od zawsze.

Ruth poszła na górę, do swego pokoju i rzuciła się na kolana przy łóżku, i zapłakała tak, jak gdyby miało jej pęknąć serce; a potem zdawało się, że do duszy jej zstąpiła światłość, uspokoiła się bowiem i pomodliła – żadne słowa nie mogą wyrazić tego, jakże pokorna to była modlitwa i jak szczerza. Kiedy zesza, miała na twarzy ślady łez i była okropnie błada; lecz nawet Sally spojrzała na nią innym wzrokiem z powodu godności, w jaką przyoblekła dziewczynę gorliwość zamierzenia, którego przedmiotem było jej dziecko. Siedziała i myślała, ale nie wydawała już z siebie owych gorzkich westchnień, które rano ścisnęły pannę Benson za serce. W ten sposób dzień dobiegł końca; wczesny obiad, wczesna kolacja, zdawały się w sposób nadprzyrodzony wydłużać go w oczach

Ruth; jedynym wydarzeniem była niewyjaśniona nieobecność Sally, która znikła z domu wieczorem, ku niemałemu zaskoczeniu panny Benson i poniekąd ku jej oburzeniu.

W nocy, kiedy Ruth udała się do swego pokoju, przynajmniej dla niej nieobecność ta się wyjaśniła. Rozpuściła swe długie, faliste, lśniące włosy i stała pośrodku pokoju pochłonięta myślami, kiedy usłyszała zdrowe, ciężkie pukanie do drzwi, odmienne od dźwięku, który wydawały drobne knykcie delikatnych palców, i do środka wmaszerowała Sally z surowością obejścia godną sędziego, trzymając w ręku dwa wdowie czepki o najpospolitszym kroju, uszyte z najzgrzebniejszej tkaniny. Nawet sama królowa Eleonora, wręczając czarę Pięknej Rozamundzie^[32], nie mogła wyglądać na równie nieugiętą w swym zamiarze, jak Sally w owej chwili. Podeszła do pięknej, zaskoczonej Ruth, stojącej w długim, miękkim, białym szlafroku, z bujnymi brązowymi włosami opadającymi luźno w nieładzie, i przemówiła tymi słowy:

– Pani – czy też, jak to może być, panienko – mam co do ciebie wątpliwości. Nie pozwolę, żeby kto wykorzystał mego pana i pannę Benson, ani żeby ich wstyd spotkał. Wdowy noszą czepki, takie jak te, i ścina im się włosy; a bez względu na to, czy wdowy noszą obrączki ślubne, czy nie noszą, włosy trzeba im ścinać – trzeba. Ja nie pozwolę, żeby cokolwiek było w tym domu niedokończone. Na Świętego Michała będzie czterdzieści dziewięć roków, jak mieszkam z tą rodziną i nie pozwolę, żeby na nią hańba spadła przez czyje piękne, długie loki. Siadaj i niech ci obetnę włosy, a jutro chcę cię widzieć we wdowim czepku, żeby to twoje oszukaństwo było przyzwoite, bo inaczej odejdę z tego domu. Co też naszło pannę Faith, która była kiedyś powściągliwa, jak na damę przystało, żeby się pozwolić omotać takiej jak ty, tego nie wiem. No, siadajże! I niech ci zetnę włosy.

Położyła na ramieniu Ruth nie lekką bynajmniej dłoń; a dziewczyna siedziała cicho, po części onieśmielona przez starą służącą, która dotąd ujawniała przed nią jedynie sekutniczą część swej natury, po części zaś dość załamana na duchu, co sprawiło, że była obojętna wobec zaproponowanych zabiegów. Sally sięgnęła po budzące grozę nożyce, które zawsze wisały u jej boku, i niemiłosiernie zabrała się za obcinanie. Spodziewała się jakichś protestów czy wyrazów sprzeciwu i miała już w zanadru potoki słów, gotowe popłynąć na najmniejszy przejaw buntu; lecz Ruth siedziała nieruchoma i milcząca z potulnie spuszczoną głową pod obcymi rękami, które strzygły jej piękne włosy na krótko, chłopięc. Na długo przed końcem Sally doznała lekkiej obawy względem zakładanej konieczności tego dzieła; ale było już za późno, przepadła już bowiem połowa loków, więc i resztę należało ściąć. Gdy skończyła, uniosła twarz Ruth, umieściwszy swą dłoń pod jej krągłym, białym podbródkiem. Spojrzała w tę twarz, spodziewając się znaleźć w niej jakiś wyraz gniewu, który się nie objawił w słowach; tymczasem zobaczyła tylko duże, spokojne oczy, które spoglądały na nią ze swych pięknie wyżłobionych orbit ze smutną łagodnością. Łagodna, acz pełna godności uległość wzbudziła w Sally skruchę, aczkolwiek zdecydowana była nie okazywać zmiany, jakiej uległy jej uczucia. Usiłowała ją wręcz ukryć, pochylając się, by pozbierać długie, lśniące pasma; a unosząc je z podziwem, by pozwolić im opaść i falować w powietrzu (niczym witki brzozy płaczącej), rzekła:

– Myślałam, że mi się tu rozbeczysz – tak żem myślała. To całkiem ładne włosy; ale też i nie byłaś niedobra, i się zgodziłaś, żeby je ściąć. Bo trza ci wiedzieć, panicz Thurstan w niektórych sprawach niemądry jest jak dzieciak; a panna Faith mu po prostu ustępuje; więc to ja muszę pilnować, żeby się nie wpakował w tarapaty. Życzę ci bardzo dobrej nocy. Nieraz słyszałam, jak niektóre mówią, że długie włosy nie są zdrowe. Dobranoc.

Lecz po chwili raz jeszcze zajrzała do pokoju Ruth.

– Nałożysz czepki jutro rano. Daję ci je w podarku.

Sally zabrała piękne pukle, lecz nie miała serca, aby wyrzucić taki wspaniały kasztanowe pasma, toteż zawinęła je ostrożnie w papier i schowała w bezpiecznym kącie swej szuflady.

ROZDZIAŁ XIV

Pierwsza niedziela Ruth w Eccleston

Ruth czuła ogromną nieśmiałość, gdy następnego ranka (o wpół do ósmej) zeszła na dół we wdowim czepku. Jej gładka, blada twarz, której owalu nie tknął czas, wyglądała młodziej i bardziej dziecinnie niż kiedykolwiek w zestawieniu z nakryciem głowy kojarzonym na ogół z wiekiem dojrzałym. Bardzo mocno się zarumieniła, kiedy pan i panna Benson spojrzeli na nią z zadziwieniem, którego nie udało im się ukryć. Oznajmiła pannie Benson cicho:

– Sally uznała, że powinnam go nosić.

Panna Benson nic nie odpowiedziała; ale zaskoczyła ją wiadomość, która w jej mniemaniu kryła się w tych słowach, a mianowicie, że Sally znała prawdę o położeniu Ruth. Tego ranka zwracała szczególną uwagę na zachowanie Sally. Sposób, w jaki stara służąca traktowała Ruth, miał w sobie o wiele więcej szacunku, niż poprzedniego dnia; lecz z niejakim zadowoleniem odpierała teraz spojrzenia panny Benson, co wzbudzało w tej ostatniej poczucie niepewności i wprawiało ją w zakłopotanie.

Weszła za bratem do jego gabinetu.

– Czy wiesz, Thurstanie, że jestem prawie pewna, iż Sally coś podejrzewa?

Pan Benson westchnął. Ubolewał nad całą tą mistyfikacją, a mimo to dostrzegał jej konieczność.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał.

– O, z wielu powodów. To ów dziwny sposób, w jaki ciągle pochylała głowę, jak gdyby chciała się dobrze przyjrzeć lewej dłoni Ruth, sprawił, że pomyślałam o ślubnej obrączce; a kiedy wczoraj powiedziałam, zupełnie naturalnie, jak się zdaje, że to smutne, iż takie młode stworzenie zostało wdową, ona przerwała mi słowami „wdowa, niech mnie licho!” bardzo dziwnym, pełnym wzgardy tonem.

– Jeżeli coś podejrzewa, to o wiele lepiej będzie powiedzieć jej od razu całą prawdę. Nie spocznie, dopóki jej nie pozna, toteż musimy tę sposobność wykorzystać jak najlepiej.

– Wobec tego, bracie, to ty jej powiesz, bo ja z pewnością nie śmiem. Nie mam nic przeciwko temu, żeśmy postąpili tak a nie inaczej, po tym jak ze mną owego dnia porozmawiałeś i teraz, gdy już poznałam Ruth; jednak będzie mi wadziło to, co ludzie będą na ten temat gadać.

– Ale Sally to nie „ludzie”.

– Och, wiem, że trzeba to zrobić; a ona będzie gadała tyle, ile wszyscy inni ludzie razem wzięci i z tej właśnie przyczyny nazywam ją „ludźmi”. Mam ją zawołać? – (Dom ów był bowiem tak niewyszukany i surowy że dzwonek tam nie posiadano).

Sally weszła w pełni świadoma tego, co zaraz usłyszy, z postanowieniem, że nie dopomoże Bensonom w ujawnianiu niezręcznej tajemnicy i nie da po sobie poznać, że zna jej naturę, dopóki nie powiedzą o wszystkim otwarcie. Za każdym razem, gdy przerywali w nadziei, że pojęła sens aluzji, które czynili, ona uparcie przybierała oglupiały i skonsternowany wyraz twarzy i mówiła „No”, jak gdyby zupełnie nie wiedziała, jak się ta opowieść zakończy. Kiedy nareszcie wyłożono kawę na ławę, odezwała się dość szczerze:

– Jest tak, jak zem myślała; i zdaje mi się, że możecie mi podziękować za to, zem miała na tyle oleju w głowie, żeby ją ubrać we wdowi czepek i obciąć te jej śliczne brązowe włosy, co to się bardziej nadawały dla panny młodej prawem poślubionej, jak dla takiej jak ona. Ale zniosła to niezgorzej. Cicha była jak owieczka, a z początku zabrałam się za strzyżenie wcale ostro. Trza mi powiedzieć, że gdybym była wiedziała, kim jest wasz gość, tobym się była spakowała i wyniosła

z tego domu prędej, niżby się taka tutaj zjawiała. Ale skoro się stało, to widzi mi się, że muszę z wami zostać i pomóc z tym wszystkim; mam tylko nadzieję, że opinii od tego nie zszargam – ja, córka kościelnego.

– O, Sally! Ludzie zbyt dobrze was znają, ażeby myśleć o was źle – odparła panna Benson, rada, że trudność została pokonana z taką łatwością; bo prawdę rzekłszy, uległa łagodność, z jaką ubiegłej nocy Ruth poddała się „strzyżeniu”, dość znacznie ułagodziła Sally.

– Gdybym to ja tam z tobą była, panie Thurstan, tobym cię należycie pilnowała, bo zawsze zbierasz takich, co to nikt inny by ich nawet cęgami nie dotknął. No dajmy na to dziecko tej Nelly Brandon, podrzucone pod naszymi drzwiami; gdybym nie poszła z nim wtedy do nadzorca, mielibyśmy na karku dzieciaka tej irlandzkiej przybłądy do końca życia; ale ja poszłam i powiedziałam o nim nadzorca, no i matkę złapali.

– Tak – odparł pan Benson ze smutkiem – i często w nocy zastanawiam się, jakże się potoczyły losy tego biednego maleństwa, które wmuszono na powrót matce, chociaż ona usiłowała się go pozbyć. Często wątpię, czy postąpiłem słusznie; ale nie ma sensu o tym teraz myśleć.

– I całe szczęście – odparła Sally – a teraz, jeżeliśmy już wystarczająco nagadali się po naukowemu, pójdę zasłać łóżka. Sekret tej młodej dziewczyny jest po mojemu bezpieczny.

To rzekłszy, wyszła z pokoju, a panna Benson podążyła za nią. Zastała Ruth zajęta zmywaniem po śniadaniu, a czyniła to w sposób tak cichy i uporządkowany, że ani panna Benson, ani Sally, a obie były przecież dość pedantyczne, nie uznały, iż ucierpiały na tym ich upodobania czy przesadne nawyki. Zdawało się, że potrafiła instynktownie rozpoznać dokładnie tę chwilę, w której jej pomoc stawałaby się zawadą i wycofać się z ruchliwej kuchni we właściwym czasie.

Tego popołudnia, kiedy panna Benson i Ruth siedziały zajęte robotą, przyszły z wizytą pani i panna Bradshaw. Panna Benson była tak zdenerwowana, że zaskoczyło to Ruth, która nie rozumiała możliwych i prawdopodobnych pytań, jakie mogłyby paść w odniesieniu do jakiegokolwiek gościa przebywającego w domu duchownego. Ruth szła dalej, pogrążona w myślach i rada, że rozmowa między dwiema starszymi paniami oraz milczenie młodszej, siedzącej w pewnej odległości od niej, pozwoliły jej wycofać się do zakątków pamięci; wkrótce wypadła jej z rąk robótka, a wzrok skupił się na niewielkim ogródku za oknem, lecz nie dostrzegając jego kwiatów ani murów; widziała góry, które opasywały Llan-dhu, i widziała słońce wschodzące spoza ich żelaznego zarysu, tak jak to ono zwykło było czynić – jak dawno już temu? Czy upłynęły miesiące, czy też lata, odkąd czuwała przez całą noc, skulona pod jego drzwiami? Co było snem, co zaś jawą? Tamto, odległe życie, czy też to? Jego jęki dzwoniły jej w uszach dużo wyraźniej aniżeli brzęczenie rozmowy, jaka toczyła się między panią Bradshaw a panną Benson.

W końcu ta cicha, mała dama o wystraszonym wyglądzie i jej bystrooka, milcząca córka powstały, aby się pożegnać; Ruth przywołała się do codzienności i wstała, i dygnęła, i słabo jej się zrobiło na sercu na to nagłe wspomnienie.

Panna Benson odprowadziła panią Bradshaw do drzwi; w korytarzu udzieliła jej obszernych wyjaśnień na temat (zmyślonej) historii Ruth. Pani Bradshaw wyglądała na tak zainteresowaną i zadowoloną, że panna Benson nazmyślała nieco więcej niż było konieczne i podkoloryzowała swe wymysły za pomocą jednego czy dwóch nieprawdziwych szczegółów, a brat jej, czego nie była świadoma, usłyszał wszystko przypadkiem przez na wpół otwarte drzwi do gabinetu.

Dosyć się strwożyła, kiedy po wyjściu pani Bradshaw wezwał ją do siebie i zapytał, co też takiego mówiła o Ruth?

– Och! Pomyślałam, że lepiej będzie wyjaśnić wszystko dokładnie – to znaczy, opowiedzieć taką historię, w którą wszyscy mogliby raz na zawsze uwierzyć – wiesz przecież, żeśmy się co do tego zgodzili, prawda, Thurstanie? – rzekła lekceważąco.

– Owszem; ale słyszałem, żeś powiedziała, iż zdaje ci się, że jej mąż był młodym chirurgiem, czy tak?

– Cóż, Thurstanie, wiesz przecież, że kimś być musiał; a młodzi chirurgowie bardzo są podatni na umieranie, toteż zdało mi się to czymś zupełnie naturalnym. A poza tym – dodała w przypływie śmiałości – zdaje mi się, że mam talent do snucia fantazji, tak przyjemnie jest wymyślać wypadki i łączyć je ze sobą; a zresztą, skoro mamy opowiadać kłamstwo, to równie

dobrze możemy to robić porządnie, w przeciwnym bowiem razie wszystko na nic. Spartaczony kłamstwo byłoby więcej niż bezużyteczne. A poza tym, Thurstanie – być może się mylę – lecz zdaje mi się... obawiam się, że lubię, kiedy mnie prawda nie pęta. Nie patrz tak poważnie. Wiesz, że jeżeli kiedykolwiek rzeczą konieczną było mówienie nieprawdy, to właśnie teraz; i nie złość się na mnie dlatego, że tak dobrze to robię.

Nakrył teraz oczy dłonią i nie odzywał się przez pewien czas. Nareszcie rzekł:

– Gdyby nie chodziło o dziecko, powiedziałbym wszystko; ale świat jest taki okrutny. Faith, nie wiesz, jak bardzo boli mnie ta widoczna konieczność mówienia nieprawdy, w przeciwnym bowiem razie nie wynajdywałabyś tych wszystkich tak licznych szczegółów, które są dodatkowymi kłamstwami.

– Dobrze, dobrze! Powstrzymam się, jeżeli przyjdzie mi znów opowiadać o Ruth. Ale pani Bradshaw powie wszystkim, którzy powinni wiedzieć. Thurstanie, z pewnością nie chcesz chyba, żebym zadała wszystkiemu kłam – to taka ładna, prawdopodobna historia.

– Faith! Mam nadzieję, że Bóg nam przebaczy, jeżeli czynimy źle; i proszę cię, moja droga, nie dodawaj już ani jednego niepotrzebnego słowa, jeżeli jest ono nieprawdą.

Upłynął kolejny dzień i nadeszła niedziela; a dom zdawał się wypełniony głębokim pokojem. Nawet ruchy Sally mniej były pośpieszne i gwałtowne. Zdawało się, że pan Benson przywdział nową jakąś dostojność, która sprawiała, że cielesna ułomność została zapomniana wobec spokojnego, poważnego opanowania ducha. Sprzątnięto każdy ślad zajęć dnia powszedniego; poprzedniego wieczoru nakryto stół jasnym, eleganckim świeżym obrusem, a w wazonach pojawiły się świeże kwiaty. Niedziela była w tym domu dniem świętym i świątecznym. Po bardzo wczesnym śniadaniu do gabinetu pana Bensaona przydreptały drobne stópki, prowadził on bowiem lekcje dla chłopców – coś w rodzaju domowej szkoły niedzielnej, z tym że więcej było tam rozmów między nauczycielem a uczniami, niż suchych, oficjalnych treści. Również panna Benson przyjmowała małe, ubrane w futrzane pelerynki panienki, które siadywały z nią w bawialni; i była wobec nich o wiele bardziej wymagająca, gdy szło o pilną naukę pisania i czytania, niż brat jej wobec swych uczniów. Także i Sally wtrącała czasem z kuchni jakąś wskazówkę, w swym mniemaniu pomocną, jakkolwiek często pomoc ta była raczej nie *à propos*; na przykład do małej, tłustej, przysadzistej, głupiej dziewczynki, której panna Benson objaśniała właśnie znaczenie słowa „czworonożny” zawołała:

– Czworonożny to rzecz, co ma cztery nogi, Jenny; krzesło jest czworonożne, dziecko!

Lecz panna Benson wołała niekiedy udawać głuchą, o ile nie nadwerężano zbytnio jej cierpliwości, co i teraz uczyniła. Ruth siedziała na niskim podnóżku i wabiła do siebie najmniejszą z dziewczynek, i pokazywała jej obrazki, aż ta usnęła w jej ramionach, a wtedy przeszył ją dreszcz wzruszenia na myśl o małym kochaniu, które wkrótce będzie tuliła do piersi i które będzie miłowała i osłaniała przed zawieruchami tego świata.

A wtedy sobie przypominała, że kiedyś była równie niewinna i bezgrzeszna, jak owo małe dziecko, które leżało w jej ramionach; i miała świadomość, że zbłądziła. Niebawem dzieci odmaszerowały i panna Benson wezwała ją, by się ubrała do kaplicy.

Do kaplicy szło się w górę do końca wąskiej ulicy, czy raczej ślepej uliczki nieopodal. Znajdowała się ona na obrzeżach miasta, niemal pośród pól. Wzniesiono ją za czasów Matthew oraz Philipa Henrych, gdy dysydenci obawiali się zwracać na siebie uwagę, by nie stać się przedmiotem obserwacji i ukrywali swe miejsca kultu w położonych na uboczu, mało znanych częściach miast. Stąd też często zdarzało się, tak jak miało to miejsce w omawianym przypadku, że zarówno budynki w najbliższym otoczeniu kaplic, jak i same kaplice, wyglądały tak, jakby czas zatrzymał się tam sto pięćdziesiąt lat wcześniej. Kaplica była malownicza, staroświecka, szczęśliwie bowiem zgromadzenie było zbyt ubogie, aby ją przebudować, czy też wznieść dla niej nową fasadę w stylu Jerzego III. Schody prowadzące na chór znajdowały się na zewnątrz po obu końcach budynku, a nieregularny dach i wyrobione kamienne schody były szare i przebarwione pod wpływem czasu i pogody. Porośnięte trawą kopczyki, każdy zwieńczony niewielkim, pionowym kamieniem nagrobnym, pławiły się w cieniu okazałego starego wiązu górskiego. Jeden czy dwa krzewy bzu, białe drzewo różane oraz kilka krzewów złotokapu, wszystkie stare i dość

powykrzywiane, posadzone były na przykaplicznym dziedzińcu; a skrzynkowe okna kaplicy, zrobione z kryształowych szybek w kształcie rombów, niemalże w całości pokryte były bluszczem, przez co wewnątrz panował zielony, niepozbawiony uroczystego charakteru mrok. Bluszcz ów był domem dla nieskończonej ilości ptaszków, które ćwierkały i śpiewały, aż można by pomyśleć, że pozazdrościły hymnów pochwalnych istotom ludzkim wewnątrz budynku – tak szczerymi, przeciągłymi melodiami radował się ten tłumek skrzydlatych pieśniarzy i cieszył z pięknego daru życia. Wnętrze kaplicy było tak proste i pozbawione ozdób, jak to tylko możliwe. W czasach, gdy je wyposażano, dębina była o wiele tańsza niż obecnie, toteż całą stolarkę wykonano z tego właśnie surowca; lecz była grubo ciosana, ponieważ dawni budowniczy nie mieli do dyspozycji wiele majątku. Ściany były bielone i odbijało się na nich piękno otoczenia na zewnątrz; na ich „białych połaciach” widniały bluszczowe szlaczki, raz nieruchome, innym znów razem poruszone nagłym zrywem jakiegoś ptaszka. Zgromadzenie składało się między innymi z farmera i jego wyrobników, którzy zstępowali z terenów wyżynnych za miastem do miejsca modlitw, w którym dawniej modlili się ich ojcowie, a wielbili to miejsce, ponieważ wiedzieli, jak wielkim cierpieniem ich ojców było ono okupione, jakkolwiek nigdy nie zastanawiali się, dlaczego odeszli oni od swego kościoła parafialnego; z kilku sklepikarzy, o wiele bardziej myślących i rozumnych, którzy byli dysydentami z przekonania, nieuwikłanymi w powiązania z czasów przodków; i z jednej czy dwóch rodzin o jeszcze wyższej pozycji materialnej. Do tego było tam wielu ubogich, których przyciągnęła miłość, jaką darzyli naturę pana Bensona, czuli bowiem, że wiara, która uczyniła zeń tego, kim jest, nie mogła być bardzo niesłuszna: oni znajdowali się u podstawy tej piramidy, pan Bradshaw zaś był jej wierzchołkiem – tak oto rysowało się całe zgromadzenie.

Wchodząc, wieśniacy przyglądali włosy i usilnie starali się stąpać bezgłośnie i lekko po posadzce nawy; niebawem, kiedy już wszyscy się zebrali, wszedł za nimi pan Benson, sam, przez nikogo nieprowadzony. Zamknął drzwiczki ambony i ukląkł na chwilę do modlitwy, po czym podsunął psalm z ukochanego, starego szkockiego psalterza, w którym niewyszukane, doskonałe słowa z Biblii przekomponowane były odpowiednio dla ułatwienia śpiewu; wstał ktoś jakby kantor i odgwiżdawszy odpowiedni dźwięk na stroiku, odśpiewał parę wersów, aby wskazać w ten sposób melodię pozostałym, a wówczas wszyscy wierni powstali i wyśpiewali głośno; wspaniały bas pana Bradshawa wyprzedzał pozostałych o pół nuty, odpowiednio do zajmowanego przezeń stanowiska pierwszego członka zgromadzenia. Jego mocny głos był jak bardzo nienastrojone organy, na których ktoś bardzo niedobrze gra; lecz skoro nie posiadał ani słuchu, ani nieśmiałości, niezwykle miło słuchało mu się tych wspaniałych, głośnych dźwięków. Był wysokim, grubokościstym moczarnem o surowej, silnej i władczej powierzchowności; ubierał się w stroje z najwspanialszego sukna, rozmyślnie źle skrojone, jak gdyby na dowód tego, jak obojętne były mu wszelkie rzeczy zewnętrzne. Jego żona wyglądała miło i łagodnie, lecz jakby złamana przymusem całkowitego poddaństwa.

Ruth tego nie widziała, nie słyszała też niczego oprócz słów, które z nabożeństwem – och, z jakim nabożeństwem! – wygłaszał pan Benson. Ruth była obecna w jego myślach przez cały czas, kiedy przygotowywał się do swej niedzielnej powinności; i usiłował wystrzegać się wszystkiego, co mogłaby odebrać jako aluzję do swego położenia. Pamiętał, jak Dobry Pasterz z pięknego obrazu Poussina^[33] troskliwie niósł owieczki, wyczerpane po tym, jak pobłądziły, i czuł, że podobnej troski potrzeba było w postępowaniu wobec Ruth. Lecz czy istnieje taki rozdział, w którym nie zawarto czegoś, czego złamany i skruszony duch nie mógłby odnieść do siebie? Toteż zdarzyło się tak, że gdy czytał, serce Ruth doznało porażenia, a ona jęła opadać coraz niżej i niżej, aż uklękła na podłodze i przemówiła do Boga w duchu, a może i słowami syna marnotrawnego: „Ojcze, zgrzeszyłem przeciw niebu i względem Ciebie. Nie jestem godzien zwać się dzieckiem Twoim!”^[34]. Panna Benson była wdzięczna (choć pokochała Ruth jeszcze mocniej za ów akt wyrzeczenia się siebie), że ławka rodziny pastora znajdowała się w głębokim cieniu chóru. Usiłowała z największą uwagą patrzeć na brata, ażeby pan Bradshaw nie zaczął podejrzewać niczego niezwykłego, kiedy ukradkiem ujęła bierną dłoń Ruth, leżącą bezradnie na poduszce, i ścisnęła ją łagodnie i czule. Lecz Ruth siedziała na ziemi, pochylona i złamana żalem, aż wszystko się skończyło.

Panna Benson marudziła w ławce, rozdarta między świadomością, że jako *locum tenens*^[35]

żony pastora powinna stanąć przy drzwiach, aby odebrać liczne życzliwe wyrazy uszanowania po długiej nieobecności, a niechęcią, z jaką przeszkodziłaby Ruth, która najwyraźniej się modliła i, sądząc po spokojnym oddechu, przyjmowała do swej duszy treści poważne i uroczyste. W końcu powstała, spokojna, opanowana i godna. W kaplicy było pusto i cicho; lecz panna Benson usłyszała gwar głosów na przykaplicznym dziedzińcu. Prawdopodobnie należały do ludzi, którzy na nią czekali; przyzwała zatem odwagę i chwyciła Ruth pod rękę, po czym ścisnąwszy czule jej dłoń, wyszła z nią na zewnątrz, na słońce. Wychodząc, panna Benson usłyszała tubalny bas pana Bradshawa rozmawiającego z jej bratem i skrzywiła się, tak jak – wiedziała o tym dobrze – krzywił się i pan Benson wobec pochwalnych peanów, co było impertynencją, jakkolwiek niezamierzoną i jako taka odebraną.

– A owszem! Moja żona opowiadała mi o niej wczoraj, mąż jej był chirurgiem; mój ojciec także był chirurgiem, o czym pan pewno słyszał. Muszę powiedzieć, że bardzo to z pańskiej strony chwalebne, panie Benson, żeby przy ograniczonych środkach przyjmować na siebie ciężar w postaci ubogiej krewnej. Istotnie, bardzo chwalebne.

Panna Benson zerknęła na Ruth; dziewczyna ani tego nie usłyszała, ani nie zrozumiała, lecz weszła w pole widzenia budzącego trwogę pana Bradshawa nieporuszona. Był dziś w dobrotliwym i łaskawym nastroju powszechnej aprobaty i gdy ujrzał Ruth, skinął głową na dowód zadowolenia. Przeprawa skończona, pomyślała panna Benson i myśl ta nappełniła ją radością.

– Po kolacji musisz się położyć, moja droga – rzekła, rozwiązując wstążki kapelusza Ruth i całując ją. – Sally znów idzie do kościoła, lecz ty przecież nie masz nic przeciwko temu, aby pozostać w domu sama. Przykro mi, że tak wielu gości będzie u nas na obiedzie, ale w niedziele u mego brata zawsze wszystkiego starcza dla każdego, kto stary i słaby, a kto przecież może przywędrować z daleka, ażeby zjeść z nami obiad; a dzisiaj przyszli chyba wszyscy, ponieważ to jego pierwszy dzień Pański od powrotu do domu.

W taki sposób upłynął pierwszy dzień Pański Ruth.

ROZDZIAŁ XV

Matka i dziecko

– Jest przesyłka do ciebie, Ruth! – oznajmiła panna Benson we wtorkowy ranek.

– Do mnie! – wykrzyknęła Ruth, a przez umysł jej wnet przemknęły wszelakie myśli i nadzieje i sprawiły, że w głowie jej się zakręciło od oczekiwań. Gdyby to było coś od „niego”, nowonarodzone postanowienia musiałyby stoczyć ciężką walkę o przetrwanie.

– Zaadresowana jest do pani Denbigh – rzekła panna Benson, nim ją wręczyła. – To pismo pani Bradshaw – i o wiele bardziej zaciekawiona niż Ruth czekała rozsypłania ciasno zawiązanego sznurka. Gdy rozwinięto papier, ukazał się pod nim cały kupon delikatnego batystowego muślinu; był tam też krótki liścik od pani Bradshaw do Ruth, oznajmiający, iż jej mąż prosił, aby wysłała Ruth ów muślin w geście pomocy we wszelkich przygotowaniach, jakie tylko pani Denbigh będzie musiała poczynić. Ruth nic nie powiedziała, lecz się zarumieniła i usiadła z powrotem do swego zajęcia.

– To doprawdy bardzo piękny muślin – rzekła panna Benson, dotykając go i unosząc pod światło gestem godnym znawcy; jednak przez cały czas spoglądała na poważną twarz Ruth. Dziewczyna milczała i najwyraźniej nie pragnęła wcale przyjrzeć się prezentowi dokładniej. W końcu zapytała cicho:

– Myślę, że mogę go odesłać?

– Moje drogie dziecko! Odesłać do pana Bradshawa! Śmiertelnie byś go obraziła. Możesz być pewna, że w jego rozumieniu taki prezent to oznaka dużej przychylności!

– Jakim prawem on mi to przysłał? – zapytała Ruth tym samym cichym głosem.

– Jakim prawem? Pan Bradshaw uważa... Niezupełnie wiem, co rozumiesz przez „prawo”.

Ruth milczała przez chwilę, a potem rzekła:

– Są ludzie, wobec których z miłością w sercu żywię uczucie wdzięczności, wdzięczności, jakiej nie potrafię wyrazić, toteż lepiej, bym o niej nie mówiła... ale nie rozumiem, dlaczego ktoś, kogo nie znam, miałby nakładać na mnie zobowiązanie. Och! Panno Benson, proszę nie mówić, że muszę przyjąć ten muślin!

Co powiedziałyby na to panna Benson, gdyby w owej chwili nie wszedł do pokoju jej brat, tego nie wie ani on, ani nikt inny; lecz uznała, że zjawił się w samą porę, i wezwała go na sędziego. Wszedł pośpiesznie, ponieważ miał dużo pracy; lecz gdy tylko usłyszał, w czym rzecz, usiadł i spróbował uzyskać od Ruth, która milczała, kiedy panna Benson wyluszczała sprawę, jakies wyraźniejsze oświadczenie odnośnie do jej uczuć.

– Wolałabyś odesłać ów prezent? – zapytał.

– Tak – odparła. – Czy to źle?

– Dlaczego chcesz go zwrócić?

– Ponieważ nie sędzę, aby pan Bradshaw miał prawo mi go ofiarować.

Pan Benson milczał.

– Jest przepiękny – rzekła panna Benson, nadal go oglądając.

– Czy uważasz, że na takie prawo należy sobie zasłużyć?

– Owszem – rzekła po chwili milczenia. – Pan tak nie uważa?

– Wiem, co masz na myśli. Rzeczą cudowną jest otrzymywać podarunki od osób, które cenimy i kochamy, ponieważ wówczas należy je po prostu uznać za frędzle wieńczące szatę – za nieznaczące dodatki do potężnego skarbu, jakim jest uczucie, którym nas darzą, za rzeczy, które przydają wdzięku, lecz żadnej dodatkowej wartości temu, cośmy już wcześniej cenili – za coś, co

wynika z tego skarbu tak naturalnie, jak liście, co rozwijają się na drzewie; lecz sądzisz, że sprawa przedstawia się zgoła inaczej, jeżeli nie darzy się obdarowującego poważaniem, które by pozwoliło ów prezent uwznioślić, kiedy podarek zajmuje po prostu miejsce pośród twego mienia, jako rzecz o takiej a takiej wartości pieniężnej. Czy o to chodzi, Ruth?

– Chyba tak. W ogóle nie zastanawiałam się nad tym, dlaczego czuję to, co czuję; wiedziałam tylko, że prezent od pana Bradshawa sprawił mi ból zamiast radości.

– No dobrze, ale jest jeszcze druga strona tej sprawy, której się dotąd nie przyjrzelśmy, musimy pomyśleć również o tym. Czy wiesz, kto powiedział: „Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie!”^[36]? Być może nie o tym myślał pan Bradshaw, kiedy polecił żonie, ażeby ci to przysłała; być może był samolubny i pragnął jedynie zaspokoić swe uwielbienie dla protekcyjności, oto najgorszy z motywów, jakimi mógłby się kierować; a to żaden powód do tego, abyś myślała wyłącznie o sobie i odesłała jego prezent.

– Lecz przecież nie chciałby pan, ażebym udawała, że czuję się zobowiązana? – zapytała Ruth.

– Nie, nie chciałbym. Wielokrotnie znajdowałem się w podobnym położeniu, Ruth; pan Bradshaw często postępuje wbrew mnie w kwestiach, co do których żywię najgorętsze uczucia – co do których jestem najzarliwiej przekonany. Bez wątpienia ma mnie za donkiszota i często, kiedy jest zły, mówi o mnie, i do mnie, z wyrazem głębokiej pogardy. Podejrzewam, że potem dopadają go drobne wyrzuty sumienia, albo też może uważa, że za niewdzięczne przemowy zapłacić może prezentem; toteż dawniej niezmiennie przysyłał mi coś po takich razach. Był taki czas, kiedy czułem to, co ty dziś czujesz; uznałem jednak, że słuszną rzeczą będzie je przyjmować, wyrażając tylko bardzo chłodne podziękowania, bo takie były zgodne z moimi odczuciami. Takie zaniechanie wszelkich przejawów wielkiej wdzięczności przyniosło najlepszy skutek – liczba prezentów bardzo zmalała; lecz kiedy się zmniejszyła, w stopniu jeszcze większym uszczupliły się bezzasadne mowy i jestem przekonany, że teraz darzymy się nawzajem większym szacunkiem. Przyjmij ten muślin, Ruth, z powodu, który wymieniłem; i podziękuj tak, jak ci uczucia podpowiedzą. Przesadne wyrazy wdzięczności zawsze przywodzą na myśl wysiłki zmierzające ku uczynieniu adresata tych wyrazów dłużnikiem i wymuszają dalsze względy. Ale ty nie popełnisz tego błędu.

Ruth słuchała pana Bensaona; lecz nie znała jeszcze jego sposobu myślenia na tyle dobrze, aby zrozumieć go w pełni. Odczuła jedynie, że on rozumie ją lepiej niż panna Benson, która raz jeszcze spróbowała przekonać Ruth do prezentu, zwracając jej uwagę na długość i szerokość tegoż.

– Uczynię to, o co pan prosi – rzekła po krótkiej chwili namysłu. – Czy moglibyśmy pomówić o czymś innym?

Pan Benson zauważył, że nastrój siostry nie był szczególnie pokrewny nastrojowi Ruth, tak jak nastrój Ruth odmienny był od nastroju panny Benson; toteż odłożywszy na bok wszelką myśl o powrocie do zajęć, które zdawały mu się tak istotne, kiedy wchodził do pokoju (lecz które w głównej mierze odnosiły się do niego samego), pozostał w bawialni ponad godzinę, zabawiając je tematami bardzo odległymi od prezentu, a gdy po upływie tego czasu odszedł, obie były już ukojone i uspokojone.

Lecz prezent nadał myślom Ruth nowy bieg. Serce jej było jeszcze zbyt obolałe, aby przemówić, lecz w umyśle tłoczyły się plany. Poprosiła Sally, ażeby kupiła jej (za pieniądze uzyskane ze sprzedaży jednego czy dwóch pierścionków) najzgrzebniejsze płótno, najpospolitszy granatowy perkal i tym podobne materiały; następnie jęła szyć z nich ubrania dla siebie; a kiedy były gotowe, włożyła je; a gdy je włożyła, każde nabrało wdzięku, jakiego do tej pory tak pospolite materie i proste kroje nie znały. Następnie z cienkiego płótna i delikatnego, miękkiego białego muślinu, które wybrała zamiast droższych rzeczy, kiedy pan Bellingham udzielił jej był w Londynie *carte blanche*, powykrawała małe stroje, misternie je pozszywała i przygotowała dla małej istoty o niewinnej i czystej duszyczce, dla której nic nie było zbyt drogocenne.

Miłość, którą podyktowana była tak krańcowa prostota i zgrzebność przyodziewku, została przez pana Bradshawa uznana za nieugiętą, twardą oszczędność, kiedy już raczył ją zauważyć. A sama oszczędność, pozbawiona ducha, który by ją ożywił i uświęcił, była w jego oczach dużą zaletą. Toteż, ogólnie rzecz biorąc, obdarzył on Ruth łaskawością. Jej ciche usposobienie,

wywołane wewnętrzną świadomością przyczyny smutku głębszej niż ta jemu znana, tłumaczył sobie jako dowód bardzo należytej i stosownej bojaźni, którą w niej wzbudzał. W kaplicy podnosił wzrok znad modlitewnika, aby sprawdzać, jak sumiennie Ruth się modli; kiedy w hymnie pojawiał się wers odnoszący się do nieśmiertelności czy przyszłego życia, wyśpiewywał go nadzwyczaj głośno, mniemając, że w ten sposób pocieszy ją w żalu za zmarłym mężem. Pragnął, ażeby pani Bradshaw otoczyła ją wszelką możliwą atencją; raz napomknął nawet, że uważa ją za tak szacowną młodą osobę, iż nie ma nic przeciwko temu, aby zaprosić ją na herbatę, kiedy pan i panna Benson przyjdą znów z wizytą. Dodał jeszcze, że zaiste zdawało mu się, iż Benson ubiegłej niedzieli wyglądał tak, jak gdyby liczył na zaproszenie; i że jest rzeczą słuszną ośmielać pastorów i okazywać im szacunek, jakkolwiek niewielkie może być ich wynagrodzenie. Jedynym, co przemawiało na niekorzyść tej pani Denbigh, była okoliczność zbyt wczesnego zamążpójścia i w dodatku bez żadnego zabezpieczenia dla rodziny. I chociaż Ruth, powoławszy się na delikatne zdrowie, odmówiła towarzyszenia panu i pannie Benson podczas ich wizyty u pana Bradshawa, to nadal cieszyła się jego poważaniem; a panna Benson musiała się odwołać do swego „talentu do snucia fantazji”, ażeby oszczędzić Ruth utrapienia w postaci kolejnych prezentów, z których wysyłania czerpało rozkosz jego uwielbienie dla protekcjonalizmu.

Żółte i karmazynowe liście opadały w nieruchomym październikowym powietrzu; później nadszedł listopad, posępny i ponury; weselej zrobiło się wówczas, gdy ziemia przyoblekła się w piękną białą szatę, która zakryła wszystkie nagie szare gałęzie i nałożyła na liście ostrokrzewu oraz roślin zimozielonych obciążenie z pierzastego śniegu. Kiedy Ruth popadała w apatię i przygnębienie, panna Benson dreptała na górę na poszukiwania wszelkich niepotrzebnych bądź znoszonych elementów ubioru i zniósłszy na dół rozmaite osobliwych materiałów, usiłowała zainteresować Ruth pomysłem przerobienia ich na ubrania dla ubogich. Lecz chociaż palce Ruth uwijały się nad robotą, ona nadal wzdychała, pogrążona w myślach i we wspomnieniach. Z początku panna Benson była zawiedziona, później poczuła gniew. Słyszając owo ciche, długie westchnięcie i widząc rozmarzone oczy wypełnione lśnącymi łzami, mawiała teraz: „Co się stało, Ruth?”, tonem na wpół karzącym, ponieważ widok cierpienia sprawiał jej ból; uczyniła już wszystko co w jej mocy, ażeby temu cierpieniu zaradzić; i chociaż wiedziała, że przyczyna głębokiej boleści Ruth była poza jej zasięgiem, i w istocie kochała ją i szanowała przez owe przejawy smutku bardziej jeszcze, to jednak równocześnie drażniły ją one. Wtedy Ruth chwyciła porzuconą robotę i szła dalej, a z jej omdlewających oczu płynęły szybko gorące łzy; toteż panna Benson złościła się teraz na siebie, a mimo to nie była wcale skłonna przyznać Sally racji, kiedy ta pytała panią, „czemu tak nagabuje biedną dziewczynę, pytając wiecznie, co się stało, jakby sama nie wiedziała co”. Brakowało jakiegoś składnika harmonii – jakiegoś aniołka pokoju, w miłości ku któremu zjednoczyłyby się wszystkie serca i charaktery, a to, co je dzieli, ucichłoby.

Ziemia wciąż jeszcze „skrywała nieczyste oblicze pod niewinnym śniegiem”^[37], kiedy u boku białobladej matki położono dzieciątko. Był to chłopiec; wcześniej pragnęła dziewczynki, jako że z mniejszym prawdopodobieństwem odczułaby ona brak ojca – a matka, gorzej niż owdowiała, mogłaby najskuteczniej ochronić dziewczynkę. Lecz teraz o tym nie pamiętała. Tego, co miała, nie zamieniłaby na cały zastęp dziewczynek. Było to jej własne, jej ukochane, należące tylko do niej dziecko, a chociaż liczyło sobie nieledwie godzinę, było już odrębne i całe w jej sercu, i dziwnie wypełniało jego bicie miłością i pokojem, a nawet nadzieją. Było to bowiem nowe, czyste, piękne, niewinne życie, którego, jak sobie z czułością wyobrażała we wczesnym uniesieniu matczynej miłości, ustrzeże przed wszelkim zetknięciem z deprawującym grzechem, roztaczając nad nim najbaczniejszą i najtkliwszą opiekę. A jej matka najprawdopodobniej myślała tak samo; i tysiące innych również myślą tak samo i modlą się do Boga, aby oczyścił i uszlachetnił ich dusze, dzięki czemu staną się godnymi opiekunkami dla swych małych dzieci. Och, jakże się Ruth modliła, nawet wówczas, gdy zbyt jeszcze była słaba, by mówić; i jakże odczuła piękno i doniosłość słów „Ojcze nasz”!

Z owego świętego zamyślenia wyrwał ją dźwięk głosu panny Benson. Brzmiał tak, jak gdyby płakała.

– Spójrz, Ruth! – ozwała się cicho – przesyła ci je mój brat. To pierwsze przebiśniegi

w naszym ogrodzie. – I położyła je na poduszce obok Ruth; dziecko leżało po przeciwnej stronie.

– Czy nie chce pani na niego spojrzeć? – zapytała. – Jest taki śliczny!

Panna Benson czuła dziwną niechęć przed spojrzeniem na dziecko. Do Ruth, pomimo wszystkiego tego, co zaszło, zdołała się przekonać – nie, więcej, czuła do niej głębokie przywiązanie; ale nad dzieckiem wisiała chmura wstydu i hańby. Biedne stworzonko! Serce jej było dla niego zamknięte, i to stanowczo, jak sądziła. Ale nie mogła się opierać cichemu, słabemu głosowi Ruth, ani jej błagalnemu spojrzeniu, toteż obeszła łóżko, by zerknąć na dziecko, kiedy leżało w ramionach matki, które były na razie jego tarczą i osłoną.

– Sally mówi, że będzie miał czarne włosy, tak jej się zdaje – oznajmiła Ruth. – Jego mała rączka już jest zupełnie jak u mężczyzny. Proszę zobaczyć, jak on ją mocno zamyka – i otworzyła słabymi palcami jego czerwoną piąstkę, i ująwszy niechętną dłoń panny Benson, włożyła w rączkę dziecka jeden z jej palców. Ten dotyk dziecięcy wywołał w niej miłość; drzwi jej serca otworzyły się gwałtownie, szeroko, ażeby dzieciątko weszło tam i zajęło, co swoje.

– Ach, moje kochanie! – rzekła Ruth, opadając na plecy słaba i zmęczona. – Jeżeli tylko Bóg raczy cię oszczędzić, to nigdy żadna matka nie uczyni więcej, niżli ja. Wyrządziłam ci dotkliwą krzywdę, lecz jeżeli dane mi będzie żyć, to spędzę życie na służeniu tobie!

– I służeniu Bogu! – rzekła panna Benson ze łzami w oczach. – Nie wolno ci uczynić sobie z niego bożyszczka, w przeciwnym razie Bóg być może ukarze cię poprzez niego.

Na te słowa serce Ruth przeszło ukłucie lęku; czyżby już zgrzeszyła i uczyniła z dziecka bożyszczka i czy już czekała ją kara, która spadnie na nią poprzez niego? Lecz wówczas głos wewnętrzny szepnął, że Bóg jest „Ojcem naszym” i że zna nasze ciała, i że wie, jak naturalną rzeczą jest pierwszy poryw matczynej miłości; choć więc wzięła sobie do serca owo ostrzeżenie, przestała się trwożyć o to, co już z niego z mocą wytrysnęło.

– A teraz zaśnij, Ruth – rzekła panna Benson, całując ją i zaciemniając pokój. Lecz Ruth nie umiała zasnąć; jeżeli zamykały się jej ciężkie powieki, otwierała je znów gwałtownie, ponieważ sen zdawał się być wrogiem, który wykradał jej świadomość bycia matką. Ta jedna myśl wykluczyła wszelkie wspomnienia i wszelkie oczekiwania podczas owych pierwszych godzin rozkoszy.

Lecz niebawem nadeszły wspomnienia i oczekiwania. Brakowało naturalnie tej jednej osoby, która mogłaby pokładać w dziecku podobne, choć nie tak silne, jak matczyne, zainteresowanie. Toteż smutek rósł jak olbrzym podczas cichych godzin nocnego czuwania, kiedy wspominała, że nie będzie ojca, który mógłby być dziecku przewodnikiem i dodawać mu sił, i który zadbałby o to, ażeby położenie malca podczas walki w ciężkiej „bitwie życia” było jak najbardziej korzystne. Miała nadzieję i wierzyła w to, że nikt nie pozna grzechów jego rodziców, i że walka ta zostanie mu może oszczędzona. Lecz silna ojcowska troska i mocne przewodnictwo nie przypadnie mu nigdy w udziale; a wtedy, podczas owych godzin duchowego oczyszczenia, przychodziło zastanowienie i zwątpienie, na ile prawdziwy ojciec dziecka był tym, któremu, pragnąc dla dziecka nieba, cokolwiek miałoby się dziać z nią samą, powierzyłaby opiekę nad nim. Różne zdania, świadczące o jego samolubnej, skupionej na doczesności naturze, wówczas niezauważone, zabrzmiały teraz w jej uszach, nabierając nowego znaczenia. Mówiły o poślednim guście, o niecierpliwym dogadzaniu sobie, o nieposzanowaniu tego, co duchowe i niebiańskie. Mimo że owo rozważanie narzucił jej nowy duch macierzyństwa, który w nią wstąpił i sprawił, że dobro dziecka stało się wartością nadrzędną, nienawidziła się i łajała za to, że koniecznym zdawało jej się takie badanie i osąd nad nieobecnym ojcem dziecka. W ten sposób ów zniewalający byt, który ją był opętał, sprowadził na nią swoisty gorączkowy sen, w którym śniła, że niewinne dzieciątko leżące u jej boku, pogrążone w łagodnym, świeżym śnie, zaczęło rosnać, aż osiągnęło wzrost męski i miał w czystą, szlachetną istotę, której pragnęła w modlitwach do „Ojca naszego, który jest w niebie”, przemienić się w kopię swego ojca; i tak jak on, zwiódł jakąś pannę (która w jej śnie osobliwie przypominała ją samą, tylko była bardziej jeszcze od niej niewysłowienie smutna i opuszczona) do grzechu i pozostawił losowi gorszemu jeszcze, niż śmierć samobójcza. Ruth wierzyła bowiem, że może być coś gorszego. Widziała we śnie, jak dziewczyna błąka się zagubiona; widziała swego syna na wysokich stanowiskach i dobrze mu się wiodło – lecz nie tylko dusza jego splamiona była krwią. Widziała, jak owa dziewczyna, trzymając się go kurczowo,

zaciąga go do jakiejś otchłani potworności, do której Ruth nie śmiała zajrzeć, a z której dobiegał głos jego ojca, krzyczący głośno, że za swoich dni i w pokoleniu swoim nie pamiętał o słowie Bożym, a teraz „cierpiał w tym płomieniu”^[38]. A wtedy zerwała się, chora z przerażenia, i w nikłym świetle łojowego ogarka ujrzała Sally drzemiącą w fotelu przy kominku; i poczuła przytulone do swej piersi maleńkie, miękkie, ciepłe dzieciątko, które kołysała przy sercu, nadal bijącym jeszcze mocno wskutek złego snu. Nie ośmieliła się ponownie zasnąć, więc się pomodliła. A z każdą modlitwą przybywało jej skończonej mądrości i niesamolubnej wiary. Dziecko! Anioł twój był przy Bogu i zbliżał się coraz bardziej do Tego, w którego oblicze wpatrują się zawsze aniołowie małych dzieci.

ROZDZIAŁ XVI

Sally opowiada o swych lubych i rozprawia o życiowych powinnościach

Sally i panna Benson czuwały na zmianę, czy raczej na zmianę drzemały przy kominku; bo jeżeli Ruth nie spała, to leżała całkiem nieruchomo w swym oblanym spokojną poświatą księżycową łóżku. Pora ta przypominała piękny wieczór sierpniowy z rodzaju takich, jakie znam. Błada, biała, wznosząca się mgła spowija swą ogromną płachtą wszystkie drzewa i łąki, i to, co na ziemi; ale nie może wznieść się na tyle wysoko, aby odciąć niebo, które w taką noc zdaje się skłaniać bardzo blisko i być jedynym, co rzeczywiste i obecne; a tak bliskim, tak rzeczywistym i tak obecnym zdawało się Ruth niebo, i wieczność, i Bóg, gdy leżała, obejmując swe nieodgadnione święte dziecko.

Pewnej nocy Sally zauważyła, że dziewczyna nie śpi.

– Mało kto umie zagadać człeka do snu tak jak ja – oznajmiła. – Spróbuję tego i z tobą, bo musisz sił nabierać przez sen i jedzenie. Zastanawiam się, o czym by ci tu opowiedzieć. Czy opowiedzieć ci historyjkę o miłości czy bajkę, z tych, co to je paniczowi Thurstanowi opowiadałam wiele, wiele razy, chociaż ojciec jego krzywił się na bajki i mówił, że to czczy gadanina; albo opowiem, jaki to kiedyś żem ugotowała obiad, kiedy pan Harding, co to był lubym panny Faith, przyszedł bez zapowiedzi, a myśmy nie mieli w domu nic prócz baraniego karku, z którego zrobiła siedem potraw, a każda zwała się inaczej?

– Kim był pan Harding? – zapytała Ruth.

– Och, to był wytworny dżentelmen z Lundyna, co zobaczył pannę Faith i poraziła go jej uroda, kiedy ona tam była z wizytą, i przyjechał tu, żeby ją o rękę prosić. Ona powiedziała, że „Nie, nigdy opuści panicza Thurstana i nigdy nie wyjdzie za mąż”; ale wielce po nim tęskniła, kiedy odjechał. Przed paniczem Thurstanem jakoś się trzymała, ale ja tam widziałam, jak się trapi, chociaż żem jej nigdy na to nie pozwalała, o nie, bom uznała, że wtedy prędzej jej przejdzie, a po wszystkim będzie wdzięczna, że miała w sobie tyle siły, żeby słusznie postąpić. Aczkolwiek to nie moja sprawa mówić o tym, co dotyczy panny Benson. Opowiem ci o moich własnych lubych, proszę bardzo, albo opowiem o obiedzie, który był najwytworniejszą rzeczą, jaką żem kiedykolwiek naszykowała, ale bo i uznałam, że nie może być tak, żeby lundyńczyk sobie pomyślał, że wieśniacy nic nie wiedzą; i słowo daję! zaambarasowałam go tym obiadem. Podejrzewam, że on po dziś dzień nie wie, czy jadł rybę, mięso czy drób. Opowiedzieć ci, jak sobie poradziłam?

Lecz Ruth oznajmiła, że wolałaby raczej posłuchać o lubych Sally, ku dużemu rozczarowaniu tej ostatniej, która uważała ów obiad za swe bezsprzecznie największe osiągnięcie.

– Ano po prawdzie to nie wiem, czy winnam mówić, że to byli moi lubi; bo poza Johnem Rawsonem, którego na następny tydzień zamknęli w domu wariatów, to nigdy... no chyba tylko raz spotkało mnie to, co by można nazwać prawdziwymi oświadczeniami. Raz jeden; toteż mogę rzec, że miałam lubego. Ale zaczynałam się strachać, bo człek lubi, jak go proszą; z samej grzeczności; i pamiętam, że kiedy skończyłam czterdziesty rok, a zanim przemówił Jeremiah Dixon, jęłam sobie myśleć, że może John Rawson to wcale nie był taki wariat i żem źle zrobiła, wzgardzając jego propozycją, bo może to była jedyna, jaką miałam usłyszeć; nie mówię, że bym go była przyjęła, ale pomyślałam, że jeśli się ten temat znów w rozmowie pojawi, to będę o nim przed ludźmi mówić z szacunkiem, i powiem, że on po prostu lubił chodzić na czworakach i tyle, ale że co do większości spraw, to on był człek rozsądny. A jednak wcześniej uśmiełam się nie mniej jak inni z mego szalonego kochanka, no i za późno już było, żeby z niego robić przed ludźmi mędrca Salomona.

A jednak pomyślałam sobie, że to nie byłoby źle, gdyby mnie znowu kto na taką próbę wystawił; ale żem się tej próby nie spodziewała wtedy, kiedy ona nadeszła. Trzeba ci wiedzieć, że w sobotnie wieczory w kancelariach i innych podobnych miejscach się nie pracuje, tymczasem służba jest wtedy najwięcej zajęta. Ano! Był późny sobotni wieczór i miałam na sobie fartuch z sukna, a poły podomki spięte razem z tyłu, byłam na kolanach, wybielałam gliną kuchenną podłogę, kiedy ktoś puka do drzwi na tyłach domu. „Wejść!”, mówię; a tu znów pukanie, jakby się kto miał za zbyt dostojnego, żeby sobie drzwi samemu otworzyć; no to się podniosłam, dosyć zła, i otworzyłam drzwi; a w nich stał Jerry Dixon, główny kancelista pana Holta; tylko że wtedy nie był jeszcze głównym kancelistą. No to stałam, przytrzymując drzwi, myśląc, że on chce pomówić z panem; ale on się tak jakby przepchnął obok mnie i mówiąc coś o pogodzie (jakbym sama nie widziała, jaka jest), chwycił krzesło i siadł przy piecu. Pomyślałam sobie: „Chłodny i swobodny!”; chodziło mi o niego, nie o miejsce, gdzie usiadł, bo tam, wiadomo, było całkiem gorąco. Ano tak! Zdawało mi się, że nie ma sensu stać i czekać, aż mój pan sobie pójdzie; nie żeby on miał dużo do powiedzenia, ale wciąż obracał kapeluszem w kółko i w kółko, i ciągle gładził wierzchem ręki jego materiał. Więc wreszcie kucnęłam do roboty i sobie pomyślałam, że przynajmniej będę na klęczkach, kiedy on się zacznie modlić, bo wiedziałam, że to z wychowania metodysta, tylko ostatnio przyjął sposób myślenia naszego pana; a ci metodyści są okropni, jeśli idzie o niespodziewane modlitwy, kiedy człek najmniej o nie prosi. Nie powiem, żeby mi się podobało to, że zaskakują ludzi w taki sposób; no ale ja jestem córka kościelnego i do tych dysydenckich pomysłów zniżyć żem się nigdy nie mogła, z wyjątkiem, jak wiadomo, naszego dobrego panicza Thurstana. Aczkolwiek raz czy dwa żem się dała zaskoczyć, toteż tym razem pomyślałam, że się przygotuję, więc nosiłam ze sobą suchą ścierkę wszędzie, gdzie szłam, żeby mieć na czym klęknąć, gdybym się na mokrym znalazła. Wkrótce żem pomyślała, że gdyby on się teraz zaczął modlić, toby to było błogosławieństwo, bo wreszcie przestałby wodzić za mną ciągle oczami; bo kiedy one się modlą, zamykają oczy, i jakoś tak dziwnie drgają im powieki – dysydenty tak mają. Z tobą mogę o tym mówić otwarcie, boś wychowanka Kościoła, tak jak ja, i na pewno tak jak ja myślisz, żeś nie na swoim miejscu pośród dysydentów. Ale niech mi Bóg broni mówić bez szacunku o paniczu Thurstanie i panie Faith; nigdy nie myślę o nich, że są z Kościoła Dysydenckiego, tylko że to chrześcijanie. No, ale wracając do Jerry’ego. Wpierw próbowałam tylko czyścić za jego plecami; ale kiedy on się obracał, tak żeby mnie ciągle widzieć, to żem pomyślała, że spróbuję innej zabawy. No to mówię: „Panie Dixon, za przeproszeniem, ale ja muszę wyczyścić pod pana krzesłem. Czy możesz się pan przesunąć?”. No to się przesunął; a niezadługo ja znów stoję obok i do niego w te same słowa; a potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż on się już tylko przesunął z krzesłem za plecami, jak ślimak, co to nosi dom na plecach. A ten pierwszorzędnny nedorajda nigdy się nie połapał, żem ja po dwa razy czyściła te same miejsca. W końcu żem się już rozpaczliwie zeźliła, bo tak mi w paradę wszedł; to mu zrobiłam na połach brązowego płaszcza dwa wielkie krzyże; bo trzeba ci wiedzieć, że czy wstawał, czy siadał, zawsze wyciągał spod siebie te poły i przetykał przez szczeble krzesła; no i żadną siłą nie umiałam się powstrzymać przed nasmarowaniem ich gliną; no i żem sobie pomyślała, że nieźle się będzie musiał naszczotkować, żeby to zeszło. Ano tak! W końcu on niezwyczajnie głośno odchrząkuje; no to ja rozkładałam ścierkę i zamykam oczy, przygotowana; ale kiedy nic się z tego nie zrobiło, troszkę otwarłam oczy, żeby zobaczyć, o co mu idzie. A niech mnie, jeśli on nie klęczał, z twarzą do mnie, wpatrując się we mnie uparcie! Ano! To żem sobie pomyślała, że trudno to będzie znieść, jeśli on będzie robił takie ceregiele; toteż znowu zamknęłam oczy i spróbowałam pomyśleć o czym poważnym, odpowiednim do tego, czego nadejścia żem się spodziewała; przykro mi, ale żem pomyślała, czemu ten jegomość nie pójdzie się modlić z paniczem Thurstanem, którego spokojny duch zawsze był do modlitwy gotów, zamiast tu, ze mną, kiedy ja miałam kredens do wyczyszczenia, nie mówiąc o fartuchu do wyprasowania. W końcu on mówi, oj, mówi: „Sally! Czy dasz mi swą rękę?”. To ja żem pomyślała, że to może jaki metodystowy zwyczaj, żeby się modlić, trzymając się za ręce, no i nie powiem, ale żem pożałowała, że nie umyłam lepiej rąk po polerowaniu pieca czarną pastą. Pomyślałam, że lepiej mu powiedzieć, że nie są tak czyste, jak by się należało, toteż mówię: „Panie Nixon, dostaniesz ją pan, proszę bardzo, tylko wpierw może pójdę ją umyć”. Ale on na to: „Moja droga Sally, brudna czy czysta, mnie wszystko jedno, mówię tylko

w przenośni. Klęczę, ażeby cię zapytać, czy byłabyś tak uprzejma i została moją żoną; za dwa tygodnie to data mi odpowiadająca, jeżeli i dla ciebie jest ona do przyjęcia”. A niech mnie! Natychmiast się z klęzek podniosłam! Dziwaczne to było, co? Nigdy żem nie pomyślała, żeby tego jegomościa przyjąć i wyjść za mąż; nie przeczę, myślałam tylko, że miło by było, gdyby kto poprosił. Ale nagle nie mogłam już tego chłopiny znieść. „Proszę pana – mówię, próbując wyglądać na zawstydzoną, odpowiednio do okoliczności, a mimo to czując, że mi usta zaczynają drżeć, co, jak się strachałam, mogło się śmiechem skończyć – panie Nixon, bardzo panu zobowiązana za ten komplement i dziękuję, ale coś mi się widzi, że chyba wolę żyć w pojedynkę”. Wyglądał na wielce zaskoczonego; ale po chwili się pozbierał i był miłutki jak zwykle. Dalej klęczał, a ja chciałam, żeby się podniósł; mówi: „Przemyśl to raz jeszcze, moja droga Sally. Mam czteropokojowy dom i odpowiednie umeblowanie; i osiemdziesiąt funtów rocznie. Druga taka okazja może ci się już nie nadarzyć”. To była prawda, ale to nieładnie z jego strony, że tak powiedział; no i mnie to trochę rozsierdziło. „Jeżeli o to idzie, to ani ja, ani pan wiedzieć tego nie możemy, panie Dixon. Nie jesteś pan pierwszy, co to przede mną klękał z prośbą, żebym za niego wyszła – (bo trzeba ci wiedzieć, żem myślała o Johnie Rawsonie, alem uznała, że nie trzeba mówić, że on był na czworakach – w końcu to prawda, że był na kolanach) – a może i nie będziesz pan ostatni. Tak czy siak, nie mam zamiaru zmieniać w tej chwili swego stanu”. „Poczekam do Bożego Narodzenia – on na to. – Mam świniaka, który będzie wówczas gotowy do zarżnięcia, więc wcześniej muszę się ożenić”. A to dopiero! Uwierzyłabyś? Chciał mnie skusić na świniaka. Miałam przepis na wędzoną szynkę, a panna Faith nie chciała mi pozwolić na wypróbowanie, bo mówiła, że stary przepis jest dobry. Ale jednak skusić się nie dałam. No i mówię, bardzo surowo, bo mi się zdawało, że się zawahałam: „Panie Dixon, raz na zawsze, ze świniakiem czy bez, nie wyjdę za pana. A jeśli zechcesz pan przyjąć ode mnie radę, to niech pan lepiej wstanie. Kamienie są jeszcze wilgotne i przykro by było złapać łamanie w kościach tuż przed zimą”. Po tym wstał, całkiem sztywny. Drugiego tak nadąsanego jak on wtedy moje oczy nigdy nie wcześniej widziały. A skoro on był taki ponury i zły, to i żem pomyślała, że dobrze zrobiłam (mniejsza o świniaka), gdym mu rzekła: „Nie”. „Być może kiedyś tego pożałujesz – mówi, czerwony jak burak. – Ale ja nie będę dla ciebie zbyt surowy, dam ci jeszcze jedną szansę. Dam ci noc do namysłu, a jutro po nabożeństwie zajrzę, ażeby się przekonać, co mi odpowiesz po namyśle”. A to dopiero! Czyś ty kiedy słyszała coś podobnego? Ale tacy właśnie są wszyscy mężczyźni, tacy zadufani, tylko by tak chcieli, poprosić i dostawać. Ale mnie nigdy nie dostali; a na Świętego Michała skończę sześćdziesiąty pierwszy rok, więc po mojemu niewiele już im czasu zostało, żeby mnie na próbę wystawić. Ano! Kiedy Jeremiaś to powiedział, rozsierdził mnie jeszcze bardziej, toteż mówię: „Ile bym się nie namyślała, zawsze pomyślę jedno i to samo: tylko raz mnie pan skusiłeś, wtedy, kiedy pan mówiłeś o świniaku. Co do pana, to nie masz się pan czym pochwalić, więc życzę dobrej nocy, a będę pamiętać o manierach, bo gdybym miała prawdę powiedzieć, tobym rzekła, że słuchanie pana to była dla mnie wielka strata czasu. Ale będę uprzejma – więc dobranoc”. Słowem się już nie odezwał, tylko wyszedł, czarny jak gradowa chmura, trzaskając za sobą drzwiami. Pan zawałał mnie na modlitwy, ale nie powiem, żem się do nich przyłożyła, tak bardzo mi serce waliło. A jednak miło było dostać propozycję świętego małżeństwa; i chociaż mnie to wzburzyło, to także i sprawiło, żem zaczęła lepiej o sobie myśleć. W nocy jęłam się zastanawiać, czy nie byłam dla niego zbyt surowa i okrutna. Bo trzeba ci wiedzieć, że się czułam jak w gorączce; a po głowie ciągle mi się tłukła piosenka o Barbarze Allen³⁹¹ i żem myślała, że to ja jestem Barbarą, a on to młody Jimmy Gray, i że może gotów umrzeć z miłości do mnie; i sobie go wyobraziłam, jak leży na łożu śmierci, z twarzą obróconą do ściany, „wzdychając w śmiertelnym żalu”, i żem się chciała szczytnąć za to, że byłam jak ta okrutna Barbara Allen. A nazajutrz, kiedym wstała, trudno mi było myśleć o tym prawdziwym Jerry'ym Dixonie, co go widziałam poprzedniej nocy, inaczej jak tylko o tym smutnym, boleściwym Jerry'ym, co to myślałam, że ani chybi umrze, kiedym leżała między snem a jawą. I przez wiele dni chorowałam, kiedy słyszałam dzwon pogrzebowy, bo żem myślała, że to głośne żałobne bicie dzwonu złamie mi serce z poczucia, com straciła, gdym powiedziała Jerry'emu „Nie”, zabijając go przez to z okrucieństwem. Ale mniej jak trzy tygodnie później usłyszałam, jak się dzwony rozdzwoniły wesoło, ogłaszając ślub; a tego samego ranka ktoś mi mówi: „Słuchajcie, jak

dzwony biją na ślub Jerry'ego Dixona!'" I nagle z młodzieńca o złamanym sercu, takiego jak Jemmy Gray, przemienił się na powrót w postawnego mężczyznę w średnim wieku, o rumianej cerze i z kurczawką na lewym policzku, wielką jak nie wiem co!

Sally czekała na jakiś wykrzyknik na zakończenie swej opowieści; lecz skoro takowego nie otrzymała, podeszła cicho do łóżka, a tam Ruth, spokojna niczym śmierć, leżała z dzieckiem przy piersi.

– Pomyślałabym, że postradała coś niecoś ze swych talentów, gdyby mi się nie udało zagadać człowieka do snu – rzekła Sally zadowolonym, beztroskim tonem.

Młodość jest silna i mocna, i toczy ze smutkiem zaciekły bój. Toteż Ruth walczyła i nabierała sił, wobec czego i dziecko rozkwitało; i zanim na przypłociach pojawiły się drobne kwiatki jaskółczego ziela lub białe fiołki roztoczyły zapach na grządce pod południowym murem ogródka panny Benson, w słoneczne dni Ruth jęła już zabierać swe maleństwo w to zaciszne miejsce.

Często pragnęła podziękować panu Bensonowi i jego siostrze, lecz nie wiedziała, w jaki sposób dać wyraz głębokiej wdzięczności, którą czuła, dlatego też milczała. Ale oni dobrze rozumieli jej milczenie. Pewnego dnia, obserwując swe śpiące dziecko, przemówiła do panny Benson, z którą została akurat sam na sam.

– Czy zna pani jakąś chatę, której mieszkańcy są czysti i gdzie zechciano by mnie przyjąć? – zapytała.

– Przyjąć cię! Co masz na myśli? – odparła panna Benson, upuszczając robótkę, ażeby uważniej przyjrzeć się Ruth.

– Mam na myśli to – odrzekła Ruth – gdzie mogłabym zamieszkać z dzieckiem – może to być jakiegokolwiek ubożuchne miejsce, byleby było czyste, żeby się nie rozchorował.

– A z jakiej to przyczyny chciałabyś zamieszkać w chacie? – zapytała panna Benson, oburzona.

Ruth nie podniosła wzroku, lecz przemówiła ze stanowczością, co dowodziło, że rozważyła już była owo zagadnienie.

– Sądzę, że mogłabym parać się krawiectwem. Wiem, że nie nauczyłam się tego tak dobrze, jak mogłam, ale mogłabym chyba szyć dla służących i dla ludzi, którzy nie są wybredni.

– Służący są tak samo wybredni, jak wszyscy inni – odrzekła panna Benson rada, że udało jej się podchwycić pierwszą okazję po temu, aby zaproponować.

– Cóż! Szyłabym dla tych, którzy byłiby wobec mnie cierpliwi – odparła Ruth.

– Każdy traci cierpliwość wobec źle dopasowanego stroju – podsunęła panna Benson. – I materiał wtedy zmarnowany, i wszystko inne!

– Być może znalazłabym zajęcie przy prostym szyciu, cerowaniu – odrzekła Ruth bardzo skromnie. – To umiem bardzo dobrze; mama mnie uczyła, a ja lubiłam się od niej uczyć. Panno Benson, jeżeli byłaby pani tak dobra, mogłaby pani powiedzieć ludziom, że szyję bardzo schludnie i punktualnie, i tanio.

– Dostałabyś za to być może jakie sześć pensów na dzień – odparła panna Benson – a ja chciałabym wiedzieć, kto by się zajął dzieckiem? Byłby ładnie zaniedbany, czyż nie? Ba, natychmiast zachorowałby na krup i na tyfus, a potem spaliłby się na proch.

– O wszystkim tym pomyślałam. Proszę spojrzeć, jak śpi! Cicho, kochanie – bo właśnie wtedy malec rozplakał się dla podkreślenia, że spać nie zamierza, jakby pragnął zaprzeczyć słowom matki. Ruth wzięła go na ręce i jęła nosić po pokoju, jednocześnie mówiąc dalej.

– Tak, wiem, że teraz spać nie chce; ale często grzecznie zasypia, a w nocy zawsze śpi.

– Wobec tego pracowałabyś nocą, co by cię o śmierć przyprawiło i osierociłabyś to biedne dziecko. Ruth! Wstyd mi za ciebie. Posłuchaj, bracie (pan Benson właśnie wszedł), czyż to nie brzydko ze strony Ruth; oto planuje odejść i nas opuścić, właśnie teraz, kiedyśmy... przynajmniej, kiedy ja tak polubiłam malca, a i on zaczyna mnie już rozpoznawać.

– Dokąd zamierzasz się udać, Ruth? – wtrącił pan Benson z lekkim zaskoczeniem.

– Dokądkolwiek, gdzie byłabym blisko pana i panny Benson; do jakiegokolwiek ubogiej chaty, w której mogłabym bardzo tanio zamieszkać i zarabiać na utrzymanie, zajmując się prostym

szyciem, a może trochę i krawiectwem; i skąd mogłabym niekiedy chadzać w odwiedziny do pana i do drogiej panny Benson, i przyprowadzać dziecko.

– O ile by ono wcześniej nie umarło od jakiej gorączki albo poparzenia, biedne, zaniedbane dziecko; albo o ile ty nie zapracowałabyś się na śmierć z ciągłego niespania – rzekła panna Benson. Pan Benson namyślał się przez parę chwil, po czym przemówił do Ruth.

– Cokolwiek postanowisz uczynić, gdy ten mały jegomość będzie miał rok i będzie mógł obejść się częściowo bez matczynej opieki, to jednak proszę cię, Ruth, zechciej wyświadczyć mi tę przysługę – a jeszcze większą mej siostrze, czyż nie, Faith?

– Owszem, możesz to tak ująć, jeśli chcesz.

– I do tego czasu – ciągnął – pozostać z nami. Gdy dziecko ukończy dwanaście miesięcy, pomówimy o tym znowu, i jest rzeczą wielce prawdopodobną, że do tego czasu pojawi się przed nami jakaś możliwość. Nie obawiaj się, że twoje życie będzie gnuśne, Ruth. Będziemy cię traktowali jak córkę i wyznaczmy ci domowe obowiązki; i nie dla twego dobra prosimy, byś z nami została, ale dla dobra tego małego, niemego, bezradnego dziecka; i musisz tu pozostać nie przez wzgląd na nas, lecz na nie.

Ruth szlochała.

– Nie zasługuję na taką uprzejmość – oznajmiła łamiącym się głosem. – Nie zasługuję. Łzy kapały szybko jak letni deszcz, ale nie padło już ani jedno słowo.

Lecz kiedy nie trzeba było o niczym decydować i konieczność nie zmuszała nikogo do podejmowania jakichkolwiek nowych działań, umysł Ruth się rozluźniał, opadało zeń napięcie. Popadała wówczas w zadumę i snuła smutne, pełne żalu wspomnienia, które przyprawiały ją o apatię i łzy. Zauważyła to i panna Benson, i Sally, a jako że obie miały w swej naturze głębokie współczucie i odczuwały przygnębienie na widok przygnębienia bliźniego, a ponadto i jedna, i druga, nie roztrząsając zbytnio przyczyn czy powodów tego przygnębienia, odczuwała rozdrażnienie w związku z przykrym samopoczuciem, w jakie ją wprowadzono, postanowiły obie pomówić z Ruth przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Przeto pewnego popołudnia – ranek owego dnia spędziła Ruth na wykonywaniu prac domowych, obstając bowiem przy słowach pana Bensona, przejęła co bardziej wyczerpujące z obowiązków panny Benson, lecz wykonywała je ociężale, jak gdyby serce jej było gdzieś daleko – pewnego popołudnia, kiedy to piastowała swe dziecko, Sally, znalazłszy ją samą w przykuchennej bawialni, z łatwością odkryła, że Ruth płakała.

– Gdzie panna Benson? – zapytała szorstko.

– Wyszła z panem Bensonem – odrzekła Ruth, a w głosie jej i obejściu krył się bierny smutek. Mówiąc to, nie powstrzymała łez, które jęły na nowo płynąć; Sally zaś, stojąc i wpatrując się w nią, zauważyła, że dzieciątko patrzy na twarz matki, a jego warga zaczyna się trząść, a otwarte niebieskie oczy zaciągnęły się mgiełką, jak gdyby naszło je jakieś tajemnicze współczucie dla bolejącej matki. Sally rażno wzięła dziecko z matczynych ramion; Ruth podniosła wzrok w poważnym zaskoczeniu, zapomniała była bowiem o jej obecności, a gwałtowność tego ruchu ją wystraszyła.

– Mój śliczny chłopaku! Pozwalają, żeby słone łzy kapały na twoją słodką twarzyczkę, nim żeś od piersi odstawiony! Ktoś tu nic a nic nie wie, jak być matką – już ze mnie byłaby lepsza. „Tańcz, kciuczku, tańcz – tańczcie wszystkie i weselcie się”^[40]. O, właśnie tak! Uśmiechaj się, moje śliczności. Tylko taki dzieciak jak ty – ciągnęła, zwracając się do Ruth – może nie wiedzieć, że to na dziecinę pecha przynosi, kiedy się pozwoli, żeby jej na twarz łzy padały, zanim od piersi odstawiona. Ale tyś niezdatna do tego, żeby mieć dziecinę, com wiele razy mówiła. Mam wielką chęć, żeby ci kupić lalkę, a sobie zabrać to dzieciątko.

Sally nie patrzyła na Ruth, bo była zbyt pochłonięta rozweseleniem dziecka za pomocą frędzla przy sznurze od okiennej story, w przeciwnym bowiem razie zauważyłaby, jaką godność duch matczyzny wlał w owej chwili w Ruth. Łagodny spokój i opanowanie namiętnego żalu, które przydały nieświadomego dostojenstwa postawie Ruth, kiedy podeszła do Sally, kazały starej służącej zamilknąć.

– Proszę mi go oddać. Nie wiedziałam, że to przynosi pecha, bo inaczej nawet gdyby mi

serce pękało, nie pozwoliłabym, aby choć jedna łza spadła na jego twarz – już nigdy na to nie pozwolę. Dziękuję wam, Sally – rzekła, gdy służąca odstąpiła dziecko pod opiekę tej, która nazywała się jego matką. Sally obserwowała poważny, łagodny, słodki uśmiech Ruth, gdy ta jęła dalej prowadzić tę samą zabawę z frędzlem i z zaczerpniętą z miłości łagodnością naśladować każdy ruch oraz dźwięk, który rozweselał jej dziecinę.

– Jeszcze będzie z ciebie matka – rzekła Sally ze swoistym podziwem wobec opanowania, jakie Ruth na sobie wymogła. – Ale po co gadać o złamanym sercu? Nie pytam o to, co było i minęło; ale teraz nie brak ci niczego, ani twemu dziecku; czas, który jest przed tobą, należy do Pana i jest w jego rękach; mimo to ty dalej nic tylko wzdychasz i zawodzisz tak, że ja ani tego znieść nie mogę, ani wytrzymać.

– Co takiego robię źle? – zapytała Ruth. – Staram się, jak mogę najlepiej.

– A owszem, w pewnym sensie – odparła Sally, głowiąc się, jak ująć to, co ma na myśli. – Starasz się, ale do każdej rzeczy można się zabrać dobrze albo niedobrze, a po mojemu, dobrze jest zabierać się za coś od serca, nawet jak to tylko zasłanie łóżka. Ano, niech mnie! Zasać łóżko można po chrześcijańsku, tak sobie myślę, bo inaczej jaki w niebie pożytek z takiej jak ja, co to za życia za mało miała czasu, żeby paść na klęczki do modlitwy? Gdym była dziewczynką, i to nieszczęsną z powodu panicza Thurstana i jego pokoślawienia pleców, co się wzięło z tego, że upuściła, jęłam się modlić i wzdychać, i ręką machnęłam na świat; i że myślałam, że to niegodziwie dbać o ciało, więc przygotowywałam ciężkie do strawienia leguminy i nie dbałam o obiad ani o pokoje, i myślałam, że wypełniam swój obowiązek, chociaż mówiłam o sobie, że jestem nędzna grzesznica. Ale jednego wieczora weszła stara pani (matka panicza Thurstana) i usiadła przy mnie, kiedy ja siebie łajałam, nie myśląc, co gadam; i ona wtedy mówi: „Sally! O co się obwiniasz i dlaczego jęczysz? Co wieczór słyszymy cię w bawialni i serce mnie od tego boli”. „Ach, pani – ja na to – jestem nędzna grzesznica i mozołę się w bólu narodzenia do nowego życia”. „Czy to z tego powodu – ona na to – legumina była dzisiaj taka ciężka?” „Och, pani, pani – powiedziałam – gdyby pani zechciała nie myśleć o tym, co cielesne, a kłopotowała się o swą nieśmiertelną duszę”. I usiadłam, potrząsając głową na myśl o jej duszy. „Ale – ona na to swym słodkim niby miód głosem – ja o każdej godzinie dnia usiłuję myśleć o mej duszy, o ile rozumiesz przez to postępowanie zgodnie z wolą Bożą, lecz teraz pomówimy o leguminie; panicz Thurstan nie mógł jej jeść, a ja wiem, że przez to będzie ci przykro”. Ano! Było mi przykro, ale nie chciałam tego powiedzieć, chociaż zdawało mi się, że ona na to czekała; no to mówię „Przykro patrzeć, jak pani dzieci chowane są w dbałości o sprawy cielesne”; a wtedy prawie odgryzłam sobie język, bo pani patrzyła taka poważna, a ja pomyślałam, jak mój kochany chłopaczek marnieje z braku strawy. W końcu ona mówi: „Sally, czy uważasz, że Bóg powołał nas na ten świat po to tylko, abyśmy byli samolubni i nic nie robili, a tylko dbali o własne swe dusze? Czy też po to, ażebyśmy pomagali sobie nawzajem sercem i ramieniem, tak jak to czynił Chrystus wobec wszystkich potrzebujących pomocy?”. Mileczałam, bo wiadomo, zaambarasowała mnie. No to ona mówiła dalej: „Jak to brzmi ta piękna odpowiedź w katechizmie twego Kościoła^[41]?” Rada byłam słyszeć, jak dysydyntka, co to nie myślałam o niej, że tak robi, mówiła z takim obeznaniem o katechizmie, a ona ciągnęła: „»czynić swą powinność na tym stanowisku życiowym, na które spodoba się Bogu mnie powołać«; otóż ty piastujesz stanowisko służącej, a jest ono równie czcigodne, jak stanowisko królewskie, jeżeli spojrzysz na nie tak, jak należy; masz pomagać i służyć innym w sposób, jaki ci przeznaczono, tak jak król ma pomagać i służyć innym w sposób, jaki przeznaczono jemu. A zatem, w jaki sposób masz pomagać i służyć, czy też czynić swą powinność na stanowisku, na które spodobało się Bogu ciebie powołać? Czy wypełniłaś Boski zamysł i czy Mu usłużyłaś, kiedy posiłek nie nadawał się do tego, aby go dziecko zjadło, a wszystkim innym zaszkodził?”. Cóż! Nie chciałam dać za wygraną, taka byłam uparta co do swojej duszy; no to mówię: „Szkoda, że ludzi nie zadowala szarańcza i miód leśny, bo wtedy pozwoliliby innym ludziom w pokoju pracować na swoje zbawienie”. I całkiem głośno jęknęłam na myśl o paninej duszy. Często sobie myślę, że ona się trochę uśmiechnęła; ale rzekła: „Cóż, Sally, jutro będziesz miała czas na pracę nad swym zbawieniem; lecz jako że w Anglii szarańczy nie mamy, i zdaje mi się, że gdybyśmy ją mieli, nie posłużyłaby paniczowi Thurstanowi, sama przyjdę przyrządzić leguminę; ale spróbuję przyrządzić

ją dobrze, nie tylko po to, aby mu smakowała, ale dlatego, że wszystko może być zrobione w sposób dobry albo niedobry; dobry sposób to czynić coś najlepiej jak potrafimy, jakby patrzył na nas Bóg; niedobry sposób to czynić coś w duchu samolubnym, co albo prowadzi nas do zaniedbania naszej pracy na rzecz czynienia czegoś, co pozwoli zaspokoić własne cele, albo do poświęcenia tej czynności zbyt dużej ilości czasu tudzież zbyt wielu myśli zarówno przed, jak i po działaniu”. Ano tak! Dziś rano pomyślałam o słowach starej pani, kiedy widziałam, jak ścielesz łóżka. Tak żeś wzdychała, żeś nie umiała odpowiednio wytrząsnąć poduszek; nie włożyłaś w robotę serca; a jednak po mojemu był to obowiązek zadany ci przez Boga; wiem, że to nie praca, o której uczą pastory; ale chyba nie myślą się za bardzo, jak mówią: „Każdego dzieła, które twa ręka napotka, podejmij się według twych sił”^[42]. Spróbuj po prostu przez jeden dzień myśleć o wszystkich tych zadaniach, że trzeba je robić dobrze i szczerze, jakby Bóg patrzył, a nie tylko przelecieć jak popadnie, a wtedy będziesz je robić z dwa razy większą wesołością i nie zmarnujesz ani jednej myśli na wzdychanie albo płacz.

Sally zajęła się nastawieniem czajnika na herbatę i trochę się zawstydziła w cichej kuchni na myśl o przemowie, jaką wygłosiła w bawialni. Lecz z dużym zadowoleniem spostrzegła, iż otdąd Ruth piastowała synka z energią i wesołością, które on odzwierciedlał; a prac domowych nie wypełniała już z apatyczną obojętnością, jak gdyby życie i obowiązki były jej wstrętne. Panna Benson miała swój udział w tej poprawie, aczkolwiek Sally ze spokojem przypisała sobie wszystkie zasługi. Pewnego dnia, gdy panna Benson siedziała z Ruth, rzekła coś o dziecku, a potem jęła mówić o własnym dzieciństwie. Stopniowo doszły do zagadnień dotyczących wykształcenia oraz mądrości książkowych, które są jedną z jego części; w wyniku tego Ruth powzięła postanowienie, aby każdego jasnego letniego poranka wcześniej wstawać, żeby przyswajać sobie wiadomości, które następnie przekaże dziecku. Umysł miała niewykształcony, przeczytała w życiu bardzo niewiele. Nie wiedziała nic prócz tego, co przyswoiła machinalnie; lecz smak miała wyrafinowany, doskonałe zaś były jej rozsądek i osąd, które umożliwiały oddzielenie prawdy od fałszu. Z tymi zaletami zabrała się do pracy pod kierownictwem pana Bensona. Wczesnym rankiem czytywała książki, które wyznaczył; z surową wytrwałością ćwiczyła się w dokładnym wykonywaniu wszelkich zadań; nie podjęła się wysiłku opanowania żadnego języka obcego, jakkolwiek miała ambicję nauczyć się łaciny, aby móc nauczyć syna. Szczęśliwe były owe letnie poranki, uczyła się nie patrzeć za siebie ani przed siebie, lecz wiernie i sumiennie żyć w terażniejszości. Wstawała, kiedy samczyk pokrzywnicy wyśpiewywał jeszcze swej partnerce *réveille*^[43]; ubierała się i otwierała okno, osłaniając dziecko przed łagodnym powiewem i promieniami wschodzącego słońca. Gdy ogarniało ją zmęczenie, przychodziła popatrzeć na synka, a wszystkie jej myśli pochłaniały święte modlitwy za niego. Potem przez chwilę wyglądała z wysokiego okna na górze na wrzosowiska, które falowały w szarym, chłodnym świetle poranka. W taki oto sposób odpoczywała od czasu do czasu, po czym wracała do pracy pogrzechowana.

ROZDZIAŁ XVII

Chrzest Leonarda

We wspólnocie dysydenckiej, do której należał pan Benson, nie uważa się za rzecz konieczną chrzcić dzieci wówczas, gdy tylko przeprowadzenie takiej ceremonii staje się możliwe; w tym przypadku zaistniało również wiele okoliczności, które spowodowały, że uroczystość dziękczynienia i poświęcenia dziecka (tak bowiem postrzegali chrzest ci właśnie dysydenci) odłożono do czasu, aż dziecko ukończy mniej więcej szósty miesiąc. W niewielkiej bawialni brat, siostra i ich podopieczna przeprowadzili wiele rozmów, które składały się w dużej mierze z pytań, zdradzających swoiście refleksyjną, pełną zadziwienia niewiedzę Ruth, oraz udzielanych przez pana Bensaona odpowiedzi, nie tyle objaśniających, ile pełnych sugestii; panna Benson tymczasem dostarczała na bieżąco wyjaśnień, zawsze prostych, a często również oryginalnych, lecz podpartych ową intuicją względem samego sedna wszelkich zagadnień dotyczących wiary, będącą darem posiadanym często przez tych, którzy na pierwszy rzut oka zdają się jedynie uczuciowi i rozsądni. Kiedy pan Benson wyjaśnił własne poglądy odnośnie do tego, w jaki sposób należy postrzegać chrzest, a wezwawszy do pobożnej żarliwości drzemiące w Ruth uczucia, wzbudził w niej odpowiedni nastrój, wówczas poczuł, iż uczynił już wszystko co w jego mocy, ażeby sprawić, że uroczystość ta będzie czymś więcej, aniżeli tylko formalnością, i by nadać jej surowej majestatyczności czynu przeprowadzonego w wierze i w prawdzie, jakkolwiek w swym zewnętrznym kształcie miała być to koniecznie uroczystość cicha, skromna i skryta – smutna i wzbudzająca niepokój, bo taki kształt nadano jej za sprawą licznych poprzedniczek.

Nie trzeba było nieść maleństwa daleko, jak bowiem wspomniałam, kaplica przylegała niemalże do domu duchownego. Cała procesja miała się składać z pana i panny Benson, niosące swe dziecko Ruth oraz Sally, która jako członkini Kościoła Anglikańskiego czuła, iż łaskę czyni i uprzejmość, zwracając się z prośbą o wychodne, ażeby uczestniczyć w uroczystości chrztu pośród „tych całych dysydentów”; lecz gdyby nie wystąpiła o pozwolenie, nie poproszono by jej, aby przyszła, tak bardzo bowiem pan jej i pani baczyli na to, by nie zabrakło jej nigdy owej swobody, do której prawo i sami sobie rościli. Ale cieszyli się, że zapragnęła pójść; lubili czuć, że oto wszyscy należą do jednego domu i że to, co dotyczyło jednego z nich, dotyczyło również ogółu. W związku z tym wynikła jednakże okoliczność, której się nie spodziewali. Sally była tak podniecona wydarzeniem, które jej obecność miała usankcjonować i poniekąd złagodzić w pewnym stopniu jego jakże schizmatyczny charakter, że opowiedziała o nim z protekcjonalną miną trzem czy czterem osobom, wśród których znalazły się służące pana Bradshawa.

Panna Benson była dość zaskoczona, kiedy rankiem owego dnia, w którym miał się odbyć chrzest małego Leonarda, przybyła z wizytą Jemima Bradshaw; panna Bradshaw była zaróżowiona i tchu jej brakło z zapału. Chociaż była drugim dzieckiem w rodzinie, to kiedy chrzczono jej młodsze siostry, przebywała w szkołach, a teraz, kierując się gorączką dziewczęcej zachcianki, przyszła, ażeby zapytać, czy mogłaby uczestniczyć w popołudniowym nabożeństwie. Wdzięk i uroda pani Denbigh oczarowały ją od pierwszego wejrzenia, kiedy towarzyszyła matce podczas wizyty u Bensonów po ich powrocie z Walii; interesowała się zatem żywo wdową niewiele lat od siebie starszą, której powściągliwość i skrytość zwiększały jedynie moc czaru, jaki nieświadomie wywierała.

– Och, panno Benson! Ja nigdy nie widziałam chrztu; ojczulek mówi, że mogę pójść, jeżeli uważa pani, że pan Benson i pani Denbigh nie będą mieli nic przeciw temu; i będę cichuteńko, i usiądę za drzwiami, albo gdzie popadnie; i to słodkie maleństwo! Tak bardzo chciałabym

zobaczyć, jak go chrzczą. Mają mu dać Leonard, czyż nie tak pani mówiła? Po panu Denbigh, tak?

– Nie – niezupełnie – odparła panna Benson cokolwiek zmieszana.

– Czy w takim razie pan Denbigh nie miał na imię Leonard? Mama sądziła, że nadadzą mu imię po ojcu, i ja również. Ale mogę przyjść na chrzciny, prawda, panno Benson?

Panna Benson wyraziła zgodę, choć w głębi duszy czuła po temu niechęć. Zarówno brat jej, jak i Ruth, podzielali to uczucie, aczkolwiek nikt o nim nie wspomniał; toteż wkrótce o tym zapomniano.

Jemima stała cicha i poważna w staroświeckiej zakrystii przylegającej do kaplicy, kiedy weszli powolnym krokiem. Pomyślała, że bladość i onieśmienie Ruth wynika z tego, iż pozostawała jedynym żyjącym rodzicem dziecka; lecz Ruth przybyła przed oblicze Boga jako ta, która zbłądziła i wątpi, czy jest godna, aby zwać się Jego dzieckiem; przybyła jako matka, która ściągnęła na siebie wielki obowiązek i która błagała Go, by w Swej wszechmocnej pomocy pomógł jej się zeń wywiązać; pełna namiętnej, tęsknej miłości, łaknąca większej wiary w Boga, która uspokoiłaby w niej nieufność i obawę o przyszłość, jaka mogłaby zawisnąć nad jej kochaniem. Gdy pomyślała o synku, słabo jej się zrobiło i zadrżała; lecz gdy usłyszała o pełnej miłości życzliwości Boga, wykraczającej daleko poza wszelką tkliwość miłości matczynej, uspokoiła się i zaczęła modlić. Oto stała, przyciskając piękny blady policzek do główki śpiącego na jej piersi dziecka; oczy jej spozierały spod na wpół przymkniętych białych powiek; lecz wzrok ich nie padał na zgrzebne, podobne do chaty pomieszczenie, był natomiast żarliwie utkwiony w niejasnej mgłę, poprzez którą rada byłaby ujrzeć życie, jakie rozpościerało się przed jej dzieckiem; lecz mgła była nieruchoma i gęsta, zbyt gruby był to woal, by mogła przezeń przeniknąć pełna niepokoju miłość ludzka. Przyszłość skrywała się u Boga.

Pan Benson stanął tuż pod wysoko umieszczonym oknem; był prawie całkowicie spowity cieniem, wyjmując jeden czy dwa wyraźne promienie światła, które padały na jego srebrzystobiałe już włosy; gdy przemawiał do garstki, czynił to zawsze głosem cichym i melodyjnym; zbyt słabym, ażeby być dosłyszalnym dla licznego zgromadzenia bez przybierania barwy chrapliwej i dziwnej; lecz obecnie głos ów wypełnił niewielkie pomieszczenie tkliwym brzmieniem, niczym gruchanie gołębiczy dogłądającej młodych. W żarliwym swym zamyśleniu pan Benson i Ruth zapomnieli o wszystkim; a gdy rzekł „Módlmy się” i niewielkie zgromadzenie uklękło, można było dosłyszeć nikły oddech dziecka, ledwie pośród ciszy szepeczący, tak bardzo pochłonięci byli wszyscy doniosłością chwili. Lecz modlitwa była długa; myśl postępowała za myślą i obawa cisnęła się za obawą, a wszystkie miały być odkryte przed Bogiem, i do Niego zwracano się po pomoc oraz radę. Przed jej zakończeniem Sally, szurając przy tym cicho stopami, wymknęła się z zakrystii na zielony przykapliczny dziedziniec tuż za wejściowymi drzwiami. Panna Benson zauważyła ów ruch i tak ogromną poczuła ciekawość przyczyny tego zachowania, że nie umiała dłużej się skupić na słowach brata i nabrała ochoty, ażeby wybiec na dwór i wypytać Sally o wszystko, gdy tylko nabożeństwo dobiegnie końca. Panna Bradshaw trwała przy Ruth i dziecku i błagała, aby pozwolić jej zanieść dziecko do domu, lecz Ruth przycisnęła synka do siebie, jak gdyby nie było dlań innej bezpiecznej przystani prócz matczynej piersi. Dostrzegł to pan Benson i zauważył również pełne zawodu spojrzenie panny Bradshaw.

– Chodź z nami do domu – rzekł – i zostań na herbacie. Nie piłaś z nami herbaty od czasów, gdy wyjechałaś do szkół.

– Bardzo bym chciała – odparła panna Bradshaw, rumieniąc się z zadowolenia. – Lecz muszę zapytać się ojczulka. Czy mogę pobiec do domu, by go zapytać?

– Naturalnie, moja droga!

Jemima polecała; i szczęśliwie ojciec jej był w domu, pozwolenie od matki uznano by bowiem za niewystarczające. Otrzymała wiele wskazówek odnośnie do swego zachowania.

– Nie słódź herbaty, Jemimo. Pewien jestem, że Bensonów nie stać na cukier przy takich dochodach. I nie jedz zbyt wiele; możesz się najeść po powrocie do domu; pamiętaj, że utrzymanie pani Denbigh musi ich bardzo wiele kosztować.

Jemima powróciła zatem znacznie otrzeźwiona, obawiając się też bardzo, że głód gotów jeszcze doprowadzić ją do tego, iż zapomni o ubóstwie pana Bensona. Tymczasem panna Benson

i Sally, na wieść o wystosowanym przez pana Bensaona zaproszeniu dla Jemimy, zabrały się za przygotowywanie doskonałych keksowych bułeczek na podwieczorek, które napawały je dumą. Lubiły obie obrządki gościnności; i rade były, częstując gości kuszącymi delicjami domowej roboty.

– Dlaczego wyszliście z zakrystii, nim mój brat skończył modlitwę? – zapytała panna Benson.

– No tak, proszę pani, żem sobie pomyślała, że panicz tak długo się modlił, że mu w gardle zaschnie. Więc się wyslizgnęłam, żeby nastawić czajnik na herbatę.

Panna Benson miała właśnie udzielić jej reprimendy za to, że myślała wówczas o czymkolwiek prócz przedmiotu modlitwy, kiedy przypomniła sobie, jak sama nie potrafiła się skupić po odejściu Sally, ponieważ głowiła się, cóż też się stało; wobec tego milczała.

Uprzejme i gościnne oczekiwania panny Benson spotkał zawód, gdy głodna jak wilk Jemima poprzestała na jednym kawałku keksowej bułeczki, której upieczenie sprawiło przecież gospodyni tak wiele radości. Jemima zaś żałowała, że przez cały czas podwieczorku nie potrafiła odegnać od siebie proroczych wizji ukazujących sposób, w jaki ojciec będzie wypytywał ją o szczegóły posiłku, unosząc brwi na wieść o każdej potrawie, która była czymś więcej, niż pospolity chleb z masłem, i kwitując wszystko takim mniej więcej zdaniem: „Cóż, zdumiewa mnie to, w jaki sposób Benson, przy swym wynagrodzeniu, może sobie pozwolić na taki poczęstunek”. Sally opowiedziałyby o wyrzeczeniach, do których zarówno pan, jak i pani przyzwyczajeni byli, kiedy nikogo nie było w pobliżu, kiedy lewica nie wiedziała, co czyni prawica, a które podejmowali, w duchu nawet nie myśląc, że to czyn ofiarny albo cnotliwy, by móc pomagać będącym w potrzebie, lub choćby zaspokoić życzliwe, staroświeckie poczucie gościnności panny Benson podczas takich okazji jak ta, kiedy do domu zawitał ktoś obcy. Dbałość o wygodę innych sprawiała jej miłą, serdeczną przyjemność, co mogło dowodzić, iż sporadyczna rozrzutność tego rodzaju była nie marnotrawstwem, lecz czymś dobrym; i że nie należało rozpatrywać jej w kategoriach wydawania pieniędzy. Tego wieczoru odmowa ze strony zachęcanej do jedzenia Jemimy wprawiła pannę Benson w przygnębienie. Biedna Jemima! Keksowe bułeczki były tak dobre, ona zaś taka głodna; lecz mimo to odmawiała.

Podczas gdy Sally sprzątała po herbacie, panna Benson i Jemima towarzyszyły Ruth, gdy ta poszła na górę położyć małego Leonarda do łóżka.

– Chrzeszt to nabożeństwo bardzo uroczyste – rzekła panna Bradshaw. – Nie wiedziałam wcale, że aż tak uroczyste. Zdawało się, że pan Benson przemawiał, jak gdyby ciążyła mu na sercu wielka troska i jedynie Bóg mógłby ją odjąć lub zmniejszyć jej ciężar.

– Mój brat bardzo silnie przeżywa takie uroczystości – odparła panna Benson, pragnąc niejako przerwać tę rozmowę, zdawała sobie bowiem sprawę z tego, iż kilka części modlitwy zaczerpnęło swe źródło w szczególnym i smutnym charakterze kwestii, która była tej modlitwy przedmiotem.

– Jednakże niezupełnie wszystko rozumiałam – ciągnęła Jemima. – Co pan Benson miał na myśli, gdy rzekł: „Dziecka tego, co przez świat skarcone i odrzucone, Ty nie skarcisz, a pozwolisz mu przyjść do Ciebie i pobłogosławisz Twym wszechmocnym błogosławieństwem”? Dlaczego to małe kochanie miałyby być skarcone? Chyba nie zapamiętałam tych słów dokładnie, ale brzmiały one jakoś podobnie.

– Moja droga! Suknię masz zupełnie przemoczoną! Pewno się zamoczyła w balii; pozwól, że ją wykręcę.

– Och, dziękuję! Mniejsza o suknię! – odparła Jemima pośpiesznie, pragnąc powrócić do swego pytania; lecz właśnie wtedy dostrzegła łzy, płynące szybko po policzkach milczącej Ruth, gdy nachyliła się nad dzieckiem, które gaworzyło i pluskało się w balii. Zdawszy sobie nagle sprawę, iż nieumyślnie poruszyła jakąś bolesną nutę, Jemima pośpiesznie zmieniła temat, czemu ochoczo sekundowała panna Benson. Zdarzenie to zdało się odejść w zapomnienie, nie pozostawiawszy za sobą śladu; lecz w kolejnych latach nabierało we wspomnieniach Jemimy wyrazistości i znaczenia. Obecnie jednak byłaby zupełnie rada, gdyby pani Denbigh pozwoliła jej służyć sobie we wszelki możliwy sposób. Żywiła wobec piękna głęboki podziw, na co w domu

niezbyt jej pozwalano, a Ruth była bardzo piękna w swej cichej żałobie; jej uboga i prosta suknia narażała ją tylko na jeszcze większy podziw, ponieważ Ruth przydawała jej uroku, nieświadomie nosząc ją tak, jak gdyby była to draperia na starym greckim posągu – podległa figurze, którą okrywała, a równocześnie przesycona jej niewypowiedzianym wdziękiem. Poza tym, rzekome okoliczności życiowe Ruth pobudzały jeszcze wyobraźnię młodej, romantycznej dziewczyny. Ogółem rzecz ujmując, Jemima byłaby skłonna ucałować dłoń Ruth i ogłosić się jej niewolnicą. Sprzątnęła wszelkie przedmioty, jakich użyto podczas ceremonii kładzenia Leonarda do snu; poskładała jego codzienne ubrania; poczuła się nad wyraz zaszczycona, kiedy Ruth powierzyła go jej na kilka chwil – nad wyraz nagrodzona, kiedy Ruth podziękowała jej z poważnym, słodkim uśmiechem i pełnym wdzięczności spojrzeniem kochających oczu.

Kiedy Jemima odeszła ze służącą, którą po nią posłano, odezwał się niewielki chór pochwalny.

– To bardzo serdeczna dziewczyna – oznajmiła panna Benson. – Pamięta dawne czasy, zanim jeszcze posłano ją do szkół. Jest warta dwóch panów Richardów. Oboje są dokładnie tacy jak wówczas, gdy byli dziećmi, kiedy rozbili tamto okno w kaplicy i on uciekł do domu, a ona przyszła, zapukała do naszych drzwi jeden raz, zupełnie jak żebraczka^[44], a ja poszłam sprawdzić, ktoż to, i zupełnie mnie zaskoczył widok jej okrągłej, śniadej, uczciwej twarzy, spoglądającej na mnie, na wpół przerażonej, by oznajmić, co zrobiła i ofiarować pieniądze ze skarbonki na pokrycie szkody. Nigdy nie bylibyśmy usłyszeli o udziale panicza Richarda w tej całej sprawie, gdyby nie Sally.

– Lecz pamiętaj – odparł pan Benson – jak bardzo surowy był zawsze pan Bradshaw wobec swych dzieci. Nic przeto dziwnego, jeżeli biedny Richard był wówczas tchórzem.

– Jest nim i teraz, jeśli się nie mylę – odrzekła panna Benson. – A wobec Jemimy pan Bradshaw był nie mniej surowy, a jednak nie jest ona tchórzem. Lecz ja nie wierzę Richardowi. Jest w jego wyglądzie coś takiego, co mi się nie podoba. A kiedy w ubiegłym roku pan Bradshaw wyjechał w interesach do Holandii, to przez wszystkie te miesiące nasz młody dżentelmen pojawiał się w kaplicy bardzo sporadycznie, a ponadto zawsze będę wierzyć w ową pogłoskę, według której widziano go z tamtymi łajdakami w Smithiles.

– Nie są to szczególnie wielkie przewiny w przypadku młodzieńca w wieku lat dwudziestu – odparł pan Benson z uśmiechem.

– Nie! Same w sobie mi nie wadzą; lecz to, że potrafił z taką łatwością zmienić się na powrót w ułożonego i przyzwoitego, gdy tylko ojciec wrócił do domu, to mi się nie podoba.

– Leonard nigdy nie będzie się mnie bał – rzekła Ruth, podążając za własnym tokiem myśli. – Będę jego przyjaciółką od samego początku; i spróbuję się nauczyć, jak być mądrą przyjaciółką, a pan mnie tego nauczy, prawda?

– Skąd pragnienie, aby dać mu na imię Leonard, Ruth? – zapytała panna Benson.

– Było to imię ojca mej matki; i zwykła mi o nim opowiadać, i o jego dobroci, toteż pomyślałam, że gdyby Leonard mógł być takim, jakim był on...

– Czy pamiętasz, Thurstanie, dyskusję, jaka toczyła się w kwestii imienia panny Bradshaw? Jej ojciec pragnął dać jej Chofsiba^[45] i nalegał, aby w każdym razie było to imię biblijne; a pani Bradshaw chciała jej dać Juliana, na cześć jakiejś powieści, którą dopiero co przeczytała; w końcu zdecydowano się na Jemimę, ponieważ imię to było odpowiednie zarówno dla postaci z Pisma, jak i dla bohaterki z powieści.

– Nie wiedziałam, że Jemima to imię biblijne – rzekła Ruth.

– O, tak, jest nim. To jedna z córek Hioba: Jemima, Kasja i Keren-Happuh^[46]. Na świecie jest duża liczba Jemim i sporo Kasji, lecz nigdy nie słyszałam o żadnej Keren-Happuh; a jednak o każdej z nich wiemy tyle samo. Ludzie naprawdę lubią ładne imiona, niezależnie od tego, czy pochodzą one z Pisma, czy też nie.

– O ile imiona takie nie budzą żadnych szczególnych skojarzeń – rzekł pan Benson.

– Cóż, nazwano mnie Faith na cześć jednej z cnót Boskich; a ja lubię swoje imię, jakkolwiek wielu uznałoby je za zbyt purytańskie; nadano mi je zgodnie z nabożnym pragnieniem naszej szlachetnej matki. Thurstan zaś otrzymał swe imię, ponieważ tego życzył sobie ojciec; choć bowiem mówił i myślał jak ci, których ludzie zwą radykałami i demokratami, to w sercu czuł

wielką dumę z tego, iż był potomkiem pewnego dawnego sir Thurstana, który odznaczył się podczas francuskich wojen.

– Różnica między teorią a praktyką, między myśleniem a istnieniem – wtrącił pan Benson, któremu nastrój pozwalał na odrobinę towarzyskiej rozrywki. Rozparł się w fotelu z oczami wpatrzonymi w sufit, choć go niewidzącymi. Panna Benson dziergała na swych nieodłącznych, postukujących drutach, spozierając na brata wzrokiem wcale dobrze go widzącym. Ruth przygotowywała ubranka dziecka na dzień następny. W taki właśnie sposób spędzali zazwyczaj wieczory; urozmaicenia nadawał tym chwilom ton, jaki przybierały wieczorne rozmowy, a bywał to ton różnorodny. Lecz spokój owej pory, otwarte na niewielki ogród okno, zakradające się do wewnątrz zapachy oraz czyste niebo w górze sprawiły, że Ruth zapamiętała ów świąteczny czas jako szczęśliwy. Nawet Sally zdawała się spokojniejsza niż zazwyczaj, kiedy przyszła na modlitwę; i podążyła wraz z panną Benson za Ruth do jej sypialni, ażeby popatrzeć na ślicznego, śpiącego Leonarda.

– Niechaj go Bóg błogosławi! – rzekła panna Benson, nachylając się, by ucałować drobną pulchną rączkę, która spoczywała na kołderce, odrzuconej na bok wobec wieczornego gorąca.

– Ruth, tylko nie wstawaj zbyt wcześnie! Niszczenie swego zdrowia to krótkowzroczna mądrość i źle rozumiana oszczędność. Dobranoc!

– Dobranoc, droga panno Benson. Dobranoc, Sally. – Zamknąwszy drzwi, Ruth podeszła znów do łóżka i wpatrywała się w synka tak długo, aż w jej oczach pojawiły się łzy.

– Niech cię Bóg błogosławi, kochanie! Proszę tylko o to, bym mogła być jednym z Jego narzędzi, miast zostać odrzuconą jako bezużyteczna – albo gorzej nawet niż bezużyteczna.

Tak zakończył się dzień chrztu Leonarda.

Niekiedy pan Benson w ramach szczególnej przysługi na prośbę różnych ludzi nauczał ich dzieci. Lecz uczniowie ci byli tylko dziećmi, toteż praca nad ich postępami nie przygotowała go zbyt do nauczania Ruth. Uczyła się we wczesnych latach od matki, a była to nauka, której zapomnieć nie można; wystarczająca dla objawienia wielu z jej uzdolnień; pozostawały one teraz w uśpieniu od kilku lat, lecz w tym czasie rosły w siłę w swym cichym ukryciu. Nauczyciela zaskakiwało to, jakimi susami pokonywała przeszkody, jak szybka była jej spostrzegawczość, jak prędko przyswajała sobie prawdy i podstawowe zasady i jak błyskawicznie potrafiła wyczuć trafność i dopasowanie rzeczy. Upodobanie, jakie znajdowała w tym, co silne i piękne, zjednywało jej sympatię nauczyciela; lecz przede wszystkim podziw wzbudzała w nim zupełna nieświadomość owych niepospolitych mocy czy nadzwyczajnych postępów. To prawda, że według Ruth nie było to rzeczą aż tak zadziwiającą, za jaką uznawał ją pan Benson, ponieważ nigdy nie myślała o tym, ażeby porównać siebie taką, jaką była obecnie, z tą, jaką była w przeszłości. W istocie nie myślała o sobie wcale, a wyłącznie o synku oraz o tym, czego się winna nauczyć, aby móc uczyć go być tym i czynić to, co odpowiadało jej nadziejom i modlitwom. Jeżeli czyjekolwiek oddanie schlebiało jej tak silnie, że aż wzbudzało w niej skrępowanie, to tylko Jemima. Panu Bradshawowi nigdy się nawet nie przyśniło, że jego córka mogłaby uważać się za poślednią wobec podopiecznej pastora, lecz tak właśnie było; i żaden błędny rycerz przyjmujący rozkazy swej damy nie mógłby czuć się bardziej zaszczycony, aniżeli Jemima wówczas, gdy Ruth pozwalała jej uczynić coś dla siebie lub swego synka. Ruth kochała Jemimę serdecznie, nawet jeśli drażniły ją nieco bezpośrednio wyrazy podziwu ze strony dziewczyny.

– Proszę, naprawdę wołałabym nie słyszeć o tym, że ludzie uważają mnie za piękną.

– Ale tu nie było mowy o zwyczajnym pięknie; pani Postlethwaite nazwała panią miłą z wyglądu i dobrą – odparła Jemima.

– Tym bardziej wołałabym tego nie słyszeć. Może i jestem ładna, ale wiem, że dobra nie jestem. A poza tym, nie sądzę, że powinniśmy wiedzieć o tym, co się o nas mówi za naszymi plecami.

Ruth przemówiła tak poważnie, że Jemima wystraszyła się, iż jest niezadowolona.

– Droga pani Denbigh, nigdy więcej nie wyrażę się o pani z podziwem ani nie będę pani chwalić. Niechże mi pani tylko pozwoli siebie kochać.

– W takim razie pozwól mi też kochać siebie! – odparła Ruth, całując ją czule.

Jemimie nie byłoby wolno przychodzić tak często, gdyby pana Bradshawa nie opętała myśl o objęciu Ruth swą protekcją. Gdyby była zechciała, byłaby mogła ubierać się od stóp do głów w prezenty, którymi on pragnął ją obdarować, lecz ona stale ich odmawiała; niekiedy ku wielkiemu utrapieniu panny Benson. Lecz skoro nie wolno mu było obsypywać jej podarkami, to uznał, iż mógłby okazać aprobatę, zapraszając ją do swego domu; i po niejakiemu namyśle Ruth zgodziła się towarzyszyć panu i pani Benson, gdy udali się tam z wizytą. Dom był kwadratowy i masywny, z dużą ilością szaroburych mebli. Pani Bradshaw we właściwy sobie afektowany acz miły sposób sekundowała mężowi w pragnieniu okazania Ruth życzliwości; w głębi duszy żywiła wielkie upodobanie wobec tego, co piękne i ciekawe, tak odmienne od mężowskiego umiłowania tego, co czysto użyteczne, lecz owo upodobanie rzadko znajdowało tak zdrowe i prawdziwe źródło zaspokojenia, jak wówczas, gdy obserwowała poruszającą się po pokoju Ruth, której obecność nadawała owemu skromnemu pomieszczeniu o ubogiej kolorystyce niezbędną ozdobę w postaci światłości i blasku. Pani Bradshaw wzdychała i żałowała, że nie ma równie uroczej córki, wokół której mogłaby osnuć romans; bo budowanie zamków na lodzie na modłę zaczerpniętą z powieści wydawanych przez Minervę^[47] umożliwiło jej ucieczkę od ucisku codziennego życia, które wiodła jako żona pana Bradshawa. Dostrzegała jedynie zewnętrzne piękno, z czego nie zawsze zdawała sobie sprawę, w przeciwnym bowiem razie zauważyłaby, jak gorąca, serdeczna, żarliwa natura, pozbawiona wszelkiej zazdrości i nieskupiona na sobie, przydawała niewypowiedzianego uroku Jemimie, jej nieładnej córce o pogodnej twarzy, której ciemne oczy wyrażały stale podziw wobec przyjaciółki. Pierwszy wieczór u pana Bradshawa upłynął jak wiele kolejnych tam wizyt. Podano herbatę w zastawie tak eleganckiej i zarazem tak brzydkiej, jaką tylko można było kupić za pieniądze. Następnie panie dobiły swych robótek, pan Bradshaw tymczasem stanął przy kominku i jał świadczyć zebranych dobrodziejstwo, dzieląc się z nimi swymi poglądami na rozliczne tematy. Poglądy te były tak dobre i doskonałe, jak poglądy każdego, kto bardzo silnie dostrzega jedną stronę danej sprawy, drugą zaś niemalże ignoruje. W wielu punktach zgadzały się one z poglądami pana Bensaona, który jednak raz czy dwa wtrącił słowo usprawiedliwienia dla tych, których zdanie mogłoby być odmienne; a wówczas pan Bradshaw wysłuchał go z wyrazem widocznej i pobłażliwej litości, jaką odczuwa się wobec dziecka, które nieświadomie mówi niemądre rzeczy. Wkrótce pani Bradshaw z panną Benson rozpoczęły pogawędkę *tête-à-tête*, a Ruth i Jemima podążyły ich śladem. Dwoje grzecznych, lecz nienaturalnie cichych dzieci posłał wczesnym wieczorem do łóżek władczy tonem ojciec, ponieważ jedno z nich zbyt głośno się odezwało, kiedy on akurat rozwodził się nad zmianą w wysokości cła. Tuż przed wniesieniem tacy kolacyjnej zapowiedziano przybycie dżentelmena, którego Ruth nigdy wcześniej nie widziała, lecz który zdawał się być dobrym znajomym reszty towarzystwa. Był to pan Farquhar, wspólnik pana Bradshawa; poprzedni rok spędził na kontynencie i dopiero co powrócił. Zdawał się czuć w tym otoczeniu jak u siebie w domu, lecz mówił niewiele. Rozsiadł się w fotelu, wytężył wzrok i jał wszystkich obserwować; lecz w przenikliwości prowadzonej przezeń obserwacji nie było niczego nieprzyjemnego ani impertynenckiego. Ruth dziwiła się, słysząc, jak sprzeciwia się panu Bradshawowi i niemal spodziewała się jakiejś niegrzecznej odpowiedzi; tymczasem pan Bradshaw, jeżeli nie ustąpił, to przynajmniej po raz pierwszy owego wieczoru przyznał, że istotnie można coś rzec o racjach drugiej strony. Pan Farquhar nie zgadzał się również z poglądami pana Bensaona, lecz w przeciwieństwie do pana Bradshawa, okazywał to w sposób niepozbawiony szacunku. Z tych oto powodów Ruth, z którą pan Farquhar nie zamienił był ani słowa, odniosła wrażenie, że jest to człowiek, którego należy szanować, a być może również można byłoby polubić.

Sally uznałaby się za wielce pokrzywdzoną, gdyby po powrocie domowników nie było jej dane usłyszeć jakiegokolwiek sprawozdania z przebiegu wieczoru. Gdy tylko panna Benson weszła do domu, stara służąca rzekła:

– Ano, więc kto tam był? I co wam dali na kolację?

– Oprócz nas tylko pan Farquhar; i kanapki, biszkopt oraz wino; nie było okoliczności do niczego ponad to – odparła zmęczona panna Benson, sposobiąc się do wejścia na górę.

– Pan Farquhar! Ale przecie mówią, że on myśli o pannie Jemimie!

– Nonsens, Sally! Ma tyle lat, że mógłby nieledwie być jej ojcem! – odrzekła panna Benson

w połowie pierwszych schodów.

– Nie trzeba mówić, że to nonsens, chociaż on może z dziesięć років starszy – mruknęła Sally, wycofując się w stronę kuchni. – Betsy od Bradshawa wie, co mówi i nie gadałaby czego takiego po próżnicy.

Ruth zastanowiła się nad tym trochę. Kochała Jemimę na tyle, ażeby się interesować tym, co jej dotyczyło; lecz zastanowiwszy się nad wszystkim kilka minut, doszła do wniosku, że takie małżeństwo jest i zawsze byłoby rzeczą wielce nieprawdopodobną.

ROZDZIAŁ XVIII

Ruth zostaje guwernantką w rodzinie pana Bradshawa

Pewnego popołudnia, niedługo po ostatnich wydarzeniach, pan i panna Benson wybrali się z wizytą do gospodarza, który chadzał na nabożeństwa, lecz mieszkał w pewnej odległości od miasta. Zamierzali zostać na kolację, jeżeli otrzymaliby na nią zaproszenie, toteż Ruth i Sally miały spędzić długie popołudnie w swoim towarzystwie. Z początku Sally krzątała się w kuchni, Ruth zaś zaniósła dziecko do ogrodu. Upłynął już niemal rok, odkąd zamieszkała u Bensonów; zdawało się, jakby to było wczoraj, a zarazem jak gdyby wiek cały upłynął. Na kwiatach, które były w rozkwicie wówczas, gdy owego pierwszego jesiennego poranka zesłała na dół do słonecznej bawialni, obecnie pojawiły się pąki. Żółty jaśmin, który był wtedy delikatną roślinką, zakorzenił się już teraz porządnie w ziemi i wypuszczał silne pędy; kwiaty laku pachnącego, który panna Benson zasadziła na murze na dzień czy dwa po przybyciu Ruth, roztaczały w powietrzu słodką woń. Ruth знаła teraz każdą roślinę; zdawało jej się, że mieszka tu od zawsze i że od zawsze zna mieszkańców tego domu. Usłyszała, jak Sally śpiewa w kuchni swą tradycyjną piosenkę, która niezmiennie towarzyszyła jej podczas popołudniowych zajęć. Zaczynała się od słów:

Gdym sobie, panie, do Derby szedł

w pewien targowy dzień.

A jeżeli nieodzownym składnikiem piosenki jest melodia, to być może lepiej byłoby nadać powyższemu inną jakąś nazwę.

Lecz dziwna przemiana nastąpiła w samej Ruth. Była jej świadoma, jakkolwiek nie potrafiła jej określić, ani też nie zastanawiała się nad nią. Życie dziewczyny nabrało znaczenia i wypełniły je powinności. Uwielbiała ćwiczyć swe zdolności umysłowe i podobało jej się to, jak nieskończonej wielości rzeczy jeszcze nie znała; ogromną przyjemność sprawiało jej bowiem uczenie się – poczucie głodu wiedzy i możliwość jego zaspokojenia. Usiłowała zapomnieć o tym, co wydarzyło się przed upływem ostatnich dwunastu miesięcy. Rozpamiętywanie owych dni przyprawiało ją o dreszcze; było jak zły, bezbożny sen. A mimo to osobliwą, tęskną miłością darzyła ojca dziecka, które przyciskała do serca, i nie potrafiła uznać tej miłości za grzeszną, bo taka była przecież czysta, tak naturalna już sama nawet myśl o niej, jak gdyby miła była Bogu. Mały Leonard gaworzył z kwiatami i wyciągał rączki ku ich żywym barwom; Ruth położyła go na suchej darni i obsypywała wesołymi płatkami. Piszczął i szczebiotał, śmiejąc się z uciechy, i schwycił jej czepek, i ściągnął go jej z głowy. Jej krótkie, bujne loki były złotobrązowe w promieniach słońca, a sama ich krótkość przydawała dziewczynie dziecięcego wyglądu. Trudno było uwierzyć, że mogłaby być matką wspaniałego dzieciątka, nad którym klęczała, to kradnąc mu pocałunki, to znów przykładając do jego policzka różane liście. Naraz dzwony starego kościoła wybiły pełną godzinę; a potem daleko, wysoko gdzieś w przestrzeni, jęły z wolna wygrywać starą melodię „Hołubmy życie^[48]”; wygrywały ją od lat – przez całe ludzkie żywoty – niemniej zawsze brzmiała świeżo i osobliwie, i ulotnie. Ruth natychmiast znieruchomiała, nie wiedziała, dlaczego; a gdy słuchała, w oczach jej pojawiły się łzy. Gdy melodia się skończyła, ucałowała synka i poprosiła Boga, aby go pobłogosławił.

Właśnie wtedy wyszła na dwór Sally, przebrana już na wieczór, sprawiająca wrażenie spokojnej i swobodnej. Wykonała już swą pracę i zamierzała teraz wypić z Ruth herbatę w pierwszorzędnie wysprzątanej kuchni; lecz kiedy woda się gotowała, wyszła nacieszyć się

kwiatami. Wzięła gałązkę bożego drzewka i przytknęła ją sobie do nosa, aby powąchać.

– Jak się to zwie w twoich stronach? – zapytała.

– Staruch – odparła Ruth.

– Tutaj zwiemy ją kochaneczką. Ten zapach i miętowe karmelki zawsze mi przypominają, jak to się chodziło na wsi do kościoła. O! Wezmę liść czarnej porzeczki, żeby go włożyć do imbryka. Poprawi smak herbaty^[49]. Dawniej mieliśmy pod tym murem pszczoły; ale kiedy się pani zmarło, zapomnieliśmy im o tym powiedzieć i je w żałobę ubrać, no to odleciały, a myśmy o tym nie wiedzieli, a w następną zimę przyszedł ostry mróz i popadały^[50]. No, zdaje mi się, że woda się już pewno gotuje; i pora, żeby mały panicz przyszedł już do domu, bo rosa opada. Popatrz, wszystkie stokrotki się zamykają.

Sally była nad wyraz uprzejmą gospodynią. Aby ugościć Ruth w kuchni, przyzwała swe grzeczne, towarzyskie maniere. Położyły Leonarda spać na kanapie w bawialni, a żeby lepiej go słyszeć, następnie usiadły i zabrały się za robotki przy jasnym kuchennym ogniu. Jak zwykle, to Sally była gawędziarką; i jak zwykle przedmiotem jej opowieści była rodzina, której część stanowiła sama od tak wielu lat.

– Ano! Inaczej świat wyglądał, kiedyś była dziewczyną – rzecze. – Jaja były po trzydzieści sztuk za szylinga, a masło tylko sześć pensów za funta. Kiedyś tu przyszła, dostawałam tylko trzy funty i żem umiała za to wyżyć, i zawsze byłam czysta i schludna, czego nie można rzec o niejednej z tych dziewczuch, co to dzisiaj dostają siedem albo i osiem funtów na rok; a popołudniami piło się w tamtych czasach herbatę, a leguminę jadało się przed mięsem, a wynik tego był taki, że ludzie ładniej spłacali swoje długi, oj tak, oj tak! Żeśmy się wszyscy pocofali, a zdaje się nam, cośmy do przodu poszli.

Sally pokręciła głową nad upadkiem znaczącym czasy, w których przyszło jej żyć, po czym powróciła do tej części opowieści, z której, jak się jej zdawało, Ruth gotowa jeszcze z jej winy wyciągnąć nieprawdziwe wnioski.

– Nie myśl, że ja teraz nie dostaję więcej, jak trzy funty na rok. Mam teraz o wiele więcej. Po pierwsze, stara pani dała mi cztery funty, bo rzekła, żem tyle warta, a i jam w duchu tak uważała; to i przyjął bez dalszych ceregieli; ale po jej śmierci panicz Thurstan i panna Faith poczuli ochotę na wydawanie pieniędzy i mówią do mnie pewnego dnia, gdy właśnie przyniosła herbatę: „Sally, zdaje nam się, że należy wam podnieść pensję”. „Czy to ważne, co wam się zdaje!”, rzekłam na to całkiem ostro, bo żem pomyślała, że więcej byłiby pani okazali szacunku, gdyby zostawili wszystko tak, jak za jej czasów było; a oni w ten samiuśki jeszcze dzień wzięli się i przesunęli kanapę spod ściany na miejsce, co to na nim teraz stoi. No to ja się odzywam ostro, no i mówię: „Widzi mi się, że dopókim zadowolona, dopóty nie ma wam po co wtykać nosa w moje sprawy i moich pieniędzy”. „Ale – powiada panna Faith (sama żeś pewno zauważyła, że ona zawsze się pierwsza odzywa, chociaż to panicz potem rozstrzyga sprawę, wynajdując racje, jakie by jej nawet w głowie nie powstały – zawsze był z niego rozsądny chłopak) – Sally, wszystkie służące w mieście dostają co najmniej sześć funtów, a wy pracujecie tutaj równie ciężko, jak każda z nich”. „Czy wyście kiedy słyszeli, żebym ja zrzędziła na robotę, że tak o tym gadacie? Poczekajcie, aż zacznę zrzędzić – ja na to – ale do tego czasu się nie wtrącajcie”. Tak żem im nagadała, bo mnie rozdrażnili; ale później tego wieczora panicz Thurstan przyszedł do kuchni i siadł, a z niego taki ujmujący gagatek, że podstępem człeka na wszystko naciągnie; a do tego przyszła mi wtedy do głowy taka jedna myśl – ale, ty nie wypaplasz, co? – rzekła, rozglądając się po pokoju i przysuwając krzesło bliżej Ruth w poufałym geście; Ruth przyrzekła, a Sally mówiła dalej – to żem pomyślała, że chciałabym być dziedziczką z pieniędzami i zostawić wszystko paniczowi i pannie Faith; i żem pomyślała, że gdybym miała sześć funtów na rok, to może mogłabym zostać dziedziczką; strachałam się tylko, że jaki jeden czy drugi chłopina mógłby się ze mną ożenić dla pieniędzy, ale udało mi się trzymać jegomościów z dala od siebie; no to robię grzeczną, wdzięczną minę i dziękuję paniczowi Thurstanowi za propozycję, i przyjmuję pensję; i jak myślisz, co żem zrobiła? – zapytała Sally tryumfująco.

– Cóżście zrobili? – zapytała Ruth.

– Ano – odparła Sally, powoli i z naciskiem – uzbierałam trzydzieści funtów! Ale nie o to

idzie. Prawnika żem najęła, żeby mi spisał testament; ot, co, dziewczyno! – oznajmiła, klepnąwszy Ruth w plecy.

– Jak żeście tego dokonali? – zapytała Ruth.

– Ano, właśnie – odparła Sally – myślała żem ja o tym w niejedną noc, zanim żem znalazła rozwiązanie. Strachałam się, że pieniądze trafią jeszcze do kanclerskiego sądu^[51], jak ich dobrze nie zabezpieczę, ale nie mogłam przecie prosić o to panicza Thurstana. W końcu, na samiuśkim końcu, do Johna Jacksona, sklepikarza, przyjechał na tydzień bratanek, co to się uczył na prawnika w Liverpoolu; no to się zjawiła odpowiednia dla mnie pora i zjawił się mój prawnik. Zaczekaj no chwilę! Opowiem ci wszystko lepiej, jak będę miała w ręce testament; a jeśli kiedy o tym komu wypalasz, to ukatrupię.

Uniosła dłoń i pogroziła nią Ruth, po czym wyszła z kuchni, aby przynieść testament.

Wróciwszy, przyniosła paczuszkę owiniętą w błękitną chustkę do nosa; usiadła, wyrównała kolana, rozsypała chusteczkę i wydobyła z niej niewielki kawałek pergaminu.

– A więc, wiesz, co to takiego? – rzekła, podnosząc go. – To pergamin i to na takim materiale należy się pisać testamenty. Jak człek nie spisze go na tym materiale, to trafia potem do kanclerskiego sądu, a po mojemu Tom Jackson myślał sobie, że mu się dostanie nowa robota, jeśliby to tam skończyło, w tym sądzie; bo też gałgan wziął i napisał wpierv wszystko na papierze i przyszedł mi to przeczytać na głos z kawałka papieru, nie lepszego jak ten, co to się na nim listy pisze. Ale ja żem go przejrzała; no i żem pomyślała, no, no, chłopaczkę, głupek to ja nie jestem, choć może tak ci się zdaje; wiem ci ja, że papierowy testament się nie ostanie, ale pozwolę ci pleść te swoje androny. No to żem siadła i słucham. I wyobraź sobie, on to wszystko przeczytał tak, jakby to chodziło o jaką najprostszą pod słońcem sprawę – o jaki naparstek – bez dodatkowych ceregieli, a to przecie było trzydzieści funtów! Sama wszyściutko rozumiałam – toteż po mojemu nie był to żaden prawowity testament. Chciałam dostać takie coś, co by potem można było roztrząsać, i żeby sens był tak samo pogmatwany, jak wełna, co to się dostała w kocie łapy. No to ja mówię, „Tom! Nie jest spisany na pergaminie. Muszę ja go mieć na pergaminie”. „Tak jest równie dobrze – on na to. – Każemy go poświadczyć i nabierze mocy”. Ano! Podobał mi się pomysł, żeby go poświadczyć i na razie mnie to udobruchało; ale po chwili żem poczuła, że chciałabym, żeby to było zrobione podług prawa, a nie tak łatwo, jakby to kaźden jeden umiał zrobić; nawet ja, gdybym pisać umiała. No to mówię, „Tom! Muszę to mieć na pergaminie”. „Pergamin kosztuje” – on na to bardzo poważnie. „Ejże, ejże, mój chłopaczkę, toś ty taki? – myślę. – To dlatego żeś mi prawa poskąpił”. No to mówię, „Tom! Muszę to mieć na pergaminie. Zapłacę, i proszę bardzo. Tu idzie o trzydzieści funtów i to, co jeszcze będę mogła dołożyć. Chcę, żeby były bezpieczne. Ma być na pergaminie i powiem ci coś, chłopaczkę! Dam ci sześć pensów za kaźdy ładny prawnikowy wyraz, jaki tam napiszesz, a ma brzmieć po prawnikowemu i ma być taki, że człek, co to będzie czytał, go nie zrozumie. Twój pryncypał winien się wstydzić, że ma takiego ucznia, skoro nie umiesz ubić na usłudze lepszego interesu!”. Ano, to on się trochę śmiał, ale ja żem twardo obstawała przy swoim i nie ustępowała. No to on napisał wszystko na pergaminie. A teraz, kobieto, spróbuj to przeczytać! – rzekła, podając Ruth pergamin.

Ruth się uśmiechnęła i zaczęła czytać; Sally słuchała z najwyższą uwagą. Kiedy Ruth doszła do wyrazu „testatorka”, Sally jej przerwała.

– To było pierwsze sześć pensów – oznajmiła. – Jużem myślała, że on znowu zamierza mnie zbyć prostym językiem; ale wtedy się pojawił ten wyraz, toteż dobytek sześciopensówki i z miejsca mu ją dałam. A teraz czytaj dalej.

Niebawem Ruth przeczytała: „przyrastający”.

– To było drugie sześć pensów. Razem było wszystkiego cztery sześciopensówki, do tego sześć szylingów osiem pensów, na któreśmy się na początku umówili i trzy szylingi sześć pensów za pergamin. Proszę! To jest testament, co się zowie; poświadczony podług prawa, i tak dalej. Panicza Thurstana czeka po mej śmierci ładny żart, kiedy się okaże, że ta jego cała dodatkowa pensja dostała mu się z powrotem. Ale to będzie dla niego nauczka, że zmusić kobietę do ustępstwa nie jest wcale tak łatwo, jak mu się zdawało.

Zbliżała się pora na to, aby odstawić małego Leonarda od piersi – wyznaczony przez

wszystkich troje czas, kiedy to Ruth miała podjąć próbę uniezależnienia się w mniejszym lub większym stopniu od opieki pana i panny Benson. Wizja ta była stale obecna w ich umysłach i wprawiała każde z nich w niejaki zakłopotanie; lecz żadne nie wspominało o tym w obawie przed przyspieszeniem owego wydarzenia. Gdyby byli pewni i zdecydowani odnośnie do wyboru najlepszej drogi postępowania, to natychmiast obraliby ten kurs, żadnemu z nich nie brakło przecież po temu odwagi. Panna Benson byłaby może najprędzej sprzeciwiła się zaprowadzaniu jakichkolwiek zmian w obecnym, codziennym trybie życia; lecz wynikało to stąd, iż miała w zwyczaju wypowiadać swe myśli na bieżąco i szczególnie nie lubiła zmian i się ich obawiała. Poza tym czuła, że serce jej się otworzyło i zapalało silnym, gorącym uczuciem wobec małego, bezbronniego dziecka. Zgodnie z zamysłem natury, jej gorące instynkty miały znaleźć ujście w macierzyńskich obowiązkach; serce jej pragnęło dzieci, wobec czego bezdzietność przyprawiała ją o niepokój, a ona sama nie wiedziała dobrze, co było jego powodem; lecz teraz rozkosz, jaką znajdowała w opiece, w pielęgnowaniu, w myśleniu o tym, co dobre dla chłopczyka – w myśleniu o jego dobru nawet kosztem poświęcenia wielu własnych umiłowanych kaprysów – dawała jej szczęście, zadowolenie i pokój. Trudniej było jej zrezygnować z kaprysów aniżeli z wygód; lecz kiedy chodziło o słodkiego jaśniepaniczka, którego panowanie było nadrzędne w swej bezbronności, gotowa była poświęcić wszystko i w każdym momencie.

Z takiej czy innej przyczyny pewnej niedzieli nastąpiła wymiana pastorów między zgromadzeniem pana Bensaona, a sąsiednim, toteż duchowny opuścił na krótko dom. Po powrocie w poniedziałek w drzwiach czekała nań siostra, która najwyraźniej wypatrywała go była od pewnego już czasu. Wyszła mu na powitanie.

– Nie śpiesz się, Thurstanie! Wszystko w porządku; chciałam ci tylko o czymś powiedzieć. Nie niepokój się – z dzieckiem wszystko dobrze, wszystko dobrze! To tylko pomyślne wieści. Pójdź do swego pokoju i pozwól, że pomówię z tobą spokojnie przez chwilę.

Zaprowadziła go do gabinetu, który znajdował się nieopodal zewnętrznych drzwi, następnie zdjęła zeń płaszcz i postawiła w kącie dywanową torbę, i przysunęła fotel do kominka, i dopiero wówczas zaczęła mówić.

– A to dopiero! I pomyśleć, Thurstanie, jak często rzeczy układają się zupełnie po naszej myśli! Czyś nie zastanawiał się często, co też pocniemy z Ruth, kiedy nadejdzie czas na to, aby zaczęła zarabiać na swe utrzymanie, jakeśmy jej to obiecali? Pewna jestem, żeś się zastanawiał, bo sama o tym często myślałam. A jednak nie śmiałam nigdy wyrzec swych obaw na głos, ponieważ zdawało mi się, iż w ten sposób nadałabym im określoną postać. Tymczasem pan Bradshaw wszystko ustalił. Zaprosił wczoraj na kolację pana Jacksona, gdyśmy akurat wchodziły do kaplicy; a wówczas odwrócił się do mnie i zapytał, czy przyjdę na herbatę – prosto z popołudniowego nabożeństwa, ponieważ pani Bradshaw chciała ze mną pomówić. Zapowiedział bardzo wyraźnie, ażebym nie przyprowadzała Ruth; ona zresztą była nad wyraz szczęśliwa, mogąc pozostać w domu z dzieckiem. Toteż poszłam; a pani Bradshaw zaprowadziła mnie do swej sypialni i zamknęła drzwi, i oznajmiła, że pan Bradshaw oświadczył jej, iż nie podoba mu się to, że Jemima jest tak przykuta do młodszych sióstr, kiedy one odbierają lekcje, i że chciałby, aby w czasie, gdy są z nimi nauczyciele, siedział przy nich ktoś wyżej postawiony, aniżeli bona – ktoś, kto mógłby dopilnować, ażeby się uczyły i kto by chadzał z nimi na spacer; zdaje się, że myślała o kimś w rodzaju piastunko-guwentantki, jakkolwiek tego nie powiedziała; a pan Bradshaw (no bo, rzecz jasna, widziałam, jak jego myśli i słowa nieustannie wycierają spoza tego, co mówiła, mimo że chciał, ażeby to ona o tym ze mną porozmawiała) wierzył, że nasza Ruth będzie najodpowiedniejszą do tego osobą. Ależ, Thurstanie, nie bądź taki zaskoczony, jak gdybyś się tego wcale a wcale nie domyślił! Ja z pewnością odgadłam, do czego pani Bradshaw zmierza, dużo wcześniej, niż wówczas, gdy to oznajmiła; i przez dłuższą chwilę ledwie się powstrzymałam od uśmiechu i oznajmienia, że „Skwapliwie skorzystamy z tej propozycji”, bo przecież wówczas nie powinnam się była jeszcze domyślać, w czym rzecz.

– Och, zastanawiam się, jak powinniśmy postąpić! – rzekł pan Benson. – Czy może raczej zdaje mi się, że wiem, jak powinniśmy postąpić, lecz uczynić tego nie śmiem.

– Ależ, jak według ciebie winniśmy postąpić? – zapytała zaskoczona siostra.

– Powinienem pójść do pana Bradshawa i opowiedzieć mu całą historię...

– I doprowadzić do wyrzucenia Ruth z naszego domu – rzekła panna Benson z oburzeniem.

– Do tego nas zmusić nie mogą – odparł brat. – Nie sądzę, aby spróbowali.

– A owszem, pan Bradshaw by spróbował; i rozgłosiłby wszem i wobec o grzechu biednej Ruth i nie pozostałoby już dla niej żadnej szansy. Dobrze go znam, Thurstanie; zresztą, dlaczego mówić mu o tym teraz, skorośmy ponad rok temu milczeli?

– Rok temu nie zamierzał z ufnością powierzyć własnych dzieci pod jej opiekę.

– A ty uważasz, że ona tego zaufania nadużyje, czy tak? Przemieszkałaś z Ruth dwanaście miesięcy pod jednym dachem, i koniec końców uważasz, że ona może wyrządzić krzywdę jego dzieciom! Poza tym, kto zachęcał Jemimę do tego, ażeby tak często przychodziła odwiedzać Ruth? Czyś nie powiedział, że im obu wyszłoby na dobre, gdyby się od czasu do czasu widywały?

Pan Benson siedział, rozmyślając.

– Gdybyś nie znał Ruth tak dobrze, jak ją znasz – gdybyś podczas jej bytności tutaj zauważył był cokolwiek niesłusznego, jakiś przejaw śmiałości, kłamliwości, nieskromności, powiedziałabym natychmiast: „Nie pozwól, aby pan Bradshaw przyjął ją pod swój dach”; lecz nadal mówiłabym: „Nie wspominaj o jej grzechu i jej boleści tak surowemu człowiekowi, tak bezlitosnemu sędziemu”. Tymczasem zapytuję cię, Thurstanie, czy ty albo ja, albo Sally (która ma przecież bystre oko), czy którekolwiek z nas mogłoby stwierdzić, że choćby raz nadarzyła się prawdziwa, sprawiedliwa okazja po temu, ażeby poddać krytyce zachowanie Ruth? Nie twierdę, że jest doskonała – działa bez namysłu, usposobienie miewa czasem żarliwe i popędliwe; ale czy mamy jakiegokolwiek prawo do tego, ażeby zaprzepaścić jej widoki na przyszłość, mówiąc panu Bradshawowi wszystko, co nam wiadomo o jej błędach – a miała zaledwie lat szesnaście, kiedy tak sromotnie zbłądziła, co więcej, przed konsekwencjami tych błędów nie uda jej się nigdy uciec, będzie je ponosiła przez wszystkie długie lata życia, które ma przed sobą – pozwalając, by rozpacz, która się zrodzi z ujawnienia prawdy, pograżyła ją w grzechu jeszcze potworniejszym? Jaką według ciebie krzywdę mogłaby wyrządzić? Na jakie to według ciebie ryzyko narażasz dzieci pana Bradshawa? – Zamilkła, bo tchu jej zabrakło; w oczach jej lśniły łzy oburzenia, i niecierpliwiała się, by usłyszeć odpowiedź, którą gotowa była rozgromić w drobny mak.

– Nie widzę żadnego zagrożenia – rzekł nareszcie powoli, z trudnością, jak gdyby nie całkiem przekonany. – Obserwowałem Ruth i wydaje mi się, że czysta jest i prawdziwa; i już sam żal i skrucha, które odczuła – samo cierpienie, przez które przeszła – zrodziły w niej rozważną świadomość, nad wiek dojrzałą.

– Wszystko to, oraz sposób, w jaki troszczy się o swe dziecko – odparła panna Benson, radując się skrycie z tonu, jaki przybrały myśli brata.

– Ach, Faith! Oto okazuje się, że dziecko, którego niegdyś tak bardzo się obawiałaś, jest, jak widzisz, błogosławieństwem – odparł Thurstan z nikłym, spokojnym uśmiechem.

– A owszem! Za Leonarda każdy byłby co najmniej wdzięczny; lecz skąd mogłam wiedzieć, że będzie z niego taki skarb?

– Ale wracając do Ruth i pana Bradshawa. Cóżś powiedziała?

– Och! To, co czułam, rzecz jasna, byłam niezwykle rada, mogąc przyjąć ich propozycję, co od razu oznajmiłam pani Bradshaw; potem zaś powtórzyłam to samemu panu Bradshawowi, kiedy zapytał mnie, czy żona wspomniała o ich zamiarach. Rozumieli, że zanim sprawę uznać będzie można za całkowicie załatwioną, będę musiała naradzić się z tobą oraz z Ruth.

– A czy wyluszczyłaś jej całą rzecz?

– Owszem – odparła panna Benson, obawiając się trochę, iż brat uzna, że się zbyt pośpieszyła.

– I co ona na to powiedziała? – zapytał po krótkiej chwili poważnego milczenia.

– Z początku zdawała się bardzo rada i udzielił się jej mój nastrój do rozmyślania nad tym, jak rzecz całą trzeba będzie przeprowadzić; że Sally i ja zajmowałybyśmy się dzieckiem w czasie, gdy ona byłaby u pana Bradshawa; lecz niebawem zamilkła i popadła w zamyślenie, i uklękła przy mnie, i skryła twarz na moich kolanach, i delikatnie się zatrzęsała, jak gdyby od płaczu; a potem usłyszałam, jak mówi bardzo cichym, stłumionym głosem, bo głowę miała nadal pochyloną –

właściwie zupełnie zwieszoną, toteż nie widziałam jej twarzy, więc nachyliłam się, ażeby usłyszeć, a ona powiedziała: „Czy pani uważa, że mogłabym być wystarczająco dobra, by uczyć małe dziewczynki, panno Benson?” Wyrzekła to z taką pokorą i tak lękliwie, że jedyne, o czym wówczas myślałam, to jak ją rozweselić, toteż odpowiedziałam, pytając, czy nie żywi nadziei, że będzie wystarczająco dobrą, aby wychować własne kochanie na dzielnego chrześcijanina? A ona podniosła głowę i zobaczyłam, że spojrzenie ma dzikie i zażawione, i pełne żaru, i rzekła: „Z Bożą pomocą tak właśnie spróbuję wychować swe dziecko”. A wówczas ja powiedziałam: „Ruth, takie same dążenia i modlitwy, jak te, które poświęcasz własnemu dziecku, winnaś również poświęcać pielęgnowaniu dobra w Mary i Elizabeth, skoro powierzono je twojej pieczy”. A ona odparła, zupełnie wyraźnie, chociaż ponownie ukryła przede mną twarz: „Będę do tego dążyła i o to się modliła”. Nie miałbyś żadnych obaw, Thurstanie, gdybyś był słyszał i widział ją ubiegłej nocy.

– Nie mam obaw – odparł zdecydowanie. – Wprowadźmy ten plan w życie. – Po chwili zaś dodał – Ale rad jestem, że poczyniono tak dalekie ustalenia, zanim o wszystkim usłyszałem. Me niezdecydowanie odnośnie do tego, co słuszne i niesłuszne – niepewność, co do tego, jak dalece winniśmy ważyć konsekwencje... lękam się, że przybierają na sile.

– Wyglądasz na zmęczonego, kochany. W takich razach powinieneś prędzej winić swoje ciało, aniżeli umysł.

– Bardzo to niebezpieczna doktryna.

Zwój przeznaczenia został zwinięty i nie mogli przewidzieć przyszłości; a jednak, gdyby było im dane ją ujrzeć, to jakkolwiek z początku cofnęliby się lękliwie, później, rozważywszy wszystko, uśmiechnęliby się i dziękowali Bogu.

ROZDZIAŁ XIX

Pięć lat później

Spokojne dni rozrastały się do tygodni i miesiące, a nawet lat, a biegu ich nie zakłócało żadne wydarzenie, które mogłoby zbudzić ów niewielki krąg do świadomości upływu czasu. Ktoś, kto znał tych ludzi wówczas, kiedy Ruth została guwernantką w rodzinie pana Bradshawa, po czym wyjechał, aby powrócić w czasie, o którym teraz zamierzam opowiedzieć, zauważyłby pewne zmiany, jakie niepostrzeżenie dotknęły każde z nich; lecz uznałby również, iż życie, które przyniosło tak niewiele zamieszania i zmiennych kolei losu, było z pewnością spokojne i niezmacone, i toczyło się w zgodzie z dawnym, cichym rytmem miasta, w którym upływała ich egzystencja.

Zmiany, jakie by zauważył, spowodowane były naturalnym wpływem czasu. Domostwo Bensonów rozświetlała żywo obecność małego Leonarda, obecnie już nobliwego chłopca w wieku lat sześciu, dużego i okazałego zarówno pod względem długości kończyn, jak i postury, o twarzy nacechowanej urodą i inteligencją. Istotnie, wielu mogłoby go uważać za zbyt na swój wiek inteligentnego; a że mieszkał pośród dorosłych, myślących ludzi, toteż często przybierał obcy większości dzieci wyraz zadumy nad tajemnicami, które czekają młodych u progu życia, lecz które bledną, kiedy to w miarę upływu lat coraz częściej mamy styczność z tym, co praktyczne i namacalne – bledną i znikają, aż wreszcie, jak się wydaje, potrzeba wzruszeń wywołanych ogromną jakąś zawieruchą duszy, zanim ponownie zdamy sobie sprawę z istnienia rzeczy duchowych.

Lecz niekiedy Leonard zdawał się przytłoczony i oszołomiony, wsłuchując się z przejęciem, i z poważnym, zdumionym spojrzeniem, w toczącą się wokół rozmowę; innymi znów razy promieniała zeń jasna, pierwotna energia życiowa i żadne trzymiesięczne kocię, żadne źrebię, które nagle podrywa kopyta u boku statecznej matki, by rzucić się w cwał po pastwisku w czystej, szalonej ucieczce, w ogóle żadne młode stworzenie nie umiałoby okazać większej wesołości i radości serca.

„Psotom nie ma końca” – zwykła wówczas mawiać o nim Sally; lecz nie były to psoty umyślne; i sama Sally byłaby pierwsza zganiła każdego, kto użyłby tych samych słów w odniesieniu do jej kochaneczka. I rzeczywiście, pewnego razu już niemal miała wystosować takie ostrzeżenie, ponieważ zdawało jej się, że chłopcu dzieje się krzywda. Okoliczność była następująca: Leonard od pewnego już czasu okazywał osobliwy, niezrozumiały brak poszanowania względem prawdy; zmyślał historie i z tak poważną opowiadał je miną, że dopóki nie tkwił w nich jakiś wewnętrzny dowód nieścisłości (jak na przykład opis krowy w damskim kapeluszu), dopóty na ogół dawano wiarę jemu i jego opowieściom, które zachowywały wszelkie pozory historii dotyczących rzeczywistych zdarzeń, co raz czy dwa doprowadziło do niezręcznych sytuacji. Żadne z trojga opiekunów, których owa widoczna nieumiejętność odróżnienia prawdy od fałszu przyprawiała o ból serca, nie znało charakterów dziecięcych, w przeciwnym bowiem razie wiedzieliby, iż jest to etap, przez który przechodzi większość dzieci o ożywionej wyobraźni; wobec tego pewnego ranka odbyła się w gabinecie pana Bensaona narada. Była tam Ruth, milcząca, bardzo blada, z zaciśniętymi wargami, słabo jej się na sercu zrobiło, gdy usłyszała, jak panna Benson dowodzi konieczności zastosowania chłosty dla oduczenia Leonarda bajania. Pan Benson wyglądał na nieszczęśliwego i niepocieszonego. Wychowanie było dla każdego z nich jedynie szeregiem eksperymentów i każde żywiło skrytą obawę przed zepsuciem wspaniałego chłopca, który był skarbem ich serc. I być może właśnie siła miłości zrodziła pełen zniecierpliwienia, zbyt czyny

niepokój i wymogła na nich decyzję, by uciec się do surowszych środków, aniżeli te, których ośmieliliby się użyć rodzic licznej rodziny (w której miłość zataczała szersze kręgi). Tak czy owak, zwyciężyły głosy na rzecz chłosty; i nawet Ruth, drżąca i złknięta, przyznała, że należy ją przeprowadzić; zapytała jedynie potulnym, smutnym głosem, czy konieczna byłaby jej tam obecność (katem miał być pan Benson, areną zaś – gabinet); a usłyszawszy natychmiast, że nie powinna tego oglądać, poszła powoli, ospale, do swego pokoju, gdzie uklękła, zatkała uszy i jęła się modlić.

Dopiąwszy swego, panna Benson bardzo pożałowała dziecka i wstawiała się teraz o jego ułaskawienie; lecz pan Benson więcej słuchał jej argumentów, niżli obecnych apeli, i odparł jedynie: „Jeżeli to rzecz słuszna, należy ją przeprowadzić!”. Poszedł do ogrodu i z rozmysłem, jak gdyby pragnąc zyskać na czasie, wybrał i uciął małą witkę złotokapu. Następnie wrócił przez kuchnię i z powagą schwywszy strwożonego i zdziwionego chłopca za rękę, poprowadził go w milczeniu do gabinetu, a gdy postawił malca przed sobą, wszczął napominającą mowę o znaczeniu prawdomówności, a zamierzał ją zakończyć stwierdzeniem, które, jak wierzył, było morałem leżącym u podstaw wszelkiej kary: „Skoro sam o tym nie pamiętasz, zmuszony jestem zadać ci odrobinę bólu, ażebyś zapamiętał. Bardzo mi przykro, że to konieczne, i że nie umiesz być pomnym wagi prawdomówności bez kary”.

Lecz zanim doszedł do tego jakże właściwego i wskazanego stwierdzenia, gdy wciąż jeszcze ku niemu zmierzał, a serce jego ogarniała boleść na widok przerażenia chłopca wobec uroczyście smutnej twarzy oraz słów nagany, do pokoju wtargnęła Sally:

– A na cóż ci ta elegancka witka, co to widziałam, jakżeś ją ucinał, paniczku Thurstan? – zapytała, a oczy błyszczały jej w gniewie wobec odpowiedzi, która musiała nadejść, jedynej, jaką by przyjęła.

– Odejdźcie, Sally – rzekł pan Benson nierad, że na jego drodze pojawiła się nowa trudność.

– Ani się nawet krokiem nie ruszę, póki mi nie oddasz tej witki, co to ją trzymasz na ukaranie jakiej psoty, wiem, że tak jest.

– Sally! Przypomnijcie sobie, gdzie napisano, że „Nie kocha syna, kto różgi żałuje”^[52] – rzekł pan Benson surowo.

– Pamiętam, a jakże; i zdaje mi się, że pamiętam jeszcze trochę więcej, niż to, co chcesz, żebym pamiętała. To król Salomon powiedział tamte słowa, a właśnie synem króla Salomona był król Roboam, co to jednak nie był za dobry. Pamiętam, co o nim mówią w drugiej „Księdze Kronik”, rozdział dwunasty, werset czternasty: „Jednakże postępował – znaczy się król Roboam, ten chłopak, co to posmakował różgi – źle, albowiem nie skłonił swego serca, aby szukać Pana”^[53]. Nie po to każdej nocy od pięćdziesięciu lat czytam Pismo, żeby mnie teraz dysydent przyłapał, zem nie uważała! – rzekła, tryumfując. – Chodź no, Leonard – wyciągnęła doń rękę, przeświadczona o swym zwycięstwie.

Lecz Leonard się nie poruszył. Spojrzał smutno na pana Bensa.

– Chodźże! – rzekła niecierpliwie. Usta chłopca zadrżały.

– Jeżeli chce mnie wujek wychłostać, to proszę to uczynić. Jakoś to ścierpię.

Gdy sprawa została ujęta w ten sposób, pan Benson uznał wypełnienie swego zamiaru za rzecz niemożliwą; toteż powiedział chłopcu, że może odejść – że z nim pomówi innym razem. Leonard odszedł, bardziej w duchu poskromiony, niż gdyby go wychłostano. Sally przez chwilę zwlekała jeszcze. Zatrzymała się, by dodać:

– Po mojemu to ten, co bez grzechu, może rzucać kamienie w biedne dziecko i ścinać gałązki złotokapu, żeby je wychłostać. Robię tylko tak, jak robią lepsi ode mnie, kiedy wołam na matkę Leonarda „pani Denbigh”. – Gdy tylko wypowiedziała te słowa, od razu ich pożałowała; był to małostkowe podkreślenie przewagi, gdy wróg uznał się już za pokonanego. Pan Benson podniósł dłonie ku twarzy i ją w nich ukrył, i głęboko westchnął.

Leonard popędził na poszukiwania matki, jak gdyby szukał schronienia. Gdyby znalazł ją spokojną, rozplakałby się namiętnie po swym burzliwym przeżyciu; tymczasem znalazł ją klęczącą i szlochającą i stanął zupełnie nieruchomo. Potem zarzucił jej ramiona na szyję i rzekł:

– Mamusiu! mamusiu! Będę grzeczny – przyrzekam; będę mówił prawdę – przyrzekam.

I słowa dotrzymał.

Panna Benson żywiła wobec siebie urazę, ponieważ nie pozwalała się ponieść uczuciom wobec dziecka w tak dużym stopniu, w jakim czyniło to każde z pozostałych domowników; przemawiała surowo i głosiła pierwszorzędne teorie; lecz jej surowość kończyła się na mowie, teorie zaś się nie sprawdzały. Jednakowoż przeczytała kilka książek o wychowaniu, równocześnie robiąc na drutach skarpetki dla Leonarda; i zdaje mi się, że na ogół ręce jej były wówczas zajęte z większym pożytkiem, aniżeli głowa, a dobre, uczciwe serce z jeszcze większym. Wyglądała starzej niż wówczas, gdyśmy ją poznali, lecz dojrzałość, w którą wchodziła, była dorodna i łaskawa. Jej doskonały zmysł praktyczny być może czynił z niej osobę bardziej męską od brata. On bywał często tak zakłopotany problemami życiowymi, iż umykał mu przy tym czas do działania; lecz ona trzymała go w ryzach za pomocą jasnej, lapidarnej mowy, która nawracała jego błąkające się myśli ku obowiązkom, jakie spoczywały bezpośrednio przed nim, oczekując działania; a wówczas przypominał sobie, że wiara nakazuje „upokorzyć się przed Bogiem”^[54] i Jemu powierzyć rozwiązanie, bo tylko On wie, dlaczego na świecie istnieje Zło i z jakiej przyczyny nieustannie krąży nad Dobrem. Pod tym względem panna Benson miała w sobie więcej wiary, niż brat – tak przynajmniej się zdawało; bo wszystkim, czego potrzebowała, był prędko, zdecydowany krok ku kolejnemu rozdziałowi życia, podczas gdy on rozmyślał i drżał, i często w wyniku tego rozmyślania błędził, chociaż pierwsza myśl byłaby go poprowadziła w słusznym kierunku.

Lecz panna Benson, nie mniej zdecydowana i stanowcza niż dawniej, postarzała się od owego letniego popołudnia, kiedy to wysiadła z dyliżansu u stop długiego walijskiego wzgórza, prowadzącego do Llan-dhu, gdzie brat czekał na nią, ażeby zasięgnąć rady w sprawie Ruth. Aczkolwiek spojrzenie miała równie jasne i bezpośrednie, jak niegdyś, równie bystre i śmiałe, to włosy jej nabrały niemal śnieżnobiałej barwy; i właśnie w tej sprawie postanowiła poradzić się Sally wkrótce po ostatnim kłamstwie Leonarda. Pewnego ranka sprzątały razem pokój panny Benson, która, odkurzywszy zwierciadło, przerwała nagle dalsze czynności, a przyjrząwszy się sobie z bliska, zaskoczyła Sally taką przemową:

– Sally! Wyglądam o wiele starzej, niż dawniej!

Sally, pochłonięta swym wywodem na temat wzrostu cen mąki, uznała uwagę panny Benson za dziwacznie nieistotną wobec poruszanej kwestii i odniosła się do niej jedynie słowami:

– A pewnie! Chyba jak każdy z nas. Ale kazać człękowi płacić dwa szylingi sześć pensów za tuzin, to za drogo.

Panna Benson oddawała się dalszym oględzinom własnego odbicia, Sally zaś zagadnieniom dotyczącym gospodarności.

– Sally! – rzekła panna Benson – włosy mam prawie zupełnie białe. Kiedy ostatnim razem zajrzałam do lustra, były tylko szpakowate. Cóż z tym zrobić?

– Zrobić... jakże to, że niby coś takiego, co to by dziewczucha zdobyła? – zapytała Sally z pogardą. – Przecie w tym wieku nie dasz się chyba naciągnąć na barwidła do włosów i podobne szychy, na jakie naciągają się tylko młode dziewczyny, co to im się zęby mądrości jeszcze nie powyrzynały.

– I które najprawdopodobniej wcale ich nie pragną – odparła cicho panna Benson. – Nie! Ale powiem wam, Sally, że to wielka niezręczność, gdy się ma tak siwe włosy, a czuje się tak młodo. Czy wy wiecie, Sally, że kiedy słyszę żywą melodię na katarynce, to nabieram równie przemożnej ochoty, by tańczyć, jak dawniej; i równie przemożnej ochoty, by śpiewać, gdy jestem szczęśliwa – by śpiewać tak, jak to kiedyś czyniłam, Sally, wiecie jak.

– Ano, miałaś tak od dziecka – odparła Sally – a wiele razy, kiedy drzwi były zamknięte, to ja żem nie wiedziała, czy to ty w bawialni, czy wielki trzmiel w kuchni tak mamrota. Słyszałam, jakżeś wczoraj znowu to wyprawiała.

– Ale stara, siwowłosa kobieta nie powinna mieć ochoty na tańce i śpiewy – ciągnęła panna Benson.

– Co też ty za bzdury wygadujesz? – odrzekła Sally, oburzona. – Żeby się zwać starą kobietą, kiedyś ty lepiej jak dziesięć lat młodsza niż ja! A niejedna dziewczyna ma siwe włosy już

w dwudziestym piątym roku.

– Ale ja mam więcej niż dwadzieścia pięć lat, Sally. W maju skończę pięćdziesiąt siedem!

– Tym więcej żeś się powinna wstydić, że gadasz o barwieniu włosów. Nie znoszę takiej próżności!

– Ojej! Sally, czy wy kiedy zrozumiecie, o co mi chodzi? Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób winnam sobie przypominać, ile mam lat, ażeby nie czuć się tak młodo? Dopiero co przeżyłam niemałe zaskoczenie na widok swych włosów w lustrze, na ogół bowiem wystarczy, że dotknę czepka, by wiedzieć, czy leży prosto. Powiem wam, co zrobię – utnę sobie kosmyk siwych włosów i uplotę z niego zakładkę do Biblii! – Panna Benson spodziewała się aprobaty dla swego błyskotliwego pomysłu, tymczasem Sally odparła tylko:

– A zaraz potem zaczniesz sobie malować policzki, skoro żeś już pomyślała o barwieniu włosów. – Toteż panna Benson zaplotła siwy kosmyk w ciszy i milczeniu, Leonard trzymał jeden jego koniec, gdy plotła, podziwiając nieustannie ich kolor i fakturę z pewnego rodzaju niewypowiedzianym niezadowoleniem z koloru swych kasztanowych kędziurów, i tylko na wpeł pocieszony otrzymaną od panny Benson wiadomością, że jeżeli żył będzie odpowiednio długo, to jego włosy staną się takie jak jej.

Powierzchność pana Bensona, który wyglądał staro i wężło wówczas, gdy młody był jeszcze, pozostawała niezmienną. Lecz w głosie jego i zachowaniu była większa jakaś nerwowość, niż dawniej, lecz była to jedyna zmiana, jaką wymogło na nim owych sześć lat. Jeżeli zaś chodzi o Sally, to zdecydowała się ona całkowicie zapomnieć o wieku oraz upływie lat i miała w sobie tyle roboty, by użyć jej własnego wyrażenia, ile w wieku lat szesnastu; również jej wygląd nie poddał się zbyt uptywowi czasu. Mogła mieć pięćdziesiąt, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat – nie więcej, niż ostatnia z liczb, nie mniej, niż pierwsza – jakkolwiek zwyczajową odpowiedzią, jakiej udzielała na zawołane pytanie o wiek, było teraz (od wielu już lat): „Stracham się, że trzydziestki już więcej oglądać nie będę”.

A teraz słów kilka o domu. Nie był to dom z rodzaju tych, w których meble w salonach wymieniane są co dwa lub trzy lata; obecnie (odkąd przygarnięto Ruth) nie było to nawet miejsce, w którym, jeśli przedmiot niszczał, czy też się zużywał, kupowano nowy. Meble wyglądały ubogo, dywany zaś były niemal wytarte; lecz dokoła panował tak elegancki duch czystości, tak doskonale schludnie wszystko reperowano, a pokoje wyglądały tak jasno i wesoło – wszystko było tak uczciwe – bez jakichkolwiek wybiegów na rzecz ukrycia ubóstwa pod marną ozdobą – że niejedną wspaniały, okazały salon nie byłby źródłem równie dużej przyjemności dla tych, którzy potrafią dostrzec dowody charakteru w przedmiotach nieożywionych. Lecz nawet jeśli w domu panowało ubóstwo, to w niewielkim, otoczonym murem kwadratowym ogródku, na który wyglądały okna bawialni oraz kuchni, była bujna obfitość roślinności. Krzew złotokapu, który był jak wetknięta w ziemię gałązka, kiedy przyjechała Ruth, teraz na wiosnę złocił się wspaniale, latem zaś dawał przyjemny cień. Dziki chmiel, który pan Benson przyniósł do domu z jednej ze swych wiejskich wędrowek, zasadzony przy bawialnianym oknie, kiedy Leonard był jeszcze niemowlęciem w ramionach matki, tworzył obecnie nad oknem girlandę, zwieszającą się długimi wiciami, które falowały na lekkim wietrze i „rankiem bądź w zmięczeniu godzinę” rzucały na ściany bawialni przyjemne cienie oraz szlaczki, przywodzące na myśl jakieś rzeźby poświęcone Dionizosowi^[55]. Żółta róża wspięła się pod okno sypialni pana Bensona, a jej obciążone kwieciami gałęzie znalazły oparcie na gruszy, która jesienią obradzała bogactwem owoców.

Lecz być może to w samej Ruth zaszła największa zewnętrzna zmiana; bo zmiany, która zaistniała w jej sercu i umyśle, i duszy, jeżeli istotnie takowa zaistniała, nie zauważyła ani ona, ani nikt z jej otoczenia; lecz niekiedy panna Benson mawiała do Sally: „Na jakże urodziwą wyrosła Ruth!”. Na co Sally odpowiadała niemile: „Owszem! Jest niezgorsza. Uroda jest podstępna, a względy to sidła, toteż ja wdzięczna Panu jestem, że mi oszczędził takich potrzasków i pułapek”. Lecz nawet Sally nie umiała zaradzić temu, że w skrytości podziwiała Ruth. O ile znikła już z twarzy dziewczyny wczesnomłodzieńcza żywość kolorów, o tyle czysta, jedwabiście gładka cera o barwie kości słoniowej świadczyła o pełni doskonałego zdrowia i była równie urodziwa, choć może nie tak uderzająca w swym pięknie, jak dawne lilie czy róże. Włosy nabrały teraz

ciemniejszej, głębszej barwy, która igrała w gęstych falach; oczy jej, jakkolwiek można by zgadnąć, że w swoim czasie uroniły niejedną gorzką łzę, miały obecnie zamyślony, uduchowiony wyraz, który sprawiał, że ich głębia budziła zdumienie i kazała się w nie wpatrywać – i wpatrywać znowu. Godność, jakiej nabrał wyraz jej twarzy, udzieliła się również całej postaci. Nie wiem, czy urosła jeszcze po urodzeniu dziecka, ale zdawało się, że owszem. I chociaż mieszkała w bardzo skromnym domu, było w niej, albo w nim, czy też może w ludziach, wśród których znajdowała się przez ostatnich kilka lat, coś, co tak ogromnie ją odmieniło, że jakkolwiek sześć czy siedem lat temu można było zauważyć, iż nie była damą z urodzenia ani z wychowania, o tyle obecnie, gdyby umieścić ją pośród najwyższych osób w kraju, to nawet najbardziej krytyczny znawca wziąłby ją za im równą, choć nieznaną obowiązujących w ich sferze konwenansów – a była to niewiedza, do której by się przyznała w prosty, dziecięcy sposób, bo obce jej było poczucie fałszywego wstydu.

Całe swe serce oddała synkowi. Często obawiała się, iż kocha go zbyt mocno – bardziej niż samego Boga – lecz nie zniosłaby modlitw o zmniejszenie swej miłości do dziecka. Ale klękała nocą przy jego łóżeczku – o północy, spokojnej i cichej – kiedy jaśniały nad nią te same gwiazdy, które niegdyś strzegły Rispy^[56], i mówiła Bogu to samo, co ja powiedziałam Czytelnikowi: że lękała się, iż zbyt mocno kocha swe dziecko, lecz nie mogłaby i nie chciała kochać go mniej; a opowiadała Mu o swym skarbie jedynym tak, jak nigdy nie potrafiłaby opowiedzieć żadnemu ziemskiemu przyjacielowi. Tak oto nieświadomie miłość do dziecka wywołała w niej miłość do Boga – Wszzechwiedzącego, który czytał w jej sercu.

Być może był to zabobon – ośmielę się rzec, że tak było – lecz Ruth nigdy nie kładła się na spoczynek, nie rzekłszy, gdy po raz ostatni spoglądała na syna, tych słów: „Nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie”^[57] i mimo że drżała i wzdrygała się w bezmiernym lęku, jaki odczuwała na myśl o tym, co mogła kryć w sobie owa wola, to czuła również, że jej skarb tym pewniej zbudzi się rankiem różany i rzeński, ponieważ nad jego spoczynkiem czuwały święte anioły Boga, dzięki tym właśnie słowom, których urzeczywistnienie jeszcze ubiegłej nocy napawało ją tak przemożnym lękiem.

Codzienna nieobecność w domu, wynikająca z wypełniania powinności względem dzieci Bradshawów, tylko służyła jeszcze jej miłości do Leonarda. Wszystko służy miłości, jeżeli jej fundament kryje się głęboko w szczerym sercu, toteż z rozkosznym ukluciem radości, jakiego doznawała, gdy po chwili nieuchwytniej obawy...

O Boże! – rzekłem w duchu, skrycie.

A gdyby Lucy straciła życie!^[58]

dostrzegała pogodną twarzyczkę dziecka, które każdego popołudnia, kiedy wracała do domu, otwierało szeroko drzwi na powitanie. Przeznaczonym mu w milczeniu zadaniem było bowiem nasłuchiwać pukania i biec co tchu, ażeby otworzyć jej drzwi. Jeżeli akurat był w ogrodzie, czy też na poddaszu, w pełnej skarbów graciarni, to albo panna Benson, albo jej brat, lub też Sally, sprowadzała go, by wykonał swe radosne zadanie; nikt bardziej od niego nie poświęcał się przypisanemu sobie obowiązkowi. A radosnego spotkania nie tłumił obyczaj ani w matce, ani też w dziecku.

Bradshawowie byli w najwyższej mierze zadowoleni z Ruth, o czym pan Bradshaw często wspominał zarówno jej, jak i Bensonom; jego napuszone wyrazy aprobaty w istocie sprawiały raczej, że krzywiła się z grymasem zażenowania. Lecz jego ulubioną rozrywką było roztaczanie protekcji; a widząc, jak cicho i potulnie pan Benson przyjmował prezenty i pochwały tam, gdzie szczerze, życzliwe słowo albo niemy dowód uznania równości byłyby więcej warte, niż wszystko inne, Ruth podejmowała starania, by być bardziej potulną duchem i by odnaleźć dobro, które niewątpliwie istniało w panu Bradshawie. Był bogatszy i wiodło mu się lepiej niż kiedykolwiek; przenikliwy, dalekowzroczny człowiek interesów, żywiący nieskrywaną pogardę wobec wszystkich, którzy ponieśli porażkę tam, gdzie jemu się powiodło. Lecz nie tylko wobec tych, którzy mieli mniej niż on szczęścia w zdobywaniu bogactw, był tak srogim sędzią; każda przewina czy błąd względem moralności poddawane były jego bezlitosnej ocenie. Sam nieskalany żadnym występkiem, ani we własnych oczach, ani w oczach któregośkolwiek z ludzi, którzy mogliby go

poddać osądowi, ładnie i mądrze rozdzielił i dostosował swe środki do osiągnięcia zamierzonych celów, toteż wolno mu było przemawiać i działać z surowością, która była nieomal świętoszkowata w przesadnym okazywaniu wdzięczności wobec samego siebie. Nie było na świecie takiego nieszczęścia czy grzechu, którego przyczyny nie potrafiłby pan Bradshaw doszukać się w dawniejszym jakimś czynie, dawno już przezeń napiętnowanym jako ten, co doprowadzi do zguby. Jeżeli czyjś syn wyrósł na niesformego lub złego, pan Bradshaw niewiele miał dlań współczucia; można było temu zapobiec, wprowadzając ostrzejszą dyscyplinę, czy też prowadząc w domu życie zgodniejsze z duchem wiary; młody Richard Bradshaw był cichy i zrównoważony, a pozostali ojcowie mogli mieć synów jemu podobnych, gdyby podjęli tyleż samo trudu, aby wymóc posłuszeństwo. Richard był jedynym synem, a mimo to pan Bradshaw mógł zaryzykować stwierdzenie, iż ani razu nie było synowi wolno postąpić tak jak pragnął. Pani Bradshaw nie była, jak wyznał (pan Bradshaw bowiem nie uważał, iż wyznawanie win swej żony jest rzeczą nieprzyjemną), tak nieugięta wobec córek, jak by tego pragnął; podejrzewał również, iż wobec niektórych Jemima bywała dość uparta; lecz względem jego życzeń zawsze okazywała się posłuszną. Wszystkie dzieci były posłuszne, jeżeli ich rodzice byli zdecydowani i stanowczy; a każde wyrośnie na ludzi, jeżeli nim dobrze pokierować. Jeżeli nie okażą się dobre, muszą ponieść konsekwencje swoich błędów.

Pani Bradshaw szemrała cicho przeciw mężowi za jego plecami; lecz jeśli rozlegał się jego głos lub w oddali słyhać było odgłos jego kroków, cichła i ponaglała dzieci, by przyjęły pozę, czy też podjęły działanie, które będzie najmilsze ich ojcu. Jemima, co prawda, buntowała się przeciw takiemu postępowaniu, pachniało jej ono bowiem cokolwiek kłamstwem; lecz nawet ona dotąd jeszcze nie wyzbyła się poczucia trwogi, jaką wzbudzał w niej ojciec, na tyle ażeby działać niezależnie od niego i zgodnie z własnym poczuciem tego, co słuszne – czy raczej, należałoby rzec, zgodnie z głosem swych gorących, namiętnych impulsów. Samowola, która sprawiała, że w jej ciemnych oczach pojawiał się niekiedy płomień, wobec ojca była tłamszona i uciszana; nie miał pojęcia o jej samoudręczeniu, nie wyobrażał sobie, że tli się w niej południowa niemal zazdrość, która zdawała się odpowiadać jej karnacji brunetki. Jemima nie była ładna; miała płaską i krótką twarz, przez co uchodziła za nieomal brzydką; a jednak wzrok większości obserwatorów przykuwało jej pełne wyrazu oblicze, oczy, które płonęły bądź topniały przy każdej blahostce, głęboki kolor, jaki pojawiał się na jej zwykle bladym licu zawsze, gdy dawała wyraz swym uczuciom, doskonale zęby, które upodabniały jej uśmiech do słonecznej promienności. A jednak kiedy poczuła, że traktowana jest w sposób nieuprzejmy, kiedy zaświtała jej w głowie podejrzliwość albo gdy była zła na siebie, usta jej się ciasno zaciskały, twarz bladła i niemal siniała, oczy zaś zaćmiewała burzowa pośepność. Lecz wobec ojca mówiła niewiele, a on nie zważał na spojrzenia, ani na ton.

Brat jej, Richard, był wobec ojca równie milczący w chłopięctwie i we wczesnej młodości; lecz odkąd wyjechał, aby podjąć pracę kancelisty w londyńskiej kancelarii, i zdobyć w ten sposób przygotowanie potrzebne do objęcia stanowiska młodszego wspólnika w przedsiębiorstwie pana Bradshawa, częściej się odzywał podczas swych sporadycznych wizyt w domu. A były to wypowiedzi bardzo poprawne i wysoce obyczajne; utarte frazesy o dobroci, przypominające kwiaty, które dzieci wtykają w ziemię, a które nie wyrosły z korzeni – głęboko w skrytości życia i doświadczeń serca. Był równie jak ojciec surowym sędzią postępowania bliźnich, lecz czuło się, że pan Bradshaw był szczerzy w swym potępieniu wszelkich jawnych błędów i występków i że mierzył siebie tą samą miarą praw, którą mierzył innych; tymczasem słów Richarda wysłuchiowano często z cichym niedowierzaniem, a wielu potrzasało głowami nad tym wzorowym synem; lecz byli to ci, których synowie pobłądzili i zostali przez pana Bradshawa potępieni, bynajmniej nie w sposób skryty ani delikatny, być może zatem kierowała nimi żądza zemsty. Niemniej Jemima czuła, że to nie jest słuszne; serce jej łączyło się z nim w buncie przeciwko rozkazom ojca, o których opowiedział jej brat w niezwykłej chwili zwierzeń, lecz jej niespokojne sumienie potępiło oszustwo, którego się dopuścił.

Brat i siostra siedzieli sami przy oślepiającym bożonarodzeniowym ogniu, i Jemima trzymała w ręku starą gazetę, osłaniając twarz przed gorącym blaskiem. Rozmawiali o sprawach

rodziny, kiedy podczas pewnej chwili milczenia oczy Jemimy pochwyliły nazwisko wielkiego aktora, który ostatnio tchnął życie i znaczenie w postaci z jednej ze sztuk szekspirowskich. Recenzja w gazecie była doskonała, od czego zrobiło się Jemimie ciepło na sercu.

– Jakże bym chciała zobaczyć przedstawienie! – wykrzyknęła.

– Chciałabyś? – zapytał brat obojętnie.

– Tak, oczywiście! Posłuchaj tylko! – i zaczęła czytać piękny ustęp z recenzji.

– Ludzie z gazety ze wszystkiego zrobią artykuł – oznajmił, ziewając. – Widziałem tego człowieka na własne oczy i rzeczywiście, spisał się ładnie, ale nie było to coś, o co warto robić tyle zamieszania.

– Ach! Widziałeś go! Widziałeś przedstawienie, Richardzie? Och, dlaczegoś mi nigdy o tym nie powiedział? Mów wszystko! Dlaczego nigdy nie wspomniałeś w listach, że go widziałeś?

Na wpeł się uśmiechnął, dość pogardliwie.

– O, z początku jest to dość oszalamiające, ale wkrótce człowiek dba o teatr nie więcej, niż o bakaliową babeczkę.

– Och, jakże bym chciała móc udać się do Londynu! – rzekła Jemima niecierpliwie. – Mam ochotę poprosić ojczulka, aby pozwolił mi pójść do państwa George'ów Smithów, a wówczas mogłabym zobaczyć go w przedstawieniu. Nie porównałabym go do bakaliowych babeczek.

– Nie wolno ci zrobić niczego podobnego! – odparł Richard, a nie towarzyszyło temu ani ziewanie, ani pogarda. – Ojciec nigdy by ci nie pozwolił pójść do teatru; a Smithowie to takie stare pierniki – z pewnością by się wygadali.

– Jak wobec tego ty chadzasz do teatru? Czy ojciec ci pozwala?

– Och! Mężczyznom przystoi wiele rzeczy, których nie przystoi robić dziewczynom.

Jemima siedziała i rozmyślała. Richard żałował, że się jej zwierzył.

– Nie musisz mu o tym wspominać – rzekł, niejako zaniepokojony.

– Wspominać o czym? – zapytała zaskoczona, ponieważ myślami była bardzo daleko.

– Ach, wspominać o tym, że raz czy dwa byłem w teatrze!

– Nie, nie wspomnę o tym! – odparła. – Nikt w tym domu nie chciałby o tym słyszeć.

Lecz z pewnym zaskoczeniem i z uczuciem bliskim obrzydzeniu słuchała, jak Richard wtóruje ojcu w potępianiu jakiegoś człowieka, i dopisuje kolejną przewinę do ojcowskiej listy, utrzymując, iż ów młody człowiek chadzał do teatru. Nie podejrzewał, że siostra usłyszy to, co mówił.

Mary i Elizabeth to dwie dziewczynki, nad którymi sprawowała pieczę Ruth; pod względem usposobienia przypominały więcej Jemimę, aniżeli brata. Niekiedy łagodzone na ich rzecz zasady rządzące domem, ponieważ starsza z dziewczynek, Mary, była blisko osiem lat młodsza od Jemimy, a troje dzieci, które się między nimi urodziły, zmarło. Dziewczynki serdecznie kochały Ruth, Leonarda uczyniły swym drogim pupilem i dzieliły ze sobą wiele głębokich tajemnic, spośród których większość dotyczyła kwestii, czy Jemima i pan Farquhar kiedykolwiek się pobiorą. Baczenie obserwowały siostrę; i codziennie zdobywały jakiś świeży dowód, który potwierdzał bądź przeczył ich nadziejom.

Ruth wstawiała wcześniej i do siódmej wypełniała domowe obowiązki wraz z Sally oraz panną Benson; następnie pomagała Leonardowi się ubrać i spędzała z nim spokojne chwile na modlitwie oraz przy śniadaniu. O dziewiątej oczekiwano jej w domu pana Bradshawa. Siadywała w pokoju z Mary i Elizabeth podczas lekcji łaciny, pisania i arytmetyki, których udzielali dziewczynkom nauczyciele, następnie im czytała i z nimi spacerowała, a lgnęły do niej niczym do starszej siostry; zasiadała ze swymi uczennicami do wczesnego rodzinnego obiadu, a do domu wracała na czwartą. A był to szczęśliwy dom – a były to spokojne dni!

I tak, spokojne dni przechodziły w tygodnie i miesiące, i lata, a Ruth oraz Leonard rośli i nabierali sił, rozkwitając coraz bardziej urodą odpowiednią dla swego wieku; tymczasem, jak dotąd, ręka zniszczenia nie tknęła jeszcze żadnego spośród osobliwych, prostych, starszych mieszkańców tego domostwa.

ROZDZIAŁ XX

Jemima nie pozwala sobą kierować

Nie było rzeczą dziwną, że obserwatorów frapował stan rzeczy pomiędzy Jemimą a panem Farquharem, ponieważ oni sami okrutnie łamali sobie głowy nad charakterem wzajemnych stosunków. Czy to była miłość, czy też nie? – takie pytanie zaprzętało umysł pana Farquhara. Miał nadzieję, że nie; a jednak czuł, że nią była. Pomyślał, iż było coś niedorzecznego w tym, że mężczyzna blisko czterdziestoletni miałby się zakochać w dwudziestoletniej dziewczynie. Przez cały swój wiek męski przyświecała mu idea statecznej żony o wzniosłym umyśle, poważnej i opanowanej, odpowiedniej towarzyszki dzielącej z mężem doświadczenia. Wypowiadał się z podziwem o małomównych naturach, pełnych powściągliwości i godności; i żywił nadzieję – wierzył, że przez cały ten czas nie pozwalał sobie nieświadomie zakochać się w zapalczywej dziewczynie o żywiołowym sercu, która nie znała innego życia, niż to, jakie wiodła w domu ojca, i którą drażniła narzucona tam surowa dyscyplina. Dość podejrzaną oznaką stanu uczuć pana Farquhara było bowiem to, iż odkrył ów niemy, niedostrzeżony przez żadnego z krewnych Jemimy bunt, jaki toczył się w jej sercu przeciwko surowym prawom i przekonaniom ojca. Pan Farquhar podzielał te przekonania; lecz w jego przypadku były one nieco odmienne i przybrały łagodniejszą formę. Niemniej aprobował wiele z tego, co pan Bradshaw mówił i czynił; tym bardziej dziwił się zatem, iż tak silnie współczuł Jemimie za każdym razem, kiedy miało miejsce coś, co, jak czuł instynktownie, nie spodobałoby się jej. Po wieczorze spędzonym u pana Bradshawa, gdy Jemima posunęła się na sam skraj podważania, czy też sporu z pewnymi surowymi osądami ojca, pan Farquhar poszedł do domu niezadowolony, niespokojny i prawie lękał się poddać pod rozwagę znaczenie tych uczuć. Podziwiał nieugiętą rzetelność oraz nieledwie przepych zasad, jakie ujawniał pan Bradshaw przy każdej okazji; zastanawiał się, jak to możliwe, iż Jemima nie dostrzegała tego, jak wspaniale mogłoby być życie, w którym kształt wszelkiemu działaniu nadawały reguły jakiegoś przedwiecznego prawa; obawiał się, iż zamiast tego ona buntowała się przeciwko każdemu prawu, a kierowała się impulsem jedynie. Pana Farquhara nauczono, że trzeba lękać się impulsów, bo to podszepty diabła. Jeżeli próbował niekiedy przedstawić jej poglądy ojca w innym ujęciu, tak aby dojść wraz z nią do częściowego chociaż porozumienia, którego pragnął, ona wobec różnicy zdań wybuchała z oburzenia, jakiego nie ośmielała się okazać wobec ojca, jak gdyby posiadała boski jakiś instynkt, który pozwalał jej dostrzegać prawdę lepiej aniżeli im, przy całym ich doświadczeniu; z początku przynajmniej było w jej zachowaniu coś dobrego i delikatnego; lecz sprzeciw przyprawiał ją o gniew i rozdrażnienie, a sprzeczki, które nieustannie prowokował (gdy tylko przebywał z nią pod nieobecność jej ojca), wielokrotnie kończyły się jakimś przejawem gwałtowności z jej strony, urażającym pana Farquhara, który nie wiedział, iż potem odpokutowywała tę złość, płacząc i czyniąc sobie wyrzuty w samotni swego pokoju. Wówczas on ganił się okrutnie za zainteresowanie, które mimowolnie pokładał w upartej dziewczynie; postanawiał na przyszłość nie podważać jej przekonań, tymczasem już przy najbliższej różnicy zdań ponownie usiłował przekonać ją do tego, by się z nim zgodziła, pomimo wszystkich swych wcześniejszych postanowień, że czynił tego nie będzie.

Pan Bradshaw dostrzegł, że Jemima wzbudziła w umyśle współnika zainteresowanie na tyle wyraźnie, ażeby uznać przyszły ich związek małżeński za sprawę rozstrzygniętą. Już dawno uderzyło go to, jakże odpowiednia byłaby to rzecz; współnik jej ojca... a zatem majątek, który ojciec zamierzał dać córce, mógłby dalej przyczyniać się do rozwoju interesów; człowiek o tak statecznym charakterze i tak pierwszorzędnym oku do pożądanых spekulacji jak pan Farquhar...

w wieku najodpowiedniejszym do tego, aby żywić uczucia ojcowskie i małżeńskie zarazem, był zatem najodpowiedniejszym mężczyzną dla Jemimy, mającej w sobie krnąbrność, która mogłaby dojść do głosu, gdyby krępował ją reżim mniej roztropnie dostosowany do okoliczności, niż ten wcielony przez pana Bradshawa (w jego własnym mniemaniu)... dom już umeblowany, w dogodnej odległości od jej domu rodzinnego... żadnych bliskich krewnych ze strony pana Farquhara, którzy mogliby być skłonni uznać jego posiadłość za własną na czas nieokreślony, tym samym przysparzając dodatkowych wydatków – krótko rzecz ujmując, co byłoby bardziej odpowiednim pod każdym względem? Pan Bradshaw szanował powściągliwość, którą, jak mniemał, dostrzegł w zachowaniu pana Farquhara, przypisując ją mądrym pragnieniu, aby zaczekać, aż okoliczności dobijania targu staną się spokojniejsze, a wówczas człowiek interesów będzie mógł nieśpiesznie przeobrazić się w kochanka.

Jeżeli zaś idzie o Jemimę, to myślała ona niekiedy, że prawie nienawidzi pana Farquhara.

„Jakież on ma prawo – myślała – mnie pouczać? Często ledwie znieść mogę, gdy mnie ojczulek poucza, toteż z jego strony takich zachowań znosić nie zamierzam. Traktuje mnie zupełnie jak dziecko i tak, jak gdybym miała porzucić obecne poglądy, kiedy już będę więcej wiedziała o świecie. Z pewnością nie zapragnęłabym nigdy poznać świata, jeżeli przez to miałabym później myśleć tak, jak ów trudny człowiek! Ciekawam, co sprawiło, że ponownie przyjął Jema Browna na ogrodnika, skoro nie wierzy, że więcej niż jeden przestępca na tysiąc powraca do prawego życia. Pewnego dnia go zapytam, czy to nie było działanie pod wpływem nie tyle zasad, co impulsu. Biedny impulsie! Jakżeś nadużywany. Lecz ja powiem panu Farquharowi, że nie pozwolę, ażeby mieszał się w moje sprawy. Jeżeli robię to, o co prosi ojczulek, to nikt nie ma prawa zauważać, czy czynię to z ochotą, czy też nie”.

Toteż spróbowała wówczas przeciwstawić się panu Farquharowi, czyniąc i mówiąc to, o czym wiedziała, że spotka się z jego dezaprobatą. Posunęła się tak daleko, że poważnie go to zasmuciło i nawet nie upominał jej ani nie „pouczał”, a wówczas poczuła zawód i rozdrażnienie; ponieważ jakimś sposobem, pomimo całego oburzenia spowodowanego jego wtrącaniem się, lubiła być przezeń pouczana; nie zdawała sobie sprawy z tego upodobania, a jednak przyjemniej było być strofowaną, aniżeli pomijaną w milczeniu. Jej dwie młodsze siostry o szeroko otwartych oczach już dawno poskładały wszystko w całość i jeły snuć przypuszczenia. Codziennie dzieliły jakąś nową tajemnicę, którą omawiały podczas spacerów po ogrodzie i szeptem prowadzonych rozmów.

– Lizzie, czy widziałaś, jak Mimie łzy napłynęły do oczu, kiedy pan Farquhar wyglądał na bardzo niezadowolonego, gdy powiedziała, że dobrzy ludzie są zawsze nudni? Myślę, że się zakochała. – Mary wymówiła ostatnie słowa z poważnym naciskiem i poczuła się jak dwunastoletnia wieszczka.

– A ja nie – odparła Lizzie. – Sama często płaczę, kiedy ojczulek jest zły, a przecież nie jestem w nim zakochana.

– To prawda! Ale nie wyglądasz tak, jak wtedy Mimie.

– Nie nazywaj jej Mimie – wiesz, że ojczulek tego nie lubi.

– Tak; ale ojczulek nie lubi tak wielu rzeczy, że nie umiem nawet ich wszystkich spamiętać.

Mniejsza o to; ale posłuchaj, co ci mam do powiedzenia, jeżeli nigdy, przenigdy nikomu nie powiesz.

– Nie, Mary, przecież nie powiem. O co chodzi?

– Pani Denbigh też nie?

– Nie, nie powiem nawet pani Denbigh.

– W więc, parę dni temu, w ubiegły piątek, Mimie...

– Jemima! – przerwała bardziej skrupulatna Elizabeth.

– Jemima, jeżeli już tak być musi – rzuciła Mary – wysłała mnie do swego sekretarzyka po kopertę i wiesz, co zobaczyłam?

– Co? – zapytała Elizabeth, spodziewając się co najmniej namiętnej karty na dzień św.

Walentego, podpisanej: *Walter Farquhar, w imieniu firmy Bradshaw, Farquhar i s-ka*, nie inaczej.

– Otóż kawałek papieru, wypełniony nudnymi linijkami, zupełnie jak naukowe dialogi; i wszystko mi się przypomniało. To było wtedy, gdy pan Farquhar opowiadał nam, że kula nie leci

po linii prostej, tylko zakrzywionej, czy jakoś tak, i nakreślił kilka linii na kartce papieru; a Mimie...

– Jemima – wtrąciła Elizabeth.

– Dobrze, dobrze! Ona ją schowała, a w narożniku napisała: „W. F., 3 kwietnia”. No więc, to brzmi raczej jak miłość, nieprawdaż? Bo Jemima nie cierpi pożytecznych wiadomości zupełnie tak samo jak ja, a to już wiele mówi; a jednak zachowała tę kartkę, i jeszcze opatrzyła datą.

– Jeżeli to wszystko, to ja wiem, że Dick ma kartkę, na której jest napisane nazwisko panny Benson, a przecież się w niej nie kocha; a może również być tak, że Jemima może lubi pana Farquhara, a on może jej nie lubi. Zdaje się, jakby dopiero niedawno zaczęła upinać włosy, a on, odkąd sięgam pamięcią, był zawsze poważnym panem w średnim wieku; a poza tym, czyś nie zauważyła, jak on często wytyka jej błędy – jak ją niemal poucza?

– Oczywiście – odparła Mary – ale on mimo to może ją kochać. Pomyśl tylko, jak często ojczulek poucza mamusię, a przecież jednak się kochają, rzecz jasna.

– No cóż! Zobaczmy – odrzekła Elizabeth.

Biedna Jemima nie domyślała się nawet, że czworo bystrych oczu obserwowało ją każdego dnia, gdy siadywała w swym pokoju, mniemając, że jest sam na sam ze swoją tajemnicą. Bo w namiętnym przypiływie ubolewania nad swym niecierpliwym, popędliwym usposobieniem, przez które wprawiła pana Farquhara w tak poważne rozdrażnienie, że odszedł, nie napomniawszy jej, pożegnawszy się chłodnym z ukłonem zaledwie, jęła podejrzewać, iż bardziej, niż być przezeń zupełnie niezauważaną, bardziej, niż być przezeń traktowaną z obojętnością – och! o wiele bardziej byłaby wolała być przedmiotem gniewu i nagany; a myśli, które pojawiły się po tym złożonym sobie samej wyznaniu, oszołomiły ją i wprawiły w zdumienie; i chociaż nadzieja, jaką w niej wzbudziły, przyprawiała o zawrót głowy, to z mocą dziesięciokrotnie większą powodowały, że słabo jej się robiło ze strachu. Powzięła chwilowo zamiar, ażeby stać się i być wszystkim tym, co zaspokajałoby jego życzenia w kwestii charakteru; dla niego zmienić swoją naturę. A wtedy poczuła gwałtowny przyływ dumy i zacisnęła mocno zęby, i zdecydowała, że albo on pokocha ją taką, jaką jest, albo wcale. Jeżeli nie zechce jej przyjąć ze wszystkimi wadami, to ona nie dba o jego poważanie; „miłość” to miano zbyt szlachetne, by nazywać nim owo zimne, wyrachowane uczucie, którym on z pewnością się kieruje, skoro krąży po świecie z określonym wzorcem ideału w pamięci, usiłując znaleźć żonę, która będzie do niego pasowała. Poza tym Jemima uznała, iż było coś poniżającego w podejmowaniu wysiłku, aby siebie zmienić po to, by zdobyć miłość któregośkolwiek z ludzi. A mimo to, jeżeli on o nią nie dbał, jeżeli owa obojętność, z jaką ostatnio ją traktował, miałyby się utrzymywać, to jakże gęstym cieniem spowite byłoby jej życie! Czyż mogłaby to znieść?

Z udręki, której nie śmiała stawić czoła, a której doświadczenie zamierzała zaryzykować, wyrwało ją nadejście matki.

– Jemimo! Ojciec chce z tobą pomówić w jadalni.

– Dlaczego? – zapytała dziewczyna.

– Och, zaniepokoiło go coś, co powiedział mi pan Farquhar, a co ja powtórzyłam.

Z pewnością uznałam, że to nic groźnego, a twój ojciec zawsze życzy sobie, abym mu przekazywała wszystko, o czym się rozmawia podczas jego nieobecności.

Jemima z ciężkim sercem udała się do ojca.

Chodził po pokoju i nie zauważył jej zrazu.

– Och, Jemimo! Czy to ty? Czy matka powiedziała ci, o czym chcę z tobą pomówić?

– Nie! – odparła Jemima. – Niezupełnie.

– Mówiła coś, co dowodzi chyba, jak głęboko rozdrażniłaś i uraziłaś pana Farquhara, o czym jej opowiedział, kiedy opuszczał ten dom. Czy wiesz, co powiedział?

– Nie! – rzekła Jemima, a serce jej wezbrało. – On nie ma prawa niczego o mnie mówić. –

Była zrozpaczona, w przeciwnym bowiem razie nie ośmieliłaby się odezwać się tak do ojca.

– Nie ma prawa!... Co przez to rozumiesz, Jemimo? – odparł pan Bradshaw, obracając się gwałtownie. – Wszak z pewnością jest ci wiadomo, iż żywię nadzieję, że pewnego dnia on zostanie twoim mężem; ma się rozumieć, jeżeli okażesz się wartą doskonałego wychowania, jakie ci dałem.

Nie przypuszczam, by pan Farquhar zechciał pojąć za żonę jakąkolwiek niezdyscyplinowaną dziewczynę.

Jemima chwyciła się mocno krzesła, przy którym stała. Nie odzywała się; ojciec był rad z jej milczenia – lubił, kiedy wysłuchiowano jego zamierzeń w taki właśnie sposób.

– Lecz chyba nie sądzisz – ciągnął – że pan Farquhar zgodzi się ciebie poślubić...

– Zgodzi się mnie poślubić! – powtórzyła Jemima cichym tonem wzbierającego wzburzenia; czyżby to na takich warunkach zamierzano oddać jej serce, serce bogatej kobiety, z cichym przyzwoleniem przychylniej aprobaty, z uczuciem niewiele lepszym od rezygnacji ze strony przyjmującego?

– ...jeżeli będziesz dawała upust swemu temperamentowi, który, mam tego pełną świadomość, istnieje, jakkolwiek nigdy nie ośmieliłaś się ujawnić go przede mną, i mimo że miałem nadzieję, iż nawyk samokontroli, który ci wpoilem, wykurował cię dostatecznie z uzewnętrzniania jego przejawów. Był taki czas, że to Richard zapowiadał się na bardziej upartego z was dwojga; teraz zmuszony jestem życzyć sobie, ażebyś to ty wzięła przykład z niego. Tak – ciągnął, podejmując dawny wątek myśli – byłby to dla ciebie związek pod każdym względem najszcześniejszy. Mógłbym mieć cię na oku i nadal pomagać w kształtowaniu twego charakteru i byłbym blisko, aby wzmacniać i utwierdzać w tobie zasady. Związek pana Farquhara z przedsiębiorstwem byłby dla mnie praktyczny i odpowiedni z punktu widzenia pieniędzy. On... – pan Bradshaw wyliczał dalej zalety, jakie małżeństwo to przyniosłoby przede wszystkim jemu, w drugiej zaś kolejności Jemimie, gdy przemówiła jego córka, z początku tak cicho, że jej nie dosłyszał, krocząc w tę i z powrotem po pokoju w swych skrzypiących butach, toteż musiał przystanąć, aby jej posłuchać.

– Czy pan Farquhar kiedykolwiek z ojcem o tym rozmawiał? – policzki Jemimy pałały, gdy zadała to pytanie; żałowała, że nie była pierwszą osobą, do której osobiście zwrócił się w tej kwestii.

Pan Bradshaw odparł:

– Nie, nie rozmawiał. Ale myśl taka towarzyszyła nam od pewnego już czasu. Ja przynajmniej byłem na tyle świadom jego zamiarów, iż poczyniłem szereg aluzji typowych dla tego rodzaju transakcji, ażeby wiedział, iż rzecz taka mogłaby mieć miejsce. Z pewnością nie mógł zrozumieć ich opacznie; zauważył chyba, że ja dostrzegłem jego zamiar i że go popieram – oznajmił pan Bradshaw raczej powątpiewająco; pamiętał bowiem, jak niewiele w istocie wymienił był ze współnikami myśli, które mogły mieć jakikolwiek związek z tym zagadnieniem w oczach kogoś, kto nie został wcześniej przygotowany na ich przyjęcie. Być może pan Farquhar w rzeczywistości o tym nie myślał; ale wówczas wskazywałoby to na błąd w przenikliwości Bradshawa, co z pewnością nie było rzeczą niemożliwą, lecz leżało zupełnie poza wszelkim prawdopodobieństwem. Toteż, aby uspokoić zarówno samego siebie, jak i (jak mu się zdawało) córkę, rzekł:

– Cała ta rzecz jest tak odpowiednia – korzyści płynące z tego związku są tak oczywiste; poza tym, wiem dobrze, bo sam mi niejednokrotnie o tym napomykał, iż pan Farquhar rozważa wstąpienie w związek małżeński w niedalekiej przyszłości; a on rzadko wyjeżdża z Eccleston i składa wizyty niewielu rodzinom oprócz naszej... z pewnością żadna z nich nie może się równać z naszą, dzięki korzyściom, jakie przyniosło wam wszystkim przeszkolenie moralne i religijne. – Lecz wówczas pan Bradshaw powstrzymał się od dalszych zawołanych peanów na cześć samego siebie (a tylko on sam mógł być dla siebie wytokiem^[59], kiedy już raz wkroczył na tę ścieżkę), przypomniawszy sobie, że Jemima nie powinna czuć się zbyt pewnie, do czego mogłoby dojść, gdyby on zbyt mocno rozprawiał o korzyściach płynących z tego, iż jest córką swojego ojca. Wobec tego oznajmił:

– Lecz trzeba ci wiedzieć, Jemimo, iż bardzo marne wystawiasz świadectwo wykształceniu, jakie ci zapewniłem, wywierając na ludziach takie wrażenie, jak zapewne dzisiaj na panu Farquharze, skoro potem powiedział o tobie to, co powiedział!

– Co takiego powiedział? – zapytała Jemima tym samym cichym, chrapliwym tonem tłumionego gniewu.

– Twoja matka mówi, że podzielił się z nią następującą uwagą: „Jaka to szkoda, że Jemima nie potrafi obstawać przy swych poglądach bez popadania w pasję; i jaka szkoda, że jej poglądy raczej sankcjonują jeszcze te napady nieuprzejmości i złości, miast je okiełznywać!”

– Czy tak powiedział? – zapytała Jemima cichszym jeszcze głosem, nie podważając słów ojca, lecz raczej mówiąc do siebie.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – odparł ojciec poważnie. – Twoja matka nawykła do powtarzania słowo w słowo wszystkiego, co się tutaj dzieje podczas mej nieobecności; poza tym, nie jest to rzecz, którą mogłaby sama powiedzieć; jestem przekonany, że powtarzając wypowiedź, nie zmieniła ani słowa. Wyrobiłem w niej nawyk dokładności bardzo niezwykły u kobiety.

Być może innym razem Jemima nabrałaby ochoty, aby wznieść bunt wobec tego porządku, który nakazywał nieustannie prowadzić operacje wywiadowcze dla kwatery głównej, a który już dawno stał się w jej odczuciu nieprzezwycięzalną przeszkodą na drodze do swobodnego porozumiewania się z matką; obecnie jednak ojcowskie sposoby pozyskiwania doniesień stały się nikłe i nic nieznaczące wobec natury wiadomości, którymi się z nią podzielił. Stała zupełnie nieruchomo, ściskając oparcie krzesła i pragnąc, by pozwolono jej odejść.

– Mam nadzieję, że to, co powiedziałem, wystarczy, ażeby spowodować, iż twoje zachowanie wobec pana Farquhara stanie się stosowne; jeżeli twój charakter jest zbyt nieokiełznany, co uniemożliwia ci stałe nad nim panowanie, to przynajmniej uszanuj moje zalecenia i postaraj się nad nim zapanować w jego obecności.

– Czy mogę odejść? – zapytała Jemima, a rozdrażnienie jej rosło.

– Możesz – odparł ojciec. Gdy wyszła z pokoju, on delikatnie zatarł ręce, zadowolony z osiągniętego rezultatu, zastanawiając się przy tym, jak to możliwe, że ktoś tak dobrze wychowany, jak jego córka, mógłby kiedykolwiek powiedzieć czy uczynić coś, co wywołałoby ze strony pana Farquhara taką uwagę jak ta, którą mu przekazano.

– Nic nie jest bardziej łagodne i potulne niżli ona, jeśli z nią właściwie pomówić. Muszę udzielić Farquharowi wskazówki – rzekł pan Bradshaw do siebie.

Jemima pośpieszyła na górę i zamknęła się w swoim pokoju. Najpierw zaczęła kroczyć w tę i z powrotem po pokoju, nie uroniwszy choćby łzy; lecz później nagle przystanąła i wybuchła płaczem z namiętnego oburzenia.

– A zatem! Mam się zachowywać grzecznie nie dlatego, że to słuszne – nie dlatego, że to słuszne – lecz po to, aby się popisać przed panem Farquharem. Och, panie Farquhar! – rzekła, a w głosie jej pojawił się nagle ton niejakiej nagany – jeszcze przed godziną nie myślałam, że jest pan człowiekiem tego pokroju. Nie sądziłam, że mógłby pan wybrać żonę w tak wyrachowany sposób, aczkolwiek przyznał pan, że trzyma się ściśle swych zasad; a jednak myśli pan o tym, by mnie zdobyć, prawda? Bo jest to odpowiednie i stosowne, i pragnie się pan ożenić, i nie może tracić czasu na zaloty – (rozsierdzała się coraz bardziej, wyolbrzymiając wszystko to, co powiedział jej ojciec). – A jakże często myślałam, że jest pan dla mnie nazbyt wręcz wspaniały! Lecz teraz już jestem mądrzejsza. Teraz już wierzę w to, że wszystko, co pan czyni, jest czynione z wyrachowania; jest pan dobry, ponieważ wzbudza to zaufanie w interesantach – z takim wysiłkiem mówi pan o zasadach, ponieważ to dobrze brzmi i godne jest szacunku – i nawet to wszystko jest już lepsze od wyrachowania, z jakim poszukuje pan żony, zupełnie tak, jak gdyby szukał pan dywanu, który przydałby mu wygody i pozwolił się zacieńnić. Lecz ja tą żoną nie będę. Dam panu posmakować czegoś, co sprawi, że nie zgodzi się pan tak potulnie na owo porozumienie współników. – Zbyt namiętnie już teraz płakała, ażeby myśleć albo mówić. Potem przestała i rzekła:

– Zaledwie godzinę temu miałam nadzieję – nie wiem, na co... ale myślałam... och! jakżeż dałam się zwieść! Sądziłam, że on posiada szczere, głębokie, kochające, męskie serce, które Bóg mógłby pozwolić mi podbić; lecz teraz wiem, że on ma tylko spokojną, wyrachowaną głowę...

Jeżeli przed ową rozmową z ojcem Jemima bywała zapalczywa i porywcza, to było to lepsze od ponurej powściągliwości, jaką prezentowała obecnie podczas każdej wizyty pana Farquhara. Głęboko ją odczuł; żadne wewnętrzne perswazje nie przynosiły mu ulgi w bólu, którego

doświadczał. Próbował podejmować tematy, które lubiła, w sposób, jaki lubiła, aż w końcu ją sobą gardzić za niepomyślne starania.

Raz czy dwa stanął między nią a jej ojcem, co było wyraźnie sprzeczne z wyrażonymi przezeń wcześniej poglądami; a pan Bradshaw dumny był ze swego godnego podziwu pokierowania rozmową tak, aby Jemima czuła, iż zawdzięcza jego pobłażliwość, czy też wyrozumiałość, zabiegom pana Farquhara; lecz Jemima – przewrotna, nieszczęsna Jemima – pomyślała, że jeszcze bardziej nienawidzi pana Farquhara. Szanowała w ojcu nieugiętość o wiele bardziej, niż jego pretensjonalne ustępstwa wobec potulnych protestów, jakie pan Farquhar wystosował w jej imieniu. Nawet pan Bradshaw był zakłopotany i zamknął się w pokoju, aby zastanowić się nad tym, w jaki sposób można by sprawić, by Jemima pełniej zrozumiała, jakie są jego życzenia oraz co jest dla niej dobre. Lecz nie było niczego, co mogłoby stanowić powód do kolejnych z nią rozmów. Zachowywała się tak ulegle, że aż apatycznie; robiła wszystko, czego życzył sobie jej ojciec; czyniła to pośpiesznie, z nerwową wręcz prędkością, jak gdyby sądziła, iż w przeciwnym razie pan Farquhar ponownie się w jakiś sposób wtrąci. Wyraźnie pragnęła niczego mu nie zawdzięczać. Toteż gdy on wszedł do pokoju, a było to po rozmowie, którą odbyła z ojcem, podniosła się, ażeby wyjść; lecz kiedy tylko pan Bradshaw dał jej do zrozumienia, iż pragnie, by pozostała, pozostała – milcząca, obojętna, niedbająca o nic, co się wokół działo; a przynajmniej sprawiała wrażenie, iż o nic nie dba. Szyła tak pilnie, jak gdyby miała tą pracą zarobić na utrzymanie; nie było blasku w jej oczach, gdy z trudem podnosiła je przed udzieleniem odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie, powieki zaś były przeważnie opuchnięte od płaczu.

Lecz w całym tym zachowaniu nie było żadnego określonego braku. Pan Bradshaw nie mógł jej wszakże powiedzieć, by nie czyniła tego czy owego, skoro ona tego nie czyniła; ponieważ ostatnimi czasy stała się o wiele bardziej uległa.

Pan Bradshaw po dłuższych rozważaniach pogratulował sobie, iż tak roztropnie postanowił poprosić Ruth o to, ażeby pomówiła z Jemimą i dowiedziała się, jakie uczucie leżało u podstaw całej tej zmiany w jej postępowaniu, co było cudownym dowodem na to, jak silnym wpływem cieszyła się Ruth w tej rodzinie.

Zadzwoił na służbę.

– Czy jest pani Denbigh? – zapytał służącą, która zjawiła się na wezwanie.

– Tak, proszę pana; właśnie weszła.

– Poproś, by przyszła tutaj, do mnie do pokoju, gdy tylko będzie mogła opuścić panienki. Ruth przyszła.

– Proszę usiąść, pani Denbigh; proszę usiąść. Pragnę z panią chwilę porozmawiać; nie o pani uczennicach, bo z pewnością dobrze sobie radzą pod pani opieką; i często winszuję sobie wyboru, którego dokonałem – zapewniam panią. Teraz jednakże pragnę pomówić z panią o Jemimie. Bardzo panią lubi, może zatem mogłaby pani przy okazji nadmienić – krótko rzecz ujmując, powiedzieć jej, że zachowuje się bardzo niemądrze – że w istocie budzi wstręt w panu Farquharze (który, jak wiem, skłaniał się ku polubieniu jej) swym ponurym, nadąsanym zachowaniem w jego obecności.

Zamilknął, by usłyszeć skwapliwe przytaknięcie, którego się spodziewał. Lecz Ruth niezupełnie pojmowała, czego od niej oczekiwano i bardzo jej się nie podobało to, co dotychczas usłyszała odnośnie do swego zadania.

– Nie rozumiem, proszę pana. Jest pan niezadowolony z zachowania panny Bradshaw wobec pana Farquhara.

– No cóż! Niezupełnie; jestem niezadowolony z jej zachowania – bywa nadąsana i popędliwa, szczególnie w jego obecności – i chcę, ażeby pani (którą ona tak bardzo ceni) pomówiła z nią o tym.

– Lecz ja nigdy nie miałam okazji, by to zauważyć. Za każdym razem, gdy ją widywałam, była niezwykle miła i serdeczna.

– Niemniej podejrzewam, że nie zawaha się pani mi uwierzyć, gdy twierdzę, że zauważyłem coś zgoła odmiennego – rzekł pan Bradshaw, prostując się.

– Nie, proszę pana. Bardzo przepraszam, jeżeli wyraziłam się w sposób tak niefortunny,

który wskazywałby na to, iż panu nie wierzę. Lecz czy mam powiedzieć panie Bradshaw, że pan rozmawiał ze mną o jej przewinach? – zapytała Ruth odrobinę zdumiona i bardziej niż dotychczas niechętna temu zadaniu.

– Jeżeli pozwoli mi pani dokończyć to, co mam do powiedzenia, nie przerywając, wówczas powiem pani, czego sobie życzę.

– Przepraszam pana – odrzekła Ruth łagodnie.

– Pragnę, ażeby pani niekiedy dołączała do nas wieczorami; pani Bradshaw wystosuje do pani zaproszenie, kiedy zaistnieje możliwość, że będzie tutaj pan Farquhar. Uprzedziłem już panią, toteż jej zmysł obserwacyjny będzie teraz wyostrzony i nie uda się pani nie zauważyć przykładów na to, na co zwróciłem jej uwagę; a wówczas ufam, iż pani zdrowy rozsądek – (pan Bradshaw skłonił się na te słowa) – pozwoli jej znaleźć okazję po temu, by upomnieć Jemimę.

Ruth zamierzała się odezwać, lecz on dał znak dłonią, by zamilkła jeszcze na chwilę.

– Jeszcze tylko minutę, pani Denbigh. Jestem w pełni świadomym tego, iż zapraszając panią niekiedy na wieczór, będę nadużywał pani czasu, który jest w istocie jej pieniędzi; proszę być spokojną, że nie zapomnę o tej drobnej okoliczności, a pani może przybliżyć Bensonowi i jego siostrze to, co powiedziałem w tej kwestii.

– Obawiam się, że nie mogę tego uczynić – odezwała się Ruth; lecz kiedy usiłowała dobrać słowa, by delikatnie wyrazić swą niechęć wobec działania zgodnego z jego życzeniem, on ją się kłaniać i kłaniać, i niemal „wyklonił” ją z pokoju; a uznawszy, iż jest skromna w ocenie swych umiejętności, gdy szło o upominanie jego córki, dodał dobrotliwie:

– Nie ma drugiej równie jak pani zręcznej osoby, pani Denbigh. Zauważyłem, iż posiada pani wiele zalet – zauważyłem je wówczas, gdy pani, być może, zupełnie się tego nie spodziewała.

Gdyby obserwował Ruth owego ranka, zauważyłby, że umysł jej jest roztargniony, duch zaś przygnębiony, co nie było powodem do chluby dla nauczycielki; nie potrafiła bowiem rozniecić w sobie przekonania, że miałyby jakiegokolwiek prawo dołączyć do tej rodziny po to tylko, ażeby obserwować i doszukiwać się uchybień u któregoś z jej członków. Ruth kochała Jemimę tak bardzo, że gdyby zauważyła w jej postępowaniu jakąkolwiek niesłuszność, powiedziałaby jej o tym na osobności; a wobec tak wielu wątpliwości, jakże mogłaby być tą, która wyjmuje żdźbło z czyjegoś oka, nawet gdyby czyniła to jak najdelikatniej; zanim nawet by się do tego zabrała, musiałaby pierwej pokonać niechęć; lecz w sposobie działania zaproponowanym przez pana Bradshawa było coś nieuchwytnie odrażającego, toteż postanowiła nie przyjmować zaproszeń, które stawiałyby ją w tak obłudnym położeniu.

Jednakże kiedy wychodziła po skończonych lekcjach, gdy stała właśnie w hallu, zakładając kapelusz i słuchając ostatnich drobnych zwierzeń swych dwóch uczennic, ujrzała Jemimę wchodzącą przez drzwi ogrodowe i uderzyła ją zmiana w wyglądzie dziewczyny. Wielkie oczy, niegdyś tak lśniące, były teraz przygaszone i zamglone; cera blada i pozbawiona koloru; wyraz przygnębienia na zachmurzonym czole i opuszczone kąciki ust, jakby w przyływie bolesnych myśli. Podniosła wzrok i oczy jej spotkały się z oczami Ruth.

„O! ty piękne stworzenie – pomyślała Jemima – o niewzburzonej, spokojnej, niebiańskiej twarzy, kimże ty jesteś, by znać ziemskie utrapienia! Śmierć odebrała ci ukochanego – lecz jest to żal błogosławiony; żal, który mnie toczy, przygniata mnie coraz bardziej i każe mi gardzić wszystkimi i ich nienawidzić – ale nie ciebie”. A wówczas twarz jej się zmieniła, nabrała łagodności, czułości, a ona podeszła do Ruth i pocałowała ją czule; jak gdyby ulgę niesło jej przebywanie w pobliżu osoby, w której prawdziwym, czystym sercu pokładała zaufanie. Ruth odwzajemniła pieszczotę; a kiedy to czyniła, nagle uchyliła swe postanowienie, aby nie robić tego, czego pragnął od niej pan Bradshaw. W drodze do domu postanowiła, że postara się poznać tajemne uczucia Jemimy; a jeżeli (co podejrzewała w oparciu o dawniejsze jakieś wiadomości) były one niezdrowe i w jakikolwiek sposób wyolbrzymione, zamierzała pomóc jej się ich wyzbycić, posiłkując się wszelką mądrością, jaką można zaczerpnąć z prawdziwej miłości. Nadszedł czas, aby ktoś uciszył burzę w niespokojnym sercu Jemimy, które z dnia na dzień, z godziny na godzinę, zaznawało coraz mniej pokoju. Drażniącą trudność stanowiło rozdzielenie dwóch postaw, które w różnym czasie przypisywała panu Farquharowi – dawnej, którą przedtem uznawała za

prawdziwą, czyli tej człowieka działającego zgodnie z wysokimi wymaganiami swych wzniosłych zasad i czyniącego to bez wysiłku (ostatnia okoliczność wywołała w niej kiedyś bunt i rozdrażnienie); nowej, którą podsyłał w jej podejrzliwym umyśle ojciec, a więc tej człowieka zimnego i wyrachowanego we wszystkim, co robił, człowieka, któremu ojciec ją przekaże, a on ją przyjmie, jak gdyby była czymś w rodzaju towaru na składzie – oto byli dwaj panowie Farquhar, którzy ścierali się w jej umyśle. A będąc w stanie takiego rozdrażnienia, żywiąc takie uprzedzenia, nie umiała znieść sposobu, w jaki on rezygnował z własnego zdania, ażeby ją zadowolić; nie w taki sposób można ją było zdobyć; o wiele bardziej podobał jej się wówczas, gdy nieugięcie i bezwzględnie obstawał przy swoim poczuciu tego, co słuszne i co niesłuszne, i żadna siła nie zwiódłaby go na pokuszenie ani żadna łaska nie wzbudziłaby w nim skruchy, co było jak piękno świętości, która nigdy nie ugięła się przed grzechem. W owych czasach był jej bożyszczem, co właśnie teraz odkryła, jakkolwiek silnie i gwałtownie mu się wówczas sprzeciwiała.

Jeżeli zaś chodzi o pana Farquhara, to był już sobą niemal zmęczony; zdawało się, że nie miały nań wpływu żadne perswazje, ani nawet zasady, bo wiedział przecież, że Jemima nie miała w sobie żadnej z cech, które on cenił w kobietach. Widział ją nieokiełznaną i namiętą, gardzącą najdroższymi mu regułami rządzącymi życiem, widział okazywaną mu obojętność, a być może wręcz antypatię; a mimo to kochał ją gorąco. Lecz postanowił uczynić ogromny wysiłek woli i wyrwać się z pęt tego uczucia. A kiedy podejmował to postanowienie, pojawiała się nagle w dawnym jakimś wspomnieniu, trzymająca go pod ramię w geście poufności wczesnych lat dziewczęcych, spoglądająca w jego twarz łagodnymi, ciemnymi oczami i wypytująca o tajemnicze zagadnienia, które dla obojga były wówczas tak ciekawe, chociaż później stały się przedmiotem waśni.

Prawdą było również, iż, jak oznajmił pan Bradshaw, pan Farquhar chciał się ożenić, a w niewielkim Eccleston nie było dużego wyboru panien. Sam przed sobą nigdy nie przyznał z taką otwartością, na jaką zdobył się wobec Jemimy jej ojciec, że to właśnie był powód, dla którego ją wybrał; niemniej tą właśnie pobudką nieświadomie się kierował. Tymczasem teraz zdecydował się podjąć postanowienie, że wyjedzie na dłuższy czas z Eccleston, aby się przekonać, czy pośród dalszych przyjaciół nie ma kobiety bardziej odpowiadającej jego ideałowi, która zdołałaby wyrzucić z jego myśli niesforną, upartą dręczycielkę, Jemimę Bradshaw, jeżeli wkrótce nie zauważy w niej jakiej zmiany na lepsze.

Kilka dni po rozmowie Ruth z panem Bradshawem nadeszło zaproszenie, którego się spodziewała i lękała zarazem. Wystosowane było wyłącznie do niej. Pan i panna Benson cieszyli się z takiego wyrazu uszanowania wobec Ruth i nalegali, aby przyjęła zaproszenie. Żałowała, że nie zostali nim objęci; nie uznała, że rzeczą słuszną, czy uprzejmą wobec Jemimy, byłoby wyjawienie powodu, dla którego tam idzie, i teraz obawiała się również, że poczują się odrobinę urażeni z powodu nieotrzymania zaproszenia. Lecz nie potrzebowała się tego obawiać. Oboje byli radzi i dumni z grzeczności, jaką jej wyświadczono, i w ogóle nie myśleli o sobie.

– Ruthie, jaką suknię założysz na wieczór? Podejrzewam, że tę ciemnoszarą? – zapytała panna Benson.

– Tak sędzę. W ogóle o tym nie pomyślałam; ale to jest moja najlepsza suknia.

– Wobec tego przyszykuję dla ciebie kryzowy kołnierzyk. Wiesz, że słynę ze swej umiejętności marszczenia tiulu.

Gdy Ruth była gotowa, zeszła na dół z niewielkim rumieńcem na policzkach. Kapeluszek i szal trzymała w dłoni, gdyż wiedziała, że panna Benson i Sally będą chciały zobaczyć ją w sukni.

– Czy mamusia nie jest ładna? – zapytał Leonard z dziecięcą dumą.

– Wygląda bardzo przyjemnie i schludnie – odparła panna Benson, która uważała, iż dzieci nie powinny mówić ani myśleć o pięknie.

– Sędzę, że kryzka wygląda bardzo ładnie – rzekła Ruth z łagodnym zadowoleniem.

I rzeczywiście, wyglądała ładnie i bardzo dobrze podkreślała uroczą krągłą szyję. Włosy, które teraz urosły już długie i gęste, były zaczesane tak gładko przy głowie, jak tylko pozwalała na to ich falista natura, i zaplecione nisko we wspaniałą, obfity kok. Szara suknia była tak prosta, jak to tylko możliwe.

– Powinnaś mieć lekkie rękawiczki – oznajmiła panna Benson. Poszła na górę i przyniosła parę cieniuteńkich rękawiczek Limerick, które od dawna przechowywała w łupinie orzecha włoskiego.

– Powiadają, że te rękawiczki robione są ze skóry kurczątk^[60] – rzekła Sally, przyglądając im się z ciekawością. – Ciekawam, jak też im się udaje obdzierać je ze skóry.

– Proszę, Ruth – rzekł pan Benson, wchodząc z ogrodu – oto dwie róże dla ciebie. Przykro mi, że nie ma ich więcej; miałem nadzieję, iż o tej porze zakwitnie już moja żółta róża, ale damasceńska i biała rosną w cieplejszym zakątku ogrodu, toteż rozkwitły jako pierwsze.

Panna Benson i Leonard stali przy drzwiach i obserwowali ją, gdy szła krótką uliczką, dopóki nie znikła im z oczu.

Nie zdążyła jeszcze dotknąć dzwonka u drzwi pana Bradshawa, kiedy Mary i Elizabeth otworzyły jej, kipiąc z radości.

– Widziałyśmy, jak pani szła – wyglądałyśmy pani – chcemy, żeby poszła pani z nami do ogrodu przed herbatą; ojczulek jeszcze nie wrócił. Proszę z nami!

Poszła do ogrodu, a do obu jej ramion przylgnęły dziewczynki. Był pełen słońca i kwiatów, co sprawiało, iż kontrast między tym miejscem a dużym pokojem rodzinnym (który miał okna na północny wschód, toteż wieczorne słońce nie zaglądało tam, by rozświetlić zimne, szarobure meble) zdawał się bardziej niż zwykle uderzający. Pokój był bardzo ponury. Znajdował się w nim wielki stół jadalniany, ciężki i kwadratowy, szereg krzeseł, prostych i kwadratowych; szkatułki do robót, użyteczne i kwadratowe; ściany i dywan, i portiery, wszystko to było w najzimniejszych barwach; wszystko było eleganckie i wszystko było brzydkie. Kiedy weszli, pani Bradshaw spała w swym fotelu. Jemima dopiero co odłożyła robotę i, błędząc myślami, oparła policzek na dłoni. Ujrzawszy Ruth rozpromieniła się nieco i podeszła do niej, i ją pocałowała. Pani Bradshaw podskoczyła na dźwięk ich przybycia i natychmiast się zbudziła.

– Och! Myślałam, że przyszedł wasz ojciec – oznajmiła, wyraźnie uspokojona, że nie wszedł i nie przyłapał jej, gdy spała. – Dziękuję, pani Denbigh, że dziś wieczór pani do nas przyszła – rzekła tym samym cichym tonem, którym zazwyczaj przemawiała pod nieobecność męża. Kiedy był w domu, pewien rodzaj nieustannego lęku przed rozgniewaniem go sprawiał, że głos jej stawał się ostry i nerwowy; dzieci wiedziały, że wiele rzeczy, na które pod nieobecność ojca matka przymykała oko, nie umykało jej uwadze, kiedy on był w domu; w dodatku zwracała na wszystko uwagę w sposób gniewny i kłótniwy, tak bardzo bała się bowiem winy, którą obarczano ją za każdym razem, gdy ktoś z dzieci zachowało się nieodpowiednio. A mimo to traktowała męża z podziwem, szacunkiem i czcią i kochała go wiernie, ponieważ jego zdecydowany charakter tak właśnie oddziaływał na słaby i trwożliwy umysł. Był dla niej podporą i oparciem, na które zrzuciła wszelkie obowiązki; była dlań posłuszną, układną żoną; żadne silniejsze uczucie nie zrodziło nigdy sporu między obowiązkami wobec niego a jakimkolwiek pragnieniem jej serca. Gorąco kochała swe dzieci, aczkolwiek wszystkie bardzo często wprawiały ją w zakłopotanie. Szczególnym jej ulubieńcem był syn, ponieważ bardzo rzadko był powodem jej utarczek z ojcem; taki był ostrożny i taki rozważny, i posiadał sztukę niewspominania o kłopotach, jeżeli w takowe akurat popadł. Biorąc pod uwagę sumienne poczucie obowiązku, jaki narzucił na nią mąż, a polegającego na zauważaniu i donoszeniu mu o każdej niedobrej rzeczy, która wydarzyła się w domu, szczególnie pośród dzieci, pani Bradshaw mimo wszystko zdołała być szczerze ślepą na wiele niechwalebnych cech panicza Richarda.

Niebawem przyszedł pan Bradshaw, przyprowadzając ze sobą pana Farquhara. Wcześniej Jemima prowadziła z Ruth dość zajmującą rozmowę; lecz zobaczywszy pana Farquhara, pochyliła głowę nad robótką, pobladła nieco i stała się uparcie milcząca. Pan Bradshaw pragnął rozkazać jej, by przemówiła; lecz nawet on żywił podejrzenie, że to, co gotowa byłaby powiedzieć, gdy jej w ten sposób rozkazać, mogłoby przynieść skutek gorszy jeszcze od ponurego milczenia; toteż zachował spokój, a był to spokój niezadowolony, zły. Pani Bradshaw dostrzegła, iż dzieje się coś niedobrego, lecz nie wiedziała, co takiego; tylko z każdą chwilą stawała się coraz bardziej drżąca i zdenerwowana i posyłała Mary i Elizabeth ze wszelkiej maści sprzecznymi poleceniami dla służby, i zaparzyła herbatę dwukrotnie mocniejszą, i posłodziła ją dwa razy bardziej niż zwykle,

w nadziei, że ułagodzi męża tym, co dobre.

Pan Farquhar przyszedł po raz ostatni, a przynajmniej tak mu się zdawało. Powziął postanowienie (po raz piąty), że raz jeszcze przyjrzy się Jemimie, a jeżeli jej temperament znów weźmie nad nią górę i ona ponownie okaże mu dawną markotność i po dawnemu dowiedzie, że jego dobre o niej mniemanie jest jej obojętne, to on zupełnie z niej zrezygnuje i poszuka żony gdzie indziej. Siedział, obserwując ją ze założonymi rękami i w milczeniu. Ogólnie rzecz ujmując, była to przyjemna rodzina!

Jemima chciała zwinąć kłębek wełny. Zauważył to pan Farquhar i podszedł do niej, pragnąc przysłużyć się jej w ten drobny sposób. Ona odwróciła się rozdrażniona i poprosiła Ruth o potrzymanie wełny.

Ruth było przykro z powodu pana Farquhara i spojrzała ze smutkiem na Jemimę; lecz Jemima nie chciała zauważyć jej napominających spojrzeń, kiedy Ruth nie od razu zastosowała się do jej prośby, miała bowiem nadzieję, że ustąpi. Zauważył je pan Farquhar; i powrócił na swoje miejsce, ażeby obserwować je obie. Widział Jemimę, wyglądającą na wzburzoną i niespokojną; widział Ruth o wyglądzie niebiańskiego spokoju niczym u anioła, z ową drobną domieszką smutku tylko, który wywołało zachowanie przyjaciółki. Dostrzegł niezwykle piękno jej twarzy i figury, dotąd nigdy przezeń niezauważone; i widział Jemimę, której niegdysiejsza żywość spojrzenia i cery obecnie zbladła i zgasła. Obserwował Ruth, gdy przemawiała cicho i łagodnie do dziewczynek, które zdawały się przychodzić do niej we wszelkim kłopotcie; i zauważył łagodną nieugiętość, gdy nastąpiła pora, aby pójść do łóżek, a one prosiły, by pozwoliła im zostać dłużej (ojciec nie wrócił jeszcze z kancelarii, w przeciwnym bowiem razie nie ośmieliłyby się tego uczynić). Podobało mu się łagodne, wyraźne, niezachwiane „Nie! Musicie iść. Musicie czynić to, co słuszne” o wiele bardziej, aniżeli dobroduszne ustępstwa wobec usilnych próśb, które dawniej podziwiał w Jemimie. Snuł w myślach to porównanie, kiedy Ruth z delikatnym acz nieświadomym wyczuciem usiłowała nakierować Jemimę na jakiś temat, który oderwałby ją od tego, co zaprzętało teraz jej myśli, a co sprawiło, że była tak niewdzięczna i niegrzeczna.

Jemima wstydziła się za siebie przed Ruth w sposób, w jaki jeszcze nigdy się przed nikim innym nie wstydziła. Tak wysoce ceniła sobie dobrą opinię Ruth, że przerażeniem napawała ją myśl, iż przyjaciółka zauważy jej wady. Zmitygowała się zatem – z początku jedynie się zmitygowała; lecz po krótkim czasie zapomniawszy już nieco o swych utrapieniach i słuchała Ruth, i wypytywała ją o Leonarda i uśmiechała się, słysząc o jego zabawnych powiedzonkach; i tylko westchnięcia, które brały się z samej siły przyzwyczajenia, przywracały jej świadomość nieszczęścia. Przed końcem wieczoru Jemima pozwoliła sobie przemówić do pana Farquhara po dawnemu – podważając, różniąc się, dyskutując. Nadejście ojca przywołało wspomnienie owej nieszczęsnej rozmowy. A wówczas ponownie zamilkła. Lecz on zauważył, że twarz jej była bardziej ożywiona i jaśniejsza od uśmiechu podczas rozmowy z panem Farquharem; i jakkolwiek żałował uszczerbku na jej cerze (nadal była bowiem bardzo blada), był wysoce zadowolony z powodzenia, jakie odniósł jego plan. Nigdy nie wątpił w to, że Ruth udzieliła jej swego rodzaju poufnego napomnienia, ażeby się lepiej zachowywała. Nie byłby w stanie pojąć tajemnic wspaniałej sztuki, za pomocą której Ruth, przeganiając po prostu nieprzyjemne tematy i nadając innym zdrowy, słoneczny ton, niepostrzeżenie wyciągnęła Jemimę ze stanu przygnębienia. Postanowił już nazajutrz kupić pani Denbigh elegancką suknię jedwabną. Nie wydawało mu się, aby posiadała jedwabną suknię, biedaczka! Zauważył tamtą ciemnoszarą wełnianą, która od dawien dawna była jej suknią niedzielną. Podobał mu się kolor; jedwabna powinna być tej samej barwy. Potem pomyślał, iż być może lepiej byłoby wybrać jaśniejszy odcień, co umożliwiłoby odróżnienie nowej sukni od tej starej. Nie miał bowiem żadnych wątpliwości co do tego, że Ruth pragnęłaby, aby zauważono suknię, a być może nawet sama mówiłaby wszem wobec, iż był to prezent od pana Bradshawa – dowód jego uznania. Uśmiechnął się do siebie delikatnie na myśl o tym dodatkowym źródle przyjemności dla Ruth. Ona tymczasem zbierała się do pójścia do domu. Kiedy Jemima odpalała od lampy świecę do zabrania do sypialni, Ruth przeszła się po pokojach, aby życzyć wszystkim dobrej nocy. Pan Bradshaw nie mógł pozwolić, aby do jutra pozostawała w niepewności co do tego, czy był zadowolony, czy przeciwnie.

– Dobranoc, pani Denbigh – rzekł. – Dobranoc. Dziękuję. Jestem pani zobowiązany, jestem pani niezmiernie zobowiązany.

Położył nacisk na te słowa, gdyż podobało mu się, że pan Farquhar wystąpił z propozycją, iż pomoże Jemimie w jej niewielkim zadaniu.

Pan Farquhar zaofiarował się, że odprowadzi Ruth do domu; lecz ulice, które dzieliły posiadłość pana Bradshawa od kaplicy były tak spokojne, że odstąpił od swego zamiaru, gdy wyczytał z zachowania Ruth, jak bardzo ta propozycja była jej niemiła. Również pan Bradshaw natychmiast zauważył:

– O, nie potrzebujesz się kłopotać panią Denbigh, Farquhar. Moja służba może się nią zająć w każdej chwili, jeżeli tylko ona sobie tego zażyczy.

W rzeczywistości zamierzał kuć żelazo, póki gorące i zatrzymać pana Farquhara jeszcze chwilę, skoro Jemima była teraz taka uprzejma. Poszła z Ruth na górę, aby pomóc jej się ubrać.

– Droga Jemimo! – rzekła Ruth – tak bardzo jestem rada, widząc, że dziś wieczór wyglądasz lepiej! Zupełnie mnie dziś rano przerażyłaś, tak mizernie wyglądałaś.

– Naprawdę? – odparła Jemima. – Och, Ruth! Bardzo byłam ostatnimi czasy nieszczęśliwa. Chcę, żebyś doprowadziła mnie do porządku – ciągnęła, uśmiechając się lekko. – Wiesz, że jestem tak jakby twoim eksternem, aczkolwiek jesteśmy niemal rówieśniczkami. Powinnaś mnie pouczać i sprawiać, że stanę się dobra.

– Powinam, kochanie? – odrzekła Ruth. – Sądzę, że nie jestem odpowiednią do tego osobą.

– O, tak! Ależ jesteś, dziś wieczór zrobiłaś dla mnie wiele dobrego.

– Cóż, jeżeli mogę coś dla ciebie zrobić, czy powiesz mi, w czym rzecz? – zapytała Ruth czule.

– Och, nie teraz... nie teraz – odparła Jemima. – Tutaj nie mogłabym ci o tym powiedzieć. To długa historia, a ja nie wiem, czy w ogóle mogę ci o w wszystkim opowiedzieć. Mama może wejść tutaj w każdej chwili, a ojczulek z pewnością by ją zapytał, o czym myśmy tak długo rozprawiaty.

– Nie śpiesz się, kochanie – rzekła Ruth – ale pamiętaj, że rada jestem służyć ci pomocą na tyle, na ile potrafię.

– Jesteś zbyt dobra, kochana moja! – oznajmiła Jemima z czułością.

– Nie mów tak – odparła Ruth żarliwie, prawie jak gdyby się bała. – Bóg wie, że nie jestem.

– Cóż! Żaden z ludzi nie jest zbyt dobry – odrzekła Jemima – wiem o tym. Lecz ty jesteś bardzo dobra. Nie, nie będę tak mówiła, skoro tak smutniejesz na te słowa. Ale chodź na dół.

Słodycz Ruth spowijała teraz swą wonią Jemimę, toteż przez najbliższe pół godziny zachowywała się wręcz nienagannie. Pan Bradshaw czuł coraz większe zadowolenie i podwyższył cenę jedwabiu, który zamierzał podarować Ruth, do sześciu pensów za jard. Pan Farquhar poszedł do domu ścieżką przez ogród, od dawna nie czując się tak szczęśliwym. Przyłapał się nawet na tym, iż nuci ten stary refren:

On revient, on revient toujours,

A ses premiers amours^[61].

Lecz gdy tylko zauważył, co robi, przeobraził resztę piosenki w kaszel, który był donośny, chociaż niezupełnie prawdziwy.

ROZDZIAŁ XXI

Przeniesienie uwagi pana Farquhara

Następnego ranka, gdy Jemima wraz z matką siedziała nad robótkami, nasunęło jej się wspomnienie bardzo wyraźnych podziękowań, jakie poprzedniego wieczoru ojciec jej wystosował do Ruth.

– Jakże ojczulek upodobał sobie panią Denbigh – rzekła. – Lecz to przecież nic dziwnego. Czy mama zauważyła, jak jej dziękował za to, że przysłała tutaj ubiegłego wieczoru?

– Owszem, kochanie; lecz zdaje mi się, że to nie tylko... – pani Bradshaw urwała nagle. Nigdy nie miała pewności, czy mówić coś było rzeczą słuszną, czy niesłuszną.

– Nie tylko co? – zapytała Jemima, widząc, że matka nie zamierza dokończyć zdania.

– Nie tylko dlatego, że pani Denbigh przysłała do nas na herbatę – odparła pani Bradshaw.

– Ale za cóż innego by jej dziękował? – zapytała Jemima, której ciekawość pobudziło pełne wahania zachowanie matki.

– Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić – odrzekła pani Bradshaw.

– Och, niech tak będzie! – odparła dość rozdrażniona Jemima.

– Nie, kochanie! Twój ojczulek nie zakazał mi o tym mówić; pewno więc mogę ci powiedzieć.

– Mniejsza z tym! Nie chcę tego słyszeć – rzuciła Jemima urażonym tonem.

Na krótką chwilę zapadło milczenie. Jemima usiłowała myśleć o czymś innym, lecz myśli jej stale powracały do pytania o to, cóż takiego mogła pani Denbigh uczynić dla jej ojca.

– A jednak sądzę, że mogę ci powiedzieć – oznajmiła pani Bradshaw na wpół pytająco.

Jemima miała w sobie na tyle honoru, ażeby nie nalegać na jakiegokolwiek zwierzenia, lecz była zbyt ciekawa, by poczynić kroki ku ich powstrzymaniu.

Pani Bradshaw mówiła dalej.

– Myślę, że zasługujesz na to, by wiedzieć. To po części za twoją sprawą ojczulek jest tak zadowolony z pani Denbigh. Tego ranka zamierza jej kupić jedwabną suknię i sądzę, że powinnaś wiedzieć dlaczego.

– Dlaczego? – zapytała Jemima.

– Ponieważ ojczulek jest bardzo rad, widząc, że zważasz na to, co ona mówi.

– Zważam na to, co ona mówi! Z pewnością tak właśnie jest, zawsze tak było. Ale dlaczego ojczulek miałby jej dawać za to suknię? Myślę, że to raczej mnie powinien ją podarować – rzekła Jemima, na wpół się śmiejąc.

– Jestem przekonana, że by to uczynił, kochanie; pewna jestem, że podaruje ci suknię, jeżeli zechcesz ją otrzymać. Ubiegłego wieczoru był tak bardzo zadowolony, widząc, że zachowujesz się wobec pana Farquhara jak dawniej. Żadne z nas nie wiedziało, co w ciebie wstąpiło w ostatnim miesiącu; lecz teraz wszystko wydaje się być w porządku.

Na twarz Jemimy wstąpiła ciemna chmura. Nie podobała jej się ta drobiazgowość obserwacji i nieustanne komentowanie jej zachowania; i cóż Ruth miała z tym wspólnego?

– Cieszę się, żeście byli ze mnie radzi – oznajmiła chłodno. Po chwili zaś dodała. – Lecz nie powiedziała mi mama, co wspólnego z moim zachowaniem miała pani Denbigh.

– Czy ona z tobą o tym nie rozmawiała? – zapytała pani Bradshaw, podnosząc wzrok.

– Nie; dlaczego miałyby to czynić? Nie ma prawa krytykować mego postępowania. Nie byłaby tak zuchwała – odrzekła Jemima, czując się bardzo nieswojo, nieufna.

– Owszem, skarbie! Miałyby do tego prawo, ponieważ ojczulek zażyczył sobie, by to

uczyniła.

– Ojczulek sobie zażyczył! Cóż takiego ma mama na myśli?

– Ojej! Zdaje mi się, że jednak nie powinnam była ci o tym mówić – rzekła pani Bradshaw, zmiarkowawszy z tonu głosu Jemimy, że coś jest nie w porządku. – Ale tyś rzekła, że byłoby to zuchwalstwem ze strony pani Denbigh, a ja pewna jestem, iż ona nie uczyniłaby niczego, co byłoby zuchwałe. Wiesz przecież, że jedyną słuszną dla niej rzeczą jest czynić to, co przykazał ojczulek; a kilka dni temu powiedział jej bardzo wiele, mówił, że trzeba się dowiedzieć, dlaczego jesteś taka zła i sprawić, byś znów zachowywała się należycie. No i teraz zachowujesz się należycie, kochanie!

– oznajmiła pani Bradshaw uspokajająco, sądząc, że Jemimę (jak przystało na dobre dziecko) zirytowało wspomnienie własnego niegrzecznego zachowania.

– Zatem ojczulek zamierza podarować pani Denbigh suknię dlatego, że ubiegłego wieczoru byłam grzeczna wobec pana Farquhara?

– Owszem, kochanie! – odrzekła pani Bradshaw, coraz bardziej przerażona gniewem, który znać było w głosie Jemimy, cichym, lecz pełnym oburzenia.

W Jemimie tlił się gniew, gdy przypomniała sobie, w jak błagalny sposób Ruth starała się ubiegłego wieczoru fortelem wyrwać ją z posępności. Wszędzie tylko nią kierowano! Lecz w tym przypadku było to szczególnie odrażające; tak bardzo, że niemalże nie potrafiła dać wiary temu, iż ta pozornie prostolinijna Ruth brała w tym wszystkim udział.

– Czy jest mama pewna, że ojczulek poprosił panią Denbigh, aby spowodowała zmianę w moim zachowaniu? Wydaje się to takie dziwne.

– Jestem tego zupełnie pewna. Rozmawiał z nią w ubiegły piątek rano w gabinecie. Pamiętam, że to był piątek, ponieważ tego dnia pracowała tutaj pani Dean.

Jemima przypomniała sobie teraz, że udała się w piątek do pokoju szkolnego, w którym znalazła siostry próżnujące i zastanawiające się nad tym, czego też ojczulek mógłby chcieć od pani Denbigh.

Po tej rozmowie Jemima odtrącała wszelkie nieśmiałe starania Ruth, która usiłowała ustalić przyczyny jej niepokoju i pomóc, jeżeli będzie to w jej mocy. Tkliwe, pełne współczucia zachowanie Ruth, która zauważała, że Jemima z dnia na dzień wygląda coraz bardziej nieszczęśliwie, było tej ostatniej w najwyższym stopniu wstrętne. Nie mogła rzec, iż postępowanie pani Denbigh było zdecydowanie niesłuszne – być może było najzupełniej słuszne, lecz największą odrazą napawała ją myśl, że oto ojciec jej radził z obcą osobą (tydzień temu uznała już Ruth niemal za siostrę), jak pokierować swą córką, ażeby osiągnąć zamierzony cel; tak, nawet wówczas, gdy cel ów służył jej dobru.

Poczuła wdzięczność i zadowolenie na widok owiniętej brązowym papierem paczki leżącej na stole w hallu, opatrzonej zaadresowanym do jej ojca liścikiem, na którym widniało pismo Ruth. Wiedziała, co było w środku, że była to owa szara jedwabna suknia. Była pewna, iż Ruth nigdy nie zechciałaby jej przyjąć.

Odtąd już nikt nie zdołał skłonić Jemimy do tego, by wdała się w rozmowę z panem Farquharem. Wietrzyła podstęp w najprostszych nawet działaniach, a taka bezustanna podejrzliwość powodowała, iż czuła się nieszczęśliwa. Nie chciała sobie pozwolić na polubienie pana Farquhara nawet wówczas, gdy mówił rzeczy najmiłsze jej sercu. Pewnego wieczoru usłyszała, jak rozmawia z ojcem o zasadach kupiectwa. Ojciec był zagorzałym rzecznikiem najgorliwszej, najdokładniejszej pracy, zgodnej z zasadami uczciwości; gdyby nie był jej ojcem, być może byłaby uznała niektóre z jego wypowiedzi za sprzeczne z duchem prawdziwej chrześcijańskiej uczciwości. Popierał twarde negocjacje, naliczał odsetki i domagał się spłaty weksli co do dnia. Był to (jak powiedział) jedyny sposób na prowadzenie handlu. Gdyby raz tylko zezwolić na margines niepewności, pozwolić, by przewodziły uczucia, nie zaś maksymy, wówczas wszelka nadzieja na zaistnienie jakichkolwiek zacnych ludzi interesu obróciłaby się wniwecz.

– A gdyby przypuścić, że miesięczne odroczenie żądania zapłaty ocaliłoby dobre imię człowieka, zapobiegłoby jego bankructwu? – podsunął pan Farquhar.

– Nie udzieliłbym go mu. Użyczyłbym mu pieniędzy na rozpoczęcie wszystkiego od nowa, gdy tylko przeszedłby przez sąd bankrucki; jeżeli by nie przeszedł, mógłbym w pewnych

przypadkach udzielić mu upustu; lecz ja zawsze oddzielałam sprawiedliwość od dobroczynności.

– A jednak dobroczynność, w pańskim rozumieniu tego słowa, poniża człowieka; sprawiedliwość, złagodzona miłosierdziem, podnosi go.

– To nie jest sprawiedliwość, sprawiedliwość jest pewna i nieugięta. Nie, panie Farquhar, nie wolno panu pozwolić, by jakiegokolwiek donkiszotowskie wymysły mieszały się do jego kupieckiej działalności.

I tak toczyła się ta dyskusja; twarz Jemimy promieniowała sympatią wobec wszystkiego, co mówił pan Farquhar; aż pewnego razu, podniósłszy nagle roziskrzone oczy, ujrzała ojcowskie spojrzenie, które dowodziło jasno i wyraźnie, iż obserwował skutki, jakie przemowy pana Farquhara wywierały na córkę. Odtąd stała się chłodna; uznała, iż ojciec przedłużał sprzeczkę po to, ażeby wywołać uczucia, które, wiedział o tym, ukazałyby Jemimie jego rozmówcę w jak najlepszym świetle. Jakże chętnie pozwoliłaby sobie zakochać się w panu Farquharze, lecz owe nieustanne intrygi, których, o ile wiedziała, on mógł być nie biernym bynajmniej uczestnikiem, powodowały boleść jej serca. Zapragnęła nawet, aby zaniechali dalszego udawania, że oto usiłują uzyskać jej zgodę na to małżeństwo, skoro wiązały się z nim wszystkie te rozmyślnie działania i przemowy, takie ustawianie wszystkich na przypisanych im miejscach, jak gdyby byli szachowymi pionkami. Miała wrażenie, iż wolałaby raczej, by kupiono ją otwarcie, jak córkę Orientu, ponieważ wówczas nikt nie poniżałby się we własnych oczach, biorąc udział w takim porozumieniu. Skutki owego „godnego podziwu kierownictwa” pana Bradshawa byłyby bardzo niemiłe panu Farquharowi (który był wolny od współdziałania we wszelkich spiskach, co więcej, wieść o nich zirykowałaby go równie silnie, jak Jemimę), jednakże wrażenie, jakie wywarła na nim Ruth owego wieczoru, który niedawno opisałam, pogłębiło się jeszcze za sprawą kontrastu między jej zachowaniem, a zachowaniem panny Bradshaw podczas jednego czy dwóch późniejszych spotkań.

Uznał, iż nie było sensu nadal czynić atencji Jemimie, skoro była jej ona tak widocznie nie w smak. Tak młoda dziewczyna, która dopiero co opuściła była pokój szkolny, z pewnością uznawała go za starca; a jeżeli nadal nie ustawałby w wysiłkach, aby sprawić, że ona poczyta go za kochanka, mógłby wreszcie utracić przyjaźń, którą go darzyła, a która była i zawsze być miała bardzo jemu droga. Będzie darzył ją czułością; już same jej przywary sprawiały, iż była w jego oczach interesująca, co sobie niezwykle sumiennie i niezwykle bezcelowo wyrzucał wówczas, gdy postrzegał ją jako przyszłą żonę, lecz co obecnie rzeczono sumienie zamierzało zaaprobować, gdy ona na powrót stanie się tylko młodą przyjaciółką, nad którą mógłby roztaczać dobre i zbawienne zainteresowanie. Pani Denbigh, choć niewiele od niej starsza pod względem lat, tak wcześniej zaznała żalu i trosk, że była o wiele starsza pod względem charakteru. Ponadto jej nieśmiała powściągliwość i spokój, z jakim przemierzała codziennie ścieżki obowiązku, odpowiadały w dużej mierze poglądom pana Farquhara odnośnie tego, jaka powinna być żona. A jednak ból sprawiała mu myśl o cofnięciu swych uczuć wobec Jemimy. Gdyby nie dopomogła mu w tym ze wszystkich sił, sam nigdy nie byłby w stanie tego dokonać.

Tak! Jemima ze wszystkich sił postarała się o to, by zrazić do siebie swego kochanka, ukochanego, bo tym w istocie był. Obecnie zaś jej bystre oczy dostrzegły, że przepadł na zawsze i nieodwołalnie; czyż bowiem jej zazdrosne, zbolełe serce nie odczuło, i to zanim jeszcze on sam sobie to uświadomił, że pociągała go słodka, urocza, opanowana i dostojna Ruth – która zawsze pomyślała, zanim przemówiła (o co pan Farquhar zwykł był prosić Jemimę) – która nigdy nie poddawała się nagłym impulsom, lecz kroczyła przez świat spokojna i opanowana. Jakież był pożytek z prawionych przez Jemimę wymówek teraz, gdy wspominała czasy, kiedy on wpatrywał się w nią poważnie, z uwagą, tak jak obecnie wpatrywał się Ruth; i czasy późniejsze, kiedy wiedzioną niezdrową fantazją odwracała się od wszelkich czynionych przezeń awansów!

„Było to w marcu zaledwie – ubiegłego marca – kiedy nazwał mnie »drogą Jemimą«. Ach, czyż nie pamiętam tego dokładnie? Śliczny bukietik cieplarnianych kwiatów, który mi podarował w zamian za dzikie żonkile – i jakże wielce zdawał się cenić kwiaty, które mu dałam – i jakże wówczas na mnie patrzył i jak mi dziękował – wszystko to teraz przepadło i wszystko skończone”.

Przyszły jej siostry, pogodne i rozradowane.

– Ach, Jemimo, jakże ci tutaj miło i chłodno, gdy tak sobie siedzisz w tym zacienionym pokoju! – (Było jej wręcz zimno). – Wybrałyśmy się na bardzo długi spacer! Jesteśmy bardzo zmęczone. Jest bardzo gorąco.

– Dlaczego zatem poszłyście? – zapytała.

– O, chciałyśmy pójść! Pod żadnym pozorem nie chciałyśmy pozostać w domu. Było tak przyjemnie – oznajmiła Mary.

– Byłyśmy w lesie Scaurside, nazbierać poziomek – rzekła Elizabeth. – Jakie mnóstwo! Zostawiłyśmy cały koszyk w spiżarni. Pan Farquhar mówi, że nauczy nas przyrządzać je tak, jak się tego nauczył w Niemczech, jeżeli zdobędziemy dla niego trochę wina reńskiego. Jak myślisz, czy ojczulek da nam trochę?

– Czy pan Farquhar był tam z wami? – zapytała Jemima, a w oczach jej pojawiło się przygaszone światło.

– Owszem; dziś rano powiedziałyśmy mu, że mama kazała nam zanieść stare płótno tamtemu kulawemu człowiekowi z Scaurside Farm i żeśmy chciały nakłonić panią Denbigh, aby pozwoliła nam pójść do lasu nazbierać poziomek – odparła Elizabeth.

– Myślałam, że wynajdzie jakąś wymówkę, by pójść z nami – rzekła bystra Mary, z równą skwapliwością i bezmyślnością obserwująca każdy romans, nie pamiętając przy tym zupełnie, iż niewiele tygodni wcześniej wyobrażała sobie, że pan Farquhar czuł przywiązanie do Jemimy.

– Doprawdy? Ja nie – odparła Elizabeth. – Ja przynajmniej nie myślałam o tym wcale. Byłam zupełnie zaskoczona, kiedy usłyszałam na drodze za nami jego konia.

– Oznajmił, że jedzie na farmę i że może zabrać tam nasz kosz. Czyż to nie było miłe z jego strony? – Jemima nie odpowiedziała, toteż Mary mówiła dalej. – Wiesz, że do gospodarstwa idzie się po dużej stromiźnie, a nam już i tak było bardzo gorąco. Droga była zupełnie biała i spieczona; strasznie mnie od niej bolały oczy. Bardzo się ucieszyłam, kiedy pani Denbigh oświadczyła, że możemy skrócić do lasu. Światło było tam zupełnie zielone, bo gałęzie u góry są bardzo grube.

– I są tam całe kobierce poziomek – rzekła Elizabeth, podejmując wątek, ponieważ Mary zabrakło tchu. Mary wachlowała się kapeluszem, tymczasem Elizabeth mówiła dalej. – Jemimo, znasz to miejsce, w którym wychodzi na powierzchnię szara skała, prawda? A więc była tam wręcz połać poziomekowych chodniczków. Taka śliczna! I prawie nie umiałyśmy stąpać tak, by nie podeptać tych maleńkich jasnoszkarłatnych owoców pod naszymi stopami.

– Bardzo żałowałyśmy, że nie było z nami Leonarda – wtrąciła Mary.

– Owszem! Lecz pani Denbigh zebrała dla niego mnóstwo poziomek. A pan Farquhar oddał jej wszystkie, które sam zebrał.

– Wydawało mi się, żeście mówiły, iż on pojechał na gospodarstwo Dawsona – rzekła Jemima.

– O, to prawda! Pojechał tam; a potem zostawił tam konia, co było mądre, i dołączył do nas w ślicznym, chłodnym, zielonym lesie. Ach, Jemimo, było tam tak ślicznie, drobne plamki światła przenikające tu i tam poprzez liście i drżące na ziemi. Musisz tam jutro z nami pójść.

– Tak – podjęła Mary – jutro znów tam pójdziemy. Żadną miarą nie udało nam się zebrać wszystkich poziomek.

– I Leonard też jutro przyjdzie.

– Tak! Obmyśliliśmy pierwszorzędny plan. Znaczy się, to pan Farquhar go obmyślił – my zamierzałyśmy wnieść Leonarda na wzgórze na tronie z naszych splecionych ramion, ale pani Denbigh nie chciała o tym słyszeć.

– Oświadczyła, że bardzo by nas to zmęczyło; lecz jednak chciała, żeby nazbierała poziomek!

– Wobec tego – wtrąciła Mary, bo teraz już dziewczęta mówiły niemal równocześnie – pan Farquhar posadzi go przed sobą na wierzchowcu i wjedzie z nim na górę.

– Pójdiesz z nami, prawda, kochana Jemimo? – zapytała Elizabeth. – Wyruszamy o...

– Nie! Nie mogę pójść! – Jemima odparła gwałtownie. – Nie proście mnie o to, nie mogę. Jej zachowanie zupełnie uciszyło dziewczynki; jakkolwiek bowiem postępowała wobec tych, którzy przewyższali ją pod względem wieku i doświadczenia, to względem tych, co

znajdowali się niżej od niej, Jemima była prawie niezmiennie łagodna. Czuła, że dziwią się jej zachowaniu.

– Idźcie na górę się rozebrać. Wiecie, że ojczulek nie lubi, gdy wchodzicie do tego pokoju w trzewikach, w których byliście na dworze.

Była rada, iż przerwała siostram te obfitujące w szczegóły wywody, którymi ją tak niemiłosiernie zdręczały – w szczegóły, wobec których winna wpierw okrzepnąć, zanim będzie umiała wysłuchiwać ich ze spokojem, nieporuszona. Wiedziała, że utraciła stanowisko najważniejszej w oczach pana Farquhara, stanowisko, o które nie dbała wówczas, gdy ze spokojem mogła się nim cieszyć; lecz obecnie siłę jego czaru podwajała jeszcze doskwierająca świadomość, że oto zaprzepaściła je własnoręcznie i z własnej winy. Bo gdyby był tym zimnym, wyrachowanym człowiekiem, za jakiego miał go jej ojciec i gdyby w taki sposób był się jej przedstawił, to czy dbałby o wdowę bez grosza przy duszy, znajdującą się w tak skromnym położeniu, jak pani Denbigh; bez majątku, bez stosunków, obciążoną synkiem? Już samo owo postępowanie, które dowodziło, iż Jemima utraciła pana Farquhara, intronizowało go na powrót w jej wyobraźni. Tymczasem trzeba jej teraz znosić wszystko w spokojnym milczeniu, drżąc na każdy nowy dowód tego, że oto nad nią przedkłada inną! Owa inna była zresztą nieskończenie bardziej jego godną, niż ona sama; tak bardzo, że Jemima nie mogła nawet czerpać marnej pociechy z przeświadczenia, iż brak mu rozeznania i że oddaje swe serce pospolitej, czy też nic nie wartą osobie. Ruth była piękna, miła, dobra i sumienna. Na wybladłą twarz Jemimy wypłynął gorący rumieniec, gdy uświadomiła sobie, iż jakkolwiek uznawała obecność w pani Denbigh owych zalet, to jednak nienawidziła jej. Już samo wspomnienie jej marmurowej twarzy przyprawiało o mdłości; cichy jej głos irytował swoją łagodnością. Jej dobroć, choć niewątpliwa, była przykrzejsza niż wiele wad, które miały w sobie smak ludzkich zmagani.

– Cóż to za potworny demon tkwi w twym sercu? – zapytywała Jemimę bardziej anielska strona jej natury. – Czyżbyś istotnie dała się opętać? Czyż to nie właśnie ta przedwieczna, jadowita nienawiść była źródłem tak wielu zbrodni? Nienawiść wobec wszystkich słodkich zalet, co mogłyby zdobyć miłość, której nam odmówiono? Ów przedwieczny gniew, który gorzał w sercu starszego brata, by w końcu znaleźć kres w morderstwie na łagodnym Ablu, gdy świat wciąż jeszcze był taki młody?

– Och, Boże! Dopomóż mi! Nie wiedziałam, że jestem taka zła – wykrzyknęła Jemima w udręce. Straszliwe było owo wejrzenie w mroczną, upiorną czeluść, w to, do czego zdolne było zło w jej sercu. Siłowała się z tym demonem, lecz nie chciał odejść; miała to być walka o jej poddaństwo wobec niego w godzinę okrutnej pokusy.

Przez cały następny dzień siedziała, wyobrażając sobie szczęśliwe poziomkobranie, właśnie tam, w przyjemnym lesie Scaurside. Wyobraźnia podsuwała rojenia, które potęgowały w niej wrażenie, że oboje czerpią radość z tego zajęcia, i które kazały zauważać uwagę pana Farquhara wobec rumieniającej się, przytomnej Ruth, a każde takie rojenie niosło ze sobą kolejne ukłucie wyrzutów i dotkliwej zazdrości. Podniosła się i zaczęła się przechadzać tu i tam, usiłując powstrzymać nadmiernie ożywioną wyobraźnię za pomocą ćwiczeń fizycznych. Lecz przez cały dzień jadła bardzo niewiele, toteż było jej słabo i niedobrze w silnym upale słonecznego ogrodu. Nawet długa, porośnięta trawą ścieżka wzdłuż leszczynowego żywopłotu była spieczona i sucha w żarzącym się sierpniowym słońcu. A jednak to tam znalazły ją po powrocie siostry, pośpiesznie kroczącą w tę i z powrotem, jak gdyby pragnęła się ogrzać w jakiś dzień zimowy. Były bardzo zdrożone; i nawet nie w połowie tak rozmowne, jak ubiegłego dnia, mimo że Jemima łaknęła teraz każdego szczegółu, który przydałby jej jeszcze cierpienia.

– Tak! Leonard wjechał na górę, siedząc przed panem Farquharem. Ach, Jemimo! Jakże gorąco; usiądź, a ja ci wszystko opowiem, bo nie będę mogła tego zrobić, jeśli ty będziesz tak stale chodziła!

– Nie potrafię dzisiaj usiedzieć w miejscu – oznajmiła Jemima, podnosząc się z darni, gdy tylko na niej spoczęła. – Mówże! Mogę cię słuchać i chodzić zarazem.

– Och! Ale ja nie mogę krzyczeć; ledwie mogę mówić, taka jestem zmęczona. Pan Farquhar przywiózł Leonarda...

– Już mi o tym mówiłaś – oświadczyła ostro Jemima.

– Cóż! Nie wiem, o czym jeszcze mogłabym ci powiedzieć. Ktoś tam był po naszej wczorajszej wyprawie i pozrywał niemal wszystkie poziomki z szarej skały. Jemimo! Jemimo! – rzekła Elizabeth słabo. – Tak mi się kręci w głowie... chyba jestem chora.

W następnej chwili zmęczona dziewczynka leżała omdlewająca na trawie. Otworzyło to ujście dla dzikiej energii Jemimy. Z siłą, jakiej nigdy wcześniej ani nigdy później nie zaznała, podniosła omdlałą siostrę i nakazując Mary, by pobiegła i zrobiła przejście, wniosła ją przez otwarte ogrodowe drzwi, potem na górę szerokimi, staroświeckimi schodami i położyła na łóżku w swoim pokoju, do którego poprzez zieloną osłonę z winorośli i jaśminu zawiewał przez okno delikatny i przyjemny wietrzyk.

– Podaj mi wodę. Biegnij po mamę, Mary – rzekła Jemima, widząc, że omdlenie nie ustąpiło pomimo zastosowania ogólnie przyjętego środka zaradczego, jakim było ułożenie chorej w pozycji poziomej i spryskanie jej wodą.

– Kochana! Kochana Lizzie! – rzekła Jemima, całując jej bladą, nieprzytomną twarz. – Zdaje mi się, że mnie kochałaś, skarbie.

Długi spacer w gorący dzień okazał się zbyt wyczerpujący dla delikatnej Elizabeth, która szybko traciła siły. Upłynęło wiele dni, zanim odzyskała choćby część dawnego animuszu i energii. Po owym omdleniu leżała, apatyczna i znużona, pozbawiona apetytu i ciekawości, w łóżku albo na kanapie w pokoju Jemimy, dokąd ją najspierw zaniecono, tymczasem na dworze panowała słoneczna pogoda jesienna. Pani Bradshaw czerpała pociechę z tego, że natychmiast udało jej się odkryć przyczynę wyczerpania Elizabeth; nigdy nie potrafiła spocząć, dopóki nie ustaliła powodu wszelkich boleści i chorób w rodzinie. Pan Bradshaw w chwilach niepokoju związanego z córką znajdował surowe źródło ukojenia w możliwości obarczenia kogoś winą. W przeciwieństwie do żony nie umiał czerpać pociechy z nieożywionego faktu; żądał satysfakcji w postaci poczucia, że ktoś ponosi za wszystko winę i że gdyby nie owa osoba, nigdy by do tego nie doszło. Biedna Ruth nie potrzebowała jego zawołanych wymówek. Kiedy ujrziała swą słodką Elizabeth, jak leży krucha i apatyczna, jęła się w sercu winić za swą bezmyślność tak okrutnie, że uznała wszystkie słowa i wzmianki pana Bradshawa za zbyt łagodną naganę wobec beztroski, z jaką dla przyjemności własnego dziecka pozwoliła swoim dwóm uczenniczkom utrudzić się tak długim spacerem. Błagała żarliwie, by pozwolono jej uczestniczyć w pielęgnowaniu chorej. W każdej wolnej chwili chadzała do pana Bradshawa i prosiła w szczerzej pokorze, by pozwolił jej spędzać ten czas z Elizabeth; a że często pomoc jej przynosiła wychnienie, pani Bradshaw bardzo życzliwie odpowiadała na te apele i prosiła Ruth, by udawała się na górę, gdzie blade oblicze Elizabeth jaśniało na jej widok, lecz gdzie Jemima siedziała w niemym rozdrażnieniu, że oto jej własny pokój stanął teraz otworem dla tej, wobec której buntowało się jej serce, i że był miejscem w pełni jej dostępnym, gdzie mile ją witano. Czy to dlatego, że Ruth, która nie była mieszkanką tego domu, przynosiła ze sobą tchnienie świeżości, dostarczała ożywienia myślom chorej, tego nie wiem, niemniej Elizabeth zawsze witała ją z osobliwą czułością; a jeżeli wcześniej pomimo wszelkich starań Jemimy, by ją w jakiś sposób zająć, popadała w apatyczne znużenie, to ożywiała się, gdy Ruth przychodziła z kwiatem, książką czy rumianobrazową gruszką o ciepłej woni, tej samej, którą roztaczała wcześniej w ogrodzonym kamiennym murem słonecznym ogrodzie przykaplicznego domu.

Jemimie zdawało się, iż zazdrosna niechęć wobec Ruth, której pozwalała wzrastać w swym sercu, nie ujawniała się nigdy w mowie ani w czynie. Zachowywała się ozięble, ponieważ nie umiała być obłudna; lecz słowa jej były z pozoru grzeczne i uprzejme; i podejmowała wysiłek, by również czynom swym nadać taką postać. Lecz zważyć i zmierzyć można tylko cielesną powłokę człowieka; dusza tymczasem nadaje mu życia; a w czynach Jemimy nie kryła się dusza, nie było w nich żadnych wewnętrznych znaczeń. Ruth dotkliwie odczuła ową przemianę. Cierpiała z jej powodu już czas jakiś, kiedy odważyła się zapytać, co było jej przyczyną. Lecz pewnego dnia zaskoczyła pannę Bradshaw, kiedy na kilka minut pozostały sam na sam, zapytawszy, czy jej czymkolwiek dokuczyla, że taka w niej nastąpiła zmiana? Przykra to rzecz, gdy przyjaźń ulega tak silnemu ostudzeniu, że pytanie takie staje się konieczne. Jemima pobladła bardziej jeszcze niż

zwykle, po czym odparła:

– Zmiana! Co masz na myśli? Jakże się zmieniłam? Co takiego mówię bądź czynię inaczej niż dawniej?

Lecz głos jej był tak skępowany i zimny, że serce w Ruth zamarło. Teraz wiedziała już, bo słowa były najlepszym tego dowodem, że nie dość, iż dawne uczucie miłości zgasło w Jemimie, to jeszcze zgasło ono bez żalu i nie czyniono żadnych wysiłków po temu, ażeby je na powrót rozniecić. Dla Ruth miłość była rzeczą cenną, zarówno obecnie, jak i dawniej. Jedną ze słabości jej natury była gotowość do podejmowania wszelkich poświęceń dla tych, którzy ją kochali oraz ceniecie uczuć niemalże ponad ich rzeczywistą wartość. Musiała się jeszcze nauczyć, iż rzeczą cenniejszą jest kochać, niż być kochaną; a jako że najwrażliwsze lata młodości spędziła samotnie – bez rodziców, bez brata czy siostry – nie było przeto chyba rzeczą dziwną, iż tak uparcie lgnęła do każdego przejawu serdeczności i że nie potrafiła bez bólu zrzec się czyjejkolwiek miłości.

Doktor, którego zalecono do Elizabeth, zalecił morskie powietrze jako najlepszy środek na przywrócenie jej sił. Pan Bradshaw, który lubił wydawać pieniądze z ostentacją, pojechał prosto do Abermouth i najął tam dom na resztę jesieni; ponieważ, jak oznajmił medykwowi, pieniądze nie dlań nie znaczyły, gdy stawką było zdrowie dzieci; a doktor zbyt mało dbał o sposób wypełnienia swych zaleceń, ażeby oznajmić panu Bradshawowi, iż kwatery nadawałaby się równie dobrze, a może nawet lepiej, niż cały dom, który uznał był za stosowne nająć. Zrodziło to bowiem konieczność zatrudnienia służby i wiele kłopotów, których można byłoby uniknąć, gdyby zdecydowano się na wynajęcie kwatery, a wówczas przeniesienie Elizabeth nastąpiłoby szybciej i w mniejszym zamieszaniu. Tymczasem ona zmęczyła się od samego słuchania planów i rozmów, i decyzji, które podejmowano i odwoływano, i podejmowano ponownie, zanim jeszcze zaistniała dla niej możliwość wyjazdu. Jediną pociechą była myśl, że droga pani Denbigh będzie jej towarzyszyła.

Lecz pan Bradshaw najął ów nadmorski dom nie tylko po to, aby móc w sposób napuszony wydawać swe pieniądze. Był rad, że pozbywa się z drogi dziewczynki i ich guwernantki; nastawał bowiem pracowity czas, kiedy to pragnął mieć niezajęty niczym umysł, by móc się poświęcić rozważaniom związanym z wyborami, dom zaś miał być również niezajęty, by umożliwić roztoczenie związanej z wyborami gościnności. Był wnioskodawcą projektu wysunięcia kandydata popierającego interesy liberalistów i dysydentów, mającego wziąć udział w walce o fotel ze starym przedstawicielem torysów, który kilka razy z rzędu zwyciężał bez wysiłku, a że wraz z rodziną posiadał połowę miasta, toteż głosy zbierał z równą łatwością, jak czynsz.

Pan Cranworth i jego przodkowie byli królami Eccleston od wielu długich lat; prawa ich tak rzadko poddawano pod dyskusję, iż nigdy im przez myśl nie przeszło, ażeby wyrazić podziękowania za lojalność, którą im tak ochoczo okazywano. Dawna feudalna więź między właścicielem ziemskim a dzierżawcą nie zatrzęsła się od proroczych wizji wraz z pojawieniem się fabryk; ród Cranworthów ignorował rosnących w siłę fabrykantów, w szczególności dlatego, że główny przedstawiciel kupców był dysydentem. Jednakże pomimo braku patronatu ze strony jednego z wielkich okolicznych rodów, interes kwitł, wzrastał i się rozrastał; a jego dysydencki naczelnik mniej więcej wówczas właśnie rozejrzał się i poczuł na tyle silnym, by przeciwstawić się wielkiemu kandydatowi Cranworthów, panującemu niezmiennie w swej rodowej twierdzy, i w ten sposób pomścić afronty, których doświadczał od wielu lat – afronty, które jątrzyły umysł pana Bradshawa tak bardzo, jak gdyby nie chadzał do kaplicy dwukrotnie każdej niedzieli i nie płacił najwyższego czynszu za ławkę spośród wszystkich członków zgromadzenia pana Bensaona.

Wobec tego pan Bradshaw zwrócił się do jednego z liberalnych agentów parlamentarnych^[62] w Londynie – człowieka, którego jedyną zasadą było czynić rzeczy niesłuszne wyłącznie dla dobra liberalistów; dla torysa nie podjąłby żadnego działania, ani słusznego, ani niesłusznego, natomiast granic, do jakich mógłby się posunąć w swym postępowaniu w przypadku wiga^[63] jeszcze nie odkryto. Być może pan Bradshaw nie zdawał sobie sprawy z charakteru owego agenta; tak czy owak wiedział, że był to człowiek przydatny w dojściu do celu, a celem tym było dowiedzieć się, czy jest ktoś, kto zechciałby zgłosić swą kandydaturę na przedstawiciela Eccleston z poparciem dysydentów.

– W przybliżeniu jest tam około sześciuset wyborców – oznajmił – dwustu opowiada się zdecydowanie za Cranworthem – nie ośmieliliby się uchybić panu Cranworthowi, biedaczyska! Kolejnych dwustu moglibyśmy uznać za dość pewnych – są to robotnicy fabryczni albo ludzie w taki czy inny sposób związani z naszym fachem – ludzie, których oburza upór, z jakim Cranworth odmawia prawa do przepływających przez jego ziemie wód; do tego dwie setki niezdecydowanych.

– A zatem nie dbają ani o jedną, ani o drugą stronę – rzekł agent parlamentarny. – Rzecz jasna musimy sprawić, by zadbali.

Pan Bradshaw wzdygnął się raczej na widok porozumiewawczego spojrzenia, które towarzyszyło tej wypowiedzi. Miał nadzieję, że pan Pilson nie czynił w ten sposób aluzji do przekupstwa; lecz nie wyraził tej nadziei, ponieważ uznał, iż tym samym odwiódłby agenta od zamiaru sięgnięcia po ów środek, tymczasem mogło się przecież okazać, że był to jedyny sposób, by osiągnąć cel. A jeżeli on (pan Bradshaw) raz już rozpoczął podobne przedsięwzięcie, to nie mogło być mowy o porażce. Powodzenie musiało być pewne, mniejsza o zabiegi, które miały do niego doprowadzić, w przeciwnym bowiem razie nie zamierzał mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

Agent parlamentarny nawykł do borykania się ze wszelkiej maści skrupułami. Najswobodniej współpracowało mu się z tymi, którzy nie mieli żadnych; niemniej był wyrozumiały wobec ludzkich słabości; doskonale rozumiał zatem pana Bradshawa.

– Mam wrażenie, iż znam człowieka, który nada się doskonale. Ma mnóstwo pieniędzy – prawdę rzekłszy, nie wie, co z nimi robić... znużony żeglarstwem i podróżami; pragnie odmiany. Słyszałem z pewnych źródeł, które dostarczają mi różnych wiadomości, iż zupełnie niedawno zapragnął zasiąść w parlamencie.

– Liberal? – zapytał pan Bradshaw.

– Zdecydowanie. Należy do rodu, który w swoim czasie zasiadał w Długim Parlamencie^[64]. Pan Bradshaw zatarł dłonie.

– Dysydent? – zapytał.

– Nie, nie! Nie aż tak. Lecz bardzo luźno związany z Kościołem.

– Jak się nazywa? – zapytał pan Bradshaw ochoczo.

– Proszę wybaczyć. Dopóki się nie upewnię, iż zamierza zgłosić swą kandydaturę w Eccleston, dopóty nie powinienem, jak sędzę, wyjawiać jego nazwiska.

Ów anonimowy dżentelmen zechciał zgłosić swą kandydaturę, a jego nazwisko, jak się okazało, brzmiało Donne. Prowadził korespondencję z panem Bradshawem przez cały okres choroby pana Ralphi Cranwortha; a kiedy ów zmarł, wszystko było już gotowe do rozpoczęcia kampanii, nawet zanim jeszcze Cranworthowie zdecydowali, kto powinien grać fotel do chwili osiągnięcia dojrzałości przez najstarszego syna, którego ojciec był już wówczas reprezentantem hrabstwa. Pan Donne miał przyjechać, by osobiście zabiegać o głosy wyborców i miał zamieszkać u pana Bradshawa; dlatego też okazało się, iż ów położony w odległości dwudziestu mil od Eccleston dom nad morzem tak dogodnie pełnił rolę szpitala i pokoju dzieciennego dla tych członków jego rodziny, którzy prawdopodobnie okazałiby się nieprzydatnymi, a może wręcz zawadzałiby podczas zbliżających się wyborów.

ROZDZIAŁ XXII

Kandydat liberalny i jego zwiastun

Jemima nie wiedziała, czy chce pojechać do Abermouth, czy też nie. Pragnęła odmiany. Sprzykrzyło jej się oglądanie i słuchanie tego, co się działo w domu. Jednakowoż nie umiała znieść myśli o oddaleniu się od pana Farquhara; tym bardziej, że jeżeli pojechałaby do Abermouth, Ruth najprawdopodobniej zostałaby w domu, ażeby tam spędzić urlop.

Kiedy pan Bradshaw zdecydował, że Ruth ma pojechać, ta usiłowała poczuć się rada, iż nadarzy się okazja, by naprawić swą przewinę względem Elizabeth; i postanowiła jak najwierniej i jak najostrożniej czuwać nad dziewczynkami i czynić wszystko co w jej mocy, aby przywrócić rekonwalescentkę do zdrowia. Lecz za każdym razem na myśl o opuszczeniu Leonarda przeszywał ją dreszcz; nigdy dotąd nie zostawiła go choćby na jeden dzień i wydawało jej się, że nieustanna, troskliwa matczyzna opieka była dlań naturalną i konieczną osłoną przed wszelkim złem – nawet przed samą śmiercią. Nocami nie kładła się spać, ażeby nacieszyć się błogosławioną świadomością, że ma go przy sobie, blisko; gdy była z dala od niego, nauczając swe podopieczne, usiłowała przypomnieć sobie jego twarz i odcisnąć ją głęboko w sercu, na przyszły czas, kiedy to przez wiele, wiele dni miała nie oglądać tej ukochanej twarzyczki. Panna Benson podzieliła się z bratem swoim zaskoczeniem, iż pan Bradshaw nie zaproponował, by Leonard towarzyszył matce; pan Benson błagał siostrę, aby nie podsuwała Ruth do głowy takiej myśli, był bowiem pewien, że pan Bradshaw nie zamierzał niczego takiego uczynić, tymczasem dla Ruth mogłoby to oznaczać nadzieję zwieńczoną rozczarowaniem. Siostra złażała go za tę nieczułość; lecz on był pełen współczucia, jakkolwiek nie dawał mu wyrazu i w skrytości poczynił pewne drobne wyrzeczenia po temu, aby móc zabrać Leonarda na długą pieszą wycieczkę w dzień wyjazdu jego matki z Eccleston.

Ruth płakała tak długo, aż zabrakło jej łez i zawstydziała się za siebie niezmiernie, kiedy dostrzegła poważne, zdziwione spojrzenia uczennic, które w związku z opuszczeniem domu i na myśl o Abermouth odczuwały radość jedynie, a w ich umysłach nigdy nie powstała obawa, że ktokolwiek z ukochanych bliskich mógłby umrzeć. Ruth osuszyła oczy i przemówiła wesoło, gdy tylko zauważyła malujące się na ich twarzach zakłopotanie; nim zaś dotarły do Abermouth, była równie jak one zachwycona nowym pejzażem i niemałego wysiłku wymagało od niej zdobycie się na odmowę wobec ich prośb, aby natychmiast udać się na włóczęgę po wybrzeżu; lecz Elizabeth utrudziła się owego dnia bardziej niż w ciągu ubiegłych wielu tygodni, toteż Ruth postanowiła być roztropną.

Tymczasem dom Bradshawów w Eccleston pośpiesznie dostosowywano do potrzeb przedwyborczej gościnności. Rozbito ściankę działową między nieużywaną bawialnią a pokojem szkolnym, aby wstawić tam składane drzwi; „najzmyślniejszy” tapicer w mieście (a które miasto nie szczyci się tapicerem o nieprzeciętnej pomysłowości i zaradności, w przeciwieństwie do tapicera o solidnym majątku i braku wyobraźni, z pełną niepokoju pogardą patrzącego na zmyślność?) przybył, ażeby wydać opinię, iż „nie ma nic prostszego, aniżeli przekształcić łazienkę w sypialnię za pomocą draperyjki osłaniającej wannę z prysznicem”, sznur zaś od owej draperii należało ostrożnie ukryć z obawy, iż nieświadomy lokator wannę-łóżka mógłby w naiwności swojej uznać go za linkę od dzwonka na służbę. Najęto już zawodową kucharkę z miasta, by na miesiąc zamieszkała u pana Bradshawa, ku dużemu oburzeniu Betsy, która stała się zaciekle stronnicek pana Cranwortha, gdy tylko usłyszała o zamiarach usunięcia jej ze stanowiska suwerennej władczyni w kuchni, gdzie panowała niepodzielnie od czternastu lat. Pani Bradshaw wzdychała i lamentowała w każdej wolnej chwili, a tych nie było wiele, i zastanawiała się, z jakiej przyczyny

należało przerobić ich dom na gospodę dla owego pana Donne'a, skoro wszystkim wiadomo, iż Cranworthom, którzy nigdy nie spraszali wyborców do swej posiadłości, wystarczał nocleg u George'a; wszak mieszkali w posiadłości Cranworth od czasów Juliusza Cezara, a jeżeli ów fakt nie dowodził, iż byli starym rodem, to ona nie wiedziała, czego w takim razie dowodził. Cała ta krzątająca się Jemima kochała ją. Miała zajęcie. To ona rozmawiała się z tapicerem; to ona ułagodziła Betsy, która obecnie już tylko gniewnie milczała; to ona namówiła matkę, by się położyła i odpoczęła, podczas gdy sama pojechała kupić różnorodne rzeczy potrzebne do nadania rodzinie i domowi przyzwoitego wyglądu na przyjazd pana Donne'a i jego zwiastuna – przyjaciela agenta parlamentarnego. Ostatni z wymienionych panów nigdy nie pojawiał się osobiście na scenie wydarzeń, niemniej to właśnie on pociągał za wszystkie sznurki. Przyjacielem jego był niejaki pan Hickson, prawnik – adwokat bez teki, jak zwali go niektórzy; lecz on sam utrzymywał, iż prawo napawa go niezmiernym wstrętem, gdyż jest to „wielkie pozorantwo”, które wymaga bezmiaru pokrętnych działań i służalczej czolobitności, i oportunistycznego, i jest całkowicie skrępowane bezużytecznymi modłami i ceremoniami, i martwymi, przestarzałymi słowami. Toteż miast trudzić się i mozolić, aby zreformować prawo, wygłaszał elokwentne przemowy przeciwko temu prawu, w sposób tak godny najświętszych kapłanów, iż słuchacz zastanawiał się niekiedy, jakże też udało mu się zaprzyjaźnić z wspomnianym wcześniej agentem parlamentarnym. Lecz jak twierdził sam pan Hickson, walczył on właśnie wbrew sprzedajności prawa, czyniąc wszystko, co było w jego mocy, ażeby wpłynąć na powrót pewnych członków do parlamentu; według pana Hicksona wspomniani pewni członkowie deklarowali chęć wprowadzenia reformy prawa. A jak to on razu pewnego zauważył w zaufaniu:

– Gdyby miał pan zniszczyć potwora o łbach hydry, to czyż mierzyłby się pan na miecze z tym demonem, jak gdyby to był dżentelmen? Czy nie pochwyciłby pan raczej pierwszej z brzegu broni? Ja również tak właśnie czynię. Wielkim celem mego życia jest, proszę pana, przeprowadzenie reformy prawodawstwa Anglii. Trzeba tylko wprowadzić do izby większość liberalną, a sprawa załatwiona. Ja zaś wobec tak szczytnego – lub, jeśli wolno mi rzec, tak świętego – celu czuję się usprawiedliwiony, gdy sięgam ku słabości ludzkiej, ażeby wypełnić swe zadanie. Rzecz jasna, gdyby ludzie byli aniołami, czy gdyby byli choćby nieskalani – gdyby byli niepodatni na przekupstwo, wówczas nie chcielibyśmy uciekać się do przekupstwa.

– A czy mogliby panowie wówczas to czynić? – zapytała Jemima, ponieważ rozmowa ta toczyła się przy stole obiadowym pana Bradshawa, gdzie zebrało się kilku przyjaciół, aby poznać pana Hicksona; był pośród nich pan Benson.

– Ani byśmy nie chcieli, ani też nie mogli – odparł gorliwy adwokat, lekceważąc w swym zapale sedno tego zapytania i przepływając ponad poprzeczką dyskusji ku szerokiemu oceanowi własnego krasomówstwa. – Lecz w panującej rzeczywistości – podług warunków rządzących światem, aby odnieść powodzenie nawet w czynieniu dobra, człowiek zmuszony jest zniżyć się do oportunistycznego; wobec tego ja raz jeszcze powtórzę, jeżeli pan Donne jest człowiekiem, który umożliwi realizację państwa celu, a cel ów jest dobry, wzniosły i święty – pan Hickson pamiętał bowiem, iż jego niewielka publika składała się z dysydentów i osobiście uznał zastosowanie wyrazu „święty” za najszcześniejsze posunięcie – to twierdzą, iż trzeba nam odłożyć na bok wszelkie przewrażliwienie i skrupuły, które mogłyby licować z Utopią, bądź też innym podobnym miejscem, i zacząć uważać ludzi za takich, jakimi są w istocie, i odpowiednio się do tej istoty odnosić. Jeżeli są zachłanni, to nie myśmy ich takimi uczynili; lecz skoro mamy z nimi przestawać, trzeba nam brać pod rozwagę ich słabości; jeżeli bywają beztroscy czy rozrzutni, bądź miewają na sumieniu drobne grzeszki, trzeba nam ich powściągać. Chwalebna reforma prawa uświęci w moim przekonaniu wszelkie środki potrzebne do osiągnięcia celu – tego samego prawa, z którego kręgów się wycofałem, kierując się być może zbyt skrupułem sumienia! – zakończył łagodnie, mówiąc do siebie.

– Nie wolno nam czynić zła, ażeby doprowadzić do dobra – oznajmił pan Benson. Zaskoczyło go, jak głęboki dobył z siebie głos, gdy wymawiał te słowa; lecz od pewnego już czasu się nie odzywał, toteż głos jego zabrzmiał silnie i równomiernie.

– To prawda, panie, najprawdziwsza prawda – odparł pan Hickson z ukłonem. – Szanuję

pana za to spostrzeżenie. – I skorzystał z niego do tego stopnia, iż dalsze swe uwagi na temat wyborów adresował już tylko do osób przy końcu stołu, gdzie sam siedział nieopodal pana Bradshawa i jednego czy też dwóch innych równie gorliwych, aczkolwiek nie tak wpływowych stronników pana Donne'a. Tymczasem pan Farquhar posłyszał wypowiedź pana Bensona przy drugim końcu stołu, gdzie siedział wraz z Jemimą w pobliżu pani Bradshaw i duchownego.

– Lecz obecnie, kiedy świat wygląda tak, a nie inaczej, istotnie dość trudno jest, jak mówi pan Hickson, działać w oparciu o ową zasadę.

– Ależ panie Farquhar! – rzekła Jemima z oburzeniem, a w oczach jej pojawiły się łzy zawodu. Drażniło ją bowiem wszystko, co powiedział pan Hickson, a uczucie to zwiększyły być może jeszcze jedna czy dwie podjęte przezeń próby nawiązania flirtu z córką zamożnego gospodarza, które napawały jej zafrasowane serce przemożną odrazą; i zapragnęła być mężczyzną, by móc dać wyraz gniewowi, jaki wzbudzało w niej takie kramarzenie dobrem i złem. Poczula wdzięczność wobec pana Bensona za jego jedną, jasną, zwięzłą wypowiedź, udzieloną z boską mocą, wobec której nie było odwołania; a teraz jeszcze pan Farquhar brał stronę oportunistów! Było to bardzo przykre.

– Nie, Jemimo! – odparł pan Farquhar, a ów widoczny przejaw bólu, jaki sprawiła jego wypowiedź, wzruszał go i w duchu mu schlebiał. – Nie gniewaj się na mnie, dopóki nie wyjaśnię lepiej, co mam na myśli. Sam siebie jeszcze nie pojmuję; a pytanie odnośnie do poglądu pana Bensona, które zamierzałem zadać szczerze, poważnie i pokornie, bardzo jest zawikłane, lub mnie przynajmniej takim się wydaje. A zatem, panie Benson, jeżeli wolno mi będzie zapytać, czy pan zawsze uważa za rzecz możliwą działać ściśle w zgodzie z ową zasadą? Bo jeżeli pan tak nie uważa, to ja pewien jestem, że żaden z żyjących ludzi uważać tak nie może! Czyż nie występują czasem okoliczności, wobec których rzeczą zupełnie konieczną jest przebrnąć przez zło ku dobru? Nie mówię o lekkomyślnym, pełnym zadufania postępowaniu tego tam człowieka – rzekł, zniżając głos i zwracając się niemal wyłącznie do Jemimy. – Jestem naprawdę ciekaw usłyszeć, co pan Benson ma do powiedzenia na ten temat, nie znam bowiem żadnego człowieka, do którego szczerzej opinii przywiązywałbym równie wielką wagę.

Lecz pan Benson milczał. Nie widział, kiedy pani Bradshaw i Jemima opuściły pokój. Był doprawdy, jak podejrzewał pan Farquhar, zupełnie nieobecny, gdy zapytywał siebie o to, jak dalece jego postępowanie zgadzało się z jego zasadami. Stopniowo doszedł do siebie; okazało się, że rozmowa wciąż jeszcze dotyczy wyborów; pan Hickson zaś, który czuł, iż jego wypowiedź była rażąco sprzeczna z zasadami małego pastora, a przy tym wiedział, dzięki wytycznym, jakie otrzymał od zwiadowców agenta parlamentarnego, że pan Benson był osobą, którą należało sobie zjednać z uwagi na jego wpływ na wielu spośród ludzi pracy, jął mu zadawać pytania z pozą uszanowania wobec wyższości jego wiedzy, co niemalże zaskoczyło pana Bradshawa, który zwykł był traktować „Bensona” w sposób zgoła inny, z ową grzeczną, łaskawą pobłażliwością, z jaką słucha się dziecka, które nie miało okazji po temu, aby się dowiedzieć, że danej rzeczy mówić nie należy.

Na zakończenie rozmowy, jaką pan Hickson prowadził z panem Bensonem na temat, który bardzo tego ostatniego interesował, wobec czego okraszył go dość obszerną wypowiedzią, młody adwokat zwrócił się do pana Bradshawa i rzekł bardzo głośno:

– Szkoda, że nie ma tutaj Donne'a. Rozmowa, którą prowadziliśmy przez ostatnie pół godziny zainteresowałaby go niemal tak bardzo, jak mnie.

Pan Bradshaw nie domyślał się, iż w rzeczywistości pan Donne w tej właśnie chwili doszkalał się z różnych zagadnień dotyczących interesów społeczności Eccleston i w duchu przeklinał temat, nad którym pan Benson rozwodził się przed chwilą, jako nieczytelny przejaw donkiszotyizmu; w przeciwnym bowiem razie pierwszy dysydent miasta nie doświadczałby obecnie ukłucia zazdrości z powodu podziwu, jakim być może w przyszłości obdarzyć miał pana Bensona przyszły być może reprezentant Eccleston. A gdyby pan Benson był jasnowiedzem, nie musiałby czynić szczególnego powodu do wdzięczności z oczekiwania, iż być może udałoby mu się zainteresować pana Donne'a sprawami mieszkańców Eccleston w stopniu, który spowodowałby jego przeciwstawienie się wszelkim próbom przekupstwa.

Pan Benson rozmyślał przez pół nocy; gdy skończył, powziął postanowienie, że napisze kazanie o chrześcijańskim postrzeganiu politycznych powinności, które być może posłużyłoby wszystkim, zarówno wyborcom, jak i kandydatowi, gdyby je usłyszeli w wigilię dnia wyborów. Pana Donne'a spodziewano się bowiem u pana Bradshawa przed nadchodzącą niedzielą i, jak ustalili pan i panna Benson, miał on rzecz jasna pójść z nimi tego dnia do kaplicy. Lecz dokuczliwy głos sumienia nie pozwalał się uciszyć. Żaden obecny pożyteczny plan nie mógł uśmierzyć bolesnego wspomnienia zła, które uczynił, ażeby mogło nadejść dobro. I nawet widok Leonarda, kiedy oświetliła go blada poświata brzasku, a bezsenne oczy pana Bensona ujrzały różany blask jego krągłych, czerstwych policzków; otwarte usta, przez które łagodne, długie oddechy przechodziły delikatnym drzeniem; oczy niezupełnie zamknięte, lecz zamknięte wobec obserwatora – nawet postać cichego, niewinnego dziecka nie mogła ukoić znękanego ducha.

Owej nocy Leonard i jego matka śnili o sobie nawzajem. Jej sen był pełen nieokreślonej grozy – grozy tak wielkiej, że aż ją zbudziła, a Ruth usiłowała nie zasnąć ponownie z obawy przed powrotem owego upiornego, złowieszczego snu. On zaś, przeciwnie, śnił o matce, która siedziała, patrząc nań i uśmiechając się przy jego łóżku, jak to łagodnie czyniła w niejednym poranku; a zobaczywszy, że się zbudził (tak bowiem czuł to we śnie), uśmiechnęła się jeszcze milej i pochyliwszy się, ucałowała go, a potem rozpostarła swe duże, miękkie skrzydła o białych piórach (co w żadnej mierze nie zaskoczyło dziecka – zdawało się, że wiedział, iż tam były) i poszybowała przez otwarte okno hen, daleko ku błękitnemu niebu dnia letniego. Wówczas Leonard się obudził i przypomniał sobie, jak daleko ona naprawdę była – o wiele dalej, o wiele bardziej poza jego zasięgiem, niż piękne błękitne niebo, ku któremu odleciała w jego śnie – i płakał tak długo, aż ponownie zasnął.

Mimo że nie było przy niej dziecka, co stanowiło stały i wielki powód do smutku, pobyt nad morzem sprawiał Ruth niezmierną przyjemność. Po pierwsze, wspaniale było obserwować, jak z dnia na dzień i niemal z godziny na godzinę Elizabeth powraca do zdrowia. Po wtóre, zgodnie z kategorycznymi zaleceniami doktora, lekcji było tak niewiele, że miały czas na długie poznawcze włączki, za którymi wszystkie trzy przepadały.

Był to duży dom, zbudowany na szczycie nawisu skalnego, który niemalże przysłaniał znajdujący się w dole brzeg; rzecz jasna ku czółu tej skały biegingy w dół wytyczone zygzakowate ścieżki, lecz nie można ich było dostrzec z domu. Ludzie starzy czy też wątłego zdrowia uznaliby to miejsce za posępne i nieosłonięte; istotnie, obecny właściciel pragnął się go pozbyć z tego właśnie względu; lecz dla obecnych mieszkanek ów brak osłony i posępność przybrały inne imiona i postrzegane były przez nie jako czarowne. Z każdego pomieszczenia widziały szare chmury burzowe zbierające się na morskim widnokręgu, i ustawiające się w marszowym szyku; niebawem ów szyk marszowy przeobraził się w ruch omiatający i ogromną kopułę niebios pokryły upiorne chmury, spomiędzy zaś nich a wyrazistej zieleni ziemi leżącej poniżej zdawała się wyzierać purpurowa aura, czyniąca to, co groźne – pięknym; niebawem też dom spowijały już rzęsiste strugi deszczu zasłaniające niebo i morze, i krajobraz lądowy; aż wnet nawałnica przeminęła i ciężkie krople deszczu załśniły w słońcu, wisząc na liściach i źdźbłach trawy, podczas gdy „śpiewały ptaszynki na wschodzie i na zachodzie ptaszynki śpiewały”^[65], a wszędzie wokół pobrzmiwał przyjemny odgłos płynących wód.

– Ach! Gdyby tak ojczulek zechciał kupić ten dom! – wykrzyknęła Elizabeth po jednej z takich nawałnic, którą oglądała w milczeniu od samego początku, gdy pojawił się „obłok mały, jak dłoń człowieka”^[66].

– Obawiam się, że mamie by się tutaj wcale nie spodobało – rzekła Mary. – Nazywałyby nasze rozkoszne powiewy powietrza przeciugiem i myślałyby, że się pozaziębiamy.

– Jemima wzięłaby naszą stronę. Lecz jakże długo pani Denbigh nie wraca! Mam nadzieję, że była już nieopodał poczty, kiedy nadszedł deszcz!

Ruth poszła do „sklepu” w niewielkiej wiosce oddalanej o około pół mili od domu, w którym zostawiano do odbioru wszystkie listy. Spodziewała się tylko jednego, który nieść miał nowiny o Leonardzie. Tymczasem otrzymała dwa; ten niespodziewany był od pana Bradshawa, a wieści, jakie zawierał, były, o ile to możliwe, bardziej jeszcze zaskakujące, niż sam list. Pan

Bradshaw oznajmiał, iż zamierzał przybyć do Eagle's Crag^[67] w następną sobotę około pory obiadowej; co więcej, miał zamiar sprowadzić ze sobą pana Donne'a oraz jednego czy dwóch innych dżentelmenów, by spędzić tam niedzielę! Dalej list zawierał wszelkie możliwe wskazówki dotyczące przygotowania domu. Obiad ustalono na szóstą; ale rzecz jasna Ruth i dziewczęta miały zjeść o wiele wcześniej. Kucharka (zawodowa) miała przybyć dzień wcześniej, objuczona wszystkimi składnikami, których nie można było zdobyć na miejscu. Ruth miała nająć służącą z gospody i właśnie to zadanie zajęło jej tak wiele czasu. Gdy siedziała w niewielkiej bawialence, czekając na gospodynię, mimowolnie zastanawiała się, po cóż pan Bradshaw sprowadzał owego obcego pana na dwa dni do Abermouth, narażając się przez to na tyle trudu i zamieszania związanego z przygotowaniami.

Na jeden duży powód, który przekonał pana Bradshawa do potrzeby powzięcia tego kroku, złożyło się tak wiele drobnych powodów, iż mało było prawdopodobne, ażeby Ruth odgadła choćby połowę z nich. Po pierwsze, panna Benson, z sercem przepelnionym dumą oznajmiła pani Bradshaw to, co powiedział jej brat; że zamierzał wygłosić kazanie o chrześcijańskim postrzeganiu powinności związanych z prawami politycznymi; a jako że, rzecz jasna, pani Bradshaw powtórzyła to panu Bradshawowi, on ją postrzegał zamiar udania się w niedzielę do kaplicy za zupełnie niepociągający; miał bowiem nieprzyjemną świadomość, iż podług miary chrześcijańskiej – owego boskiego sprawdzianu tego, co czyste i prawdziwe – przekupstwo nie spotkałoby się wcale z aprobatą; tymczasem on milcząco zaczynał godzić się z myślą, iż będzie tu potrzeba „paczek” pieniędzy, jakkolwiek cel ich przeznaczenia miał pozostać nieznanym zarówno jemu, jak i panu Donne'owi. Lecz byłoby rzeczą wielce niezręczną, gdyby teraz, kiedy czas po temu był już tak blisko, tak jednoznacznie dał się przekonać, iż przekupstwo, jakkolwiek zamaskowane za pomocą określeń oraz słów, było, mówiąc bez obłonek, grzechem. Niemniej pan Benson już dawniej raz czy dwa zdołał go przekonać wbrew jego woli w kwestii pewnych rzeczy, tak że odtąd ich czynienie obarczone było już stale tak przemożnym niepokojem umysłu, iż zupełnie je zarzucił, co było niestety sprzeczne z jego interesem. A jeżeli pan Donne (którego zamierzał zabrać do kaplicy jako łatwą zdobycz dla dysydentów) również dałby się przekonać, to przecież wówczas Cranworthowie odnieśli by zwycięstwo, on zaś stałby się pośmiewiskiem Eccleston. Nie! W tym jednym przypadku należało pozwolić na przekupstwo – było ono dozwolone; lecz to wielka szkoda, iż natura ludzka tak jest zdeprawowana, a jeżeli jego kandydat odniesie powodzenie, on sam podwoi datki na szkoły, po to ażeby przyszłe pokolenie mogło wykształcić się na lepszych ludzi. Istniały też rozmaite inne powody, które utwierdziły pana Bradshawa w błyskotliwym pomysle, by wyjechać na niedzielę do Abermouth; niektóre wiązały się z polityką zewnętrzną, niektóre zaś z wewnętrzną. Na przykład w niedzielę w jego domu jadano zawsze zimne obiady^[68] – pan Bradshaw szczylił się surowym przestrzeganiem tej zasady – a jednak instynktownie czuł, iż pan Donne niezupełnie był człowiekiem, który z uwagi na spokój sumienia raczyłby się zimnym mięsem, okazując pogodną obojętność wobec rodzaju spożywanej potrawy.

W rzeczywistości pan Donne zaskoczył nieco Bradshawów. Zanim przyjechał, pan Bradshaw cieszył się myślą, iż zdarzały się już rzeczy dziwniejsze, niż zaślubiny jego córki z reprezentantem niewielkiego okręgu. Lecz jego piękna wizja rozplynęła się w powietrzu, gdy tylko ujrzał pana Donne'a; w ciągu niespełna pół godziny zaś zapomniał już o niej zupełnie, kiedy wyczuł widoczną pod każdym względem subtelną, acz niezaprzeczalną różnicę pozycji i klasy pomiędzy gośćmi, których przyjął, a własną jego rodziną. Najwyraźniejszym, choć być może niezamierzonym jej przejawem, było sprowadzenie służącego, co dla pana Donne'a zdawało się rzeczą równie oczywistą, jak przywiezienie ze sobą dywanowej torby (jakkolwiek przybycie owego eleganckiego dżentelmena o wiele bardziej „zaniepokoiło Wolsków w Corioli”^[69], aniżeli przybycie jego pana o łagodnym obejściu). Nigdy dotąd nie widział niczego podobnego; było to coś nieopisanego – ciche, swobodne obejście i oczekiwanie takiegoż od pozostałych – atencja wobec kobiet, tak dlań naturalna, iż nieświadomie okazywał ją podrzędnym członkom rodziny pana Bradshawa – radosny dobór prostych i wyrazistych słów, a trzeba przyznać, iż niektóre spośród nich były gwarowe, lecz była to gwara modna, co zmieniało postać rzeczy – wyważony, wdzięczny sposób wypowiedzi, okraszony wymową zupełnie odmienną od ecclestońskiej. Wszystko to razem

stanowiło nieledwie część nieopisanej całości, która wywarła podświadome wrażenie na panu Bradshawie i utwierdziła go w ocenie, iż pan Donne to istota zgoła odmienna od wszystkich dotąd mu znanych i w największej mierze nieodpowiedni partner dla Jemimy. Pan Hickson, który przed przyjazdem pana Donne'a jawił się był jako uosobienie eleganckiej swobody, stał się obecnie w oczach pana Bradshawa człowiekiem ordynarnym i grubiańskim. Niemniej ów flegmatyczny, wielkopański sposób bycia pana Donne'a miał w sobie tak wiele czaru, iż pan Bradshaw natychmiast (jak wyznał panu Farquharowi) „znalazł upodobanie” w swym nowym kandydacie. Obawiał się tylko, czy aby nie nazbyt był on obojętny wobec wszystkich rzeczy pod słońcem, ażeby dbać o to, czy wygra wybory, czy też nie; lecz uspokoił się po pierwszej rozmowie, jaką przeprowadzili na ten temat. Oczy pana Donne'a jaśniały niemalże płomiennym zapalem, jakkolwiek mowa jego była nie mniej niż zwykle melodyjna i powolna; a kiedy pan Bradshaw nawiązał niebezpośrednio do „prawdopodobnych wydatków” oraz „paczek”, pan Donne odparł:

– Ach, naturalnie! Przykra konieczność! Lepiej mówić o takich rzeczach najmniej, jak to możliwe; wykonanie całej tej brudnej roboty powierzyć można komu innemu. Pewien jestem, iż ani pan, ani ja nie chcielibyśmy kłaść nią sobie palców. W rękach pana Pilsona są cztery tysiące funtów, a ja nie zamierzam go nigdy pytać, co się z nimi dzieć będzie; wie pan, jest bardzo prawdopodobne, iż pochłoną je wydatki prawne. Podczas kampanii wyborczej dam jasno do zrozumienia, iż zdecydowanie potępiam przekupstwo, resztę zaś pozostawię w rękach Hicksona. On jest przyzwyczajony do podobnych rzeczy. Ja nie jestem.

Pan Bradshaw był dość zdumiony takim brakiem energicznej zwawośći nowego kandydata; i gdyby nie rzeczony cztery tysiące funtów, byłby zwątpił, czy pan Donne istotnie wystarczająco troszczył się o wynik wyborów. Jemima myślała inaczej. Obserwowała gościa ojca uważnie, z zaciekawieniem podobnym do tego, którym przyrodnik obdarza nowy gatunek zwierzęcia.

– Czy mama wie, kogo przypomina mi pan Donne? – rzekła pewnego dnia, gdy obie siedziały nad robótkami, a panowie udali się byli zabiegać o głosy.

– Nie! Nie przypomina mi nikogo, kogom kiedykolwiek widziała. Zupełnie mnie przeraża tą swoją gotowością do otwierania przede mną drzwi, kiedy wychodzę z pokoju albo do podsuwania krzesła, kiedy wchodzę. Nigdy jeszcze nie widziałam nikogo jemu podobnego. Kogo ci przypomina, Jemimo?

– Nie osobę, nie człowieka, mam – rzekła Jemima, uśmiechając się lekko. – Pamięta mama, jakeśmy się kiedyś zatrzymali w Wakefield w drodze do Scarborough i gdzieś odbywały się wyścigi konne, a niektóre z wierzchowców były w stajniach gospody, w której jedliśmy obiad?

– Owszem! Pamiętam; ale cóż w związku z tym?

– A więc Richard znał skądś jednego z jeźdźców, a kiedy wracaliśmy z przechadzki po mieście, mężczyzna ten, czy też chłopiec, poprosił, ażebyśmy zerknęli na jednego z koni wyścigowych, którymi się opiekował.

– I cóż, moja droga!

– Cóż, mam! Pan Donne jest taki jak ów koń!

– Nonsens, Jemimo; nie wolno tak mówić. Nie wiem, co powiedziałby twój ojciec, gdyby słyszał, że porównujesz pana Donne'a do zwierzęcia.

– Zwierzęta bywają niekiedy bardzo piękne, mam. Z pewnością uznałabym to za komplement, gdyby mnie kto porównał do klaczy wyścigowej takiej jak ta, którąśmy widzieli. A są do siebie podobni w tym, że oboje mają w sobie taką jakąś tłumioną gorliwość.

– Gorliwość! Wszakże ja rzekłabym, że nie ma drugiego tak opanowanego człowieka jak pan Donne. Pomyśl o tym, w jakim kłopotcie był twój ojczulek przez ostatni miesiąc, a później pomnij na to, jak powolnie porusza się pan Donne, kiedy wychodzi, by zabiegać o głosy oraz na jego cichy, przeciągły sposób mówienia, gdy wypytuje ludzi przybywających z doniesieniami. Wyobrażam sobie, jak twój ojczulek stoi z boku, gotów wytrząsnąć z nich wiadomości.

– Ale pytania pana Donne'a są zawsze rzeczowe i wyciskają z nich ziarna prawdy bez plew. I niechże mama nań spojrzy, gdy ktoś przynosi złe wieści o wyborach! Czy widziała mama kiedy to bladoczerwone światło, które pojawia się wówczas w jego oczach? Jest takie samo, jak u tej klaczy. Całe jej ciało trzęsło się na określone dźwięki i hałasy, które z czymś jej się kojarzyły; ale sama

stała zupełnie nieruchomo, piękna! A pan Donne jest dokładnie tak samo gorliwy jak ona, jakkolwiek być może zbyt dumny, ażeby to okazać. Chociaż wydaje się taki łagodny, to mnie się chyba zdaje, że on bardzo jest zawzięty w postępowaniu podług swej woli.

– No cóż! Nie mów więcej, że on podobny jest do konia, bo pewna jestem, że ojczulkowi by się to nie spodobało. A wiesz, myślałam, że powiesz, iż on przypomina małego Leonarda, kiedyś mnie zapytała, do kogo on podobny.

– Leonarda! Och, mamó, wszak on w najmniejszym stopniu nie jest podobny do Leonarda. Dwadzieścia razy bardziej przypomina tę moją klacz wyścigową.

– No, moja droga Jemimo, bądźże już cicho. Twój ojciec ma tak złe mniemanie o wyścigach konnych, że z pewnością byłby bardzo poważnie niezadowolony, gdyby cię słyszał.

Wróć teraz do pana Bradshawa, by podać jeszcze jeden z różnorodnych powodów, dla których pragnął zabrać pana Donne'a do Abermouth. Bogaty fabrykant z Eccleston uzmysłowił sobie niemile, iż towarzyszy mu nieuchwytnie poczucie niższości wobec swego gościa. Nie chodziło o wykształcenie, jako że pan Bradshaw był człowiekiem dobrze wykształconym; nie chodziło o władzę, jeśliby bowiem tylko zechciał, za jego sprawą pan Donne mógłby w dążeniach do osiągnięcia obecnego celu życiowego ponieść sromotną klęskę; nie brało się owo poczucie z jakiegokolwiek przejawu buty w obejściu, ponieważ pan Donne był zawsze grzeczny i uprzejmy, i obecnie pragnął jedynie zjednać sobie swego gospodarza, którego miał za człowieka bardzo użytecznego. Niezależnie od tego, czym spowodowane było owo poczucie niższości, pan Bradshaw pragnął się go wyzbyć i wyobraził sobie, iż jeśli udałoby mu się nieco lepiej popisać swym majątkiem, to cel zostałby osiągnięty. Wszakże jego dom w Eccleston był staroświecki i brakowało w nim należytych dowodów jego wartości pieniężnej. Pan Bradshaw uświadomił sobie, iż jego tryb życia, jakkolwiek obecnie naprężony niemalże do granic, był zaledwie takim, jaki pan Donne przywykł wieść codziennie. Pierwszego dnia podczas deseru uczyniono jakąś uwagę (jakąś sposobną uwagę, jak pomyślał w swej naiwności pan Bradshaw) odnośnie do ceny ananasów, która owego roku była dość wygórowana, na co pan Donne zapytał pana Bradshawa w cichym zaskoczeniu, czyż nie posiada ananasarni, jak gdyby nieposiadanie ananasarni świadczyło doprawdy o tym, iż pogrążony jest w czeluści pożałowania godnej nędzy. W rzeczywistości pan Donne urodził się i wychował otoczony wszystkim, co tylko majątek mógł zapewnić, tak samo jak jego przodkowie od bardzo wielu pokoleń, toteż wyrafinowanie i luksusy zdawały się podług niego być naturalnym położeniem człowieka, a ci, którzy mieszkali poza tym otoczeniem, równi byli potworom. Brak zauważano; obecności – nie.

Pan Bradshaw wiedział wprawdzie, iż dom i ziemie należące do Eagle's Crag były niebotycznie drogie, a jednak naprawdę rozważał ich zakup. Powodowany zaś zamiarem podkreślenia swego bogactwa i wzniesienia się tym samym na poziom pana Donne'a, pomyślał, iż gdyby zabrał tego ostatniego do Abermouth i pokazał mu ową posiadłość, za którą gotów był zapłacić elegancką sumkę czternastu tysięcy funtów, ponieważ „córeczki upodobały sobie to miejsce”, sprawiłby nareszcie, iż owe na wpół przymknięte, zaspane oczy otworzyłyby się szeroko, a ich właściciel przyznałby, że przynajmniej pod względem majątku fabrykant z Eccleston mu dorównywał.

Wszystkie te powody razem pchnęły go do podjęcia decyzji, z powodu której Ruth siedziała teraz w bawialence w Abermouth, podczas gdy na dworze szalała nawałnica.

Zastanawiała się, czy wypełniła już wszystkie wskazówki pana Bradshawa. Spojrzała na list. Owszem! Wszystko było zrobione. A teraz do domu z nowinami, mokrą dróżką, gdzie w niewielkich przydrożnych kałużach odbijało się głęboko błękitne niebo i obłe białe chmury, o głębszym jeszcze odcieniu błękitu i jaśniejszej bieli; grube krople deszczu zaś wisały na drzewach tak gęsto, że nawet przelot niewielkiego ptaszka wystarczył, ażeby je postrzącać i przemienić w promienny kapuśniaczek. Kiedy przekazała wieści, Mary wykrzyknęła:

– Och, jakże miło! Wobec tego jednak dane nam będzie zobaczyć tego nowego kandydata! Elizabeth zaś dodała:

– Tak! Chciałabym go zobaczyć. Lecz gdzie mamy się podziać? Ojczulek będzie potrzebował jadalni i tego pokoju, gdzie więc mamy siedzieć?

– Och! – rzekła Ruth – w ubieralni obok mego pokoju. Jedyne, czego wasz ojczulek zawsze pragnie, to żebyście były cicho i schodziły mu z drogi.

ROZDZIAŁ XXIII

Rozpoznanie

Nadeszła sobota. Po niebie sunęły rozdarte, postrzępione chmury. Nie był to dzień sprzyjający urodzie krajobrazu, nad czym dziewczynki bardzo ubolewały. Początkowo miały nadzieję, że zmiana nastanie o dwunastej, później zaś, że nadejdzie z popołudniowym przypiływem. Lecz ani za pierwszym, ani też za drugim razem słońce nie pokazało swego oblicza.

– Ojczulek nigdy nie kupi tego kochanego miejsca – rzekła ze smutkiem Elizabeth, obserwując pogodę. – Słońce jest tutaj wszystkim. Morze wygląda dziś zupełnie jak z ołowiu i wcale nie jest roziskrzone. A piaski, które w czwartek tak były żółte i upstrzone słońcem, są teraz jedną burobrazową połącią.

– Nic nie szkodzi! Jutro może być ładniej – odparła Ruth wesoło.

– Ciekawa jestem, o której przyjadą? – zapytała Mary.

– Wasz ojczulek mówił, że na dworcu będą o piątej. A gospodyni z Łabędzia rzekła, iż dotarcie tam zajmie im pół godziny.

– A do obiadu mają zasiąść o szóstej?

– Tak – odparła Ruth. – I myślę, że jeżeli zjadłybyśmy podwieczorek pół godziny wcześniej niż zazwyczaj, o wpół do piątej, a następnie wyszły na spacer, to zeszyłybyśmy z drogi w sam raz na czas zamieszania związanego z przyjazdem i obiadem; i mogłybyśmy czekać w salonie, gotowe na przyjście waszego ojczulka po obiedzie.

– Och! Byłoby miło – zgodziły się i odpowiednio zarządzono podanie podwieczorku.

Południowo-zachodni wiatr ucichł, a chmury zawisły w bezruchu, kiedy dziewczęta wyszły na plażę. Gdy zbliżał się przypiływ, wykopały niewielkie dołki i wyłobiły prowadzące do nich z jego kierunku kanaliki, i dmuchały w siebie nawzajem lekką pianą morską; a potem zakradały się na paluszkach w pobliże stadek szarych i białych mew, które gardząc ich ostrożnością, odlatywały miękko nieco dalej, gdy tylko dziewczęta się zbliżyły. A pośród całej tej uciechy również Ruth była wielkim dzieckiem. Lecz tęskniła za Leonardem matczyną tęsknotą każdego przecież dnia i w każdej godzinie. Niebawem chmury jeszcze bardziej zgęstniały i dało się poczuć pierwsze krople deszczu. Nie było go wiele, niemniej Ruth obawiała się kapuśniaczku ze względu na swą delikatną Elizabeth, a poza tym po ciemnym i bezsłonecznym dniu szybko nadciągał wrześnieowy wieczór. Kiedy skręciły ku domowi w prędko nastającym zmierzchu, ujrzały na plaży nieopodal skał trzy postacie zmierzające w ich kierunku.

– Ojczulek i pan Donne! – wykrzyknęła Mary. – Teraz go zobaczmy!

– Jak ci się zdaje, który z nich to on? – zapytała Elizabeth.

– Och! Ten wysoki, na pewno. Czy nie widzisz, jak ojczulek stale się ku niemu zwraca, jak gdyby to z nim rozmawiał, a nie z tym drugim?

– Kim jest ten drugi pan? – zapytała Elizabeth.

– Pan Bradshaw mówił, że przyjedzie z nim pan Farquhar i pan Hickson. Ale jestem pewna, że to nie jest pan Farquhar – rzekła Ruth.

Dziewczęta spojrzały na siebie, jak to zwykle czyniły, kiedy Ruth wspominała nazwisko pana Farquhara; lecz ona była zupełnie nieświadoma zarówno tych spojrzeń, jak i domysłów, które były ich powodem.

Kiedy dwie grupki zbliżyły się do siebie, pan Bradshaw zawołał donośnym głosem:

– Cóż, moje drogie! Okazało się, że do obiadu mamy jeszcze godzinę, toteż zeszyliśmy na plażę, i oto jesteście.

Ton jego głosu utwierdził je w przekonaniu, że ojciec jest w dobrotliwym i pobłażliwym nastroju, toteż dziewczynki pobiegły ku niemu. Ucałował je i wymienił uścisk dłoni z Ruth; towarzyszący im oznajmił, iż to te małe dziewczynki namawiały go na zbytkowny zakup Eagle's Crag; następnie, raczej niepewnie i dlatego, że widział, iż pan Donne tego oczekuje, rzekł:

– Guwernantka mych córek, pani Denbigh.

Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej i nadszedł czas, aby pośpieszyć z powrotem na skały, które były już teraz niewyraźne w szarej mgielce. Pan Bradshaw podał rękę każdej z córek, a Ruth poszła obok, dwaj obcy panowie zaś na skraj grupy.

Pan Bradshaw jął dzielić z córeczkami wieści. Powiedział im, że pan Farquhar się rozchorował i nie mógł im towarzyszyć; ale Jemima i mama miały się zupełnie dobrze.

Pan idący najbliżej Ruth odezwał się do niej.

– Czy lubi pani morze? – zapytał. Nie było odpowiedzi, toteż ponownie zadał pytanie, inaczej sformułowane. – Czy lubi pani stać na brzegu morza? Chyba prędzej o to powinienem zapytać.

Odpowiedź „Owszem”, została nie tyle wypowiedziana na głos, co raczej wyszeptana głębokim oddechem. Piasek pod Ruth zafalował i zadrżał. Pobliskie postacie znikły w osobliwej nicości; dźwięki ich głosów były jak odległe dźwięki we śnie, podczas gdy echo jednego głosu przeszywało i wstrząsało nią na wskroś. Niemalże wsparła się na jego ramieniu wobec okropnego oszołomienia, które omotało jej ciało i duszę. Ten głos! Nie! Jeżeli nawet nazwisko, twarz i postać się zmieniły, głos ów był tym samym, który poruszył niegdyś jej dziewczęce serce, który przemawiał najczulszymi słowami miłości, co zdobyły ją i zniszczyły, a ostatni raz usłyszała je, gdy cicho mamrotał w gorączce. Nie śmiała się obejrzeć, by zobaczyć postać tego, który przemówił, chociaż było ciemno. Wiedziała, że on tam jest – usłyszała, jak przemówił w sposób, w którym zwykł był zwracać się do nieznanym wiele lat temu; być może mu odpowiedziała, a być może nie – Bóg jeden wiedział. Było tak, jak gdyby do stóp jej przytwierdzono ciężary, jak gdyby cofnęły się niezłomne skały, jak gdyby zatrzymał się czas; tak długa, tak przerażająca była owa ścieżka prowadząca przez kołyszące się piaski.

Rozstali się u podnóża skał. Pan Bradshaw, obawiając się, że obiad mógłby wystygnąć, wybrał dla siebie i przyjaciół krótszą drogę. Ze względu na Elizabeth dziewczęta miały obrać dłuższą i łatwiejszą ścieżkę, która wiała się w górę poprzez skaliste pole, gdzie była obfitość gniazd skowronków i gdzie macierzanka oraz wrzos pachniały obecnie w łagodnym nocnym powietrzu słodką wonią.

Dziewczynki prowadziły ożywioną dyskusję o nieznanym. Zwracały się do Ruth, lecz Ruth nie odpowiadała, a one zbyt niecierpliwie pragnęły przekonać siebie nawzajem do swych racji, ażeby ponawiać pytanie. Pokonawszy pierwszą niewielką stromizną prowadzącą z plaży na pole, Ruth usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Było to tak niezwykle, jako że to ich pragnienia, ich dobro tak niezmiennie władają ruchem bądź spoczynkiem podczas spacerów, iż dziewczynki, nagle zatrzymane, stały milczące i strwożone z zaskoczenia. Spłoszyły się bardziej jeszcze, kiedy Ruth jęła zawodzić na głos, wydając z siebie niewyraźnie jakieś słowa.

– Droga pani Denbigh, czy pani się źle czuje? – zapytała łagodnie Elizabeth, klękając na trawie obok Ruth.

Siedziała zwrócona na zachód. Nikły, wodnisty zmierzch spowijał jej twarz, kiedy odjęła od niej dłonie. Takiego bladego, takiego wymizerowanego i tak dziko błędzącego wyrazu dziewczęta nigdy dotąd nie widziały na ludzkim obliczu.

– Cóż! Co też wy robicie tutaj, przy mnie? Nie powinno was przy mnie być – rzekła, kręcąc z wolna głową.

Spojrzały na siebie.

– Jest pani boleśnie zmęczona – rzekła Elizabeth kojąco. – Niech pani wróci do domu, a ja pomogę się pani położyć do łóżka. Powiem ojczulkowi, że pani chora i poproszę, aby posłał po doktora.

Ruth spojrzała na nią tak, jak gdyby nie rozumiała znaczenia tych słów. Z początku tak istotnie było. Lecz niebawem jej przytępiony mózg zaczął myśleć jak najżywiej i najprędzej

i przemówiła zdecydowanie, co wprawiło dziewczęta w mylne przeświadczenie, iż nic się nie stało.

– Tak! Byłam zmęczona. Jestem zmęczona. Ta plaża... och! Ta plaża, ta męcząca, okropna plaża! Ale już po wszystkim. Tylko serce wciąż jeszcze mnie boli. Zobacz, jak trzepoce i bije – rzekła, biorąc rękę Elizabeth i przykładając ją do swego boku. – Lecz czuję się zupełnie dobrze – ciągnęła, wyczytując w twarzy dziecka litość, gdy poczuło drżące, trzepocące bicie. – Udamy się prosto do ubieralni i przeczytamy rozdział; to uspokoi moje serce; a potem pójdę do łóżka, a pan Bradshaw, wiem to, zwolni mnie na ten jeden wieczór. Proszę o jeden tylko wieczór. Ubierzcie się należycie, moje drogie, i uczynicie wszystko, co winnyście czynić. Ale ja wiem, że tak właśnie zrobicie – rzekła, pochylając się, by pocałować Elizabeth, a nim to uczyniła, uniosła nagle jej główkę. – Dobrze i drogie z was dziewczęta, niechże Bóg sprawi, żebyście zawsze takimi byli!

Za sprawą dużej dozy wysiłku i panowania nad sobą poszła naprzód równym krokiem, ani się nie śpiesząc, ani nie przystając, by zapłakać i pomyśleć. Sama już miarowość ruchu uspokajała ją. Drzwi frontowe oraz tylne umieszczone były po dwóch stronach, prostopadle do siebie. Ruth i dziewczęta wzdrygały się z lekka na myśl o wejściu frontowymi drzwiami, kiedy w domu przebywali obcy panowie, toteż przeszły przez ciche podwórze i weszły wprost do jasnej, skąpanej w czerwonej poświacie kuchni, gdzie służące krzątały się pośpiesznie przy obiedzie. Stanowiła kontrast nie tylko z barwą samotnego pola o zmierzchu, co zauważyły nawet dziewczynki; a zgiełk, ciepło i sama krzątająca służba przyniosły Ruth ulgę i na czas pewien zdjęły z niej przygniatający ciężar dławionych namiętności. Milczący dom o pokojach skąpanych w poświacie księżyca albo pomieszczeniach spowitych nikłą posepnością budziłby w niej większy lęk. Wówczas musiałyby ustąpić i wykrzyknąć rozpaczliwie. W obecnej jednak sytuacji weszła na górę starymi, ciasnymi tylnymi schodami i poszła do pokoju, w którym miały siedzieć. Nie było tam świecy. Mary zaproponowała, że pójdzie po nią na dół; a gdy wróciła, pełna była wrażeń związanych z przygotowaniami w salonie i gotowa oraz chętna do tego, by się przebrać, ażeby zająć tam swoje miejsce, nim panowie skończą obiad. Lecz uderzyła ją osobliwa bladeść twarzy Ruth, na którą padło teraz światło.

– Proszę tu zostać, droga pani Denbigh! Powiemy ojczulkowi, że jest pani zmęczona i że udała się do łóżka.

W innym wypadku Ruth obawiała się niezadowolenia pana Bradshawa; było bowiem rzeczą ogólnie rozumianą, że w jego domu nikt nie mógł być chorym czy zmęczonym, nie zapytawszy uprzednio o pozwolenie i nie ustaliwszy oraz nie podawszy przyczyny. Lecz ona wcale teraz o tym nie myślała. Pragnęła usilnie zachować spokój aż do chwili, gdy będzie sama. Nie był to spokój – było to sztywne opanowanie; lecz udało jej się zachować sztywność wyglądu i ruchów i wypełnić wszystkie powinności wobec Elizabeth, (która wolała pozostać z nią na gorze) z drewnianą precyzją. Ale zdawało jej się niekiedy, że serce ma zimne jak lód, innym razem zaś, że płonie ogniem; a zawsze czuła w sobie ogromny, ogromny ciężar. Nareszcie Elizabeth udała się na spoczynek. Niemniej Ruth nie ośmielała się myśleć. Niebawem przyjdzie Mary; Ruth z dziwną, niezdrową, trwożną tęsknotą czekała na nią – oraz na okruchy wiadomości, które być może z sobą przyniesie, jego dotyczących. Zmysł słuchu Ruth wyostrzył się z nieszczęsną mocą, gdy stała przed kominkiem, chwytając się go mocno obiema rękami – wpatrując się w dogasający ogień, lecz widząc – nie martwe popielate węgielki czy iskierki jaskrawego światła, które przemykały tam i z powrotem pośród spopielenych drzew, ale stary wiejski dom i pnącą się, wijącą drogę, i niewielki złocisty, owiany wietrzykiem wygon, z wiejską gospodą na szczycie wzgórza, daleko, bardzo daleko. A poprzez myśli o przeszłości doszły jej wyraziste dźwięki terażniejszości – trzech głosów, spośród których jeden był niemal milczeniem, taki był cichy. Obojętni mu ludzie odgadliby po ciszy, w jakiej słuchali go jego rozmówcy, iż to przemawiał pan Donne; lecz Ruth słyszała ten głos i wiele z wypowiedzianych słów, jakkolwiek nie przekazywały one jej umysłowi żadnej treści. Nazbyt była oszołomiona, ażeby zainteresować się choćby tym, czego tyczyły. To on mówił. Liczyło się dla niej to jedno tylko.

Wkrótce nadeszła Mary, podekscytowana, rozradowana. Ojczulek pozwolił jej udać się na spoczynek o kwadrans później, ponieważ poprosił o to pan Hickson. Pan Hickson był taki zmyślny! Nie wiedziała, co myśleć o panu Donne'ie, taki się zdawał ślamazarny. Lecz był bardzo przystojny.

Czy Ruth go widziała? Och, nie! Nie mogła go zobaczyć, tak było ciemno na tej głupiej plaży. Ach, mniejsza z tym, zobaczy go jutro. Jutro musi czuć się dobrze. Ojczulek był dość mocno nierad, że ani jej, ani Elizabeth nie było dziś wieczór w salonie; a jego ostatnie słowa to: „Powiedz pani Denbigh, że mam nadzieję – (a ojczulkowe „mam nadzieję” zawsze znaczy „oczekuję”) – iż uda jej się przybyć na śniadanie o dziewiątej”; a wówczas zobaczy pana Donne’a.

To było wszystko, co Ruth o nim usłyszała. Poszła z Mary do jej sypialni, pomogła się jej rozebrać i zgasiła świecę. Nareszcie znalazła się sama we własnym pokoju. Nareszcie!

Ale napięcie nie od razu ustąpiło. Zamknęła drzwi na klucz i otworzyła szeroko okno, mimo że noc była zimna i groźna. Zdarła z siebie suknię; odgarnęła włosy z rozgorączkowanej twarzy. Zdawało się teraz, że nie umie myśleć – jak gdyby myśli i uczucia były dotąd powstrzymywane z taką surowością, że nie umiały teraz z niej ująć, przynosząc tym samym ulgę jej otępiątemu mózgowi. Aż raptem, niczym rozbłysk pioruna, jej życie, dawne i teraźniejsze, objawiło się przed nią w najdrobniejszym szczególe. A gdy ujrzała to, co dla niej stanowiło „teraźniejsze”, dziwny zamęt katuszy okazał się zbyt wielki, by go znieść i wykrzyknęła głośno. Potem zupełnie zamarła i nasłuchiwała niby dźwięku galopujących armii.

– Jeżeli mogłabym go zobaczyć! Jeżeli mogłabym go zobaczyć! Jeżeli tylko mogłabym zapytać go, dlaczego mnie opuścił; czy w jakikolwiek sposób go rozdrażniłam; takie to było dziwne – tak okrutne! To nie on; to jego matka – rzekła niemal zawzięcie, jak gdyby sama sobie dawała odpowiedź. – O, Boże! Ale on mógł być mnie odnaleźć – ciągnęła ze smutkiem. – Ani trochę o mnie nie dbał – dalej mówiła już wściekle i ostro. – Wyrządził mi okrutną krzywdę. Nigdy więcej nie będę mogła kroczyć z podniesioną twarzą, w niewinności. Myślę, że ja o wszystkim zapomniałam, ponieważ milczę. Och, drogi ukochany! Czyżbym mówiła przeciwko tobie? – zapytała czule. – Taka jestem rozdarta i skonsternowana! Och, ty, któryś jest ojcem mego dziecka!

Lecz ta właśnie okoliczność, pod wieloma względami pełna tak bolesnych znaczeń, rzuciła jej myślom nowe światło. Przemieniła ją z kobiety w matkę – srogą opiekunkę swego dziecka. Przez chwilę była cicho, myślała. Potem odezwała się znowu, lecz tym razem głosem cichym, głębokim:

– Opuścił mnie. Być może kazano mu odejść pośpiesznie, lecz mógł być rozpytać – mógł być się dowiedzieć i wyjaśnić. Opuścił mnie, bym sama dźwigała piętno oraz wstyd; i nigdy nie zadbał o to, by się dowiedzieć, co przecież mógł być uczynić, o narodzinach Leonarda. Nie ma dla tego dziecka ani krztyny miłości, a ja nie będę miała ni krztyny miłości dla niego. – Wypowiadając to postanowienie, podniosła głos, następnie zaś, czując swą słabość, jęknęła – Niestety! niestety!

A potem się zerwała, dotychczas bowiem siedziała tylko na podłodze, kołysząc się w przód i w tył, i jęła pośpiesznym krokiem chodzić po pokoju.

– O czymże ja myślę? Gdzie jestem? Ja, która przez te lata modliłam się, aby być godną roli matki Leonarda. Mój Boże! Jakiż to bezmiar grzechu jest w moim sercu! Toż to dawne czasy byłyby jak śnieg niewinne wobec obecnych, gdybym go odszukała i błagała o wyjaśnienia, co przywróciłoby mu miejsce w moim sercu. Ja, która usiłowałam (albo też fałszywie podejmowałam po temu próby) poznać świętą wolę Boga po to, aby wychować Leonarda na jak najlepszego chrześcijanina – ja, która nauczyłam jego słodkie niewinne wargi modlić się słowami „I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego”; a mimo to w jakiś sposób pragnęłam oddać go jego ojcu, który jest... który jest... – Niemal się teraz dławiała, lecz nareszcie wykrzyknęła ostro – och, mój Boże! Zdaje mi się, że ojciec Leonarda jest złym człowiekiem, a mimo to, och! Boże litościwy, kocham go; nie mogę zapomnieć – nie mogę!

Wychyliła się gwałtownie przez okno daleko na zimne powietrze nocne. Wiatr się wzmagął i nadciągał silnymi porywami. Uderzały w nią krople deszczu. Dobrze jej to zrobiło. Bezwietrzna, spokojna noc nie ukoiłaby jej tak, jak ta. Dzikie postrzępione chmury, śpieszące na tle księżyca, były dla niej źródłem niemądrej przyjemności, która niemal kazała jej się uśmiechnąć pustym uśmiechem. Ponownie przeszył ją zacinający w porywach wiatru deszcz i na wskroś przemoczył włosy. Na myśl przyszedł jej wers „gwałtowny huraganie, co pełnisz Jego słowo”^[70].

Usiadła na podłodze. Tym razem dłonie miała zaciśnięte wokół kolan. Niespokojne kołysanie ustało.

– Ciekawam, czy moje kochanie boi się tego szalejącego, hałaśliwego wiatru. Ciekawam, czy nie śpi.

A wówczas myśli jej powróciły do przeróżnych dawnych dni, kiedy to strwożony pogodą – dźwiękami tak w nocy tajemniczymi – zakradał się do jej łóżka i przytulał do niej, a ona go koła i słodko wzbudzała w nim spokój i dziecięcą wiarę, opowiadając o dobroci i mocy Boga.

Nagle podpełzła do krzesła i tam uklękła, niby w obecności samego Boga, skrywając twarz i zrazu nie odzywając się ani słowem (bo czyż On nie znał jej serca), lecz niebawem jęknęła pośród szlochów i łez (bo teraz po raz pierwszy zapłakała):

– O, mój Boże, dopomóż mi, gdyż bardzo jestem słaba. Mój Boże! Błagam, bądź mi skałą i silną twierdzą, bo sama jestem niczym. Jeżeli poproszę w imię Jego, będzie mi to dane. Przez Jezusa Chrystusa modłę się o siły, by czynić Twoją wolę!

Nie myślała, ani doprawdy nie pamiętała o niczym prócz tego, że była słaba, Bóg zaś był silny i że „łatwo znaleźć u Niego pomoc w trudnościach”^[71]; a wiatr wzmagął się jeszcze bardziej i dom trząsł się i drżał, kiedy w równych odstępach czasu nadciągały z czterech stron niebios porywy i go omiały, po czym zamierały w oddali głośnymi i niezmiernymi zawodzeniami, które nie ucichły jeszcze zupełnie, a już słyszano dźwięk nadchodzącego uderzenia, co brzmiał niczym trąby forpoczty Władcy mocarstwa powietrza^[72].

Rozległo się pukanie do drzwi sypialni – krótkie, delikatne pukanie i łagodny dziecięcy głos.

– Pani Denbigh, czy mogłabym wejść? Tak bardzo się boję!

Była to Elizabeth. Ruth uspokoiła swój gwałtowny oddech jednym pośpiesznym łykiem wody i otworzyła drzwi strwożonej dziewczynce.

– Och, pani Denbigh! Czy pani kiedy słyszała taką noc? Tak bardzo się boję! A Mary tak mocno śpi.

Ruth była zbyt roztrzęsiona, by móc natychmiast przemówić; lecz wzięła Elizabeth w ramiona, aby ją uspokoić. Elizabeth się cofnęła.

– Ach, jakże pani przemoczona, pani Denbigh! I zdaje się, że okno tutaj otwarte! Ach, jak zimno! – rzekła, drżąc.

– Wejdz do łóżka, kochanie! – odparła Ruth.

– Ale niech pani również przyjdzie! Przez ten długi knot świeca rzuca takie dziwne światło i pani twarz jest jakoś tak do pani niepodobna. Proszę, niechże pani zgasi świecę i przyjdzie do łóżka. Tak bardzo się boję, a zdaje się, że byłabym bezpieczniejsza, gdyby pani była przy mnie.

Ruth zamknęła okno i poszła do łóżka. Elizabeth cała drżała i się trzęsła. Uspokojenie jej kosztowało Ruth bardzo wiele wysiłku; mówiła o Leonardzie i jego lękach, i cicho, z wahaniem, mówiła też o tkliwym miłosierdziu Boga, lecz czyniła to bardzo pokornie, obawiała się bowiem, że Elizabeth mogłaby uznać ją za lepszą i świętszą, niż była w istocie. Dziewczynka niebawem zasnęła, zapomniawszy o swych lękach; a Ruth, wyczerpana namiętym uczuciem i zobowiązana zachowywać się spokojnie w obawie przed zbudzeniem śpiącej obok, zapadła w krótki sen, a poprzez jego głębię rozedrgały się echa szlochów, które targały nią, gdy nie spała.

Gdy się zbudziła, w pokoju była szara poświata jesiennego świtu. Elizabeth spała dalej; lecz Ruth słyszała krzątającą się służbę i wczesnoporanne odgłosy gospodarskiego podwórza. Gdy przysła do siebie po wstrząsie wywołanym przez świadomość i pamięć, z surowym spokojem pozbierała myśli. On był tutaj. Za kilka godzin miała się z nim spotkać. Nie było ucieczki, chyba tylko poprzez fortele i wybiegi, które były zarówno fałszywe, jak i tchórzliwe. W jaki sposób się to wszystko miało skończyć, tego nie potrafiła powiedzieć, ani nawet odgadnąć. Lecz jednej rzeczy była pewna, i jednej rzeczy zamierzała się mocno trzymać: niechże się dzieje co chce, ona usłucha Boskiego prawa i nawet jeżeli wszystko miało się w ten sposób zakończyć, ona rzeknie „bądź wola Twoja!”. Prosiła jedynie o siłę, która pozwoli jej to uczynić, gdy nadejdzie czas. W jaki sposób miał ów czas nadejść – jakiej przemowy albo działania wymagano by od niej, tego nie wiedziała – nie usiłowała nawet snuć przypuszczeń. Pozostawiła to w Jego rękach.

Była lodowato zimna, lecz bardzo spokojna, kiedy rozległ się dzwon wzywający na śniadanie. Natychmiast zeszła na dół, ponieważ czuła, iż prawdopodobieństwo rozpoznania jej

będzie mniejsze, jeżeli wcześniej zajmie miejsce obok podgrzewanego imbryka i zakrzątnie się wokół filiżanek, aniżeli wówczas, gdyby przyszła, kiedy wszyscy byłiby już usadowieni na swych miejscach. Serce jej zdawało się stać w bezruchu, ale czuła, iż ma nad sobą niemal dziwną, tryumfującą władzę. Nie tyle widziała, co czuła, że nie ma go w pokoju. Pan Bradshaw i pan Hickson było obecni i tak pochłonięci rozmową o polityce wyborczej, iż nie przerwali nawet wówczas, gdy się jej skłonili. Nim wszyscy pozajmowali swe miejsca, podczas gdy obaj panowie stali jeszcze przy kominku, wszedł pan Donne. Ruth poczuła się tak, jak gdyby ta chwila była niczym śmierć. Poczwała niejako pragnienie, by wydobyć z siebie jakiś przenikliwy dźwięk, aby w ten sposób dać ujście dławiącemu uczuciu, lecz natychmiast pragnienie to minęło i siedziała dalej bardzo opanowana i milcząca – zewnątrz pod każdym względem stanowiła wzorcowy wręcz przykład guwernantki, która znała swoje miejsce. Niebawem zaś poczuła się dziwnie spokojna w swej mocy. Umiała nawet słuchać tego, co mówiono. Dotąd ani razu nie ośmieliła się spojrzeć na pana Donne'a, jakkolwiek serce jej płonęło z pragnienia, by ponownie go zobaczyć. Brzmiał inaczej. Głos jego utracił świeżą, młodzieńczą żarliwość tonu, lecz szczególne cechy modulacji pozostały niezmiennie. W żadnej mierze nie można go było pomylić z głosem innej osoby. Przy śniadaniu mówiono wiele, ponieważ nikt nie był skłonny się śpieszyć, aczkolwiek był to poranek niedzielny. Ruth zmuszona była tam siedzieć i wpłynęło to na nią dobroczynnie. Owo pół godziny zdawało się niezmiernie skutecznie oddzielić obecnego pana Donne'a od jej wyobrażenia o tym, jaki był pan Bellingham. Nie potrafiła analizować; właściwie nie nauczyła się nawet zauważać charakteru; ale czuła, iż istniała jakaś dziwna różnica między ludźmi, pośród których ostatnio żyła, a człowiekiem, który się teraz rozsiadł na krześle, nieuważnie przysłuchując się rozmowie, lecz nigdy się do niej nie włączając, ani też nie wyrażając żadnego nią zainteresowania, o ile nie dotyczyła w jakimś punkcie, w jakiś sposób jego samego. Pan Bradshaw natomiast zawsze bez reszty oddawał się dyskusji nad danym zagadnieniem; być może w sposób napuszony i dogmatyczny, niemniej czynił to niezależnie od tego, czy dotyczyła ona jego, czy też nie; dla pana Hicksona z kolei udawanie zainteresowania tam, gdzie go nie odczuwał, było częścią fachu. Tymczasem pan Donne nie czynił ani jednego ani drugiego. Kiedy tamci dwaj panowie rozprawiali na rozliczne bieżące tematy, on założył monokl, ażeby się dokładnie i badawczo przyjrzeć zimnemu pierogowi z dziczyzną leżącemu na przeciwległym końcu stołu. Ruth poczuła nagle, że przyciągnęła jego uwagę. Dotychczas, widząc, że jest krótkowzroczny, wierzyła, iż jest bezpieczna; teraz twarz jej oblał bolesny, nieszczęsny rumieniec. Lecz w okamgnieniu była znów silna i spokojna. Spojrzała mu prosto w twarz; on zaś, jak gdyby tym czynem zaskoczony, opuścił monokl i jął zajadać z wielką pilnością. Zobaczyła go. Zmienił się, choć nie wiedziała jak. W rzeczywistości wyraz, który dawniej gościł na jego twarzy sporadycznie tylko, kiedy górę brała nad nim gorsza część charakteru, obecnie był już utrwalony. Wyglądał na niespokojnego i niezadowolonego. Lecz nadal był bardzo przystojny; a bystre jej oczy zauważyły z osobliwą dumą, iż oczy i usta jego były takie, jak Leonarda. A chociaż bezpośrednio, śmiałe spojrzenie, które mu posłała wprawilo go w zakłopotanie, nie był całkowicie zbity z tropu. Pomyślał, iż pani Denbigh z pewnością podobna była do biednej Ruth; niemniej o wiele od niej piękniejsza. Twarz miała zupełnie grecką; do tego ów dumny, wspaniały sposób, w jaki poruszała głowę; iście królewski! Guwernantka w rodzinie pana Bradshawa! Wszakże mogła wywodzić się z Percych bądź Howardów^[73], zważywszy na dostojność swego wdzięku! Biedna Ruth! A jednak włosy tej kobiety były ciemniejsze; i była bledsza; ogólnie rzecz biorąc, była osobą o bardziej wyrafinowanej powierzchowności. Biedna Ruth! I po raz pierwszy od kilku lat jął się zastanawiać, co się z nią stało; jakkolwiek, rzecz jasna, mogło się z nią stać tylko jedno, i być może lepiej, że nie się dowiedział, jak skończyła, najprawdopodobniej bowiem świadomość taka wprawilaby go w nie lada skrępowanie. Rozsiadł się na krześle i niezauważony (ponieważ tak uporczywie przypatrywanie się jej uznałby za rzecz nieprzystojną dżentelmenowi, gdyby ona bądź ktokolwiek inny go przyuważał) ponownie założył swój monokl. Przemawiała do jednej ze swych uczennic i nie widziała go.

Na Jowisza! To jednak chyba ona! Gdy mówiła, przy jej ustach pojawiły się dołeczki, takie same jak te, które tak bardzo podziwiał u Ruth i których nigdy u nikogo innego nie widział –

słoneczność, choć usta nie ułożyły się w uśmiech. Im dłużej się przypatrywał, tym większą miał pewność; z jakimś szarpnięciem wrócił do siebie na tyle, ażeby odpowiedzieć na zadane przez pana Bradshawa pytanie, czy pragnie pójść do kościoła, czy też nie.

– Do kościoła? Jak daleko – milę? Nie; myślę, że chyba odpowiem dzisiaj swe modły w domu.

Stanowczo poczuł zazdrość, kiedy pan Hickson zerwał się, by otworzyć przed Ruth drzwi, gdy opuszczała z uczennicami pokój. Miło było poczuć znów zazdrość. Dotąd obawiał się, że nazbyt był już „zużyty”, by stać go było na podobne odczucia. Lecz Hickson musi znać swoje miejsce. Płacono mu za rozmawianie z wyborcami, nie za okazywanie uwagi paniom w ich rodzinach. Pan Donne zauważył, że Hickson usiłował postępować z galanterią wobec panny Bradshaw; niechże to robi, jeśli ma ochotę; lecz niechże się ma na baczności w swym postępowaniu wobec tej pięknej istoty, niezależnie od tego, czy to Ruth, czy też nie Ruth. Z pewnością była to Ruth; tylko jakże do diabła udało jej się rozegrać karty w taki sposób, że została guwernantką – poważaną guwernantką w rodzinie takiej jak Bradshawowie?

Posunięcia pana Donne’a były najwyraźniej wskazówką dla zachowań pana Hicksona. Pan Bradshaw nigdy nie lubił chodzić do kościoła, po części dla zasady, po części zaś dlatego, że nigdy nie potrafił znaleźć odpowiednich miejsc w modlitewniku. Pan Donne był w salonie, kiedy zeszła Mary, gotowa do wyjścia; przewracał karty dużej, eleganckiej Biblii. Ujrzawszy Mary, wpadł na nowy pomysł.

– Jakie to niezwykle – rzekł – iż imię Ruth tak rzadko wybierają dobrzy ludzie, którzy przed ochrzczeniem swych dzieci zwracają się do Biblii. Myślę, że to ładne imię.

Pan Bradshaw podniósł wzrok.

– Ależ, Mary! – rzekł – czy to nie tak ma na imię pani Denbigh?

– Tak, ojczulku – odparła Mary żarliwie – a znam jeszcze dwie inne Ruth; tutaj mieszka Ruth Brown, a w Eccleston jest Ruth Macartney.

– A ja mam ciotkę, której na imię Ruth, panie Donne! Zdaje mi się, że pańskie spostrzeżenie nie ma solidnych podstaw. Oprócz guwernantki córek znam jeszcze trzy inne Ruth.

– O! Bez wątpienia nie miałem racji. Była to uwaga z rodzaju tych, których niemądrą naturę zauważa się natychmiast po ich uczynieniu.

Lecz w skrytości czuł przemożną radość z powodzenia, jakie odniósł ów wybieg.

Weszła Elizabeth, ażeby wezwać Mary.

Ruth była rada, gdy wydostała się na otwartą przestrzeń i dała od domu. Dwie godziny upłynęły i się skończyły. Dwie z dnia, z półtora dnia – gdyż w drogę powrotną do Eccleston panowie mogliby wyruszyć nawet dopiero późnym rankiem w poniedziałek.

Na ciele czuła się słaba i drżąca, lecz silna w panowaniu nad sobą. Wyszły z domu w samą porę, by zdążyć do kościoła, nie musiały się zatem śpieszyć; szły więc pomału drogą, mijając od czasu do czasu jakąś osobę ze wsi, którą znały i wymieniając z nią uprzejme, spokojne pozdrowienie. Lecz niebawem ku swemu przerażeniu Ruth usłyszała za sobą kroki zbliżające się pośpiesznie, osobliwy chrzęst butów o dość wysokich obcasach, nadających słyszalnej sprężystości krokowi, który dawno temu dobrze znała. Było to niczym mara nocna, w której człowiek nie ustrzeże się nigdy zła, co napawa lękiem, ani nigdy go zupełnie nie uniknie, bo nawet w chwili tryumfującej przed nim ucieczki, ono już jest u jego boku. I oto był u jej boku; i między nią a kościołem pozostawało jeszcze ćwierć mili drogi; lecz mimo to wierzyła jeszcze, iż jej nie rozpoznał.

– Wie pani, zmienilem zdanie – oznajmił cicho. – Jestem cokolwiek ciekaw ujrzeć architekturę tego kościoła; niektóre spośród starych wiejskich kościołów mają w sobie pewne szczególne cechy. Pan Bradshaw uprzejmie wskazał mi część drogi, lecz taki byłem skonfundowany tymi „zakrętami w prawo” i „zakrętami w lewo”, że całkiem byłem rad, spostrzegłszy pani grupkę.

Przemowa ta nie wymagała żadnej odpowiedzi; i żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Nie oczekiwał jej zresztą. Wiedział, że jeżeli była to Ruth, to nie umiałaby odpowiedzieć na jakiegokolwiek jego obojętne słowa; a jej milczenie utwierdziło go w przekonaniu odnośnie do

tożsamości damy u jego boku.

– Krajobraz tutejszy jest dla mnie nowy; ani imponujący czy dziki, ani też niezupełnie jeszcze ujarzmiony ludzką ręką; a mimo to ma w sobie wiele uroku. Przywodzi mi na myśl niektóre rejony Walii. – Odetchnął głęboko, po czym dodał. – Zdaje się, że pani była w Walii?

Mówił cicho; nieomal szeptem. Mały dzwon kościelny zaczął przyzywać ociągających się wiernych szybkim, przenikliwym biciem. Ruth wiała się w cierpieniu na ciele i duszy, lecz walczyła dalej. Nareszcie dotrze do drzwi kościelnych; a w tym świętym miejscu odnajdzie spokój.

Powtórzył głośniejszym głosem, ażeby wymusić odpowiedź, która pozwoliłaby jej ukryć przed dziewczętami wzburzenie.

– Czy pani nigdy nie była w Walii? – Użył słowa „nigdy” zamiast „kiedyś” i wymówił je z naciskiem, ażeby podkreślić znaczenie swej wypowiedzi w sposób zrozumiały dla Ruth i tylko dla Ruth. Lecz zapędził ją w kozi róg.

– Byłam w Walii, proszę pana – odparła spokojnym, poważnym tonem. – Byłam tam wiele lat temu. Miały tam miejsce wydarzenia, które sprawiają, że wspomnienie owych dni jest dla mnie nad wyraz bolesne. Będę panu zobowiązana, jeżeli nie będzie pan czynił dalszych uwag w tym względzie.

Dziewczynki dziwiły się, jak pani Denbigh mogła przemawiać takim tonem cichej władczości do pana Donne’a, który był już nieledwie członkiem parlamentu. Lecz ustaliły, że mąż jej zapewne zmarł był w Walii, co rzecz jasna czyniło wspomnienie tego kraju rzeczą „nad wyraz bolesną”, jak oznajmiła.

Panu Donne’owi odpowiedź ta nie była niemiła i podziwiał godność, z jaką przemówiła Ruth. To, że opuścił ją w taki sposób, z pewnością przysporzyło jej ogromnych cierpień; i podobała mu się duma, która nakazała jej powstrzymać oburzenie do chwili, aż będzie mógł pomówić z nią na osobności i udzielić wyjaśnień w odpowiedzi na wiele z poniekąd usprawiedliwionych skarg, które mogłaby mu przedstawić.

Dotarli do kościoła. Skierowali się główną nawą do ławki mieszkańców Eagle’s Crag. Pan Donne wpuścił towarzyszkę do środka, po czym sam wszedł i zamknął drzwi. Serce w Ruth zamarło, kiedy go ujrzała; był wprost naprzeciw niej; wchodził między nią a duchownym, który miał czytać Słowo Boże. To bezlitosne – to okrutne nawiedzać ją tutaj. Nie śmiała wznieść oczu ku jasnemu światłu ze wschodu – nie widziała, jak marmurowe postacie spokojnie leżały na swych nagrobkach, stał bowiem między nią a wszelką Światłością i Pokojem. Wiedziała, że utkwiał w niej spojrzenie; że wcale nie odwracał wzroku. Nie mogła przyłączyć się do modlitwy o odpuszczenie grzechów, kiedy on tam był, ponieważ sama jego obecność zdawała się znaczyć, iż nic nie zmyje z jej życia ich wspólnej zmagi. Jakkolwiek jednak własne jej myśli kłuły ją i drażniły, zachowywała się spokojnie. Kiedy na nią patrzył, nie było na jej twarzy żadnej oznaki emocji, żadnego rumieńca. Elizabeth nie umiała znaleźć miejsca, a wówczas Ruth westchnęła, długo i głęboko, gdy przesunawszy się w górę ławki umknęła bezpośrednio, palącemu spojrzeniu owych oczu o złych zamiarach. Kiedy usiedli na pierwsze czytanie, Ruth obróciła się pod takim kątem, ażeby nie znajdować się już naprzeciw niego. Nie mogła słuchać. Zdawało się, że słowa wypowiedane są w jakimś odległym świecie, z którego ją wygnano, wyrzucono; ich brzmienie, a bardziej jeszcze ich sens, był niewyraźny i daleki. Lecz w tym skrajnym napięciu umysłu, który wspierał ją w obliczu oszałamiającej boleści, zdarzyło się tak, że jeden z jej zmysłów wyostrzył się nadnaturalnie. Podczas gdy cały kościół i wiernych spowijała mgła, jeden punkt w ciemnym kącie stawał się coraz wyraźniejszy, aż Ruth ujrzała (czego innym razem wcale nie byłaby wypatrzyła) twarz – gargulca, bo zdaje się, że taka jest ich nazwa – na końcu łuku obok przewężenia nawy prowadzącego do prezbiterium, i w cieniu tego przewężenia. Była to twarz o pięknych rysach (obok niej znajdowała się uśmiechnięta szeroko małpka), lecz to nie owe rysy były najbardziej uderzające. Miała na wpół otwarte usta, w żadnej mierze niewypaczone w swym doskonałym pięknie wyrazem cierpienia, które się na nich malowało. Wszelkie wypaczenie twarzy spowodowane udręką umysłu sugeruje, że oto toczy się walka z okolicznościami. Ale na tej twarzy, jeżeli istotnie walka jakaś miała miejsce, to obecnie była ona zakończona. Okoliczność zwyciężyła; i nie było nadziei w śmiertelnych wysiłkach ani w pomocy ze strony śmiertelnych istot. Lecz oczy spoglądały przed

siebie i ku górze, ku „wzgórzom, skąd nadejdzie pomoc”^[74]. A chociaż rozchylone wargi zdawały się gotowe zadrzeć w udręce, to jednak wyraz całej twarzy był, ze względu na owe dziwne, kamienne a zarazem uduchowione oczy – wzniosły i pełen pocieszenia. Jeżeli śmiertelne spojrzenia nigdy dotąd nie usiłowały odczytać znaczenia tej twarzy, którą umieszczono w głębokim cieniu długie wieki temu, to oczy Ruth czyniły to teraz. Któż potrafił sobie wyobrazić taką twarz? Kto był świadkiem, a być może sam poczuł tak nieskończony smutek, a jednak ośmielił się w wierze przemienić go w tak czysty pokój? Czy też było to jedynie wyobrażenie? Jeżeli tak, to jakąż duszę posiadał ów nieznany rzeźbiarz! Bo twórcą i rzemieślnikiem był z pewnością jeden człowiek; dwa umysły nigdy nie byłyby osiągnęły tak doskonałej harmonii. Czymkolwiek on był – jakkolwiek się tam znalazł – pomysłodawca, rzeźbiarz, cierpiętnik, każdy z nich nie żył już od dawien dawna. Praca rąk ludzkich została wykonana – życie ludzkie ukończone – ludzkie cierpienie przerwane; lecz pozostało to dzieło; bijące serce Ruth uspokajało się, gdy na nie patrzyła. Uspokoila się już na tyle, ażeby wysłuchać słów kierowanych ku wielu już ludziom w godzinę potrzeby, które napawały ich trwogą wobec najogromniejszego cierpienia, o jakim kiedykolwiek słyszał spokojny świat.

Drugim czytaniem na poranek dwudziestego piątego września jest dwudziesty szósty rozdział „Ewangelii wg. Św. Mateusza”^[75].

A kiedy znów odmawiali modlitwę, język Ruth się rozwiązał i także mogła się modlić w imię Tego, który doświadczył katuszy w ogrójcu.

Kiedy wyszli z kościoła, przy drzwiach zgromadziła się i przystanęła garstka wiernych. Zaczęło padać; ci, którzy mieli parasole, rozkładali je; ci, którzy ich nie mieli, żalowali i zastanawiali się, jak długo będzie padało. Przystanąwszy na chwilę, zatrzymana przez ludzi, którzy zbierali się w kruchcie, Ruth usłyszała blisko głos, który rzekł bardzo cicho, acz bardzo wyraźnie:

– Mam ci wiele do powiedzenia, wiele do wyjaśnienia. Błagam, daj mi po temu sposobność.

Ruth nie odpowiedziała. Nie chciała przyznać, że to usłyszała; niemniej drżała, ponieważ ów dobrze znany głos był cichy i łagodny, i miał jeszcze moc przeszywania jej dreszczem. Szczerze pragnęła dowiedzieć się, dlaczego i w jaki sposób ją opuścił. Zdawało jej się, iż sama ta wiedza przyniosłaby ulgę w niespokojnych rozmyśleniach, które trapiły umysł, i że jedno wyjaśnienie nie mogłoby w żadnej mierze zaszkodzić.

– Nie! – odparł wyższy duch – tak być nie może.

Ruth i dziewczęta miały swoje parasole. Odwróciła się ku Mary i rzekła:

– Mary, przekaz swój parasol panu Donne’owi i przyjdź pod mój. – Mówiła w sposób zwięzły i zdecydowany; ujęła to, co miała do powiedzenia, w możliwie jak najmniejszej liczbie słów. Dziewczynka posłuchała w milczeniu. Kiedy Ruth wraz z nią jako pierwsze pokonywały przełaz na kościelnym dziedzińcu, pan Donne przemówił ponownie.

– Jesteś bezlitosna – rzekł. – Proszę tylko o to, abyś mnie wysłuchała. Mam prawo zostać wysłuchanym, Ruth! Nie uwierzę, żeś się aż tak bardzo zmieniła, aby mnie nie wysłuchać, kiedy cię o to błagam.

Mówił tonem łagodnej skargi. Lecz sam uczynił wiele, ażeby zniszczyć złudę, która przez lata towarzyszyła wspomnieniom o nim za każdym razem, gdy Ruth pozwalała sobie takowe snuć. Co więcej, kiedy zamieszkała u rodziny Bensonów, jej pogląd odnośnie do tego, jakimi ludźmi być powinni, uległ nieświadomie uwzniośleniu oraz wyrafinowaniu; a pan Donne, jakkolwiek zmuszona była walczyć z siłą przeszłych wspomnień, był w swej obecnej postaci tak dla niej odpychający, że każda jego przemowa, każda chwila, która spędzali razem sprawiały, iż kroczenie obraną ścieżką stawało się coraz łatwiejsze. Głos jego zachował coś ze swego niegdysiejszego wpływu. Kiedy przemawiał, gdy nań nie patrzyła, nie mogła nie wspomnieć dawnych dni.

Nie odpowiedziała na jego ostatnią przemowę, tak jak nie odpowiedziała na pierwszą. Widziała jasno, że – pomijając wszelką myśl o charakterze ich dawnego związku – zerwanie nastąpiło za sprawą jego woli, jego działania i jego czynu; dlatego też prawo do odmowy jakichkolwiek dalszych stosunków należało do niej.

Nieco dziwnym wydaje się niekiedy, gdyśmy już odmówili żarliwe modlitwy o wybawienie od pokuszenia, kiedyśmy już z zamkniętymi oczami oddali się w ręce Boga, iż od tego czasu każda

myśl, każdy zewnętrzny wpływ, każde uznane prawo rządzące życiem, zdaje się nas prowadzić z mocy w moc^[76]. Niekiedy wydaje się to dziwne, ponieważ zauważamy ów zbieg okoliczności; lecz jest to naturalna, nieunikniona konsekwencja tego, iż wszelka prawda i dobroć jest jednym i tym samym, stąd uwidacznia się w każdym, zarówno wewnętrznym, jak i zewnętrznym przejawie Boskiego stworzenia.

Kiedy pan Donne pojął, iż Ruth nie da mu odpowiedzi, zawziął się jeszcze bardziej w swym poglądzie, iż powinna wysłuchać tego, co ma jej do powiedzenia. A cóż to takiego było, tego dokładnie nie wiedział. Cała ta sprawa była w największym stopniu tajemnicza i dokuczliwa.

Podczas przechadzki do domu parasol chronił Ruth nie tylko przed deszczem, jako że pod jego osłoną nie można było mówić do niej, nie będąc posłyszonym przez innych. Nie zrozumiała dobrze, o jakiej porze miała z dziewczętami zasiąść do obiadu. Nie wolno jej unikać zgromadzeń podczas posiłków. Nie wolno jej okazywać jakiegokolwiek oznaki słabości. Lecz ach! Ta ulga po spacerze, kiedy to usiadła we własnym pokoju, zamkniętym na klucz, tak aby ani Mary, ani Elizabeth nie weszła z zaskoczenia, i kiedy pozwoliła swemu utrudzonemu ciału (utrudzonemu, bo tak długo trwało sztywne i surowo milczące) opaść bezładnie na krzesło – bezradna, pozbawiona czucia, nieruchoma, jak gdyby rozplynęły się w niej wszystkie kości!

Umysł jej odnalazł spokojny wypoczynek w myślach o Leonardzie. Nie ośmieliła się spoglądać wprzód ani wstecz, lecz bardzo dobrze widziała go w terażniejszości. Dumiała nad nim tak długo, aż jęła się coraz bardziej lękać jego ojca. W świetle czystości i niewinności swego dziecka wyraźnie widziała zło, bardzo wyraźnie. Pomyślała, iż jeżeli Leonard kiedykolwiek poznałby charakter swych narodzin, nie pozostałoby jej nic innego, jak tylko zejść mu z oczu i umrzeć. Nigdy nie może się dowiedzieć – ludzkie serce nie pojęłoby jej niewinnej nieświadomości ani wszelkich drobnych okoliczności, które pchnęły ją naprzód. Lecz Bóg wiedział. A gdyby Leonard usłyszał o błędzie swej matki, wszakże nie pozostałoby jej nic prócz śmierci; czuła bowiem, że byłoby w jej mocy umrzeć śmiercią niewinną w obliczu tej przyszłej udręki; lecz ucieczka taka nie jest rzeczą łatwą. Nagle przyszła do niej nowa myśl i Ruth modliła się, ażeby dane jej było zostać oczyszczoną poprzez jakiegokolwiek cierpienie. Jakiegokolwiek byłyby próby, niedole i niezmierne męki, które Bóg uznałby za właściwe dla jej oczyszczenia, nie uchylił się przed nimi, jeżeli tylko nareszcie dane jej będzie stanąć w Niebie przez Jego obliczem. Niestety! Człowiek nic nie może poradzić na to, iż uchylił się przed cierpieniem. Daremna była ta część modlitwy. Jeżeli zaś chodzi o resztę, to czyż nie dosięgała jej właśnie teraz niechybna sprawiedliwość rządząca Jego prawem? Jeżeli raz złamać Jego prawa, to sprawiedliwość Jego i sam charakter tychże praw sprowadza nieodwołalną odpłatę; lecz jeśli zwrócimy się ku Niemu w skrusze, pomoże nam znieść karę z potulnym i uległym sercem, „bo Jego łaska trwa na wieki”^[77].

Pan Bradshaw uznał, iż nie darzył dotąd swych gości należyłą atencją, skoro nie był w stanie natychmiast pojąć gwałtownej przemiany, jaka zaszła w zamiarach pana Donne’a; a zanim w głowie jego powstała myśl, iż oto niezależnie od odległości do kościoła pan Donne zamierzał się tam udać, pan ów zniknął już z oczu i był daleko poza zasięgiem swego tęgiego gospodarza. Jednakowoż, choć pan Bradshaw dotychczas zaniebyszał obowiązki gościnności, dopuściwszy do tego, aby gość jego zasiadł w ławce mieszkańców Eagle’s Crag w towarzystwie gwardii honorowej składającej się z dzieci i guwernantki za ledwie, to teraz postanowił mu to wynagrodzić, obdarzając go większą atencją przez pozostałą część dnia. Wobec tego nie odstępował pana Donne’a na krok. Każde wyrażone przezeń życzenie gospodarz starał się spełnić. Gdy nadmienił, iż przyjemność sprawiłby mu spacer po tak pięknej okolicy, pan Bradshaw przyłączył się do niego, aczkolwiek w Eccleston podług swej zasady nie wyruszał w niedziele na przechadzki dla przyjemności. Kiedy pan Donne zawrócił, przypomniał sobie o listach, które należało napisać, co zmusiło go do pozostania w domu, pan Bradshaw natychmiast zrezygnował ze spaceru i pozostał do jego dyspozycji, gotów wyposażyć go we wszelkie przybory piśmiennicze, które mogłyby być potrzebne, a których nie było pod ręką w na wpół umeblowanym domu. Nikt nie wiedział, gdzie przez cały ten czas podziewał się pan Hickson. Wyprawił się na przechadzkę po panu Donne’ie, kiedy ten ostatni wyruszył do kościoła, i dotąd nie wrócił. Pan Donne zastanawiał się, czy może spotkał się z Ruth – czy w istocie wyszła z uczennicami, skoro po południu się rozpozdziło. To na

tych niespokojnych rozmyślaniach, okraszonych niemym złorzeczeniem w reakcji na uprzejmą uwagę gospodarza, oraz listową wymówką minęło mu popołudnie – najdłuższe popołudnie w jego życiu; a i dawniej zaznał już przecież niejednokrotnie znużenia. Wczesny obiad nadal czekał w jadalni, pozostawiony tam dla tego włóczęgi, pana Hicksona; lecz nigdzie nie było znaku ani dzieci, ani Ruth. Odważył się zadać zawołane pytanie odnośnie do ich miejsca pobytu.

– Jadają wcześniej; poszły znów do kościoła. Pani Denbigh była niegdyś członkinią Kościoła anglikańskiego; i chociaż w domu uczęszcza do kaplicy, to zdaje się być rada, jeżeli ma możliwość pójścia do kościoła.

Pan Donne zamierzał właśnie zadać dalsze pytania odnośnie do „pani Denbigh”, kiedy wszedł pan Hickson, głośny, wesoły, głodny i równie gotów rozprawiać o swej wędrówce, podczas której zgubił drogę i ją odnalazł, jak o każdej innej rzeczy. Wiedział, jak przybrać najpospolitsze zajście niewielkim wyolbrzymieniem, kilkoma dwuznacznikami i jednym czy dwoma fortunnymi cytatami, ażeby uczynić je nad wyraz przyjemnym. Umiał czytać z twarzy i dostrzegł, że za nim zatęskniono; zarówno gospodarz, jak i jego gość wyglądali na śmiertelnie osowiałych. Postanowił oddać się dostarczaniu im rozrywki przez pozostałą część dnia, ponieważ istotnie zablądził i uznał, iż zabawił na przechadzce zbyt długo w tę nudną niedzielę, kiedy ludzie gotowi są popadać w przygnębienie, jeżeli się ich porządnie nie rozerwie.

– Szkoda doprawdy pozostawać w domu w takim miejscu. Deszcz? Owszem, padało kilka godzin temu, lecz teraz pogoda jest wspaniała. Zapewniam, iż czuję się najzupełniej zdolny do tego, by służyć panom za przewodnika. Mogę panom pokazać wszystkie uroki tej okolicy i dorzucić jeszcze trzęsawisko oraz gniazdo żmij.

Pan Donne przystał apatycznie na propozycję wyprawy; a wówczas pozostawał niespokojny dopóty, dopóki pan Hickson nie zjadł w pośpiechu, żywił bowiem nadzieję, że spotka Ruth w drodze z kościoła, że będzie blisko niej i będzie ją obserwował, jakkolwiek być może nie będzie mu dane z nią pomówić. Pozwalać na upływ tych powolnych godzin – mieć świadomość, iż nazajutrz trzeba wyjechać – być tak blisko niej i jej nie zobaczyć – wszystko to było ponad jego siły. W niejako krewki sposób zlekceważył wszelkie złożone przez pana Hicksona propozycje, iż zaprowadzi go ku uroczym widokom i był głuchy na wyrażony przez pana Bradshawa zamiar oprowadzenia go po ziemiach należących do domu („bardzo tego niewiele za czternaście tysięcy funtów”) i rozmyślnie ruszył drogą prowadzącą do kościoła, z której, jak zapewniał, rozpościerał się widok, jakiemu nic innego w tej okolicy dorównać nie mogło.

Spotkali wracających nieśpiesznie do domu mieszkańców wsi. Nie było pośród nich żadnej Ruth. Powróciła ona wraz z uczennicami polną ścieżką, jak w porze obiadowej oznajmił swym gościom pan Bradshaw. Przez cały obiad pan Donne zachowywał się w sposób bardzo kapryśny. Sądził, że posiłek nigdy nie dobiegnie kresu i przeklinał nieskończone opowieści pana Hicksona, które ów opowiadał przecież właśnie dla jego rozrywki. Serce skoczyło mu dziko w piersi, kiedy ujrzał ją w salonie z dziewczynkami.

Czytała im – z jakże schorowanym i drżącym czyniła to sercem, tego nie opiszą żadne słowa. Niemniej umiała zapanować nad zewnętrznymi oznakami targających nią uczuć i je ukryć. Dziś wieczór jeszcze tylko godzina (której część miano przeznaczyć na rodzinną modlitwę, w bezpiecznym schronieniu całego towarzystwa), następna godzina nazajutrz rano (kiedy wszyscy będą zajęci krzątaniem związaną z odjazdem) – jeżeli przez ten krótki czas nie uda jej się uniknąć z nim rozmowy, to przynajmniej spróbuje trzymać go z daleka, tak aby poczuł, iż odtąd jej świat i jego należały już do dwu różnych układów, tak od siebie oddalonych, jak rozległe są niebiosy.

Czuła, że on stopniowo zbliża się do miejsca, w którym stała. Był przy stole i oglądał spoczywające na nim książki. Mary i Elizabeth oddaliły się nieco, onieśmiałe obecnością przyszłego reprezentanta Eccleston. Pochyliwszy głowę nad książką, rzekł:

– Błagam; pięć minut na osobności.

Dziewczynki tego nie usłyszały; Ruth jednakże, otoczona z obu stron tak, że ucieczka była rzeczą niemożliwą, usłyszała.

Raptem nabrała odwagi i rzekła wyraźnie:

– Czy przeczyta pan na głos cały ustęp? Nie pamiętam go.

Pan Hickson, trzymający się w niewielkiej odległości, usłyszał te słowa i zbliżył się, ażeby poprzeć prośbę pani Denbigh. Pan Bradshaw, który po niezwykle jak dla siebie późnej kolacji był ogromnie senny i pragnął się położyć, przyłączył się do tej prośby, ponieważ oszczędziłoby mu to konieczności prowadzenia rozmowy, ponadto mógłby może uciąć sobie niezakłóconą i niezauważoną drzemkę, zanim służba przybędzie na modlitwy.

Pan Donne wpadł w pułapkę; był zobowiązany czytać na głos, aczkolwiek nie wiedział, co czyta. Jedno ze zdań przerwało otwarcie drzwi i do środka napłynęła nagle służba, a pan Bradshaw w okamgnieniu stał się niebywale rozbudzony i odczytał długie kazanie z wielką dobitnością i namaszczeniem, by zakończyć je modlitwą równej niemal długości.

Ruth siedziała z opuszczoną głową, nie tyle dlatego, że unikała spojrzeń pana Donne'a, co z wyczerpania po okresie wysiłku. Do tego stopnia utracił swą nad nią moc – moc, która ubiegłej nocy poruszyła ją tak dogłębnie – że Ruth zupełnie oddzieliła go od bożyszcza swej młodości, uznając w nim taką moc jedynie, iż wiedział o jej błędzie i jej hańbie i mógł zrobić z tej wiadomości okrutny użytek. Niemniej przez wzgląd na ową pierwszą i jedyną miłość, chętnie poznałaby wyjaśnienia, jakie przedstawiłby jej na usprawiedliwienie tego, że ją opuścił. Zyskałby na tym niejako jej szacunek wobec siebie, jeżeliby się dowiedziała, że nie był wówczas człowiekiem zimnym i samolubnym, jakim zdawał się jej obecnie, człowiekiem, który nie dbał o nikogo i nic prócz tego, co wiązało się z nim samym.

Dom i Leonard – jakże dziwnie spokojne zdawały się te słowa! Ach, tęskniła do spoczynku, który przyniósłby jej sen o Leonardzie!

Mary i Elizabeth udały się do łóżek tuż po pacierzach, a Ruth im towarzyszyła. Ustalono, że panowie wyjadą nazajutrz wczesnym rankiem. Do śniadania mieli zasiać pół godziny wcześniej, ażeby złapać pociąg; a stało się to za sprawą ustaleń wysuniętych przez samego pana Donne'a, który tydzień wcześniej pragnął był, jeśli to możliwe, rozpocząć tego dnia kampanię, a który obecnie niezwykle żarliwie posyłał całe Eccleston i zbór dysydencki wprost do diabła.

W chwili, gdy nadjechał powóz, pan Bradshaw zwrócił się do Ruth:

– Jakaś wiadomość dla Leonarda poza serdecznymi pozdrowieniami, które są wszakże rzeczą oczywistą?

Ruth westchnęła gwałtownie – zauważyła bowiem, iż pan Donne posłyszał to imię; nie odgadła, iż nagle opanowała go przenikliwa zazdrość wywołana myślą, że Leonard to dorosły mężczyzna.

– Kim jest Leonard? – zapytał dziewczynkę, która stała obok niego; nie wiedział, która to z sióstr.

– To synek pani Denbigh – oznajmiła Mary.

Pod takim czy innym pozorem zbliżył się do Ruth; i tym samym cichym głosem, który napawał ją teraz wstrętem, rzekł:

– Nasze dziecko!

Po bladym cierpieniu, które obróciło jej twarz w kamień – po dzikim przerażeniu w jej błagalnych oczach – po gwałtownym oddechu, który wydała z siebie, gdy powóz odjeżdżał – poznał, iż znalazł zakłęcie, które nareszcie każe jej go wysłuchać.

ROZDZIAŁ XXIV

Spotkanie na plaży

„On mi go zabierze! Odbierze mi moje dziecko!” Słowa te rozbrzmiewały w głowie Ruth niczym bicie dzwonu. Zdawało się, iż niechybnie czeka ją zguba. Leonard zostanie jej odebrany! Była dogłębnie przekonana – mimo że nie wiedziała, co leży u podstaw owego przekonania – o tym, że dziecko, zarówno ślubne, jak i nieślubne, podług prawa należy do ojca. A przecież Leonard był wręcz księciem i władcą. Pragnieniem serca każdego mężczyzny byłoby wołać do Leonarda „Dziecko!”. Zbyt silne przeżyła napięcie, ażeby mieć teraz w sobie moc wystarczającą do chłodnego, beznamietnego wnioskania, nawet jeśli znalazłaby się w towarzystwie kogoś, kto udzieliłby jej wiadomości potrzebnych do wysnucia poprawnych wniosków. Ta jedna myśl nawiedzała ją dniem i nocą: „Odbierze mi moje dziecko!” W snach widziała Leonarda poniesionego ku jakiejś mglistej krainie, do której ona nie mogłaby za nim podążyć. Niekiedy siedział u boku ojca w poruszającym się prędko powozie i mijając Ruth, uśmiechał się do niej, jak gdyby jechał na spotkanie z obiecaną przyjemnością. Innym razem usiłował do niej wrócić; wyciągał drobne ramionka i wołał ku niej o pomoc, której udzielić nie była w stanie. Nie wiedziała, jak się jej udało przebrnąć przez owe dni; ciało jej poruszało się i działało jak zwykle, lecz duchem była przy dziecku. Często myślała o tym, by napisać do pana Bensaona i ostrzec go, że Leonard jest w niebezpieczeństwie; potem jednak wzdrygnęła się na myśl o przywołaniu okoliczności, których od wielu już lat nie wspominało; sama już pamięć o nich zdawała się być pogrzebaną na wieki. Co więcej, obawiała się, iż mogłaby wywołać niezgodę czy też poruszenie w spokojnym kręgu, w którym żyła. Głęboki gniew pana Bensaona wobec tego, który ją zdradził, aż nazbyt wyraźnie już się niegdyś uwidocznił, ażeby teraz mogła mniemać, iż on nad nim zapanuje i go nie okaże. Zaprzestałby jakichkolwiek działań wspierających kandydaturę pana Donne’a; sprzeciwiałby mu się z całą mocą; pan Bradshaw zaś by się rozgniewał i rozpętałaby się burza, na samą myśl o której Ruth wzdrygała się z tchórzliwością osoby na wskroś zmordowanej niedawną walką. Była zmęczona na ciele od swych duchowych szturchańców.

Pewnego ranka, w trzy lub cztery dni po wyjeździe, otrzymała list od panny Benson. Nie zdołała otworzyć go od razu, odłożyła go zatem na bok, przez cały czas zaciskając nad nim dłoń. Wreszcie rozerwała list. Leonard był na razie bezpieczny. Sam skreślił swym dużym, okrągłym piśmem kilka linijek, donoszących o wydarzeniach wagi nie większej niż utrata pięknej kulki. Był tam też arkusik od panny Benson. Listy pisała zawsze w formie dziennika. „W poniedziałek zrobiliśmy to i to; we wtorek to i to, itd”. Ruth omiotła pośpiesznie wzrokiem całą stronę. Owszem, oto i jest! Ucisze się, schorowane, roztrzępotane serce!

Właśnieśmy byli w samym środku smażenia powidel, dopiero co postawionych na ogniu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Brat mój był poza domem, Sally zaś zmywała, a ja w tym wielkim fartuchu i śliniaku mieszałam śliwki; powiedziałam zatem Leonardowi, aby wrócił z ogrodu i otworzył drzwi. Ale najpierw byłabym mu umyła twarz, gdybym wiedziała, kto to przyszedł! Byli to pan Bradshaw i ten pan Donne, który podług ich pragnień miałby zasiąść w Izbie Gmin jako członek parlamentu z Eccleston, i jeszcze jeden pan, którego nazwiska nie usłyszałam. Przybyli zabiegać o głosy; a gdy się dowiedzieli, że brata mego nie ma, zapytali Leonarda, czy mogliby się ze mną zobaczyć. Chłopiec odparł, „Tak! Jeżeli będzie mogła odejść od powidel”; i natychmiast poszedł mnie przyzwać, pozostawiwszy ich stojących w korytarzu. Ściągnęłam fartuch i wzięłam Leonarda za rękę, gdyż wyobraziłam sobie, że poczuję się mniej niezręcznie, jeżeli on będzie ze mną; poszłam więc i zaprosiłam ich do gabinetu, ponieważ pomyślałam, że chciałabym,

aby zobaczyli, ile Thurstan ma książek. Wówczas jęli opowiadać o polityce w sposób bardzo grzeczny, tyle tylko, że ja nic z tego nie pojmowałam; a pan Donne poświęcał dużo uwagi Leonardowi i przywołał go do siebie; pewna jestem, że zauważył, jaki zeń dostojny chłopiec, jakkolwiek twarz miał bardzo ogorzałą i rumianą i rozpaloną od kopania, a loki całe poplątane. Leonard mu odpowiadał, jak gdyby, zdaje się, znał go przez całe życie, a pan Bradshaw uznał, że czyni zbyt wiele hałasu i napomniął go, że dziecko winno być widziane, nie słyszane. Toteż stanął nieruchomy i wyprostowany jak żołnierz przy panu Donne'ie; a jako że mimowolnie się im przypatrywałam i myślałam, jakżeż obaj są przystojni, każdy na swój sposób, nie umiałam potem przekazać Thurstanowi połowy wiadomości, które panowie dlań pozostawili. Lecz zdarzyło się jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć, mimo że twierdziłam, iż tego nie uczynię. Kiedy pan Donne rozmawiał z Leonardem, odpiął swój zegarek z łańcuszkiem i zawiesił wokół szyi chłopca, który, bądź tego pewna, był z tej okoliczności całkiem zadowolony. Kazałam mu oddać zegarek panu, kiedy wychodzili; byłam dość zaskoczona i bardzo zakłopotana, gdy pan Donne oznajmił, iż dał go Leonardowi i że chłopiec ma go zatrzymać. Zauważyłam, że pan Bradshaw jest zdenerwowany, a ten drugi pan mówił z panem Donne'em i słyszałam, jak mówią „zbyt bezczelne”; i nigdy nie zapomnę dumnego, upartego wyrazu, z jakim pan Donne wówczas na nich spojrzął ani sposobu, w jaki rzekł „Nie pozwolę, by ktokolwiek mieszał się do tego, co czynię ze swą własnością”. A taki się zdawał wyniosły i oburzony, że nie ośmieliłam się wówczas wyrzec ani słowa. Lecz kiedy powiedziałam o tym Thurstanowi, był bardzo zasmucony i zły; i oznajmił, iż słyszał już, że grupa naszego kandydata ucieka się do przekupstwa, lecz nigdy nie byłby przypuścił, że spróbowaliby tego w jego własnym domu. Thurstan jest bardzo przygnębiony całymi tymi wyborami; i rzeczywiście, przykrą ma teraz pracę w całym mieście. Niemniej odesłał zegarek wraz z listem panu Bradshawowi; a Leonard był bardzo grzeczny w związku z tą sprawą, toteż dałam mu na kolację posmakować świeżych powideł na chlebie.

Wprawdzie osoba postronna mogłaby uznać ten list za nużący, zważywszy na mnogość szczegółów, niemniej Ruth chciwie łaknęła kolejnych. Co takiego pan Donne powiedział Leonardowi? Czy Leonardowi podobał się nowy znajomy? Czy jest prawdopodobnym, że spotkają się ponownie? Kiedy już porozmyślała sporo nad tym wszystkim, uspokoiła się nadzieją, że za dzień lub dwa trzyma dalsze wieści; by zaś o to zadbać, odpowiedziała na listy pocztą zwrotną. Było to w czwartek. W piątek otrzymała kolejny list, skreślony nieznanym pismem. Był od pana Donne'a. Nie podano nazwiska ani inicjałów. Gdyby dostał się w ręce innej osoby, nie rozpoznałaby ona autora, ani nie zgadła, do kogo go zaadresowano. Zawierał te słowa jedynie:

Dla dobra naszego dziecka i w jego imię zaklinam cię, wyznacz miejsce, w którym ja będę mógł przemówić, Ty zaś wysłuchać mnie bez przeszkód. Spotkanie musi się odbyć w niedzielę; miejsce niech będzie zależne od Twych piechurskich sił. Słowa moje brzmią być może niczym rozkazy, lecz me kochające serce błaga. Więcej już teraz nie powiem, lecz pamiętaj! Dobro Twego synka zależy od tego, czy przystaniesz na tę prośbę. Adres: B. D., poczta, Ecclestone.

Ruth nie zamierzała odpowiedzieć na ten list aż do chwili, gdy do wyjścia poczty pozostało pięć minut. Nie umiała się na to zdecydować, dopóki nie stanęła w obliczu przymusu. Tak czy owak była pełna obaw. Była bardzo bliska pozostawienia listu bez jakiegokolwiek odpowiedzi. Lecz nagle postanowiła dowiedzieć się wszystkiego, zarówno najlepszego, jak i najgorszego. Żaden tchórzliwy lęk o siebie bądź o innych nie powinien jej zmusić do zaniedbania czegokolwiek, co przychodziło do niej w związku z dzieckiem. Wzięła pióro i napisała:

Piaski pod skałami, gdzieśmy się spotkali owego wieczoru. Pora – popołudniowe nabożeństwo.

Nadeszła niedziela.

– Nie pójde dziś po południu do kościoła. Znacnie drogę, rzecz jasna; i mogę mieć ufność, że pewnym krokiem pójdziecie tam same.

Kiedy podeszły, by zgodnie ze swym zwyczajem pocałować Ruth przed odejściem,

uderzyło je, jak zimne były jej twarz i usta.

– Czy dobrze się pani czuje, pani Denbigh? Jakże pani zimna!

– Owszem, kochanie! Czuję się dobrze – a kiedy spojrzała w ich zmartwione twarzyczki, łzy napłynęły jej do oczu. – Idźcie już, moje drogie. Niedługo będzie piąta, a wówczas wypijemy herbatę.

– I wtedy się pani ogrzeje! – rzekły, opuszczając pokój.

– I wtedy będzie już po wszystkim – szepnęła – po wszystkim.

W ogóle nie przyszło jej do głowy, aby obserwować dziewczynki, kiedy schodziły w dół ścieżką prowadzącą do kościoła, by w końcu na niej zniknąć. Zbyt dobrze je znała, aby wątpić, iż uczynią to, co im przykazano. Przez kilka minut siedziała nieruchomo z głową złożoną na ramionach, po czym wstała i poszła włożyć strój wyjściowy. Jakieś myśli pchnęły ją do nagłego pośpiechu. Przemierzyła pole przy domu, zbiegła w dół stromą, skalistą ścieżką, a siła rozpędu poniosła ją daleko w głąb plaży – lecz zamierzała znaleźć się jeszcze dalej. Nie rozglądając się na prawo ni na lewo, poszła prosto ku czarnym słupom, które wznosząc się ponad powierzchnię falujących wód znaczyły miejsce, gdzie rybacy rozłożyli sieci. Poszła prosto ku temu miejscu i nie zwalniała kroku nawet tam, gdzie mokry piasek lśnił od cofających się fal. Gdy tam dotarła, obróciła się i rozejrzawszy się chyżo, zauważyła, iż w pobliżu nie ma jeszcze nikogo. Znajdowała się być może o jakie pół mili od szarych, srebrzystych skał, które opadały ku brunatnym wrzosowiskom poprzetykanym tu i ówdzie złocistym, falującym zbożem. Za nimi były dotykające nieba purpurowe wzgórza o wyrazistym, ostrym zarysie. Nieco w bok od miejsca, w którym stała, ujrzała porozrzucane białe chaty oraz domy tworzące wioskę Abermouth, na smaganym wiatrem wzgórzu zaś, oddalonym o jaką milę w głąb łądu, dostrzegła szary kościółek, gdzie w tej właśnie chwili wielu modliło się w spokoju.

– Módlcie się za mnie! – westchnęła, gdy wzrok jej padł na ów budynek.

Teraz zaś tuż u podnóża porośniętych wrzosem pól, tam gdzie delikatnie opadały i stykały się z plażą, ujrzała postać idącą w kierunku wielkiego cienia rzucanego przez skały – kroczącą dokładnie ku miejscu, gdzie ścieżka z Eagle's Crag łączyła się z piaskiem.

– To on! – rzekła do siebie. I odwróciła się, i spojrzała w morze. Zmienił się kierunek pływu; fale cofały się z wolna, jak gdyby niechętnie utraceniu panowania nad żółtym piaskiem, które dopiero co posiadały i to w tak lotnych ruchach. Ucho wypełniał wiekiusty pomruk, którym odzywały się one od zarania świata, zakłócany jedynie skrzekiem szarych ptaków morskich, lądujących grupkami na krawędzi wody bądź wznoszących się miarowym, wyważonym ruchem, podczas gdy promienie słoneczne oświetlały ich białe piersi. Nigdzie nie było widać żadnych oznak ludzkiej obecności; żadnej łodzi ani żagla w oddali, ani poławiacza krewetek w pobliżu. Czarne słupy były jedynym świadectwem ludzkiej pracy, czy też działalności. Poza połacią wód ukazywały się bladoszare mgiełki wzgórz; szczyty były wyraźne, chociaż nikłe, podnóża zatraciły się w mgielnych oparach.

Na twardym, odbijającym dźwięk piaszczystym podłożu rozległy się kroki, wyraźne na tle nieustannego pomruku słonych fal morskich – bliżej – bliżej. Były bardzo blisko, kiedy Ruth, pragnąc nie okazać strachu, który hulał w jej sercu, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z panem Donne'em.

Postąpił do przodu z wyciągniętymi ku niej rękami.

– To miło! Moja Ruth – rzekł. Ramiona Ruth były nieruchome, opuszczone wzdłuż ciała.

– Jakże to! Ruth, słowem się do mnie nie odezwiesz?

– Nie mam nic do powiedzenia – oznajmiła Ruth.

– Ależ ty małe, mściwe stworzonko! Mam zatem wszystko ci wyjaśnić, nim zaczniesz mnie traktować z przyzwoitą choćby grzeczością.

– Nie pragnę wyjaśnień – odparła drżącym głosem. – Nie wolno nam mówić o przeszłości. Prosił pan, bym przyszła w imię Leonarda – w imię mego dziecka – i wysłuchała, co pan ma do powiedzenia na jego temat.

– Lecz to, co mam o nim do powiedzenia, odnosi się do ciebie nawet bardziej jeszcze. A jak możemy o nim mówić, nie powracając do przeszłości? Ta przeszłość, którą ty usiłujesz

zlekceważyć – wiem, że w głębi serca uczynić tego nie możesz – jest dla mnie pełna szczęśliwych wspomnień. Czyż nie zaznałaś w Walii szczęścia? – zapytał jak najczulej.

Lecz odpowiedź nie padła; nie było nawet nikłego westchnięcia, mimo że nasłuchiwał usilnie.

– Nie śmiesz przemówić; nie śmiesz mi odpowiedzieć. Serce nie pozwoli ci mówić nieprawdy, a wiesz, żeś była szczęśliwa.

Nagle Ruth wzniosła ku niemu piękne oczy, pełne przepysznego blasku, lecz o poważnym wyrazie; policzki zaś, dotychczas tak nikle zabarwione najdelikatniejszym rumieńcem, spłonęło czerwonym blaskiem.

– Zaznałam szczęścia. Nie przeczę. Cokolwiek się zdarzy, nie będę się cofać przed prawdą. Odpowiedziałam panu.

– A mimo to – odparł, radując się skrycie z jej wyznania i nie dostrzegając siły wewnętrznej, której istnienie z pewnością uświadomiła sobie, zanim zdobyła się na owo wyznanie – a mimo to, Ruth, mamy nie powracać do przeszłości! Dlaczego nie? Skoro wtedy był to czas szczęśliwy, to czy wspomnienie o nim jest ci aż tak przykre?

Raz jeszcze spróbował chwycić ją za rękę, lecz ona odsunęła się w milczeniu.

– Przyszłam wysłuchać, co ma pan do powiedzenia o moim dziecku – rzekła, tymczasem zaczęło ją ogarniać znużenie.

– O naszym dziecku, Ruth.

Wyprostowała się, a twarz miała bardzo bladą.

– Co ma pan o nim do powiedzenia? – zapytała oschle.

– Sporo – wykrzyknął – sporo i może to mieć wpływ na całe jego życie. Lecz wszystko zależy od tego, czy zechcesz mnie wysłuchać, czy też nie.

– Słucham.

– Wielkie nieba, Ruth, doprowadzisz mnie do szaleństwa! Och! Jakżeś inna od tej słodkiej, uroczej istoty, którą byłaś! Gdybyś tylko nie była taka piękna. – Nie odpowiedziała, ale usłyszała jej mimowolne głębokie westchnięcie.

– Czy będziesz słuchała, jeżeli zacznę mówić, aczkolwiek być może nie od razu będę mówił o tym chłopcu – o chłopcu, z którego każda matka – każdy rodzic mógłby być dumny? Zauważyłem to, Ruth, widziałem go; wyglądał niczym księżę w tym ciasnym, nędznym domu i pozbawiony ziemskich dóbr. Byłoby szkoda, gdyby odmówiono mu go którejkolwiek z szans, jakie mogłyby się przed nim otworzyć.

Na nieruchomej twarzy nie było jakiegokolwiek oznaki matczynej ambicji, chociaż być może zakiełkowała ona w jej sercu, kiedy zabiło szybko i mocno na myśl o propozycji, którą, jak sobie wyobrażała, zamierzał uczynić w kwestii zabrania jej synka, by dać mu doskonale wykształcenie, którego często dlań łaknęła. Powinna odmówić, tak jak uczyniłaby względem wszystkiego, co zdawałoby się sugerować, iż uznawała czyjeś prawo do Leonarda; lecz niekiedy dla dobra chłopca pragnęła większych możliwości – szerszej przestrzeni.

– Ruth! Przyznałaś, żeśmy kiedyś byli szczęśliwi; istniały okoliczności, które, gdybym mógł szczegółowo ci o nich wszystkich opowiedzieć, ukazałyby ci, jak wówczas, słaby i powracający do zdrowia, byłem niemalże bierny w rękach innych ludzi. Ach, Ruth! Nie zapomniałem tkliwej pielęgniarki, która uspokajała mnie, kiedyś majaczył. Gdy mam gorączkę, śnię, że ponownie jestem w Llan-dhu, w małej starej sypialni, a ty, w bieli – którą zawsze się wówczas oblekałaś – pomykasz wokół mnie.

Łzy duże i okrągłe kapały z oczu Ruth – nie mogła nic na to poradzić – jakżeby mogła?

– Byliśmy wówczas szczęśliwi – ciągnął, nabierając otuchy na widok jej wzruszenia i powracając raz jeszcze do wyznania, które uznał za tak dla siebie korzystne. – Czy takie szczęście nie mogłoby więcej powrócić? – Rzekł prędko, pragnąc przedłożyć jej wszystko, co miał do zaproponowania, zanim udałoby się jej w pełni pojąć, o co mu chodziło.

– Jeżelibyś się zgodziła, Leonard zawsze byłby z tobą – kształciłby się gdzie i jak byś zechciała – pieniądze w ilości, jakiej tylko byś sobie zażyczyła, byłyby zapewnione tobie i jemu – jeżeli tylko, Ruth, jeżeli tylko pozwoliłabyś na to, by powróciły tamte szczęśliwe dni.

Ruth przemówiła.

– Powiedziałam, że byłam szczęśliwa, ponieważ poprosiłam Boga, by mi dopomógł i mnie ochronił – i nie śmiałam opowiadać kłamstw. Byłam szczęśliwa. Och! Czymże jest szczęście bądź cierpienie, żebyśmy teraz o nich mówili?

Pan Donne spojrzał na nią, kiedy mówiła te słowa, by sprawdzić, czy błędzi gdzieś myślami, bo tak zupełnie wydawały mu się one dziwne i nieskładne.

– Nie śmiem myśleć o szczęściu, nie wolno mi wyglądać smutku. Bóg nie po to mnie tutaj postawił, ażebym rozważała którekolwiek z nich.

– Moja droga Ruth, uspokójże się! Nie trzeba się śpieszyć z udzieleniem odpowiedzi na moje pytanie.

– A jak ono brzmiało? – zapytała Ruth.

– Kocham cię tak bardzo, że żyć bez ciebie nie mogę. Ofiaruję ci serce, życie... zapewniam, że umieszczę Leonarda tam, gdzie tylko sobie zażyczysz. Mam możliwość i środki po temu, ażeby wesprzeć go na każdej ścieżce życia, jaką tylko wybierzesz. Każdy, kto okazał ci uprzejmość, otrzyma ode mnie nagrodę popartą wdzięcznością, która przewyższy nawet twoją wdzięczność. Jeżeli jest jeszcze coś, co według ciebie mógłbym uczynić, uczynię to.

– Niech pan posłucha! – rzekła Ruth, kiedy w myślach jej zaświtało, co proponował. – Gdy mówiłam, że dawno temu byłam z panem szczęśliwa, dławiłam się ze wstydu, wyrzekając te słowa. A jednak być może szukam dla siebie próżnej, fałszywej wymówki. Byłam bardzo młoda; nie wiedziałam, dlaczego takie życie jest przeciw czystej i świętej woli Boga – przynajmniej nie tak dobrze, jak wiem to dzisiaj; i mówię panu prawdę – odtąd każdego dnia życia towarzyszy mi skrywana zmaza na duszy – zmaza, która sprawiła, że sama czuję do siebie wstręt i zazdrość tym, co wytrwali bez skazy i niezbrukani; to sprawiło, że ze wstydu cofam się przed własnym dzieckiem – przed panem Bensonem i jego siostrą – przed niewinnymi dziewczętami, które nauczam – ba, kulę się ze strachu przed samym Bogiem nawet; a to, co wówczas złego uczyniłam, zrobiłam w ślepej niewiedzy, w przeciwieństwie do tego, co uczyniłabym teraz, gdybym pana posłuchała.

Była tak silnie wzburzona, że przyłożyła dłonie do twarzy i rozszlochała się serdecznie. Następnie, odjąwszy je, spojrzała nań z pałającą twarzą i pięknymi, uczciwymi, mokrymi oczami i spróbowała przemówić spokojnie, kiedy zapytała, czy potrzeba, by zostawała dłużej (byłaby odeszła natychmiast, lecz pomyślała o Leonardzie i zapragnęła usłyszeć wszystko, co mógłby mieć do powiedzenia jego ojciec). On tymczasem był znów pod tak przemożnym wrażeniem jej urody i tak niewiele rozumiał z tego, co mówiła, iż uznał, że potrzeba ją odrobinę jeszcze ponakłaniać, a przystanie na to, czego pragnął; w niczym bowiem, co powiedziała, nie było znać ni śladu gniewu czy pretensji, że ją opuścił, jakkolwiek spodziewał się, iż te właśnie uczucia będą przeważały – a byłaby to największa z przeszkód, jakie mógł napotkać. Wyrażoną przez nią głęboką skruchę pomylił z ziemskim wstydem; a ten, jak sądził, zdoła niebawem odegnać.

– Owszem, mam do powiedzenia o wiele więcej. Nie powiedziałem jeszcze połowy. Nie umiem ci opisać, jak czule będę – jak czule już cię kocham – jak pragnę spędzić życie na służeniu twym życzeniom. Pieniędźmi, jak widzę... wiem, że gardzisz...

– Panie Bellingham! Nie zostanę tutaj po to, ażeby dalej słuchać, gdy pan przemawia do mnie w ten sposób. Byłam grzeszna, lecz pan akurat nie powinien... – Nie mogła mówić, tak bardzo dławił ją namiętny żal.

Zapragnął ją uspokoić, dostrzegłszy, że wstrząsają ją powstrzymywane szlochy. Położył dłoń na jej ramieniu. Strąciła ją zniecierpliwiona i natychmiast się odsunęła.

– Ruth! – rzekł, dotknięty okazaną niechęcią – zaczynam sądzić, że tyś mnie nigdy nie kochała.

– Ja!... ja pana nigdy nie kochałam! Jak pan śmie tak mówić?

Gdy mówiła, oczy jej zapłonęły w reakcji na jego słowa. Jej kształtne, czerwone wargi wykrzywiły się uroczo w wyrazie pogardy.

– Dlaczego tak się przede mną wzdrygasz? – rzekł z narastającym zniecierpliwieniem.

– Nie przyszłam tu po to, ażeby mówiono do mnie w ten sposób – oznajmiła. – Przyszłam

na wypadek, gdybym w jakikolwiek sposób mogła dzięki temu uczynić coś dobrego dla Leonarda. Dla jego dobra zgodziłabym się na wiele upokorzeń – lecz żadnych więcej z pańskiej strony.

– Czy nie lękasz się stawiać mi czoła w taki sposób? – zapytał. – Czy nie wiesz, jak dużą mam nad tobą moc?

Milczała. Pragnęła odejść, ale obawiała się, że poszedłby za nią tam, gdzie byłaby mniej narażona na to, że ktoś może przeszkodzić, niżli tutaj, nieopodal sieci rybackich, które odpływ z każdą chwilą odsłaniał coraz bardziej, a słupy, do których były przytwierdzone, wystawały czarne coraz wyżej ponad wodę.

Pan Donne położył dłonie na jej ramionach, które trzymała przed sobą; dłonie miała ciasno splecione.

– Poproś, bym pozwolił ci odejść – rzekł. – Uczynię to, jeżeli mnie poprosisz. – Była w nim duża zawziętość i namiętność, i zdecydowanie. Gwałtowność tego czynu zaskoczyła Ruth, a bolesny, ciasny uścisk sprawił, że prawie krzyknęła. Lecz była zupełnie nieruchoma i milcząca.

– Poproś – rzekł, potrząsając nią delikatnie. Nie odzywała się. Jej oczy, wpatrzone w dalekie wybrzeże, z wolna napępniały się łzami. Nagle poprzez mgłę, która ich przysłaniała, rozbrły światło i zamknięte usta się rozchyliły. Dostrzegła w oddali coś, co dało jej nadzieję.

– To Stephen Bromley – oznajmiła. – Idzie do swych sieci. Mówią, że to człowiek bardzo groźny i gwałtowny, lecz on mnie ochroni.

– Ty uparte, harde stworzenie! – rzekł pan Donne, zwalniając uścisk. – Zapominasz, że jedno moje słowo mogłoby wyprowadzić z błędu tych wszystkich poczciwych mieszkańców Eccleston; a gdybym powiedział choćby odrobinę, natychmiast by cię odrzucili. A zatem! – ciągnął – czy pojmujesz, jak ogromną mam nad tobą moc?

– Pan i panna Benson wiedzą o wszystkim – nie odrzucili mnie – wysapała Ruth. – Och, dla dobra Leonarda nie postąpiłby pan tak okrutnie!

– Więc i ty nie bądź wobec niego okrutna – wobec mnie. Pomyśl raz jeszcze!

– Pomyślałam raz jeszcze – odrzekła uroczyście. – Aby ocalić Leonarda od wstydu i udręki płynących z poznania mej hańby, położyłabym się i umarła. Och! Być może byłoby to dla niego najlepsze – dla mnie, gdyby to było możliwe; moja śmierć przyniosłaby bezbolesny żal – lecz prawdziwe okrucieństwo wyrządziłabym mu powracając do grzechu. Być może łzy zmyją błędy mej młodości – już raz podobnie się zdarzyło, kiedy łagodny, błogosławiony Chrystus był na ziemi; lecz gdybym teraz z rozmysłem skierowała się ku winie, tak jak pan tego chce ode mnie, jakże mogłabym uczyć Leonarda o świętej woli Bożej? Już prędzej wolałabym, ażeby się dowiedział o mym dawnym grzechu, niż gdyby usłyszał o okropnej deprawacji, jaką byłoby życie pozbawione wszelkiej bojaźni Bożej, którego pan dla mnie chce... – przemowę jej przerywał szloch. – Jakikolwiek przeznaczono mi wyrok... Bóg jest sprawiedliwy... oddaję się w Jego ręce. Ocale Leonarda ode złego. Złem byłoby dla niego, gdybym zamieszkała z panem. Pierwej pozwolę mu umrzeć! – Wzniosła oczy ku niebu i złożyła, i spłótła ciasno dłonie. Potem rzekła: – Dość mnie już pan upokorzył. Teraz pana opuszczę.

Odwróciła się zdecydowanie. Ciemny, szary rybak był tuż blisko. Pan Donne założył ramiona i zacisnął zęby, i patrzył za nią.

– Jakże dostoyny jest jej chód! Jak majestatyczne i wdzięczne były wszystkie jej pozy! Myśli, że pokrzyżowała teraz me szyki. Spróbujemy czegoś jeszcze i podniesiemy stawkę. – Rozplótł ramiona i podążył za nią. Dogonił ją, ponieważ jej piękny chód był obecnie chwiejny i niepewny. Mechanizm zegarowy, który wprawiał ją w ruch, prędko opadał z sił.

– Ruth! – rzekł, doganiając ją. – Wysłuchasz mnie raz jeszcze. A jakże, obejrzyj się! Twój rybak jest niedaleko. Może mnie usłyszeć, jeżeli zechce – usłyszeć, jak tryumfujesz. Przychodzę zaproponować ci małżeństwo, Ruth; niechże się dzieje, co chce ty musisz być moja. Nie – musisz mnie wysłuchać. Będę trzymał tę dłoń dopóty, dopóki mnie nie wysłuchasz. Jutro pomówię z kim tylko chcesz w Eccleston – z panem Bradshawem; panem... – mam na myśli tego małego pastora. Możemy sprawić, że dotrzymanie naszej tajemnicy będzie dlań warte zachodu i nikt nie musi wiedzieć niczego poza tym, iż naprawdę jesteś panią Denbigh. Leonard zachowa to nazwisko, lecz pod każdym innym względem będzie traktowany jak mój syn. Zadbam o to, ażeby najwznieślejsze

ścieżki stanęły przed nim otworem!

Spojrzał na jej uroczą twarz, licząc, iż ujrzy ją jaśniejącą nagłą radością; tymczasem przeciwnie, głowę miała ciężko zwieszoną.

– Nie mogę – rzekła; głos jej był blady i cichy.

– Wydaje ci się to zbyt nagłe, najdroższa moja. Lecz bądź spokojna. Wszystko będzie załatwione bez trudu. Pozostaw to mnie.

– Nie mogę – odparła, wyraźniej i głośniejszym głosem, choć nadal bardzo cicho.

– Jakże to! Dlaczegoż u licha tak mówisz? – zapytał, a w obecnym nastroju każde powtórzenie podobnych słów wprawiało go w rozdrażnienie.

– Nie kocham pana. Kiedyś kochałam. Niech pan nie mówi, że wówczas go nie kochałam; lecz teraz nie kocham. Nigdy nie mogłabym pana na powrót pokochać. Wszystko, co pan mówił i czynił, odkąd przyjechał pan z panem Bradshawem do Abermouth, sprawiło jedynie, iż jęłam się zastanawiać, jakże ja kiedykolwiek mogłam pana kochać. Dzieli nas ogromna przepaść. Czas, który przygniółł me życie niczym piętno z rozżarzonego żelaza i naznaczył na zawsze, był dla pana niczym. Mówił pan o tym bez żadnego żalu w głosie – żadnego cienia, który przyćmiłby pogodę na pańskiej twarzy; na sumieniu pańskim nie pozostawił on żadnej świadomości grzechu, tymczasem mnie nawiedza nieustannie; a jednak mogłabym się usprawiedliwić, mówiąc, że byłam nieświadomym dzieckiem... lecz usprawiedliwiać się nie będę, bo Bóg wszystko wie... Ale to ledwie jedna cząstka z ogromu dzielących nas różnic...

– Masz na myśli to, że nie jestem święty – rzekł, zniecierpliwiony jej przemową. – Przyznaję. Lecz ludzie, którzy nie są świętymi, nie raz okazywali się już dobrymi mężami. No, nie pozwólże, aby jakaś chorobliwa, nadwreżona sumienność zakłócała namacalne szczęście – szczęście zarówno twoje, jak i moje – bo pewien jestem, że potrafię cię uszczęśliwić – ba! i do tego sprawić, że mnie pokochasz wbrew swej uroczej przekorze. Kocham cię tak bardzo, że muszę zdobyć twą miłość. Ponadto są w tym wszystkim i korzyści dla Leonarda, które możesz dlań zdobyć w sposób zupełnie święty i prawy.

Stała bardzo wyprostowana.

– Jeżeli istniała choćby jedna rzecz która miałaby mi dopomóc utwierdzić się w swych racjach, to pan właśnie ją wymienił. Nie będzie pan miał nic wspólnego z moim synem za moim przyzwoleniem, a jeszcze mniej za moją sprawą. Prędzej wolałabym go widzieć pracującego przy rowie, aniżeli gdyby miał prowadzić takie życie – być takim człowiekiem, jakim pan jest.

Wysłuchał pan już tego, co miałam do powiedzenia, panie Bellingham. Upokorzył mnie pan – udręczył; a jeżeli w końcu przemówiłam zbyt szorstko i zbyt mocno w duchu osądu, to winę za to ponosi pan. Jeżeli nie istniałby żaden powód na zapobieżenie naszemu małżeństwu prócz tego, że Leonard musiałby wówczas z panem przestawać, to już samo to wystarczy.

– Wystarczy! – rzekł, kłaniając się jej głęboko. – Nie będę już więcej niepokoił ani ciebie, ani twego dziecka. Życzę ci dobrego wieczoru.

Rozeszli się – on wrócił do gospody, by natychmiast wyjechać z miejsca, w którym tak bardzo go upokorzono, póki krew wciąż jeszcze w nim wrzała – ona zaś, ażeby się uspokoić, nim dotrze do ścieżynki przywodzącej na myśl prymitywne schody, którymi miała się wspiąć na górę ku domowi.

Nie zwracała przez pewien jeszcze czas po tym, jak zupełnie znikła z oczu każdemu, kto znalazłby się na brzegu; wdrapywała się, ogłuszona niemalże prędkim biciem serca. Oczy miała suche i piekące; i w końcu stało się tak, jak gdyby nagle oślepla. Nie mogąc iść dalej, przedostała się chwiejnym krokiem do splecionych zarośli rosnących pośród kamieni, wypełniających każdą niszę i rozpadlinę i niewielkie półki skalne delikatnym zielonym azurem. Usiadła za wielkim nawisem skalnym, który osłaniał ją przed wzrokiem każdego, kto kroczył ścieżką. W skale tej zakorzeniony był jesion, pochylony od morskiej bryzy, która wiała w każdą prawie pogodę; lecz tym razem był to bezwietrzny, jesienny wieczór dnia Pańskiego. Członki Ruth spoczęły tam, gdzie upadły. Brakło jej siły cielesnej oraz siły woli do tego, ażeby poruszyć choćby palcem. Nie mogła myśleć ani wspominać. Była dosłownie oszołomiona. Pierwszym wyrazistym uczuciem, które wyrwało ją z odrętwienia, było nagłe pragnienie, by ujrzeć go raz jeszcze; poderwała się i wspięła

na sterczący, przyprawiający o zawrót głowy wierzchołek skalny, wysunięty odrobinę powyżej jej osłoniętego zakątka, a mimo to górujący nad szerokim widokiem na nagą plażę; hen daleko poniżej, tuż przy marszczącej się linii wody, stał Stephen Bromley, zbierający pracowicie połów w swych sieciach; poza nim nie było widać żadnej żywej istoty. Ruth przysłoniła oczy, jak gdyby sądziła, iż ją oszukują, ale nie, istotnie nie było nikogo. Zeszła powoli na dół do miejsca, które poprzednio zajmowała, zakrzyknawszy żałośnie po drodze.

– O! Gdybym nie przemówiła doń z taką złością... ostatnie moje słowa były tak pełne gorzycy... tak pełne wyrzutu!... a ja już nigdy, przenigdy go nie zobaczę!

Nie potrafiła spojrzeć na ową rozmowę i jej zakres w sposób ogólny – wydarzenie to było jeszcze zbyt bliskie; lecz serce miała obolałe na wspomnienie swych ostatnich słów, tak prawdziwych, jak prawdziwa była ich surowość. Jej wysiłek, nieustannie płynące łzy, których źródłem było samo osłabienie, wprawiły ją w poczucie przemożnego cielesnego zmęczenia; a dusza jej zatraciła moc rzucania się naprzód czy rozważania czegokolwiek, co wykraczałoby poza posępną terażniejszość, w której połać szarych, dzikich, ponurych wrzosowisk rozciągających się pod bezsłonecznym niebem zdawała się jedynie zewnętrznym przejawem pustynnego krajobrazu w jej sercu, dla którego nie mogła się domagać współczucia; nie potrafiła bowiem nawet określić przedmiotów swej zgryzoty; a gdyby potrafiła, nikt nie pojąłby, jakże to być mogło, iż terażniejszość nawiedzał straszliwy duch dawnej miłości.

– Taka jestem zmęczona! Taka jestem zmęczona! – jęknęła nareszcie głośno. – Zastanawiam się, czy mogłabym się tutaj zatrzymać i po prostu zgasnąć.

Zamknęła oczy i nie otwierała, dopóki poprzez zaciśnięte powieki nie zaczęła przenikać czerwona poświata. Chmury się rozpieczęły, a za dalekimi purpurowymi wzgórzami zachodziło słońce w karmazynowej glorii. Całe niebo na zachodzie było jednym płomieniem ognia. Ruth zatraciła się w obserwowaniu tego wspaniałego widoku. Usiadła prosto i gdy się wpatrywała, łzy na jej policzkach powysychały; i nie wiedzieć kiedy wszelkie ziemskie troski i smutki pochłonęło nieświadome poczucie nieskończoności Boga. Zachód słońca uspokoił ją bardziej, niż mogłyby tego dokonać wszelkie słowa, jakkolwiek mądre byłyby i tkiwe. Zdawało się wręcz, iż przydał jej siły i odwagi; nie wiedziała jak i dlaczego, niemniej tak właśnie było.

Powstała i ruszyła z wolna w stronę domu. Członki miała zeszywniałe i od czasu do czasu musiała dławić niechciany szloch. Uczennice już dawno powróciły z kościoła i zajmowały się teraz przygotowaniem herbaty – było to zajęcie, które prawdopodobnie sprawiało, iż czas nie dłużył im się tak bardzo.

Gdyby kiedykolwiek ujrzały były lunatyka, to przez kolejnych kilka dni mogłyby przyrównać do niego Ruth, tak powolne i miarowe zdawały się jej ruchy – tak daleko od wszystkiego, co się wokół działo, był jej umysł – tak ściszony i dziwny był ton jej głosu. Otrzymały listy z domu, powiadamiające o tryumfalnym wyborze pana Donne'a na członka parlamentu z Eccleston. Pani Denbigh wysłuchiwała owych wieści bez słowa i zbyt była apatyczna, ażeby włączyć się w poszukiwania fioletowych i żółtych kwiatów^[78] dla przyozdobienia salonu w Eagle's Crag.

Następnego dnia przyszedł list od Jemimy wzywający je do domu. Pan Donne wraz z przyjaciółmi opuścił już to miejsce i w domostwie Bradshawów na powrót zapanował spokój; toteż nadeszła pora, by zakończyć wakacje Mary i Elizabeth. Również pani Denbigh otrzymała list – list od panny Benson, który donosił, że Leonard nie czuje się zbyt dobrze. Autorka zadała sobie tyle trudu, ażeby ukryć niepokój, iż bardzo było widoczne, jak wielki doprawdy niepokój czuła; a w dziewczętach trwogę niemal wzbudziła nagła zmiana w Ruth z małomównej apatii w gorliwą, gwałtowną energię. Ciało i umysł zdawały się zrywać ku wysiłkowi. Każda rzecz, która mogłaby ułatwić spakowanie i pozamykanie spraw w Abermouth, wszelkie sprawunki i ustalenia, które mogłyby przyspieszyć ich wyjazd choćby o minutę, czyniła Ruth z surową natychmiastowością. Nie oszczędzała się w niczym. Kazała im odpoczywać, podczas gdy sama podnosiła ciężary i przeprowadzała sprawy z gorączkową mocą, nigdy nie odpoczywając i usiłując nie mieć wcale czasu na rozmyślanie.

Wspomnienie przeszłości bowiem zawierało w sobie wyrzut sumienia – jakżeż zapomniiała

o Leonardzie przez tych kilka ostatnich dni! – jakże szemrała i sercem była ociążała wobec swego błogosławieństwa! A w wyczekiwaniu przyszłości jawił się w ciemności jeden wyrazisty punkt czerwonego światła, który przeszywał jej mózg katuszą, a którego nie chciała dostrzec ani rozpoznać – punkt niebędący prawdziwą tarczą przeciw goryczy strzał śmierci.

Kiedy trójka wróciła znad morza do Eccleston, powitali je pani i panna Bradshaw oraz pan Benson. Na mocy silnego postanowienia Ruth powstrzymała się od zapytania „Czy żyje?”, jak gdyby nadanie kształtu obawom uczyniłoby ich realizację bardziej nieuchronną. Rzekła jedynie „Jakże on się miewa?”, lecz powiedziała to przez ściągnięte, zaciśnięte, blade usta, a w oczach jej pan Benson wyczytał udrękę niepokoju.

– Jest bardzo chory, ale mamy nadzieję, że niedługo poczuje się lepiej. Każde dziecko musi przez to przebrnąć.

ROZDZIAŁ XXV

Jemima dokonuje odkrycia

Pan Bradshaw z powodzeniem osiągnął zamierzony cel. Kandydat jego został wybrany; dumni przeciwnicy upokorzeni. Toteż powszechnie ludzie uważali, że winien być bardzo rad; lecz ludzi tych spotkał zawód, kiedy dostrzegli, iż nie okazał wcale zadowolenia, jakie podług nich winien odczuwać.

Prawdę rzekłszy, podczas wyborów spotkało go tak wiele drobnych upokorzeń, że przyjemność, jaką w przeciwnym razie czerpałby z ostatecznego powodzenia swego planu, doznała silnego uszczerbku.

Usankcjonował przekupstwo, i to bynajmniej nie w milczeniu; teraz zaś, gdy opadły już wszystkie emocje, żałował tego; niezupełnie z powodów związanych z sumieniem, jakkolwiek niepokoiło go nieco poczucie czynienia zła; mimo wszystko jednak większy ból sprawiała myśl, że w oczach niektórych współmieszczan jego dotąd nieskalana opinia doczekała się rysy. On, który był tak srogim i surowym cenzorem, gdy szło o wywieranie niewłaściwych nacisków, czego dopuszczali się przeciwnicy podczas wszystkich poprzednich wyborów, nie mógł sądzić, iż ich stronnicy oszczędzą go teraz, kiedy krążyły plotki głoszące, że ręce niesumiennych dysydentów nie są wcale czyste. Dawniej szczycił się tym, że ani przyjaciel, ani wróg nie mógłby rzec o nim złego słowa; teraz nieustannie bał się oskarżenia o przekupstwo oraz tego, że zostanie zobowiązany do stawienia się przed komisją, ażeby się przyznać do udziału w owym procederze.

Niespokojne, bojaźliwe sumienie uczyniło go bardziej jeszcze niż dotąd surowym i srogim; jak gdyby ponowiona surowa prawość pozwoliła mu stłamsić całą tę ciekawską, oszczerczą gadaninę w mieście, tak aby pana Bradshawa, którego zasady osłabły na miesiąc, kiedy wokół panowało ogólne poruszenie i podniecenie, nie pomylić z niezwykle sumiennym i głęboko religijnym panem Bradshawem, który dwa razy dziennie chadzał do kaplicy, a każdemu z zakładów dobroczynnych w mieście wręczył po sto funtów w swoistej ofierze dziękczynnej za to, że osiągnął swój cel.

Lecz w skrytości był z pana Donne'a niezadowolony. Ogólnie rzecz biorąc, dżentelmen ów był niejako nazbyt gotów postępować zgodnie z radami wszystkich, nie bacząc na to, kim owi doradcy byli; jak gdyby uznał, iż ważenie mądrości przyjaciół to zbyt duży kłopot, a przecież w tym przypadku pan Bradshaw byłby się niewątpliwie okazał nad wyraz przydatnym. Niekiedy jednak nieoczekiwanie i zupełnie bez przyczyny brał bieg spraw w swoje ręce, jak wówczas, kiedy to w przeddzień mianowania wyjechał bez usprawiedliwienia. Nikt nie odgadł, dokąd się udał; niemniej sam fakt, że zniknął, wystarczył, by zmartwić pana Bradshawa, który był gotów wszcząć kłótnię na tej właśnie podstawie, gdyby wybory zakończyły się dlań niekorzystnie. Tymczasem żywił wobec pana Donne'a bynajmniej nie przykre uczucie prawa własności. Dał nowemu posłowi fotel; to jego własna stanowczość, gotowość do działania, energia, uczyniły z pana Donne'a „naszego przedstawiciela”; toteż pan Bradshaw jął czuć się zeń odpowiednio dumnym. Lecz nie nadarzyła się przez ten czas choćby jedna okoliczność, która pozwoliłaby połączyć Jemimę z panem Farquharem. Nadal z całą mocą źle się nawzajem rozumieli. Zaszła jednak różnica w skutkach: Jemima kochała go tym bardziej jeszcze, pomimo kłótni oraz chłodu. On zaczynał odczuwać dogłębne zmęczenie kapryśnym usposobieniem, którego nigdy nie był pewnym; traktowaniem, które różniło się dzień po dniu, w zależności od nastroju, w jakim była, oraz od myśli, które przeważały; toteż prawie poczuł zaskoczenie, skonstatowawszy, jak bardzo był rad, że dziewczynki i pani Denbigh wracają do domu. Natura jego lubiła rozkoszować się spokojem;

a urocza, cicha Ruth, z łagodnym głosem i spokojnymi odpowiedziami, z delikatnymi, płynnymi ruchami, jawiła mu się jako wzorzec tego, czym winna być kobieta – opanowaną, spokojną duszą, kształtującą ciało podług anielskich wdzięków.

Dlatego też pan Farquhar z niemalym bynajmniej zainteresowaniem codziennie zapytywał o zdrowie małego Leonarda. Pytał w domu Bensonów; a Sally z zapuchniętymi i pełnymi łez oczami odpowiadała, że z dzieckiem bardzo źle – naprawdę bardzo źle. Pytał u doktora; a doktor oznajmił mu w kilku krótkich słowach, że to „tylko ciężka odmiana odry i chłopak będzie musiał ją zawalczyć, ale zdaje się, że pokona. Krzepkie dzieci we wszystko wkładają siłę; nigdy nie robią niczego połowicznie; jeżeli zachorują, z pewnością natychmiast dostaną wysokiej gorączki; jeżeli są zdrowe, to ich hulanki burzą w domu wszelki spokój. Osobiście – ciągnął doktor – rad jestem chyba, że nie mam dzieci; z tego co wiem, jest z nimi samo skaranie boskie i żadnego pożytku. Lecz kiedy skończył tę przemowę, westchnął; pan Farquhar zaś utwierdził się w przekonaniu, że prawdziwe były powszechne doniesienia, które przedstawiały tego zdolnego, cieszącego się powodzeniem chirurga z Eccleston jako człowieka gorzko zawiedzionego brakiem potomstwa.

Podczas gdy za murami przykaplicznego domu obecne były te właśnie różnorakie wydarzenia i uczucia, wewnątrz jedna myśl tylko panowała nad wszystkimi jego mieszkańcami. Kiedy Sally nie gotowała małemu pacjentowi, płakała; gdyż niecałe trzy miesiące temu przyśniły jej się zielone szuwary, co ona za pomocą jakiejś osobliwej metody wróżenia ze snów wytłumaczyła jako zwiastun śmierci dziecka; i wszystkie starania panny Benson skupione były teraz na niedopuszczeniu do tego, by zdradziła Ruth treść tego snu. Sally uznała, że należałoby powiedzieć matce; na cóż zsyłano sny, jeżeli nie ku przestrodze? Ale to właśnie było podobne do zgrai dysydentów, którzy nie wierzą w nic, co wiedzą inni ludzie. Panna Benson zbyt była nawykła do pogardy, jaką Sally darzyła dysydentów, na których spoglądała z wyżyn Kościoła anglikańskiego, ażeby zwracać zbyt dużą uwagę na całe to gderanie; tym bardziej, że Sally chciała zadać sobie względem Leonarda tak wiele trudu, jak gdyby wierzyła, że przeżyje i że jego powrót do zdrowia zależy od jej opieki. Dla panny Benson celem najwyższym było powstrzymanie Sally przed jakimikolwiek poufnymi rozmowami z Ruth; jak gdyby wszelkie powtórzenie treści snu mogło pogłębić w umyśle Ruth przekonanie, że dziecko umrze.

Zdawało się jej, że jego śmierć byłaby jedyną słuszną karą za zubożenie wobec niego – wobec życia i śmierci, wobec wszystkich rzeczy ziemskich oraz boskich – w które pozwoliła sobie popaść po ostatniej rozmowie z panem Donne'em. Nie zdawała sobie sprawy z tego, iż obojętność taka jest wszakże naturalnym skutkiem gwałtownego poruszenia oraz silnego napięcia uczuć. Jedyną ulgę znajdowała w nieustannym służeniu Leonardowi; odczuwała zwierzęcą niemal zazdrość, kiedy komuś zdarzyło się wkroczyć między nią a jej młode. Pan Benson widział tę zazdrosną nieufność, aczkolwiek nie rozumiał jej właściwie; lecz uspokajał zdziwienie siostry i jej nadgorliwą uprzejmość, toteż oboje cierpliwie i cicho dostarczali Ruth wszystkiego, czego mogłaby potrzebować, lecz nie zakłócali jej prawa do pielęgnowania syna. Lecz kiedy dochodził do zdrowia, pan Benson delikatnie władczy tonem, jaki umiał przybrać, kiedy zaszła taka potrzeba, nakazał Ruth, by się położyła i odpoczęła trochę, tymczasem siostra jego miała czuwać. Ruth nie odpowiedziała, ale posłuchała z ociężałym, znużonym zaskoczeniem, że jej tak rozkazano. Położyła się przy dziecku, wpatrując się bez umiaru w jego spokojny sen; a gdy się tak wpatrywała, jej duże białe powieki zamknęły się łagodnie niczym pod wpływem delikatnego, nieodpartego nacisku i zasnęła.

Śniła, że raz jeszcze znalazła się na samotnym brzegu, usiłując zabrać Leonarda od jakiegoś prześladowcy – jakiegoś prześladowcy w ludzkiej postaci – wiedziała, że był człowiekiem, i wiedziała, kim był, aczkolwiek nie śmiała wypowiedzieć jego imienia nawet wobec siebie samej, tak bliski się zdawał i tak obecny, doganiając jej lotne kroki, pędząc za nią niby z dźwiękiem huczących fal. Stopy jej przypominały ciężary przymocowane do ziemi; nie mogły się poruszyć. Raptem, tuż przy brzegu, ogromny czarny wir fal porwał ją z powrotem ku prześladowcy; rzuciła Leonarda na ziemię, która była bezpieczna; lecz czy dotarł tam, czy nie, czy też może został jak ona zagarnięty ku czemuś tajemniczemu, co zbyt było okropne, by to znieść, tego nie wiedziała, gdyż obudziła się z przerażenia. Z początku sen zdawał jej się jawą i myślała, że nawet tam, w pokoju,

czyha na nią prześladowca, a donośny huk fal wciąż jeszcze brzmiał jej w uszach. Lecz kiedy powróciła pełna świadomość, zobaczyła, iż jest bezpieczna w starym, kochanym pokoju – przystani spoczynku – schronieniu przed sztormami. Jasny ogień żarzył się na niewielkim staroświeckim ruszcie w kształcie czarki, wtulonej w narożnik ściany i obwarowanej po obu stronach bielonymi ceglami, które służyły za półki do podgrzewania. Na jednej z nich mruczał i brzęczał czajnik z wodą bliską zagotowania, zawsze pod ręką, gdy Ruth albo Leonard potrzebowali herbaty. W jej śnie ów domowy dźwięk był szumem nielitościwego morza, skradającego się szparko, by pochwycić ofiarę. Panna Benson siedziała przy ogniu, nieruchoma i cicha; było zbyt ciemno, by czytać dłużej bez świecy; lecz na suficie oraz w wysoko na ścianach poruszała się z wolna złota poświata zachodzącego słońca – bardzo wolno, jednakże ruch roztacza nad zmęczonymi głębsze jeszcze wrażenie spoczynku, aniżeli doskonały bezruch. Stary zegar na schodach wypowiadał jednostajne tik-tak na ów kojący sposób, który raczej podkreśla panującą w domu ciszę, miast ją zakłócać świadomością dźwięku. Leonard dalej spał przywracającym siły snem, niemal w jej ramionach, z dala od zgubnego, prześladowającego morza, którego okrucieństwo przybrało ludzki kształt. Sen ów był wizją; rzeczywistość, która go podsunęła, dawno już przeminęła, zgasła – Leonard był bezpieczny – ona była bezpieczna; wszystko to roztopiło lodem skute krynice, które wytrysnęły naprzód w jej sercu, a usta poruszyły się zgodnie z myślami.

– Co mówisz, kochana moja? – zapytała panna Benson, która dostrzegła ruch i pomyślała, że Ruth o coś pyta. Panna Benson pochyliła się u boku łóżka, tam gdzie leżała Ruth, ażeby pochwycić ciche dźwięki jej głosu.

– Powiedziałam tylko – odparła Ruth nieśmiało – dzięki Bogu! Pani nawet nie wie, za jak wiele winnam Mu dziękować.

– Moja droga, z pewnością dla nas wszystkich powodem do wdzięczności jest to, że oszczędzono naszego chłopczyka. Widzisz! Budzi się; napijemy się razem herbaty.

Leonard pewnie kroczył ku doskonałemu zdrowiu; lecz groźna choroba przydała wieku jego usposobieniu oraz wyglądowi. Urósł wysoki i szczupły, i urocze dziecko zatraciło się w przystojnym chłopcu. Zaczął rozmyślać i zadawać pytania. Ruth bolała trochę nad utraconym niemowlęctwem, kiedy to była dlań całkowicie wszystkim, i nad dzieciństwem, którego płatki opadły; zdawało się, że odeszło dwoje jej dzieci – pierwszym było niemowlę, drugim zaś pogodny, lekkomyślny skarb; i pragnęła, aby na zawsze pozostały żywe w jej pamięci, miast zatracić się w pełnej miłości dumie z syna, jakim był obecnie. Lecz były to jedynie kapryśne żale, przemykające niczym cienie po lustrze. Pokój i wdzięczność ponownie zapanowały w jej umyśle; nieświadomości zaś nie zmąciło podejrzenie wzrastającego uznania i podziwu, które pan Farquhar pracowicie pielęgnował, ażeby przeobraziły się w miłość do niej. Wiedziała, że przysyłał – nie wiedziała, jak często przynosił – owoce dla dochodzącego do zdrowia Leonarda. Pewnego razu powróciwszy po dniu pracy usłyszała, iż pan Farquhar przyprowadził małego, łagodnego kuczka, na którym Leonard mógł jeździć pomimo osłabienia. Prawdę powiedziawszy, matczyzna jej duma była tak silna, iż Ruth uznawała, iż wszelka życzliwość okazywana chłopcu takiemu jak Leonard była rzeczą naturalną; uważała, iż jest on Dzieckiem, które ukochał każdy, kto na nie spojrzal^[79].

I był nim naprawdę; a dowodziły tego codziennie liczne życzliwe zapytania i wiele drobnych przejawów troskliwości prócz tych pochodzących od pana Farquhara. Ubodzy (życzliwego i gorącego serca dla wszelkiego smutku znanego ludzkości) wzruszali się i litowali nad młodą wdową, której jedyne dziecko leżało złożone chorobą i bliskie było śmierci. Przynosili co tylko mogli – świeże jajko, kiedy brakowało jajek – kilka dojrzałych gruszek, które rosły po najbardziej słonecznej stronie najskromniejszej z chat, gdzie owoc ten stanowił źródło dochodu – była też wizyta, by zasięgnąć języka oraz prośba do Boga, by oszczędził dziecko, złożona przez starą, kaleką kobietę, która ledwie zdołała dotrzeć aż do przykaplicznego domu, lecz czuła w swym udręczonym, zmęczonym sercu poruszenie spowodowane ostrym ukłuciem współczucia oraz bardzo żywym wspomnieniem czasu, gdy sama również była młoda i widziała, jak życie z drzeniem uchodzi z jej dziecka, teraz już anioła w owym niebie, które dla takiego samotnego, starego stworzenia bardziej jest domem niż ta pusta ziemia. Do wszystkich tych ludzi udała się Ruth, gdy Leonard poczuł się lepiej i z serca im podziękowała. Siedziała ręką w rękę ze starą kaleką kobietą

przy mizernym ogniu na kominku tej ostatniej, która uroczystymi, nieskładnymi, niewyszukanymi słowy opowiadała, jak dziecko jej zachorowało i zmarło. Łzy kapały niczym deszcz po policzkach Ruth; lecz policzki staruszki były suche. Wszystkie łzy wyplakała już dawno temu i teraz siedziała cierpliwa i cicha, czekając na śmierć. Lecz później Ruth „pozostała przy niej”^[80] i były odtąd przyjaciółkami. Pana Farquhara objęła jedynie ogólna jej wdzięczność, jaką czuła wobec wszystkich, którzy byli życzliwi dla jej syna.

Zima przeminęła głęboko spokojna po nawałnicach jesieni, a mimo to od czasu do czasu poczucie niepewności przyprawiało Ruth o chwilowy dreszcz. Dzikie jesienne nawałnice, powyrywawszy skromne kwiaty i zioła, które zgromadziły się nad ruiną jej wczesnego życia, ukazały, że wszystkie czyny, jakkolwiek ukryte i długo pomijane, mają ziemskie skutki. Słabo i niedobrze robiło jej się za każdym razem, gdy mimochodem wspomniano nazwisko pana Donne’a. Nikt tego nie dostrzegał; lecz ona odczuwała bolesną przerwę w biciu serca i pragnęła móc jej zapobiec siłą własnego opanowania. Nikomu nie zdradziła, że pan Bellingham i on to ta sama osoba, nie opowiedziała też o rozmowie nad brzegiem morza. Głęboki wstyd czynił ją milczącą i powściągliwą przez cały okres przed narodzinami Leonarda; później na nowo odzyskała szacunek do siebie i otwarcie niczym dziecko mówiła (gdy zaszła potrzeba) o wszystkim, co się od tamtego czasu wydarzyło; nie mogła tylko i nie pragnęła wspominać o drwiącym echu, owym dręczącym ją upiorze, o przeszłości, która nie chciała spocząć w swoim grobie. Już sama okoliczność, że oto kroczy wolna po świecie i w każdej chwili może pojawić się na nowo, uczyniła z niej tchórza: z drzeniem unikała rozważań nad rzeczywistością; obecnie tym wierniej jeszcze lgnęła ku myśli o wspaniałym Bogu, który jest jak cień olbrzymiej skały na spieczonej ziemi^[81].

Jesień i zima, ze swym ciężkim niebem, mniej były posępne, niż uczucia żałosnego osamotnienia, które rzucały ponury cień na Jemimę. Zbyt późno przekonała się, że żywione od tak dawna mniemanie, iż pan Farquhar bez wątpienia należy do niej, spowodowało, że serce nie chciało uznać go za utraconego dopóty, dopóki dzień w dzień, godzina za godziną rozsądek nie zaczął przedstawiać tych samych nieznośnych, przekonujących, przygnębiających dowodów. Obecnie nie odzywał się do niej wcale, wyjąwszy ogólne zwroty grzecznościowe. W najmniejszym stopniu nie dbał o to, że mu się sprzeciwia; nigdy nie próbował z cierpliwą wytrwałością przekonać jej do swych poglądów; nigdy nie uciekał się do właściwych sobie forteli (tak czule wspomnianych teraz, kiedy istniały już jedynie w pamięci), ażeby ją wyprowadzić z jakiegoś przekornego nastroju – a obecnie nastroje takie bywały dość powszechne! Bywała często markotnie obojętna na uczucia innych – nie z nieuprzejmości, lecz dlatego, że serce jej zdawało się kamienne i odrętwiałe oraz niezdolne do współczucia. Później, gdy było po wszystkim, czyniła sobie okropne wyrzuty – w środku nocy, kiedy nikt nie widział. Z dziwną przewrotnością jedynymi wieściami, jakie pragnęła usłyszeć, i jedynymi widokami, jakie pragnęła ujrzeć, były te, które utwierdzały ją w przekonaniu, że pan Farquhar rozważa pojęcie Ruth za żonę. Z dokuczliwą ciekawością łaknęła codziennie doniesień o ich sprawach; po części dlatego, że udreka, jakiej źródłem były takie wieści, przynosiła prawie ulgę w martwocie, którą okazywało jej serce wobec wszelkich innych zainteresowań.

I taką zastała ją powracająca wiosna (*gioventù dell'anno*^[82]), przynosząc wszystkie kontrasty, jakie tylko wiosna przynieść potrafi, ażeby przydać duszy ciężaru. Skrzydlate stworzonka wypełniały powietrze wybuchami radości; pojawiła się roślinność, żywa i wzrastająca z nadzieją, niepowstrzymana nigdy szczypiącym mrozem. Jesiony w ogrodzie Bradshawów okryły się listowiem w połowie maja, który owego roku podobniejszy był do lata niż niejeden czerwiec. Słoneczna pogoda drwiła z Jemimy, a niezwykle ciepło tłamsiło jej siły fizyczne. Czuła się bardzo słaba i apatyczna; miała przemożną świadomość tego, że nikt inny nie zauważył u niej braku sił; ojciec, matka, wszyscy zdawali się nazbyt pochłonięci innymi sprawami, ażeby dbać o to, czy, w co wierzyła, gaśnie w niej życie. Czuła się rada, że tak było. Lecz jej kruchość nie umknęła uwadze wszystkich. Matka jej często zapytywała męża, czy nie uważa, że Jemima wygląda niezdrowo; nie zadowalało jej też jego stwierdzenie, iż rzecz ma się zgoła przeciwnie, choć większość jego stwierdzeń przyjmowała zawsze z zadowoleniem. Każdego ranka przed wstaniem zastanawiała się, czy mogłaby skusić Jemimę do jedzenia, ordynując na obiad jakiś ulubiony przysmak; usiłowała zatroszczyć się o swe dziecko na wiele różnych drobnych sposobów; lecz gwałtowna popędliwość

charakteru nieszczęsnego dziewczęcia sprawiła, że matka lękała się mówić z nią otwarcie o jej zdrowiu.

Także i Ruth zauważyła, że Jemima nie wygląda dobrze. Nie wiedziała, dlaczego stała się przedmiotem antypatii byłej swojej przyjaciółki; lecz miała świadomość tego, że obecnie panna Bradshaw jej nie lubiła. Nie wiedziała, że to uczucie nasila się i rozrasta do rozmiarów bliskich odrazie, gdyż rzadko widywała Jemimę poza godzinami nauczania, a i wówczas najwyżej przez minutę czy dwie. Ale zły pierwiastek antypatii bliźniego przytłaczał ją. Bliźnim tym była osoba, która niegdyś tak czule ją kochała, a którą ona kochała nadal, aczkolwiek nauczyła się jej lękać, tak jak lękamy się tych, których twarze pochmurnieją, kiedy stajemy im przed oczami – którzy rzucają nam niekochające spojrzenia, a my, choć ich nie dostrzegamy, jesteśmy ich świadomi, niby tajemnego jakiegoś oddziaływania; przy czym powód owej antypatii jest nam nieznan, chociaż każdy czyn i słowo zdaje się ją jeszcze nasilać. Wydaje mi się, iż ten rodzaj antypatii okazują jedynie osoby zazdrosne i że przysparza ona tym osobom większych jeszcze cierpień, gdyż jest ono częściej obecne w ich świadomości, niż w świadomości obiektu tego uczucia; lecz nasilające się świadectwa uczuć Jemimy sprawiły, że Ruth czuła się niekiedy bardzo nieszczęśliwa. A tego maja przysłała jej jeszcze do głowy pewna myśl, którą usiłowała stłumić, mianowicie ta, że pan Farquhar się w niej kocha. Niezmiernie ją ta myśl irytowała; sprawiła, iż Ruth czyniła sobie wyrzuty, że w ogóle uznała rzecz taką za możliwą. Usiłowała zdusić ów wymysł, utopić go, zagłodzić lekceważeniem – jego istnienie przyniosło jej tak wiele bólu i zmartwień.

Najgorsze było to, że zdobył serce Leonarda, który nieustannie szukał jego towarzystwa, a pod jego nieobecność mówił o nim. Najlepsza zaś była jakaś podróż związana z interesami, która miała zawieść go na kilka tygodni na Kontynent; a przez ten czas ta jego nieznośna fantazja zgaśnie z pewnością, jeżeli nie jest prawdziwa; a jeżeli jest prawdziwa, pojawi się coś, co pozwoli Ruth położyć kres jego predylekcji, a przy tym zatrzymać w nim przyjaciela Leonarda – owego skarbu, dla którego była przezorna i chciwa, i żadna każdego skrawka miłości oraz życzliwego traktowania.

Pan Farquhar nie uznałby za pochlebne tego, jak dalece jego wyjazd przyczynił się do spokoju ducha Ruth w owo sobotnie popołudnie, kiedy to wyruszył w podróż. Był to piękny dzień; niebo było tej drżącej, głębokobłękitnej barwy, w którą można się wечно wpatrywać, a mimo to nie dosięgnąć czarnej, nieskończonej przestrzeni, która, jak mówią, leży poza nią. Od czasu do czasu przez tę sklepioną głębię przepływał cienki, postrzępiony, mglisty obłoczek; lecz łagodne powietrze, które niesło go delikatnie pośród liści na drzewach, było niezauważalne, nie wprawiając ich nawet w lekkie drżenie. Ruth siedziała przy robótce w cieniu, jaki rzucał stary, szary mur ogrodowy; panna Benson oraz Sally – pierwsza cerowała pończochy w bawialnianym wykuszu okiennym, druga ciężko pracowała w kuchni – znajdowały się w odległości umożliwiającej rozmowę, gdyż pogoda sprzyjała otwarciu drzwi oraz okien; lecz żadna z tej trójki nie podtrzymywała ciągłej pogawędki; a w przerwach Ruth śpiewała cicho refleksyjną piosenkę, którą, jak pamiętała, dawno temu śpiewała jej matka. Od czasu do czasu przerywała, by spojrzeć na Leonarda, który pracował z zapalczą energią, kopiąc w małym skrawku ziemi, gdzie zamierzał umieścić rozsady selera, które wcześniej otrzymał. Ruth robiło się ciepło na sercu na widok tego, w jak poważny, pełen werwy sposób wbijał wielką łopatę głęboko w brunatną ziemię, tymczasem rumiana twarz chłopca promieniała, a kędzierzawe włosy mokre były od wysiłku; niemniej wzdychała na myśl o tym, że skończyły się dni, kiedy jej umiejętności sprawiały mu przyjemność. Teraz jednak rozkosz przynosiło mu samodzielne działanie; mniej niż czternaście miesięcy temu, w ubiegłym roku jeszcze, obserwował ją, gdy plotła dlań wianek ze stokrotek, jak gdyby nie mógł się wprost nadziwić jej uzdolnieniom; w tym roku – w tym tygodniu, gdy poświęcała każdą wolną chwilę prostym pracom krawieckim, szyjąc dla synka (wykonała każdą noszoną przezeń część ubioru i niemal zazdrośnie strzegła swych praw do tego zajęcia), przyszedł do niej z tęsknym spojrzeniem i zapytał, kiedy będzie mógł otrzymywać ubrania szyte przez mężczyźnę?

Od owej środy, kiedy to na życzenie pani Bradshaw towarzyszyła Mary i Elizabeth, które udały się do nowej krawcowej w Eccleston na zdejmowanie pomiarów na wiosenne stroje, wyczekiwała już zaplanowanej na sobotnie popołudnie przyjemności szycia spodni letnich dla Leonarda; lecz za sprawą przemowy Leonarda zadowolenie płynące z tego zajęcia osłabło nieco.

Jednakowoż świadczyło to o tym, że życie jej było bardzo ciche i spokojne, skoro w ogóle miała czas, ażeby się nad podobną rzeczą zastanawiać; a często zapominała o niej zupełnie, nucąc swą cichą piosnkę bądź słuchając drozda wyćwierkującego popołudniową śpiewkę cierplivej partnerce skrytej w krzaku ostrokrzewu.

Rozlegający się w oddali turkot wozów na ruchliwych ulicach (był dzień targowy) nie tylko układał się w niski, dudniący, basowy akompaniament dla bliższych i przyjemniejszych dźwięków, lecz potęgował również wrażenie spokoju, poprzez kontrast, jakim był pobliski gwar dla wytchnienia w ogrodzie.

Lecz prócz fizycznego zgiełku i krzątaniny istnieją też walka i niepokój ogarniające umysł.

Owego popołudnia, kiedy Jemima błąkała się niespokojnie po domu, matka poprosiła, by udała się do pani Pearson, nowej krawcowej, ażeby jej udzielić pewnych wskazówek dotyczących nowych sukienek sióstr. Jemima poszła, gdyż wołała to, niż zamieszanie związane z odmową; w przeciwnym bowiem razie wołałaby pozostać w domu, zajmując się czymś, czy też odpoczywając, w zależności od niespokojnej swej woli. Pani Bradshaw, która, jak wspomniałam, miała od pewnego czasu świadomość tego, że z córką dzieje się coś niedobrego, i bardzo pragnęła to naprawić, gdyby tylko wiedziała jak, zaplanowała to zlecenie z nadzieją na rozproszenie Jemimowej melancholii.

– I Mimie, kochanie – rzekła matka – kiedy tam będziesz, poszukaj dla siebie nowego kapelusza; ma kilka bardzo ślicznych, a ten twój stary taki jest zniszczony.

– Mnie on odpowiada, matko – odparła ciężko Jemima. – Nie chcę nowego kapelusza.

– Ale ja chcę, żebyś sobie nową sprawiła, moje dziewczętko. Chcę, aby moja córka wyglądała dobrze i ładnie.

W tonie pani Bradshaw było coś z niewyszukanej tkliwości, co poruszyło serce Jemimy. Podeszła do matki i ucałowała ją z czułością, jakiej od wielu tygodni nikomu nie okazała; pocałunek odwzajemniono z serdeczną miłością.

– Myślę, że ty mnie kochasz, mamó – rzekła Jemima.

– Wszyscy cię kochamy, moja droga, gdybyś tylko zechciała to dostrzec. A jeżeli ci czego potrzeba, czy czegoś pragniesz, powiedz mi tylko, a przy odrobinie cierpliwości przekonam ojca, by ci to dał, wiem to. Tylko bądź szczęśliwa, no już, grzeczna dziewczynka.

„Bądź szczęśliwa! Jak gdyby można było to osiągnąć siłą woli!” – myślała Jemima, gdy szła ulicą, zbyt sobą pochłonięta, ażeby zauważyć kłaniających się znajomych i przyjaciół, a mimo to instynktownie odnajdując drogę pośród tłumu i tłoczących się wozów i dwukółek, i kramarzy na High Street.

Lecz niosące pociechę spojrzenia matki i ton jej głosu pozostały w jej wspomnieniach dłużej, niż jakakolwiek niespójność wypowiedzianych słów. Załatwiwszy sprawy związane z sukienkami, zapragnęła obejrzeć kapelusze w dowód uznania dla życzliwości matki.

Pani Pearson była elegancką, z pozoru bystrą trzydziestopięcio- lub trzydziestosześcioletnią kobietą. Potrafiła na zawołanie zagaić niezobowiązującą pogawędkę na rozliczne tematy, co było umiejętnością potrzebną niegdyś golibrodom do zabawiania panów przybywających na golenie. Zachwalała miasto, aż Jemimę znużyły te pochwały i miała dość niezmienności miasta, która znów ją przytłaczała, tak jak przez wiele ostatnich tygodni.

– Oto i kapelusze, proszę pani, które będą dla pani najodpowiedniejsze – eleganckie i gustowne, a przy tym zupełnie prosty styl, przystojny młodym damom. Będę zobowiązana, jeżeli przymierzy pani ten biały, jedwabny!

Jemima przejrzała się w lustrze; musiała przyznać, że bardzo był twarzowy, do czego być może przyczyniał się rumieniec skromnego zawstydzenia, który oblał jej policzki, kiedy usłyszała otwarte pochwały pani Pearson skierowane ku „gęstym, pięknym włosom” oraz „oczom rodem z Orientu” przymierzającej.

– Namówiłam młodą damę, która ostatnio towarzyszyła siostrze pani – guwernantkę, czy tak, proszę pani?

– Owszem, nazywa się pani Denbigh – odparła Jemima, pochmurniej.

– Dziękuję pani. Otóż, nakłoniłam ją, ażeby przymierzyła ten kapelusz i nie wie pani, jak

ona czarująco w nim wyglądała; a mimo to nie sędzę, że było jej w nim równie do twarzy, jak pani.

– Pani Denbigh jest bardzo piękna – odparła Jemima, zdejmując kapelusz, niezbyt skłonna przymierzyć kolejny.

– Bardzo, proszę pani. Zupełnie osobliwy typ urody. Jeżeli można, chciałabym rzec, że ma ona grecką urodę, pani tymczasem urodę orientálną. Przypominała mi pewną młodą osobę, którą znałam kiedyś w Fordham – pani Pearson westchnęła głośno.

– W Fordham! – rzekła Jemima, przypominając sobie, że Ruth mówiła kiedyś, iż w miejscu tym spędziła jakiś czas, a leżało ono w tym samym hrabstwie, w którym się urodziła. – W Fordham! Wszak zdaje mi się, że pani Denbigh pochodzi z tamtej okolicy.

– Ach, proszę pani! Ona nie może być tą młodą osobą, o której myślę – z pewnością nie, proszę pani – skoro piastuje taką a nie inną posadę w państwa domu. Nie mogę powiedzieć, że znałam ją osobiście; gdyż widziałam ją tylko dwa czy trzy razy w domu mej szwagierki; lecz tak bardzo wyróżniała się urodą, że dość dobrze zapamiętałam jej twarz, jeszcze bardziej przez wzgląd na jej późniejsze grzeszne postępowanie.

– Jej grzeszne postępowanie! – powtórzyła Jemima, przekonana tymi słowy, że Ruth i owa „młoda osoba” nie mogły być jedną i tą samą osobą. – Wobec tego to nie mogła być nasza pani Denbigh.

– O, nie, proszę pani! Ogromnie mi przykro, jeżeli z tego, co rzekłam, wynikać mogło, iż ja sugeruję coś podobnego. Bardzo przepraszam, jeżeli tak było. Chciałam tylko powiedzieć – a być może nie powinnam była sobie na to pozwolić, zważywszy, kim była Ruth Hilton...

– Ruth Hilton! – zawołała Jemima, odwracając się nagle, by stanąć twarzą w twarz z panią Pearson.

– Owszem, proszę pani, tak właśnie nazywała się owa młoda osoba, o której wspomniałam.

– Proszę mi o niej opowiedzieć, cóż uczyniła? – zapytała Jemima, usiłując jak najlepiej opanować skwapliwy ton i spojrzenie, lecz drżąc niczym u progu dziwnego jakiegoś odkrycia.

– Nie wiem, czy powinnam pani o tym mówić, nie jest to rzecz odpowiednia dla młodej damy; lecz ta Ruth Hilton była uczennicą mej szwagierki, która miała pierwszorzędný zakład w Fordham, przynoszący jej niezgorszą klientelę złożoną z rodów hrabstwa; a to młode stworzenie bardzo było przebiegłe i śmiałe, i niestety zbyt dużo myślała o swej urodzie; i w jakiś sposób omamiła młodego dżentelmena, który wziął ją na utrzymanie (powinnam zapewne przeprosić panią za to, że zatruwam jej uszy)...

– Proszę mówić dalej – rzekła Jemima bez tchu.

– Nie wiem wiele więcej. Jego matka pojechała za nim do Walii. Była to dama ogromnie religijna i z bardzo starego rodu, i wielce nią wstrząsnęło nieszczęście, w jakie owa osoba uwikłała jej syna; lecz doprowadziła go do skruchy, zabrała do Paryża, gdzie, jak się zdaje, umarła; lecz nie jestem pewna, gdyż ze względu na rodzinne spory od kilku lat nie jestem w dobrych stosunkach ze szwagierką, która była mym źródłem wiadomości.

– Kto umarł – wtrąciła Jemima – matka tego młodego pana, czy... czy Ruth Hilton?

– Ojej, proszę pani! Proszę ich ze sobą nie mylić. To matka, pani... nie pamiętam nazwiska... coś jak Billington. To ta pani zmarła.

– A co się stało z tą drugą? – zapytała Jemima, która nie była w stanie wymówić jej nazwiska, gdyż mroczne jej podejrzenia coraz bardziej nabierały kształtów.

– Z dziewczyną? Ależ, proszę pani, cóż mogło się z nią stać? Nie żebym dokładnie wiedziała, ale wiadomo, że osoby takie mogą tylko pograżać się ze złych w jeszcze gorsze, biedactwa! Niech mi Bóg przebaczy, jeżeli zbyt oględnie mówię o takich upadłych kobietach, które wszakże przynoszą ujmę naszej płci.

– Zatem nic więcej pani o niej nie wie? – zapytała Jemima.

– Słyszałam, że wyjechała z innym panem, którego poznała w Walii, lecz doprawdy nie wiem, kto mi to powiedział.

Nastąpiła krótka przerwa. Jemima rozmyślała nad wszystkim, co usłyszała. Nagle poczuła na sobie oczy pani Pearson, wpatrzone w nią; nie z ciekawością, lecz ze świeżo rozbudzoną rozumnością; a mimo to musiała zadać jeszcze jedno pytanie; lecz spróbowała zadać je obojętnym,

niedbałym tonem, obracając w dłoniach kapelusz, gdy mówiła.

– Ile czasu upłynęło odkąd to wszystko... wszystko, o czym mi pani opowiadała... się wydarzyło? (Leonard miał teraz osiem lat).

– Cóż... niech pomyślę. Było to zanim wyszłam za mąż, a mężatką byłam przez trzy lata, a biedny, drogi Pearson nie żyje od pięciu... powiedziałabym, że tego lata będzie dziewięć. Pąsowe róże pasują do pani cery lepiej chyba, niż ten bez – oznajmiła sztucznym tonem spostrzeżenia, gdy patrzyła, jak Jemima obraca i obraca kapelusz wokół dłoni – kapelusz, którego jej nieprzytomne oczy wcale nie widziały.

– Dziękuję. Jest bardzo ładny. Ale ja nie potrzebuję kapelusza. Przepraszam, że zajęłam pani czas. – I skłoniwszy się nagle zakłopotanej pani Pearson, wyszła szybko na otwartą przestrzeń, przemierzając zatłoczoną ulicę z machinalnym wysiłkiem. Nagle zawróciła i poszła z powrotem do pani Pearson z większą jeszcze gwałtownością, niż ta, z jaką oddalała się od zakładu.

– Zmieniłam zdanie – rzekła, gdy weszła bez tchu do sklepu. – Wezmę ten kapelusz. Ile kosztuje?

– Pozwoli pani, że wymienię kwiaty, można to zrobić w okamgnieniu, a wówczas będzie pani mogła zobaczyć, czy aby nie woli róż; lecz niezależnie od przybrania, kapelusik jest śliczny – odparła pani Pearson, trzymając go z podziwem na dłoni.

– O! Mniejsza o kwiaty... tak, niech je pani wymieni na róże. – I stała z boku, wzburzona (pani Pearson zdało się, że to ze zniecierpliwienia), kiedy modystka dokonywała przeróbek ze zręcznym, skrzętnym pośpiechem.

– Przy okazji – rzekła Jemima, uznawszy, że czynione są już ostatnie poprawki i że nie wolno zwlekać z uczynieniem tego, dla czego w rzeczywistości powróciła. – Ojczulek z pewnością nie chciałby, ażeby pani łączyła nazwisko pani Denbigh z taką... historią, jak ta, którą mi pani opowiedziała.

– Ojej! Proszę pani, żywię do państwa zbyt wiele szacunku, ażeby pomyśleć o czymś takim! Rzecz jasna, wiem, proszę pani, że o żadnej damie nie należy mówić, iż podobna jest do kogoś, kto nie cieszy się dobrą opinią.

– Lecz ja wolałabym, aby pani nikomu nie wspominała o tym podobieństwie – odparła Jemima – nikomu. Proszę nikomu nie powtarzać historii, którą mi pani opowiedziała tego ranka.

– Doprawdy, proszę pani, to by mi nigdy nawet przez myśl nie przeszło! Mój biedny mąż byłby zaświadczył, że milczę jak grób, jeżeli kiedy trzeba co ukryć.

– Ojej! – odrzekła Jemima – pani Pearson, nie ma tutaj nic do ukrycia; tylko nie wolno pani o tym mówić.

– Rzecz jasna nie uczynię tego, proszę pani; może pani pokładać we mnie pewność.

Tym razem Jemima nie skierowała się ku domowi, lecz ku obrzeżom miasta, po pagórkowatej stronie. Miała mgliste jakieś wspomnienie sióstr pytających, czy nie mogłyby zaprosić na herbatę Leonarda oraz jego matki; i jakże mogłyby teraz stanąć naprzeciw Ruth, po tym, jak serce jej objęło we władanie przekonanie, iż ona oraz owa grzeszna istota, o której dopiero co była usłyszała, są jedną i tą samą osobą?

Był dopiero środek popołudnia; wczesna to pora w staroświeckim mieście Eccleston. Delikatne, białe obłoczki nadciągały z wolna, żeglując z zachodu; równina była nakrapiana zwiewnymi, płynącymi cieniami, niesionymi łagodnie zachodnim wiatrem, który poruszał faliście długimi trawami porastającymi łąki, przydając im naprzemiennie światła oraz cienia. Jemima weszła na jedną z tych łąk, położoną obok wyżynnego gościńca. Oszołomił ją wstrząs, którego doznała. Nurek opuszczający zieloną darń, gładką i znajomą, na której stoją przyjaciele o znanych, roześmianych twarzach, podziwiający jego odwagę – nurek ów, znalazłszy się w okamgnieniu na dole w straszliwych morskich głębinach, nieopodal jakiegoś dziwnego potwora o pozbawionych powiek oczach, czuje, że w jego obliczu krew mu się w żyłach ścina nie bardziej, niż obecnie czuła to Jemima. Dwie godziny temu – chwilę zaledwie podług cyferblatu jej umysłu – nie wyobrażała sobie nawet, że kiedykolwiek przyjdzie jej mieć styczność z kimś, kto popełnił jawny grzech; nigdy nie ubrała swego przekonania w słowa i zdania, niemniej takowe istniało i głosiło, iż wszystko to, co godne szacunku, wszelkie rodzinne i religijne uwarunkowania kształtujące jej życie,

zabezpieczałyby ją zawsze i chroniły przed doznaniem ogromnego wstrząsu płynącego ze stanięcia twarzą w twarz z tym, co występne. O ile w ocenie samej siebie nie była jak faryzeusz, o tyle miała w sobie iście faryzejski strach przed szynkarzami oraz grzesznikami oraz na wskroś dziecięcą tchórzliwość – ową tchórzliwość, która każe zamykać oczy na to, co budzi lęk, miast z odważną wiarą uznać jego istnienie. Powtarzane częstokrotnie przez ojca przemowy nie pozostały płonne. Nakreślił w nich wyraźną linię dzielącą ludzkość na dwie wielkie grupy, do jednej z których, dzięki łasce Boga, należał wraz z bliskimi on właśnie; druga grupa natomiast składała się z tych, o których poprawę miał obowiązek zadbać i narzucić im z całą mocą swą moralność za pomocą kazań, napomnień i ostrzeżeń – obowiązek, który należało wykonać, gdyż był obowiązkiem – lecz wykonywał go z bardzo nikłą dozą nadziei oraz wiary, które stanowią ducha, co go ożywia. Jemima buntowała się przeciwko tym surowym ojcowskim doktrynom, lecz częste ich powtarzanie odniosło skutek i sprawiło, że na tych, co zesłi na manowce, spoglądała, wzdragając się i cofając z drzeniem, miast patrzeć na nich z podobną Chrystusowej litością, która zawierała w sobie zarówno mądrość, jak i czułość.

A teraz ujrzała jedną z takich osób pośród swych bliskich znajomych, nieledwie domowniczkę, zbrukaną złem najwstrętniejszym kobiecej skromności Jemimy, która rada byłaby zlekceważyć jego istnienie całkowicie. Odrzą napawała ją myśl o ponownym spotkaniu z Ruth. Żałowała, że nie może jej podnieść i odłożyć w odległym jakimś miejscu, gdzieś – gdziekolwiek – gdzie już nigdy więcej by jej nie zobaczyła ani o niej nie usłyszała; a wówczas nic nie przypominałoby jej o tym – co tymczasem zmuszona będzie wspomnieć za każdym razem, gdy ją ujrzy – że podobne rzeczy w ogóle istnieją na tej słonecznej, pogodnej, spowitej pieśnią skowronka ziemi, nad którą skłania się łagodnie błękitna kopuła niebios, jak wówczas, gdy Jemima siedziała na łące owego czerwcowego popołudnia; policzki jej pały czerwienią, lecz wargi miała blade i zaciśnięte, oczy zaś pełne ciężkiego, gniewnego smutku. Była sobota, i ludzie w tej części kraju kończyli tego dnia pracę godzinę wcześniej. Po tym Jemima poznała, że najwyższa pora już na to, by wrócić do domu. Tak dużo ostatnio było w jej umyśle walki, że nie lubiła teraz zatargów czy przemów, czy nawet wyjaśnień; usiłowała zatem przestrzegać pór i godzin o wiele bardziej, niż zwykła to była czynić za szczęśliwszych dni. Lecz ach! Jakaż nienawiść do świata zaczynała teraz wypełniać jej serce! I ach! Jakże niedobrze jej się robiło na myśl o ujrzeniu Ruth! Czy ktokolwiek był jeszcze godzien zaufania, skoro cześć Ruth – spokojnej, skromnej, delikatnej, dystygowanej Ruth – skalana była grzechem?

Gdy tak szła ociężale, głowę jej nawiedziła myśl o panu Farquharze. To dowodziło, jak straszliwy był ów wstrząs, skoro Jemima przypomniała sobie o nim teraz dopiero. Wraz z myślą o nim nadeszło pierwsze miłosierne uczucie wobec Ruth. Nie doszłoby do tego, gdyby w zazdrośnym umyśle Jemimy pojawił się choćby cień podejrzenia, że Ruth rozmyślnie uczyniła była coś – spojrzała – wyrzekła słowo – zmodulowała głos – ażeby go zwabić. Przypominając sobie wszystkie ich spotkania, pomału przyznała w duchu, jak czyste i proste było zawsze zachowanie Ruth względem pana Farquhara. Nie tylko pozbawione kokieterii, ale zawierała się w nim też zwykła nieświadomość ze strony Ruth na długo jeszcze po tym, jak Jemima odkryła skłonność pana Farquhara ku niej; a kiedy nareszcie powoli zbudziło się w Ruth niejake wyobrażenie odnośnie do stanu jego uczuć, wówczas jęła się skromnie i z godnością wycofywać, nie zaskoczona, nie wzruszona, nawet nie lękliwa a czysta, poważna i cicha; i to postępowanie Ruth uznała Jemima instynktownie za zupełnie nieafektowane oraz szczere. Tu i teraz nie było hipokryzji; lecz jakże ogromnej hipokryzji, jakich kłamstw dopuścił się kiedyś, gdzieś, ktoś i podług nich zadziałał, a może wręcz w ich duchu przemawiał, zanim ogół przyjął Ruth jako słodką, łagodną, młodziutką wdowę, za którą, jak pamiętała, wszyscy uznali panią Denbigh, kiedy się pośród nich pojawiła! Czy to możliwe, że pan i panna Benson wiedzieli? Czyżby byli częścią tego oszustwa? Jemima nie znała świata na tyle, ażeby zrozumieć, jak silna była pokusa, która skłoniła ich do odegrania roli, jaką odegrali, kierując się pragnieniem, by dać Ruth szansę, nie mogła uwierzyć w to, że byli winnymi oszustwa, na jakie wskazywałyby znajomość dawnego postępowania pani Denbigh; a jednak, jaką zdradziecką czyniło to z niej hipokrytkę z mroczną tajemnicą przez lata skrywaną w sercu – żyjącą przez lata w pozornej pewności i codziennej bliskości pod jednym dachem z Bensonami, a przy tym

niezdradzającą nigdy wyrzutu sumienia, który powinien trawić jej serce! Kto był szczery? Kto nie był? Kto był dobry i czysty? Kto nie był? Wszystko to wstrząsnęło fundamentem żywionych przez Jemimę przekonań.

Czy to może być nieprawda? Czyżby istniały dwie Ruth Hilton? Rozważała każdy strzęp dowodu. To nie mogła być nieprawda. Wiedziała, że poprzednie nazwisko pani Denbigh brzmiało Hilton. Słyszała, jak mimochodem acz ostrożnie nadmieniała, iż mieszkała w Fordham. Wiedziała, że była w Walii na krótko przed pojawieniem się w Eccleston. Tożsamość jej nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Pośród bólu i przerażenia, jakie czuła Jemima w związku z dokonaniem tego popołudnia odkryciem, pojawiło się poczucie władzy nad Ruth, jaką dawała jej znajomość owej tajemnicy; lecz nie przyniosło to ulgi, a tylko wznieciło żal, który towarzyszył Jemimie, kiedy zastanawiała się nad dawniejszą swoją niewiedzą. Nic dziwnego, że kiedy przybyła do domu, tak bardzo dokuczał jej ból głowy, iż musiała pójść prosto do łóżka.

– Cicho, matko, cicho, droga, droga matko – (gdyż teraz lgnęła do znanej i wypróbowanej dobroci matki bardziej niż kiedykolwiek przedtem) – tylko tego mi potrzeba.

I pozostała w zaciszu swego zaciemnionego pokoju, gdzie stopy trzepotały leniwie w tę i z powrotem, poruszane łagodnym wieczornym wietrzykiem, wpuszczając do środka szelest gałęzi falujących opodal jej okna i gardłowy świergot drozda, i daleki gwar ruchliwego miasta.

Jej zazdrość przepadła – nie wiedziała jak ani kiedy. Może unikać Ruth i się przed nią wzdragać, lecz teraz uznała, iż nigdy więcej nie będzie mogła być o nią zazdrosna. W dumie płynącej z niewinności czuła teraz niemal wstyd, że kiedykolwiek żywiła takie uczucie. Czyż pan Farquhar mógłby zawahać się w wyborze między nią a tą, która... Nie! Nie nazwie tego, kim była Ruth, choćby w myślach tylko. Jednakowoż on mógłby się nigdy tego nie dowiedzieć, skoro rywalka Jemimy przybierała pozę takiej uczciwości. Och! Gdybyż choć jeden promyk świętego Boskiego światła pozwolił jej poznać, co jest pozorem, co zaś prawdą na tej zdradzieckiej, nieszczerzej ziemi! Być może też – dawniej, nim jeszcze żal wzbudził w niej zgorzknienie, uważała takie rzeczy za prawdopodobne – Ruth przebyła drogę z głębokiego czyścica skruchy ponownie ku czemuś na kształt czystości; Bóg jeden wie! Jeżeli prawdziwe jest obecne jej dobro – jeżeli teraz, kiedy zdołała się wspiąć z powrotem na wyżyny, bliźni miałby strącić ją w straszliwą jakąś otchłań za sprawą swego nieżyczliwego, niepowściągliwego języka, byłoby to tak okrutne przecieź! Niemniej jeżeli... gdzieś tam tkwiła tak żalosna niepewność i kłamstwo... jeżeli Ruth... Nie! Jemima w szlachetnej swej dobroci uznała to za rzecz niemożliwą. Kimkolwiek była kiedyś Ruth, obecnie jest dobra i jako taką należy ją szanować. Nie oznaczało to, że Jemima już na zawsze zachowa ową tajemnicę; wątpiła, czy wystarczy jej po temu sił, jeżeli pan Farquhar powróci do domu i dalej będzie darzył panią Denbigh niezmiennym podziwem, jeżeli przy tym pani Denbigh udzieli mu jakiejś... najmniejszej choćby zachęty. Lecz ta ostatnia, jak pomyślała Jemima, była, sądząc po charakterze Ruth, niemożliwa. Ale co po odkryciach tego popołudnia mogło się jeszcze mienić niemożliwym? Tak czy owak, będzie obserwowała i czekała. Niech się dzieje co chce, ma nad Ruth władzę. I chociaż to dziwne, pewność ta zrodziła w Jemimie względem Ruth uczucie podobne pragnieniu ochrony, niemal litościwe. Przerażenie niegodziwością nie zmalowało; lecz im więcej myślała o walce, jaką ta, która uczyniła zło, musiała stoczyć, ażeby się wyzwolić, tym silniej czuła, jakim okrucieństwem byłoby obrócenie wszystkiego wniwecz za sprawą ujawnienia tego, co było; musi obserwować Ruth. Ze względu na miłość nie mogła nie podjąć obserwacji; lecz nazbyt była oszołomiona, by zauważyć siłę tej miłości, kiedy jedyną pewną podporą zdawała się być powinność. Na razie nie zamierzała mieszać się do biegu życia Ruth, ani go mącić.

ROZDZIAŁ XXVI

Święte oburzenie pana Bradshawa

Tak się zatem stało, że obecnie Jemima nie unikała już Ruth, ani też nie okazywała słowem czy spojrzeniem owej niechęci, jaką dotąd przez długi czas nieszczególnie usiłowała ukryć. Ruth nie mogła nie zauważyć, iż Jemima zawsze zabiegała o to, by znaleźć się przy niej, gdy ta przebywała w domu pana Bradshawa, czy to nauczając codziennie Mary i Elizabeth, czy wówczas, gdy przychodziła niekiedy jako gość z panem i panną Benson, czy też kiedy była sama. Do tej pory Jemima nie okrywała pozorami delikatności owej gwałtowności, z jaką opuszczała pokój, by nie mieć do czynienia z Ruth – by nie przypadło jej w udziale zabawianie Ruth podczas którejkolwiek części wieczoru. Upłynęły miesiące, odkąd Jemima zrezygnowała z siedzenia w pokoju szkolnym, co miała w zwyczaju czynić przez pierwsze lata guwernantkowania Ruth. Tymczasem teraz każdego ranka panna Bradshaw zasiadała przy niewielkim okrągłym stoliku pod oknem i zajmowała się robótką bądź pisaniem; lecz bez względu na to, czy szyła, pisała, czy też czytała, Ruth czuła, iż stale ją obserwuje – stale obserwuje. Z początku Ruth rada była powitać wszystkie te zmiany w przyzwyczajeniach i zachowaniu, uznawszy je za szansę po temu, aby za sprawą cierpliwej jakiejś usługi czy trafnego dowodu wytrwałej, stałej miłości odzyskać utracone poważanie przyjaciółki; lecz wkrótce ów lodowaty chłód, niewzruszony i ponury, dotknął jej serce bardziej, niż zdołałoby to uczynić wiele niespodzianych słów nieżyczliwości. Można je było przypisać gorącym impulsom pochopnego usposobienia – zapalczywemu gniewowi oskarżycielki; tymczasem takie rozmyślnie zachowanie było świadomym wynikiem jakiegoś głęboko utwierdzonego uczucia; taka zimna surowość licowała raczej ze spokojnym nieprzejednaniem jakiegoś srogiego sędziego. Ruth czuła, że poddawana jest nieustannej obserwacji, co sprawiało, że drżała nieświadomie, tak jak drży człowiek spostrzegłszy, że beznamienne oczy zmarłego wyrażnie się weń wpatrują. Sama jej istota kurczyła się i schła w obecności Jemimy, jak gdyby owiewał ją gorzki, ostry wschodni wiatr.

Jemima skupiła wszystkie siły, jakie posiadała, ażeby ustalić, jaką osobą Ruth była w istocie. Niekiedy wysiłek ów był bardzo bolesny; nieustanne napięcie męczyło jej duszę; i jęczała głośno, i łajała tę zaistniałą okoliczność (nie śmiała sięgać wyżej – ku Stwórcy tej okoliczności) za to, iż pozbawiła ją ufnej, szczęśliwej niewiedzy.

Taki właśnie panował stan rzeczy, kiedy pan Richard Bradshaw przyjechał do domu z doroczną wizytą. Miał jeszcze przez rok pozostawać w Londynie, by następnie powrócić i zostać przyjętym do firmy. Po tygodniu spędzonym z rodziną znużył go jednostajny porządek ojcowskiego domu i zaczął narzekać na niego Jemimie.

– Szkoda, że Farquhara nie ma w domu. Wprawdzie ów stary jegomość jest sztywnym milczkiem, niemniej jego wieczorne wizyty stanowią urozmaicenie. Co się stało z Millsami? Dawniej zwykli byli pijać z nami niekiedy herbatę.

– Och! Ojczulek i pan Mills zajęli przeciwne stanowiska podczas wyborów i odtąd nigdy się nie odwiedzili. Nie uważam, że to jakaś wielka strata.

– Brak jakiegokolwiek gościa to strata – najgłupszy nudziarz w historii świata byłby błogosławieństwem, gdyby tylko zjawiał się tutaj od czasu do czasu.

– Pan i panna Benson gościli u nas na herbacie dwukrotnie od twojego przyjazdu.

– Ależ to kapitalne! *A propos* głupich nudziarzy, ty mówisz o Bensonach. Nie sądziłem, żeś zdolna do takich uprzedzeń, siostrzyczko.

Jemima spojrzała zaskoczona; potem zaś poczerwieniała ze złości.

– Nie zamierzałam powiedzieć złego słowa o panu czy panie Benson, i ty o tym dobrze wiesz, Dick.

– Mniejsza z tym! Nie naskarżę na ciebie. To wprawdzie głupie, stare pierniki, ale już lepsi oni, niż nikt, tym bardziej że przychodzi z nimi zawsze ta przystojna guwernantka dziewczynek, na którą można popatrzeć.

Nastąpiła krótka chwila ciszy; Richard przerwał ją, mówiąc:

– Wiesz, Mimie, mam wrażenie, że jeżeli ona dobrze rozegra karty, to gotowa złapać Farquhara!

– Kto? – zapytała Jemima krótko, choć przecież dobrze wiedziała.

– Pani Denbigh, rzecz jasna. Przecież rozmawialiśmy o niej. Farquhar poprosił, bym zjadł z nim obiad w hotelu, w którym się zatrzymał, będąc przejazdem w mieście i... miałem swoje powody, by tam pójść i spróbować wkraść się w jego łaski... chciałem, ażeby dał mi trochę pieniędzy, jak to zwykł był czynić.

– Wstydz się, Dick! – wybuchła Jemima.

– Dobrze! Dobrze! Niezupełnie dał, ale by pożyczył trochę pieniędzy. Naczelnik tak piekielnie mało mi płaci.

– Jakże to! Wszak to zaledwie wczoraj ojciec mówił o twoich wydatkach i o kieszonkowym, a tyś odparł, co słyszałam, że dostajesz więcej, niż umiałbyś wydać.

– Czy nie rozumiesz, że na tym polega doskonałość sztuki? Gdyby ojciec uznał mnie za rozrzutnego, trzymałby mnie w ciasnych ryzach; a tak żywię wielkie nadzieje na niezgorszy dodatek i powiem ci, że jest potrzebny. Gdyby ojciec od razu dał mi tyle, ile mi się należy, nie doprowadziłoby mnie to do spekulacji i bałaganu, w który się uwikłałem.

– Jakie spekulacje? Jaki bałagan? – zapytała z niecierpliwą żarliwością.

– Ach! Bałagan to nieodpowiednie słowo. Spekulacje również nie; bo wszystko z pewnością dobrze się skończy, a wówczas zaskoczę ojca bogactwem. – Spostrzegł, iż posunął się w zwierzeniach cokolwiek za daleko i usiłował to cofnąć.

– Lecz co masz na myśli? Wyjaśnij mi to.

– Moja droga, nie zaprzataj sobie głowy moimi interesami. Kobiety nie pojmują rynku udziałów i tym podobnych rzeczy. Nie myśl, żem zapomniał o tych okropnych błędach, jakieś popełniała, gdy usiłowałaś przeczytać ojcu na głos sprawozdanie o stanie rynku pieniężnego owego wieczoru, kiedy to postradał okulary. O czym tośmy mówili? Ach! O Farquharze i pięknej pani Denbigh. Tak! Prędko odkryłem, że mój dżentelmen lubi słuchać, gdy roztrząsam ów temat. Sam nie mówił o niej wiele, lecz oczy mu błyszczały, gdy mu oznajmiłem, jak owacyjnie pisały o niej w listach Polly i Elizabeth. Jak myślisz, ile ona ma lat?

– Wiem ile! – odparła Jemima. – A przynajmniej słyszałam, jak mówiono między innymi o jej wieku, gdy po raz pierwszy do nas przyszła. Tej jesieni skończy dwadzieścia pięć.

– A Farquhar ma czterdzieści, jeśli nie więcej. Do tego młoda jest, jak na takiego syna jak Leonard; wygląda przecież na młodszą, niż jest, a przynajmniej na zupełnie młodą! Wiesz co, Mimie, ona wygląda młodziej od ciebie. Ile ty masz lat? Dwadzieścia trzy, co?

– Skończyłam w marcu – odparła Jemima.

– Będziesz się musiała pośpieszyć i kogoś wybrać, skoro w takim tempie tracisz urodę. Wszak sądziłem, Jemimo, że rok czy dwa lata temu miałaś u Farquhara duże szanse. Jak to się stało, żeś go straciła? Wolałbym raczej, ażebyś to ty go dostała, niżli ta dumna, wyniosła pani Denbigh, która łypie na mnie tymi swoimi wielkimi szarymi oczami, jeżeli kiedy ośmielam się prawić jej komplement. Powinna uznawać za zaszczyt to, że zwracam na nią tak wiele uwagi. Poza tym, Farquhar jest bogaty, co pozwoli utrzymać interesy firmy w obrębie rodziny; jeżeli zaś ożeni się z panią Denbigh, to ona z pewnością zechce, by włączyć do firmy Leonarda, kiedy osiągnie pełnoletność, a ja się na to nie zgadzam. Spróbuj no z Farquharem, Mimie! Dziesięć do jednego, że jeszcze nie jest za późno. Szkoda, że nie przywiozłem ci różowego kapelusza. Taka chodzisz zaniedbana – tak niebaczna względem tego, jak wyglądasz.

– Skoro nie podobam się panu Farquharowi taka, jaką jestem – odparła Jemima zdławionym głosem – to nie chcę go zawdzięczać różowemu kapeluszu.

– Nonsens! Nie podoba mi się, że guwernantka zdobywa ukradkiem przewagę nad moją siostrą. Powiadam ci, warto spróbować z Farquharem. Jeżeli włożysz różowy kapelusz, to ja ci go dam i wesprę cię przeciwko pani Denbigh. Myślę, że powinnaś była zrobić coś z „naszym przedstawicielem”, jak zwie go ojciec, gdyś go tak długo miała w domu. Ogólnie rzecz biorąc jednak, najlepiej na szwagra podobałby mi się Farquhar. Przy okazji, czy dotarły do was wieści, że Donne zamierza się ożenić? Tuż przed odjazdem usłyszałem o tym w mieście od człowieka, który jest wiarygodnym źródłem. Siódma córka niejakiego sir Thomasa Campbella: dziewczyna bez grosza przy duszy; ojciec zrujnowany przez karty, zmuszony mieszkać za granicą. Lecz wedle tego, co mówią, Donne nie jest człowiekiem, który by dbał o jakiegokolwiek przeszkodę, kiedy już kogoś lub coś polubi. Mówią, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Zdaje mi się, że przed miesiącem nie wiedział o jej istnieniu.

– Nie! Nie słyszeliśmy o tym – odparła Jemima. – Ojciec będzie chciał się tego dowiedzieć, powiedz mu – ciągnęła, wychodząc z pokoju, gdyż chciała być sama, ażeby uspokoić wzburzenie, jakie zwykła odczuwać zawsze, gdy słyszała o panu Farquharze i Ruth razem.

Pan Farquhar powrócił do domu na dzień przed wyjazdem Richarda Bradshawa do miasta. Wpadł do Bradshawów po herbacie; był wyraźnie zawiedziony, iż nie zastał nikogo poza rodziną, i oglądał się za każdym razem, gdy otwierały się drzwi.

– Spójrz! Spójrz! – rzekł Dick do siostry. – Chciałem mieć pewność, że przyjdzie dziś wieczorem, by mi oszczędzić ojcowskich pożegnalnych napomnień wymierzonych w pokusy tego świata (jak gdybym nie znał świata o wiele lepiej, niż on!), toteż użyłem zaklęcia, które według mnie mogło się okazać skutecznym; oznajmiłem mu, że będziemy sami, wyjąwszy panią Denbigh, i patrz jak on teraz wyczekuje jej nadejścia!

Jemima widziała; rozumiała. Rozumiała też, dlaczego niektóre pakunki odłożono ostrożnie na bok, z dala od pozostałych sprawunków w postaci szwajcarskich zabawek oraz biżuterii, za pomocą których pan Farquhar dowiódł, iż podczas swej nieobecności nie zapomniał o żadnym z członków rodziny pana Bradshawa. Nim wieczór dobiegł końca, uświadomiła sobie głęboko, iż jej zbolełe serce nie zapomniało jeszcze, co to zazdrość. Brat nie pozwolił, by umknęło jej uwadze jakiegokolwiek słowo, spojrzenie czy zdarzenie, które być może odnosił pan Farquhar do Ruth; zwrócił siostrze uwagę na to wszystko, nie śniąc nawet o torturach, jakie jej zadawał i pragnąc jedynie dać dowód swej niepomiernej przenikliwości. W końcu Jemima nie mogła już tego dłużej znosić i wyszła z pokoju. Udała się do pokoju szkolnego, gdzie nie zamykano okiennic, gdyż jedynie stamtąd widać było ogród. Otworzyła okno, aby chłodne powietrze nocne owiało jej twarz. Chmury śpieszyły na tle księżyca w burzliwy, niestały sposób, nadając wszystkiemu pozoru nierzeczywistości; raz wyraźne w jasnym świetle, raz drżące, rozdygotane w cieniu. Ból w sercu zdawał się wprawiać mózg Jemimy w stan przytępienia; złożyła głowę na ramionach, które spoczywały na parapecie i poczuła się oszołomiona niezdrowym, męczącym wrażeniem, że Ziemia wędruje samowolnie i bezcelowo poprzez niebiosa, gdzie wszystko zdaje się być jedną potarganą i wirującą chmurną ruiną. Była to nocna zmora na jawie, toteż Jemima poczuła wdzięczność, gdy spod nieprzyjemnego ciężaru teje uwolniło ją wejście Dicka.

– No, więc to tutaj jesteś, co? Wszędzie cię szukałem. Chciałem cię zapytać, czy nie masz jakich oszczędności, które mogłabyś mi pożyczyć na kilka tygodni?

– Ile chcesz? – zapytała bezbarwnym, pozbawionym nadziei głosem.

– O, im więcej, tym lepiej! Ale rad będę z każdej drobnej sumki, bo tak diabelnie skąpią mi pieniądze.

Kiedy Jemima powróciła ze swym niewielkim zasobem, nawet jej lekkomyślnego, samolubnego brata uderzyła bladeść jej twarzy, na którą padał blask niesionej przez nią sypialnianej świecy.

– Ależ Mimie, nie poddawaj się. Gdybym był na twoim miejscu, podjąłbym próbę przeciwko pani Denbigh. Przyślę ci różowy kapelusz, gdy tylko powrócę do miasta, ty zaś nabierz ducha, a ja cię jeszcze wesprę przeciwko niej.

Zdawało się Jemimie dziwne – a zarazem było to rzeczą najwłaściwszą w tym osobliwym, pozbawionym ładu świecie – że oto brat jej, będący w rodzinie ostatnią osobą, w której mogłaby

pokładać ufność i nieomal ostatnią osobą spośród znajomych, u której mogłaby szukać prawdziwej pomocy tudzież współczucia, okazał się być jedynym, który odkrył tajemnicę jej miłości. Lecz myśl o niej opuściła jego umysł równie szybko, jak wszelkie myśli, które nie skupiały się wokół własnych jego interesów.

Owa noc, owa bezsenna noc, tak była wypełniona i znękana ponurymi obrazami, że Jemima tęskniła do dnia; a gdy dzień nadszedł wraz ze swą doskwierającą rzeczywistością, opadło ją znużenie i jęła tęsknić za samotnością nocy. Przez następny tydzień zdawała się nie widzieć i nie słyszeć niczego prócz rzeczy, które potwierdzały bezsporne przywiązanie pana Farquhara do Ruth. Nawet matka mówiła o tym, jak o rzeczy nieuchronnej i zastanawiała się, jak spodoba się to panu Bradshawowi; gdyż jego aprobata bądź dezaprobata były wzorcem, podług którego mierzyła wszystkie rzeczy.

– O, Boże miłosierny! – modliła się Jemima pośród głębokiej ciszy nocy – zbyt wielki to wysiłek – dłużej go nie zniosę – moje życie – miłość moja – sama moja istota, która jest mną poprzez czas oraz wieczność; a po drugiej stronie jest wszechlitościwe miłosierdzie. Gdyby nie była tą, którą jest – gdyby okazała jakąkolwiek oznakę tryumfu – jakąś świadomość zdobycia nagrody – gdyby czyniła jakiegokolwiek starania, ażeby zdobyć jego drogie serce, byłabym wówczas musiała ustąpić już dawno i ją wyszydzić, jeślibym nawet nie powiedziała o tym nikomu – wyszydzić ją, jeślibym nawet w następnej chwili pograżyła się w rozpacz aż po samo jej dno.

Pokusa jest dla mnie zbyt silna. O, Panie! Gdzież jest Twój pokój, w który wierzyłam w dzieciństwie? – pokój, o którym słyszę teraz, że mówią tak, jak gdyby uciszał wszelkie życiowe utrapienia i że nie trzeba o niego zabiegać – zabiegać krwawymi łzami!

Nie było słyhać nic ani widać w odpowiedzi na ów okrzyk błagalny, który, jak Jemima poniekąd pomyślała, powinien był siłą wydobyć z Niebios jakiś znak. Lecz poprzez mrok jej nocy zakradał się świt.

Pogoda, jak na koniec sierpnia, była przepiękna. Noce równie pełne światła, jak dni – wszędzie, wyjąwszy niskie, spowite mrokiem łąki przy rzece, gdzie mgły wznosiły się, łącząc blade niebo z ziemią pod nimi. Nieświadome otaczających je trosk i kłopotów Mary i Elizabeth cieszyły się pogodą i dostrzegały nową jakąś świetność w każdym przejawie schyłku roku. Wołały o wyprawę na wzgórze, zanim nawałnice zakłóca spokojną ciszę jesieni. Otrzymały pozwolenie, by wyruszyć w najbliższą środę – w następny w połowie wolny dzień. Przekonały matkę, by zgodziła się zupełnie odwołać tego dnia lekcje, ale ojciec nie chciał o tym słyszeć. Pani Bradshaw zaproponowała wczesny obiad, lecz dziewczęta odrzuciły ten pomysł. Ileż warta byłaby wyprawa, gdyby nie zabrały ze sobą koszy z obiadem? Każda rzecz wyjęta z kosza i spożyta na świeżym powietrzu jest warta dwadzieścia razy więcej, niż najwystawniejszy posiłek domowy. Toteż spakowano kosze, pani Bradshaw tymczasem biadała nad prawdopodobieństwem złapania przeziębienia od siedzenia na wilgotnej ziemi. Ruth i Leonard również mieli pójść; razem cztery osoby. Jemima odrzuciła wszystkie zaproszenia dołączenia do grupy, niemniej częściowo udzieliła się jej radość sióstr – swoiste tęskne, przeciągłe wejrzenie w przeszłość, kiedy i ona upajałaby się perspektywą, która się przed nimi rysowała. One także dorosną i będą cierpiały; lecz teraz się bawiły, pomimo pisanego im losu.

Ranek był jasny i przepiękny; chmur w sam raz tyle, jak ktoś powiedział, ażeby sprawić, iż ze wzgórz daleka równina wyglądała pięknie, z cieniami wznoszącymi się pośród porośniętych zbożem złotych pól. Leonard miał dołączyć o dwunastej, kiedy dobiegną końca jego lekcje z panem Bensonem i lekcje dziewcząt z ich nauczycielami. Ruth zdjęła kapelusz i złożyła szal z właściwą sobie elegancją, ostrożną schludnością, i odłożyła je na bok w kącie pokoju, by były w gotowości. Usiłowała zapomnieć o przyjemności, jakiej się zawsze spodziewała po długim spacerze ku wzgórzom, skoro obecnie trwała poranna praca; lecz okazała dziewczętom tyle zrozumienia, że lgnęły do niej z licznymi pieszczotami radosnej czułości. Wszystko było piękne w ich oczach; od cieni rzucanych na ścianę przez drżące liście po niewchłonięte jeszcze przez słońce lśniące krople rosy, które pokrywały babie lato w winorośli za oknem. Wybiła jedenasta. Łacinnik odszedł, dziwiąc się bardzo rozpromienionym twarzyczkom swych uczennic i myśląc, iż jedynie bardzo młodzi ludzie umieją czerpać tak dużą przyjemność z *Delectusa*^[83]. Ruth rzekła: „A teraz

spróbujmy być bardzo spokojne przez najbliższą godzinę”, a Mary odchyliła głowę Ruth i pocałowała jej śliczne, kwitnące usta. Zasiadły do pracy, pani Denbigh tymczasem czytała na głos. Do pokoju wlał się nagle świeży blask słoneczny i popatrzyły na siebie z radością i wyczekiwaniem w oczach.

Weszła Jemima pod pozorem odszukania książki, w rzeczywistości zaś wskutek owego swoistego, niepokoju podszytego znużeniem każdym miejscem czy zajęciem, jakie opanowało ją od dnia powrotu pana Farquhara. Stała przed biblioteczką we wnęce, przeglądając apatycznie tytuły w poszukiwaniu tego, po który przyszła. Głos Ruth utracił odrobinę ze swego spokojnego tonu, a oczy jej stawały się w obecności Jemimy bardziej zamglone i zaniepokojone. Zastanawiała się w sercu, czy ośmieli się poprosić pannę Bradshaw, ażeby towarzyszyła im podczas wyprawy. Osiemnaście miesięcy temu namawiałaaby przyjaciółkę łagodnym, czułym błaganiem; teraz bała się nawet podsunąć myśl ową jako mglistą możliwość; wszystko, co czyniła albo mówiła odbierane było tak mylnie – zdawało się zwiększać tylko dawną niechęć, czy też późniejszą kamienną pogardę, z jaką traktowała ją panna Bradshaw. Tak właśnie rysowała się ta scena, gdy do pokoju wszedł pan Bradshaw. Jego wejście – to, że w ogóle był o tej porze w domu – było rzeczą tak niezwykłą, iż natychmiast przerwano czytanie; a cała czwórka mimowolnie nań spojrzała, jak gdyby oczekując wyjaśnienia tego niezwykłego postępowania.

Twarz miał prawie siną od wstrzymywanego wzburzenia.

– Mary i Elizabeth, wyjdźcie z pokoju. Nie zatrzymujcie się, by pozbierać książki. Wyjdźcie z pokoju, mówię! – mówił gniewnie roztrzęsiony, więc złęknięte dziewczęta posłuchały bez słowa. Przepływająca przez słońce chmura spowiła zimną ponurością pokój, który był przed chwilą tak jasny i promienny; lecz wyrównawszy w ten sposób natężenie światła, osłabiła głębię cienia w miejscu, w którym stała Jemima i ojcowskie oczy dostrzegły jej postać.

– Wyjdź z pokoju, Jemimo – rzekł.

– Dlaczego, ojcze? – odparła w sprzeciwie, który dziwił nawet ją samą, lecz który wywołany był ponurą żarliwością, jaka kipiała pod gnuśną powierzchnią jej życia i szukała ujścia w sprzeciwie. Nie ruszyła się z miejsca, obróciwszy się twarzą ku ojcu oraz Ruth – Ruth, która powstawszy, stała drżąca, trzęsła się, gdyż porażający strach ukazał jej przepaść, nad jaką się znalazła. Wszystko to na nic; w przeszłości nie było spokojnego, niewinnego życia – przemożnej ciszy, nawet w głębi jej własnego serca; dawna przewina nigdy nie zatonię w odmętach; lecz teraz, gdy na szerokim, słonecznym morzu panowała cisza, ona wzniosła się na powierzchnię i zwróciła ku niej odemknięte oczy i upiorne oblicze. Krew zawrzała i dotarła do mózgu, i wydawała tam taki dźwięk, podobny gotującej się wodzie, iż Ruth nie usłyszała słów wypowiedzianych przez pana Bradshawa jako pierwsze; przemowa jego została wręcz rozbita i rozczłonkowana przemożną gorączką. Lecz ona nie potrzebowała słyszeć; wiedziała. Jak na początku wstała, tak trwała nadal – odrętwiała i bezradna. Gdy jej uszy odzyskały zdolność słyszenia (jak gdyby pochodzące z niejasnej jakiejś, mglistej dali dźwięki napływały bliżej i stawały się wyraźniejsze), pan Bradshaw mówił właśnie:

– Jeżeli jest jeden grzech, którego nienawidzę, do którego czuję przemożny wstręt bardziej niż do wszystkich innych, jest nim rozwiązłość. Zawiera w sobie wszystkie inne grzechy. Nie dziwota zatem, żeś tu przyszła z tą swoją cherlawą twarzą hipokrytki, by nas wszystkich oszukać. Ufam, że Benson o tym nie wiedział – dla jego własnego dobra, ufam, iż nie wiedział. Bóg mi świadkiem, że jeżeli on fałszywym podstępem wprowadził cię do mego domu, to przekona się, że miłosierdzie okazywane przezeń kosztem innych ludzi będzie go słono kosztowało – ty – na językach całego Eccleston za swą rozwiązłość... – Gotujące się w nim oburzenie dławiło go zupełnie. Ruth stała oniemiała, nieruchoma. Głowa jej opadła nieco do przodu, duże, drżące powieki miała przymknięte, ramiona zwieszane, ciężkie i wyprostowane. W końcu podźwignęła ciężar z serca na tyle, ażeby rzec bladym, jęklwym głosem, przemawiając z nieskończoną trudnością:

– Byłam taka młoda.

– Tym bardziej jesteś zdeprawowana, tym bardziej obrzydliwa – wykrzyknął pan Bradshaw, rad niemalże, iż owa kobieta, która tak długo się nie opierała, nareszcie opierać się zaczyna. Lecz

ku jego zaskoczeniu (gdyż w gniewie zapomniał był o jej obecności), Jemima postąpiła naprzód i rzekła:

– Ojczel!

– Jemimo, trzymaj język za zębami. Z dnia na dzień stajesz się coraz bardziej zuchwałą, coraz bardziej nieposłuszna. Teraz już wiem, komu za to dziękować. Skoro do mej rodziny weszła taka kobieta, nie dziwi żadne zepsucie... żadne zło... żadna plugawość.

– Ojczel!

– Ani słowa! Jeżeli w swym nieposłuszeństwie zdecydowałaś się pozostać tutaj i wysłuchać tego, czego żadna skromna młoda kobieta słyszeć by nie chciała, to zamilknieś, gdy rozkażę. Jedyna korzyść, jaką możesz z tego wszystkiego zacerpnąć, to ostrzeżenie. Spójrz na tę kobietę – (wskazując na Ruth, która odwróciła na bok zwieszoną głowę, jak gdyby mogła w ten sposób uniknąć bezlitosnego wskazania – z każdą chwilą twarz jej bledła coraz bardziej) – powiadam, spójrz na tę kobietę – zepsutą, gdy była dużo młodsza od ciebie – od lat hipokrytkę! Jeżeli ty, czy którekolwiek z moich dzieci, dbałaś o nią kiedy, strząśnij ją, tak jak święty Paweł strząsnął zmię^[84]... nawet w sam ogień. – Przerwał, by zacerpnąć oddechu. Jemima, cała poczerwieniała i dysząca, podeszła do poblądłej Ruth i stanęła u jej boku. Zamknęła bezwładnie zimną, martwą dłoń w ciepłym, kurczowym uścisku i trzymając ją tak ciasno, że potem przez wiele dni była sina i przebarwiona, odezwała się, a ojciec żadną siłą nie byłby w stanie jej powstrzymać.

– Ojczel, chcę mówić. Nie będę milczała. Dam świadectwo o Ruth. Nienawidziłam jej – tak zaciekle, niech mi Bóg przebaczy! Lecz dzięki temu może ojciec być pewien, iż świadectwo moje jest prawdziwe. Nienawidziłam jej, a nienawiść zdusiłam do rozmiarów wzgardy – teraz już wzgardy nie czuję, droga Ruth – droga Ruth – (wypowiedziała te słowa z nieskończoną łagodnością i tkliwością, wbrew wściekłemu ojcowskiemu spojrzeniu i pełnym pasji gestom) – to, czego się ojciec teraz dowiedział, ja usłyszałam wiele już tygodni temu – być może rok nawet, bo ostatnio czas tak bardzo się dłuży; i wzdragałam się przed nią i przed jej grzechem; i byłabym może o nim powiedziała, i to natychmiast, gdyby nie obawa, iż uczyniwszy to, nie kierowałabym się słusznymi pobudkami, lecz chęcią pójścia za głosem pragnień mego zazdrosnego serca. Tak, ojczel, ażeby dowieść ojcu, jakim jestem świadkiem dla Ruth, przyznam, iż zazdrość ugodziła mnie w serce; ktoś... dbał o Ruth ktoś, kogo... och, ojczel! Niechże mi ojciec oszczędzi mówienia wszystkiego. – Twarz miała całkowicie pokrytą karmazynowymi rumieńcami i przerwała na jedną chwilę tylko – nie więcej. – Obserwowałam ją, i to obserwowałam oczami dzikiej bestii. Gdybym raz chociaż była zauważyła, iż wykręca się od obowiązków – gdybym była świadkiem jednego przebłysku kłamstwa w słowie jej lub czynie – przede wszystkim zaś gdyby mój instynkt kobiecy wykrył choćby najbardziej nikłą odrobinę nieczystej myśli, mowy czy spojrzenia, dawna moja nienawiść byłaby zapłonęła płomieniem piekielnym! Wzgarda przemieniłaby się w nienawistne obrzydzenie, nie zaś w pełnię litości oraz wzruszeń dopiero co przebudzonej miłości i najprawdziwszego szacunku. Ojczel, oto moje świadectwo!

– A ja ci powiem, jak wiele to twoje świadectwo jest warte – odparł ojciec, zaczynając cicho, ażeby dać tłumionemu gniewowi przestrzeń do rozwinięcia skrzydeł. – Utwierdza mnie ono tylko w przekonaniu, jak głębokie jest zepsucie, które ta rozwiązłość szerzyła w mej rodzinie. Przybyła pośród nas pozornie niewinna i rozpostarła swe sieci dobrze, umiejętnie. Obróciła dobro w zło, zło zaś w dobro, i nauczyła was wątpić w istnienie na świecie tego, co zwą występkiem i zastanawiać się, czy aby nie należy postrzegać go jako cnoty. Zawiodła was na krawędź otchłani głębokiej, gotowa przy pierwszej nadarzającej się okazji was tam wepchnąć. A ja jej zaufałem... zaufałem jej... przyjąłem ją.

– Postąpiłam bardzo źle – szepnęła Ruth, lecz tak cicho, że być może jej nie dosłyszał, gdyż mówił dalej, coraz bardziej zapamiętałe.

– Przyjąłem ją. Dałem się naciągnąć na to, by pozwolić jej bękartowi... (niedobrze mi się robi na samą myśl o tym)...

Na wzmiankę o Leonardzie Ruth po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy podniosła oczy, a źrenice jej się rozszerzyły, jak gdyby właśnie uświadamiała sobie nową jakąś udrękę, jaka ją czekała. Widziałam takie prerażenie na pysku biednego, niemego zwierzęcia, a raz czy dwa

również na ludzkim obliczu. Modłę się, by nigdy więcej go nie ujrzeć, ani u człowieka, ani u zwierzęcia! Jemima czuła, jak dłoń, którą trzymała w silnym uścisku, wykręca się ku swobodzie. Ruth rozpostarła przed sobą ramiona, zaciskając i splatając palce, głowę zaś odrzuciła nieco do tyłu, jak gdyby pod wpływem najgłębszego cierpienia.

Pan Bradshaw mówił dalej.

– To dziecko, spadkobierca hańby, towarzyszem mych niewinnych dzieci! Ufam, iż nie zostały skażone.

– Nie zniosę tego, nie zniosę tego! – oto słowa, które Ruth zdołała z siebie wydać.

– Nie zniosę tego! Nie zniosę tego! – powtórzył. – Musisz to znieść, pani. Czy sądzisz, że twoje dziecko ma być zwolnionym z kar wynikających z jego urodzenia? Czy sądzisz, że jemu jednemu należy oszczędzić karcącego szyderstwa? Czy sądzisz, że on kiedykolwiek równy będzie innym chłopcom, nienaznaczonym i nieskalanym grzechem od chwili narodzin? Każde stworzenie w Eccleston dowie się, kim on jest; czy sądzisz, że oszczędzą mu słów pogardy? „Nie zniosę tego”, doprawdy! Zanim zabrnęłaś w grzech, powinnaś była się zastanowić, czy zdołasz ponieść jego skutki, czy też nie – pomyśleć o tym, jak dalece twój potomek będzie poniżany i rozpoznawany, aż najlepszą rzeczą, jaką mogłaby się mu przydarzyć, będzie zatracenie wszelkiego poczucia wstydu, brak jakiegokolwiek względu na świadomość winy dla dobra jego matki.

Ruth przemówiła. Stała jak dzikie stworzenie na postronku i nie czuła już lęku.

– Odwołuję się do Boga, ażeby nie spotkał mego dziecka taki los. Zwracam się do Boga o to, by mi dopomógł. Jestem matką i jako taka wołam do Boga o pomoc – o pomoc, dzięki której mój synek będzie pod jego litościwym okiem, dzięki której wychowam go w świętej bojaźni Bożej. Niechże to na mnie spadnie wstyd! Zasłużyłam na to, lecz on – on jest taki niewinny i dobry.

Ruth pochwyciła szal i usiłowała włożyć kapelusz drżącymi dłońmi. A jeżeli Leonard usłyszy o jej hańbie od ludzi postronnych? Jaką tajemną postać przybierze wstrząs odniesiony wskutek tych wieści? Musi go zobaczyć i ujrzeć jego spojrzenie, by się przekonać, czy będzie się przed nią wzdrygał; okrutne drwiny ludzi gotowe jeszcze skłonić jego serce ku nienawiści do niej.

Jemima stała z boku, milcząca i litościwa. Żał ją obezwładnił. Pomogła Ruth się ubrać, jednym czy dwoma delikatnymi gestami, których Ruth prawie nie odczuła, lecz które na nowo wywołały pełnię gniewu pana Bradshawa; chwycił ją stanowczo za barki i siłą wyprowadził z pokoju. W hallu i na schodach dało się słyszeć jej namiętny, bolesny płacz. Dźwięk ten tylko skupił jeszcze gniew pana Bradshawa na Ruth. Otworzył szeroko drzwi od ulicy i przytrzymując je, wycodził przez zęby:

– Jeżeli ty albo twój bękart kiedykolwiek się tu jeszcze pokażecie, to zawezwę policję, by was wyrzuciła!

Nie musiałby tego dodawać, gdyby widział twarz Ruth.

ROZDZIAŁ XXVII

Postępować w oparciu o prawdę

Gdy Ruth szła znajomymi ulicami, każdy widok i każdy dźwięk zdawał się nieść nowe znaczenia i w taki lub inny sposób nawiązywać do hańby, jaką okryty był jej synek. Głowę miała spuszczoną i przemykała szybko, odurzona lękiem, że głos jakiś powie mu, kim była i kim był on, nim zdoła doń dotrzeć. Był to nieokiełznany, bezrozumny lęk, lecz opanował ją tak przemożnie, jak gdyby mocne miał podstawy. I rzeczywiście, tajemnica wyszeptana przez panią Pearson, której ciekawość i podejrzenia podnieciło zachowanie Jemimy, później zaś wzmocniły rozliczne drobne okoliczności je potwierdzające, rozniosła się po świecie i zanim dosięgła uszu pana Bradshawa, była już znana większości plotkarzy w Eccleston.

Kiedy Ruth podeszła do drzwi przykaplicznego domu, otworzyły się i wyszedł Leonard, rozpromieniony i pogodny niczym poranek, z twarzą jaśniejącą na myśl o czekającym go szczęśliwym dniu. Miał na sobie ubranie, które matka uszyła z radosną dumą. Wokół szyi miał przewiazaną ciemnoniebieską wstążkę, którą tego ranka dlań przygotowała, uśmiechając się w duchu na myśl o tym, jak ładnie podkreśli ona jego śniadą, przystojną twarz. Kiedy się spotkali, chwyciła go za rękę i bez słowa odwróciła twarzą do domu. Jej wygląd, pośpieszne ruchy, milczenie, wzbudziły w nim trwogę; a chociaż się zdziwił, nie zatrzymał się, ażeby zapytać, co spowodowało takie zachowanie. Drzwi były zamknięte tylko na klamkę; otworzyła je i ochryłym szeptem rzekła „Na górę”. Udali się tam, do jej pokoju. Wprowadziła go do środka i zaryglowała drzwi; a potem, usiadłszy, ustawiła go przed sobą (przez ten czas w ogóle nie puściła jego ręki), położyła dłonie na jego ramionach wpatrywała się w jego twarz spojrzeniem boleści, dla której nie umiała znaleźć ujścia w słowach. Nareszcie spróbowała przemówić; okupiła to ogromnym wysiłkiem cielesnym, dorównującym niemal konwulsjom. Lecz słowa nie przychodziły; znalazła je dopiero wówczas, gdy ujrzała malujące się na jego twarzy skończone przerażenie; a wtedy na widok tego przerażenia zmieniły się słowa, które zamierzała była wypowiedzieć. Przyciągnęła go do siebie i złożyła głowę na jego ramieniu, skrywając twarz.

– Mój biedny, biedny synek! Moje biedne, biedne kochanie! Och! Bodajbym była umarła – umarła w niewinności lat dziewczęcych!

– Mamo! Mamo! – załkał Leonard. – Co się stało? Czemu wyglądasz tak dziwnie i niezdrowo? Czemu nazywasz mnie swym „biednym synkiem”? Czy nie pojedziemy na wzgórze Scaurside? Nic szkodzi, mammo, tylko proszę cię, nie oddychaj tak ciężko i nie drzyj. Najdroższa mammo, czyś chora? Zawołam ciocię Faith!

Ruth podniosła się i odgarnęła włosy, które zsunęły się jej na oczy i je przesłaniały. Spojrzała na niego w głębokiej zadumie.

– Pocałuj mnie, Leonardzie! – rzekła – pocałuj mnie raz jeszcze na swój dawny sposób, kochanie! – Leonard rzucił się jej w ramiona i uściskał z całą mocą, a usta ich przywarły niczym w pocałunku, jakim obdarza się umierającego.

– Leonardzie! – rzekła w końcu, odsuwając go od siebie i zbierając się na odwagę, by powiedzieć mu o wszystkim za pojedynczym jej przyplywem – posłuchaj mnie. – Chłopiec stał bez tchu, nieruchomy, wpatrując się w nią. Podczas pośpiesznej przeprawy z domu pana Bradshawa do domu duchownego, towarzyszyła jej oszalała, rozpaczliwa myśl, podług której miała się nazwać każdym okrutnym, grubiańskim mianem, jakie tylko mógłby nadać jej świat – myśl mówiąca, że Leonard winien po raz pierwszy usłyszeć te słowa w odniesieniu do swej matki z jej własnych ust; lecz wpływ jego obecności – gdyż był w jej oczach istotą najczystsza i świętą, i w tym punkcie nic

nie uległo zmianie, jakkolwiek nad całą resztą dokonał się przewrót – ujarzmił ją; teraz zaś zdawało się, że nie potrafi znaleźć słów odpowiednio delikatnych oraz czystych do zawarcia prawdy, którą on musi poznać i którą winien poznać wyłącznie z jej ust.

– Leonardzie... kiedy byłam bardzo młoda, postąpiłam bardzo źle. Myślę, że Bóg, który wie wszystko, osądzi mnie łagodniej, niżli ludzie – lecz postąpiłam źle, uczyniwszy coś, czego ty na razie jeszcze zrozumieć nie możesz – (zauważyła, że na policzki jego wypływa czerwony rumieniec, co ukłuło ją jako pierwszy dowód poczucia wstydu, które miało towarzyszyć mu przez całe życie) – coś, czego ludzie nigdy nie zapominają, nigdy nie wybaczą. Usłyszysz, jak obrzucają mnie najokrutniejszymi wyzwiskami, jakimi tylko kobietę obrzucić można – jakimi obrzucono mnie dzisiaj; moje dziecko, musisz to cierpliwie znosić, gdyż one po części będą prawdziwe. Niechaj twa miłość do mnie nigdy cię nie zmyli, że to, com uczyniła, było słuszne... Na czym skończyłam? – rzekła, zawahawszy się nagle, zapominając o wszystkim, co powiedziała i co miała jeszcze do powiedzenia; a wówczas, spojrzawszy w twarz Leonarda, na której malowało się zdziwienie i palący wstyd, i oburzenie, jęła mówić bardziej pośpiesznie, jak gdyby lękała się, że sił jej zabraknie, nim skończy. – I, Leonardzie – ciągnęła smutnym, drżącym głosem – to nie wszystko. Kara nad karami wciąż jeszcze przede mną. Jest nią widzieć cierpienie, którym okupujesz mój grzech. Tak, kochanie! Będą mówić o tobie niegodziwości, biedne, niewinne dziecko, nie tylko zaś o mnie, która jestem winna. Będą ciebie potępiać przez całe życie, ponieważ matka twoja nigdy nie była zamężna – nie była zamężna, kiedyś się urodził...

– Nie byłaś zamężna? Nie jesteś wdową? – zapytał gwałtownie, gdyż po raz pierwszy zaczął poniekąd dostrzegać prawdziwy stan rzeczy.

– Nie! Niech Bóg mi przebaczy i dopomoże! – wykrzyknęła, gdy ujrzała, że oblicze chłopca spochmurniało z obcym spojrzeniem odrazy i poczuła, że nieznacznie wysunął się z jej objęć. Był to ruch najłżejszy i trwał znikomą chwilę – natychmiast przerwany. Lecz ona równie prędko cofnęła ręce i zakryła nimi twarz ze wstydu przed dzieckiem; z gorczy serca zaś lamentowała:

– Och, gdyby Bóg pozwolił był mi umrzeć – umrzeć, gdym była dzieckiem – umrzeć, gdym była niemowlęciem przy matczynej piersi!

– Mamo – rzekł Leonard, kładąc z trwogą dłoń na jej ramieniu; lecz ona się odsunęła i dalej zawodziła cicho i zapamiętała. – Mamo – rzekł po chwili, podchodząc bliżej, choć ona tego nie zauważyła – mamusiu kochana – rzekł, zwracając się do niej pieszczotliwym mianem, które usiłował był porzucić jako niewystarczająco męskie – mamusiu moja, moja kochana, kochana, najukochańsza mamusiu, nie wierzę im – nie wierzę, nie, nie, nie!

Mówiąc to, wybuchł namiętnym płaczem. Po chwili jej ramiona otaczały już biednego chłopca, a ona uciszała go jak niemowlę przy piersi.

– Cicho, Leonardzie! Leonardzie, dziecko moje, uspokój się! Zbyt niespodziewanie ci o tym powiedziałam! – skrzywdziłam cię – och! skrzywdziłam cię tylko – zawołała tonem gorzkiej nagany.

– Nie, mamu – odparł, powstrzymując łzy, a oczy jego płonęły poważnie – nigdy nie było drugiej takiej matki, jaką ty jesteś dla mnie i nie uwierzę nikomu, kto powie takie rzeczy. Nie uwierzę; a jeżeli to powtórzy, uderzę go, tak zrobię! – zacisnęła pięść, a na twarzy jego malował się wyraz zacięty, buntowniczy.

– Zapominasz, moje dziecko – rzekła Ruth najśłodszym, najsmutniejszym tonem, jaki kiedykolwiek słyszano – że sama to o sobie powiedziałam; powiedziałam, gdyż jest to prawda.

Leonard objął ją ciasno ramionami i skrył twarz na jej piersi. Czują, że dyszy ciężko niczym jakieś zaszczute zwierzę. „Och, gdybyśmy oboje mogli już nie żyć!”

Nareszcie wyczerpany, spoczął teraz tak cicho i nieruchomo, że bała się nań spojrzeć. Chciała, by przemówił, lecz obawiała się pierwszych jego słów. Ucałowała jego włosy, głowę, ubranie nawet, szepcząc cicho niezrozumiale, zawodząco.

– Leonardzie – rzekła – Leonardzie, spójrz na mnie! Leonardzie, spójrz! – ale on tylko przycisnął się bliżej i bardziej jeszcze ukrył twarz.

– Mój synku! – odparła – cóż mogę rzec, co uczynić? Gdybym ci powiedziała, ażebyś nigdy na to nie zważał – że to nic – powiedziałabym nieprawdę. Okryłam ciebie gorzkim wstydem,

ściągnęłam na ciebie troskę. Wstydem, Leonardzie, z mego powodu – z powodu twej matki; lecz, Leonardzie, nie hańbi to ani nie poniża ciebie w oczach Boga. – Mówiła teraz tak, jak gdyby odnalazła klucz, który pozwoli jej nareszcie napęłnić go spokojem i pokrzepić. – Zawsze o tym pamiętaj. Pamiętaj o tym, kiedy nadejdzie godzina próby – i wyda ci się okrutnym to, iż ludzie obrzucają cię obelgami, w dodatku za coś, czemuś nie jest winny – pamiętaj o Bożej litości i Bożej sprawiedliwości; i chociaż grzech mój uczyni cię wyrzutkiem dla świata – och, moje dziecko, moje dziecko! – czuła, że ją pocałował, jak gdyby usiłując pocieszyć ją bez słów – dodało jej to sił, by mówić dalej – pamiętaj, miłości mego serca, że tylko twój własny grzech może cię uczynić wyrzutkiem w oczach Boga.

Zrobiło jej się tak słabo, że rozluźniła uścisk, w którym go trzymała. Spojrzał na nią przerażony. Przyniósł jej wody – spryskał nią matkę; przerażony wyobrażeniem, że ona umrze i go opuści, nazywał ją każdym czułym mianem, błagając, by tworzyła oczy.

Kiedy częściowo odzyskała świadomość, pomógł jej położyć się do łóżka, gdzie spoczęła, wymizierowana i podobna do śmierci. Miała niemal nadzieję, że omdlenie, które ją opanowało, to być może śmierć, i wyobrażając sobie to, otworzyła oczy, ażeby po raz ostatni spojrzeć na syna. Zauważyła, że blady jest i zdjęty przerażeniem; a litość, jaką poczuła na widok jego przerażenia, ożywiła ją i kazała zapomnieć o sobie, i podsunęła myśl, że on nie powinien oglądać jej w chwili śmierci, jeżeli ona istotnie jest umierająca.

– Idź do cioci Faith! – szepnęła. – Jestem zmęczona i potrzebuję snu.

Leonard powstał z wolna, niechętnie. Próbowała uśmiechnąć się do niego, ażeby to, co według niej było być może ostatnim wejrzeniem, odcisnęło się w jego pamięci jako czułe i silne; odprowadziła go wzrokiem do drzwi; widziała, że się zawahał i wrócił do niej. Podszedł i rzekł trwożliwym, zaniepokojonym głosem:

– Mamo – czy oni będą ze mną mówić... o tym?

Ruth zamknęła oczy, aby nie było w nich widać cierpienia, ostrego niczym nóż, które pytanie to wywołało. Leonard zadał je, kierując się dziecięcym pragnieniem uniknięcia bolesnych i tajemniczych tematów... nie zaś osobistym poczuciem wstydu, co ona podejrzewała, wstydu, który, jak sądziła, aż tak wcześniej się odezwał i tak natychmiastowo.

– Nie – odparła. – Możesz być pewny, że nie będą.

Poszedł więc. Ona tymczasem z wdzięcznością powitałaby teraz nieświadomość płynącą z omdlenia; ta jedna krótka przemowa tak wiele wniosła znaczeń do jej rozpalonego, nadpobudliwego mózgu. W tym domu pan i panna Benson mówić o tym z chłopcem nie będą nigdy – lecz czy kiedy już będzie sam, ustrzeże się tego, czego już teraz nauczył się lękać? Dręczyły ją rozliczne wizje, w których wstyd i hańba na różne sposoby nękały jej kochanie. Dla jego dobra wyteęzała silnie opanowanie, odkąd tylko ujrzała go przy drzwiach; teraz przyszła reakcja. Jego obecność utrzymywała dotąd jej umysł w tej doskonałej równowadze. Kiedy jej zabrakło, odczuła skutki nadwężenia sił. A pośród gorączkowych mgieł, które podnosiły się, by zaciemnić jej osąd, jęły przed nią migotać niczym błędne ogniki przeróżne plany; kusić ją, by postąpiła tak albo tak – by uczyniła cokolwiek, miast cierpliwie to znosić – by ulżyła obecnemu swemu cierpieniu jakimś nagłym, gwałtownym wysiłkiem, który miał pozory roztropności i słuszności. Stopniowo wszystkie jej pragnienia, wszelka tęsknota, skupiły się w jednym punkcie. Co uczyniła – co mogłaby uczynić dla Leonarda, prócz wyrządzenia zła tylko? Gdyby była daleko stąd, gdyby przepadła niewiadomo gdzie – zatracona w tajemnicy, jak gdyby była martwa – być może okrutne serca ustąpiłyby i okazały Leonardowi litość; tymczasem jej stała obecność przywoływać będzie wspomnienie okoliczności jego narodzin. Takimi właśnie rozmyślaniami zajmowała swój rozpalony, apatyczny umysł; i odpowiednio do nich układała plany.

Leonard bezszelestnie zakradł się na dół. Nasłuchiwał, aby znaleźć zaciszne jakieś miejsce, w którym mógłby się skryć. W domu panowała głęboka cisza. Panna Benson myślała, że zaplanowana wyprawa odbyła się i nie śniła nawet, że Ruth z Leonardem nie ma teraz na dalekim, słonecznym wzgórzu Scaurside; toteż po bardzo wczesnym obiedzie udała się na herbatę do żony gospodarza, który mieszkał we wsi oddalonej o dwie czy trzy mile. Pan Benson miał jej towarzyszyć; lecz gdy byli przy obiedzie, otrzymał nadzwyczaj stanowczy liścik od pana

Bradshawa, który pragnął z nim pomówić, toteż udał się do domu tegoż, miast iść z siostrą. Sally pracowała w kuchni, robiąc przy sprzątanii wiele hałasu (niezupelnie niepodobnego do tego, jaki towarzyszy szczotkowaniu konia przez stajennego). Leonard zakradł się do salonu i skulił za dużą, staroświecką kanapą, ażeby uspokoić obolałe, cierpiące serce zapamiętałym płaczem, na jaki stać jedynie dziecko w poczuciu całkowitego opuszczenia.

Pan Benson został wprowadzony do prywatnego pokoju pana Bradshawa. Ów drugi pan chodził w tę i z powrotem i nietrudno było zauważyć, że wydarzyło się coś, co rozjątrzyło w nim przemożny gniew.

– Niech pan siada! – odezwał się do pana Bensaona, ruchem głowy wskazując krzesło.

Pan Benson usiadł. Lecz pan Bradshaw nie przestawał chodzić przez kilka minut jeszcze, nic nie mówiąc. Później zatrzymał się nagle wprost naprzeciw pana Bensaona; i głosem, który usiłował uspokoić, lecz który drżał od pasji – twarz jego tymczasem pałała sinością, gdy myślał o wszystkich swych krzywdach (a były to krzywdy prawdziwe) – zaczął:

– Panie Benson, posłałem po pana, ażeby zapytać... już samo podejrzenie napawa mnie tak przemożnym oburzeniem, że mówić mi trudno... ale czy pan... winien będę prosić o wybaczenie, jeżeli jest pan równie jak ja wczoraj jeszcze nieświadom charakteru kobiety, która mieszka pod pańskim dachem?

Nie było odpowiedzi od pana Bensaona. Pan Bradshaw spojrział nań bardzo poważnie. Oczy miał skupione na podłodze – o nic nie zapytał – nie wyraził żadnego zdziwienia czy konsternacji. Pan Bradshaw potarł stopą o podłogę z narastającym gniewem; ale w chwili, gdy zamierzał przemówić, pan Benson podniósł się – biedny, kaleki stary człowiek – i stanął przed srogą i zażywną postacią, która pęczniała i dyszała z pasji.

– Niechże mnie pan wysłucha! – wyciągnął dłoń, ażeby powstrzymać nadchodzące słowa. – Nic, co pan powie, nie będzie dla mnie tak karcące, jak głos mego sumienia; żadne słowo lub czynem zadane przez pana poniżenie nie może równać się poniżeniu, jakim przez lata znosił, będąc częścią oszustwa, jakkolwiek cel był szczytny...

– Cel był szczytny! Ba! Cóż dalej?

Złośliwa pogarda, z jaką pan Bradshaw wypowiedział te słowa prawie go zaskoczyła; mniemał, że udało mu się zawrzeć w nich miażdżącą kąśliwość; lecz pomimo tego pan Benson wzniósł swe szare oczy ku twarzy pana Bradshawa i powtórzył:

– Cel był szczytny. Celem tym nie było, jak być może pan podejrzewa, uzyskanie dla niej wstępu do pańskiej rodziny – ani też umieszczenie jej tutaj, ażeby zarabiała na życie; moja siostra i ja pragnęliśmy dzielić się z nią wszystkim, co posiadamy; początkowo zamierzaliśmy to właśnie czynić, jeżeli nie na zawsze już, to chociaż dopóty, dopóki wymagało tego jej zdrowie. Dlaczego doradziłem (być może jedynie przychyliłem się do takiej rady) zmianę nazwiska – otóż dlatego, że szczerze pragnąłem umieścić ją tam, gdzie mogłaby zapracować na swe odkupienie; pan zaś wie, jak straszliwie obchodzi się świat ze wszystkimi, którzy zgrzeszyli tak jak Ruth. Była też taka młoda.

– Mylisz się pan; nie mam pośród tej klasy grzeszników znajomych, dzięki którym wiedziałbym, jak też są oni traktowani. Lecz sądząc po tym, com sam widział, powiedziałbym, iż spotyka ich tyle pobrażania, na ile zasługują; a założywszy, że tak nie jest – wiem, że jest wielu słabowitych sentymentalistów, którzy całe swe zainteresowanie i uwagę pokładają w złoczyńcach – dlaczegóż nie zwróciłeś się pan do jednego z im podobnych, by ci pomogli wybielić Murzyna? Czemu to mnie wykorzystałeś – mój dom, w którym narzuciłeś mi swą podopieczną? Dlaczego me niewinne dzieci miały być narażone na obcowanie z tym, co zepsute? Pytam – rzekł, tupiąc – jak pan śmiałeś z kłamstwem na ustach wejść do tego domu, w którym postrzegano cię jako głosiciela wiary? Jak śmiałeś spośród wszystkich wybrać akurat mnie i wystrychnąć na dudka, oszukać, narazić na to, że mówią o mnie w całym mieście jako o tym, który przyjął do swego domu kobietę porzuconą, ażeby uczyła jego córki?

– Przyznaję, że oszustwo, którego się dopuściłem, było złe i wiarołomne.

– Tak! Możesz pan przyznawać teraz, kiedy się wydało! Nie jest to, jak sądzę, zbyt wiele teraz warta zasługa!

– Proszę pana! Nie pragnę zasług. Biorę na siebie wstyd. To nie ja pana wybrałem. Pan sam zwrócił się do mnie z propozycją, by Ruth została guwernantką jego dzieci.

– Hm!

– I pokusa była zbyt silna... Nie! Tego nie powiem... lecz pokusa była ponad moje siły... zdawało się, że otworzyła się wówczas przed nią możliwość bycia użyteczną.

– Ejże, ja nie chcę o tym słyszeć – odparł pan Bradshaw, płonąc z gniewu. – Nie zniosę tego. Przesadą jest mówić o tym w ten sposób, kiedy chodziło wyłącznie o taki pożytek, ażeby zdeprawować me niewinne córki.

– Bóg wie, że gdybym sądził, iż istnieje jakiegokolwiek niebezpieczeństwo deprawacji... Bóg wie, że prędeziej byłbym umarł, aniżeli pozwolił jej wkroczyć do pańskiej rodziny. Panie Bradshaw, wierzy mi pan, prawda? – pan Benson zapytał poważnie.

– Muszę odtąd prosić o przywilej wątplenia we wszystko, co pan w przyszłości powiesz – odparł pan Bradshaw zimno, z pogardą.

– Zasłużyłem na to – odparł pan Benson. – Ale – dodał po chwili milczenia – nie będę mówił o sobie, lecz o Ruth. Z pewnością celem, do którego dążyłem (środki, jakie obrałem do jego osiągnięcia, były niesłuszne; czuję to równie wyraźnie, jak pan), był słuszny; i nie powie pan – nie może pan powiedzieć, że pańskie dzieci ucierpiały z powodu znajomości z nią. Była w mej rodzinie, pod baczną obserwacją trzech uważnych osób przez rok, a nawet dłużej; widzieliśmy wady – żadna istota ludzka nie jest ich pozbawiona – lecz wady biednej Ruth były jedynie lekkimi, powszednimi uchybieniami; niemniej nie dostrzeżliśmy ani śladu zdeprawowanego umysłu – ani jednego przejawu śmiałości czy zuchwałości – żadnego świadectwa braku sumienności; zdawało się, że jest – i w istocie nią była – młodą, delikatną dziewczyną, którą zawiedziono na manowce, zanim poznała dobrze, co to życie.

– Podejrzewam, że większość nieprawych kobiet było w swoim czasie niewinnymi – odrzekł pan Bradshaw z gorzką pogardą.

– O, panie Bradshaw! Ruth nie była nieprawą i pan o tym wie. Gdyby jej pan nie widywał – nie poznawał jej codziennie przez te wszystkie lata... jedynie wówczas mógłby pan stwierdzić coś podobnego! – Pan Benson prawie nie oddychał, czekając na odpowiedź pana Bradshawa. Ciche opanowanie, które tak długo mu towarzyszyło, opuściło go teraz zupełnie.

– Widywałem ją codziennie – nie poznałem jej. Gdybym był ją poznał, wówczas zauważyłbym, że to kobieta upadła i zdeprawowana, i wskutek tego nieodpowiednia, by przychodzić do mego domu, czy utrzymywać stosunki z moimi niewinnymi dziećmi.

– Żałuję teraz, że Bóg nie dał mi daru mówienia przekonywająco o tym, co, jak wierzę, jest Jego prawdą, a mianowicie, że nie każda z kobiet, która upadła, jest zdeprawowaną; że wielu – jak wielu, to ujawni Dzień Sądu tym, którzy odtrącili biedne, chore, skruszone serca na tej ziemi – wielu, wielu łaknie i pragnie obcowania z tym, co cnotliwe – pomocy, której żaden człowiek im nie udzieli – owej delikatnej, tkliwej pomocy, której Jezus udzielił niegdyś Marii Magdalenie – głos niemal uwiązał panu Bensonowi w gardle pod wpływem uczuć.

– No, spokojnie, panie Benson, nie mówmy już więcej o tych ponurych rzeczach. Świat zdecydował, jak należy takie kobiety traktować; i niech mi pan wierzy, świat zawiera w sobie tyle praktycznej mądrości, że jego działanie w końcu zawsze okazuje się słuszne i żaden człowiek nie może bezkarnie mu się sprzeciwiać, o ile, rzecz jasna, nie zniży się do kłamstwa i oszustwa.

– Zajmuję stanowisko przy Chrystusie w sprzeciwie wobec świata – odparł pan Benson uroczyście, nie bacząc na odnoszącą się doń zawołaną aluzję. – Jakże się kończy postępowanie świata? Czyż możemy stać się wiele gorsi jeszcze, niż teraz jesteśmy?

– Mów pan za siebie, jeśli łaska.

– Czy nie czas na to, byśmy zmienili nieco swój sposób myślenia i postępowania?

Oświadczam w obliczu Boga, że jeżeli wierzę w ludzką jakąś prawdę, to tę głoszącą, że każdej kobiecie, która, jak Ruth, zgrzeszyła, należy dać szansę na odkupienie – i że szansę taką należy dać nie z wyniosłością czy wzgardą, a w duchu świętego Chrystusa.

– Taką jak sprowadzenie jej do domu przyjaciela, strojnej w cudze piórka.

– Nie rozpatruję teraz przypadku Ruth. W tej kwestii błęd swój uznaję. Nie rozpatruję

żadnego przypadku. Stwierdzam jedynie, iż żywię stanowcze przekonanie, że zgodnie z wolą Boga nie winniśmy się ważyć wdeptywać któregokolwiek z Jego stworzeń w piach, z którego wydobyć się nie można; że zgodnie z wolą Boga kobiety, które upadły, powinny być liczone z tymi, których złamane serca oczekują uleczenia, nie zaś odrzucone i uznane za nieodwracalnie stracone. Jeżeli taka jest wola Boga, to jako wola Boga przetrwa; On zaś wskaże drogę.

– Przywiązałbym o wiele większą wagę do pańskich nawoływań w tym względzie, gdybym mógł szanować właściwe postępowanie w innych sprawach. Tymczasem, kiedy widzę człowieka, który sam siebie oszukując, uznaje fałsz za prawdę, jestem nierad wysłuchiwać jego zdania na tematy związane z moralnością; i nie mogę go już dłużej uznawać za należytego głosiciela woli Boga. Być może rozumiesz pan, co mam na myśli, panie Benson. Nie mogę już przychodzić do pańskiej kaplicy.

Jeżeli pan Benson żywił jakąkolwiek nadzieję na to, że uparty umysł pana Bradshawa przyjmie prawdę, iż duchowny przyznał i żałuje, że przyczynił się być do kłamstwa, poprzez które przyjęto Ruth do rodziny Bradshawów, to owo ostatnie zdanie powstrzymało próbę przekonania go. Skłonił się tylko i wyszedł – pan Bradshaw odprowadził go do drzwi z oficjalną ceremonią.

Pan Benson dotkliwie odczuł zerwanie więzi, które zapowiedział przed chwilą pan Bradshaw. Kiedy utrzymywał z nim stosunki, doświadczył niejednego cierpienia, lecz dzięki łagodnemu usposobieniu każde z nich spłynęło po nim jak woda po kacze; teraz tymczasem pamiętał już tylko o niebagatelnych uprzejmościach, jakie mu wyświadczono (zupełnie zapomniawszy o towarzyszącej im ostentacji) – o wielu szczęśliwych godzinach i przyjemnych wieczorach – o dzieciach, które kochał bardziej, niż dotąd podejrzewał – o młodych ludziach, o których dbał i usiłował prowadzić dobrą drogą. Był młodym mężczyzną zaledwie, kiedy pan Bradshaw po raz pierwszy przyszedł do kaplicy; razem się zestarli; nigdy nie myślał o panu Bradshawie jak o starym, bliskim przyjacielu bardziej niżli teraz, kiedy zerwali stosunki.

Z ciężkim sercem otworzył drzwi swego domu. Skierował się prosto do gabinetu; usiadł, aby uspokoić się w najwygodniejszej dla siebie pozycji.

Ile czasu tam spędził – w milczeniu i samotnie – zastanawiając się nad swoim życiem – wyznając grzechy – tego nie wiedział; lecz usłyszał w domu jakiś dźwięk niezwykły, który go zaniepokoił – przywołał do terażniejszości. Powolny, ospały krok rozbrzmiał na korytarzu, w kierunku drzwi frontowych – oddech często przerywały westchnienia.

Dłoń Ruth była na klamce, kiedy pan Benson wyszedł z gabinetu. Twarz miała bardzo bladą, prócz dwóch czerwonych plam na policzkach – oczy jej były głęboko zapadnięte, bez wyrazu, ale lśniły gorączkowym blaskiem.

– Ruth! – wykrzyknął. Poruszyła ustami, lecz zbyt suche gardło oraz wargi nie pozwalały jej mówić.

– Dokąd idziesz? – zapytał; gdyż miała na sobie cały strój wyjściowy, a mimo to drżała tak bardzo, nawet stojąc w miejscu, że było widoczne, iż nie zdoła zająć daleko, nie przewróciwszy się.

Zawahała się – spojrzała na niego niezmiennie suchymi, lśniącymi oczami. W końcu wyszeptała (gdyż była w stanie mówić szeptem tylko):

– Do Helmsby – wyjeżdżam do Helmsby.

– Helmsby! Moje biedactwo – niech Bóg się nad tobą zlituje! – rzekł, gdyż widział, że ona nie wie prawie, co mówi. – Gdzie leży Helmsby?

– Nie wiem. Chyba w Lincolnshire.

– A po cóż to tam jedziesz?

– Cii! Zasnął – rzekła, kiedy pan Benson nieświadomie podniósł głos.

– Kto zasnął? – zapytał pan Benson.

– Biedny chłopczyk – odparła, zaczynając trząść się i płakać.

– Chodź! – rzekł władczo, prowadząc ją do gabinetu. – Usiądź w tym fotelu. Za chwilę wrócę.

Poszedł poszukać siostry, lecz nie powróciła jeszcze. Wówczas zwrócił się do Sally, która jak zwykle zajęta była sprzątaniami.

– Od kiedy Ruth jest w domu? – zapytał.

– Ruth! Nie ma jej w domu od rana. Mieli z Leonardem wyjechać gdzieś tam na cały dzień razem z dziewczynami od Bradshawów.

– A zatem nie jadła obiadu?

– Tutaj na pewno nie. Nie odpowiadam za to, co mogła robić gdzie indziej.

– A Leonard – gdzie on jest?

– Skąd mi to wiedzieć? Pewno z matką. A przynajmniej tak było umówione. I bez łożenia za innymi ludziskami mam dosyć swojej roboty.

Szorowała dalej w nienajlepszym bynajmniej nastroju. Pan Benson stał przez chwilę w milczeniu.

– Sally – rzekł – chciałbym się napić herbaty. Czy zrobicie mi filiżankę, gdy tylko będziecie mogli, i jeszcze suchą grzanekę? Przyjdę po nie za dziesięć minut.

Zastanowiło ją coś w jego głosie i po raz pierwszy nań spojrzała.

– Cóżżeś ty robił ze sobą, że wyglądasz taki ponury i blady? A niech mnie, pewno żeś się do szczeru umęczył opieką nad jakim nicponiem! Ano! Dobrze! Widzi mi się, że mogę ci zrobić tę twoją herbatę; ale żem miała nadzieję, że im starszy będziesz, tym mądrzejszy!

Pan Benson nic nie odpowiedział, lecz poszedł odszukać Leonarda z nadzieją, iż obecność dziecka przywróci matce panowanie nad sobą. Otworzył drzwi do saloniku i zajrzał do środka, ale nie ujrzał tam nikogo. Lecz kiedy je zamykał, usłyszał głębokie, urywane szlochom westchnięcie; a wiedziony dźwiękiem zastał chłopca leżącego na podłodze, pogrążonego w głębokim śnie, o rysach napuchniętych i zniekształconych od namiętnego płaczu.

„Biedne dziecko! A zatem to o tym mówiła – pomyślał pan Benson. – Również i on ma już swój udział w smutkach – ciągnął z litością. – Nie! Nie obudzę go z powrotem do świadomości”. Powrócił zatem samotnie do gabinetu. Ruth siedziała tam, gdzie ją zostawił z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami. Lecz kiedy wszedł, poderwała się.

– Muszę już iść – rzekła pośpiesznie.

– Nie, Ruth, nie wolno ci odejść. Nie wolno ci nas zostawić. Nie poradzimy sobie bez ciebie. Zbyt mocno cię kochamy.

– Kochają mnie państwo! – rzekła, patrząc nań smutno. Gdy tak patrzyła, oczy jej pomału wypełniły się łzami. Był to dobry znak i pan Benson nabrał otuchy, by mówić dalej.

– Tak, Ruth! Wiesz, że tak jest. W tej chwili umysł twój zaprzętają być może inne sprawy, lecz wiesz, że cię kochamy; i nic nie może zmienić naszej miłości do ciebie. Nie powinnaś była myśleć o opuszczeniu nas. Nie byłabyś o tym pomyślała, gdybyś się czuła zupełnie dobrze.

– Czy pan wie, co się stało? – zapytała cichym, zachrypniętym głosem.

– Owszem. Wiem o wszystkim – odparł. – Nie stanowi to dla nas żadnej różnicy. Dlaczegoż powinno?

– Och! Panie Benson, czy pan nie wie, że hańbę mą wykryto? – odrzekła, wybuchając płaczem. – Muszę więc państwa opuścić i opuścić Leonarda, ażebyście nie musieli dzielić ze mną tego wstydu.

– Niczego podobnego uczynić ci nie wolno. Opuścić Leonarda! Nie masz prawa opuszczać Leonarda. Dokąd mogłabyś pójść?

– Do Helmsby – odparła pokornie. – Odejdzie złamie mi serce, lecz myślę, że powinnam, przez wzgląd na Leonarda. Wiem, że powinnam. – Teraz już płakała żałośnie, lecz pan Benson wiedział, że upływ łez przyniesie ukojenie umysłowi. – Odejdzie złamie mi serce, ale wiem, że muszę to uczynić.

– Na razie posiedź spokojnie – polecił ze zdecydowaniem w głosie. Poszedł po filiżankę herbaty. Przyniósł ją, nie mówiąc Sally o tym, dla kogo jest ona przeznaczona.

– Wypij to! – przemawiał do niej tak, jak przemawia się do dziecka, pragnąc, by zażyło lekarstwa. – Skosztuj grzanekę. – Wzięła herbatę i gorączkowo ją wypijała; lecz kiedy spróbowała jeść, grzanka zdawała się stawać jej w gardle. Niemniej była posłuszna i spróbowała.

– Nie mogę – rzekła w końcu, odkładając grzanekę. W głosie jej znać było na powrót coś z dawnego tonu. Mówiła łagodnie i cicho; już nie piskliwym, ochrypłym głosem, którym z początku się odezwała. Pan Benson usiadł przy niej.

– A teraz, Ruth, musimy trochę pomówić. Pragnę zrozumieć istotę twego planu. Gdzie leży Helmsby? Dlaczego chciałaś udać się akurat tam?

– Tam właśnie mieszkała moja matka – odpowiedziała. – Zanim wyszła za męża, mieszkała tam; a gdziekolwiek mieszkała, wszyscy ludzie zawsze bardzo ją kochali; pomyślałam więc... myślę, że przez wzgląd na nią ktoś może da mi pracę. Zamierzam powiedzieć tym ludziom prawdę – oznajmiła, spuszczać wzrok – lecz mimo wszystko być może jednak dadzą mi jakieś zajęcie – nieważne jakie – przez wzgląd na nią. Mogłabym robić wiele rzeczy – rzekła, podnosząc nagle oczy. – Mogłabym pielnić chwasty, w ogrodach, jeżeliby nie chcieli przyjmować mnie w swych domach. Lecz być może ktoś, przez wzgląd na matkę – o! moja droga, droga matko! – czy wiesz, gdzie jestem i kim? – wykrzyknęła, rozszlochawszy się na nowo.

Serce pana Bensona cierpiało przemożnie, jednakże przemówił stanowczo i niemal surowo.

– Ruth! Musisz się uspokoić. Tak być nie może. Chcę, żebyś mnie wysłuchała. Twa myśl o Helmsby byłaby myślą dobrą, gdyby opuszczenie Eccleston było dla ciebie rzeczą słuszną; lecz nie sądzę, że nią jest. Pewien jestem, że zgrzeszyłybyś bardzo, gdybyś odeszła od Leonarda. Nie masz prawa przecinać więzi, którą Bóg was razem złączył.

– Lecz jeżeli zostanę, wszyscy będą wiedzieli i pamiętali o hańbie okrywającej jego narodziny; a jeżeli odejdę, wówczas być może zapomną...

– A może nie. A jeżeli odejdziesz, on być może będzie nieszczęśliwy, może zachoruje; ty zaś, co ponad wszystkich masz moc – i to moc daną od Boga... pamiętaj o tym, Ruth! – która pozwala ci go pocieszać, tkliwą cierpliwością, z jaką go pielęgnowujesz, zostawisz go pod opieką obcych ludzi. Tak, wiem! Lecz my w porównaniu z matką jesteśmy dlań jak obcy, chociaż kochamy go serdecznie. On może zwrócić się w stronę grzechu i będzie mu trzeba wytrwałej pobłażliwości, spokojnego rodzicielskiego autorytetu; a gdzie ty wówczas będziesz? Żaden lęk przed wstydem, czy to takim, którego skutki dotkną ciebie, czy też jego nawet, nie usprawiedliwi nigdy twego zrzeczenia się obowiązków. – Przez cały ten czas przyglądał jej się pilnie i zauważył, że z wolna poddaje się sile tego, co mówił. – Poza tym, Ruth – ciągnął – dotychczas poruszaliśmy się w kłamstwie. Była to moja wina, moja pomyłka, mój grzech. Powinienem być być mądrzejszy. Tymczasem teraz wesprzyjmy się zdecydowanie na prawdzie. Nie masz żadnych nowych przewin, których winnaś żałować. Bądź odważna i wierna. To przed Bogiem odpowiadasz, nie przed ludźmi. Wstyd spowodowany tym, że grzech twój znany jest światu, powinien być niczym w porównaniu ze wstydem, jaki czujesz z powodu popełnienia tego grzechu. W naszym postępowaniu zbyt silnie lękaliśmy się ludzi, zbyt słabo zaś Boga. Lecz teraz nabierz otuchy. Być może będzie ci trzeba szukać pracy bardzo pospolitej... niekoniecznie na polach – rzekł z łagodnym uśmiechem, na który ona, przybita i cierpiąca, odpowiedzieć nie zdołała. – Ba, Ruth, być może – ciągnął – trzeba ci będzie przez czas pewien czekać spokojnie; być może nikt nie zechce skorzystać z twoich usług, które rada byłabyś świadczyć; być może wszyscy odwrócą się od ciebie i będą o tobie mówić bardzo surowo. Czy zdołasz przyjąć takie traktowanie z pokorą, jako rozsądną i sprawiedliwą karę nałożoną na ciebie przez Boga – nie czując gniewu względem tych, którzy cię znieważą, zniecierpliwienia w oczekiwaniu na nadejście czasu (a nadejdzie on z pewnością – mówię, posiłkując się na potwierdzenie słów mych Słowem Bożym), kiedy to On, oczyściwszy cię, i to ogniem nawet, rozpostrze u twoich stóp prostą drogę? Moje dziecko, to Chrystus Pan powiedział nam o nieskończonym miłosierdziu Boga. Czy wierzysz w to na tyle mocno, ażeby być odważną i znosić wszystko, i czynić to, co słuszne wytrwale również w cierpieniu?

Ruth siedziała spokojna i bardzo cicha, kiedy żarliwa prośba w jego pytaniu nakazała jej odpowiedzieć:

– Tak! – odparła. – Mam nadzieję... wydaje mi się, że mogę dochować wiary przez wzgląd na siebie, gdyż zgrzeszyłam i postąpiłam źle. Lecz Leonard... – spojrzała na niego.

– Lecz Leonard – powtórzył. – Ach! Oto i trudność, Ruth. Przyznaję, że takich jak on spotyka ze strony świata surowość i prześladowanie. – Przerwał, by pomyśleć nad czymś, co stanowiłoby rzeczywistą osłodę dla tej gorzkiej prawdy. Mówił dalej. – Świat to nie wszystko, Ruth; ani też pragnienie dobrej opinii oraz szacunku nie jest najwyższą z potrzeb, jakie odczuwa człowiek. Naucz tego Leonarda. Nie pragniesz wszakże, aby całe jego życie usłane było różami.

Nie ośmieliłabyś się go takim uczynić nawet wówczas, gdybyś miała moc po temu. Naucz go z chrześcijańską szlachetnością witać próby, które zsyła Bóg – to właśnie jest jedna z tych prób. Naucz go, że nie należy postrzegać życia jako pasma udręki, a być może też zawodu i niedoskonałości jako smutnego i żalosego końca, lecz jako środek, który bohaterom i wojownikom armii Chrystusa zesłano po to, ażeby mogli okazać swe wierne oddanie. Powiedz mu o twardej, ciernistej ścieżce, którą kroczyły niegdyś krwawiące stopy Jedynego. Ruth! Pomyśl o życiu Zbawiciela i Jego okrutnej śmierci, i o Jego boskiej wierze. Och, Ruth! – wykrzyknął – kiedy spoglądam na ciebie i widzę, kim możesz się stać – kim stać się musisz dla tego chłopca, nie wiem, czy chociaż na chwilę mogłabyś stchórzyć na tyle, ażeby uciec przed tym obowiązkiem! Lecz dotąd wszyscyśmy byli tchórzami – dodał, rzucając sobie gorzkie oskarżenie. – Niechże nam Bóg dopomoże, ażebyśmy więcej nimi nie byli!

Ruth siedziała bardzo cicho. Wzrok miała spuszczonego i zdawała się błądzić gdzieś myślami. W końcu wstała.

– Panie Benson! – rzekła, stając przed nim i wspierając się na stole, gdyż ze słabości drżała przemożnie – zamierzam podjąć bardzo, bardzo usilną próbę, ażeby wypełnić mój obowiązek wobec Leonarda... oraz Boga – dodała z namaszczeniem. – Lękam się jedynie, że moja wiara względem Leonarda może niekiedy być zawodną...

– Poproś, a będzie ci dana. To nie jest czcza ani niewypróbowana obietnica, Ruth!

Znów usiadła, gdyż nie mogła dłużej stać. Nastąpiła kolejna długa chwila milczenia.

– Nigdy więcej nie mogę pójść do pana Bradshawa – rzekła nareszcie, jak gdyby myśląc głośno.

– Nie, Ruth, nie pójdziesz – odparł.

– Lecz nie będę zarabiała! – dodała prędko, sądziła bowiem, że on nie dostrzegł trudności, która ją niepokoiła.

– Ruth, wiesz zapewne, że dopóki Faith i ja mamy dach nad głową i nie brakuje nam chleba, dopóty ty oraz Leonard dzielcie je z nami.

– Wiem... wiem, że są państwo pełni najtkliwszej dobroci – odparła – lecz tak być nie powinno.

– Na razie tak być musi – odrzekł ze zdecydowaniem. – Być może niebawem zdobędziesz jakieś zajęcie; być może upłynie trochę czasu, nim możliwość jakaś się pojawi.

– Cii – rzekła Ruth – Leonard jest w bawialni. Muszę do niego iść.

Lecz kiedy wstała, tak bardzo zakręciło jej się w głowie i tak się zachwiała, że rada była natychmiast ponownie usiąść.

– Musisz tu odpocząć. Pójdę do niego – oznajmił pan Benson. Opuścił ją; a kiedy odszedł, wsparła głowę na oparciu fotela i jęła płakać cicho i nieprzerwanie; lecz w sercu jej zrodziło się cieplejsze, ufne, stanowcze uczucie, które od początku i poprzez łzy, jakie przelała, niosło ją ku wznioślejszym myślom, aż nareszcie wstała, ażeby się pomodlić.

Pan Benson dostrzegł nieznany wcześniej wyraz lęklivego wstydu w oczach Leonarda, kiedy chłopiec spojrział mu w oczy, by następnie odwrócić wzrok. Ból sprawił mu także widok przepelnionej żalem, złęknionej twarzyczki, na której dotychczas przeważały nadzieja oraz radość. Wymuszony ton i tych kilka słów, które chłopiec wyrzekł, choć przecież dawniej wypowiedź jego byłaby swobodna i wesoła – wszystko to zasmuciło pana Bensaona ponad wszelki wyraz, jak u zarania niezwyčajnego cierpienia, które musi trwać latami. Sam nie uczynił żadnej wzmianki odnośnie do jakiegokolwiek niecodziennego zdarzenia; mówił, że Ruth zdjęta bólem głowy siedzi w gabinecie z uwagi na jego zacisłość: przyspieszył przygotowania do kolacji, tymczasem Leonard siedział w wielkim fotelu i patrzył smutnym, sennym wzrokiem. Pan Benson usilnie próbował zmniejszyć wstrząs, którego, jak wiedział, doznał był Leonard, mieszaniną czułości oraz wesołości, co podpowiadało mu łagodne serce; od czasu do czasu zaś na twarz chłopca zakradał się apatyczny uśmiech. Gdy nadeszła pora snu chłopca, pan Benson powiedział mu o tym, aczkolwiek obawiał się, że Leonard po raz kolejny zaśnie, płacząc gorzko; lecz pragnął przyzwyczaić chłopca do wesołości mieszczącej się w obrębie domowych praw, których przestrzeganie wzmacniało siłę radosnego poddaństwa Najwyższemu; sprawić, by zaczął otwierające się przed nim nowe życie,

w którym nade wszystko potrzebna była siła po temu, ażeby dostrzegać w Bogu Prawodawcę i Władcę zdarzeń. Kiedy Leonard udał się na górę, pan Benson natychmiast poszedł do Ruth i oznajmił:

– Ruth! Leonard właśnie poszedł spać – rzekł uspokojony, gdyż instynkt nakazał jej spokojnie wstać i pójść do chłopca; był też pewien, że będą oni dla siebie nawzajem najlepszą pociechą i że Bóg umocni każde z nich poprzez drugie.

Po raz pierwszy miał teraz możliwość pomyśleć o sobie; i przeanalizować wszystkie wydarzenia dnia. Pół godziny samotności, które spędził w gabinecie, nim powróciła siostra, było nieocenionej wartości; miał czas, by uszeregować zdarzenia we właściwym porządku, zgodnie z ich wagą oraz znaczeniem wobec wieczności.

Panna Faith weszła obarczona produktami rolnymi. Życzliwi gospodarze odwieźli ją swym powozikiem aż pod samo podwórze, przy którym stał dom duchownego; lecz tak była obciążona jajkami, grzybami i śliwkami, że kiedy brat otworzył drzwi, była już niemal bez tchu.

– O, Thurstanie! Weź ten kosz – taki to ciężar! Och, Sally, czy to wy? Oto trochę złotych śliwek, z których musimy jutro zrobić przetwory. W koszyku są perlicze jaja.

Nim pan Benson wyrzekł słowo, pozwolił wpierw, by odciążyla ciało, jak również umysł, wydając Sally polecenia odnośnie gospodarskich skarbów; lecz kiedy powróciła do gabinetu, ażeby podzielić się z nim wrażeniami z dnia, który spędziła była w gospodarstwie, stanęła przerażona.

– Ależ drogi Thurstanie! Co się stało? Czy bolą cię plecy?

Uśmiechnął się, by ją uspokoić, lecz był to uśmiech chorowity i wymuszony.

– Nie, Faith! Czuję się zupełnie dobrze, tylko dosyć przygnębiony i pragnę dla rozweselenia z tobą porozmawiać.

Panna Faith usiadła wyprostowana niczym struna, ażeby lepiej słyszeć.

– Nie wiem, jak to się stało, niemniej na jaw wyszła prawdziwa historia Ruth.

– Och, Thurstanie! – wykrzyknęła panna Benson, a twarz jej zrobiła się zupełnie biała. Przez chwilę żadne z nich nie wyrzekło ani słowa. Potem zaczęła mówić dalej.

– Czy pan Bradshaw wie?

– Owszem! Posłał po mnie i mi to powiedział.

– Czy Ruth wie, że wszystko się wydało?

– Tak. Wie też Leonard.

– Jak to? Kto mu powiedział?

– Nie wiem. Nie pytałem. Lecz na pewno uczyniła to jego matka.

– W takim razie postąpiła bardzo głupio i okrutnie – odparła panna Benson, a oczy jej zapłonęły, usta zaś drżały na myśl o cierpieniu, przez jakie musiał przejść jej kochany chłopiec.

– Myślę, że postąpiła mądrze. Pewien jestem, że nie okrutnie. Niebawem dowiedziała by się przecież, że oto istnieje jakaś tajemnica, toteż lepiej się stało, że otwarcie i spokojnie powiedziała mu o niej matka, nie zaś obcy człowiek.

– Jakże mogła powiedzieć mu o tym spokojnie? – zapytała panna Benson nadal oburzona.

– Cóż, być może użyłem niewłaściwego słowa... rzecz jasna, nikogo przy tym nie było... i nie sędzę, by nawet oni sami potrafili powiedzieć, w jaki sposób zostało to powiedziane ani w jakim duchu przyjęte.

Panna Benson znów milczała.

– Czy pan Bradshaw bardzo się gniewał?

– Owszem, bardzo; i słusznie. Bardzo źle postąpiłem, dając na początku fałszywe świadectwo.

– Nie! Nie uważam, że postąpiłeś źle – odparła panna Faith. – Ruth zaznała kilku lat spokoju, podczas których nabrała mądrości i sił, ażeby móc teraz znosić swój wstyd w sposób, w jaki wówczas z pewnością by nie potrafiła.

– A jednak nie było z mojej strony rzeczą słuszną postąpić tak, jak postąpiłem.

– Ja również świadczyłam nieprawdę, nie mniej niż ty, a może i więcej. A jednak nie sędzę, że to niesłuszne. Pewna jestem, że było to zupełnie słuszne i teraz postąpiłabym dokładnie tak samo.

– Być może nie zaszkodziło ci to w takim stopniu, w jakim zaszkodziło mnie.

– Nonsens, Thurstanie! Nie ulegaj chorobliwym myślom. Pewna jestem, że jesteś tak samo dobry – a nawet i lepszy, niż byłeś kiedyś.

– Nie, nie jestem. To, co zwiesz chorobliwymi myślami, opada mnie wskutek owej sofistyki, za pomocą której wytłumaczyłem sobie, iż zło może być dobrem. Dręczy mnie to. Utraciłem jasne instynkty sumienia. Dawniej, jeżeli uważałem, że takie a takie działanie zgodne było z wolą Boga, podejmowałem je, a przynajmniej usiłowałem to uczynić, nie myśląc o konsekwencjach. Teraz zaś rozważam i zastanawiam się, co się stanie, jeżeli postąpię tak i tak – poruszam się po omacku tam, gdzie dawniej widziałem. Och, Faith! Wiedząc, że prawda jest już znana, odczuwam taką ulgę, iż lękam się, że współczucie me dla Ruth było niewystarczające.

– Biedna Ruth! – rzekła panna Benson. – Lecz w każdym razie nasze kłamstwo było da niej ocaleniem. Nie ma obaw, że teraz zbłądzi.

– Bożej wszechpotędze nie potrzeba było naszego grzechu.

Przez pewien czas milczeli.

– Nie powiedziałaś mi, co mówił pan Bradshaw.

– Nie sposób zapamiętać dokładnych słów każdej ze stron, kiedy padają one w chwilach tak silnego poruszenia. Był bardzo rozgniewany i powiedział o mnie pewne rzeczy, które były bardzo sprawiedliwe oraz pewne rzeczy o Ruth, które były bardzo okrutne. W ostatnich swoich słowach oznajmił, iż zrezygnuje z przychodzenia do kaplicy.

– Och, Thurstanie! Czy doszło aż do tego?

– Owszem.

– Czy Ruth wie o wszystkim, co powiedział?

– Nie! Po cóż miałyby wiedzieć? Nie wiem, czy w ogóle wie, że on ze mną rozmawiał.

Biedactwo! Już i bez tego przeżyła wystarczająco wiele, ażeby ją to doprowadziło do szaleństwa prawie! Zamierzała odejść i nas opuścić, abyśmy nie musieli dzielić z nią niesławy. Lękałem się, że najzwyczajniej majączy. Tak bardzo cię potrzebowałem, Faith! Jednakowoż uczyniłem wszystko co było w mej mocy; przemawiałem do niej bardzo chłodno i niemal surowo, a przez cały ten czas serce moje krwawiło nad nią. Nie śmiałem okazać jej współczucia; usiłowałem dodać jej sił. Lecz tak bardzo ciebie potrzebowałem, Faith.

– Ja tymczasem tak bardzo rada byłam z przyjemności, że wstyd mi o tym myśleć. Lecz Dawsonowie tak bardzo są uprzejmi... i dzień był taki piękny... Gdzie jest Ruth?

– Z Leonardem. On jest dla niej najsilniejszym bodźcem do życia na tej ziemi – uznałem, że przebywanie w jego towarzystwie będzie dla niej najlepsze. Lecz teraz z pewnością on jest już w łóżku i śpi.

– Pójdę do niej – odparła panna Faith.

Zastała Ruth czuwającą nad niespokojnym snem Leonarda; lecz gdy ta ujrzała pannę Faith, powstała i rzuciła jej się na szyję, i przyłgnęła do niej bez słowa. Po chwili panna Benson rzekła:

– Trzeba ci pójść do łóżka, Ruth! – toteż ucałowawszy śpiącego chłopca, panna Benson odciągnęła ją i pomogła się jej rozebrać, i przyniosła filiżankę kojącej fiołkowej herbaty – nie tak kojącej, jak czułe działanie i łagodny, kochający głos.

ROZDZIAŁ XXVIII

Porozumienie między kochankami

Dobrze się stało, że tak wcześnie i prawdziwie wzmocnili wytrzymałość ducha, gdyż wydarzenia, jakie trzeba im było przetrwać, nadciągały ze wzmożoną siłą jedno za drugim.

Każdego wieczoru pan i panna Benson myśleli, że najgorsze już minęło; a każdy dzień niósł z sobą jakieś nowe zdarzenie, które sypało sól na rany. Dopóki nie zobaczyli się ze wszystkimi znajomymi, nie mogli być pewni możliwych zmian w serdeczności, z jaką ich obecnie miano przyjmować: w niektórych przypadkach były one duże, na co panna Benson odpowiadała proporcjonalnym oburzeniem. Ową zmianę zachowań odczuła ona silniej od brata. Źródłem odczuwanego przez niego przemożnego bólu był chłód Bradshawów. Pomimo wszelkich wad, które niekiedy ścierały się z jego wrażliwą naturą (lecz o których obecnie zapomniał i pamiętał jedynie życzliwość), byli oni jego starymi, bliskimi przyjaciółmi – życzliwymi, choć napuszonymi dobrodziejami – jedynymi poza rodziną osobami, które darzył głębokim zainteresowaniem; i nie potrafił pogodzić się z cierpieniem, jakiego doświadczał na widok ich dużej, kwadratowej ławy pustej w niedzielę – gdy czuł, jak pan Bradshaw, chociaż wciąż jeszcze kłaniał się chłodno, kiedy stawał z nim twarzą w twarz, unikał go tak często, jak to tylko możliwe. Wszystko, co działo się w domu Bradshawów, tak mu niegdyś bliskie, jak wydarzenia pod własnym jego dachem, było obecnie zapieczętowaną księgą; jeżeli dane mu było słyszeć niekiedy o ich poczynaniach, to tylko przypadkiem. Właśnie wtedy, gdy odczuwał z tej przyczyny przemożne przygnębienie, skręciwszy w jedną z ulic spotkał nagle Jemimę. Przez chwilę nie był pewien, jak się do niej zwrócić, lecz oszczędziła mu wszelkich wątpliwości; natychmiast ujęła jego dłoń w obie swoje, a twarz jej krasniała szczerą radością.

– Och, panie Benson, taka jestem rada pana widzieć! Tak bardzo pragnęłam dowiedzieć się wszystkiego, co słyhać u pana! Jakże się miewa biedna Ruth? Droga Ruth! Zastanawiam się, czy wybaczyła mi, że byłam wobec niej okrutna? A teraz nie wolno mi do niej iść, choć byłabym tak szczęśliwa i wdzięczna, mogąc jej to wynagrodzić.

– Nie słyszałam, ażebyś kiedykolwiek była wobec niej okrutna. Pewien jestem, że ona tak nie uważa.

– A powinna; z pewnością tak jest. Co ona robi? Och! Mam tak wiele pytań, a nigdy nie mam dość wiadomości; a ojczulek mówi – zawahała się przez chwilę z obawy przed zadaniem bólu, potem jednak, sądząc, że on lepiej pojmie stan spraw oraz przyczynę jej zachowania, jeżeli pozna prawdę, mówiła dalej. – Ojczulek mówi, że nie wolno mi chodzić do państwa domu – przypuszczam, że słuhać go jest rzeczą właściwą?

– Naturalnie, moja droga. Jest to twój jasny obowiązek. Wiemy, jakie są tve wobec nas uczucia.

– Och! Lecz gdybym mogła uczynić coś dobrego – gdybym mogła być użyteczną, przynieść pociechę komukolwiek z państwa – szczególnie Ruth, przybyłabym, nie zważając na obowiązek. Wierzę, że to mój obowiązek – ciągnęła śpiesznie, ażeby powstrzymać jakiegokolwiek zdecydowane zakazy pana Bensaona. – Nie! Proszę się nie obawiać, przyjdę dopiero wówczas, gdy będę wiedziała, że mogę uczynić coś dobrego. Słyszę niekiedy od Sally strzępki wieści o państwie, inaczej nie byłabym w stanie tak długo czekać. Panie Benson – ciągnęła, czerwieniejąc silnie – myślę, że postąpił pan zupełnie słusznie wobec biednej Ruth.

– Nie w tym, że skłamałam, moja droga.

– Nie! Być może nie w tym. Nie myślałam o tym. Lecz bardzo wiele myślałam o biednej

Ruth – pan wie, że nic nie mogłam na to poradzić, skoro wszyscy o tym mówili – i to sprawiło, że jęłam myśleć o sobie i o tym, jaka jestem. Z ojcem i matką, i domem, i troskliwymi przyjaciółmi, prawdopodobnie nie zostanę wystawiona na pokuszenie jak Ruth; lecz och, panie Benson! – rzekła, podnosząc ku jego twarzy oczy pełne łez po raz pierwszy, odkąd zaczęła mówić – gdyby pan wiedział o wszystkim, co myślałam i czułam przez ostatni rok, zobaczyłby pan, jak ulegałam każdej pokusie, która mnie naszła; a widząc, że nie mam w sobie żadnej dobroci ani siły i że mogłabym stać się osobą zupełnie taką, jak Ruth, czy raczej gorszą, niż ona kiedykolwiek była, ponieważ z natury bardziej jestem uparta i gwałtowna, tym bardziej dziękuję panu i kocham go za to, co pan dla niej uczynił! A jeżeli kiedykolwiek zaistnieje coś, co mogłabym zrobić dla Ruth, to czy powie mi pan o tym szczerze i prawdziwie? Jeżeli pan mi to obieca, wówczas nie będę się niepotrzebnie buntowała przeciwko ojczulkowi; jeżeli jednak nie, wówczas zbuntuję się i przyjdę państwa wszystkich odwiedzić tego popołudnia jeszcze. Proszę pamiętać! Ufam panu! – rzekła, uciekając. Następnie zawróciła i podeszła, ażeby zapytać o Leonarda.

– On z pewnością coś wie – rzekła. – Czy silnie to przeżywa?

– Bardzo silnie – odparł pan Benson.

Jemima potrząsnęła smutno głową.

– Jest to dlań bardzo trudne – rzekła.

– Owszem – odparł pan Benson.

Gdyż prawdę mówiąc, to Leonard był w domu największym powodem ich zmartwień. Zdrowie jego nadwerężone, mówił przez sen urywanymi zdaniem, które dowodziły, iż walczył w snach w imię matki przeciwko nieżyczliwemu i gniewnemu światu. A wówczas jęczał i zawodził, i wyrzekał smutne wyrazy wstydu, które wbrew najśmielszym podejrzeniom opiekunów zdołały osiągnąć jego uszu. Za dnia bywał na ogół poważny i cichy; lecz apetyt miał zróżnicowany i wyraźnie obawiał się wychodzić na ulice, lękając się tego, że ktoś wskaże nań, by prawić uwagi. Każde z osobna w skrytości serca pragnęło umożliwić mu zmianę otoczenia, lecz wszyscy milczeli, gdyż skąd mieliby wziąć niezbędne po temu pieniądze?

Usposobienie jego stało się nierówne i zmienne. Niekiedy bywał ogromnie markotny wobec matki; a potem dawał upust namiętnej skrusze. Kiedy pan Benson widział udrękę w spojrzeniu Ruth, wywołaną niechęcią dziecka, opuszczała go cierpliwość; czy może winnam rzecz raczej, iż wierzył, że do kierowania chłopcem potrzeba było silniejszej, surowszej ręki niż matczyna. Lecz Ruth, słysząc, że tak mówi, wstawiała się za chłopcem.

– Proszę mieć cierpliwość do Leonarda – mawiała. – Zasłużyłam na gniew, który trapi jego serce. Tylko ja jedna mogę na nowo zdobyć jego miłość i szacunek. Nie lękam się. Kiedy zobaczy, że podejmuję prawdziwe, usilne starania, by czynić to, co słuszne, będzie musiał mnie pokochać. Nie boję się.

Nawet wówczas, gdy to mówiła, usta jej drżały i na zmianę bladła oraz czerwieniała z zarliwego wyczekiwania. Zatem pan Benson milczał i pozwolił jej postąpić po swojemu. Wybornie było widzieć, z jaką intuicją odgadywała to, co działo się w każdym zakamarku serca jej dziecka, dzięki czemu zawsze miała w gotowości odpowiednie słowa, by go ukoić bądź pokrzepić. Czujność jej była niestrudzona i nie towarzyszyła jej żadna myśl o własnej hańbie, w przeciwnym bowiem razie częstokroć mogłaby przystawać na chwilę, ażeby zapłakać na stronie wobec oparów wstydu, które spowiły miłość Leonarda do matki i skryły tę miłość przed wszystkimi prócz jej wiernego serca; wierzyła i wiedziała, że on nadal pozostawał jej kochającym synkiem, jakkolwiek bywał ponuro milczący bądź pozornie oschły i oziębły. Pan Benson zaś mógł jedynie w tym wszystkim żywić podziw, iż tak niepostrzeżenie nauczała Leonarda stosowania się do prawych zasad i dostrzegania obowiązku w sposobie wykonywania wszelkich działań. Kiedy pan Benson to zobaczył, wówczas wiedział już, że później nastąpi wszelka dobroć i że nareszcie uznane zostaną wszelkie prawa, jakie nieskończona miłość matki rościła sobie do chłopięcego serca, tym pełniej, że ona sama nigdy ich nie narzucała, lecz w milczeniu zezwoliła, ażeby siła rozsądku, która leżała u ich podstaw, na czas pewien została zapomniana. Niebawem żal Leonarda, wynikły z jego niewdzięcznego i markotnego postępowania wobec matki – którego przejawy występowały na przemian z namiętymi, nierównymi wybuchami kurczowej miłości – przybrał postać bliższą

skrusze; spróbował zaniechać takiego postępowania. Lecz zdrowie jego nadal było wątłe; czuł niechęć wobec wychodzenia na dwór; był nazbyt poważny i smutny jak na swój wiek. Tak być musiało; oto nieunikniona konsekwencja tego, co się stało; i Ruth musiała być cierpliwa i modlić się w duchu, poprzez liczne łzy, o siły, których potrzebowała.

Poznała smak przerażenia, jakim napawała ją myśl o wyjściu na ulice, kiedy upowszechniono jej historię. Przez wiele dni po cichu unikała tego wysiłku. Lecz pewnego wieczoru, gdy zbliżał się zmierzch, panna Benson była zajęta i poprosiła Ruth, by wyszła załatwić dla niej pewną sprawę; i Ruth wstała i w milczeniu posłuchała. Owo milczenie w obliczu wewnętrznego cierpienia stanowiło tylko część osobliwej i wybornej słodyczy jej natury; część owej cierpliwości, z jaką „uznała przestępstwo swoje”^[85]. Prawy jej instynkt podpowiadał, iż nie byłoby rzeczą słuszną niepokoić bliźnich rozlicznymi wyrazami swego żalu; że najświętsza skrucha zawierała się w cichym, codziennym poświęceniu. Mimo to niekiedy nachodziło ją żalosne znużenie własną becznością. Tak bardzo pragnęła służyć i pracować, tymczasem wszyscy gardzili jej służbą. Umysł jej, jak wcześniej wspomniałam, został w ciągu ostatnich kilku lat należycie udoskonalony; toteż obecnie wykorzystywała wszelką zdobytą wcześniej wiedzę do nauczania Leonarda, co było obowiązkiem, którego pan Benson zaniechał z ochotą, ponieważ czuł, iż dostarczy jej zajęcia, którego potrzebowała. Starła się być użyteczną w domu w każdy możliwy sposób; lecz pod jej nieobecność spowodowaną pobytem u pana Bradshawa, wody domowych obowiązków zamknęły się nad jej miejscem – poza tym, skoro obecnie usiłowali ograniczyć wszelkie zbędne wydatki, niekiedy trudno było znaleźć zajęcie dla trzech kobiet. Ruth wiele, wiele razy rozważała w myślach każdą możliwą szansę na uzyskanie pracy, która wypełniłaby wolne godziny, i nigdzie nie mogła jej znaleźć. Od czasu do czasu Sally, która była powierniczką w jej pragnieniu, wystarała się dla niej o roboty igłą, lecz prostej, pospolitej natury, krótkotrwałe i mizernie opłacane. Niemniej Ruth przyjmowała każde zlecenie, niezależnie od jego charakteru, i była za nie wdzięczna, aczkolwiek za jej pośrednictwem dodawała do domowej sakiewki kilka pensów za ledwie. Nie mówię przez to, iż istniała jakaś ogromna potrzeba pieniędzy; lecz należało na nowo uporządkować wydatki – zmniejszyć potrzeby, które wszakże nie były nigdy nadmierne.

Przepadło wynagrodzenie Ruth w wysokości czterdziestu funtów, tymczasem jej „utrzymanie”, jak nazywała to Sally, w większym jeszcze stopniu spoczęło na barkach Bensonów. Jako duchowny pan Benson otrzymywał około osiemdziesięciu funtów na rok. Wiedział, że dwadzieścia funtów z tej kwoty pochodziło od pana Bradshawa; gdy zaś wyznaczony do zbiórki czynszu za ławki starzec przyniósł mu kwartalną sumę i okazało się, iż nie została pomniejszona, pan Benson zapytał, jak to się stało i dowiedział się, że choć pan Bradshaw zdradził kwestarzowi swe postanowienie, aby nigdy więcej nie przyjść do kaplicy, to jednak dodał również, iż rzecz jasna pomimo tego czynsz swój płacił będzie. Lecz pan Benson nie mógł tego znieść; toteż polecił staremu mężczyźnie zwrócić pieniądze panu Bradshawowi, ponieważ były czymś, czego opuszczony przezeń duchowny nie mógł przyjąć.

Pan i panna Benson otrzymywali rokrocznie około trzydziestu czy czterdziestu funtów z kwoty, którą za pomyślniejszych czasów pan Bradshaw zainwestował w ich imieniu w udziały w Kanale. W sumie dochód ich wynosił niewiele mniej niż sto funtów rocznie, do tego nie pobierano od nich czynszu za mieszkanie w przykaplicznym domu. Toteż skromne zarobki Ruth stanowiły niewielką doprawdy część środków, jakie pozostawały do ich dyspozycji, niemniej bardzo istotną przecież; a panna Benson zawsze przyjmowała je z cichą prostotą. Stopniowo pan Benson w sposób uprzejmy i naturalny jał zaprzętać część czasu Ruth. Zajmował jej umysł wszelkimi przejawami życzliwej posługi, jaką zwykł roztaczać nad ubogimi w swoim otoczeniu. A wszelki pokój i ozdoba życia, jakich dane im było obecnie zaznawać, oparte były na mocnej podstawie prawdy. Jeżeli nawet Ruth zaczęła z bardzo niską szukać swego miejsca w świecie, to przynajmniej fundamenty owe nie posiadały żadnych wad.

Leonard nadal napawał ich ogromnym niepokojem. Niekiedy zdawało się dręczyć ich pytanie, czy zdoła on przetrwać wszelkie próby zmiennego czasu dzieciństwa? A wówczas okazywało się, jak drogocennym błogosławieństwem – jakim prawdziwym filarem ognia był dla matki; a jakże czarna bywała noc, jakże posępny pustkowie wówczas, gdy nim nie był. Dziecko

i matka byli dla siebie nawzajem posłańcami Boga – byli aniołami.

Dłgie były odstępy między strzępami otrzymywanych przez nich doniesień dotyczących Bradshawów. Pan Bradshaw zakupił w końcu dom w Abermouth i często tam przebywali. Najczęściej Bensonowie słyszeli o rodzinie swych dawnych przyjaciół za pośrednictwem pana Farquhara. Odwiedził pana Bensaona jakiś miesiąc po tym, gdy ów spotkał na ulicy Jemimę. Pan Farquhar nie miał w zwyczaju składać nikomu wizyt; a chociaż wobec pana Bensaona żywił zawsze i przejawiał jak najżyczliwsze i najprzyjaźniejsze uczucia, rzadko bywał w przykaplicznym domu. Pan Benson powitał go kurtuazyjnie, lecz spodziewał się raczej, iż nim wizyta dobiegnie końca, pozna szczególnie jakiś powód jej zaistnienia; tym bardziej że pan Farquhar siedział, mówiąc o bieżących zagadnieniach w sposób niejako nieobecny, jak gdyby nie były to tematy zaprzatające jego umysł. W rzeczywistości nie umiał nie powracać myślami do ostatniego swego pobytu w tym pokoju, gdy pragnął zabrać Leonarda na przejażdżkę, a serce jego biło wówczas szybciej raczej niż zazwyczaj na myśl o tym, że Ruth być może przyprowadzi chłopca, gdy będzie gotów do wyjścia. Pochłonęło go teraz wspomnienie Ruth; a jednak był również nad wyraz wdzięczny i winał sobie bardzo tego, iż nie postąpił dalej w swym uwielbieniu dla niej – że nigdy nie wyraził swych uczuć słowami – że, jak wierzył, nikt nie był świadom zaczątków miłości, która wyrastała po części z podziwu, po części zaś pomimo rozsądku. Był rad, iż uniknął jakiegokolwiek uwikłania w krótkotrwałą sensację, którą jej historia wywołała w Eccleston. Jednakowoż uczucie jego wobec Ruth miało postać tak silną, że wzdragał się niczym człowiek zdjęty przemożnym bólem na każdy wyraz potępienia skierowany ku jej imieniu. Co prawda, owe wyrazy potępienia były często przesadzone; lecz nawet wówczas, kiedy były sprawiedliwe pod względem osądu widomych okoliczności sprawy, nie mniej były dlań bolesne i zasmucające. Pierwszym, co spowodowało ponowny jego zwrot ku Jemimie, była opowieść pani Bradshaw o tym, jak silnie mąż jej był niezadowolony ze wstawiennictwa córki za Ruth; i podziękowałby, i nieledwie błogosławił Jemimie, kiedy podsunęła (więcej uczynić nie śmiała) błagalne usprawiedliwienia tudzież miłosierne wyjaśnienia w imieniu Ruth. Jemima zaczerpnęła nieco pokory z odkrycia, które było dla niej wstrząsem głębokim; stojąc, nauczyła się baczyć, aby nie upaść; a skoro raz już ożywiona dostrzegła gwałtowność nienawiści wobec Ruth, której niegdyś folgowała, bardziej była teraz powściągliwa i umiarkowana w wyrażaniu wszelkich swych opinii. Dowodziło to, jak dogłębnie charakter jej oczyścił się z dumy, skoro obecnie wiedziała, iż tym, co pociągało w niej pana Farquhara, było jej wierne wstawiennictwo za rywalką wszędzie tam, gdzie wstawiennictwo takie było mądre czy możliwe. On był zupełnie nieświadom tego, iż Jemima wiedziała, jak głębokim darzył Ruth podziwem; nie podejrzewał, że dbała o niego na tyle, ażeby być zazdrosną. Lecz obecnie nienazwaną więź między nimi tworzył ich żal i współczucie, i litość wobec Ruth; tyle tylko, że w Jemimie uczucia te były żarliwe i rada byłaby dać im upust; w panu Farquharze tymczasem przemieszane były silnie z zadowoleniem, iż uniknął nieprzyjemnego położenia oraz bolesnej złej sławy. Wrodzona ostrożność skłoniła go do powzięcia postanowienia, ażeby nigdy nie myśleć o żadnej kobiecie jako żonie dopóty, dopóki nie upewnił się względem wszystkich jej przodków od jej narodzenia wstecz; a duch tej samej ostrożności, lecz skierowanej do wewnątrz, spowodował, iż lękał się okazać Ruth zbyt wiele litości w obawie przed wnioskami, do jakich wysnucia uczucie takie mogłoby go doprowadzić. Niemniej poważanie, jakim od dawna darzył Ruth i Leonarda, oraz estyma, szacunek wobec Bensonów sprawiły, iż z chęcią posłuchał żarliwej prośby Jemimy, by udał się z wizytą do pana Bensaona, co pozwoliłoby jej się dowiedzieć czegokolwiek o tej rodzinie w ogólności, o Ruth zaś w szczególności. Dlatego też siedział teraz przy kominku w gabinecie pana Bensaona i gawędził z nim roztargniony. Nie wiedział, w jaki sposób doszli do tego tematu, skoro uwaga jego była w większości rozproszona; niemniej rozprawiali o polityce, kiedy pan Farquhar dowiedział się, iż pan Benson nie prenumerował żadnej gazety.

– Czy pozwoli pan, że będę mu przysyłał swego *Timesa*? Na ogół do południa jestem po lekturze, później zaś stanowi on już w domu zwykły szpargał. Będę panu zobowiązany, jeżeli zrobi pan z niego użytek.

– To ja jestem panu ogromnie zobowiązany, że pan o tym pomyślał. Lecz proszę się nie

kłopotać wysyłaniem gazety; Leonard może po nią przychodzić.

– Jakże się teraz miewa Leonard? – zapytał pan Farquhar, a usiłował mówić obojętnie; lecz w oczach jego pojawiło się poważne, skupione wejrzenie, kiedy czekał na odpowiedź pana Bensaona. – Nie widziałem go ostatnimi czasy.

– Nie! – odparł pan Benson z wyrazem bólu na obliczu, chociaż on również usiłował mówić zwykłym swoim tonem. – Leonard nie jest silny, a nam trudność sprawia nakłanianie go do częstego wychodzenia na dwór.

Na minutę lub dwie zapanowało milczenie, a wówczas pan Farquhar zmuszony był powstrzymać nieproszone westchnięcie. Lecz ożywiwszy się nagle z postanowieniem, by zmienić temat, rzekł:

– Znajdzie pan tam nieco przydługi opis demaskacji prowadzenia się sir Thomasa Campbella w Baden. Zdaje się, że z niego skończony szuler pomimo posiadania tytułu baroneta. Wyobrażam sobie, że obecnie gazety chwytają się skwapliwie każdego tematu.

– Kim jest sir Thomas Campbell? – zapytał pan Benson.

– Och, myślałem, że może słyszał pan doniesienia – prawdziwe, jak mniemam – o zaręczynach pana Donne’a z jego córką. Wyobrażam sobie, iż z pewnością teraz, po takim publicznym ujawnieniu postępowania jej ojca, Donne cieszy się, że go porzuciła – (Pan Farquhar poczuł, że była to niezręczna przemowa; toteż pośpieszył ją zamaskować, plotąc dalej bez większego związku) – to Dick Bradshaw donosi mi o wszystkich projektach małżeństw w wysokich sferach – sam nieszczególnie wiem, w czym rzecz; lecz zdaje mi się, iż odkąd przyjechał z Londynu, ażeby dołączyć do firmy, słyszałem już więcej nowin i doniesień o skandalach w kręgach tego, co, jak podejrzewam, uważać należy za wyższe sfery, aniżeli kiedykolwiek wcześniej; a poczynania pana Donne’a zdają się być szczególnym jego obiektem zainteresowań.

– A pan Donne jest zaręczony z panną Campbell, czy tak?

– Był zaręczony; jeżeli dobrze zrozumiałem, ona zerwała zaręczyny, aby poślubić jakiegoś rosyjskiego księcia – lepszą partię, jak powiedział mi Dick Bradshaw. Zapewniam pana – ciągnął pan Farquhar z uśmiechem – że jestem bardzo biernym odbiorcą wszelkich tej maści doniesień i byłbym najprawdopodobniej zupełnie o tym zapomniał, gdyby nie to, że dzisiejszego ranka *Times* tak pełen był wieści o hańbie, jaką okrył się ojciec owej młodej damy.

– Zatem Richard Bradshaw zupełnie już opuścił Londyn? – zapytał pan Benson, który o wiele żywiej interesował się rodziną swego dawnego dobrodzieja niż wszystkimi Campbellami, jacy kiedykolwiek istnieli, bądź mieli zaistnieć.

– Owszem. Przyjechał, ażeby tutaj osiąść. Mam nadzieję, że dobrze się będzie sprawował i że nie zawiedzie ojca, który żywi wobec niego bardzo wysokie oczekiwania; nie jestem pewien, czy nie nazbyt są wysokie, aby jakikolwiek młody mężczyzna mógł im sprostać. – Pan Farquhar miał więcej do powiedzenia, niemniej Dick Bradshaw był bratem Jemimy i przedmiotem jej niepokoju.

– Wierzę z całą pewnością, iż takie zmartwienie, iż taka zgryzota, jaką byłby każdy sprawiony przez Richarda zawód, nie może przytrafić się jego ojcu – odparł pan Benson.

– Jemima... panna Bradshaw – rzekł z wahaniem pan Farquhar – niezmiernie pragnęła usłyszeć, jak się państwo miewają. Mam nadzieję, że mogę jej powiedzieć, iż wszyscy państwo miewają się dobrze (z naciskiem na wszyscy) – że...

– Dziękuję panu. Proszę jej od nas podziękować. Wszyscy miewamy się dobrze; oprócz Leonarda, który nie jest silny, jak wcześniej wspominałem. Lecz musimy być cierpliwi. Czas oraz oddana, czuła miłość, jaką darzy go matka, z pewnością działają wiele.

Pan Farquhar milczał.

– Proszę przysyłać go do mego domu po gazety. Będzie to dlań niewielki bodziec do zażywania regularnego ruchu oraz do stawienia światu czoła. Prędzej czy później musi to uczynić.

Panowie uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie; lecz nie uczynili żadnej więcej wzmianki w kwestii Ruth czy Leonarda.

Zatem Leonard chadzał teraz po gazety. Zakradał się bocznymi ulicami – biegł z pochyloną głową – serduszko jego kołatało ze strachu przed tym, że ktoś mógłby wskazać nań jako na dziecko

jego matki – tak właśnie zwykł powracać i biec drżący do Sally, która, przygarniając do piersi, uspokajała go licznymi szorstko wypowiedzianymi słowy litości i współczucia.

Pan Farquhar usiłował go złapać, by z nim pomówić i poniekąd oswoić; i niebawem zdołał wzbudzić w chłopcu ciekawość na tyle, ażeby nakłonić go do pozostania na chwilę w domu, bądź w stajniach, czy też w ogrodzie. Lecz na zakończenie najprzyjemniejszej wizyty czekała chłopca zawsze budząca przerażenie powrotna gonitwa ulicami.

Pan Farquhar podtrzymywał zadzierzgnięte w ten sposób stosunki z Bensonami. Nie ustawał w składaniu wizyt – były to ciche odwiedziny, podczas których nie rozmawiano wiele, omawiano polityczne, czy też miejscowe nowiny i zawsze zadawano te same pytania i udzielano tych samych odpowiedzi odnośnie do powodzenia owych dwu rodzin, które były ze sobą powaśnione. Sprawozdania pana Farquhara tak słabo były zróżnicowane, iż Jemima z niecierpliwością pragnęła poznać więcej szczegółów.

– Och, panie Farquhar! – rzekła – czy myśli pan, że oni mówią prawdę? Zastanawiam się, co też porabiać może Ruth, ażeby utrzymać siebie i Leonarda? Powiada pan, że nic, o czym by pan słyszał; i rzecz jasna, nie wolno pytać o to wprost. A jednak pewna jestem, iż w jakimś stopniu cierpią niedostatek. Czy według pana Leonard jest silniejszy?

– Nie jestem pewien. Szybko rośnie; a cios, który otrzymał, sprawi z pewnością, iż będzie bardziej rozważny i ostrożniejszy niż większość chłopców w jego wieku; obie te okoliczności mogą zeń zrobić szczupłego i bladego młodzieńca, jakim z pewnością już się staje.

– O, jakże chciałabym tam pójść i zobaczyć ich wszystkich! Potrafiłabym w okamgnieniu stwierdzić prawdziwy stan rzeczy – w głosie jej znać było posmak dawnej niecierpliwości.

– Pójdę tam ponownie i zwrócę szczególną uwagę na wszystko to, co chciałabyś, bym zauważył. Rozumiesz, rzecz jasna, iż takt nie pozwala mi zadawać żadnych pytań wprost, czy choćby nawiązywać w jakikolwiek sposób do owych ostatnich wydarzeń.

– I nigdy nie widuje pan przypadkiem Ruth?

– Nigdy!

Nie patrzyli na siebie, kiedy padło owo ostatnie pytanie i odpowiedź.

– Jutro osobiście zaniosę gazetę; będzie to wymówka dla kolejnej wizyty i spróbuję być bardzo wnikliwy; lecz nie mam dużych nadziei na powodzenie.

– Och, dziękuję. Zadaje sobie pan tak wiele fadygi; lecz jest pan bardzo miły.

– Miły, Jemimo! – powtórzył tonem, który sprawił, że zarumieniła się bardzo i gorąco jej się zrobiło – czy muszę mówić, w jaki sposób możesz mi to wynagrodzić?... Czy zwrócisz się do mnie po imieniu: Walterze?... Powiedz: dziękuję ci, Walterze... chociaż raz.

Jemima czuła, iż ulega jego głosowi i tonowi, jakim przemówił; lecz sama świadomość głębi swej miłości sprawiła, że bała się ustąpić i pragnęła, aby zabiegał o jej względy, przywracając jej w ten sposób poczucie własnej wartości.

– Nie! – odparła – nie sądzę, abym mogła zwracać się do pana w ten sposób. Jest pan zbyt stary. Dowodziłoby to braku szacunku.

Rzekła to na poły żartobliwie i nie miała pojęcia, że on aż tak poważnie potraktuje aluzję do swego wieku. Powstał i chłodno, oficjalnie, zmienionym głosem rzekł „Do widzenia”. Serce w niej zamarło; lecz trwała w niej dawna duma. Ale gdy był już przy samych drzwiach, nagły jakiś impuls nakazał jej przemówić:

– Nie dokuczyłam ci chyba, prawda, Walterze?

Odwrócił się, promieniejąc dreszczem rozkoszy. Była czerwona jak róża; oczy miała spuszczone, wbite w podłogę.

Nie podniosła ich nadal, kiedy pół godziny później rzekła:

– Nie zabronisz mi chodzić w odwiedziny do Ruth, prawda? Bo jeżeli zabronisz, to niniejszym zawiadamiam, iż cię nie posłucham. – Ramię wokół jej talii zacisnęło się czulej jeszcze wobec podsuniętej przez tę przemowę myśli o kontroli nad jej czynami, jaką pewnego dnia dane mu będzie sprawować.

– Powiedz – rzekł – jak wiele z owej dobroci, którą obdarzałaś mnie przez ostatnią radosną godzinę, spowodowane było pragnieniem posiadania większej wolności jako żona niż jako córka?

Była nieomal rada, iż sądził, że potrzeba jej było dodatkowych pobudek prócz miłości, ażeby go przyjąć. Obawiała się, że zdradziła się z głębokim, namiętym poważaniem, jakim go od dawna darzyła. Zatraciła się w zachwycie nad własnym szczęściem. Przez pewien czas milczała. Nareszcie rzekła:

– Śmiem twierdzić, iż nie wiesz, jak bardzo ci byłam wierna od dnia, kiedy po raz pierwszy przywiozłeś mi z Londynu cukierki pistacjowe – gdy jeszcze byłam zupełnie małą dziewczynką.

– Nie bardziej niż ja byłem wierny tobie – gdyż prawdę mówiąc wspomnienie miłości do Ruth zupełnie już zeń uleciało i uważał się za wzór stałości – a tyś mnie wystawiała na wcale ładne próby. Cóż z ciebie była za lisica!

Jemima westchnęła porażona świadomością tego, jak słabo zasłużyła na obecne szczęście; zdjęta pokorą na wspomnienie złych myśli, które szalały w jej sercu (o czym dobrze pamiętała, nawet jeśli on o tym zapomniał) wówczas, kiedy to Ruth dostąpiła uczucia, którego pożądała zazdrosna jej rywalka.

– Mogę pomówić z twoim ojcem, prawda, Jemimo?

Nie! Z jakiejś przyczyny, czy też dla kaprysu, którego nie umiała nazwać ani którego nie można jej było wyperswadować, pragnęła zachować wzajemne ich porozumienie w tajemnicy. Żywiła naturalne pragnienie uniknięcia słów powinszowania, których spodziewała się po rodzinie. Bała się, że ojciec uzna, iż cała ta sprawa zakończyła się zadowalającym przekazaniem córki godnemu człowiekowi, który jako jego wspólnik nie będzie wymagał żadnej części kapitału firmy, Richard zaś krzykliwie okaże zachwyt, że siostra „złapała” tak dobrą partię. Tylko swej prostodusznej matce pragnęła o tym powiedzieć. Wiedziała, że gratulacje matki nie będą dla niej przykre ni fałszywe, aczkolwiek mogłyby nie rozbrzmieć pełną mocą organów matczynej miłości. Lecz matka wszystko, co wiedziała, przekazywała dalej ojcu; toteż przynajmniej na razie Jemima postanowiła dzielić tajemnicę swego położenia z sobą samą tylko. Z jakiegoś powodu spośród wszystkich najbardziej pragnęła zrozumienia i ciepłych uczuć Ruth; lecz pierwszymi, których należało powiadomić o takim wydarzeniu, byli rodzice. Bardzo surowymi przepisami obłożyła zachowanie pana Farquhara; i kłóciła się z nim, i spierała częściej niż kiedykolwiek, lecz w sercu jej panowało tajemne, radosne z nim porozumienie nawet wówczas, kiedy się spierali – gdyż podobieństwo przekonań nie zawsze – myślę, iż nieczęsto nawet – potrzebne jest do zaistnienia pełni doskonałej miłości.

Po, jak to zwykł ujmować, „wykryciu” Ruth, pan Bradshaw oznajmił, iż nigdy więcej nie zawierzy żadnej guwernantce; toteż w następnym Bożym Narodzeniu Mary i Elizabeth posłane zostały do szkół, a miejsce ich w rodzinie cokolwiek słabo zasiłił po powrocie pan Richard Bradshaw, który przyjechał z Londynu i został przyjęty na wspólnika.

ROZDZIAŁ XXIX

Sally wybiera pieniądze z banku

Przedstawiona w poprzednim rozdziale rozmowa, jaka odbyła się między panem Farquharem i Jemimą, wydarzyła się w rok mniej więcej po zwolnieniu Ruth z posady guwernantki. Rok ów, obfitujący w drobne zdarzenia i niosący Bradshawom zmianę położenia, był dla mieszkańców drugiego domu jednostajny i długi. Nie doskwierał im brak ciszy i spokoju, być może obecnie zaznawali ich więcej niż za dawniejszych lat, kiedy, choć nikt tego nie przyznał, niekiedy każde z nich odczuwało z pewnością ciężar kłamstwa – zapewne również w najpomyślniejszych dniach towarzyszyły im przebliski lęku, że oto w taki czy inny sposób tajemnica wyjdzie na jaw. Teraz jednak, jak śpiewał słodko pastuszek w księdze Johna Bunyana, „Ten, który jest nisko, nie potrzebuje się lękać upadku”^[86].

Niemniej towarzyszący im spokój był niczym bezruch szarego dnia jesiennego, kiedy to nie widać słońca, a zarówno niebo, jak i ziemię zdaje się spowijać niema mgielka, niby dla ukojenia zmęczonych oczu po oślepiającym blasku lata. Niewiele zdarzeń przerwało jednostajność ich życia, a były to zdarzenia przygnębiającej natury. Polegały one na bezowocnych staraniach Ruth, by zdobyć zajęcie, choćby najskromniejsze nawet; na wahaniach nastroju i stanu zdrowia Leonarda; na postępującej głuchocie Sally; na ostatecznym i nieodwracalnym zniszczeniu wysłużonego dywanu bawialnianego, na którego wymianę nie było pieniędzy, wobec czego pogodnie zaradziła owemu brakowi Ruth, która zrobiła chodniczek z gałganów; oraz na tym, co najsilniej ze wszystkiego wzbudzało w panu Bensonie nieustający żal, a mianowicie odejściu niektórych członków jego zgromadzenia, którzy poszli za przykładem pana Bradshawa. Miejsca ich rzecz jasna były teraz po brzegi wypełnione biedakami, którzy gromadnie przybywali do kaplicy; niemniej duchowny przeżył zawód, przekonawszy się, iż ludzie, o których gorliwie myślał – względem których podejmował wysiłki czynienia dobra – zerwali więź bez słowa pożegnania czy wyjaśnienia. Pan Benson nie dziwił się ich odejściu; ba, czuł wręcz, iż słusznie poszukiwali pomocy duchowej u innego, skoro on przez swój błąd zaprzepaścił moc do jej udzielania; żałował jedynie, iż nie powiadomili go o swym zamiarze otwarcie i po męsku. Lecz w nie mniejszym stopniu pracował na rzecz tych, z których obecności Bóg pozwolił mu czynić użytek. Czuł, że szparko posuwa się w latach, aczkolwiek nie wspominał o tym wcale i nikt nie zdawał się być tego świadomym; on sam zaś pracował tym pilniej, „dopóki jest dzień”^[87]. To nie liczba przeżytych lat sprawiała, iż czuł się staro, ukończył ich bowiem zaledwie sześćdziesiąt, a mężczyźni w tej porze życia często są jarzy jeszcze i silni; według wszelkiego prawdopodobieństwa to ów dawny uraz kręgosłupa wpływał na ukształtowanie zarówno jego ciała, jak i umysłu, i czynił go podatnym, przynajmniej w opinii niektórych, na uleganie niewieściom, chorobliwym stanom sumienia. Zdołał się z tego w pewnej mierze otrząsnąć po sprawie z panem Bradshawem; wiódł teraz żywot bardziej niewyszukany i pełen godności, aniżeli przez ostatnich kilka lat, kiedy to zachowanie jego było nacechowane niepokojem oraz niepewnością i bardziej oddane myślom, niż czynom.

Jedyny jasny promyk rozświetlający ów nieco szary rok pojawił się dzięki Sally. Jak sama o sobie mawiała, uważała, iż z wiekiem stała się bardziej „gderliwa”; lecz to, że była teraz świadoma swej „gderliwości”, stanowiło rzecz nową i ogromnie skorzystała na tym atmosfera w domu, jako że uczyniło to Sally bardzo wdzięczną za wyrozumiałość i bardziej świadomą życzliwości, niż kiedykolwiek przedtem. Stała się niezmiernie głucha; jednakowoż czuła niepokój i zazdrość, jeżeli nie dzielono się z nią wszelkimi rodzinnymi myślami, nie powiadamiano o planach i działaniach, co (bez względu na osobisty charakter szczegółów) należało jej często

wykrzyzczyć na całe gardło. Lecz Leonarda słyszała zawsze doskonale. Jego czysty, donośny jak dzwoneczek głos, który podobny był do matczynego, nim żal usunął zeń ową dźwięczność, był zawsze dla starej służącej dosłyszalny, chociaż nikt inny dotrzeć do niej nie mógł. Niekiedy jednak, jak to ujmowała, „słuch wracał znieca” i zauważała każde słowo oraz dźwięk, szczególnie wówczas, gdy nie chcieli, aby słyszała; a w takich razach dalsze ich trwanie w nawyku głośnego mówienia obrażało ją śmiertelnie. Pewnego dnia oburzenie spowodowane uznaniem jej za głuchą wywołało na twarzy Leonarda jeden z nieczęstych uśmiechów; zobaczyła to i rzekła:

– Dobry chłopak! Skoro ciebie to kapkę chociaż rozbawi, to niechaj sobie do mnie i przez róg barani wrzeszczą, a ja poznać nie dam wcale, że nie głucha. Nie ma ze mnie lepszego pożytku – mówiła dalej do siebie – ponad to, żeby za moją sprawą się biedny chłopak odrobinę uśmiechnął.

O ile spodziewała się być powiernicą wszystkich, o tyle własnym powiernikiem uczyniła Leonarda.

– Proszę! – rzekła, powróciwszy w pewien sobotni wieczór do domu ze sprawunków – patrzaj, chłopaku! Oto czterdzieści dwa funty, siedem szylingów i dwa pency! Toż to cała fortuna, co? Wzięłam wszystko w suwerenach ze strachu przed ogniem.

– Na co to wszystko, Sally? – zapytał.

– Ano, chłopaku! Dobre pytanie. To pieniądze pana Bensona – oznajmiła tajemniczo – które żem dla niego trzymała. Jak ci się widzi, czy on jest w gabinecie?

– Owszem! Tak myślę. Gdzie je Sally trzymała?

– O to mniejsza! – Postąpiła w kierunku gabinetu, lecz uznawszy, iż być może surowo postąpiła, odmawiając mu zaspokojenia ciekawości, zawróciła i rzekła: – Mnie się widzi... jeśli pan chcesz, możesz mi się pan pewnego dnia przysłużyć robotą. Potrzeba mi ramy do jednego dokumentu.

Następnie ponownie skierowała się do gabinetu, niosąc w fartuchu swoje suwereny.

– Proszę, paniczku Thurstan – rzekła, wysypując je na stół przed zdumionym panem. – Weź, to wszystko twoje.

– Moje! Cóż też macie na myśli? – zapytał osłupiały.

Nie dosłyszała go i mówiła dalej:

– Zamknij je bezpiecznie, z dala od widoku. Nie zostawiaj w poniewierce, żeby ludzisków nie wieść na pokuszenie. Nie odpowiadam za siebie, jak zobaczę, że się pieniądze poniewierają. Jeszcze podwędzę suwerena.

– Ale skąd się one wzięły? – zapytał.

– Skąd się wzięły! – odparła. – A skąd się biorą wszystkie pieniądze, jak nie z banku przecie? Ja żem myślała, że każdy to wie.

– Ja nie mam w banku żadnych pieniędzy! – odrzekł, a stawał się coraz bardziej skonsternowany.

– Nie! To żem wiedziała; ale ja miałam. Nie pamiętasz, jakżeś mi podniósł pensję, na ostatniego Świętego Marcina^[88] minęło osiemnaście lat? Byliście z Faith takie uparte, ale ja żem była na was nazbyt sprytna. Patrzcie no! Poszłam i włożyłam je do banku. Nigdy żem nie zamierzała ich ruszyć; a gdybym umarła, wszystko byłoby w porządku, bom kazała sprawić se testament – taki całkiem prawdziwy i rzeczowy – prawnikowi kazałam (przynajmniej byłby zeń prawnik, gdyby się pierwej nie dał był przeflancować). A teraz żem pomyślała, że lepiej będzie, jak pójde i je wyjmę, no i dam wam. Banki nie zawsze są bezpieczne.

– Zajmę się nimi dla was z największą przyjemnością. Niemniej wicie przecie, że banki dodają odsetki.

– Czy ty sądzisz, że ja dalej nie wiem jeszcze, co to odsetki, albo i odsetki składane? Powiadam, że chcę, żebyś te pieniądze wydał. Są twoje. Nie moje. Zawsze były twoje. Przecie nie będziesz mnie drażnił, gadając, że po twojemu one moje.

Pan Benson wyciągnął do niej dłoń, gdyż mowę mu odjęło. Nachyliła się nad nim, gdzie siedział, i pocałowała.

– Bądź błogosławiony, chłopcze! To pierwszy całus, jakiego żem od ciebie dostała, odkąd był małym chłopcem i bardzo on zacnym jest pokrzepieniem. A żebyście mi czasem z Faith nie

zawracali głowy gadaniną o tym wszystkim. Wasze są i już, i nie ma o co robić krzyku.

Wróciła do kuchni i przyniosła stamtąd testament, i udzieliła Leonardowi wskazówek, jak zrobić dla niego ramę; chłopiec był bowiem całkiem znośnym stolarzem i miał skrzynkę narzędzi, którą pan Bradshaw podarował mu kilka lat wcześniej.

– Szkoda tracić takie eleganckie pismo – rzekła – choć nie powiem, żebym je przeczytać umiała. Może ty byś mi przeczytał, Leonard. – Siedziała z ustami otwartymi z podziwu wobec wszystkich długich słów.

Ramę zrobiono, a testament zawisł naprzeciw łóżka Sally, o czym nie wiedział nikt prócz Leonarda; a dzięki temu, że raz za razem odczytywał jej treść dokumentu, nauczyła się wszystkich słów, prócz wyrazu „testatorka”, który wymawiała zawsze jako „teścia Turka”. Pan Benson nazbyt był wzruszony i wdzięczny za jej bezwarunkowy podarunek, którym było wszystko, co posiadała, ażeby go odrzucić; lecz zatrzymał go tylko jako depozyt do czasu, aż zdoła znaleźć bezpieczną lokatę, stosowną dla tak niewielkiej sumy. Drobnie zmiany, jakie zaszły w domowych wydatkach, nie były dlań tak dotkliwe, jak dla pań. Miał świadomość tego, że mięsne obiady nie były obecnie na porządku dziennym; lecz on wolał leguminy i warzywa, toteż rad był z tej odmiany. Zauważył również, że wieczorami przesiadywały razem w kuchni; ale kuchnia, z porządnie wyszorowanym kredensem, lśniącoymi rondlami, porządnie poczernionym rusztem i pobielonym piecem oraz ciepłem, które zdawało się bić wprost od kamiennej posadzki i buzować czerwonawą poświatą w najdalszych zakamarkach, zdawała się być bardzo przytulnym i urokliwym salonem; a poza tym, zdawało się rzeczą jedynie słuszną, by Sally w swej starości mogła się cieszyć towarzystwem tych, z którymi żyła w miłości i wierności przez tak wiele lat. Żałował jedynie, że nie dane mu było częściej opuszczać wygodnej pustelni swego gabinetu, aby dołączyć do towarzystwa w kuchni, gdzie Sally siedziała przy kominie niczym czcigodna pani, robiąc na drutach przy świetle ognia, panna Benson zaś i Ruth zajmowały się szyciem przy wspólnej świecy; Leonard tymczasem zaścielał okazały kredens swymi książkami i tabliczką. Nie marudził ani nie bolał nad lekcjami; były jedyną rzeczą, która pozwalała mu oderwać się od rzeczywistości. Na razie jeszcze mogła go uczyć matka, aczkolwiek pod niektórymi względami wiązało się to z koniecznością coraz silniejszego wyteżania wiedzy i umiejętności. Pan Benson to widział, lecz dopóki mógł, dopóty wstrzymywał się z propozycją pomocy, żywiąc nadzieję, iż zanim wsparcie z jego strony okaże się zupełnie konieczne, otworzy się przed Ruth jakaś możliwość zajęcia wykraczającego poza sporadyczne proste szycie.

Mimo że miewali niekiedy łączność z panem Farquharem, to gdy dostarczył im wieści odnośnie do swych zaręczyn z Jemimą, zdało im się, że oto mogą zajrzeć przelotnie do świata, z którego ich wykluczono. Zastanawiali się bardzo – a przynajmniej czyniły to panna Benson i Ruth – nad szczegółami. Ruth siedziała nad szyciem, wyobrażając sobie, jak rzecz cała przebiegła; a gdy tylko poukładała wydarzenia zachodzące pośród ludzi i miejsc tak jej niegdyś bliskich, zauważyła pewne rozbieżności i zabrała się od nowa za odmalowywanie sceny oświadczeń miłości i uległych, spowitych rumieńcem słów ich przyjęcia; gdyż pan Farquhar zdradził był niewiele więcej prócz samego faktu, iż doszło do jego zaręczyn z Jemimą, które były w mocy już od pewnego czasu, lecz które trzymano w sekrecie aż do teraz, kiedy zostały uznane i usankcjonowane, by zakończyć się ślubem tuż po jego powrocie ze Szkocji, gdzie udać miał się celem uporządkowania pewnych spraw rodzinnych. Doniesienia te wystarczały panu Bensonowi, będącemu jedyną osobą, z którą widział się pan Farquhar; Ruth bowiem wzdragała się niezmiennie przed pełnieniem roli odzwiernej, pan Benson zaś umiał trafnie rozpoznawać odgłosy pukania poszczególnych gości i zawsze bezzwłocznie ruszał panu Farquharowi na powitanie.

Panna Benson myślała niekiedy – a miała w zwyczaju dzielić się z innymi tym, o czym myślała – iż Jemima mogła być przyjść osobiście, ażeby obwieścić starym przyjaciółom takie wydarzenie; ale pan Benson zdecydowanie bronił jej przed wszelkimi zarzutami zaniechania, dając wyraz silnemu przekonaniu, iż to jej zawdzięczali wizyty pana Farquhara – jego nieubraną w słowa gotowość do świadczenia usług – to, iż pokładał w Leonardzie ciche, nieustające zainteresowanie; co więcej (powtarzając rozmowę, jaką odbył z nią na ulicy wówczas, gdy spotkali się po raz pierwszy od ujawnienia prawdy), pan Benson oznajmił siostrze, jak bardzo rad był się przekonać, iż

pomimo całej gorliwości porywczego usposobienia, które ponaglało ją do buntu przeciwko ojcu, Jemima dążyła obecnie do sprawiedliwej powściągliwości, która pomaga odróżniać czcze pragnienia od rzeczywistych powodów – toteż umiała powstrzymać się przed przybyciem, by zobaczyć Ruth, skoro obecnie wizyta taka niewiele mogła przynieść dobrego, i odłożyć ową wizytę do czasu, aż nastanie ku niej wspaniała okazja czy silna konieczność.

Ruth nic nie powiedziała, lecz tym bardziej pragnęła w milczeniu zobaczyć się z Jemimą. Wspominając ową straszną rozmowę z panem Bradshawem, która wciąż jeszcze nawiedzała ją we śnie i na jawie, miała bolesną świadomość, że nie podziękowała Jemimie za wielkoduszne, troskliwe wstawiennictwo; w czasie nasilonej udręki nie zwróciła na nie uwagi – lecz teraz przypominała sobie, iż słowem, tonem ani dotykaniem nie dała żadnego znaku wdzięczności. Pan Benson nie powiedział jej nigdy o swym spotkaniu z Jemimą; zdawało się więc, że nie ma nadziei na jakąkolwiek przysługę po temu okazję: dziwne bowiem, jak dwie rodziny, rozdarte jakąś waśnią, mogą iść przez życie, istniejąc równolegle obok siebie, lecz nigdy się nie dotykając, chociaż bliskimi są sąsiadami, a być może niegdyś byli też dla siebie częstymi, serdecznymi gośćmi.

Jedynym, co budziło w Ruth nadzieję, był Leonard. Zmęczona już była szukaniem pracy i zajęciem, które stale i wszędzie zdawały się być poza jej zasięgiem. Nie odczuwała zniecierpliwienia, lecz było jej bardzo, bardzo przykro. Czuła, że posiada duże możliwości, tymczasem nikt na nią nie zważał, nikt nie przychodził z pomocą. Lecz dostrzegła pewną poprawę w Leonardzie. Nie mógł wprawdzie rozwijać się dalej w szczęściu i dojrzewać w radości, jak inni chłopcy; przeskakując z dzieciństwa ku chłopięctwu, stamtąd zaś ku młodości, radosnymi skokami i nieświadomie ciesząc się każdym rokiem. Obecnie charakterowi Leonarda brakowało jakiegokolwiek harmonii; był tak pełen myśli i tak świadom siebie, jak wielu dorosłych mężczyzn, planując czyny z długim wyprzedzeniem, ażeby uniknąć tego, czego się obawiał, a do stawienia czoła czemu matka nie mogła dać mu jeszcze sił, gdyż sama była tchórzliwa i cofała się przed dotkliwymi uwagami. Niemniej Leonard odzyskiwał nieco z utraconej czułości wobec matki; kiedy byli sami, zwykł rzucać się jej teraz na szyję i obsypywać pocałunkami bez żadnego wyraźnego powodu dla tak namiętnego wybuchu. Jeżeli kto był w pobliżu, zachowywał się oziębło i z rezerwą. Spośród cech jego charakteru nadzieję budziło wyraźne zdecydowanie, by „chadzać własnymi ścieżkami” oraz powaga, z jaką rozmyślał nad kształtowaniem owych ścieżek. Miał skłonności do debatowania, szczególnie z panem Bensonem, nad wielkimi zagadnieniami etycznymi, które większość ludzkości ustaliła już dawno temu. Nie sądzę jednak, aby kiedykolwiek spierał się tak z matką. Uroczą jej cierpliwość i pokora zaskarbiały sobie nagrodę; a cicha nabożność, z jaką zносиła słodko brak zgody na wypełnienie pragnień – odmowę złożoną błaganiom, hańbę, w której trwała, gdy inni, mniej godni, znajdowali zajęcie – wszystko to, co z początku trapiło go i złościło prawie, nareszcie wzbudziło w nim szacunek, a to, co mówiła, z dumną pokorą uznawać ją za prawo; w ten oto sposób łagodnie prowadziła go ku Bogu. Zdrowie jego nie było silne; nie mogło takim być. Jęczał i mówił przez sen, apetyt zaś nadal nie zawsze mu dopisywał, po części być może dlatego, że nad wszelki ruch na świeżym powietrzu przedkładał najtrudniejsze lekcje. Lecz ów ostatni nienaturalny objaw zniknął wobec wytrwałej życzliwości pana Farquhara oraz cichego, acz stanowczego pragnienia matki. Obok Ruth to Sally miała być może największy nań wpływ; lecz również pana i pannę Benson kochał serdecznie; aczkolwiek był w tym uczuciu powściągliwy, jak we wszystkim, co nie było czysto intelektualne. Dzieciństwo jego było ciężkie, a matka to odczuwała. Dzieci z wesołością znoszą umiarkowane ubóstwo i niedostatek; lecz oprócz niemałej dawki tychże, Leonard musiał również zmagać się z poczuciem hańby, jaka przyłgnęła do niego oraz do istoty, którą kochał najbardziej; to właśnie to zaćmiło w nim pogodę ducha i radość właściwą młodości w sposób, w jaki skąpość posiłku czy odzienia, bądź jakikolwiek brak zewnętrznej wygody, uczynić by tego nigdy nie zdołał.

Upłynęły dwa lata – dwa długie, jednostajne lata. Miało się teraz wydarzyć coś, co bardzo poruszało ich serca, aczkolwiek pozostawało poza zasięgiem wzroku i słuchu. Jemima w sierpniu wychodziła za mąż i wkrótce ustalono datę ślubu. Miał się odbyć czternastego. Wieczorem trzynastego Ruth siedziała samotnie w bawialni, wpatrując się biernie w pogłębiające się w ogródku cienie; do oczu napływały wciąż nieme łzy, które wynikały nie z poczucia odosobnienia względem

całej krzątaniny i przygotowań związanych z wydarzeniem, które miało nazajutrz nastąpić, lecz stąd, że widziała, jak panna Benson odczuła wykluczenie siebie wraz z bratem ze spotkania starych przyjaciół w rodzinie Bradshawów. Gdy tak siedziała, nagle uzmysłowiła sobie, iż obok niej stoi jakaś postać; zerwała się i w spowijających pokój ciemnościach rozpoznała Jemimę. Natychmiast padły sobie w ramiona – zwały się w długim, silnym uścisku.

– Czy zdołasz mi wybaczyć? – szepnęła Jemima do ucha Ruth.

– Wybaczyć! Co masz na myśli? Cóż miałabym ci wybaczyć? Pytanie brzmi, czy kiedykolwiek będę w stanie ci podziękować, co pragnę uczynić, jeżeli znajdę po temu słowa?

– Och, Ruth, jakże ja ciebie niegdyś nienawidziłam!

– Tym bardziej szlachetne było z twej strony to, żeś się za mną tak wstawiała. Z pewnością znienawidziłaś mnie, gdy się dowiedziałas, że was wszystkich oszukiwałam!

– Nie, nie z tego powodu zapalałam do ciebie nienawiścią. To stało się wcześniej, Ruth.

Och, Ruth, jakże ja ciebie nienawidziłam!

Przez pewien czas milczały, trzymając się wciąż za ręce. Ruth przemówiła pierwsza:

– A zatem już jutro wychodzisz za mąż!

– Owszem – odparła Jemima. – Jutro o dziewiątej. Ale nie sądzę, abym mogła wyjść za mąż, nie przybywszy wcześniej tutaj, ażeby się pożegnać z panem Bensonem i panną Faith.

– Pójdę po nich – rzekła Ruth.

– Nie, jeszcze nie teraz. Chcę ci wprawdzie zadać pytanie albo dwa. To nic bardzo szczególnego; wydaje mi się po prostu, iż nasze rozstanie było tak dziwne i długotrwałe. Ruth – rzekła, zniżając głos – czy Leonard jest już silniejszy, niż był dotąd? Tak mi przykro słyszeć o nim od Waltera. Ale miewa się lepiej? – zapytała z niepokojem.

– Owszem, miewa się lepiej. Nie tak, jak powinien się miewać chłopiec w jego wieku – odparła jego matka tonem cichej, acz głębokiej boleści. – Och, Jemimo! – ciągnęła – najsurowsza kara dosięga mnie przez niego. Pomyśleć, kim mógłby być, a kim jest!

– Ale Walter mówi, że jest już mocniejszego zdrowia i nie tak... nerwowy i nieśmiały. – Jemima dodała ostatnie słowa z wahaniem i niejakim powątpiewaniem, jak gdyby nie wiedziała, jak wyrazić w pełni to, co ma na myśli, nie uraziwszy Ruth.

– Nie okazuje tego, że tak silnie odczuwa swą hańbę. Nie umiem o tym mówić, Jemimo, tak bardzo boli mnie serce, gdy o nim myślę. Lecz miewa się lepiej – ciągnęła, czując, że życzliwy niepokój Jemimy zasługiwał na odpowiedź bez względu na ból, jakim okupi ją Ruth. – Tylko aż nazbyt pilnie się teraz uczy; zajmowanie się lekcjami wyraźnie pomaga mu odciążyć myśli. Jest bardzo bystry i mam nadzieję oraz ufność, chociaż lękam się to powiedzieć, iż jest bardzo dobry.

– Musisz pozwolić mu przychodzić do nas często w odwiedziny po naszym powrocie. Nie będzie nas przez dwa miesiące. Jedziemy do Niemiec, po części w związku z interesami Waltera. Ruth, dziś wieczór rozmawiałam z ojczulkiem, bardzo poważnie i spokojnie, co sprawiło, że kocham go o wiele więcej i o wiele lepiej rozumiem.

– Czy on wie, że tu przysłaś? Mam nadzieję, że tak – rzekła Ruth.

– Owszem. Nie żeby mu się to w najmniejszym stopniu podobało. Lecz nie wiedzieć czemu, zawsze łatwiej przychodzi mi postępować wbrew czyjejś woli, jeżeli pozostaję z tą osobą w dobrych stosunkach... niezupełnie to miałam na myśli; w każdym razie dziś wieczór, gdy ojczulek okazał mi, iż naprawdę kocha mnie więcej, niż kiedykolwiek sądziłam (gdyż zawsze roiłam sobie, że on tak bardzo pochłonięty jest Dickiem, iż nie dba zbytnio o nas, dziewczęta), poczułam się na tyle odważna, by rzec, że zamierzam tu przyjść, aby się z wami wszystkimi pożegnać. Przez chwilę milczał, po czym oznajmił, iż mogę to uczynić, lecz winnam pamiętać, że on tego nie pochwała i żeby moje przybycie tutaj nie było dlań kompromitacją; niemniej ja widzę, że w głębi jego serca nadal tli się owo dawne, życzliwe uczucie względem pana i panny Benson, i nie rozpaczam, że wszystko już skończone, choć powinnam wyznać, iż mama rozpacza.

– Pan i panna Benson nie chcą słyszeć o mym odejściu – oznajmiła Ruth ze smutkiem.

– I mają zupełną słuszność.

– Lecz nic nie zarabiam. Nie mogę znaleźć żadnego zajęcia. Jestem tylko ciężarem i źródłem wydatków.

– A czy nie jesteś również ich radością? A Leonard, czyż nie jest droгим przedmiotem miłości? Łatwo mi mówić, wiem, osobie tak niecierplivej. Och, w ogóle nie zasłużyłam na to, by być tak szczęśliwą! Nie wiesz, jak dobrym człowiekiem jest Walter. Uważałam go niegdyś za zimnego i powściągliwego. Ale teraz, Ruth, czy powiesz panu i pannie Benson, że tu jestem? W domu czeka na mnie podpisywanie papierów i nie wiem, co jeszcze. A mam nadzieję, że kiedy wrócę, będę cię często widywać, jeżeli mi na to pozwolisz.

Pan i panna Benson powitali ją serdecznie. Wezwano Sally, która przyniosła ze sobą świecę, ażeby przyjrzeć się Jemimie z bliska i przekonać, czy się zmieniła – powiedziała, że przecież nie widziała jej od tak dawna; toteż Jemima stała na środku pokoju, śmiejąc się i oblewając rumieńcem, tymczasem Sally badała ją od stóp do głów i nie dała się przekonać, iż stara suknia, którą miała teraz na sobie po raz ostatni, nie była jedną z nowych ze ślubnej wyprawy. Skutek owego nieporozumienia był taki, że Sally w swym krótkim spódniku i podomce, kręciła nosem na staromodny krój, podług którego uszyto suknię panny Bradshaw. Lecz Jemima знаła staruszkę i cieszyła się raczej z okazanej przez nią wzgardy wobec sukni. W końcu ucałowała wszystkie panie i pobięła do swego niecierpliwego pana Farquhara, który na nią czekał.

Niewiele tygodni później biedna starowinka, która, jak wspomniałam, przed trzema laty została przyjaciółką Ruth podczas choroby Leonarda, przewróciła się i złamała kość biodrową. Było to poważne obrażenie – być może śmiertelne w przypadku osoby tak starej; Ruth zaś, gdy tylko o tym usłyszała, poświęciła cały swój wolny czas starej Ann Fleming. Leonard zdystansował matczyne zdolności do nauczania i lekcji udzielał mu teraz pan Benson; toteż Ruth spędzała w chatce mnóstwo czasu zarówno dniem, jak i nocą.

Tam też znalazła ją Jemima pewnego listopadowego wieczoru, nazajutrz po powrocie z wydłużonego pobytu na kontynencie. Wcześniej odwiedziła z panem Farquharem Bensonów, u których spędzili trochę czasu; a teraz Jemima przyszła po to tylko, ażeby pomówić z Ruth pięć minut, nim wieczór będzie zbyt ciemny, by mogła samotnie powrócić do domu. Zastała Ruth siedzącą na taborecie przy ogniu, zbudowanym z kilku ułożonych na palenisku patyków. Dawany przez nie płomień był jednak wystarczający, by mogła przy nim czytać; a była głęboko pogrążona w studiowaniu Biblii, z której czytała na głos biednej starowince, aż ta zasnęła. Jemima dała jej znak, by wyszła i stały pośród zieleni tuż przy otwartych drzwiach, ażeby Ruth widziała, czy Ann się zbudziła.

– Mogę zostać kilka minut jedynie, ale czułam, że muszę się z tobą zobaczyć. I chcemy, ażeby Leonard przyszedł obejrzeć wszystkie nasze niemieckie zakupy i usłyszał o naszych niemieckich przygodach. Czy może przyjść jutro?

– Owszem; dziękuję. Och! Jemimo, słyszałam o czymś – mam plan, który czyni mnie tak szczęśliwą! Nikomu jeszcze nie powiedziałam. Ale pan Wynne (wiesz, ten parafialny doktor) zapytał, czy nie podjęłabym pracy jako pielęgniarka – myśli, że mógłby znaleźć dla mnie zajęcie.

– Ty pielęgniarką! – rzekła Jemima, zerkając mimowolnie na piękną, gibką postać i uroczą szlachetność twarzy Ruth, kiedy padła na nią poświata wschodzącego księżyca. – Moja droga Ruth, myślę, że ty się do tego nie nadajesz!

– Tak myślisz? – zapytała Ruth, cokolwiek zawiedziona. – A ja myślę, że się nadaję; a przynajmniej niebawem będę się nadawała. Lubię przebywać wokół ludzi chorych i bezradnych; tak głęboko im zawsze współczuję; myślę też, że posiadam chyba dar bardzo delikatnej ręki, co w wielu przypadkach jest taką pociechą. I spróbuję być bardzo uważną i cierpliwą. Pan Wynne sam to zaproponował.

– Nie to miałam na myśli, gdym rzekła, że się do tego nie nadajesz. Chodziło mi o to, że nadajesz się do czegoś lepszego. Ależ Ruth, jesteś wszakże lepiej wykształcona ode mnie!

– A jeżeli nikt nie pozwoli mi nauczać? Gdyż podejrzewam, że to masz na myśli. Poza tym czuję, że całe moje wykształcenie będzie potrzebne, ażeby uczynić ze mnie dobrą pielęgniarkę.

– Twoja znajomość łaciny na przykład – podsunęła Jemima, uderzając wobec rozdrażnienia owym planem w pierwszą umiejętność Ruth, jaka przyszła jej na myśl.

– Cóż! – odrzekła Ruth – to nie zaszkodzi; będę mogła czytać recepty.

– Czego doktorzy woleliby, abyś nie czyniła.

– Niemniej nie możesz mówić, że jakkolwiek wiedza będzie mi przeszkodą, czy też że uczyni mnie niezdatną do pracy.

– Być może nie. Lecz gust twój i wyrafinowanie będą ci przeszkodą i uczynią cię do niej niezdatną.

– Nie myślałaś o tym tyle, ile ja, w przeciwnym bowiem razie nie mówiłabyś tego. Będę musiała się wyzbyć wszelkiej wybredności i lepiej mi bez niej będzie; lecz pewna jestem, iż wszelkie prawdziwe wyrafinowanie okaże się użytecznym; bo czyż nie sądzisz, że każda posiadana przez nas zdolność dana nam została być może po to, ażeby pomagać nam w słusznej pracy, jakkolwiek by ona nie była? Czyż nie wolałabyś raczej być pielęgnowaną przez osobę, która przemawia łagodnie i porusza się cicho, niżli przez głośną, krzątającą się hałaśliwie kobietę?

– Ma się rozumieć, że tak; lecz osoba niezdatna do żadnej innej pracy może poruszać się cicho i przemawiać łagodnie, i dawać lekarstwo, kiedy doktor zaleci, i czuwać nocą; a słyszałam, że to właśnie są najlepsze cechy, jakie winna posiadać pielęgniarka.

Ruth przez pewien czas milczała zupełnie. Nareszcie rzekła:

– Tak czy owak to praca i w związku z tym jestem za nią wdzięczna. Nie zdołasz mnie zniechęcić – a być może zbyt mało wiesz o tym, jakie było moje życie – jakże byłam odosobniona w swej bezczynności – ażeby współczuć mi w pełni tego położenia.

– A ja chciałam, żebyś przyszła nas odwiedzić – mnie w moim nowym domu. Walter i ja postanowiliśmy, że przekonamy cię, ażebyś przychodziła do nas jak najczęściej – (ona postanowiła, pan Farquhar zaś przystał na to) – tymczasem teraz będzie ci trzeba przebywać stale w sali chorych.

– Nie mogłabym przyjść – odparła Ruth pośpiesznie. – Droga Jemimo! To do ciebie podobne, mieć myśl taką... lecz ja nie mogłabym przyjść do twego domu. Nie jest to rzecz, o której trzeba debatować. To tylko odczucie. Lecz czuję, iż nie mogłabym przyjść. Droga Jemimo! Gdy będziesz chora czy zdjeta żalem i będziesz mnie potrzebowała, wówczas przyjdę...

– Tak samo będziesz musiała postąpić względem każdego człowieka, jeżeli podejmiesz owo powołanie.

– Lecz do ciebie, kochanie, przyszedłabym w sposób zgoła inny; przyszedłabym z sercem pełnym miłości – tak pełnym, iż, lękam się, byłabym nazbyt zatroskana.

– Żałuję prawie, że nie jestem chora, bo wówczas zmusiłabym cię, byś natychmiast przyszła.

– Ja zaś wstydzę się prawie, myśląc, że chciałabym, ażebyś znalazła się w takim położeniu, które pozwoliłoby mi dowieść, jak dobrze pamiętam ów dzień – ów straszliwy dzień w pokoju szkolnym. Niechaj cię za to Bóg błogosławi, Jemimo!

ROZDZIAŁ XXX

Sfalszowany dokument

Pan Wynne, chirurg parafialny, miał słuszość. Mógł zdobyć dla Ruth zajęcie w charakterze pielęgniarki i uczynił to. Dom jej był u Bensonów; każdą wolną chwilę poświęcała im właśnie oraz Leonardowi; lecz była gotowa na wezwanie każdego chorego w mieście. Z początku praca jej była wyłącznie pośród żebraków. Z początku również wzdragała się wobec wielu okoliczności uświadamiających jej najpełniej fizyczne cierpienie tych, których pielęgnowała. Lecz próbowała wyzbyć się tego uczucia – czy raczej zmniejszyć je i usunąć w miejsce mu przeznaczone – myśląc o samych ludziach w oderwaniu od ich niszczących cielesnych powłok; od początku zaś miała na tyle panowania nad sobą, iż potrafiła powstrzymać się przed okazywaniem jakichkolwiek oznak odrazy. Nie pozwalała sobie na nerwową śpieszność ruchów czy dotyku, jakie mogłyby zranić uczucia najbiedniejszych, najbardziej pozbawionych przyjaciół stworzeń, które stale padały ofiarą choroby. Nie wolno było zbywać nieprzyjemnych i bolesnych obowiązków pośpiesznym, szorstkim gestem. Jeżeli delikatny, ostrożny dotyk oraz powolna, łagodna opieka przynosiły częściowe ukojenie bólu, Ruth myślała o swym podopiecznym, nie zaś o sobie samej. Jak przepowiedziała, każda jej umiejętność była tu użyteczna. Biedni pacjenci zaznawali bezwiednie zadowolenia i ukojenia dzięki harmonii oraz wyrafinowaniu jej zachowania, głosu i gestów. Gdyby harmonia ta i wyrafinowanie były sztuczne zaledwie, działanie ich nie byłoby tak balsamiczne. Jednakże był to prawdziwy wyraz życzliwego, skromnego i pokornego ducha. Jej reputacja jako pielęgniarki stopniowo wzrastała i wielu, których stać było, by zapłacić za jej usługi, zabiegało o nie. Każdą proponowaną zapłatę przyjmowała z prostotą i bez uwag; czuła bowiem, iż nie do niej należy prawo do odmowy; że w istocie zapłata owa należała się Bensonom za zapewnienie utrzymania jej oraz jej dziecku. Udawała się wszędzie tam, gdzie potrzebowano jej usług. Jeżeli ubogi murarz, który złamał obie nogi wskutek upadku z rusztowania, posłał po nią, gdy była niezajęta, szła do niego i pozostawała z nim tak długo, aż ją zwolnił, by mogła się zająć kolejnym potrzebującym. Niekiedy wymawiała się od pomocy tym, którym szczęście i pomyślność dopisywały we wszystkim prócz zdrowia, jeżeli pragnął jej ktoś mniej szczęśliwy i bardziej samotny; niekiedy zaś prosiła pana Bensaona o trochę pieniędzy, aby wręczyć je osobom w potrzebie. Lecz zadziwiające było to, jak wiele umiała dokonać bez pieniędzy.

Była w swym zachowaniu bardzo cicha; nigdy nie mówiła wiele. Każdy, kogo przez lata przytłaczał ciężar istotnej tajemnicy, a bardziej jeszcze ten, którego życie naznaczone zostało jednym wydarzeniem, i to takim, które wywołało poczucie żalu i wstydu, jest powściągliwy z natury. A jednak milczenie Ruth nie było podobne powściągliwości; było na to zbyt łagodne i zbyt pełne czułości. Było raczej podobne ciszy spowijającej wszelkie głośnie czy niepokojące emocje, a słowa, jakie dobywały się z głębokiego spokoju, miały piękną moc. Nie mówiła dużo o wierze; lecz ci, co ją obserwowali, wiedzieli, iż był to jej niewidzialny sztandar, za którym podążała. Szeptane cicho zdania, które wypowiadała wprost do ucha cierpiących i umierających, niosły ich w górę, ku Bogu.

Stopniowo zdobywała sławę i szacunek pośród najbardziej grubiańskich zawadiaków wywodzących się z najbardziej grubiańskiej warstwy pospólstwa miejskiego. Gdy szła ulicami, chłopcy ustępowali jej drogi z większym szacunkiem, niż większości; każdy z nich słyszał bowiem o czulej opiece, jaką roztaczała nad tą czy inną chorą osobą, a poza tym tak często miała łączność ze śmiercią, iż otaczało ją coś w rodzaju zabobonnej bojaźni, z jaką postrzegali zmarłych chłopcy będący w samym środku krzepkiego życia.

Ona sama nie czuła w sobie żadnej przemiany. Czuła się równie jak zwykle ułomna – równie daleka od bycia tą, którą chciała być. Doskonale wiedziała, jak wielu słusznych swoich działań nie przeprowadziła do końca, jak wiele zmałowanych było złem. Nie czuła, że zmieniła się bardzo w porównaniu z najdawniejszą Ruth, jaką miała w pamięci. Zdawało się, iż zmieniło się wszystko prócz niej samej. Pan i panna Benson się zestarzelili, Sally ogłuchła, Leonard wystrzelił w górę, Jemima została matką. Jedynie ona i odległe wzgórza, które widywała z okna swego pokoju, zdawały się być takie same, jak w chwili, gdy po raz pierwszy przybyła do Eccleston. Kiedy siedziała, wyglądając na świat i zacierując porcji samotności, co było dla niej czasem najdogłębniejszym odpoczynkiem – kiedy siedziała przy oknie na poddaszu, wyglądając na świat – ujrzała sąsiada zza ściany, którego wyniesiono do ogrodu dla zażycia słońca. Gdy po raz pierwszy przybyła do Eccleston, sąsiada owego i jego córkę widywano często na długich i systematycznych przechadzkach; niebawem przechadzki stały się krótsze, a troskliwa córka zwykła wówczas odprowadzać go do domu, po czym wyruszała na nowo, by dokończyć spacer. Ostatnimi laty wychodził już tylko do własnego ogrodu za domem; lecz z początku z pomocą córki kroczył tam dość żwawo – obecnie zanoszono go tam i umieszczano w dużym, wyściełanym poduchami fotelu klubowym; jego głowa spoczywała tam, gdzie ją ułożono na poduszce i właściwie się nie poruszała, kiedy dobra córka, która osiągnęła już wiek średni, przynosiła mu pierwsze tego lata róże. To mówiło Ruth o upływie życia i czasu.

Pan i pani Farquhar nie ustawiali w uprzejmości; lecz nic nie zapowiadało tego, by pan Bradshaw kiedykolwiek wybaczył oszustwo, którego się wobec niego dopuszczono, toteż pan Benson przestał żywić nadzieję na jakiegokolwiek odnowienie stosunków. Niemniej sądził, że pan Bradshaw musi wiedzieć o wszystkich uprzejmościach, jakie świadczyła im Jemima, oraz o czulej uwadze, jaką zarówno ona, jak i mąż jej darzyli Leonarda. Owo ostatnie uczucie tak było silne, iż pan Farquhar zawitał pewnego dnia z wizytą i z dużą dozą niepewności prosił usilnie pana Bensaona, aby nakłonił Ruth do zgody, by posłać go do szkoły na jego (pana Farquhara) koszt.

Pan Benson był zaskoczony i wahał się.

– Nie wiem. Pod pewnymi względami byłoby to ogromnie korzystne; a jednak wątpię, czy byłoby takim również pod innymi. Matka ma nań na wskroś dobry wpływ, i obawiałbym się, że jakakolwiek bezmyślna aluzja względem jego szczególnego położenia mogłaby dotknąć czulego punktu w jego umyśle.

– Lecz on jest tak nadzwyczajnie bystry, iż szkoda byłoby chyba nie ofiarować mu wszelkich korzystnych możliwości, z jakich tylko mógłby skorzystać. A poza tym, czy obecnie często widuje swoją matkę?

– Nie ma dnia, żeby nie przyszła do domu, by spędzić z nim przynajmniej godzinę, nawet w najbardziej pracowitym czasie; mawia, iż jest to dla niej najlepsze źródło pocieszenia. A często, wie pan, jest wolna przez tydzień czy dwa, wyłączając sporadyczne usługi, których zawsze udziela tym, co jej potrzebują. Propozycja pańska nader jest kusząca, lecz zdecydowanie należy również rozpatrzyć drugą stronę tej kwestii, toteż zdaje mi się, iż winniśmy zwrócić się z tym do niej.

– Zgadza się całym sercem. Proszę jej nie ponaglać do powzięcia decyzji. Niechże ją dobrze rozważy. Myślę, że uzna korzyści za przeważające.

– Panie Farquhar, zastanawiam się, czy mógłbym pana pofatygować w drobnej sprawie, skoro jest pan tutaj?

– Naturalnie; będę niezmiernie rad, mogąc służyć panu pomocą w każdej sprawie.

– A zatem, że sprawozdania Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie Star, jakie zamieszczono w *Timesie*, którego jest pan uprzejmy mi przysyłać, wynika, iż przyznano dodatek do udziałów; otóż dziwnym się wydaje, iż nie otrzymałem żadnego o tym powiadomienia, i pomyślałem, że być może leży ono w pańskim biurze, jako że to pan Bradshaw dokonał zakupu udziałów i zawsze otrzymywałem dywidendy za pośrednictwem pańskiej firmy.

Pan Farquhar wziął gazetę i przebiegł wzrokiem sprawozdanie.

– Bez wątpienia tak właśnie się stało – rzekł. – Niektórzy nasi kanceliści są w tej kwestii niebaczni; a może nawet to sam Richard. Nie zawsze jest on najpункtualniejszym i najdokładniejszym spośród śmiertelników; lecz ja to sprawdzę. Być może zresztą okólnik nie

nadejście jeszcze przez dzień lub dwa; zawsze muszą porozsyłać ich tak wiele.

– Ach, nie ma pośpiechu! Chciałbym go jedynie otrzymać, zanim poniosę jakiegokolwiek wydatki, do pofolgowania którym może mnie skusić obietnica tego dodatku.

Pan Farquhar wyszedł. Owego wieczoru odbyła się długa narada, gdyż Ruth była akurat w domu. Była niestrudzenie przeciwna szkolnemu projektowi. Nie dostrzegając żadnych korzyści, które mogłyby zrównoważyć wyrządzone Leonardowi zło, jakiego obawiała się po każdej szkole; mianowicie to, że dobre zdanie i szacunek wobec świata nabrałyby w jego oczach zbyt dużej wagi. Sam pomysł zdawał się wywoływać w niej tak dojmujący strach, że za obopólną zgodą temat porzucono; miano go podjąć ponownie, bądź też nie, zależnie od okoliczności.

Następnego ranka pan Farquhar napisał w imieniu pana Bensona do towarzystwa ubezpieczeniowego, ażeby zapytać o dodatek. Mimo że wystosował zwykłe, oficjalne pismo, nie uznał za rzecz konieczną powiedzieć panu Bradshawowi, co uczynił, gdyż nazwisko pana Bensona wspominali rzadko; każdy był w pełni świadom poglądów wyznawanych przez współnika w kwestii przyczyny oziębienia stosunków; a pan Farquhar czuł, iż żaden zewnętrzny argument nie wpłynie na postanowienie pana Bradshawa, by okazać swemu dawnemu duchownemu nieprzychylność i go unikać.

Zdarzyło się, że odpowiedź z towarzystwa ubezpieczeniowego (skierowaną do firmy) otrzymał wraz z innymi listami służbowymi pan Bradshaw. Oznajmiono w niej, iż udziały pana Bensona zostały sprzedane, należność za nie zaś przesłana ponad rok wcześniej, co w stopniu wystarczającym tłumaczyło okoliczność niewysłania doń żadnego powiadomienia o należnym dodatku.

Pan Bradshaw rzucił list na bok, nie niezadowolony bynajmniej, iż oto pojawił się słuszny powód, ażeby odczuć lekką wzdargę wobec niesolidnego zapominalstwa pana Bensona, na którego prośbę ktoś najwyraźniej pisywał do towarzystwa ubezpieczeniowego. Kiedy wszedł pan Farquhar, jego współnik dał wyraz owemu odczuciu.

– Doprawdy – rzekł – ci duchowni dysydency nie więcej mają w sobie poczucia dokładności aniżeli dziecko! Żeby zapomnieć, że sprzedał swoje udziały i zwrócić się o dodatek, skoro, jak się zdaje, pozbył się ich rok temu za ledwie!

Podczas przemowy pana Bradshawa pan Farquhar przeczytał ów list.

– Niezupełnie rozumiem – odparł. – Pan Benson mówił zupełnie jasno. Nie mógłby otrzymywać co pół roku dywidend, gdyby nie posiadał tych udziałów; a nie sądzę, że duchowni dysydency, przy całej swej nieznanomości tajników prowadzenia interesów, różnią się od innych ludzi pod względem świadomości, czy otrzymali pieniądze, które podług ich przekonania są im należne, czy też nie.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby się różnili – w każdym razie Benson. Wszakże przez całe życie nie zauważyłem, by jego zegarek chodził punktualnie – zawsze albo się śpieszył, albo późnił; musiało być to dlań codziennie powodem niewygodny. Powinno nim być. Proszę mi wierzyć, taki sam nieporządek panuje w sprawach, które tyczą się jego pieniędzy; nie prowadzi ksiąg, niech mnie licho.

– Nie wydaje mi się, aby jedno wynikało z drugiego – odrzekł pan Farquhar na wpół rozbawiony. – Ten jego zegarek jest bardzo ciekawy... należał do jego ojca i dziadka, i nie wiadomo, jak daleko sięga jego historia.

– A czułośćkowość, którą się kieruje, nakazuje mu go zatrzymać, ku niewygodzie własnej oraz innych.

Pan Farquhar uznał temat zegarka za beznadziejny i go zarzucił.

– Lecz co się tyczy tego listu. Napisałem na życzenie pana Bensona do biura ubezpieczeniowego i nie jestem zadowolony z ich odpowiedzi. Cała operacja przeszła przez nasze ręce. Sądzę, że mało prawdopodobnym jest, by pan Benson zlecił sprzedaż udziałów, nie poinformowawszy nas przynajmniej o tym wówczas, gdy to czynił, choćby nawet później zupełnie o tym zapomniał.

– Prawdopodobnie powiedział Richardowi, albo panu Watsonowi.

– Możemy natychmiast zapytać o to pana Watsona. Co się tyczy Richarda, to obawiam się,

że musimy poczekać, aż wróci do domu, gdyż nie wiem, gdzie znalazłby go list.

Pan Bradshaw pociągnął za sznur dzwonka, który zadzwieczał w pokoju kancelisty, a uczyniwszy to, rzekł:

– Niech mi pan wierzy, Farquhar, błąd leży po stronie samego Bensona. To właśnie jest człowiek, który bezkrytycznie wyrzuca swe pieniądze w błoto dobroczynności, a potem się zastanawia, gdzie się podziały.

Pan Farquhar był na tyle dyskretny, ażeby trzymać język za zębami.

– Panie Watson – odezwał się pan Bradshaw, kiedy zjawił się stary kancelista – zaistniała pomyłka odnośnie do udziałów ubezpieczeniowych, któreśmy zakupili dla pana Bensona dziesięć czy dwanaście lat temu. Zdaje się, że on rozmawiał z panem Farquharem o jakimś dodatku wypłacanym obecnie udziałowcom; tymczasem w odpowiedzi na list pana Farquhara towarzystwo ubezpieczeniowe twierdzi, że udziały zostały odsprzedane dwanaście miesięcy temu. Czy wie pan cokolwiek na temat tej transakcji? Czy operacja przeszła przez pańskie ręce? Na marginesie – (zwracając się do pana Farquhara) – kto przechowywał świadectwa? Benson czy my?

– Nie wiem, doprawdy – odparł pan Farquhar. – Być może pan Watson nam to powie.

Pan Watson tymczasem zgłębiał treść listu. Skończywszy, zdjął okulary, przetarł je i nałożywszy ponownie, przeczytał go raz jeszcze.

– Bardzo to dziwne, proszę pana – rzekł nareszcie drżącym, leciwym głosem – gdyż ja sam w czerwcu wypłaciłem panu Bensonowi całość dywidend i otrzymałem od niego formalne pokwitowanie, i to po dacie rzekomej sprzedaży.

– Prawie dwanaście miesięcy później – oznajmił pan Farquhar.

– W jaki sposób otrzymał pan te dywidendy? Przekazem bankowym wraz z pieniędzmi starej pani Cranmer? – zapytał ostro pan Bradshaw.

– Nie wiem, w jaki sposób wpłynęły. Pan Richard dał mi pieniądze i poprosił o sporządzenie pokwitowania.

– To niefortunne, że Richard wyjechał – rzekł pan Bradshaw. – On mógłby nam wyjaśnić całą tę zagadkę.

Pan Farquhar milczał.

– Czy wie pan, gdzie przechowywane były świadectwa, panie Watson? – zapytał.

– Pewien być nie mogę, ale myślę, że były razem z dokumentami i papierami pani Cranmer w skrytce A 24.

– Szkoda, że stary Cranmer nie uczynił swym wykonawcą kogo innego. Zresztą ona również przychodzi stale z taką czy inną nierozsądną prośbą.

– Pana Bensona pytanie o dodatek jest najzupełniej rozsądne pod każdym względem.

Pan Watson, który w powolny, właściwy sędziwemu wiekowi sposób zastanawiał się nad tym, co powiedziano, przemówił teraz:

– Pewien nie jestem, ale zdaje mi się, że kiedy w czerwcu płaciłem panu Bensonowi, on rzekł, iż myślał, że powinien opłacić znak skarbowy na pokwitowaniu i że raz już rozmawiał o tym z panem Richardem, lecz pan Richard oznajmił mu, iż to nie ma znaczenia. Tak – ciągnął, przypominając sobie coraz więcej – tak zrobił... teraz sobie przypominam... i pomyślałem sobie, że pan Richard to jeszcze młody człowiek. Pan Richard wie wszystko o tej sprawie.

– Owszem – rzekł poważnie pan Farquhar.

– Nie będę czekał do powrotu Richarda – oznajmił pan Bradshaw. – Wkrótce będziemy mogli się przekonać, czy świadectwa znajdują się w skrytce, którą wskazał pan Watson; jeżeli tam są, wówczas okaże się, iż ludzie z towarzystwa ubezpieczeniowego nadają się do kierowania przedsiębiorstwem nie lepiej niż kot, a ja im o tym powiem. Jeżeli ich tam nie ma (a podejrzewam, że tak się właśnie okaże), to będzie to świadczyło o zapominalstwie Bensona, co mówiłem od początku.

– Zapomina pan o wypłacie dywidend – podsunął pan Farquhar cicho.

– Ależ, panie! I cóż z tego? – rzekł pan Bradshaw gwałtownie. Gdy mówił, a wzrok jego spotkał się ze wzrokiem pana Farquhara – przez umysł jego przemknęła myśl, którą ów zasugerował; lecz rozłościło go tylko odkrycie, iż czyjakołwiek wyobraźnia zrodzić mogła

podobne podejrzenie.

– Mniemam, iż mogę już odejść, proszę pana – rzekł z szacunkiem pan Watson, a przykra świadomość tego, co kryło się w myślach pana Farquhara, zaniepokoiła starego, wiernego kancelistę.

– Tak. Niech pan idzie. Co pan ma na myśli względem dywidend? – pan Bradshaw zapytał pana Farquhara porywczo.

– Jedyne to, iż sędzę, że nie może być mowy o zapominalstwie ani o błędzie ze strony pana Bensona – odparł pan Farquhar, niechętny ujęciu słowami mglistego podejrzenia.

– W takim razie jest to pomyłka tego przekłętą towarzystwa ubezpieczeniowego. Napiszę do nich dzisiaj i sprawię, że będą nieco zwawiej i poprawniej wydawać swe oświadczenia.

– Nie uważa pan, że lepiej byłoby poczekać do powrotu Richarda? Być może będzie w stanie to wyjaśnić.

– Nie, panie! – rzekł pan Bradshaw ostro. – Nie uważam, że tak byłoby lepiej. Nie zwykłem w interesach szczerzyć żadnej osobie, czy też przedsiębiorstwu, skutków własnej jego niedbałości; ani też zasięgać wiadomości z drugiej ręki, kiedy mogę je otrzymać wprost ze źródła. Napiszę do biura ubezpieczeniowego z następną pocztą.

Pan Farquhar uznał, że wszelkie dalsze protesty z jego strony rozsierzają tylko upór współnika; a poza tym, było to zaledwie podejrzenie – nieprzyjemne podejrzenie. Było przecież możliwe, że jakiś kancelista w biurze ubezpieczeniowym popełnił omyłkę. Watson nie był zresztą pewien, czy świadectwa zdeponowano w skrytce A 24; a kiedy wraz z panem Farquharem nie znalazł ich tam, jął się coraz bardziej wycofywać ze swego pierwotnego stwierdzenia, iż wierzył, że tam je umieszczono.

Pan Bradshaw wystosował gniewny i pełen oburzenia zarzut niesumienności do towarzystwa ubezpieczeniowego. Jeden z jego kancelistów przyjechał do Eccleston z następną pocztą; a gdy odświeżył się nieśpiesznie w gospodzie i starannie zamówił obiad, poszedł do wielkiego magazynu firmy Bradshaw i Spółka i posłał swą wizytówkę ze skreślonym ołówkiem dopiskiem „W imieniu Towarzystwa Ubezpieczeniowego Star” samemu panu Bradshawowi.

Pan Bradshaw przez chwilę trzymał ową wizytówkę w dłoni, nie podnosząc wzroku. Potem odezwał się głośno i stanowczo:

– Poproś tego pana, ażeby tu przyszedł. Czekaj! Zadzwoń za jaką minutę czy dwie, a wtedy zaprowadzisz go na górę.

Kiedy posłaniec zamknął drzwi, pan Bradshaw podszedł do kredensu, gdzie zwykle trzymał kieliszek i butelkę wina (którym raczył się rzadko, jako że był człowiekiem wstrzemięźliwym). Zamierzał teraz wypić kieliszek, lecz butelka była pusta; a chociaż by otrzymać więcej, wystarczyło zadzwonić, czy choćby pójść do drugiego pokoju, nie pozwolił sobie na to. Stał i prawił sobie w myślach kazanie.

„A jednak po raz pierwszy w życiu wyszedłem na głupca. Jeżeli świadectw nie ma w żadnej ze skrytek, które dotychczas zbadałem, nie oznacza to wszakże, że nie ma ich w jakiej innej, której nie miałem czasu przeszukać. Farquhar został wczoraj do tak późna! A jeśli nawet nie ma ich w żadnej ze skrytek tutaj, to nie dowodzi...” – Szarpnął ostro za sznur dzwonka, który wciąż dźwięczał jeszcze, kiedy wszedł pan Smith, kancelista ubezpieczeniowy.

Kierownik towarzystwa ubezpieczeniowego był znacznie rozdrażniony tonem listu pana Bradshawa; pouczył zatem swego kancelistę, aby przybrał z początku wyraz niejakej godności w bronieniu (na ile było to w jego mocy) charakteru postępowania towarzystwa, jednakowoż nie wolno mu było posunąć się za daleko, gdyż firma Bradshaw i Spółka z dnia na dzień budziła coraz większy niepokój w kupieckich kręgach, toteż jeżeli można było udzielić jakiegoś rozsądnego wyjaśnienia, należało to uczynić i uznać, że co było, minęło.

– Niech pan siada! – rzekł pan Bradshaw.

– Mniemam, iż pan wie, że przybywam w imieniu pana Dennisona, kierownika Towarzystwa Ubezpieczeniowego Star, ażeby osobiście odpowiedzieć na skierowany do niego pański list z dwudziestego dziewiątego?

Pan Bradshaw się skłonił.

– Bardzo to niesumienne przeprowadzona sprawa – rzekł sztywno.

– Pan Dennison sądzi, że nie za taką ją pan uzna, kiedy zobaczy akt sprzedaży, którego przedstawienie mi zlecono.

Pan Bradshaw chwycił dokument pewną ręką. Spokojnie wytarł okulary, nie ociągał się przy tym ani nie śpieszył, i nałożył je na nos. Być może przeglądał go dość długo – w każdym razie kancelista jął się właśnie zastanawiać, czy aby nie czyta go dokładnie, miast tylko spojrzeć na podpis, kiedy pan Bradshaw rzekł:

– Możliwe, że jednak nie... rzecz jasna, pozwoli pan, bym zaniósł ten papier panu Bensonowi, aby... aby zapytać, czy to jego podpis?

– Sądzę, że nie może być co do tego żadnych wątpliwości, proszę pana – odparł kancelista, uśmiechając się spokojnie, gdyż dobrze znał podpis pana Bensaona.

– Nie wiem, proszę pana... nie wiem. – (Mówił tak, jak gdyby wypowiedzenie każdego słowa wymagało osobnego wysiłku woli, jak człowiek, który doznał lekkiego ataku apopleksji). – Czy słyszał pan o czym takim, jak fałszerstwo... jak fałszerstwo? – rzekł, powtarzając ostatnie słowo bardzo wyraźnie; bał się bowiem, że za pierwszym razem wypowiedział ów wyraz niejako bełkotliwie.

– Ach, proszę pana! Nie ma tutaj miejsca na takie domysły, zapewniam pana. Prowadząc interesy, zauważamy ciekawe przypadki zapominalstwa ze strony tych, którzy nie posiadli właściwych ludziom interesu nawyków.

– Niemniej chciałbym pokazać ten dokument panu Bensonowi, ażeby udowodnić mu zapominalstwo, rozumie pan. Na mą duszę, wierzę, że to przez jego niedbałe zapominalstwo... w to właśnie wierzę, proszę pana – oznajmił. Mówił teraz bardzo szybko. – Z pewnością tak właśnie było. Niech mi pan pozwoli przekonać się o tym. Otrzyma pan dokument z powrotem dziś wieczór jeszcze, bądź jutro z samego rana.

Kancelista nie miał zbytniej ochoty odstępować dokumentu, lecz nie chciał również odmawiać panu Bradshawowi. Jeśli to jakże przykre przeciw założeniu fałszerstwa miało jakiegokolwiek oparcie w prawdzie... tymczasem on oddał pismo! Prawdopodobieństwo, że nie była to po prostu głupia omyłka, wynosiło tysiąc do jednego; bardziej bezpośrednia była groźba obrazy jednego z dyrektorów.

Gdy się wahał, przemówił pan Bradshaw, bardzo spokojnie, niemal z uśmiechem na ustach. Odzyskał panowanie nad sobą.

– Widzę, że pan się boi. Zapewniam, że może mi pan zaufać. Jeżeli doszło do jakiego oszustwa – jeżeli miał być nawet najlżejsze nawet podejrzenie, iż przypuszczenia, jakim przed chwilą wysnuł, są prawdziwe... – niezupełnie umiał wypowiedzieć nagie słowo, które mroziło teraz jego serce – nie ustane w dochodzeniu sprawiedliwości, nawet jeśli winowajcą okaże się mój własny syn.

Skończył tak jak zaczął, z uśmiechem – cóż to był za uśmiech! – sztywne wargi nie chciały się rozluźnić i zakryć zębów. Lecz przez cały czas powtarzał sobie: „Nie wierzę w to – nie wierzę w to. Jestem przekonany, że to pomyłka tego starego głupca, Bensaona”.

Gdy jednak pożegnał kancelistę i zdobył papier, podszedł do drzwi i je zamknął, i położył głowę na biurku, i głośno jęknął.

Dwa poprzednie wieczory do późna przesiedział w biurze; wpieryw zajął się poszukiwaniem świadectw udziałów ubezpieczeniowych; lecz gdy przetrząsnął wszystkie skrytki i inne miejsca przechowywania dokumentów, naszła go myśl, iż być może znajdują się one w osobistym biurku Richarda; i ze zdecydowaniem, które nie baczy na środki prowadzące do osiągnięcia celu, wypróbował najpierw na skomplikowanym zamku wszystkie własne klucze, a później wyłamał go za pomocą dwu zdecydowanych ciosów pogrzebaczem, pierwszym narzędziem, jakie znajdowało się pod ręką. Nie odnalazł świadectw. Richard zawsze uważał się za skrupulatnego w niszczeniu wszelkich niebezpiecznych, czy też zdradzających zbyt wiele dokumentów; lecz w tym, co pozostało, surowy ojciec odnalazł wystarczająco wiele, by się przekonać, że jego wzorowy syn – więcej nawet niż wzorowy syn, jego ukochana chluba – była zgoła odmienna, niż się wydawało.

Pan Bradshaw nie pominął ani nie przeoczył jednego choćby słowa. Czytając, nie wzdragał

się zażenowany. Składał literę do litery, list za listem; świecę zdmuchnął dopiero wtedy, gdy światło jej zaczęło niknąć, nie wcześniej; lecz nie przeoczył ani nie pominął jednego choćby dokumentu – przeczytał każde słowo. Następnie, pozostawiwszy listy ułożone w stosik na stole oraz zniszczone biurko, by zaświadczyło o tym, co się stało, zamknął na klucz drzwi pokoju, który przydzielono jego synowi jako młodszemu współnikowi, i zabrał klucz ze sobą.

Istniał nikły promyk nadziei, nawet pomimo wykrycia tak wielu zdarzeń z życia Richarda, które wstrząsnęły jego ojcem i go skonsternowały – istniał nadal nikły promyk nadziei na to, że może jednak nie jest winnym fałszerstwa, że być może do żadnego fałszerstwa nie doszło, że to pomyłka za ledwie, niedopatrznie, niesłychany przejaw zapominalstwa. Ów promyk nadziei był brzytwą, której uchwycił się pan Bradshaw.

Tej nocy pan Benson siedział do późna w swoim gabinecie. Wszyscy inni domownicy udali się już na spoczynek; on jednak spodziewał się wezwania do kogoś, kto był poważnie chory. Nie był zatem zdumiony, gdy około dwunastej ktoś zapukał do drzwi frontowych; lecz był dość zaskoczony rodzajem kołatania, tak powolnym i głośnym, z przerwą między każdym stuknięciem. Drzwi gabinetu znajdowały się o krok od tych, które wiodły na ulicę. A gdy otworzył je, stał w nich... pan Bradshaw; jego dużej, zażywej postaci nie sposób było nie rozpoznać nawet ciemną nocą.

– Zgadza się – rzekł pan Bradshaw. – To właśnie z panem chciałem się widzieć. – I poszedł prosto do gabinetu. Pan Benson podążył za nim i zamknął drzwi. Pan Bradshaw stał przy stole, szperając w kieszeni. Wyjął dokument; a otwartszy go, po chwili, podczas której dałoby się policzyć do pięciu, wyciągniętą ręką podał go panu Bensonowi.

– Czytaj pan! – wyrzucił z siebie. Nie wypowiedział ani jednego słowa więcej, póki nie minął czas potrzebny na przestudiowanie pisma. Potem zapytała: – To pański podpis?

Były to słowa stwierdzenia, lecz wypowiedziane tonem zapytania.

– Nie, nie mój – odparł pan Benson zdecydowanie. – Bardzo jest podobny do mego pisma. Mógłbym niemal rzec, że jest mój, lecz wiem, że nim nie jest.

– Niechże się pan zastanowi. Data to trzeci sierpnia ubiegłego roku, czternaście miesięcy temu. Mógł pan o tym zapomnieć. – W tonie jego głosu jawiło się coś na kształt żarliwej prośby, czego pan Benson nie zauważył... tak bardzo był zadziwiony wierną kopią własnego podpisu.

– Jest niezwykle podobny do mojego; lecz ja nie mógłbym podpisem rzec się tych udziałów – wszelkiego mienia, jakie posiadam – nie zachowawszy o tym żadnego wspomnienia.

– Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Na wszystkie świętości, niechże się pan zastanowi, czy tego nie podpisał. Widzi pan, jest to zlecenie sprzedaży udziałów ubezpieczeniowych. Nie pamięta go pan? Nie skreślił pan tego nazwiska – tych słów? – Spojrzał na pana Bensona z tęsknym pragnieniem jednej, określonej odpowiedzi. Nareszcie uderzyło pana Bensona całe to postępowanie i z niepokojem zerknął na pana Bradshawa, którego zachowanie, krok i głos tak były dlań niezwykle, że nic dziwnego, iż zwróciły na siebie uwagę. Lecz kiedy ów uświadomił sobie, iż poddano go krótkiej inspekcji, natychmiast zmienił ton.

– Niech pan sobie nie wyobraża, że pragnę narzucić mu jako wspomnienie jakiś wymysł. Jeżeli pan nie skreślił tego nazwiska, wiem, kto to uczynił. Raz jeszcze pytam pana – czy żaden przebłysk wspomnienia... gdyż, powiedzmy, potrzebował pan pieniędzy... Bóg jeden wie, że nigdy nie chciałem, by zaprzestał pan przyjmowania mych datków na kaplicę!... wspomnienia sprzedaży owych przeklętych udziałów?... Och! Po minie pańskiej widzę, że pan tego nie napisał; nie musi pan tego mówić – ja wiem.

Opadł na stojące nieopodal krzesło. Cała jego postać zwiotczała, opadła z sił. Po chwili jednak zerwał się i stanął wyprostowany jak strzała twarzą w twarz z panem Bensonem, który nie miał pojęcia, co było powodem wzburzenia tego surowego człowieka.

– Twierdzi pan, że to nie pan skreślił te słowa? – tu wskazał podpis palcem, który ani drgnął. – Wierzę panu. To Richard Bradshaw je napisał.

– Mój drogi panie, mój drogi, stary przyjacielu! – wykrzyknął pan Benson – wyciąga pan pochopne wnioski, co do których, jestem przekonany, nie ma żadnych podstaw; nie ma powodu, by snuć takie przypuszczenia, ponieważ...

– Jest powód, proszę pana. Niech się pan nie trapi, jestem zupełnie spokojny. – Kamienny jego wzrok i nieruchoma twarz istotnie wyglądały nieugięte. – To, co musimy w tej chwili uczynić, to ukarać występki. Nie mierzę siebie i tych, których kocham – (a kochałem go, panie Benson) jedną miarą, by resztę świata mierzyć inną. Gdyby nieznajomy sfalszował mój podpis, wiedziałbym, iż mym obowiązkiem jest go zaskarżyć. Musi pan zaskarżyć Richarda.

– Nie uczynię tego – odparł pan Benson.

– Być może myśli pan, że ja to dotkliwie odczuję. Myli się pan. Przestałem go uznawać za syna. Zawsze towarzyszyło mi postanowienie, iż wyrzeknę się każdego z mych dzieci, które winne będzie grzechu. Wyrzekam się Richarda. Jest dla mnie jak człowiek obcy. Nie poczuję niczego w związku ze zdemaskowaniem go... z ukaraniem... – Nie mógł mówić dalej, gdyż głos zastął mu w gardle. – Rzecz jasna, rozumie pan, iż zmuszony jestem odczuwać wstyd na myśl o łączącej nas więzi; to właśnie nad tym boleję; wszak tylko takie odczucie spójne jest z charakterem człowieka, który zawsze szczyił się rzetelnością swego nazwiska; co się zaś tyczy owego chłopca, który całe życie wychowywany był tak, jak wychowywałem wszystkie moje dzieci, to musi w nim tkwić wrodzona jakaś nikczemność! Panie, mogę go odciąć, aczkolwiek był mi jak moja własna prawica – ukochanym. Proszę, niechże nie będę zaważałem dla biegu sprawiedliwości. Sfalszował pańskie nazwisko, sprzeniewierzył pańskie pieniądze, wszystkie, powiedział pan, jak się zdaje.

– Ktoś sfalszował moje nazwisko. Nie jestem pewien, czy był to pański syn. Dopóki nie poznam wszystkich okoliczności, dopóty odmawiam zaskarżania kogokolwiek.

– Jakichże okoliczności? – zapytał pan Bradshaw władczo, co dowodziłoby wzburzenia, gdyby nie jego opanowanie.

– Siła pokusy... dawniejsze nawyki tej osoby...

– Richarda. To on jest tą osobą – wtrącił pan Bradshaw.

Pan Benson mówił dalej, nie zważając na te słowa.

– Uznałbym zaskarżenie za rzecz słuszną, jeżelibym się dowiedział, iż ów wymierzony we mnie występki był zaledwie jednym z szeregu czynów popełnionych z premedytacją i przeciwko ogółowi społeczności. Wówczas, jako obrońca tych, którzy bardziej niż ja są pozbawieni pomocy...

– To było wszystko, co pan posiadał – rzekł pan Bradshaw.

– Były to wszystkie moje pieniądze; nie wszystko, co posiadam – odparł pan Benson; potem mówił dalej, jak gdyby w ogóle mu nie przerwano – ...w obliczu zatwardziałego złooczyńcy. Nie zaskarżę Richarda. Nie dlatego, że to pański syn – proszę nie myśleć, że dlatego! Odmówiłbym powzięcia tego kroku względem każdego młodego człowieka, zanim bym pierwaj nie ustalił szczegółów jego dotyczących, które w przypadku Richarda są mi już znane i które skłaniają mnie do nieczynienia czegoś, co zniszczyłoby jego opinię na całe życie – co zniszczyłoby każdą zaletę, jaką posiada.

– A czy jakieś zalety jeszcze w nim pozostały? – zapytał pan Bradshaw. – Oszukał mnie... obraził Boga.

– Czyśmy wszyscy Go nie obrazili? – zapytał pan Benson cicho.

– Nie świadomie. Nigdy świadomie nie czynię zła. Lecz Richard... Richard. –

Wspomnienie wyprowadzających z błędu listów – fałszerstwa – tak bardzo przepełniło jego serce, iż na minutę czy dwie mowę mu odjęło. Lecz kiedy spostrzegł, że pan Benson zamierza właśnie coś powiedzieć, wtrącił:

– Nie ma sensu o tym mówić, proszę pana. Nie dojdziemy do porozumienia w tej kwestii. Powtarzam raz jeszcze, pragnę, ażeby pan zaskarżył tego chłopca, który już nie jest moim dzieckiem.

– Panie Bradshaw, nie zaskarżę go. Powiedziałem to raz na zawsze. Jutro będzie pan rad, że go nie posłuchałem. W tej chwili mówiąc więcej, wyrządziłbym tylko szkodę.

Drażni nas zawsze to, gdy ktoś mówi nam, że nastrój, przez którego pryzmat silnie postrzegamy w tej chwili daną sprawę, w innej nie będzie już nad nami panował. Sugeruje to, iż zaślepiają nas nasze obecne uczucia i że obserwator o niezaćmionym wzroku potrafi dostrzec naszą przyszłość lepiej niż my sami. Osoba najbardziej powierzchowna niechętnie słyszy, że każdy potrafi oszacować jej głębię. Nie ułagodziła pana Bradshawa ostatnia poczyniona przez pana

Bensona uwaga. Pochylił się, by podnieść kapelusz i odejść. Pan Benson dostrzegł, że szuka nieprzytomnie, po omacku i podał mu to, czego szukał; lecz pan Bradshaw odebrał kapelusz bez słowa podziękowania. W milczeniu skierował się ku drzwiom, lecz w chwili, gdy się przy nich znalazł, odwrócił się i rzekł:

– Gdyby było więcej ludzi do mnie podobnych, a mniej podobnych do pana, byłoby na świecie mniej zła. To pańscy sentymentalisci pielęgnują grzech.

Chociaż pan Benson był podczas tej rozmowy bardzo spokojny, przemożnie nim wstrząsnęło to, co ujawniono w kwestii fałszerstwa, jakiego dopuścił się Richard; nie tyle sam ów fakt, ile to, czego był zwiastunem. Niemniej znał młodego człowieka od dziecka i wiedział, a często również żałował, że brak odwagi moralnej uczynił go szczególnie podatnym na wszelkie złe konsekwencje surowego i despotycznego ojcowskiego traktowania. Dick nigdy nie miałby w sobie wystarczających pokładów „junactwa” do tego, aby stać się zatwardziałym nikczemnikiem, bez względu na okoliczności; niemniej, jeżeli zawczasu nie poddano by go dobremu jakiemuś oddziaływaniu, jakiejś sile, mógł z łatwością przeobrazić się w podstępного łotra. Pan Benson postanowił z samego rana udać się do pana Farquhara i poradzić się go jako spokojnego, trzeźwo myślącego przyjaciela rodziny – współnika w interesach, jak również zięcia oraz szwagra zainteresowanych osób.

ROZDZIAŁ XXXI

Wypadek dyliżansu do Dover

Pan Benson leżał bezsennie z obawy, że zaśpi, spóźniając się tym samym do pana Farquhara (było około szóstej, ciemno, jak to zwykle o tej porze w październikowy poranek), gdy Sally podeszła do jego drzwi i zapukała. Zawsze wstawiała wcześniej; a gdyby nie to, że ubiegłej nocy położyła się na długo przed wizytą pana Bradshawa, pan Benson mógłby śmiało poprosić ją, by go zbudziła.

– Jest tu na dole kobieta, co to chce się z paniczem natychmiast widzieć. Wejdzie za mną na górę, jeżeli panicz prędko nie zejdzie.

– Czy to ktoś od Clarke'a?

– Nie, nie! Nie o to chodzi, panie – rzekła przez dziurkę od klucza. – Po mojemu to chyba pani Bradshaw, chociaż taka bardzo opatulona.

Nie potrzeba mu było ani słowa więcej. Kiedy zszedł na dół, pani Bradshaw siedziała w jego fotelu, kołysząc się wprzód i w tył, i zanosząc od niepohamowanego płaczu. Pan Benson podszedł do niej, nim jeszcze zauważyła jego obecność.

– Ach, proszę pana! – rzekła, powstając i chwytając go za ręce – nie będzie pan tak okrutny, prawda? Mam gdzieś trochę pieniędzy – trochę pieniędzy, które zapisał mi ojciec, proszę pana; nie wiem ile, lecz zdaje mi się, że ponad dwa tysiące funtów, i pan to wszystko dostanie. Jeżeli nie będę mogła dać ich panu teraz, sporządzę testament. Niechże pan tylko będzie litościwy dla biednego Dicka – niechże go pan nie zaskarża.

– Moja droga pani Bradshaw, proszę się tak nie denerwować. Nigdy nie zamierzałem go zaskarżyć.

– Ale pan Bradshaw mówi, że musi pan to uczynić.

– Naprawdę tego nie zrobię. Powiedziałem o tym panu Bradshawowi.

– Czy on tu był? Och! Czyż nie jest okrutny? Wszystko mi jedno. Byłam dotąd dobrą żoną. Wiem, że nią byłam. Od dnia ślubu zawsze czyniłam wszystko, co mi kazał. Lecz teraz powiem to, co myślę, i oznajmię wszystkim, jaki on okrutny – jakże srogi wobec tych, co są krwią z jego krwi i ciałem z jego ciała! Jeżeli wsadzi Dicka do więzienia, to pójdę tam i ja. Jeżeli przyjdzie mi wybierać między własnym mężem a synem, wybiorę syna; bo nie będzie miał żadnych przyjaciół, jeżeli mnie przy nim zabraknie.

– Pan Bradshaw zmieni zdanie. Zobacz pani, że gdy pierwszy gniew jego i zawód przeminą, nie będzie srogi ani okrutny.

– Nie zna pan pana Bradshawa – odrzekła z boleścią – jeżeli wierzy w to, że on się zmieni. Mogę błagać i błagać – co wielokrotnie czyniłam, kiedyśmy mieli małe dzieci, a ja chciałam oszczędzić im chłosty – lecz nigdy jeszcze żadne me błaganie nie przyniosły pożytku. W końcu dałam za wygraną. On się nie zmieni.

– Być może nie dzięki człowieczym błaganiom. Pani Bradshaw, czyż nie istnieje nic, co ma większą od nich moc?

Ton jego głosu sugerował to, czego nie wyrzekł wprost.

– Jeżeli ma pan na myśli to, iż Bóg mógłby zmiękczyć jego serce – odparła pokornie – ja nie zamierzam przeczyć Boskiej mocy – potrzeba mi o Nim myśleć – ciągnęła, na nowo zalewając się łzami – gdyż jestem bardzo nieszczęśliwą kobietą. Niech pan tylko pomyśli! Wczorajszej nocy prawil mi zarzuty i oświadczył, że gdybym nie była zepsuła Dicka, to nigdy by do tego nie doszło.

– Wczorajszej nocy nie wiedział, co mówi. Pójdę natychmiast do pana Farquhara, ażeby się

z nim zobaczyć; a pani niechże lepiej wraca do domu, moja droga pani Bradshaw; może pani mieć ufność, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy.

Niejaką trudność sprawiło panu Bensonowi nakłonienie jej do porzucenia zamiaru pójścia z nim do pana Farquhara; lecz jednak musiał odprowadzić ją pod własne jej drzwi, nim udało mu się ją przekonać, że obecnie nie może uczynić nic prócz czekania na wynik narady innych ludzi.

Była to pora przed śniadaniem i pan Farquhar był sam; pan Benson miał zatem okazję spokojnie opowiedzieć mężowi całą historię, nim jeszcze żona zeszła na dół. Pan Farquhar nie bardzo był zaskoczony, zmartwił się jednak ogromnie. Wyznawany zawsze przezeń ogólny pogląd odnośnie do charakteru Richarda skłaniał go do obaw nawet jeszcze przed śledztwem w sprawie udziałów ubezpieczeniowych. Niemniej wydarzenie to było wstrząsem, jakkolwiek silnie można się go było spodziewać.

– Cóż możemy zrobić? – zapytał pan Benson, jako że pan Farquhar siedział w ponurym milczeniu.

– Właśnie o to sam siebie zapytywałem. Sądzę, że muszę się spotkać z panem Bradshawem i spróbować wyrwać go choć trochę z tego nielitościwego nastroju. To trzeba uczynić najsamprzwy. Czy miałby pan coś przeciwko temu, aby udać się tam ze mną natychmiast? Zdaje się rzeczą szczególnie ważną, ażebyśmy ujarzmili jego zatwardziałość, nim sprawa nabierze rozgłosu.

– Chętnie pójdę z panem. Lecz zdaje mi się, że obecność moja raczej rozdrażni pana Bradshawa; przypomni mu się to, co mi wcześniej powiedział, a co, jak sądzi, winien wcielić w życie. Jednakowoż mogę odprowadzić pana pod drzwi i poczekać (jeżeli pan pozwoli) na ulicy. Chcę wiedzieć, jak się dzisiaj miewa, zarówno na ciele, jak i umyśle; istotnie bowiem, panie Farquhar, nie byłbym zaskoczony, gdyby on zeszłej nocy padł był martwy, bo tak okropnie się rozzłościł.

Pan Benson zgodnie z własnym życzeniem pozostał przed drzwiami, pan Farquhar tymczasem wszedł do środka.

– Ach, panie Farquhar, co się stało? – wykrzyknęły dziewczęta, biegnąc ku niemu. – Mama siedzi i płacze w dawnym pokoju dziecinnym. Zdaje nam się, że była tam całą noc. Nie chce nam powiedzieć, co się dzieje, ani pozwolić nam być przy niej; a ojczulek zamknął się w swym pokoju i nawet nam nie odpowiada, kiedy się doń odzywamy, chociaż wiemy, że nie śpi i że jest na nogach, bo słyszałyśmy, jak stąpał ciężko przez noc całą.

– Niechże ja pójdę do niego – rzekł pan Farquhar.

– Nie wpuści pana. To nie ma sensu.

Lecz wbrew temu, co mówili, poszedł; i ku ich zaskoczeniu, ojciec, usłyszawszy, kto to taki, otworzył drzwi i wpuścił ich szwagra do środka. Ów spędził u pana Bradshawa jakieś pół godziny, następnie wszedł do jadalni, gdzie dwie dziewczynki stały skulone nad ogniem, nie bacząc na nietknięte śniadanie za plecami; a skreśliwszy kilka linijek, poprosił, aby zaniósł liścik matce, mówiąc, że przyniesie jej on nieco pociechy i że za dwie lub trzy godziny przyśle Jemimę z dzieckiem – być może pozostanie u nich przez kilka dni. Nie miał czasu, ażeby powiedzieć im więcej; uczynić to miała Jemima.

Opuścił je i ponownie dołączył do pana Bensaona.

– Zapraszam pana do mnie na śniadanie. Za parę godzin wyjeżdżam do Londynu, a wcześniej muszę z panem pomówić.

Dotarłszy do domu, pobiegł na górę poprosić Jemimę, ażeby zjadła śniadanie sama w swej ubieralni, i w niecałe pięć minut był z powrotem na dole.

– Teraz mogę panu o tym opowiedzieć – rzekł. – Widzę ścieżkę, po której trzeba mi postąpić, lecz do pewnego miejsca tylko. Nie wolno nam w tej chwili dopuścić do spotkania Dicka z ojcem, w przeciwnym bowiem razie wszelka nadzieja na poprawę Dicka przepadnie na zawsze. Ojciec jego niewzruszony jest niczym dolny kamień młyński. Zabronił mi wstępu do swego domu.

– Zabronił panu!

– Owszem; ponieważ nie chciałem przyznać, że Dick jest na wskroś zły i zgubiony; i dlatego, że oznajmiłem, iż powrócę do Londynu z kancelistą i uczciwie przestawię Dennisonowi (to Szkot i człek rozsądny oraz wrażliwy) prawdziwy stan rzeczy. Na marginesie, nie wolno nam

pisnąć słówka temu kanceliście; w przeciwnym razie będzie się spodziewał odpowiedzi i powyciąga wszelkiej maści wnioski z niezadowolającej odpowiedzi, jaką z pewnością wymyśli. Dennison postąpi honorowo – rozpatrzy każdą stronę sprawy – dowie się, że pan nie zamierza nikogo zaskarżać; przedsiębiorstwo, którym kieruje, nie zwykło przegrywać. Ano tak! Gdym powiedział o tym wszystkim tyle, ile uznałem za roztropne – gdym przemówił tak, jak gdyby to, co mam uczynić, było już ustalone i postanowione, ten zawzięty stary człowiek zapytał, czy ma być automatem we własnym domu. Zapewnił mnie, że nie żywi wobec Dicka żadnych uczuć – a cały czas trząśł się jak osika; krótko mówiąc, powtarzał to samo mniej więcej, co, jak sądzę, powiedział panu ubiegłej nocy. Jednakowoż sprzeciwiłem mu się; a skutek tego taki, że zabronił mi wstępu do swego domu i, co więcej, mówi, że nie przyjdzie do biura dopóty, dopóki ja będę jego współnikiem.

– I cóż chce pan zrobić?

– Przyślę Jemimę z dzieckiem. Nie ma nic lepszego dla przywrócenia człowiekowi zdrowego samopoczucia niżli małe dziecko; no i nie wie pan, panie Benson, jaka jest Jemima! O nie! Chociaż zna ją pan od urodzenia. Jeżeli ona nie zdoła pocieszyć matki, dziecko zaś wkraść się do serca swego dziadka, to – może mi pan zrobić to, co mu się żywnie podoba. Powiem o wszystkim Jemimie i ufam, że jej bystrość i mądrość pomogą jej wypełnić to zadanie, ja tymczasem postaram się jak najlepiej wypełnić swoje.

– Richard jest za granicą, nieprawdaż?

– Jutro będzie w Anglii. Muszę go gdzieś złapać; lecz łatwo będzie mi to uczynić. Trudność stanowi to, co z nim począć – co mu powiedzieć, gdy go odnajdę. Musi zrezygnować ze współnictwa, to jasne. Nie mówiłem o tym jego ojcu, ale jestem co do tego zdecydowany. Nie pozwolę szargać dobrego imienia firmy, do której należę.

– Ale co z nim będzie? – zapytał pan Benson z niepokojem.

– Tego jeszcze nie wiem. Lecz przez wzgląd na Jemimę – przez wzgląd na jej drogiego starego ojca – nie pozostawię go samopas. Znajdę dlań jakieś zajęcie, tak dalekie od pokus, jak to tylko możliwe. Uczynię wszystko co w mej mocy. On zaś, jeżeli jest w nim choćby krztyna dobra, o wiele lepiej poradzi sobie na swobodniejszym stanowisku, na którym nie będzie z lęku przed ojcem pozbawiony indywidualności oraz szacunku do samego siebie. Zdaje się, że trzeba mi pana pożegnać, panie Benson – rzekł, patrząc na zegarek; muszę wszystko wyjaśnić żonie i pójść do owego kancelisty. Odezwę się do pana za dzień lub dwa.

Pan Benson trochę zazdrościł młodszemu mężczyźnie giętkości umysłu i umiejętności natychmiastowego działania. On sam czuł, że pragnąłby usiąść w swym zacisznym gabinecie i podumać nad odkryciami oraz wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin. W głowie mu się wręcz kręciło od słuchania planów pana Farquhara, kiedy je w skrócie przedkładał; a trzeba było nieco samotności oraz przemyśleń, nim pan Benson mógł zdecydować, czy słuszne były one i roztropne. Ogromnie wstrząsnęło nim odkrycie jawnej przewiny, której dopuścił się był Richard, aczkolwiek od jakiegoś już czasu miał o owym młodzieńcu niskie mniemanie; skutek tego był taki, że poczuł przygnębienie i przez kilka następnych dni nie był w stanie się z niego otrząsnąć. Nie dane mu nawet było czerpać pociechy ze współczucia siostry, ponieważ czuł, że honor nakazuje mu o niczym jej nie mówić; ona zaś szczęśliwie była tak pochłonięta jakąś rywalizacją w czynnościach domowych z Sally, że nie zauważyła niemej apatii brata.

Pan Benson czuł, że obecnie nie ma prawa nachodzić domu, do którego wstępu wzbroniono mu niegdyś w milczeniu. Sądził, że gdyby udał się teraz do pana Bradshawa nieproszony ani niezawezwany, można by jego zachowanie poczytać za nadużywanie wiedzy o skrywanej hańbie jednego z członków rodziny. A jednak pragnął pójść: wiedział, że pan Farquhar z pewnością niemal codziennie pisuje do Jemimy i chciał się dowiedzieć, co dzieje się w Londynie. Czwartego dnia po wyjeździe męża przyszła pół godziny po nadejściu poczty i poprosiła pana Bensaona o rozmowę na osobności.

Była w stanie głębokiego wzburzenia i znać było, że bardzo wiele płakała.

– Och, panie Benson! – rzekła – czy pójdzie pan ze mną przekazać ojculkowi złe wieści o Dicku? Walter przysłał w końcu list, w którym donosi mi, że go odnalazł – z początku mu się to nie udawało; lecz teraz zdaje się, że przedwczoraj usłyszał o wypadku, jaki przydarzył się

dylizansowi do Dover; wyrócił się – dwóch podróżnych zginęło, kilku zostało ciężko rannych. Walter powiada, żeśmy tak jak on winni czuć wdzięczność, iż Dick nie zginął. Mówi, że poczuł wielką ulgę, kiedy udawszy się tam – do niewielkiej gospody najbliższej miejsca, w którym dylizans się wyrócił – dowiedział się, iż Dick doznał tylko poważnych obrażeń; że nie jest jednym z tych, którzy zginęli. Lecz dla nas wszystkich jest to straszliwy wstrząs. Nie ma w tej chwili żadnego okropniejszego powodu do lęku, który pozwoliłby ów wstrząs złagodzić; mama nie nadaje się do niczego zupełnie, a żadna z nas nie śmie powiedzieć o tym ojczulkowi. – Dotąd Jemima usilnie starała się powstrzymywać szloch, lecz teraz ją opanowały.

– Jakże się miewa twój ojciec? Codziennie pragnąłem się tego dowiedzieć – zapytał czule pan Benson.

– Bardzo to z mej strony niefrasobliwe, że nie przyszedłem powiedzieć panu, co z nim; lecz wszakże tyle miałam roboty. Mama nie chce się do niego zbliżyć. Powiedział coś, czego, jak się zdaje, ona wybaczyć mu nie może. Nie chciała przychodzić na posiłki, dlatego że on przychodził. Niemalże zamieszkała w pokoju dziecinnym; powijmowała wszystkie stare zabawki Dicka i wszelkie ubrania, jakie po nim zostały i przeglądała je, i nad nimi płakała.

– Zatem pan Bradshaw ponownie do was dołączył; po tym, co powiedział pan Farquhar obawiałem się, że on się od was wszystkich zamierzał odosobnić?

– Szkoda, że tego nie uczynił – rzekła Jemima, rozplakawszy się na nowo. – Byłoby to o wiele bardziej naturalne od jego obecnego zachowania; jedyne, w czym jego postępowanie różni się teraz od wcześniejszego, jest to, że ani razu nie zbliżył się do biura, ale przychodzi na posiłki zupełnie tak, jak zwykle i rozmawia zupełnie tak, jak zwykle; i nawet robi coś, czego nigdy wcześniej u niego nie widziałam, a mianowicie usiłuje żartować – a wszystko po to, ażeby pokazać nam, jak niewiele go Dick obchodzi.

– Czy nigdy nie wychodzi z domu?

– Tylko do ogrodu. Pewna jestem, że mimo wszystko jednak go obchodzi; musi go obchodzić; nie może w taki sposób odrzucić dziecka, aczkolwiek sądzi, że może; a to sprawia, że tak bardzo boję się powiedzieć mu o tym wypadku. Czy pójdzie pan ze mną, panie Benson?

Nie potrzebował już ani słowa. Prawie biegł za nią, gdy prędko pokonywała drogę pobocznymi uliczkami. Kiedy dotarli na miejsce, weszła bez pukania, a włożywszy w dłoń pana Bensa list od męża, otworzyła drzwi pokoju ojca i mówiąc: „Ojczulku, przyszedł pan Benson”, zostawiła ich samych.

Pan Benson czuł, że ze zdenerwowania nie wie, co zrobić ani co powiedzieć. Zaskoczył pana Bradshawa, który siedział beczynnym przy kominku, wpatrując się sennie w rozżarzone węgle. Lecz dostrzegłszy gościa, zerwał się i przysunął fotel do stołu; a po wymianie pierwszych nieuniknionych wyrazów grzeczności zdawał się czekać, aż ów nawiąże rozmowę.

– Pani Farquhar poprosiła mnie – rzekł pan Benson, poruszając zagadnienie z drżącym sercem – ażebym powiedział panu o liście, który otrzymała od męża – przerwał na chwilę, czuł bowiem, że nie zbliżył się do prawdziwej trudności, jakkolwiek nie wiedział, w jaki sposób najlepiej się za to zabrać

– Nie powinna była kłopotać tym pana. Znam powód nieobecności pana Farquhara. Całkowicie potępiam jego postępowanie. Nie bacz na me życzenia; nie słucha rozkazów, a jako mój zięć winien czuć się zobowiązanym do okazywania szacunku. Jeżeli może pan zaproponować jakiś przyjemniejszy temat, to ja z chęcią pana wysłucham.

– Ani panu, ani mnie nie wolno myśleć o tym, czego byśmy z chęcią posłuchali czy o czym pomówili. Musi pan wysłuchać tego, co się tyczy jego syna.

– Wydziedzyczyłem młodzieńca, który był moim synem – odparł oschle.

– Dylizans do Dover się wyrócił – rzekł pan Benson, pobudzony do gwałtowności lodowatą surowością rozmówcy. Lecz w okamgnieniu zauważył, co skrywał ów straszliwy pozór obojętności. Pan Bradshaw spojrzał mu w twarz pojedynczym bolesnym wejrzeniem – a potem pobladł i poszarzał; tak był blady, że pan Benson podniósł się przerażony, ażeby zadzwonić, ale pan Bradshaw dał mu znak, by siedział spokojnie.

– Och! Postąpiłem zbyt raptownie, proszę pana – on żyje, żyje! – wykrzyknął, widział

bowiem, że popielata twarz na próżno usiłuje przemówić; lecz biedne usta (jeszcze przed minutą nieledwie tak drewniane) poruszały się bez ustanku, jak gdyby słowa pana Bensona nie wryły się jeszcze w jego umysł bądź nie zostały zrozumiane. Pan Benson udał się pośpiesznie po panią Farquhar.

– Och, Jemimo! – rzekł – tak źle to przeprowadziłem... taki byłem okrutny... lękam się, że on bardzo jest chory... przynieś wodę, brandy... – i czym prędzej powrócił do pokoju. Pan Bradshaw – ów wielki, silny mocarz – leżał w swym fotelu zemdlony, nieprzytomny.

– Mary, sprowadź matkę. Elizabeth, poślij po doktora – rzekła Jemima, mknąc do ojca. Oboje z panem Bensonem czynili wszystko, co w ich mocy, ażeby go ocucić. Pani Bradshaw zapomniała wszystkich swych ślubów pozostawiania obcą wobec męża, który wyglądał teraz na martwego i który być może nigdy już do niej nie przemówi ani jej nie usłyszy, i gorzko się ganiła za każde złe słowo, jakie wypowiedziała przeciw niemu podczas owych ostatnich kilku nieszczęsnych dni.

Zanim przybył doktor, pan Bradshaw otworzył oczy i częściowo doszedł do siebie, aczkolwiek nie odzywał się, czy też nie potrafił tego uczynić. Wyglądał tak, jak gdyby cios ów uczynił zeń starca. Oczy jego miały wyraz świadomy, lecz przyoblekły się ową mętną szklistością wielu lat życia. Dolna szczęka opadła względem górnej, nadając twarzy wygląd melancholijnego przygnębienia, aczkolwiek rozchylone zęby skrywały się za wargami. Lecz odpowiedział poprawnie (co prawda pojedynczymi sylabami) na wszystkie pytania, które zadał mu doktor. A medyk nie był tak zaniepokojony powagą ataku, jak rodzina, która знаła kryjącą się za nim tajemnicę i po raz pierwszy zobaczyła ojca leżącego z wyrazem zwiastującym śmierć na twarzy. Odpoczynek, opieka i odrobina lekarstwa – oto, co zalecił doktor; były to tak skromne zalecenia wobec ataku, który panu Bensonowi zdawał się tak poważny, że zapragnął opuścić pokój wraz z medykiem, ażeby zadać dalsze pytania i poznać prawdziwą opinię, która według niego musiała się kryć za owym pozorem. Lecz kiedy ruszył za doktorem, zauważył – wszyscy zauważyli – że pan Bradshaw usiłuje się podnieść, po to aby zatrzymać pana Bensona. Ogromnym wysiłkiem woli wstał, wspierając się jedną ręką o stół, ponieważ nogi się pod nim trzęsły. Pan Benson natychmiast podszedł do niego. Przez chwilę zdawało się, że nie ma władzy nad swym głosem; lecz w końcu rzekł tonem pokornego, tęsknego błagania, który bardzo był wzruszający:

– On żyje, panie; czyż nie?

– Owszem, proszę pana; jest tylko ranny. Z całą pewnością wydobrzeje. Jest z nim pan Farquhar – odparł pan Benson, któremu łzy nie pozwalały prawie mówić.

Po otrzymaniu odpowiedzi na swe pytanie pan Bradshaw przez dobrą minutę nie odrywał oczu od twarzy pana Bensona. Zdawało się, że pragnie wyczytać z samej jego duszy, czy mówił prawdę. W końcu przekonany opadł z wolna na fotel; i milczeli krótką chwilę, Benson czekał, chcąc się dowiedzieć, czy pan Bradshaw zapragnie natychmiast dalszych wieści. Nareszcie powoli złożył dłonie, zaciskając je w geście modlitewnym, i rzekł:

– Dzięki Bogu!

ROZDZIAŁ XXXII

Ławka Bradshawów ponownie zapelniona

Jeżeli Jemima folgowała niekiedy rojeniom, że z odkrycia występku Richarda wyniknie jedna dobra rzecz, a mianowicie to, iż między jej ojcem a panem Bensonem na powrót zawiąże się coś na kształt łączącego ich niegdyś porozumienia i dawnych stosunków – jeżeli nadzieja taka zaświtała kiedykolwiek w jej umyśle, to czekało ją rozczarowanie. Pan Benson przybyłby z wielką radością, gdyby pan Bradshaw po niego posłał; wyglądał choćby cienia takowego zaproszenia – lecz żadne nie nadeszło. Pan Bradshaw byłby z kolei na wskroś rad, gdyby owo rozmyślne odosobnienie, w jakim upływało teraz jego życie, przerywały niekiedy odwiedziny starego przyjaciela, któremu niegdyś zabronił wstępu do swego domu; lecz skoro ów zakaz przeszedł przez jego gardło, uparcie odmawiał teraz uczynienia czegokolwiek, co można by poczytać za jego odwołanie. Przez pewien czas rozpacz ogarniała Jemimę, gdy zastanawiała się, czy ojciec kiedykolwiek powróci do biura bądź podejmie na nowo dawne zwyczaje związane z prowadzeniem interesów. Zagroził wszakże jej mężowi, że tego nie uczyni. Jemima mogła jedynie pozostawać głuchą na wszelkie o owej groźbie wzmianki, które rzucał od czasu do czasu, najwyraźniej po to, ażeby się przekonać, czy wniknęła ona do umysłu jej męża na tyle głęboko, ażeby powtórzył ją żonie. Gdyby pan Farquhar powiedział jej o tym – gdyby nawet nie więcej niż dwie lub trzy osoby wiedziały, iż pan Bradshaw powziął takie postanowienie, choćby na marne pół godziny – mógłby teraz obstawać przy nim tylko i wyłącznie dla zachowania tego, co nazywał konsekwencją, a co w rzeczywistości było zacierzeniem. Jemima często cieszyła się z nieobecności matki, która wyjechała, aby pielęgnować syna. Gdyby pozostała w domu, jęłaby błagać i namawiać męża, ażeby powrócił do właściwych sobie zwyczajów, okazując przy tym taką trwogę na myśl, że on dochowa wiary swemu postanowieniu, iż pan Bradshaw poczułby się zobowiązany do jego dotrzymania na podstawie przypisywanej mu owej stałości właśnie. Pan Farquhar miał niejako trudne zadanie, kiedy krążył dość pośpiesznie między owymi dwoma miejscami – doglądając interesów w Eccleston oraz podejmując decyzje, pocieszając i prowadząc szczerze rozmowy w pokoju chorego Richarda. Podczas jego nieobecności wynikła konieczność zwrócenia się do jednego ze współników w pewnej ważnej sprawie; toteż ku sekretnej radości Jemimy, przyszedł pan Watson i zapytał, czy ojciec jej czuje się na tyle dobrze, ażeby mógł go przyjąć w interesach? Jemima przekazała ojcu owo zapytanie co do słowa; a odpowiedź, której udzielił z wahaniem, była twierdząca. Niebawem zobaczyła, że wychodzi z domu w towarzystwie starego wiernego kancelisty; a kiedy spotkał ją podczas kolacji, nie nawiązał w żadnym stopniu do wizyty porannego gościa ani do swego wyjścia w jej następstwie. Lecz odtąd regularnie chadzał do biura. W zupełnym milczeniu wysłuchiwał wszelkich wieści o wypadku Dicka i jego postępkach w odzyskiwaniu zdrowia, w sposób tak obojętny, na jaki tylko potrafił się zdobyć; lecz każdego ranka czekał w rodzinnym salonie na nadejście poczty, która przynosiła wszystkie listy z Południa.

Kiedy pan Farquhar powrócił nareszcie z wieściami o zupełnym ozdrowieniu Dicka, postanowił powiedzieć panu Bradshawowi o wszystkim, co uczynił i ustalił w związku z przyszłą karierą jego syna; lecz, jak później oznajmił panu Bensonowi, trudno było mu orzec, czy pan Bradshaw zwrócił uwagę na choć jedno z wypowiedzianych przezeń słów.

– Może pan być spokojny – odparł pan Benson – że nie dość, iż zwrócił na wszystko uwagę, to jeszcze zachował każde z użytych przez pana wyrażen niczym skarb.

– Cóż, usiłowałem wydobyć zeń jakiś pogląd, czy też oznakę uczuć. Muszę przyznać, że w związku z tym ostatnim nie żywiłem większych nadziei; lecz myślałem, że powie, czy postąpiłem

mądrze, czy też nie, wystarawszy się dla Dicka o tę pracę w Glasgow – że być może okaże oburzenie na wieść o tym, iż wyrugowałem jego syna ze spółnictwa tylko i wyłącznie na własną moją odpowiedzialność.

– Jak Richard to zniósł?

– O, skrucha jego jest wprost niezmierna. Gdyby nie to, że znane jest nam wszystkim powiedzenie „W chorobie diabeł chce mnichem zostać”, pokładałbym w nim większą wiarę; lub gdyby od początku miał silniejszy charakter albo gdyby wpojono mu prawdziwie dobre zasady, nie zaś ich zewnętrzne pozory tylko. Jednakowoż posada w Glasgow jest dlań najodpowiedniejsza; jasno określone obowiązki, nie spoczywa na nim żadna wielka odpowiedzialność, do tego życzliwy i czujny przełożony oraz znajomość ze współpracownikami o wznioślejszej naturze, lepszymi od tych, pośród których dane mu było dotąd przebywać. Bo wie pan, pan Bradshaw lękał się wszelkich zażyłości, jakie syn mógłby zawiązać, i chciał, ażeby wystrzegał się wszelkiego towarzystwa poza własną rodziną – nigdy nie pozwalał mu zaprosić przyjaciela do domu. Doprawdy, kiedy myślę o sprzecznym z naturą życiu, jakie podług oczekiwań pana Bradshawa miał wieść, stoję się wobec Dicka wyrozumiały i zaczynam żywić względem niego nadzieje. Na marginesie, czy udało się panu przekonać matkę Leonarda, aby posłała chłopca do szkoły? Istnieje ryzyko, że odosobnienie wpłynie nań podobnie jak na Dicka: że nie będzie w stanie mądrze dobierać sobie znajomości, gdy dorośnie, bo podnieta pływająca ze znalezienia się pośród towarzystwa będzie tak przemożna, iż uniemożliwi mu kierowanie się dużą dozą ostrożności przy doborze znajomych. Czy pomówił pan z nią o mym planie?

– Owszem! Lecz bezskutecznie. Rzekłbym wręcz, że ona nie chciała przyjmować żadnych w tej kwestii racji. Zdawało się, że niezachwianą odrazą napawa ją myśl o narażeniu syna na uwagi innych chłopców względem jego szczególnego położenia.

– Wszak oni w ogóle nie musieliby o tym wiedzieć. Co więcej, prędzej czy później chłopiec musi opuścić swój ciasny krąg znajomych i stawić czoło uwagom oraz wzgardzie.

– To prawda – odparł pan Benson boleściwie. – I niech mi pan wierzy, jeżeli istotnie jest to dla Leonarda najlepsze, to ona niebawem zmieni zdanie. Czymś niemal nadzwyczajnym jest sposób, w jaki jej gorliwe i bezinteresowne oddanie rzeczywistemu dobru chłopca doprowadza ją do słuszných i mądrych wniosków.

– Żałuję, że nie udało mi się oblaskawić jej na tyle, ażeby postrzegała mnie jako swego przyjaciela. Odkąd urodziło się dziecko, Ruth przychodzi w odwiedziny do Jemimy. Żona powiada, że ona siedzi i trzyma je w ramionach z taką czułością, jak gdyby cała jej dusza skłaniała się ku niemowlęciu. Lecz kiedy słyszy obce kroki na schodach, na powrót pojawia się w jej oczach ów wyraz, który Jemima zwie „spojrzeniem dzikiego zwierzęcia”, a ona wykrada się niczym jakie przerażone stworzenie. Po tym wszystkim, co uczyniła, ażeby odzyskać dobre imię, nie powinna się tak lękać bycia zauważoną.

– Dobrze pan mówi, „po wszystkim, co uczyniła”! My, którzyśmy są jej domownikami, nie wiemy nic bądź prawie nic o jej poczynaniach. Jeżeli potrzebuje pomocy, mówi nam po prostu, jak jej pomóc i w jakim celu; jeżeli zaś nie – być może dlatego, że niejaką ulgę przynosi jej możność chwilowego zapomnienia i scenach cierpienia, w których ona odgrywa rolę pocieszycielki, a być może dlatego, że zawsze cechowała ją nieśmiała, przyjemna małomówność – wówczas nie wiedzielibyśmy wcale, gdzie jest ani co robi, gdyby nie sami nieszczęśnicy, którzy gotowi byłiby błogosławić ją słowem, jeśliby tylko sama myśl o niej nie przyprawiała ich o dławiące łzy wzruszenia. A mimo to zapewniam pana, że ona przewycięża wszelką tę posępność i wypełnia nasz dom słonecznością. Nigdy nie jesteśmy szczęśliwsi niż wówczas, gdy ona jest w domu. Zawsze władała umiejętnością szerzenia pokoju, lecz obecnie jest to już wręcz wesołość. Co się zaś tyczy Leonarda: wątpię, aby najmądrzejszy i najtroskliwszy z nauczycieli potrafił nauczyć go wprost choć połowę tego, co matka wpaja mu nieświadomie i niebezpośrednio każdej godziny, którą on z nią spędza. Szlachetna jej, pokorna i nabożna wytrzymałość względem skutków zła, jakie wydarzyło się we wczesnym jej życiu, wydaje się być szczególnie zdatna do wywierania wpływu na chłopca, którego pozycja jest (niesprawiedliwie, gdyż on niczego złego nie uczynił) tak podobna do jej własnej.

– Cóż! Sądzę, że trzeba nam na razie porzucić ten temat. Uzna mnie pan za człowieka nieugiętego, praktycznego, gdy mu wyznam, że spodziewam się tego jedynie, iż przy takiej matce pozostanie domatorem nie przyniesie Leonardowi szkody. W każdym razie proszę pamiętać, że moja propozycja przez rok, przez dwa lata pozostanie niezmienną. Koniec końców, kogóż ona ma nadzieję zeń uczynić?

– Nie wiem. Zastanawiam się nad tym niekiedy; lecz ona, jak mniemam, nigdy. W naturze jej leży – być może to właśnie ta cecha sprawiła, że jest taką a nie inną osobą – nie wybiegać nigdy w przyszłość i z rzadka oglądać się wstecz. Wystarcza jej terażniejszość.

Tak zakończyła się ta rozmowa. Kiedy pan Benson powtórzył jej istotę siostrze, ta przez chwilę dumiała, wydając niekiedy gwizd (aczkolwiek w dużej mierze wyleczyła się już z tego nawyku), nareszcie zaś rzekła:

– Wiesz wszakże, że nigdy nie lubiłam biednego Dicka; a jednak zła jestem na pana Farquhara, że usunął go ze spółnictwa w tak pośpieszny sposób. Nie mogę się z tym pogodzić, mimo że zaproponował, iż pośle Leonarda do szkoły. Zresztą szarogęsi się we wszystkim niczym sam król! Jak gdybyś ty, Thurstanie nie potrafił go równie dobrze nauczyć, jak każdy inny nauczyciel w Anglii! Lecz nie zwróciłabym uwagi na ten afront, gdyby nie było mi przykro na myśl o Dicku (aczkolwiek nigdy nie mogłam go znieść), harującym w Glasgow za niewiadomo jak marną zapłatę, kiedy tutaj pan Farquhar bierze połowę miast trzeciej części zysków!

Lecz brat nie mógł jej powiedzieć – nawet Jemima nie dowiedziała się o tym przez długi czas jeszcze – iż część dochodów, którą Dick dostawałby jako młodszy wspólnik, gdyby pozostał w firmie, pan Farquhar pieczołowicie dlań odkładał; miano ją dostarczyć wraz ze wszystkimi odsetkami, gdy syn marnotrawny dowiedzie skrucy swym postępowaniem.

Kiedy nic nie zaprzętało czasu Ruth, w domu duchownego nastawał zaiste dzień świąteczny. Wyzbywała się wówczas na ile tylko mogła trosk oraz smutków, które na co dzień przypadały jej w udziale; i powracała rześka i pomocna, gotowa krzątać się na swój cichy, łagodny sposób i wypełniać wszelkiej maści posługi, i okraszać je wonią słodkiej swej natury. Misterne cerowanie, dla którego starszym kobietom nie starczało już wzroku, przekazywano zwinnym i prędkim palcom Ruth. Przepisując niekiedy to i owo, bądź cierpliwie pisząc pod dyktando i niosąc tym samym ulgę utrudzonemu kręgosłupowi pana Bensaona, czyniła to z wesołą skwapliwością. Lecz przede wszystkim to serce Leonarda radowało się, gdy jego matka wracała do domu. Wówczas następowały ciche chwile zwierzeń, czułe okazywanie miłości, radosne spacerki, z których powracał coraz silniejszy – zbierał siły, krocząc szlakiem wytyczanym przez matkę. Dobrze się stało, teraz to dostrzegli, że ogromny wstrząs związany z ujawnieniem prawdy przydarzył się wtedy, kiedy się przydarzył. Sama Ruth dziwiła się swemu tchórzostwu oraz temu, że w ogóle usiłowała zataić prawdę przez dzieckiem – prawdę, która prędzej czy później objawiłaby się przecież, i tylko Bożemu miłosierdziu zawdzięczać mogła to, że żyła, ażeby stawić jej czoło wraz z synem, a stawiając jej czoło, ochronić go i dodać dobrej odwagi. Co więcej, w skrytości serca wdzięczna była, że wszystko wydarzyło się wówczas, gdy nazbyt młody był jeszcze, ażeby ciekawić się bardzo osobą swego ojca. Jeżeli niezaspokojone uczucie tego rodzaju przemykało niekiedy przez jego myśli, ona nigdy nie usłyszała o nim żadnej wzmianki; przeszłość była bowiem dla nich zapieczętowaną księgą. Toteż dni upływały w jasnej mocy dobrych dążeń, rozrastając się znów do miesięcy i lat.

Być może pewne drobne zajście, które miało podówczas miejsce, nie było z pozoru na tyle ważne, ażeby nazwać je wydarzeniem; niemniej w oczach pana Bensaona urosło do tej właśnie rangi. Pewnego dnia, około roku po tym, jak Richard przestał być wspólnikiem w przedsiębiorstwie ojca, pan Benson spotkał pana Farquhara na ulicy i usłyszał od niego, że Richard prowadzi się w Glasgow, dokąd pan Farquhar udał się był ostatnio w interesach, w sposób zacny i chwalebny.

– Postanowiłem powiedzieć o tym jego ojcu – oznajmił. – Sądzę, że rodzina nazbyt jest posłuszna nałożonemu przezeń kategorycznemu niememu zakazowi wspominania imienia Richarda.

– Niememu zakazowi? – zapytał pan Benson.

– Ach! Podejrzewam, że użyłem tego określenia niestosownie wobec ścisłej poprawności,

jaka cechuje umysł uczonego; lecz mam na myśli to, że on zwykł opuszczać wnet pokój na każde wspomnienie imienia Richarda; a robił to w sposób tak dobitny, że stopniowo domownicy zrozumieli, iż ojciec ich nie życzy sobie, ażeby czynić jakiegokolwiek wzmianki odnośnie do jego imienia; co było zresztą bardzo dobre, kiedy nie można było o nim rzec niczego miłego; lecz dzisiaj wieczór tam pójdę i postaram się, aby mi nie umknął, dopóki nie powiem mu wszystkiego, co usłyszałem o Richardzie i co sam zauważyłem. Nigdy nie będzie cnotliwym herosem, ponieważ wychowanie wyzuło go z wszelkiej moralnej odwagi; lecz z odpowiednią pomocą i przy braku wszelkich silnych pokus przez czas pewien, powiedzie mu się bardzo dobrze; nie zaspokoi to ojcowskiej dumy, lecz z pewnością nie przyniesie jej też ujmy.

To w niedzielę po tym spotkaniu miało miejsce owo drobne zdarzenie, o którym wspomniałam.

Podczas popołudniowego nabożeństwa pan Benson zauważył, że duża ławka Bradshawów nie jest już pusta. W ciemnym końcu widać było białą głowę pana Bradshawa, pochyloną nisko w modlitwie. Ostatnim razem, gdy uczestniczył w nabożeństwie, włosy na głowie miał szare jak żelazo i nawet modląc się, stał wyprostowany w pozie przytomnej cnotliwości, której starczało zarówno dla wszelkich własnych jego potrzeb, jak i dla osądzania innych. Obecnie owa biała i sędziwa głowa była stale pochylona; co prawda, tę skromną postawę można było przypisać w pewnej mierze przykremu uczuciu, jakie towarzyszyło z pewnością wszelkiemu jawnemu cofnięciu złożonego przezeń niegdyś oświadczenia, że oto noga jego nigdy więcej nie postanie w kaplicy, w której pastorem był pan Benson; a skoro było to uczucie naturalne w przypadku każdego człowieka, w szczególności zaś w przypadku pana Bradshawa, pan Benson instynktownie je uszanował i wyszedł z kaplicy wraz z domownikami, nie skierowawszy wcale słów uszanowania ku ukryciu, w którym pan Bradshaw dalej trwał w bezruchu.

Od tego dnia pan Benson czuł pewność, iż raz jeszcze zaistniało między nimi dawne przyjazne uczucie, aczkolwiek mogło upłynąć trochę czasu, nim jakakolwiek okoliczność da sygnał do odnowienia wzajemnych stosunków.

ROZDZIAŁ XXXIII

Matka, z której jest się dumnym

Starzy ludzie mówią o pewnych latach, kiedy to tyfus szerzył się po kraju niczym mór; latach, które przywodzą wspomnienie głębokiego smutku – smutku niemożliwego do ukojenia – w niejednym domu; ci zaś, których ukochani przeszli przez ów czas płomienny bez szwanku, wzdragają się na myśl o nim: bo niepokój był przemożny i trwożliwy – nieustanne wygląkanie złowrogich objawów zaś nad wyraz przykre; a za progami domostw rozpościerała się nad ogółem społeczności gęsta chmura przygnębienia. Zdawało się, iż larum było wprost proporcjonalne do poprzedniej beztroski zrodzonej z urojonego bezpieczeństwa – i tak też było w istocie; gdyż od czasów króla Baltazara uroczyste wyroki przeznaczenia zdawały się zawsze najstraszniejsze wówczas, gdy napawały trwożliwym milczeniem wesołych hulaków życia. Tak też zdarzyło się owego roku, o którym teraz będzie mowa w mojej opowieści.

Lato było niezwykle piękne. Niektórzy narzekali na parny upał, lecz inni wskazywali na obfitą roślinność, która była bujna i przepyszna. Wczesna jesień była mokra i zimna, lecz ludzie nie zwracali na to uwagi, pochłonięci rozważaniami nad pewnym napawającym dumą i radością wydarzeniem w kraju, które wypełniało szpalty każdej gazety i stanowiło pożywkę dla każdego języka. W Eccleston owa radość była większa niż w większości innych miejsc; podejrzewano bowiem, iż za sprawą tryumfu wojsk otworzy się nowy rynek zbytu dla wyrobów podstawowego przemysłu tego miasta; przeto handel, który od dwóch lat mniej więcej marniał, miał się obecnie odrodzić ze zdwojoną energią. Oprócz tych zasadnych przyczyn dobrego nastroju istniało również znaczne podniecenie nadchodzącymi wyborami, które miały się odbyć wskutek przyjęcia przez pana Donne'a posady rządowej^[89], o którą wystarał się dlań jeden z wpływowych krewnych. Tym razem Cranworthowie poderwali się z wspaniałego odrętwienia, czerpanego z poczucia bezpieczeństwa, jakie towarzyszyło im w pomyślnych czasach, i jęli się oddawać szeregowi wystawnych i niezgrabnych przejawów serdeczności, po to aby na powrót zdobyć lojalność wyborców z Eccleston.

Podczas gdy w mieście głośno było od wszystkich tych poruszanych na zmianę zagadnień – raz myślano i mówiono o wspaniałym odrodzeniu handlu – raz znów o szansach w wyborach, na razie odległych o kilka tygodni jeszcze – raz o balach w Cranworth Court, na których pan Cranworth tańczył ze wszystkimi pięknosciami ecclestońskiej sklepokracji – zakradła się ciemnym mulistym szlakiem straszliwa gorączka – owa gorączka, która nigdy zupełnie nie znika z posępnych siedzib występku i cierpienia, lecz żyje w owych ciemnościach niczym dzika bestia w zakamarkach swej pieczary. Początek swój miała w nędznych kwaterach irlandzkich robotników; lecz tam była tak powszechna, iż niewiele wzbudzała uwagi. Biedacy marli pozbawieni niemal zupełnie opieki nieświadomych zagrożenia medyków, którzy pierwsze ostrzeżenie o szerzącej się zarazie otrzymali od rzymskokatolickich księży.

Zanim medycy z Eccleston znaleźli czas na to, ażeby się zebrać i naradzić oraz porównać pozbierane przez każdego z osobna wiadomości odnośnie do gorączki, choroba niczym płomień ognisty, który w pierw długo się tlił, wybuchła w wielu miejscach naraz – nie tylko pośród tych, co wiedli żywot rozpustny i występny, lecz pośród przyzwoitej biedoty – ba, nawet pośród tych, którzy cieszyli się powodzeniem i szacunkiem. A żeby dodać jeszcze okropieństwa, jej przebieg, podobnie jak w przypadku wszelkich podobnych zaraz, najgwałtowniejszy był na samym początku, a w ogromnej większości przypadków śmiertelny – od zarania niepozostawiający nadziei. Był krzyk, a potem długie milczenie, a potem rozległo się długie zawodzenie ocalałych.

Wydzielony wcześniej oddział dla chorych na gorączkę powiększono o część szpitala miejskiego; gdy tylko było to możliwe, przenoszono tam natychmiast rażonych chorobą, aby zapobiec szerzeniu się zakażenia; i to w tym lazarecie skupiały się wszelkie siły i umiejętności medyczne szpitala.

Lecz kiedy zmarł jeden z lekarzy wskutek bytności w owym miejscu – kiedy w ciągu dwóch dni choroba zmożła wszystkie pracujące tam siostry przełożone oraz pielęgniarki, a pielęgniarki należące do szpitala umknęły przed zaciągnięciem na morowy oddział dla chorych na tyfus – kiedy wysokie wynagrodzenie nie zdołało skusić żadnej z nich na to, co w obliczu trwogi uważały za pewną śmierć – kiedy doktorzy stali przerażeni prędkim tempem umierania niedogładanych cierpiętników, którzy polegać mogli jedynie na opiece najbardziej nieokrzesanych najemnych sług, zbyt grubiańskich, ażeby rozpoznać uroczystą powagę śmierci (wszystko to wydarzyło się w ciągu tygodnia od pierwszego potwierdzenia wystąpienia pomoru), wówczas pewnego dnia Ruth weszła, cichszym niż zwykle krokiem, do gabinetu pana Bensona i oznajmiła, iż pragnie z nim parę chwil pomówić.

– Ależ naturalnie, moja droga! Usiądź – rzekł; stała bowiem, opierając głowę o gzyms kominka i wpatrując się biernie w ogień. I dalej tam stała, jak gdyby nie dosłyszała jego słów; kilka chwil upłynęło jeszcze, nim przemówiła. Wówczas oznajmiła:

– Pragnę panu oznajmić, iż dzisiaj rano byłam na oddziale dla chorych na gorączkę i zaofiarowałam pomoc w charakterze siostry przełożonej, skoro mają tam teraz tak wielu pacjentów. Przyjęto mnie; udam się tam dziś wieczór.

– Och, Ruth! Tego się obawiałem; widziałem twe spojrzenie dzisiejszego ranka, kiedyśmy mówili o tej straszliwej chorobie.

– Dlaczego mówi pan o obawie, panie Benson? Wszakże pan sam widział się z Johnem Harrisonem i ze starą Betty, i z wieloma innymi chyba, o którychśmy nawet nie słyszeli.

– Ale to coś zgoła innego! W takim morowym powietrzu! Pośród tak zjadliwych przypadków! Czyż ty to wystarczająco przemyślała i rozważyła, Ruth?

Przez chwilę stała zupełnie cicho, ale oczy jej wypełniły się łzami. Nareszcie rzekła, bardzo łagodnie, z czymś w rodzaju spokojnego namaszczenia:

– Owszem! Przemyślałam i rozważyłam. Lecz pomimo wszystkich lęków oraz myśli czułam, iż trzeba mi tam iść.

Myśl o Leonardzie była obecna w umysłach obojga; lecz przez kilka chwil jeszcze żadne się nie odzywało. Potem Ruth rzekła:

– Zdaje mi się, iż nie mam obaw. A to, jak powiadają, wspaniały środek ochronny.

W każdym razie, jeżeli mam w sobie odrobinę wrodzonego lęku, to przemija on zupełnie, gdy przypomnę sobie, że jestem w rękach Boga! Och, panie Benson – ciągnęła, nie potrafiąc już dłużej powstrzymać łez – Leonard, Leonard!

A teraz była jego kolej, aby przemówić pełnymi odwagi słowami wiary.

– Biedna, biedna matko! – rzekł. – Bądź spokojnego serca. On także jest w rękach Boga. Pomyśl, że to przecież chwila tylko oddzieli cię od niego, jeżeli umrzesz podczas tej pracy!

– Ale on... ale on... dla niego będzie to długi czas, panie Benson! Będzie sam!

– Nie, Ruth, nie będzie sam. Bóg i wszyscy dobrzy ludzie czuwać nad nim będą. Lecz jeżeli nie zdołasz przemóc dręczącego lęku o to, co się z nim stanie, nie powinnaś iść. Tak trwożliwe uniesienie uczyni cię podatną na zarażenie gorączką.

– Nie będę się bała – odparła, podnosząc twarz, którą spowijała pogodna światłość, niczym blask od Boga płynący. – Nie boję się o siebie. Nie będę też się bać o moje kochanie.

Po krótkiej chwili milczenia zajęli się ustaleniami dotyczącymi sposobu, w jaki zamierzała odejść, mówili też o długości czasu, jaki miałyby spędzić na wypełnianiu tymczasowych obowiązków. Rozmawiając o powrocie, uznali go za rzecz pewną, jakkolwiek dokładna jego pora była im nieznana i zależeć miała w zupełności od czasu trwania zarazy; niemniej w skrytości serc czuli, gdzie dokładnie kryła się trudność. Ruth miała się porozumiewać z Leonardem i panną Faith wyłącznie za pośrednictwem pana Bensona, który obstawał przy swym postanowieniu, iż każdego wieczoru będzie się udawał do szpitala, ażeby się dowiedzieć, jak upłynął dzień, oraz o stan

zdrowia Ruth.

– Nie chodzi mi jedynie o ciebie, moja droga! Być może jest wielu chorych, o których, jeżeli w inny sposób nie potrafię zapewnić im ukojenia, będę dostarczał wieści przyjaciółom.

Wszelkie ustalenia poczyniono z poważnym spokojem; mimo to jednak Ruth nie ruszała się z miejsca, jak gdyby dodawała sobie otuchy przed jakimś ogromnym wysiłkiem. Nareszcie rzekła z nikłym uśmiechem na bladej twarzy:

– Jestem, jak się zdaje, wielkim tchórzem. Stoję tu i mówię, ponieważ boję się powiedzieć Leonardowi.

– Nie wolno ci o tym myśleć – wykrzyknął. – Zostaw to mnie. Z pewnością nie posłuży to twojej odwadze.

– Muszę o tym myśleć. Za chwilę będę miała w sobie dość opanowania, ażeby uczynić to spokojnie... aby przemówić z ufnością. No bo proszę pomyśleć – ciągnęła, uśmiechając się przez łzy, które zbierały się w jej oczach – jaką pociechą będzie dla nieboraczka wspomnienie tych kilku ostatnich słów, jeśli... – słowa te krztusiła z wysiłkiem, lecz uśmiechała się nadal dzielnie. – Nie! – rzekła – należy to uczynić; lecz być może oszczędzi mi pan jednego – czy powie pan ciotce Faith? Jestem chyba bardzo słaba, lecz wiedząc, że trzeba mi iść, i nie mając pewności, w jaki sposób może się to wszystko zakończyć, czuję, że w końcu nie potrafiłabym się oprzeć jej zakłębom. Czy powie jej pan o tym, kiedy ja pójdę do Leonarda?

Przystał w milczeniu, po czym oboje wstali i postąpili naprzód spokojni i opanowani. I spokojnie oraz łagodnie opowiedziała Ruth synkowi o swym zamiarze; nie śmiała nawet uciec się do jakichkolwiek nadzwyczajnych czułych słów bądź gestów, obawiała się bowiem, że czyniąc to wzbudziłaby w nim niepotrzebne obawy o wynik swej pracy. Mówiła tonem pogodnym i prosiła, ażeby był mężny; i zaraził się ów biedaczek jej odwagą, jakkolwiek w jego przypadku zakorzeniona ona była raczej w nieświadomości rzeczywistego bezpośredniego zagrożenia, nie zaś, jak u niej – w głębokiej wierze.

Kiedy wyszedł, Ruth jęła szykować suknię. Gdy zeszła na dół, udała się do starego, znajomego ogrodu i zebrała bukiet ostatnich niezwiędłych jeszcze jesiennych kwiatów – kilka róż i tym podobnych.

Pan Benson pouczył siostrę naleźycie; i chociaż twarz panny Faith spuchnięta była od płaczu, przemawiała ona do Ruth z niemalże przesadną wesołością. Istotnie, kiedy tak stali wszyscy przy drzwiach frontowych, poruszając w rozmowie beztrioskie błahostki, jak gdyby było to zwyczajne pożegnanie, nie można było odgadnąć, iż w sercu każdego z nich kryły się napięte do granic uczucia. Pozostawali tam długo, ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na ich gromadkę. Ruth raz czy dwa zebrała się w sobie, by rzec „Bywajcie”, lecz kiedy wzrok jej padł na Leonarda, zmuszona była utaić drżenie warg i ukryć niespokojne usta pośród wiązki róż.

– Obawiam się, że nie pozwolą ci zatrzymać kwiatów – rzekła panna Benson. – Doktorzy bardzo często skarżą się, że zapach niszczy powietrze.

– Nie; prawdopodobnie nie – odparła pośpiesznie Ruth. – Nie pomyślałam o tym. Zatrzymam tę jedną różę tylko. Leonardzie, proszę, kochanie! – wręczyła mu resztę. Było to jej pożegnanie; skoro bowiem nie miała teraz woalu, za którym mogłaby skryć uczucia, przyzwała całą odwagę, ażeby zdobyć się na jeden uśmiech rozstania, i z uśmiechem się odwróciła. Lecz raz jeden obejrzała się za siebie na ulicy, z ostatniego miejsca, z którego widać było drzwi, a dostrzegłszy przelotnie Leonarda, który stał na samym przedzie na stopniu, rzuciła się biegiem z powrotem, on zaś spotkał ją w połowie drogi i matka oraz dziecko nie przemówili ni słowem, trwając w ciasnym uścisku.

– No, Leonardzie – rzekła panna Faith – bądźże dzielnym chłopcem. Przekonana jestem, że ona niezadługo do nas wróci.

Jednakże sama była bardzo bliska płaczu; i zdaje mi się, iż byłaby się mu poddała, gdyby nie dane jej było znaleźć zdrowego ujścia dla uczuć, jakim okazało się skarcenie Sally za to, iż dała wyraz pogładowi odnośnie do poczynań Ruth, który ona sama wyraziła była nieledwie dwie godziny wcześniej. Wziąwszy sobie za przykład słowa brata, wystosowała do Sally taką lekcję o braku wiary, iż sama siebie zaskoczyła i tak wielce poruszyła własnymi słowy, że dość

pośpiesznie musiała zamknąć drzwi łączące kuchnię z bawialnią, ażeby uniemożliwić grożącej odpowiedzi Sally osłabienie wiary w słuszność tego, co uczyniła Ruth. Słowa jej sięgały dalej, niżli przekonania.

Wieczór w wieczór udawał się pan Benson po nowiny o Ruth; noc zaś w noc powracał z pomyślnymi wieściami. Gorączka, co prawda, szalała; lecz nie zbliżyła się do niej żadna zaraza. Oznajmił, że twarz Ruth była zawsze spokojna i pogodna, chyba że spowijał ją smutek, gdy powiadała o śmierciach, jakie zdarzały się pomimo najtroskliwszej opieki. Oświadczył, iż nigdy jeszcze nie widział jej twarzy tak urodziwą i łagodną, jaką była obecnie, gdy Ruth przebywała pośród choroby i rozpacz.

Pewnego wieczoru Leonard (Bensonowie nabrali bowiem odwagi względem choroby) towarzyszył mu w przechadzce na ulicę, przy której stał szpital. Pan Benson zostawił go tam i nakazał wrócić do domu; lecz chłopiec się ociągał, nęcił go tłum, który się tam zebrał i wpatrywał bacznie w oświetlone okna szpitala. Niczego nie dało się dojrzeć; lecz większość owych biedaków miała w tym pałacu śmierci przyjaciół bądź krewnych.

Leonard stał i nasłuchiwał. Początkowo na to, co mówili, składały się niejasne i przesadzone świadectwa (o ile możliwa była przesada w tej kwestii) okropieństw gorączki. Następnie jęli mówić o Ruth – o jego matce; a Leonard wstrzymał oddech, aby usłyszeć.

– Powiadają, że to wielka grzesznica, a to jest jej pokuta – rzekł ktoś. A gdy Leonard złapał oddech, nim ruszył naprzód, ażeby zażądać od mówiącego cofnięcia tego kłamstwa, ozwał się pewien starzec:

– Ktoś taki jak ona nigdy nie był wielkim grzesznikiem; ani też nie czyni swojej pracy za pokutę, lecz z miłości do Boga i do błogosławionego Jezusa. Znajdzie się ona w światłości Boskiego oblicza, kiedy ty i ja stać będziemy z daleka. Powiadam ci, człeku, kiedy zmarło się mej biednej córce, a nikt nie chciał się do niej zbliżyć, jej głowa spoczywała w ową godzinę na piersi tej słodkiej kobiety. Mógłbym cię powalić – ciągnął starzec, wznosząc trzęsące się ramię – za to, żeś nazwał tę kobietę wielką grzesznicą. Spoczywa na niej błogosławieństwo tych, co gotowali się na śmierć.

Natychmiast rozległa się wrzawa na wiele głosów, każdy niósł opowieść o szlachetnych czynach jego matki, aż Leonardowi w głowie się zakręciło od uderzeń ukontentowanego, dumnego serca. Niewielu zdawało sobie sprawę z tego, jak wiele Ruth uczyniła; nigdy o tym nie mówiła, wzbraniając się z uroczą nieśmiałością przed czynionymi bez ustanku zbyt licznymi wzmiankami o jej pracy. Jej lewica prawdziwie nie wiedziała, co czyniła prawica; Leonard zaś był teraz oszołomiony słyszaniem wyrazami miłości oraz czci, jakimi ubodzy i odrzuceni ją obdarzali. Nie można ich było powstrzymać. Z dumą wystąpił naprzód i dotknąwszy ramienia starca, który przemówił jako pierwszy, usiłował również przemówić; lecz przez chwilę nie mógł, ponieważ serce jego było przepelnione: łzy napływały przed słowami, lecz nareszcie zdołał rzec:

– Proszę pana, ja jestem jej synem!

– Ty! Tyś jej dzieciak! Niechaj cię Bóg błogosławi, chłopcze – rzekła staruszka, przepychając się przez tłum. – Nie dalej jak wczoraj uspokajała moje dziecko, śpiewając mu psalmy przez caluśką noc. Cicho i słodko, cicho i słodko, tak żem słyszała – aż ucichł niejeden biedaczek, chociaż już zmysły postradał i nie słyszał psalmów od wielu lat. Niechaj cię Bóg na niebiesiech błogosławi, chłopcze!

Wiele innych zrozpaczonych, zdjętych żalem osób cisnęło się naprzód ze słowami błogosławieństwa dla syna Ruth, on tymczasem mógł jedynie powtarzać:

– To moja matka.

Od tego dnia Leonard chadzał wyprostowany ulicami Eccleston, gdzie „wielu powstało, ażeby ją sławić”^[90].

Po kilku tygodniach zajądłość gorączki osłabła; ogólna trwoga zaś ucichła – w postępowaniu wielu pojawiło się wręcz coś na kształt nierozwagi. Rzecz jasna zdarzało się, iż trwoga wciąż jeszcze w stopniu przesadnym panowała nad niektórymi ludźmi. Ale liczba pacjentów w szpitalu gwałtownie malała i znajdowali się tacy, którzy za pieniądze gotowi byli zająć miejsce Ruth. Lecz to dzięki niej ucichł dręczący miasto do granic wytrzymałości lęk; to ona udała się

własnowolnie, pozbawiona wszelkiej myśli zachłannej oraz wszelkiej chęci zysku, w same szczęki straszliwej choroby. Pożegnała się z pacjentami szpitala, a poddawszy się dokładnemu oczyszczeniu zgodnie z zaleceniem pana Davisa, naczelnego chirurga placówki, który zawsze doglądał Leonarda, powróciła do pana Bensaona w porze zmierzchu.

Domownicy prześcigali się nawzajem w kierowanych ku niej wyrazach najczulszej opieki. Pośpiesznie podali kolację; przysunęli kanapę do ognia; kazali jej się położyć; ona zaś ulegała wszystkiemu z dziecięcą potulnością; a gdy wniesiono świece, nawet zaniepokojone oczy pana Bensaona nie zauważyły żadnej zmiany w jej wyglądzie prócz tego, że zdawała się nieco bledsza. Oczy były nie mniej niż zwykle pełne duchowego światła, lekko rozchylone wargi równie różowe, a uśmiech zaś, choć może nie tak częsty, jak dawniej, był nie mniej niż zwykle słodki.

ROZDZIAŁ XXXIV

„Trzeba, ażeby poszła pielęgnować pana Bellinghama”

Następnego ranka panna Benson nalegała, aby Ruth położyła się na kanapie. Ruth pragnęła robić wiele rzeczy; być o wiele bardziej czynną; posłuchała jednak, skonstatowawszy, iż dogodzi pannie Faith, zachowując się tak cicho, jak gdyby w istocie była chorą.

Leonard siedział przy niej, trzymając za rękę. Od czasu do czasu podnosił wzrok znad książki, jak gdyby pragnął się upewnić, że ona istotnie doń powróciła. Przyniósł jej na dół kwiaty, które wręczyła mu w dniu odjazdu, a które trzymał w wodzie dopóty, dopóki nie utraciły resztek zieleni czy zapachu, a wówczas zasuszono je starannie i schowano. A i Ruth z uśmiechem wyjęła ową jedną różę, którą zabrała z sobą do szpitala. Nigdy wcześniej więź łącząca ją z synem nie była tak ścisła i silna.

Tego dnia do przykaplicznego domu przybyło wielu gości. Najsampierw pojawiła się pani Farquhar. Pod względem wyglądu różniła się bardzo od Jemimy Bradshaw sprzed trzech lat. Szczęście wydobyło piękno; koloryt twarzy był śliczny i żywy niczym barwy jesiennego dnia; malinowoczerwone wargi ledwie się zamykały ponad krótkimi białymi zębami wobec bezustannych uśmiechów; a jej duże ciemne oczy pały i lśniły codziennym szczęściem. Łagodności przydała im mgielka łez, która pojawiła się, gdy spojrzała na Ruth.

– Leż spokojnie! Nie ruszaj się! Dzisiaj zmuszona jesteś zadowolić się tym, że oto obsługują cię i pielęgnowają! Właśnie spotkałam w korytarzu pannę Benson, która raz po raz powtarzała, że zabrania mi ciebie męczyć. Och, Ruth! Jakże my ciebie wszyscy kochamy, skoro na powrót jesteś pośród nas! Czy wiesz, że nauczyłam Rosę odmawiać pacierze, gdyś tylko udała się w owo okropne miejsce, po to jedynie, ażeby jej niewinne usteczka mogły się modlić za ciebie – szkoda, że nie dane ci było słyszeć, jak się modli – „Proszę, kochany Boże, bacz, żeby Ruth była bezpieczna”. Ach, Leonardzie! Prawda, żeś dumny ze swej matki?

Leonard odparł „Tak”, dość szorstko, jak gdyby rozdrażniony był tym, że ktoś jeszcze wie, czy choćby ma prawo wyobrażać sobie, jaki jest dumny. Jemima mówiła dalej:

– Otóż, Ruth! Mam dla ciebie pewien plan. Po części ułożyliśmy go wspólnie z Walterem; po części zaś opracował go ojczulek. Tak, moja droga! Ojczulek bardzo pragnie okazać szacunek, którym ciebie darzy. Chcemy, ażebyś pojechała na przyszły miesiąc do kochanego Eagle’s Crag i nabrała sił, i pooddychała dla odmiany wspaniałym powietrzem Abermouth. Zamierzam zabrać tam małą Rosę. Ojczulek wypożyczył nam dom. A pogoda w listopadzie często jest przepiękna.

– Bardzo ci dziękuję. Bardzo to kuszące; pragnęłam bowiem podobnej odmiany. Nie potrafię natychmiast powiedzieć, czy będę mogła wyjechać; lecz zajmę się tym, jeżeli pozwolisz, że przez chwilę pozostawię tę kwestię otwartą.

– O, jak długo zechcesz, bylebyś tylko w końcu pojechała. A i pan, paniczku Leonardzie! Pan również ma przyjechać. Wiem przecie, że jest pan po mojej stronie.

Ruth pomyślała o owym miejscu. Jedynym, co napawało ją niechęcią względem niego, było wspomnienie pewnej rozmowy na piaskach. Tamtą ścieżką nigdy więcej nie postąpi; lecz przecież pozostawało tak wiele innych! Jakże niezmiernie czarującym byłoby to dla niej ukojeniem i pokrzepieniem!

– Jakże radosne będą nasze wspólne wieczory! Wiesz, myślę, że może przyjadą również Mary i Elizabeth.

Do pokoju wpłynął jasny blask słoneczny.

– Spójrz! Jaki to jasny i pomyślny zwiastun dla naszych planów. Droga Ruth, zdaje się, że

to dobry znak na przyszłość!

W tej samej niemal chwili, w której przemówiła, weszła panna Benson, a towarzyszył jej pan Grey, proboszcz Eccleston. Był to sędziwy mężczyzna, niski i mocnej budowy, o poniekąd bardzo oficjalnym obejściu; lecz pewnym jego niezmiennym życzliwemu mógł być każdy, kto dostrzegł wyraz jego twarzy, szczególnie zaś dobrotliwych czarnych oczu, które lśniły pod szarymi, krzaczastymi brwiami. Ruth widziała go w szpitalu raz czy dwa, pani Farquhar zaś spotykała go nierzadko w towarzystwie.

– Idź powiedzieć wujkowi – rzekła do Leonarda panna Benson.

– Zatrzymaj się, mój chłopcze! Dopiero co spotkałem pana Benson na ulicy, toteż obecnie mam do pomówienia z twoją matką. Chciałbym, ażebyś pozostał i usłyszał, o co chodzi; a pewien jestem, że sprawa, z którą tu przyszedłem przyniesie paniom – tu skłonił się pannie Benson i Jemimie – tyle zadowolenia, iż nie trzeba mi przeproszać za poruszenie jej w ich obecności.

Dobyl okularów, mówiąc z poważnym uśmiechem:

– Pani Denbigh, uciekła pani od nas wczoraj tak cicho i zręcznie, że pewnie nie zauważyła pani, iż odbywało się wówczas posiedzenie komisji zarządzającej, która usiłowała obmyślić coś, co w sposób należyty i wystarczający wyraziłoby naszą wobec pani wdzięczność. Jako że jestem przewodniczącym komisji, poproszono mnie, ażebym wręczył pani ten oto list, który niniejszym mam przyjemność odczytać.

Z należyтым naciskiem odczytał na głos oficjalny list od sekretarza szpitala niosący podziękowania dla Ruth.

Pocziwy proboszcz nie oszczędził jej ani słowa, od daty aż po podpis; następnie złożony list, wręczył go Leonardowi, mówiąc:

– Proszę, panie! Kiedy będzie pan stary, będzie pan mógł odczytać owo świadectwo szlachetnego postępowania matki z dumą i z przyjemnością. Istotnie bowiem – ciągnął, zwracając się do Jemimy – żadne słowa nie wyrażą tego, jak ogromną była dla nas pomocą. Mówię o panach wchodzących w skład komisji zarządzającej szpitalem. Pani Denbigh zgłosiła się wówczas, kiedy popłoch sięgnął zenitu, a niepokój, rzecz jasna, pogłębiał jeszcze tylko rozgardiasz. Bierne stworzenia umierały szybko i nagle; nie starczało czasu na to, ażeby usunąć zwłoki, bo już wnoszono następnych, którzy mieli zająć ich łóżka, tak bardzo bowiem brakło nam rąk do pomocy ze względu na wszechobecne przerażenie; a owego ranka, kiedy pani Denbigh zaofiarowała swe usługi, czas był chyba najgorszy. Nigdy nie zapomnę poczucia ulgi, jaką odczułem w duszy, gdy oznajmiła nam, co chciałyby uczynić; lecz myśmy uznali, iż rzeczą słuszną będzie ostrzec ją w pełni... Droga pani – rzekł, dostrzegłszy przelotnie, że Ruth się rumieni – oszczędzę dalszych pochwał. Powiem to jedynie, że jeżeli wolno mi będzie mienić się pani przyjacielem, bądź też przyjacielem jej dziecka, wówczas moje skromne możliwości gotowe są na wszelkie jej rozkazy.

Wstał i skłoniwszy się uroczyście, odszedł. Jemima podeszła do Ruth i ucałowała ją. Leonard udał się na górę, ażeby schować cenny list. Panna Benson siedziała w kącie pokoju, płacząc serdecznie. Ruth podeszła do niej i zarzuciła jej ramiona wokół szyi, i rzekła:

– Nie mogłam powiedzieć mu tego od razu, natychmiast. Nie śmiałam przemówić w obawie, że nie zapanuję nad uczuciami; lecz jeżeli uczyniłam coś dobrego, to wyłącznie dzięki pani i panu Bensonowi. O! Żałuję, że nie powiedziałam mu o tym, iż po raz pierwszy myśl o pomocy powstała mi w głowie wówczas, gdy zobaczyła wszystko to, co pan Benson czynił tak spokojnie, odkąd tylko nawiedziła nas gorączka. Lecz mowę mi odjęło; zdaje się zatem, że przypisywałam sobie wszystkie te pochwały, gdy w istocie przez cały czas czułam, że ledwie na nie zasłużyłam – że to wszystko wydarzyło się dzięki państwu.

– I Bożej pomocy, rzecz jasna, Ruth – wtrąciła panna Benson przez łyżę.

– Och! Nic chyba nie upokarza człowieka bardziej, niżli niezasłużona pochwała. Kiedy on czytał ów list, ja nie przestawałam myśleć o tym, jak wiele uczyniłam źle! Czyż on może wiedzieć o tym... o tym, kim byłam? – zapytała, bardzo zniżając głos.

– Owszem! – odparła Jemima – wiedział o tym, wszyscy w Eccleston wiedzieli, lecz pamięć o tamtych dniach odeszła w cień. Panno Benson – ciągnęła, pragnęła bowiem zmienić temat – musi pani wziąć mą stronę i przekonać Ruth do wyjazdu do Abermouth na kilka tygodni. Chcę, ażeby

przyjechali oboje z Leonardem.

– Obawiam się, że brat mój uzna, iż Leonard straci przez to lekcje. Nic dziwnego, że ostatnio serce biednego dziecka było tak pełne uczuć; lecz trzeba mu się śpieszyć i z uwagi na ową bezczynność tym prędzej zabrać się teraz do pracy. – Panna Benson szczyła się swym rygorystycznym przestrzeganiem dyscypliny.

– Och, jeżeli chodzi o lekcje, Walterowi ogromnie zależy na tym, ażebyś uległa nadrzędnej jego mądrości i pozwoliła Leonardowi udać się do szkół. Pośle go do każdej szkoły, którą wybierzesz, w zależności od tego, jakiego rodzaju życie zamyśliłaś mu przeznaczyć.

– Nie zamyśliłam niczego – odparła Ruth. – Nie mam możliwości niczego zamyślać. Jedyne, co mogę uczynić, to podjąć próbę przygotowania go na wszystko.

– Cóż – rzekła Jemima – będziemy musiały porozmawiać o tym w Abermouth; bo pewna jestem, że nie odmówisz przybycia, droga, najdroższa Ruth! Pomyśl o spokojnych, słonecznych dniach i cichych wieczorach, jakie będziemy razem spędzały, z małą Rosą baraszkującą pośród opadłych liści; a do tego Leonard po raz pierwszy ujrzy morze.

– Owszem, myślę o tym – odparła Ruth, uśmiechając się na myśl o odmalowanym przez Jemimę szczęśliwym obrazku. I uśmiechając się wobec rysujących się przed nimi jasnych widoków, rozstały się – aby nigdy już za życia się nie spotkać.

Tuż po wyjściu pani Farquhar wpadła Sally.

– Oj! Ojjoj! – zawołała, rozglądając się dokoła. – Gdybym żem tylko była wiedziała, że proboszcz ma nas odwiedzić, nałożyłabym najlepsze kapy i niedzielny obrus! Ty wyglądasz niezgorzej – ciągnęła, przyglądając się Ruth od stóp do głów – zawsze schludna i elegancka w swych sukniach, chociaż po mojemu one nie więcej jak dwa pensy za jard kosztują, ale twarz twoja przydaje im urody; co do ciebie jednak – (zwróciwszy się do panny Benson) – to myślę, żeś się mogła była w co lepszego oblec, jak ta stara wełniana suknia, chociażby po to, ażeby przynieść chlubę takiej parafiance jak ja, bo przecież on zna mnie od czasów, kiedy mój ojciec był jego kościelnym.

– Zapominacie, Sally, że przez cały ranek przyrządzałam kisiel. Skądże mogłam wiedzieć, że to przyszedł pan Grey, kiedy rozległo się pukanie do drzwi? – odparła panna Benson.

– Trzeba mi było dać naszykować kisiel; przecie wiadomo, że dogodziłabym Ruth nie gorzej od ciebie. Gdybym żem tylko była wiedziała, że ma przyjść, wśliznęłabym się do kącika i przyniosła ci wstążkę na szyję, albo co innego, ażeby ci dodać pogody. Nie byłabym rada, gdyby pomyślał, że skoro mieszkam z dysydentami, to nie wiem, co trza robić, żeby one były strojne i szykowne.

– Mniejsza o to, Sally; on w ogóle o mnie nie myślał. Przyszedł po to, ażeby zobaczyć się z Ruth, a ona, jak mówicie, zawsze jest schludna i elegancka.

– Ano! Po mojemu teraz już i tak nic się na to nie poradzi; lecz jeśli kupię ci wstążkę, to czy obiecasz ją nosić, kiedy przychodzić tu będą ludzie kościelne? Bo nie znoszę tego, jak one szydzą z dysydentów za ich ubiory.

– Dobrze! Umówmy się tak właśnie – odparła panna Benson – a teraz, Ruth, pójdę ci przynieść kubek ciepłego kisielu.

– Ach, doprawdy, ciociu Faith! – rzekła Ruth – bardzo mi przykro ci się sprzeciwiać; jeżeli jednak zamierzasz traktować mnie jak chorą, to obawiam się, że się zbuntuję.

Lecz kiedy przekonała się, że serce ciotki Faith powzięło już ów zamiar, uległa bardzo wielkodusznie, marszcząc się tylko nieznacznie, usłyszawszy, iż musi przystać na leżenie na kanapie i bycie karmioną, mimo że prawdziwie czuła się w pełni zdrowia, niekiedy zaś ogarniało ją zbyt słabe uczucie rozleniwienia, co wystarczało, ażeby myśl o słonej bryzie oraz pięknie morskiego krajobrazu, które czekały ją w Abermouth, sprawiła jej dużą przyjemność.

Pan Davis przyszedł po południu, również po to, ażeby zobaczyć się z Ruth. Pan i panna Benson siedzieli z nią w bawialni i ukontentowani obserwowali z miłością, gdy zajęła się szyciem dla domu i z nadzieją mówiła o planie wyjazdu do Abermouth.

– Cóż! Zatem gościła już pani dzisiaj naszego czcigodnego proboszcza; ja przybywam w podobnej niejako sprawie; lecz oszczędzę pani odczytu mego listu, czego on, ma się rozumieć,

nie uczynił. Proszę zauważyć – rzekł, kładąc zapieczętowany list – że dostarczyłem pani wotum dziękczynne od mych braci medyków; i proszę je otworzyć i przeczytać w dogodnej chwili; lecz nie teraz, ponieważ pragnę z panią chwilę porozmawiać dla własnej korzyści. Pani Denbigh, chciałbym prosić panią o przysługę.

– Przysługę! – wykrzyknęła Ruth – cóż mogłabym dla pana zrobić? Mogę chyba powiedzieć, że to zrobię, zanim usłyszę, o co chodzi.

– Wobec tego jest pani bardzo nieroztropną kobietą – odparł – jakkolwiek trzymam panią za słowo. Chcę, aby oddała mi pani swego syna.

– Leonarda!

– Właśnie! Ot i proszę, panie Benson. W jednej chwili gotowa jest nieść pomoc na zawołanie, w następnej zaś spogląda na mnie, jak gdybym był jakim ludojadem!

– Być może nie rozumiemy, co pan ma na myśli – oznajmił pan Benson.

– Rzecz ma się następująco. Wiedzą państwo, że nie mam dzieci; i nie powiem, żem kiedykolwiek szczególnie się tym trapił; lecz żona moja owszem; a czy to ona zaraziła mnie tą myślą, czy też boleję nad tym, że moja niezgorsza praktyka pójdzie w ręce obcego człowieka, kiedy powinien mieć syna, który przejąłby ją po mnie, tego nie wiem; ostatnimi czasy jednak zacząłem przypatrywać się chciwym wzrokiem wszystkim zdrowym chłopcom i nareszcie postanowiłem wybrać paninego Leonarda, pani Denbigh.

Ruth odjęło mowę; gdyż nawet teraz nie rozumiała jeszcze, co miał na myśli. Mówił dalej:

– A zatem, ile lat ma ów młodzian? – zapytał Ruth, lecz to panna Benson odpowiedziała:

– W lutym skończy dwanaście.

– Hm! Dwanaście zaledwie! Wysoki jest i dojrzałe wygląda jak na swój wiek. Pani, co prawda, wygląda całkiem młodo jeszcze – ostatnie zdanie wyrzekł niejako do siebie, lecz spostrzegłszy, że Ruth oblewa się karmazynowym rumieńcem, gwałtownie zmienił ton.

– Ma lat dwanaście! Cóż, wezmę go od razu. Nie chodzi mi wszakże o to, ażeby naprawdę go pani odebrać – oznajmił, łagodniejąc natychmiast i przybierając wyraz poważny i pełen troski – To, że jest on pani synem – synem osoby, którą poznałem, tak jak poznałem panią (pani Denbigh jest bezsprzecznie najlepszą pielęgniarką, jaką spotkałem, panno Benson; a dobra pielęgniarka to coś, co my, doktorzy, potrafimy docenić) – to, że jest on pani synem, stanowi w moim mniemaniu wspaniałą rekomendację; co nie znaczy, że młodzian sam nie jest zacnym chłopcem. Rad będę pozostawiać go przy pani na tak długo oraz tak często, jak to możliwe; wszakże jednak on przez całe życie nie może być uczepiony matczynej spódnicy. Ja tylko wyłożę na jego wykształcenie, w zależności od pani zgody i dobrej woli, a wówczas zostanie przy mnie jako uczeń. Ja, opiekun jego, przywiążę go do siebie, pierwszego chirurga w Eccleston – niech się drugim zwie kto chce; z czasem zostanie on moim wspólnikiem, a pewnego dnia stanie się moim następcą. A zatem, pani Denbigh, co może pani zarzucić niniejszym planom? Żona moja jest nimi równie jak ja przejęta. Proszę! Niechże pani przedstawi swoje zastrzeżenia. Nie byłaby pani kobietą, gdyby nie miała w zanadrzu całego ich worka, ażeby w razie potrzeby przeciwstawić je każdej rozsądnej propozycji.

– Nie wiem – zawahała się. – Takie to niespodziewane...

– To z pańskiej strony bardzo, bardzo uprzejme, panie Davis – rzekła panna Benson, cokolwiek wstrząśnięta niewyrażeniem przez Ruth wdzięczności.

– Phi! phi! Ma się rozumieć, że, koniec końców, dbam jedynie o własne interesy. No, pani Denbigh, czy dobiliśmy targu?

Teraz przemówił pan Benson.

– Panie Davis, jak powiada pani Denbigh, jest to dość niespodziewane. O ile wiem, jest to zarówno najlepsza, jak i najzyczliwsza propozycja, jaką można uczynić; lecz myślę, że winniśmy dać jej nieco czasu do namysłu.

– A zatem, dwadzieścia cztery godziny! Czy tyle wystarczy?

Ruth uniosła głowę.

– Panie Davis, nie jestem niewdzięczna, mimo że nie umiem panu podziękować – (mówiąc to, płakała) – proszę dać mi dwa tygodnie na rozważania. Za dwa tygodnie podejmę decyzję. Och, jakże państwo są dobrzy, wszyscy!

– Doskonale. A zatem za dwa tygodnie od dnia dzisiejszego – dwudziestego ósmego, w czwartek – przedstawi mi pani swą decyzję. Proszę pamiętać! Jeżeli będzie dla mnie niepomysłna, nie uznaję jej za decyzję, postanowiłem bowiem osiągnąć to, com zamierzył. Nie przyprowadzę pani Denbigh o rumieniec, panie Benson, mówiąc waiści w jej obecności o wszystkim, co dostrzegłem w niej w ciągu ostatnich trzech tygodni, a co napawa mnie pewnością, iż podobne zalety odnajdę również w jej synu. Obserwowałem ją, gdy się tego najmniej spodziewała. Pani Denbigh, czy pamięta pani ową noc, kiedy to Hector O’Brien trwał w szaleńczych majakach?

Ruth pobladła ogromnie na to wspomnienie.

– Otóż i proszę, patrzcie państwo! Jakże zbladła na samą myśl o tym. A jednak, zapewniam państwa, to ona podeszła doń i odebrała mu odłamek szyby, którą wybił po to tylko, ażeby podciąć gardło sobie, bądź też komukolwiek innemu. Żałuję, że nie mamy więcej równie jak ona odważnych ludzi.

– Myślałem, że przeminął już ów głęboki popłoch! – rzekł pan Benson.

– Zaiste! Na ogół poczucie przerażenia jest już znacznie słabsze; lecz tu i ówdzie nie brak jak zwykle wielkich głupców. Wszak kiedy stąd wyjdę, udam się do naszego cennego przedstawiciela, pana Donne’a...

– Pana Donne’a? – zapytała Ruth.

– Pana Donne’a, który leży w Królewskim... przyjechał w ubiegłym tygodniu z zamiarem zabiegania o głosy, lecz nazbyt się zaniepokoił tym, co usłyszał o gorączce, ażeby zabrać się do pracy; a pomimo zachowania wszelkich środków ostrożności, zapadł na nią; powinni państwo zobaczyć przerażenie, jakie ogarnęło teraz wszystkich w hotelu; gospodarza, gospodynię, kelnerów, służbę... wszystkich; nie ma stworzenia, które zbliżyłoby się do niego, jeżeli mogą inaczej; i jest przy nim tylko jego koniuszy – mówią, że to chłopak, którego uratował przed utonięciem – tylko on go dogląda. Muszę gdzieś, w jakiś sposób, znaleźć dla niego porządną pielęgniarkę, choć przecież jestem stronnikiem Cranwortha. Ach, panie Benson! Nie wie pan, na jakie pokusy narażeni jesteśmy my, medycy. Niech pan pomyśli, gdybym pozwolił teraz umrzeć pańskiemu reprezentantowi, co wszak może się zdarzyć, jeżeli nie będzie miał pielęgniarki – jakże kapitalne i łatwe zwycięstwo odniósłby wówczas pan Cranworth! Dokąd też poszła pani Denbigh? Mam nadzieję, że jej nie odstraszyłem, wspominając o Hectorze O’Brienie i owej okropnej nocy, kiedy to ona, zapewniam państwa, zachowała się niczym bohaterka!

Benson odprowadzał właśnie pana Davisa do wyjścia, kiedy Ruth otworzyła drzwi do gabinetu i rzekła bardzo spokojnym, cichym głosem:

– Panie Benson! Czy pozwoli pan, że porozmawiam z panem Davisem na osobności?

Pan Benson przystał na to natychmiast, sądząc, że najpewniej pragnie ona zadać dalsze pytania odnośnie do Leonarda; lecz gdy pan Davis wszedł do pokoju i zamknął drzwi, uderzyła go błądź i surowość jej twarzy, na której malowało się zdecydowanie, toteż poczekał, aż przemówi pierwsza.

– Panie Davis! Trzeba, ażeby poszła pielęgnować pana Bellinghama – oznajmiła w końcu, składając ciasno dłonie, podczas gdy wszelkie pozostałe części ciała trwały w głębokim bezruchu.

– Pana Bellinghama? – zapytał, dziwiąc się temu nazwisku.

– Mam na myśli pana Donne’a – odparła pośpiesznie. – Dawniej nazwisko jego było Bellingham.

– O! Pamiętam, że słyszałem, iż zmienił nazwisko dla jakiegoś majątku. Lecz nie wolno pani myśleć teraz o ponownym podjęciu takiej pracy. Nie jest pani obecnie dysponowana. I błada pani jak kreda.

– Trzeba, ażeby poszła – powtórzyła.

– Nonsens! Toż to człowiek, który może zapłacić za opiekę najlepszych szpitalnych pielęgniarek z Londynu... a wątpię, czy jego życie warte jest tego, aby one ryzykowały dla niego swoim, a co dopiero pani swoim.

– Nie mamy prawa porównywać względem siebie znaczenia poszczególnych ludzkich żywotów.

– Nie! Wiem, że nie mamy. Lecz my, doktorzy, skłonni jesteśmy postępować w taki właśnie

sposób; w każdym razie myśli takie to niedorzeczność z pani strony. Proszę tylko posłuchać głosu rozsądku.

– Nie mogę! Nie mogę! – zawołała z przeszywającym bólem w głosie. – Musi pan pozwolić mi tam pójść, drogi panie Davis! – dodała łagodnym, błagalnym tonem.

– Nie! – odparł, kręcąc władczo głową. – Nie uczynię niczego podobnego.

– Niechże pan posłucha – rzekła, zniżając głos i oblewając się głębokim szkarłatem – on jest ojcem Leonarda! A zatem! Pozwoli mi pan do niego pójść!

Pan Davis wręcz osłupiał, słysząc jej słowa i przez chwilę milczał. Mówiła więc dalej:

– Nie powie pan o tym nikomu! Nie wolno panu o tym powiedzieć! Nikt, nawet pan Benson nie wie, kto jest jego ojcem. A teraz... mogłoby mu to tak bardzo zaszkodzić, gdyby się dowiedział. Nie powie pan!

– Nie! Nie powiem – odparł. – Jednakże, pani Denbigh, musi mi pani odpowiedzieć na jedno pytanie, które zadaję ze szczerym szacunkiem, niemniej zadać je muszę, ażeby zarówno siebie, jak i panią, poprowadzić dalej słuszną drogą – wiedziałem, rzecz jasna, że Leonard jest dzieckiem nieślubnym – prawdę mówiąc, zdradzę pani tajemnicę w zamian za tę, którą pani zdradziła mnie: z początku to właśnie dlatego, że ja również nim jestem, poczułem sympatię do pani syna oraz pragnienie, ażeby go przygarnąć. Tyle właśnie wiedziałem o pani historii; lecz proszę powiedzieć, czy obecnie dba pani o tego człowieka? Proszę mi szczerze odpowiedzieć – czy kocha go pani?

Parę chwil milczała; głowę miała pochyloną; następnie ją podniosła i wejrzała w jego twarz jasnymi, szczerymi oczami.

– Myślałam o tym... lecz nie wiem... nie potrafię powiedzieć... myślę, że nie kochałabym go, gdyby miał się dobrze i był szczęśliwy... lecz pan powiedział, że on jest chory... i opuszczony... jakżeż mogłabym o niego nie dbać?... jakżeż mogłabym o niego nie dbać? – powtórzyła, kryjąc twarz w dłoniach, a przez jej palce jeły przekradać się gorące łzy. – Jest ojcem Leonarda – ciągnęła, podnosząc nagle wzrok na pana Davisa. – Nie musi o tym wiedzieć – nie dowie się... że w ogóle przy nim byłam. Jeżeli jest taki, jak inni, musi być pogrążony w majakach... opuszczę go, nim dojdzie do siebie... lecz teraz proszę pozwolić mi do niego pójść... muszę iść.

– Żałuję, że nie odgryzłem sobie języka, nim wspomniałem pani jego nazwisko. Zupełnie dobrze poradziłby sobie bez pani; a podejrzewam, że jeżeli panią rozpozna, wówczas zdenerwuje się tylko.

– Bardzo to możliwe – odparła Ruth boleśnie.

– Zdenerwuje się, wszakże może panią przeklinać za nieproszoną opiekę. Słyszałem, jak ma biedną matkę – a była istotą równie piękną i delikatną, jak pani – przeklinano za okazywanie tkliwości wówczas, gdy jej nie chciano. Niechże pani zatem posłucha takiego starego człeka jak ja, który widział w życiu tak wiele, że serce go od tego boli – proszę pozostawić owego wspaniałego dżentelmena jego losowi. Obiecuję, że zdobędę dlań najlepszą pielęgniarkę, jaką można nająć za pieniądze.

– Nie! – odparła z głuchą wytrwałością, jak gdyby nie słuchała wcale jego perswazji – muszę iść. Opuszczę go, zanim mnie rozpozna.

– Cóż zatem – rzekł stary chirurg – jeżeli pani tak bardzo zdecydowana, to sądzę, że zmuszony pani pozwolić. To samo uczyniłaby moja matka – biedactwo o złamanym sercu! Tak czy owak, chodźmy już i jak najlepiej wykorzystajmy pani obecność. Wiem, że oszczędzi mi ona wiele kłopotu; jeżeli bowiem będę miał panią za prawą rękę, wówczas nie będę się musiał nieustannie martwić, zastanawiając się, jak się nim zajmują. Niechże pani idzie po kapelusze, niemądra kobieto o tkliwym sercu! Wyprowadzimy panią z domu bez dodatkowych scen czy wyjaśnień; ja Bensonom wszystko wytłumaczę.

– Nie zdradzi pan mej tajemnicy, panie Davis – rzekła nagle.

– Nie! Nie ja! Czy ta kobieta myśli, że ja nigdy wcześniej nie musiałem dotrzymać podobnej tajemnicy? Mam jedynie nadzieję, że on przegra wybory i nigdy więcej nie zbliży się do tego miasta. Wszak – ciągnął, wzdychając – podejrzewam, że leży to w ludzkiej naturze! – Zaczął

wspominać wydarzenia z własnego wczesnego życia i z rozmarzeniem odmalowywać sceny z tamtych lat w dogasających popielatych węgielkach na kominku; niemal się przestraszył, kiedy stanęła przed nim, gotowa do drogi, poważna, milcząca i blada.

– Chodźmy! – rzekł. – Jeżeli ma się pani do czegokolwiek przydać, to jedynie w ciągu najbliższych trzech dni. Po tym czasie ja zadbam o jego życie oraz leczenie; i proszę pamiętać! Wówczas też odeślę panią do domu; gdyż mógłby panią rozpoznać, a ja nie pozwolę, ażeby jakiegokolwiek podniecenie pogorszyło jego stan, ani na żadne pani szlochy czy płacze. Teraz jednak każda chwila pani opieki jest dlań cenna. Opowiem Bensonom własną historię, gdy tylko zainstaluję panią przy nim.

Pan Donne leżał w najlepszym pokoju w Hotelu Królewskim – nie było z nim nikogo, prócz jego wiernego, nieokrzesanego sługi, który bał się gorączki nie mniej od innych, a mimo to nie chciał opuścić swego pana, pana, który uratował jego życie, gdy ów był dzieckiem, a potem umieścił go w stajniach Bellingham Hall, gdzie nauczył się wszystkiego, co umiał i wiedział. Stał w najdalszym kącie pokoju, obserwując przerażonymi oczami pogrążonego w malignie pana, nie ośmielając się doń zbliżyć, ani nie pragnąc na razie go opuścić.

– Och, gdyby tylko przybył doktor! Zabije siebie albo mnie, a te głupie sługi nawet na krok nie przestąpią progu pokoju; jak ja przeżyję tę noc? Chwała mu – wraca stary doktor! Słyszę, że schody skrzypią, i jego karcący głos!

Drzwi się otworzyły i wszedł pan Davis, a za nim Ruth.

– Oto i pielęgniarka, mój pocziwce, drugiej takiej pielęgniarki jak ona nie znajdziecie, choćbyście ze świecą szukali. Zatem teraz trzeba wam jedynie zważać na to, co ona mówi.

– O, panie! On chory okrutnie! Czy nie zostanie pan z nami przez noc?

– Spójrzcie tylko! – szepnęła do mężczyzny pan Davis – patrzcie, jak ona dobrze sobie radzi z opieką nad nim! Wszakże ja sam nie mógłbym czynić tego lepiej!

Podeszła do jego dzikiej, szaleńczej postaci i z łagodną władczością kazała mu się położyć: a wówczas, umieściwszy obok łóżka miskę zimnej wody, zanurzała w niej swe piękne dłonie i kładła je, chłodne i wilgotne, na jego rozpalonym czole, przez czas cały przemawiając cichym, kojącym głosem w sposób, który niczym czary ściszył jego szaleńczą mowę.

– Jednak zostanie – oznajmił doktor, przebadawszy pacjenta – zarówno ze względu na nią, jaki na niego! Po części zaś po to, ażeby uspokoić lęki tego wiernego biedaczyska.

ROZDZIAŁ XXXV

Z ciemności do światła

Trzeciej nocy miał nastąpić kryzys – zwrot ku życiu lub ku śmierci. Ponownie przybył pan Davis, by spędzić tę noc przy łóżku cierpiętka. Była tam Ruth, wierna i spokojna, zaprzęgnięta obserwowaniem objawów i właściwym wobec nich działaniem, zgodnie ze wskazówkami pana Davisa. W ogóle nie wychodziła z pokoju. Każdy jej zmysł był wyteżony w czuwaniu – każda myśl czy zdolność osądu wysilone były do granic możliwości. Obecnie zaś, kiedy pan Davis przybył i zajął jej miejsce, a pokój uciął na noc, opanowała ją ociężałość, która na razie nie powodowała jeszcze senności. Ruth nie mogła sobie przypomnieć terażniejszości ani tego, gdzie się znajduje. Czasy jej najwcześniejszej młodości, dni dzieciństwa, rysowały się w jej pamięci w najdrobniejszym, najpełniejszym szczególe, co było przygnębiające; przez cały czas czuła bowiem, iż w rzeczywistości nie panuje nad scenami, które przewijały się przez jej umysł – iż, jak się zdaje, były to wydarzenia dawno minione i minione na zawsze – a mimo to nie potrafiła sobie przypomnieć, kim była obecnie, ani też gdzie się znajdowała, ani czy było obecnie w jej życiu zainteresowanie, które mogłoby zająć miejsce tych, co, miała tego świadomość, odeszli już byli, jakkolwiek wspomnienie o nich wypełniało jej umysł z bolesną przenikliwością. Głowa jej leżała na ramionach, te z kolei spoczywały na stole. Niekiedy otwierała oczy i dostrzegała duży pokój, elegancko umeblowany przedmiotami, które były względem siebie niedopasowane, jak gdyby zakupiono je na licytacjach majątków. Widziała migotliwe światło świcy lampki nocnej – słyszała tykanie zegarka oraz dwa równoległe odgłosy oddechów, każdy w innym tempie: jeden przyspieszony, urywający się nagle, by następnie rozbrzmieć gwałtownym dyszeniem, jak gdyby nadrabiając stracony czas; i drugi, powolny, miarowy i pewny, jak gdyby osoba oddychająca spała; lecz przypuszczeniu temu kłam zadawały sporadyczne tłumione odgłosy ziewania. Niebo za niezasłoniętym oknem wydawało się mroczne i czarne – czyż kiedykolwiek nastanie kres tej nocy? Czy słońce zaszło już na zawsze, a świat nareszcie zbudzić miał się we wszechogarniającym poczuciu wiecznotrwałej nocy?

Wówczas poczuła, że należy wstać i sprawdzić, jakże ów utrudzony śpiący człowiek w tamtym łóżku radzi sobie w zmaganiach z chorobą; lecz nie umiała sobie przypomnieć, kim był ów śpiący i wzdragała się przed ujrzeniem jakiejś widmowej twarzy na poduszce, takiej jak te, które jeły obecnie nawiedzać ciemne zakamarki pokoju i patrzeć na nią, strojąc miny i grymasy, gdy tak patrzyły. Zakryła zatem ponownie twarz i zapadła się w wir odrętwienia zmysłów i uczuć. Niebawem usłyszała, że oto współstrażnik się rusza i opanowało ją blade zdumienie względem tego, co czynił; lecz ciężkie znużenie przygniatało ją i trzymało w bezruchu. W końcu usłyszała: „Proszę tu podejść” i obojętnie wypełniła polecenie. Musiała odzyskać równowagę w rozkołysanym pokoju, nim zdołała podejść do łóżka, przy którym stał pan Davis; lecz wysiłek ten ją ożywił i chociaż przytomnie czuła silny ból głowy, zauważyła nagle jasno i wyraźnie wszelkie okoliczności swego obecnego położenia. Pan Davis był nieopodal głów łóżka, trzymając wysoko lampkę nocną i osłaniając ją swoją dłonią, tak aby nie niepokoić chorego, który leżał z twarzą ku nim zwróconą, słaby z wyczerpania, lecz z wyraźnymi oznakami, że oto gwałtowność gorączki go opuściła. Zdarzyło się, że światło lampki padło na oblicze Ruth, która stała z karmazynowymi wargami rozchylnymi w przyspieszonym oddechu i jaśniejącym na policzkach gorączkowym rumieńcem. Oczy miała szeroko otwarte, a źrenice były rozszerzone. Patrzyła na chorego w milczeniu i nie rozumiała, dlaczego pan Davis ją tutaj przyzywał.

– Czy nie widzi pani zmiany? Jest z nim lepiej! Kryzys minął!

Ale ona się nie odezwała; spojrzenie jej przykuwały pomалу odmykające się oczy chorego, które, otwarłszy się ospale wejrzały prosto w jej. Nie była w stanie przemówić ni się poruszyć. Uwięził ją ten jego wzrok, w którym zaświtało nikłe rozpoznanie, i urosło w siłę.

Wymamrotał jakieś wyrazy. Wyteżyli zmysły, by go dosłyszeć. Powtórzył je ciszej jeszcze niżli przedtem; lecz tym razem usłyszeli, co mówił.

– Gdzie są lilie wodne? Gdzie lilie w jej włosach?

Pan Davis odciągnął Ruth.

– On wciąż jeszcze mówi bez ładu i składu – oznajmił – lecz gorączka minęła.

Szary świt wypełniał teraz pokój swym zimnym światłem; czy to dlatego policzki Ruth były tak śmiertelnie blade? Czy to owo światło wywołało tak dziki błagalny wyraz w jej spojrzeniu, jak gdyby wzywający pomocy w obliczu jakiego okrutnego przeciwnika, co pochwycił ją w silnym uścisku i mocował się z jej duchem życia? Trzymała ramię pana Davisa. Gdyby je puściła, upadłaby.

– Proszę mnie zabrać do domu – rzekła i zemdlała nieprzytomna.

Pan Davis wyniósł ją z pokoju i posłał lokaja, by czuwał nad swym panem. Wezwał dorożkę, by odwieźć Ruth do pana Bensona i gdy pojazd nadjechał, wniósł ją do środka, była bowiem nadal na wpół nieprzytomna. On też wniósł ją na górę do jej pokoju, gdzie panna Benson i Sally rozebrały ją i położyły do łóżka.

Czekał w gabinecie pana Bensona, aż skończą. Gdy wszedł pan Benson, pan Davis rzekł:

– Niech mnie pan nie wini. Niech nie przydaje mi jeszcze wyrzutów prócz tych, które sam sobie czynię. Zabiłem ją. Okrutnym głupcem byłem, że pozwoliłem jej pójść. Niech się pan do mnie nie odzywa.

– Być może nie będzie aż tak źle – rzekł pan Benson, który sam potrzebował pocieszenia w obliczu takiego wstrząsu. – Ona może wyzdrowieć. Z pewnością wyzdrowieje. Ufam, że tak będzie.

– Nie, nie! Nie wyzdrowieje. Ale na... wyzdrowieje, jeżeli potrafię ją ocalić. – Pan Davis spojrział wyzywająco na pana Bensona, jak gdyby ów był samym losem. – Mówię panu, że ona wyzdrowieje, albo jest ze mnie morderca. Z jakiej racji zgodziłem się przyjąć ją, by go pielęgnowała...

Przerwało mu wejście Sally, która oznajmiła, iż Ruth była teraz gotowa, by się z nim zobaczyć.

Odtąd pan Davis poświęcał każdą wolną chwilę, wszystkie umiejętności i całą swą energię na to, by ją ocalić. Zawezwał drugiego chirurga, swego rywala, ażeby go poprosić, by podjął się przeprowadzenia dalszego leczenia pana Donne'a, mówiąc z właściwą sobie kpinią z samego siebie:

– Wie pan, nie mógłbym się pokazać na oczy panu Cranworthowi, jeżelibym doprowadził do wyzdrowienia jego przeciwnika, kiedy miał do swej dyspozycji tak pierwszorzędną okazję. Dla pana tymczasem, z jego pacjentami i radykalnymi na ogół poglądami, będzie to tylko dodatkowa zasługa; gdyż on może jeszcze potrzebować niemałej opieki, aczkolwiek zdrowieje w sposób kapitalny – tak wręcz błyskawicznie, iż odczuwam silną pokusę, ażeby go wprowadzić w poprzedni stan – wie pan, nawrót choroby.

Drugi chirurg skłonił się z powagą, widocznie bowiem potraktował słowa pana Davisa poważnie, lecz z pewnością był bardzo rad z zajęcia, które w tak korzystny sposób pojawiło się na jego drodze. Pomimo poważnego i głębokiego niepokoju o Ruth, pan Davis nie mógł powstrzymać się od śmiechu na myśl, iż rywal tak dosłownie zrozumiał wszystko, co on powiedział.

– Doprawdy, jakimi głupcami są ludzie! Nie wiem, po cóż ktokolwiek miałby czuwać nad nimi i starać się utrzymać ich na tym świecie. Dostarczyłem temu jegomościowi tematu, który będzie mógł poufnie roztrząsać ze wszystkimi swymi pacjentami; ciekaw jestem, o ile silniejszą dawkę byłby on gotów przelknąć! Trzeba mi zacząć troszczyć się o to, jakie leczenie zaaplikowałem temu tam młodzianowi. Biada! Biada! Na cóż też przysłano tutaj tego wspaniałego chorego dżentelmena, że ona zaryzykowała dla niego swym życiem? Albo też dlaczego w ogóle przysłano go na ten świat?

A jednak, jakkolwiek ciężko pan Davis pracował, wyteżając wszelkie swe zawodowe

umiejętności – jakkolwiek długo wszyscy nad nią czuwali – i modlili się – i płakali – było jasne, iż Ruth „do domu trzeba pójść i zabrać swą nagrodę”^[91]. Biedna, biedna Ruth!

Być może to dlatego, iż zdrowie, ogromnie nadszarpnięte czuwaniem i pielęgnowaniem wpięrow w szpitalu, później zaś przy łóżku dawnego kochanka, wyczerpało się doszczętnie; a być może brało się to z jej łagodnej, uległej słodyczy usposobienia – tak czy owak, nie okazywała jakiegokolwiek oburzenia czy niezgody nawet wówczas, gdy majaczyła. Leżała w pokoju na strychu, w którym narodziło się jej dziecko, w którym czuwała nad nim i wyznała mu wszystko; a teraz leżała wyciągnięta na łóżku, całkowicie bezradna, wpatrując się łagodnie w przestrzeń otwartymi, nieprzytomnymi oczami, z których uleciała wszelka głębia i sens, a jedynym, co się w nich teraz jawiło, był wyraz słodkiego, niby dziecięcego szaleństwa, jakie ją owładnęło. Ci, którzy nad nią czuwali, nie mogli poruszyć jej swym współczuciem, ani też zbliżyć się do jej mętnego świata; toteż bez słowa spoglądając na siebie od czasu do czasu pełnymi łez oczami, czerpali słabą pociechę z jednego widocznego faktu, a mianowicie, że jakkolwiek zagubiona i błądząca, była szczęśliwa i uspokojona. Nigdy dotąd nie słyszeli, by śpiewała; wszakże owa prosta sztuka, której nauczyła ją jej matka, zmarła wraz z jej wczesnomłodzieńczą radością w chwili śmierci drogiej matki. Lecz teraz śpiewała nieustannie, bardzo miękko i cicho. Przechodziła od jednej dziecinniej śpiewki do drugiej, nie przerywając ani na chwilę, osobliwie poruszając w takt muzyki palcami, które zaciskały się i otwierały na kołdrze. Nigdy nie spoglądała na żadne z nich z najbliższym nawet wyrazem rozpoznania czy rozumności na twarzy; nie, nawet nie na Leonarda.

Z dnia na dzień siły jej słabły, lecz nie była tego świadoma. Słodkie jej wargi rozchylały się do pieśni nawet wówczas, gdy brakło jej oddechu oraz siły po temu, a palce jej opadły biernie na łóżko. Trwała tak dwa dni – jak gdyby niemal zupełnie już ich opuściła, a jednak nadal była w tym samym miejscu jeszcze.

Stali wokół jej łóżka, nie odzywając się, nie wzdychając, nie lamentując; nazbyt byli pełni szacunku wobec bijącego od niej doskonałego spokoju, aby to czynić. Nagle otworzyła szeroko oczy i wpatrywała się bacznie przed siebie, jak gdyby ujrzła jakąś wizję szczęśliwą, która wywołała uroczy, ekstatyczny, tchu pozbawiony uśmiech. Wstrzymali oddech.

– Widzę, że światłość się zbliża – oznajmiła. – Światłość się zbliża – rzekła. A uniósłszy się z wolna, wyciągnęła ramiona, a potem opadła, już na wieki w bezruchu.

Nie odezwali się. Pan Davis był pierwszym, który przemówił.

– To koniec! – rzekł. – Nie żyje!

Pokój przeszył krzyk Leonarda:

– Matko! Matko! Matko! Nie zostawiłaś mnie! Nie zostawisz mnie samego! Nie umarłaś! Matko! Matko!

Dotąd powstrzymywali chłopca w jego udęcie w obawie, aby zawodzenie dziecka nie zmąciło jej niewypowiedzianego spokoju. Jednakże teraz w całym domu dosłyszec można było krzyk tego, który nie dawał się pocieszyć:

– Matko! Matko!

Lecz Ruth leżała nieżywa.

ROZDZIAŁ XXXVI

Zakończenie

Po namiętnych płaczach Leonarda nastąpiło rozpaczliwe odrętwienie. Nim dzień dobiegł końca, ogarnęło go tak głębokie przygnębienie, zarówno fizyczne, jak i umysłowe, że pan Davis lękał się poważnie jego skutków. Rad był przystać na uczynioną przez Farquharów propozycję, aby przenieść chłopca do ich domu i umieścić pod tkliwą opieką przyjaciółki jego matki, która własne dziecko wysłała do Abermouth, ażeby móc się pełniej oddać pieczy nad Leonardem.

Kiedy powiedziano chłopcu o tych ustaleniach, najpierw odmówił opuszczenia matki; lecz gdy pan Benson rzekł: „Ona życzyłaby sobie tego, Leonardzie! Zróbże to dla niej!”, odszedł bardzo spokojnie; słowem się nie odezwał, kiedy pan Benson z własnej woli przyrzekł chłopcu, że dane mu będzie raz jeszcze ją zobaczyć. Przez wiele godzin nie przemówił ani nie zapłakał; potrzeba było ze strony Jemimy wszelkich drobnych forteli, zanim jego ciężkie serce odnalazło ulgę we łzach. A potem był tak osłabiony, puls zaś jego tak nikły, że wszyscy, którzy go kochali, lękali się o jego życie.

Niepokój o chłopca pozwolił oderwać myśli od żałoby za zmarłą i skierować je ku innej niewesołej kwestii. Troje starych ludzi, którzy byli obecnie jedynymi mieszkańcami przykaplicznego domu, poruszało się powoli i sennie, i każde z nich w skrytości serca zastanawiało się nieustannie, dlaczego oni, niedołężni i znużeni, pozostawieni byli tutaj, podczas gdy ją zabrano z tego świata w uroczym kwiecie życia.

Trzeciego dnia po śmierci Ruth u drzwi zjawił się pewien pan i oznajmił, iż pragnie pomówić z panem Bensonem. Był bardzo opatulony futrami i płaszczami, a górna, obnażona część jego twarzy była zapadła i wymizerowana niczym u człowieka, który niezupełnie jeszcze wydobrzył po chorobie. Pan i panna Benson udali się byli do pana Farquhara, aby odwiedzić Leonarda, a biedna stara Sally płakała serdecznie nad kuchennym ogniem, zanim poszła otworzyć pukającemu. W owej chwili serce jej skłaniało się z czułością ku każdemu, po kim znać było cierpienie; toteż mimo że pana nie było w domu, a ona sama była zazwyczaj ostrożna i z rzadka wpuszczała do domu nieznajomych, zaproponowała panu Donne'owi (bo to był on), ażeby wszedł i poczekał na powrót pana Bensaona w jego gabinecie. Rad był skorzystać z jej propozycji; był bowiem słaby i zdenerwowany, i przyszedł w sprawie niezmiernie niemiłej, wobec której odczuwał głębokie zakłopotanie. Ogień prawie już zupełnie wygasł; i nie pomogło mu żywiołowe dmuchanie zaaplikowane przez Sally, aczkolwiek opuszczając pokój zapewniała, że niebawem zapłonie sutym płomieniem. Pan Donne oparł się o kominek, rozmyślając nad wydarzeniami z narastającym, opanowującym go uczuciem zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej niewygody. Zastanawiał się prawie, czy propozycji, którą zamierzał złożyć w związku z Leonardem, nie byłoby lepiej przedstawić drogą listową aniżeli w rozmowie. Jął silnie drżeć i niecierpliwie się niezdecydowaniem, jakie wywoływała w nim własna cielesna słabość.

Sally otworzyła drzwi i weszła.

– Czy nie zechciałby pan wejść na górę? – zapytała drżącym głosem, ponieważ dowiedziała się, kim był gość, od dorożkarza, który przybiegł do domu, ażeby sprawdzić, co też zatrzymuje pana, którego przywiózł był z Queen's Hotel; a wiedząc, że Ruth zapadła na śmiertelną gorączkę, ponieważ opiekowała się panem Donne'em, Sally wyobraziła sobie, iż da tylko wyraz bolesnej grzeczności, zapraszając go na górę, aby zobaczyć biedne ciało zmarłej, które ona ułożyła i przystroiła na pochówek z tak tkliwym pietyzmem, że odczuwała teraz osobliwą dumę na widok jego marmurowej urody.

Pan Donne był rad z każdej propozycji, która pozwoliłaby mu opuścić zimny i niewygodny pokój, gdzie nawiedzały go niespokojne, pełne wyrzutów myśli. Wyobrażał sobie, że zmiana miejsca przerwie tok dręczących go refleksji; lecz wyczekiwał zmiany w postaci dobrze ogrzanego, wesołego saloniku z oznakami życia i z jasnym ogniem na kominku; i był już na ostatnich stopniach – tuż przy drzwiach pokoju, w którym leżała Ruth – kiedy zrozumiał, dokąd prowadzi go Sally. Na chwilę się cofnął, lecz potem dziwne ukłucie ciekawości nakazało mu postąpić naprzód. Stał w skromnym pomieszczeniu na strychu o niskim dachu, okno było otwarte, a wierzchołki dalekich śniegiem pokrytych wzgórz wypełniały swą bielą ukazujący się w nim krajobraz. Opatulił się płaszczem i zadrżał, podczas gdy Sally z namaszczeniem zsunęła prześcieradło i ukazała piękną, spokojną, nieruchomą twarz, na której wciąż jeszcze trwał ostatni, ekstatyczny uśmiech, nadając jej wyrazu niewymownie pogodnego spokoju. Ramiona miała skrzyżowane na piersiach; podobny do kwefu czepek podkreślał doskonały owal jej twarzy, a dwa warkocze kręconych kasztanowych włosów wyzierały spod wąskiej otoczki i spoczywały na delikatnych policzkach.

Podziw wzbudziło w nim cudowne piękno nieżywej kobiety.

– Jakaż ona piękna! – rzekł bezdźwięcznie. – Czy wszyscy martwi wyglądają na tak spokojnych, tak szczęśliwych?

– Nie wszyscy – odparła Sally, płacząc. – Niewielu było za życia tak dobrych i łagodnych jak ona – Zatrzęsła się od szlochu.

Jej smutek strapił pana Donne'a.

– No, moja dobra kobieto! Wszystkim nam trzeba umrzeć... – nie wiedział, co powiedzieć, a jej rozpacz jąła udzielać się i jemu. – Pewien jestem, że kochaliście ją bardzo i żeście byli dla niej bardzo życzliwi za jej życia; musicie to ode mnie przyjąć, aby kupić sobie coś, co będzie wam po niej pamiątką. – Wyciągnął suwerena i wręczając go, naprawdę pragnął dla niej życzliwej pociechy i nagrody.

Lecz ona, gdy tylko zauważyła, co on robi, natychmiast odjęła fartuch od oczu i nadal trzymając go w dłoniach blisko twarzy, spojrzała nań z oburzeniem, po czym wybuchła:

– A kimżeś pan jest, żeby uznawać, że mi się należy pieniężna zapłata za dobroć dla niej? A ja wcale nie byłam dla ciebie dobra, moja kochana – rzekła, zwracając się namiętnie do nieruchomego, spokojnego ciała – nie byłam dla ciebie dobra. Od samiuśkiego początku zem cię dręczyła i dokuczala, moja owieczko! Przyszłam do tego właśnie pokoju i obciąłam twe piękne kędziory – tak zrobiłam – a ty żeś ani złego słowa nigdy do mnie nie wyrzekła; nie! ani wtedy, ani później, kiedy tak wiele razy byłam wobec ciebie bardzo ostra i złośliwa... Nie! Nigdy nie byłam dla ciebie dobra, moja kochana, i po mojemu ten świat też nie był dla ciebie dobry... ale teraz żeś poszła tam, gdzie aniołowie są bardzo czuli dla takich jak ty – tam żeś poszła, moja biedna dziewczyno! – Pochyliła się i ucałowała usta, przed których marmurowym, niewzruszonym dotykiem pan Donne wzdragał się nawet na samą myśl o nim.

Właśnie wtedy wszedł do pokoju pan Benson. Wrócił do domu przed siostrą i wszedł na górę w poszukiwaniu Sally, z którą pragnął pomówić o czymś związanym z pogrzebem. Skłonił się, rozpoznawszy pana Donne'a, którego znał z roli reprezentanta miasta w parlamencie, a którego obecność wywarła na nim bolesne wrażenie, jako że to jego choroba była bezpośrednią przyczyną śmierci Ruth. Lecz usiłował powstrzymać owo uczucie, ponieważ pan Donne nie ponosił za nie winy. Sally wykradła się z pokoju, ażeby dalej płakać do woli w swej kuchni.

– Muszę przeprosić za swoją bytność tutaj – rzekł pan Donne. – Nie byłem świadom, dokąd zaprowadzi mnie pańska służąca, kiedy wyraziła życzenie, abym udał się na górę.

– W mieście tym panuje powszechne przekonanie, iż zaszczytem jest być poproszonym o to, by po raz ostatni spojrzeć na osobę zmarłą – oznajmił pan Benson.

– A, w tym wypadku rad jestem, że ją raz jeszcze ujrzałem – odparł pan Donne. – Biedna Ruth!

Pan Benson spojrzał na niego, gdy wypowiadał te ostatnie słowa. Skąd wiedział, jak miała na imię? Była dlań jedynie panią Denbigh. Ale pan Donne nie miał pojęcia, że mówi z kimś nieświadomym stosunków, jakie dawniej istniały między nim a Ruth; a chociaż wolałby prowadzić tę rozmowę w cieplejszym pokoju, to jednak, skoro pan Benson wciąż jeszcze wpatrywał się w nią

wzrokiem pełnym smutnej, tęsknej miłości, mówił dalej:

– Nie rozpoznałem jej, kiedy przybyła, by mnie pielęgnować; zdaje się, że byłem w malignie. Mój służący, który znał ją dawno temu w Fordham, powiedział mi, kim była. Słowami nie wyrażę tego, jak bardzo żałuję, że zmarła wskutek miłości, którą mnie darzyła.

Pan Benson ponownie nań spojrzął, a wówczas w jego oczach pojawił się surowy błysk. Czekał niecierpliwie, by usłyszeć coś więcej, coś, co zdusiłoby bądź potwierdziło jego wątpliwości. Gdyby nie to, że leżała tutaj teraz, bardzo nieruchoma i spokojna, byłby wydobył te słowa z pana Donne'a siłą, zadając mu jakieś obcesowe pytanie. Tymczasem jednak słuchał w milczeniu z prędko bijącym sercem.

– Wiem, że pieniądze to jedynie słabe zadośćuczynienie... że nie naprawią tego, co się stało, ani mych młodzieńczych szaleństw.

Pan Benson mocno zacisnął zęby, ażeby powstrzymać słowa bliskie przekleństwu.

– Wszak proponowałem jej już wcześniej pieniądze w każdej niemal wysokości; niechże pan odda mi sprawiedliwość – rzekł, dostrzegłszy przebłysk oburzenia na twarzy pana Bensaona – zaproponowałem jej małżeństwo i że będę łożył na chłopca, jak gdyby był dzieckiem z prawego łóża. Nie ma sensu powracać do tamtych czasów – rzekł, a głos mu się załamał – co się stało, to się nie odstanie. Lecz teraz przyszedłem, by powiedzieć panu, że byłbym rad pozostawić chłopca nadal pod pańską opieką i że każdy wydatek, jaki uzna pan za stosowny ponieść w związku z jego wykształceniem, ja pokryję; i przeznaczę dla niego pewną sumę na zabezpieczenie przyszłości... powiedzmy dwa tysiące funtów... albo więcej: proszę ją wyznaczyć. Rzecz jasna, jeżeli nie zechce pan go zatrzymać, będę musiał znaleźć kogoś innego; lecz niezmiennie będę otaczał go opieką przez wzgląd na moją biedną Ruth.

Pan Benson milczał. Nie chciał mówić, dopóki nie odzyskał krztyny opanowania, patrzył więc na niewypowiedziany spokój zmarłej.

Potem, nim odpowiedział, zakrył jej twarz; a w głosie jego był lodowy chłód.

– Leonard nie jest pozbawiony opieki. Ci, którzy czcili jego matkę, zadbają o niego. Nigdy nie dotknie choćby pensa z pańskich pieniędzy. Wszelką poczynioną przez pana propozycję pomocy ja w jego imieniu odrzucam... i w jej obecności – rzekł, pochylając się ku zmarłej. – Być może ludzie nazywają czyn taki jak pański młodzieńczym szaleństwem! Lecz Bóg ma na to inną nazwę. Panie! Odprowadzę pana do wyjścia.

Przez całą drogę na dół pan Benson wysłuchiwał próśb i nalegań pana Donne'a, lecz nie rozpoznawał słów ze względu na myśli, które wypełniały jego mózg – prędkie dopasowywanie wydarzeń, które rozgrywało się w jego głowie. A kiedy pan Donne odwrócił się doń przy drzwiach, ażeby znów przemówić i ponowić propozycję pomocy Leonardowi, pan Benson odpowiedział, nie wiedząc dobrze, czy odpowiedź pasowała do pytania, czy też nie:

– Dziękuję Bogu, że nie ma pan żadnego prawa, czy to formalnego, czy też innego, do tego dziecka. A przez wzgląd na nią, oszczędzę mu wstydu, jakim byłoby dlań usłyszeć, że jest pan jego ojcem.

Zamknął panu Donne'owi drzwi przed nosem.

– Źle wychowany, purytański stary jegomość! Niechże i sobie zatrzyma chłopaka, jeżeli o mnie chodzi. Obowiązek swój wypełniłem, a teraz wydam się z tego ohydneho miejsca tak szybko, jak to możliwe. Szkoda, że ostatnie wspomnienie mojej pięknej Ruth musi być zatrute myślą o tych wszystkich ludziach.

Pan Benson był przemożnie udręczony tą rozmową; zmąciła ona spokój, z jakim zaczynał już rozważać owe wydarzenia. Drażnił go własny gniew, jakkolwiek był to gniew usprawiedliwiony, a oburzenie w pełni zasłużone; nie zdawał sobie sprawy z tego, iż już od lat w jego sercu obecne były te właśnie uczucia wobec nieznanego uwodziciela, z którym stanął twarzą w twarz przy łożu śmierci Ruth.

Był to dlań wstrząs, po którym przez wiele dni nie mógł dojść do siebie. Lękał się nerwowo, że pan Donne zjawi się na pogrzebie; i nawet wszelkie przytaczane przed samym sobą argumenty wbrew jego tam obecności nie zdołały odsunąć zupełnie tych obaw. Wcześniej jednak usłyszał przypadkiem (nie pozwoliłby sobie bowiem o to rozpytywać), że pan Donne wyjechał z miasta. Nie

zjawił się! Pogrzeb Ruth przebiegł w spokojnej i prostej uroczystej atmosferze. Jej dziecko, jej współdomownicy, jej przyjaciółka oraz pan Farquhar kroczyli cicho za marami niesionymi przez kilkoro spośród biedaków, wobec których była za życia bardzo życzliwa. Wielu innych zaś stało na uboczu na niewielkim cmentarzu, obserwując ze smutkiem ceremonię ostatniego pożegnania.

Pomału się rozeszli; pan Benson prowadził Leonarda za rękę i dziwił się w duchu jego opanowaniu. Tuż po ich powrocie do domu przybył posłaniec, przynosząc list od pani Bradshaw i słoik marmolady z pigwy, na którą, jak pisała pannie Benson, być może Leonard miałby ochotę, a jeżeli tak, to prosiła, aby ją o tym powiadomić, ponieważ miała duży zapas przetworu; a może chciałby czego innego? Byłaby rada dostarczyć mu wszystkiego, czego sobie zażyczy.

Biedny Leonard! Leżał wyciągnięty na kanapie, blady i bez łez, nie znajdując pociechy w żadnej z podobnych rzeczy, jakkolwiek życzliwie podsuniętych; lecz był to zaledwie jeden z rozlicznych prostych przejawów opiekuńczej troski, jakie wszyscy wokół niego roztaczali, od pana Greya, proboszcza, aż po bezimiennych ubogich, którzy zjawiali się pod kuchennymi drzwiami, ażeby zapytać, jak też miewało się jej dziecko.

Zgodnie z dysydenckim zwyczajem pan Benson pragnął wygłosić odpowiednie pogrzebowe kazanie. Była to ostatnia posługa, jaką mógł jej wyświadczyć; należało to uczynić właściwie i starannie. Co więcej, być może te wydarzenia z jej życia, o których wiedzieli wszyscy, okazałyby się pomocne w wyjaśnianiu wielu innych prawd. Czynił zatem wielkie przygotowania w myślach i na papierze; pracował ciężko, niszcząc kartkę za kartką – a w międzyczasie oczy zachodziły mu łzami na każde wspomnienie nowego dowodu pokory i słodyczy jej życia. Och, jakże by pragnął oddać jej sprawiedliwość! Lecz słowa zdawały się twarde i niewzruszone, i nie pozwalały się dopasować do myśli. Siedział do późna w sobotę, pisząc; czuwał przez noc i długo jeszcze po nadejściu pierwszych godzin niedzielного poranka. Nigdy dotąd nie poświęcił żadnemu kazaniu tyle trudu, niemniej po skończonej pracy był z niego i tak połowicznie tylko zadowolony.

Pani Farquhar ukoła gorycz smutku Sally, wręczając jej bardzo elegancką szatę żałobną. Tak czy owak, Sally czuła się dziwnie dumna i rada na myśl o nowej czarnej sukni; lecz kiedy przypominała sobie powód, dla którego ją włożyła, zganiła się dość ostro za owo zadowolenie i zapłakała na nowo ze zdwojoną energią. Poranek niedzielny spędziła naprzemiennie gładząc spódnicę i poprawiając szeroki lamowany kołnierzyk oraz oplakując wydarzenie z łzawą żarliwością. Lecz żal zwalczył ów drobny przejaw uroczej próżności serca, kiedy ujrzała wchodzące jedna za drugą do starej kaplicy gromady skromnie odzianych żałobników. Byli bardzo ubodzy – lecz każdy przypiął do ubrania jakiś wyświechtany strzep krepy czy wypłowiałą czarną wstążkę. Starzy przybywali wolno, niepewnie – matki niosły swe ciche, strwożone dzieci.

A byli tam nie tylko ci ludzie, lecz także inni, równie nienawykli do nieprawowiernego obrządku: na przykład pan Davis, wobec którego Sally pełniła rolę szaperona; zasiadł bowiem w ławce rodziny duchownego jako obcy; a jak to potem oznajmiła, podzielała jego uczucia, sama będąc członkinią Kościoła, bo te dysydenty miały takie dziwne ceremonie; jednakowoż bywała już tam wcześniej, toteż mogła mu wyjaśnić ich obyczaje.

Znad ambony pan Benson widział wszystkich i każdego – wypełnioną ławkę Bradshawów, odzianych w głęboką żałobę, spośród których najgłębszą wyróżniał się pan Bradshaw (byłby z chęcią przyszedł na pogrzeb, gdyby go zaproszono), Farquharów, rozlicznych nieznajomych, jeszcze liczniejszych ubogich, jednego czy dwóch wyrzutków o dzikim wyglądzie, którzy zatrzymali się z daleka, lecz nieustannie płakali w milczeniu. Serce pana Bensona wezbrało silnie.

Głos jego drżał, gdy czytał i gdy się modlił, lecz uspokoił się, kiedy duchowny otworzył kazanie – owoc ostatniego, wielkiego trudu powziętego ku jej czci – pracę, która, prosił o to Boga, miała poruszyć liczne serca. Spoglądał przez chwilę na zwrócone ku sobie twarze, nasłuchujące, z oczami mokrymi od łez, pragnące usłyszeć to, co mógłby rzec, by wyjaśnić tkwiące w ich sercach niezrozumiałe i pozbawione kształtu pojęcie o objawionych w jej życiu Boskich działaniach. Patrzył, a gdy to czynił, pojawiła się przed nim mgła i nie dostrzegał już swego kazania ani słuchaczy, a jedynie Ruth, taką, jaką była – porażoną, kulącą się przed ludzkim wzrokiem na polu na wzniesieniu przy Llan-dhu, niczym żalosne, zaszczone stworzenie. A teraz jej życie się skończyło! Jej zmagania dobiegły kresu! Zapomniał o kazaniu i o wszystkim. Usiadł na chwilę

i ukrył twarz w dłoniach. Następnie wstał, blady i spokojny. Odłożył kazanie i otworzył Biblię, i odczytał siódmy rozdział Apokalipsy Św. Jana, począwszy od wersu dziewiątego.

Zanim czytanie dobiegło końca, większość słuchaczy była we łzach. Poruszyło ich ono o wiele dogłębniej, niż zdołałoby to uczynić jakiegokolwiek kazanie. Nawet Sally, jakkolwiek pełna była obaw, co też o takim postępowaniu pomyśli członek jej Kościoła, pozwoliła sobie rozszlochać się serdecznie, gdy usłyszała następujące słowa:

„I rzekł do mnie: To ci, którzy przychodzą z wielkiego ucisku i opłukali swe szaty, i w krwi Baranka je wybielili.

Dlatego są przed tronem Boga i w Jego świątyni cześć Mu oddają we dnie i w nocy.

A Zasiadający na tronie rozciągnie namiot nad nimi.

Nie będą już łaknąć ani nie będą już pragnąć, i nie porazi ich słońce ani żaden upał,

bo paść ich będzie Baranek, który jest pośrodku tronu, i poprowadzi ich do źródeł wód życia: i każdą łzę otrze Bóg z ich oczu”^[92].

– On czasami wygłasza kazania – oznajmiła Sally, trącając pana Davisa, kiedy nareszcie powstali z kolan. – Wątpliwości nie mam, że było tam w tym kajeciku kazanie równie wspaniałe, jak te, co to nam dane ich słuchać w kościele. Słyszałam, jak się modli niepowszednio pięknie – lepiej jak każdy człek prócz tych, co uczone.

Pan Bradshaw pragnął uczynić coś dla poświadczenia szacunku, jakim darzył kobietę, która, co stwierdziłby każdy, kto zgadzał się z jego zdaniem, została zwiedziona do rozpaczliwego grzechu. Wobec tego nakazał pierwszemu kamieniarzowi w mieście, aby spotkał się z nim na przykaplicznym dziedzińcu, gdzie miał dokonać pomiarów i odebrać wskazówki odnośnie do nagrobka. Przecisnęli się pośród porośniętych trawą kopców do miejsca, w którym pochowano Ruth, w południowym krańcu, pod wielkim wiązem. Gdy się tam znaleźli, Leonard podniósł się z niedawno wzruszonej darni. Twarz miał spuchniętą od płaczu; lecz kiedy ujrzał pana Bradshawa, uspokoił się i powstrzymał szlochy, i jak gdyby pragnąc wyjaśnić, dlaczego był tam, gdzie był, gdy go tak zaszli, wyrzec umiał te proste słowa tylko:

– Matka moja umarła, proszę pana.

Wejrzał w oczy pana Bradshawa z wyrazem dzikiej udręki, jak gdyby usiłował odnaleźć pociechę wobec wielkiej straty w ludzkim współczuciu; na pierwsze zaś słowo – pierwsze zetknięcie dłoni pana Bradshawa z jego ramieniem – rozplakał się na nowo.

– Chodźże, no chodź! Mój chłopcze! Panie Francis, jutro spotkam się z panem, by o tym pomówić... Złożę panu wizytę w jego domu. Zaprowadzę cię do domu, mój ty biedaku. Chodźże, mój chłopcze, chodź!

Po raz pierwszy od lat wszedł do domu pana Benson, a uczynił to, prowadząc i pocieszając syna owej kobiety, i w pierwszej chwili nie potrafił przemówić do swego starego przyjaciela, ponieważ współczucie sprawiło, że głos uwiązał mu w gardle, w oczach zaś pojawiły się łzy.

[1] W 1784 r. ówczesny premier William Pitt podwyższył istniejący już wcześniej podatek od liczby okien w budynku; odtąd budowniczy ograniczali liczbę okien we wznoszonych przez siebie domach.

[2] Jean-Baptiste Monnoyer (1634-1699) – urodzony we Francji, tworzący zaś w Anglii wybitny malarz kwiatów.

[3] Hans Holbein młodszy (ok. 1498 – 1543) – niemiecki malarz, rysownik i grafik, od 1536 r. malarz nadworny króla Henryka VIII.

[4] Suveren – dawna złota moneta angielska o wartości jednego funta.

[5] Alnaszar – bohater jednej z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, snuje marzenia o bogactwach, jakie przyniesie mu kosz zakupionych za wszystkie oszczędności wyrobów szklanych, i o ożenku z córką wezyra, ale w wyniku prowadzonej w wyobraźni kłótni z przyszłą żoną kopie kosz i tłucze szkło, które zamierzał sprzedać.

[6] Lord porucznik – osobisty przedstawiciel króla w danym hrabstwie, zwykle dostojnik lub starszy oficer w stanie spoczynku.

[7] Elizabeth Brownrigg – londyńska położna, znana z okrucieństwa wobec dziewcząt, które przyuczała do służby. Stracona w 1767 r. za zamordowanie jednej ze swych podopiecznych.

[8] Psalm 42, 6-7, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[9] *Wędrownka pielgrzyma* (ang. *The Pilgrim's Progress from This World to That Which Is to Come*) – napisane przez Johna Bunyana, wydane w 1678 r. jedno z najważniejszych dzieł religijnych w literaturze angielskiej; alegoria życia chrześcijańskiego opisująca wędrowkę chrześcijanina z doczesności (Miasta Zagłady) do wieczności (Niebiańskiego Grodu).

[10] Pierwszy List św. Piotra 5,8, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[11] jard kwadratowy = około 0,84 m².

[12] Mowa o królu Karolu II (1630-1685), który, uciekając po przegranej bitwie pod Worcester (1651 r.) ukrył się w dębie.

[13] Wist – przypominająca brydża gra dla czterech lub dwóch osób; *écarté* – wymyślona w XVIII w. we Francji, zmodyfikowana wersja wista dla dwóch osób; pikiet – pochodząca z XIV w. francuska gra karciana dla dwóch osób.

[14] John Keble (1792-1866), *The Christian Year (Rok chrześcijański)*; przytoczony fragment autorka cytowała z pamięci.

[15] *folk* - ludek, *glove* – rękawiczka.

[16] Knyps z Czubkiem – szpetny królewicz, bohater baśni Charlesa Perraulta.

[17] *tout ensemble* (fr.) – ogólne wrażenie.

[18] George Herbert (1593-1633), *Virtue (Cnota)* ze zbioru wierszy *The Temple (Świątynia)*.

[19] *Cwm* (wym. [ku:m], walijski) – kar, kocioł polodowcowy: owalna dolina powstała w wyniku erozyjnej działalności lodowca.

[20] Nawiązanie do *Ewangelii św. Mateusza* 8,92, *św. Marka* 1, 24, *św. Łukasza* 4, 34 (pytanie zadane Jezusowi przez opętanego mężczyznę).

[21] William Shakespeare, *Kupiec wenecki*, akt IV, scena I

[22] Jacopo Facciolati (1682-1769) – włoski słownikarz, twórca m.in. wielkiego słownika łaciny, *Lexicon Totus Latinatus* (1771).

[23] *Faith* (ang.) – wiara.

[24] *Dim Saesoneg* (walijski) – „nie znać angielski”.

[25] Angielscy dysydenci – chrześcijanie, którzy odłączyli się od Kościoła Anglii w XVI-XVIII w.

[26] Nawiązanie do *Ewangelii wg św. Łukasza* (6, 35).

[27] Mowa o dziewiętnastowiecznej metodzie leczniczej polegającej na nakładaniu na skórę plastrów/okładów z różnorodnymi substancjami, które powodowały powstawanie pęcherza, wierzono bowiem, że płyn pęcherzowy odciąga krew z miejsca, w którym wystąpił stan zapalny.

[28] Abd Allah ibn Abd al-Muttalib (ok. 545-570) – ojciec proroka Mahometa.

[29] Dymka – tkanina bawełniana, niekiedy z domieszką lnu, zwykle biała.

[30] William Wordsworth (1770-1850), *Ode to duty (Oda do obowiązku)*.

- [31] *Ewangelia wg św. Łukasza* 18, 13, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.
- [32] Mowa o legendzie, według której król Henryk II (1133-1189) ukrywał swą kochankę, Piękną Rozamundę, lecz jego żona, Eleonora, wkradła się do jej kryjówki i podarowała Rozamundzie truciznę.
- [33] Nicolas Poussin (1594-1665) malarz francuski, w rzeczywistości nigdy nie stworzył wspomnianego obrazu.
- [34] *Ewangelia wg św. Łukasza* 15, 18-19. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.
- [35] *locum tenens* (łac.) – tu: zastępczyni.
- [36] *Ewangelia św. Łukasza* 6, 31, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.
- [37] John Milton (1608-1674), *On the Morning od Christ's Nativity (W rano narodzenia Pańskiego)*.
- [38] Nawiązanie do *Ewangelii św. Łukasza*, 16, 24. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.
- [39] Mowa o tradycyjnej piosence angielskiej, w której okazana przez Barbarę Allen wzdarga dla uczucia, jakim darzy ją Jemmy Gray, doprowadza go do śmierci, a wówczas ona umiera wskutek wyrzutów sumienia.
- [40] „Dance, Thumbkin” – dziecięca piosenka-wyliczanka, w której każdemu z palców poświęcona jest zwrotka.
- [41] Mowa o katechizmie w *Modlitewniku powszechnym* Kościoła Anglikańskiego.
- [42] Księga Koheleta 9,10, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.
- [43] *réveillé* (fr.) – pobudka.
- [44] W Anglii osoby o wyższej pozycji społecznej oraz te, które przybywały w interesach, pukały dwukrotnie (puk, puk), osoby zaś ze skromniejszych warstw społecznych oraz te, które przybywały po prośbie, pukały raz (puk).
- [45] Matka Manasses, króla Judy (709-643 p.n.e.).
- [46] W *Biblii Tysiąclecia* Jemima to Gołębica, Keren-Happuh zaś to Róg Antymonu (Hi 42, 14).
- [47] Mowa o istniejącej na przełomie XVIII i XIX w. oficynie Minerva Press, specjalizującej się w wydawaniu powieści gotyckich i romantycznych.
- [48] „Life let us cherish”, pieśń o ulotności życia, za wierszem szwajcarskiego poety Johanna Martina Usteriego (1763-1827).
- [49] Liść czarnej porzeczki dodawano do herbaty indyjskiej, aby nadać jej smaku herbaty chińskiej.
- [50] Wierzono, że po śmierci domownika należy powiedzieć o niej przydomowym pszczołom, aby nie odleciały i nie popadały, na ule natomiast zakładano wówczas szarfy z czarnej krepy.
- [51] Sąd kanclerski zajmował się m.in. rozstrzygnięciem sporów dotyczących testamentu oraz majątku po zmarłych, którzy testamentu nie sporządzili; był bardzo drogi i działał niezwykle wolno.
- [52] Prz 13, 23, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.
- [53] 2 Krn 12, 14, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.
- [54] Nawiązanie do Psalmu 37, 4.
- [55] Liść chmielu ma kształt zbliżony do liścia winnej latorośli, która jest rośliną Dionizosa (Bachusa), greckiego boga dzikiej natury i wina.
- [56] Rispa, której synowie zostali powieszani przez Gibeonitów, strzegła ich ciał dniem i nocą, odganiając od nich ptaki i zwierzęta (2 Sm). *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.
- [57] *Ewangelia wg św. Łukasza*, 22,42, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.
- [58] William Wordsworth, „Strange Fits of Passion” („Dziwne porywy namiętności”), 1798.
- [59] Wytok – pomocnicze wodze zapobiegające nadmiernemu zadzieraniu głowy przez

konia.

[60] W rzeczywistości rękawiczki te, popularne w Anglii i Irlandii w XVIII i XIX w., sztyto z cienkiej, wytrzymałej skóry nienarodzonych cieląt i sprzedawano zamknięte w łupinie orzecha włoskiego.

[61] „Człowiek powraca, zawsze powraca, do pierwszych swoich miłości” – pieśń z opery *Joconde* (1814).

[62] Agent parlamentarny – człowiek odpowiedzialny za kierowanie do parlamentu aktów prawnych wysuwanych przez osoby prywatne bądź przedsiębiorstwa (np. kompanie kolejowe) i zdobywanie dla nich poparcia oraz za prowadzenie kampanii wyborczych kandydatów do parlamentu.

[63] Torys – przedstawiciel partii konserwatywnej; wig – przedstawiciel partii liberalnej.

[64] Długi Parlament (obradował w latach 1640-1653) uchwalił szereg ustaw ograniczających władzę monarchy.

[65] Elizabeth Barrett Browning, „Wiersz księżnej maja” (‘Rhyme of the Duchess of May’).

[66] 1 Księga Królewska 18,44, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[67] *Eagle’s Crag* (ang.) – Orle Urwisko.

[68] Gotując w niedziele obiady dla państwa, służba byłaby zmuszona łamać czwarte przykazanie.

[69] William Shakespeare, *Koriolan*, akt V scena VI.

[70] Ps 148, 8, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[71] Ps 46, 2, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[72] Ef 2, 2, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983; ów Władca to Szatan.

[73] Mowa o rodach książąt Northumberland i Norfolk.

[74] Ps 121, 1. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[75] Jest to rozdział opisujący mękę i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[76] Nawiązanie do Ps 84:7. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[77] Ps 136. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[78] Fioletowy i żółty to kolory partii wigów.

[79] Nieściśle przytoczony wers z epitafium, które William Wordsworth poświęcił synowi.

[80] *Księga Rut*, 1, 4, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[81] *Księga Izajasza*, 32, 2, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[82] *gioventù dell’anno* (wł.) – młodość roku.

[83] *Delectus* – podręcznik autorstwa Richarda Valpy’ego (1754-1836).

[84] Nawiązanie do *Dziejów Apostolskich* 28, 3-5. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[85] Nawiązanie do *Księgi Kapłańskiej*, 26,40. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[86] *Wędrówka pielgrzyma*, część druga.

[87] *Ewangelia wg. św. Jana*, 9,4, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

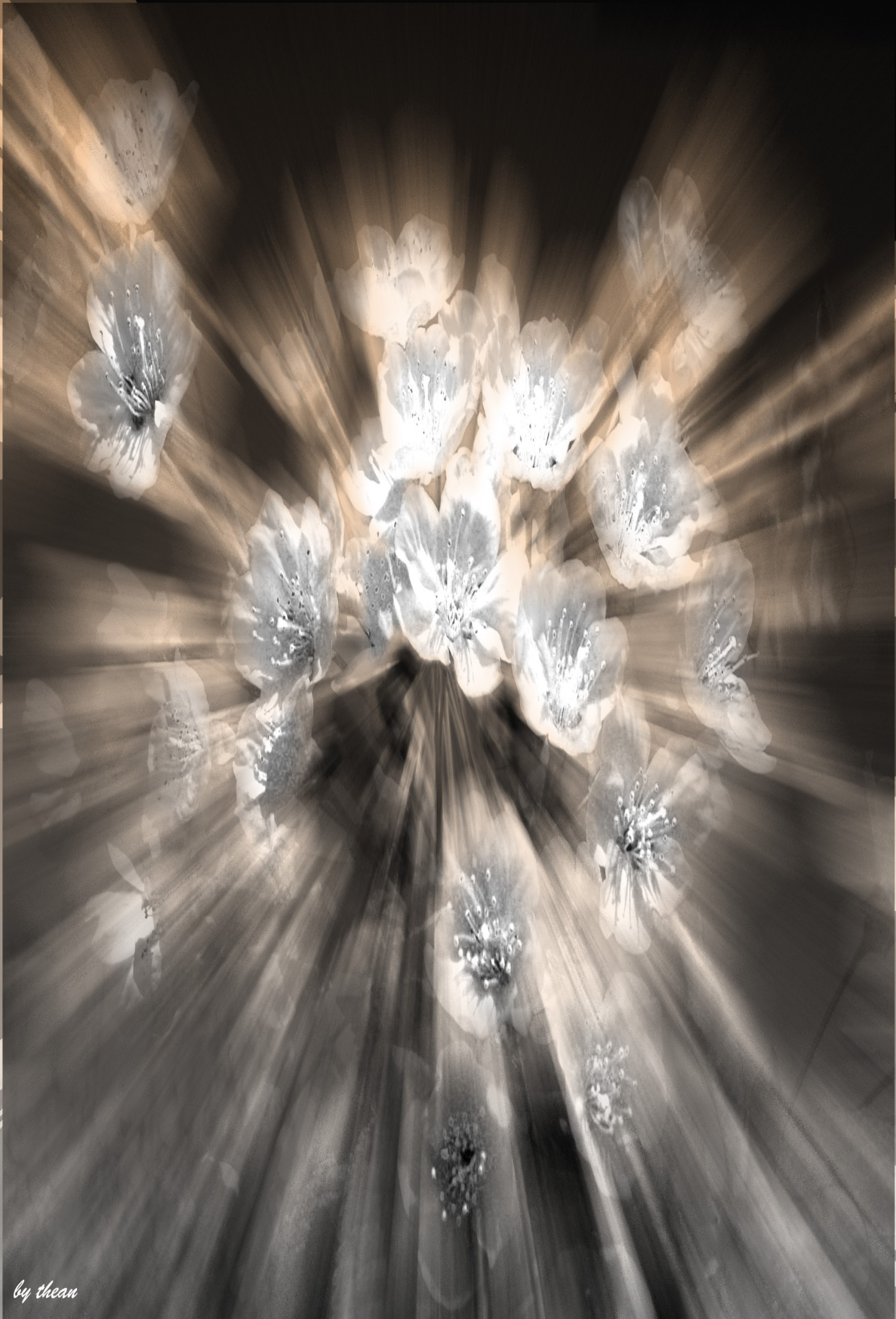
[88] W dniu Św. Marcina, 11 listopada, przypadał w Anglii dzień zatrudniania służby oraz przeprowadzania zmian wysokości wynagrodzenia.

[89] Po przyjęciu takiej posady członek parlamentu musiał ponownie stanąć do wyborów, które na ogół były jednak tylko formalnością.

[90] *Księga Przysłów*, 31, 28. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.

[91] Nawiązanie do *Cymbeline’a* Williama Shakespeare’a.

[92] Ap 7, 14-17, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV, Pallottinum, Poznań 1983.



by thean